PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK SIÓDMY. — TOM XXVI.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1890.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1890.

Sprostowania.

Str. 33 wiersz 1 od góry, zamiast: „przytoczone motywa“, czytaj: „przytoczonych motywów“.
Str. 34 przypisek [1] zamiast: *Przegląd Polski.* Listop. 1889, czytaj: *Wiestnik Jewropy.* Listop. 1889.
Str. 34 wiersz 12 od góry, zamiast: [1] ma być: [2], i przypisek u dołu: [2] *Przegląd Polski.* Kwiecień 1889.
Str. 36 wiersz 15 od góry, zamiast: „wyszuje“, czytaj: „wyszukuje“.
Str. 121 tytuł: *Patrologiae Compendium*, czytaj dalej: „Opera Andreae Retke S. Th. Doct. in Caes. R. C. Acad. Petrop. Homil. . . .“

POLACY W ANGLII.

Pięć razy w bieżącym wieku wyrzuciła burza krajowych zamieszek i nieszczęść polskich rozbitków całą falą na angielskie brzegi: po upadku listopadowego powstania, po wojnie węgierskiej, krymskiej, po powstaniu styczniowem, i w ostatnich latach, po pruskiej banicyi. Wiarusi z 1831 r. znaleźli nad Tamizą, jak w całej ówczesnej Europie, sympatyę szczerą, w czynach się objawiającą, równie ze strony ludu jak i rządu, — i mówiąc w ogóle, nie zawiedli tych sympatyj, stali się godnymi okazanej sobie pomocy. Trzy następne emigracye z 1849, 1854 i 1863 r. wniosły wiele żywiołów niezdrowych, mętnych, i ostatecznie przyczyniły się nie do sławy, lecz raczej do niesławy i niechęci dla Polaków w Anglii, niechęci, która boleśnie uczuć się dała, gdy wypędzeni z Prus biedacy, rachując na dawną gościnność, zawinęli do angielskich portów. Dziś żyje ledwie paru nad grobem stojących przedstawicieli pierwszej emigracyi; nie wielu można się doliczyć uczestników węgierskiej i krymskiej kampanii, tak, że jądro polskiego wychodźtwa w Anglii stanowią niemieccy banici, nieopatrzni amerykańscy emigranci, którym w podróży do Ameryki lub w powrocie do ojczyzny zabrakło pieniędzy na dalszą drogę, i w równej mierze nieopatrzni robotnicy i rzemieślnicy przeważnie z Galicyi, którzy wybrali się do Anglii dla zarobku, dla polepszenia złej doli. Nad tymi nieszczęśliwymi, a często wprost nędzarzami, góruje kilku Polaków zamożniejszych i wy-

kształceńszych, którzy starają się wedle sił podać swym rodakom rękę pomocną; w około kręci się paru szalbierzy i awanturników, paru przybyłych z Francyi i Szwajcaryi z nazwiskami polskiemi socyalistów, usiłujących wyzyskać nędzę polską dla swych planów; pewna wreszcie choć drobna garstka, zdala od wszelkich politycznych i socyalnych teoryj się trzymając, pracuje rozumnie i energicznie na kawałek chleba, przychodzi do majątku, ale nieraz niestety! w drugiem, a bywa, że i w pierwszem pokoleniu, zapomina ojczystej mowy, dobrze jeszcze, jeźli nie wyrzeka się katolickiej wiary.

Tak w najogólniejszych rysach przedstawia się skomplikowany, a nie wesoły obraz polskiego wychodźtwa w Anglii. Jeden to z naszych najdalej na zachód wysuniętych, nie powiemy, że stracony, ale bądź co bądź, jeźli nie na stracenie, to na bardzo liczne niebezpieczeństwa wystawiony posterunek. Jaka jego siła i zadanie, jak zadanie to spełnia, z jakich składa się żywiołów, czy i o ile zachowuje język, narodowość, wiarę? — czy mieć można nadzieję, że skarby te długo jeszcze potrafi obronić przeciw parciu angielskich zwyczajów, wpływów i niechęci, przeciw stokroć groźniejszym wewnętrznym waśniom? W odpowiedzi na te ważne dla nas pytania — bo jeźli komu, to nam nie wolno lekceważyć i najmniejszej straty, nie wolno z oka i z pamięci spuszczać i najmniejszej, choćby na ostatnie kresy losem rzuconej polskiej kolonii, — spróbujemy skreślić, o ile można, dokładny wizerunek dzisiejszej „polskiej biedy“ w Anglii. Wizerunek ten opieramy na opowiadaniach i łaskawie nadesłanych lub udzielonych nam bardzo licznych notatkach i listach dawniejszych missyonarzów polskich w Anglii i dzisiejszego gorliwego ich apostoła ks. Józefa von Lassberg, na listach i sprawozdaniach, drukowanych w różnych pismach i dziennikach, i zapiskach niedrukowanych innych Polaków, którzy w Anglii dłuższy czas bawili lub bawią, szczególnie na długim szeregu korespondencyj, listów i krótszych notatek, pojawiających się regularnie od r. 1885 w petersburgskim *Kraju* [1].

[1] Ciekawe te, z widoczną znajomością rzeczy pisane korespondencye, podpisywane były przez czas dłuższy pseudonimem *Latarnik*, pod

I.

Wielu Polaków przebywa dziś w Anglii? Trudna odpowiedź na to na pierwszem miejscu nasuwające się pytanie, bo nie wyjaśniają go żadne urzędowe sprawozdania, a samo polskie lub do polskiego zbliżone brzmienie nazwisk bardzo nieraz zawieść może i zawodzi. W ogóle przyjąć można, że mieszka tu stale około trzech tysięcy Polaków [1], pewna liczba Litwinów, słabo lub zupełnie po polsku niemówiących, i dość znaczna liczba żydów, przyznających się chętnie i częściej, niżli się to zdaleka zdawać mogło, do polskiej narodowości. Z drugiej strony nie brak polskich parobków i dziewczyn, którzy zagnani głodem i pragnieniem do twardej służby u londyńskich żydów, nie wychodząc przez długie miesiące z uprzywiliowanych ich dzielnic: *Whitechapel*, *Minories*, *Houndsditch*, figurują w statystycznych spisach jako żydzi i żydówki, aż ostatecznie, nie widząc nigdy kościoła, mowy swej nie słysząc, wciąż w żydowskich kołach się obracając, istotnie za żydów, sami nie wiedzą kiedy i jak, zaczynają się uważać. Żydzi przybierają nazwiska polskie: Kaschauer zwać się każe Kaszawskim; Linauer, Liskim; natomiast polskie Dzięcioły przerabiają się w Dancingerów; w dziwacznych, z angielska żydowskich nazwiskach nikt odgadnąć nie potrafi naszych Magd i Marysiek. Wschodnie dzielnice Londynu żydami przepełnione; zda-

którym ukrywał się energiczny sekretarz „Towarzystwa literackiego“, znany dobrze pilnym czytelnikom warszawskich, krakowskich i lwowskich gazet, korespondent i powieściopisarz, Edmund Naganowski. Zna on i znać może dobrze Anglię, bo bawi w niej od lat przeszło dziesięciu. W roku zeszłym p. Naganowski wyjechał na krótki przeciąg czasu z Anglii, jednocześnie Latarnik zniknął ze szpalt *Kraju*, a na jego miejscu pojawili się przelotnie *I. K., yz;* później opróżnioną posadę zajął tajemniczy *Never Mind*, aż w oststnim czasie znowu, na niemałą pociechę wiernych swych czytelników, Never Mind przekształcił się w Latarnika.

[1] Wedle obliczeń p. Zarjanki, na „Mapie ludów słowiańskich“, umieszczonej niedawno temu w *Slawianskija Izwiestija*, cyfrę tę podnieśćby należało do 5000. Urzędowy spis samej tylko ludności londyńskiej z roku 1871 podaje 4229 Polaków; pytanie tylko, wielu między tymi Polakami jest z Polski pochodzących żydów?

rzyło się przecież, że w czasie jednego roku, jak z oburzeniem i przestrachem skarżyli się Anglicy, zleciało się ich tutaj z mniej gościnnych krajów do 14,000. Czyż można się dziwić, że polski, nieumiejący nieraz ani czytać ani pisać, chłop lub chłopka, wpadłszy do tego mrowiska, ginie w niem bez śladu; że trudno dopytać się na londyńskich tych Kazimierzach o dokładną cyfrę żydów polskich, i marniejących między nimi polskich nędzarzów-katolików; że trudno ich zliczyć i pewniejszego o nich zasięgnąć języka w Liverpoolu, Manchesterze i Birminghamie? [1].

---

[1] Wedle obliczeń Latarnika (*Kraj* 11 marca 1888 r.) znajduje się w Londynie na całą ludność żydowską około 5% żydów polskich, w Manchesterze 1½%, w Liverpoolu ¾%, a w Birminghamie tylko ⅙%. Ważneby to były cyfry, gdyby opierały się na jakiejkolwiek podstawie, ale korespondent czuł sam wybornie, że nie ma właściwej podstawy do takiego obliczenia, i dlatego jakość ilością pragnąc nagrodzić, aż pięć ich wyliczył. Cóż, kiedy z pięciu tych punktów pokazuje się jasno to tylko, że o rzeczywistym stosunku osiadłych w Anglii żydów z Polski do żydów pochodzących z innych krajów, nic a nic pewnego powiedzieć nam nie może. Co więcej, nawet głośne w ostatnich miesiącach, nadzwyczaj sumiennie wydane dzieło *Labour and life of the poeple*, a mówiąc dokładniej, pierwsza jego część, która dotychczas się pojawiła *(East London, edited by Charles Booth, Williams and Norgate.* London 1889), z dokładnemi datami wystąpić się nie odważa. Praca ta, bardzo cenna, do której przy innej sposobności spodziewamy się powrócić, rzuca też niemałe światło na stosunki, ciężką nędzę, straszną niewolę naszych emigrantów. Obszerny rozdział *Jewish Community* (str. 564—591), opracowany przez Miss Beatrice Potter, wylicza przyczyny, sprowadzające żydów do Anglii z „ubogich polskich i rosyjskich wiosek", wprowadza nas w sam środek żydowskich dzielnic w Londynie; maluje domy, zwyczaje i obyczaje kilkudziesięciu tysięcy polskich i rosyjskich żydów, którzy w ostatnich latach napłynęli całemi masami do Londynu, i dziś stanowią jądro tutejszej, do 70.000 członków liczącej gminy żydowskiej. — „Żydzi ci — czytamy w tem sprawozdaniu — przedstawiają, rzec można, skoncentrowane cnoty i wady, charakteryzujące plemię żydowskie... Przybywają do Londynu, nie umiejąc po największej części żadnego rzemiosła, nie wiedząc, jak się wziąć do najprostszej roboty... a jednak wytrwale pną się i niebawem wspinają się na wyższe szczeble społecznej drabiny. W bardzo krótkim czasie prześcigują swych współzawodników: szewców, krawców, stolarzów, szklarzów, kramarzy; owszem, wyszczególniają się i tam, gdzie potrzeba większej zręczności, roztropności, sprytu... Jaka przyczyna tego powodzenia: dlaczego chrześcijanie, stykający się z żydami, żywią ku nim tak

Gdyby zapytać się polskich wygnańców: co was tu sprowadziło? — jakiemi drogami doszliście od Wisły, Niemna, Warty, aż nad daleką Tamizę?—usłyszelibyśmy bardzo różne. a niemal bez wyjątku bardzo smutne odpowiedzi. Garstka weteranów z 1830 r. topnieje z dnia na dzień, dziś łatwo być może, że już zupełnie stopniała; szeregi wiarusów z r. 1849, 1854, z powstania 1863 także szybko się przerzedzają. W drugiej połowie 1887 r. londyńskie „Towarzystko literackie Przyjaciół Polski" znało i wspierało 16 weteranów z powstania listopadowego, 19 z wojny węgierskiej, 23 z wojny krymskiej, 27 z powstania styczniowego; byli zapewne i tacy, którzy wsparcia nie potrzebowali, ale tych bodaj na pięciu palcach możnaby się doliczyć. Kilkunastu Polaków dobrze się mających pozostaje w Anglii, bo w niej się urodzili, lub przybyli do niej na dłuższy lub krótszy czas dla nauki, wyćwiczenia się praktycznie w jakimś fachu, zaznajomienia się z krajem. Obok ludzi tych pracowitych, wiedzących, co ich do Anglii sprowadziło, zlatują tu raz po raz, jak zlatują do wszystkich krajów od bieguna do równika wędrowne ptaki, turyści bez celu i myśli, chyba z jedynym celem strwonienia wiele się da, czasu i pieniędzy. Wstrętne to typy, owi „trzy-

---

silną niechęć? Ponieważ dla polskiego żyda każdy środek dobry, jeśli do celu prowadzi; żadnem prawem się on nie wiąże; nie krępuje się względami na cudze dobro, gdy chodzi o zniżenie lub podniesienie cen, o zrujnowanie handlu i przemysłu... Ciało jego w wiecznym ruchu, myśl zajęta obrachowywaniem większych zysków; miłość, pycha, słowem, żadne uczucie, z wyjątkiem troski o rodzinę i o wynik „walki o byt", nie znajdują przystępu do jego duszy. Niezamącony spokój, z którym żydzi znoszą obelgi, wzgardę, poniżenie; wytrwałe milczenie, którem odpierają wszelkiego rodzaju pociski, rozjuszają tylko bardziej tłumy, widzące jasno, że żydzi z dniem każdym zyskują na sile i coraz usilniej wypierają chrześcijan z zajmowanych dotąd stanowisk".

Taki i mniej jeszcze pochlebny obraz polskich żydów w Londynie kreśli autorka, Miss Potter, która miała wszelką sposobność bliżej i dłużej im się przypatrzeć; takie same uwagi spotykamy w rozdziałach, podpisanych przez Karola Booth, Dawida F. Schlossa i innych. Wszyscy żalą się gorzko, że polscy żydzi wyzyskują dobrodusznych angielskich i irlandzkich robotników; o polskich robotnikach katolikach nie wspominają, ale milczenie to prawdziwie grobowe, przykrzejsze bodaj od najenergiczniejszych skarg i żalów.

dziestoletni staruszkowie", jak ze słusznem oburzeniem nazywa ich londyński korespondent *Kraju* [1], tromtramdaci pessymizmu, „którzy w nic i w nikogo nie wierzą, wszystko ich w życiu zawiodło, lub z pewnością zawiedzie", — a na zapytanie: „Czy pan przybył tu w jakim specyalnym celu?" „ślamazarnie, pogrzebowo, przeciągle i nudnie", naśladować chcąc może Anglików, których zresztą w niczem innem nie naśladują, cedzą przez zęby: „Ooo, nie!"

To śmietanka i szumowiny emigracyi: pierwsi z konieczności lub rzeczywistej potrzeby przybyli, wiedząc w każdym razie jasno, czego chcą; drudzy zagnani kaprysem lub nieszczęśliwą *farniente*. Właściwe jądro polskiej emigracyi składa się tu, jak składa się w Stanach Zjednoczonych, w Brazylii, w Niemczech, z biedaków, których nielitościwe prawa, lub wprost nędza wypędziły z ojczystych zagród; którym nie rachująca się z rzeczywistością, alkoholem zazwyczaj podsycona fantazya i niesumienni spekulanci wmówić potrafili, że w bogatej Anglii łatwo o kawałek już nie czarnego, lecz białego chleba. Nieraz galicyjscy zwłaszcza emigranci do Ameryki, przybywszy do Londynu lub Liverpoolu, przekonują się z przerażeniem, że na dalszą podróż grosza im już nie staje; wrócić do kraju nie ma także za co i do czego, a ratując się od śmierci głodowej, dostają się zazwyczaj do formalnej, a cięższej od babilońskiej niewoli żydowskiej. Inni mogliby się ostatecznie o kawałku suchego chleba dostać do New-Yorku, ale kompanie okrętowe nie przewożą dziś tych, którzy nie mogą się wykazać oznaczonym z góry kapitalikiem, lub pewnością otrzymania zarobku w Ameryce, a tak i ci, straciwszy, rzecz prosta, prędko przywiezione pieniądze, miasto w Ameryce, w Anglii głód cierpią. W ostatnich znowu miesiącach sprowadzili przemyślni spekulanci kilkudziesięciu rzemieślników, głównie żydowskich krawców z Galicyi, dla stawienia oporu temi zagranicznemi a taniemi siłami szerzącemu się w Londynie krawieckiemu bezrobociu. Dorozumieć się łatwo, z jaką sym-

[1] *Kraj* 12 (24) czerwca 1887.

patyą miejscowi krawcy przywitali przybyszów: strejkujący czekali na nich już w porcie i zapoznali ich nie tylko z kocią muzyką, ale i z angielskim systemem boksowania.

Niechęci tej dla przybyszów dziwić się nie można, zważywszy, jak ciężka walka o byt, o chleb, ciągle w całej Anglii, a na pierwszem miejscu w Londynie się toczy; walka, w której wychodźcy polscy z silnemi ramionami, a wymaganiami nader małemi, są mimowoli bardzo niebezpiecznymi wrogami angielskich klas pracujących. Robotnicy angielscy skarżą się, że ich wyzyskują; jakże wołać musi o pomstę do nieba wyzysk ciągnięty z krwawego potu cudzoziemców, a między nimi na pierwszem miejscu — Polaków i Polek!? Bogaci kupcy mebli, obówia, sukni, nie wyrabiają ich nieraz we własnych fabrykach, lecz obstalowują u przedsiębiorców „pośredników“ *(middleman)*, których spryt polega na tem, aby zaciągnąć w swe sieci jak największą liczbę biedaków, niemających pracy, a zatem gotowych „pocić się“ — jak Anglicy obrazowo się wyrażają — za każdą cenę. Inni spekulanci, tak zwani *weaters* (zawierający kontrakta), skupują ryczałtowo na pewien przeciąg czasu i za śmieszną cenę całą pracę kilkudziesięciu lub kilkuset robotników; wyroby uzyskane odprzedają z szalonym zyskiem na angielskich lub częściej na zamorskich targach, i bogacą się nader szybko znów na „pocie“ ludzkim, za pośrednictwem *The sweating systeme*. W ten sposób szwaczka np. pracująca 16 godzin na dobę, jest zaledwie w stanie nędznie wyżyć; za suknię, za którą właściwie należałoby się jej 50 szylingów, dostanie pięć, a 45 zabierają przeróżni spekulanci i pośrednicy. Dziewczyny, pracujące u żydowskich krawców, którzy wrzekomo, przez nieograniczony szereg lat, szycia je uczą, zarabiają tygodniowo, pracując na dobę najmniej 13, a właściwie nieograniczoną liczbę godzin, 4—5 szylingów; bywają wypadki, że zarobek ten spada do 2 szylingów, 6 pennów, a nie podnosi się prawie nigdy nad 10 szyl. Dziewczyna, wyrabiająca papierosy cały tydzień i to zgrabnie i z pośpiechem, nie dochodzi zbyt często do więcej, jak do sześciu szylingów tygodniowej płacy. Między szewcami, mogącymi w ogóle

rachować na stosunkowo lepszy zarobek, wielu zdobywa sobie zaledwie 13 szylingów tygodniowym mozołem. Za godzinę nader ciężkiej, zabijającej pracy w londyńskich dokach, powinien właściwie robotnik, wedle powszechnie przyjętej zasady, otrzymywać przynajmniej sześć pennów; ale walka o byt, brak roboty zmusza biedaków do licytacyi *in minus*, do zdania się na łaskę i niełaskę „pośredników“, którzy sami następnie, wedle własnej woli i chęci, układają warunki płacy i pracy. A gdybyż przynajmniej praca przez cały rok była zapewnioną! Co najbardziej rzemieślnika czy robotnika uciska, to niemal pewność, że przez kilka miesięcy, regularnie w roku wracających, napróżno będzie o zarobek błagał, i że wtedy musi wbrew wszelkim prawom i postanowieniom podpisać formalny cyrograf, którym zaprzeda czyhającym na takie chwile głodu i zniechęcenia spekulantom, — spytać tu słusznie można: ludziom, czy szakalom? — swe siły i pracę, wolność, zdrowie, nadzieje lepszego zarobku, słowem, mówiąc bez przesady — ciało i duszę [1].

Jeźli robotnik angielski nieraz widmo głodu przed sobą widzi, jeźli wiele kobiet i dziewczyn londyńskich, wiedzących, gdzie się zwrócić, mogących się z chlebodawcami swymi rozmówić, zarabiają dosyć, aby nie umrzeć, ale nie dosyć, aby żyć, — jakiż los czeka polskich wychodźców, nieopatrznych, przerażonych złem przyjęciem, czasem i boksami, witającymi ich już w porcie, przybywających z naiwnem przekonaniem, że potrzebują się tylko w bogatym Londynie pokazać, a wielkie złote i srebrne monety same gęstym deszczem do kieszeni im spłyną. Patrząc na tę bezmyślność, gniewając się na tę do ostatnich granic doprowadzoną łatwowierność w słowa i obietnice niemaskujących się prawie oszustów, przychodzi czasem ochota powiedzieć: „Dobrze wam tak, może was choć te boksy rozumu nauczą!“ — „Niechże mi nikt za złe nie weźmie — woła z niemogącem już pohamować się, z nieliczącem się z wyrazami oburzeniem londyński korespondent

[1] Przytoczone powyżej cyfry i daty wyjęte są z przytoczonej już książki: *Labour and life of the poeple. Part II. The trades.*

Kraju[1], — niech nikt źle nie rozumie, jeźli powiem otwarcie, że przybywająca tu polska nędza jest stanowczo i poprostu najgłupsza. Czy bowiem uwierzy czytelnik, że przybywają wyrostki i dziewczyny, nie mając wyobrażenia o kraju, o warunkach bytu, o tem, co z sobą poczną, gdy zjedzą ostatni kawał okrętowego chleba? Dodajcie, że nędza ta dziwi się niesłychanie, iż mowy jej nikt nie rozumie. Dodajcie fakt najsmutniejszy: ludzie ci są absolutnie przekonani, że dbać o nich jest czyimś obowiązkiem, tylko nie wiedzą czyim! Wyszli z kraju. Dlaczego?—Ten i tamten uciekł przed służbą wojskową, ta i tamta chce „jachać do chłopa", który przed rokiem, lub przed trzema i więcej laty „na Lundyn jachoł". Ale więcej jest takich, którzy zapytani o powód wyjścia z kraju (mianowicie z gubernii lubelskiej i suwalskiej, z pod Tarnowa, Krosna, Sącza i Przemyśla, wreszcie z okolic Torunia) odpowiadają z uśmiechem, że „przecież tu pewnie lepiej!" Czy ludzie ci znają jakie rzemiosło? Gdzie tam! Najwięcej z nich „robiło przy kolei"; ten i ów był najprzód ślusarzem, potem rymarzem, a potem był „w fabryce"; dziewczyny były w służbie — gdzie?—„U żydów". Do żydów też wracają; a raz oplątani głodem, długiem, groźbą, rosnącą nędzą — już tam pozostają, nie mając dość energii, dość sprytu, dość odwagi, by uciec z *Whitechapel*, udać się do konsula i wrócić między swoich. Po pruskich rugach krawiectwo i szewstwo żydowskie w Londynie poznało wartość polskich helotów; dziś zapewne ogląda się za sposobami zwabienia tu dobrowolnych wygnańców..."

Tragiczne przygody, które zapędziły wielu tych nieszczęśliwych do znanej sobie dawniej ledwie z imienia Anglii, stanowićby mogły czasem treść ciekawej, a wzruszającej do głębi nie na bujnej fantazyi, lecz na smutnej rzeczywistości osnutej powieści. Tak np. w połowie 1887 r. przybyła do Londynu wdowa, Anna Muszajtys, pochodząca z gubernii siedleckiej, z trojgiem dzieci[2]. Wybrała się ona właściwie do Ameryki

[1] *Kraj* z 3 (15) listopada 1889.
[2] *Kraj* z 11 (23) września 1887.

do szwagra, osiedlonego w stanie *Michigan*, nie mając widocznie najmniejszego wyobrażenia, gdzie ta Ameryka leży, jak do niej daleko, jakich potrzeba środków, by się dostać do tej ziemi obiecanej, mlekiem i miodem płynącej. Już dla przedostania się do Galicyi trzeba było przezwyciężyć wiele, a niemałych trudności, zwłaszcza gdy wszystkie zapasy podróżne ograniczały się na małem zawiniątku i kilkunastu rublach. Pierwsza galicyjska wieś, na którą natrafiła nasza pielgrzymująca rodzina, odznaczała się niezwyczajnem miłosierdziem; poczciwi włościanie gościli ją w swych chałupach z kolei po dni parę, a ksiądz zapowiedział w kościele składkę, która stosunkowo dość znacznie podreperowała finanse biedaków. Tutaj też poznała się Muszajtysowa z dwoma włościanami, wybierającymi się również za morze, i pod ich opieką dojechała do Hamburga. Opiekunowie rozrzewnieni, że z Europą przychodzi im się pożegnać, upili się i nie zdążyli na czas na pokład; Muszajtysowa znów z dziećmi tylko znalazła się na londyńskim bruku, i dowiedziała się z przerażeniem, że ponieważ nie może się wykazać środkami, zapewniającymi jej utrzymanie w Ameryce przynajmniej przez sześć tygodni, przeto o dalszej podróży do New-Yorku ani mowy być nie może. Nadomiar złego nieszczęśliwa nie umiała ani słowa po angielsku, a o miejscu pobytu swego szwagra wiedziała tylko tyle, że znajduje się ono gdzieś w „Muchygony“ *(Michigan)*. Wyboru nie było: trzeba było zgodzić się na propozycyę oczekujących na takie ofiary polskich żydów, i tem się pocieszając, że można się z kimś przynajmniej rozmówić, przyjąć u nich robotę czy służbę. Po kilku miesiącach zakupiony w Hamburgu bilet do New-Yorku stracił wartość, a nieszczęśliwa i jej dzieci, jeźli dotąd żyją, to pracują na swych panów w *Whitechapel*, szwargocą żydowsko-angielskim dyalektem; o wydobyciu się z tego zaklętego koła spodziewać się ani marzyć nie mogą.

Jeden to, przypadkiem na jaw wydobyty obrazek, a wiele w Londynie, wiele w Anglii takich Muszajtysowych i Muszajtysów; takich drobnych dzieci, rzuconych od piersi matki w przepaść nędzy i moralnego zepsucia, w wir społeczeństwa

obcego językiem, wiarą, narodowością; starców, którzy kawałka chleba do ust włożyć nie mają. Nędza polska w Anglii, jak ją malują londyńscy korespondenci w szeregu listów, które z miesiąca na miesiąc raczej coraz czarniejszą niż weselszą przybierają barwę, jest w tej chwili ogólną i głęboką [1]. Wystawieni są na nią starcy przeszło 80-letni, gdyż wiek i kalectwo lub choroba nie pozwalają im zarabiać na życie sobie i rodzinom: opłakany, bolesny jest los wydalonych z Prus i Księstwa, gdyż są to po największej części rolnicy, którzy nie znają języka i są pod każdym względem tak bezsilni i bezradni, jak niemowlęta; opłakany los Polaków osiadłych w Anglii od lat dwudziestu i więcej, a którzy z zarobku, jeźli jaki mają, żadną miarą utrzymać się nie mogą. Zajmują się szyciem pantofli, „są przy szliprach“, jak się sami wyrażają, lub wyrabiają laski, a cały ich tygodniowy zarobek wynosi przeciętnie sześć szylingów... Najgorzej się mają kobiety: nie rozumieją ani słowa po angielsku, nie znają żadnej innej pracy, prócz prania i szorowania pokojów. Zapytane, gdzie ich mężowie, odpowiadają: Mąż oddawna w Ameryce, pojechał tam znaleść pracę, nic jeszcze nie pisał, nie wiadomo, czy żyje, a oto dzieciska z głodu chorują, żydzi w *Whitechapel* cały dzień każą prać i szorować za łyżkę strawy... „I cóż ja biedna kobieta mam z sobą zrobić?“

I znowu parę przykładów z kilku ostatnich lat, parę sylwetek polskich biedaków, z pośród wielu innych na chybił trafił wybranych, okażą najlepiej, że skargi te i żale nie są tylko poetycznemi, na wzbudzenie litości obrachowanemi jeremiadami.

Aleksander Rokosowski [2] lat 73 (w r. 1887), wychodźca z przed lat 54, był we Francyi, gdzie pobierał pensyę rządową aż do upadku Ludwika Filipa. W r. 1848 przybył do Anglii. Świadectwa bardzo piękne dowodzą, że był w służbie admirała Kennedy'ego, admirała Mac-Clintock'a, baroneta A. Kep-

[1] *Kraj* 20 lutego (4 marca) 1887.
[2] *Kraj* 20 lutego (4 marca) 1887.

pel'a, nakoniec kucharzem pułku w Irlandyi. Kiedy pułk przeniesiono do Egiptu, Rokosowski utracił służbę i już jej nie znalazł nigdzie, „bo jest za stary". Człowiek rzetelny, prawy, nie bez wykształcenia, znalazł się bez przytułku, bez kęsa chleba...

„Antoni Zalatyński [1], przybyły do Anglii po wojnie węgierskiej, żonaty, ma sześciorgo dzieci: dwoje z nich pracuje na prowincyi, syn najstarszy jest głuchoniemy. Zalatyński miał zajęcia w fabryce aż do ostataiej zimy (r. 1886); w styczniu niemiec nabył fabrykę i oddalił z niej trzecią część robotników angielskich, przyjmując Niemców; — Zalatyński stracił chleb. Pracował potem gdzie mógł, aż w marcu spadł z rusztowania i ciężko skaleczył sobie nogę. Od tego czasu żona, jak mogła, pracowała na utrzymanie całej rodziny. Co tylko było w domu ruchomości, przeszło do lombardu. Dnia 5 sierpnia (1886 r.) przyszedł nieszczęśliwy Zalatyński do biura towarzystwa „Przyjaciół Polski", przyszedł piechotą aż z Woodford, przedmieścia odległego o 12 mil angielskich, i ze łzami błagał o zachowanie go z rodziną od śmierci głodowej. Czyż można mu powiedzieć, by szukał dachu i strawy w domu pracy? Tam go rozłączą od żony i od dzieci; jakiż będzia los tych ostatnich? Sekretarz „Towarzystwa" [2] mógł mu z kasy dać tylko pięć szylingów; wystarczy to na... jeden tydzień. A potem?"...

„Michał W... [3], wychodźca z przed lat 22, były uczeń wszechnicy petersburskiej, dobrze urodzony i wychowany, ożeniony z Polką, również przyzwoicie wychowaną, do takiej doszedł nędzy, że z piwnicy, gdzie miał kąt jeden, wychodzić nie mógł dla braku odzienia. Był on kupcem, miał trzy sklepy w Londynie; przed dwoma laty ucierpiał znaczne straty i odtąd już coraz mu się gorzej wiodło, aż poręczywszy za przyjaciela pożyczkę, został przez niego zawiedziony, wpadł w szpony lichwiarzy i wyszedł z nich... honorowo, ale nagim. Żona mogłaby dawać lekcye gry na fortepianie, ale nie z piwnicy..."

---

[1] *Kraj* 10 (22) sierpnia 1886.

[2] E. Naganowski, a zatem sam korespondent.

[3] *Kraj* 10 (22) sierpnia 1886.

„W ostatnim czasie — opowiada w łaskawie udzielonych notatkach znajomy już nam misyonarz, O. Józef von Lassberg — poznałem znowu bardzo poczciwą i bardzo ubogą rodzinę z Poznańskiego. Biedacy ci zamierzali wywędrować do Ameryki i dostali się już nawet do jednego z amerykańskich portów. Tutaj zapytał ich komisarz rządowy, dokąd się zemierzają udać i wiele mają przy sobie pieniędzy. Na pierwsze pytanie nie wiedzieli, co odpowiedzieć; na drugie wiedzieli aż nadto dobrze: byli, rzec można, bez grosza. Komisarz stosownie do nowych rozporządzeń, nie pozwolił wylądować jak im, tak wielu ich towarzyszom i rodakom, którzy w tem samem znajdowali się położeniu, i odesłał wszystkich przymusowo, ale nie do Hamburga, zkąd byli odpłynęli, lecz do Liverpoolu. Tu wyrzucono ich na brzeg. Nikt z całej rodziny, składającej się z ojca, matki i dwojga drobnych dzieci, nie umiał ani słowa po angielsku; z nikim nie można się było rozmówić, kawałka suchego chleba nie było za co kupić. Kilka ubogich sprzętów, przysposobionych na amerykańską drogę, zawiniątko z najniezbędniejszem ubraniem, z bielizną, przeszły w najkrótszym czasie w ręce żyda, jako zastaw za kilka pożyczonych szylingów. Żona i dzieci pójść musiały do domu pracy; mąż, jak tylu innych, którzy napróżno gdzieindziej o kawałek chleba kołatali, znalazł nędzny zarobek w Winsford przy warzonkach soli, należących do p. X..., Niemca, pochodzącego z Gdańska. Pracowało tu ciężko przez wiele już lat z rzędu przeszło stu Polaków, bardzo źle płatnych, tulących się na noc w zimnych norach raczej, niż mieszkaniach. Nasz biedak dziękował jednak Bogu, że jakąś stałą dał mu znaleść robotę, a zapobiegliwością i oszczędnością doprowadził do tego, że niezadługo mógł do siebie sprowadzić żonę z dwoma starszemi dziećmi i trzeciem niemowlęciem, które na angielskiem wygnaniu na świat przyszło. Tymczasem z dniem 1 listopada 1888 roku warzonki w Winsford przeszły na własność londyńskiego „Związku solnego“, a zarząd związkowy wypędził bez miłosierdzia w połowie marca 1889 wszystkich bez wyjątku Polaków. Niektórzy udali się do Manchester i powpadali tu przeważnie

w ręce żydowskie; innych spotkał ten sam los w Liverpoolu; inni jeszcze wywędrowali do Szkocyi lub do Ameryki. Między wygnanymi znajdowała się naturalnie i nasza rodzina; szczęściem mozolną pracą zaoszczędzili oni sobie tyle pieniędzy, że mogły one im wystarczyć, jak się przynajmniej spodziewali, na powrót do rodzinnego kraju. Odtąd straciłem ich z oczu; nie wiem więc, co się z nimi stało, czy i gdzie uzyskali prawo pobytu, czy i gdzie znaleźli przytułek, pracę, zarobek?"

Smutne te obrazki przedstawiają wspólny los i życie trzech pokoleń w Anglii: z biedą walczących starców z listopadowego powstania, mężów w sile wieku z późniejszych wojen; rodzin całych, bezsilnych kobiet, dzieci z Prus wyrzuconych. Naturalnie przesadą byłoby twierdzić, że nikt z tego morza nędzy na wierzch nie wypływa, i że każdy Polak musi już tem samem z głodu w Anglii przymierać, jeśli nie umierać. Pewnej, co prawda stosunkowo szczupłej liczbie, dzieje się dość dobrze; nie wielu, bardzo niewielu nawet zupełnie dobrze. Szczęśliwych tych wybrańców fortuny spróbował przed trzema latami wyliczyć korespondent *Kraju* [1]. Znajdowali się wówczas, a więc i dziś z wyjątkiem może paru, których od tego czasu śmierć zabrała, z dodatkiem paru, którym szczęście tymczasem się uśmiechnęło, znajdują się w Anglii następni zamożni, znani i poważani Polacy:

Spirydyon Kliszczewski, pierwszy złotnik w Cardiff, weteran z 1831 roku. Kotyra i Iwicki, mechanicy, założyciele i właściciele — również w Cardiff — fabryki narzędzi matematycznych. Trębicki, właściciel jednej z największych fabryk tytoniu w Brystolu. Jan Figórski, żołnierz z kampanii węgierskiej, fabrykant szkatułek toaletowych, podróżnych i salonowych w Sheffieldzie. Tamże zajmuje Wład. Lisowski posadę zarządcy jednej z głównych rękodzielni nożowniczych, a pan Rejowski jest właścicielem wielkiego sklepu towarów kolonialnych. Wielki i pieniężny świat londyński zaopatruje się w futra u p. Nowakowskiego, fotografuje się u Walerego (hr. Ostro-

[1] *Kraj* 18 (30) września 1887 r. i nr. z 5 (17) sierpnia 1888.

roga), fryzuje się u p. Sobocińskiego. Leon i S-ka (Leon Kokociński), najpierwszy zakład optyczny i okulistyczny, zrujnował najstarsze firmy stołeczne. P. Gutowski wystawia w swem oknie perły i dyamenty bajecznej wartości; p. Gettlich ma fabrykę wyrobów bambusowych; p. Seweryn Wielobycki i Wiktor Jagielski, weterani z r. 1831, mają szeroką sławę w zawodzie lekarskim... Książe Michał Woroniecki założył w roku 1887 na wspólkę z p. Deutschmanem dom handlowo-przemysłowy, uskuteczniający wszelkie transakcye przemysłowe między Anglią a Rosyą i Królestwem. Książę, młody, pełen energii, tytułu swego nie używa, unika towarzystwa wielko-światowego, pracuje od rana do nocy w biurze agentury, sam chodzi za interesami firmy i klientów. W świecie artystycznym odznacza się Edward Geflowski, rzeźbiarz, którego dzieła zdobią pałace radżahów indyjskich i londyńskie pustelnie starych kawalerów wojskowych. P. Brodowski, fortepianista i p. Poznański, skrzypek, używają niemałego wzięcia. „Profesorów", t. j. guwernerów i umiejących się rozmówić kilkoma językami znajduje się kilkunastu, rozrzuconych przeważnie po prowincyi.

Jakie przeszedł przygody, jakie stoczył walki każdy z tych dzisiejszych wybrańców fortuny, jak długo Anglia była im macochą, zanim matką się stała? — jak długo, jak ciężko czekać było, zanim pierwszy jaśniejszy promyk przebił się przez gęstą mgłę angielską?

Wielki, ciekawy, nieraz bardzo pouczający tom złożyćby można z pewnością z opowiadań odpowiadających na te pytania. Dzisiejszy np. naczelny dyrektor angielskich kolei żelaznych w Indyach, Adam Biernacki, przybył do Anglii mniej więcej przed trzydziestu latami, obrał sobie inżynierski zawód, a choć niemałe okazywał zdolności i po angielsku wybornie się wyuczył, a co do energii i wytrwałości z każdym Anglikiem mógł iść o lepsze — trudno mu było jako cudzoziemcowi o dobrą, stałą posadę. Dla dopomożenia karyerze przedzierzgnął się więc pewnego pięknego poranku z Biernackiego w Thompsona, i odrazu szybszym krokiem stąpać począł po ścieżce, wiodącej do znaczenia i pieniędzy. Doszedłszy niemal

do jej szczytu, zmienił znów przed wyjazdem do Indyj Thompsona w Biernackiego, i jako taki króluje nad indyjskiemi kolejami. Doskonały ten „swojak“ wykształcił sześciu synów w Glazgowie; najstarszy dopomagał mu już przed paru laty w Lahore.

Innymi środkami poszedł rzutki, energiczny, umiejący, — jakby raczej amerykańska, niż słowiańska krew w nim płynęła — i pracę i spryt i humbug wprządz do swej służby, wspomniany już powyżej Leon Kokociński, rodem z Kępna w W. Księstwie Poznańskiem. „Chłopcem szesnastoletnim[1] wyjechał on do Ameryki; po latach piętnastu przybył do Londynu z majątkiem, zawierającym się w patentowanym wynalazku ulepszonych okularów. Minerał, dostarczający szkła, znalazł sam Kokociński w swych peregrynacyach na dalekim zachodzie; wynalazł ulepszoną procedurę szlifowania szkieł, a nadto nowego rodzaju oprawę okularów, łatwo dopasującą się do każdego nosa. Okulary te zyskały rozgłos wielki na wystawie indyjsko-kolonialnej, i odtąd zupełnie opanowały targ specyalny optyków stolicy. Roku 1887 firma Leon i S-ka widząc swój „interes“ optyczny bezpiecznie rozwinięty, zwróciła uwagę w innym kierunku; p. Kokociński zaznajomił się z indyjskim „doktorem“ Sequah, wynalazcą (w Ameryce) przesławnego lekarstwa, uzdrawiającego wszelkie choroby, niemoce, a nawet kalectwa; lekarstwo to znanem jest między dzikimi szczepami zachodu pod specyalną nazwą „stepowego kwiatka“. Nasz rodak sprowadził tedy „doktora“ do Anglii, kupił od niego patent na Europę, zawarł z nim kontrakt grubo płatny, mocą którego indyjski znachor przechadza się po ulicach miasta Portsmouth w kawalkacie autentycznych Indyan, i rwie zęby publicznie, bez honoraryum, a tak zręcznie, że, jak twierdzi p. Kokociński, nawet ludziska ze zdrowymi zębami dopraszają się operacyi. „Dwieście zębów na godzinę! — głoszą plakaty p. Leona — butelka „stepowego kwiatka“ zadarmo każdemu chrześcijaninowi!..“ Odstępując od dróg utartych, p. Leon reklamę

[1] *Kraj* 30 października (11 listopada) 1887.

zaczyna na prowincyi, a w Londynie ma laboratoryum, w którem pracuje około pół setki dziewczyn. Zapytałem go — opowiada wciąż znany nam Latarnik — co sam sądzi o cudownym leku? — „To samo — odpowiedział — co sądzą inni wynalazcy patentowanych pigułek i płynów o swoich artykułach: niema w nim nic szkodliwego; nie zabija on nikogo, a zysk daje „solidny“, bez kosztów dla wynalazcy“.

Bez nauki, bez amerykańskiej reklamy, która nam tu w Polsce do serca i przekonania jeszcze niekoniecznie trafia, lecz poprostu ciężką pracą rąk, sumiennością i oszczędnością doszło paru, może kilku rodaków naszych do jakiego takiego mienia. Oto wdzięczna sylwetka jednego z tych niewielu, co powinni byli dawno w nędzy utonąć, a jakby cudem na powierzchni się utrzymali [1].

„Przed kilku dniami przyszedł do mnie Ignacy Kuć. W lipcu zeszłego roku (zatem 1886 r.) wyświadczyłem mu był pewną pomoc; sądziłem przeto, że przyszedł w jednym z takichże interesów.

— No i cóż powiecie, panie Ignacy? — spytałem.

— Taj panie — rzecze — kobieta w Mińsku z dzieciskami jak ostała, tak ostała... pewnie i jeść czego nie ma. To ja ot przyniósł szelągi, coby je pan kobiecie posłał, że to jej trocha pomoże, a mnie bez niej na nic...

„Szelągów“ było pięćdziesiąt, czyli rubli 25 podług kursu; posłużyłem Kuciowi za sekretarza, bo on niepiśmienny, i doniosłem pani Ignacowej, że mąż pracuje przy kolei żelaznej, zarabia po ośm szylingów tygodniowo, ma nadzieję zarabiać więcej, i w tej nadziei widzi możność sprowadzenia jej do Anglii z dzieciskami. Kuć został wydalonym przez Prusaków z pod Inowrocławia, żona dostała się do rodziny w Mińsku, a on wędrując, dotarł do 8 szylingów tygodniowo w kompanii London-Chatham-Dover. Pod Innowrocławiem był kuśnierzem“.

Nieliczna jest garstka Polaków dobrze się mających; bardzo liczne powody pchają największą część wychodźców

[1] *Kraj* 12 (24) czerwca 1887.

w objęcia nędzy, a co niemniej smutna, ciągną, rzec można, wszystkich z siłą, której nie wielu tylko skutecznie oprzeć się jest w stanie, do wynarodowienia się, do przybrania angielskich nazwisk, zwyczajów, języka, nieraz anglikańskiej religii, lub gorszej od niej obojętności dla wszelkiej religii. Głównymi powodami, dla których prąd ten, z samej natury rzeczy aż z zbyt wielką siłą płynący, z silniejszą jakąś zaporą się nie spotyka, to najprzód smutny fakt, iż i tu, na dalekiej obczyźnie, Polak nie zawsze Polakowi bratem, — a zatem: brak łączności, rozdzielenie w różnych kierunkach i tak nader szczupłych sił, spory i rozterki, przypominające osłabionym echem dawne kastowe walki, rozdzierające emigracyę paryską; następnie nieprzychylne, często wręcz wrogie usposobienie Anglików dla wszystkich, którzy noszą obce nazwisko i zupełnie poprawnie po angielsku się nie wyrażają, w szczególności dla Polaków, o których krąży po dziennikach i broszurach, z parlamentarnych i nieparlamentarnych trybun, tyle krzywdzących wieści; wreszcie — *last but no least*, — brak polskich księży, utwierdzających we wierze, otrząsających i chroniących przed religijnemi i moralnemi niebezpieczeństwami; brak wszelkiej ochrony dla wiary i niewinności, dla przekonań i ideałów, z tylu trudnościami dotąd ustrzeżonych, z takiem nieraz heroicznem męstwem wyniesionych z ojczyzny.

Na brak łączności gorżko uskarżają się wszyscy, którym leży na sercu los polskiej kolonii w Anglii. „Są tego rozmaite przyczyny... Przedewszystkiem w łonie ogromnej większości Polaków nikną węzły rodzinne; rzadko który utrzymuje jakie stosunki z familią, pozostałą w ojczyźnie. Czy powodem tego jest opieszałość, czy ubóstwo tak smutne, że i na marki do listów nie starczy, czy wreszcie zobojętnienie, nie widzące, dlaczegoby krewnym i dalekim przyjaciołom przypominać się, dość że faktycznie niewielu słyszy głos swoich i niewielu też daje słyszeć o sobie. Następnie większość jest bezżenną, a mniejszość ożeniona z Angielkami; brak zaś kobiet polskich wpływa nadzwyczaj na ogólną apatyę niemal do wszystkiego, co powinno stanowić właściwe potrzeby kolonii. Robotnicy

spotykają się po szynkach, lecz pomijając już smutną okoliczność miejsca, wstydząc się używać publicznie swego języka, mówią między sobą po angielsku. Pism polskich nie czytują, o kraju nic nie wiedzą, zajmują ich tylko sprawy osobiste i miejscowe; te ostatnie pojmują i nad niemi rozumują w sposób najprostszy, opierając się na pojęciach, wyniesionych z własnych zaścianków. Wreszcie fakt trzeci jest bezwątpienia najgłówniejszą przyczyną rozstroju między Polakami: nieszczęsne krzykactwo, nawołujące do jakichś organizacyj, które z początku dużo obiecują, a w końcu — i to w końcu zawsze spiesznym — zostawiają po sobie więcej złego niż dobrego... Polak porządnie ubrany, a do tego mówiący spokojnie i do rzeczy, staje się odrazu „arystokratą“; „demokrata“ jednakże tak długo tylko używa pewnego zachowania, póki jest niezdarą: niech okaże nieco sprytu, lub niech tylko dobije się lepszego zarobku, okrzyczanym będzie za człeka podejrzanego — jeśli nie gorzej. W zamian — prawdziwi hołysze pozostają nietknięci. Naprzykład: człowiek notorycznie znany jako były towarzysz fałszerzy banknotów, sam fałszerz, który przesiedział pewną liczbę lat w więzieniach angielskich, głoszący, iż fałszował banknoty w intencyi patryotycznej, — został członkiem „Towarzystwa demokratycznego“; koledzy jego nie wiedzą zapewne, że były fałszerz jest od dziewięciu miesięcy agentem policyi, i że w tym charakterze był na początku tego roku (1888) wysłany do Szwajcaryi dla wytropienia nowej szajki fabrykantów“.

Choćbyśmy przyjęli, że piszący te słowa skreślił je w chwili zbyt słusznego oburzenia na paru Polaków, wstyd polskiemu imieniowi przynoszących, i że wskutek tego oburzenia, lub w ogóle może zbyt czarno patrzy na ludzi i rzeczy, — to zawsze jeszcze w ogólnych, niewątpliwie smutnej rzeczywistości odpowiadających zarysach, bardzo posępny to obraz. Towarzystwa, związki, kółka polskie, których głównie zadaniem z natury rzeczy łączyć rozprószone żywioły, „cieszyć się i leczyć!“, wolą niestety! a przynajmniej niektóre z nich, często i długo wolały „wzajem siebie smucić i kale-

czyć“. Tem to smutniejsze, że polskie te towarzystwa, to tak w Anglii, jak we Francyi, w Niemczech, w Ameryce, jak wszędzie, gdzie znaczniejsza liczba wychodźców się znajduje, jeden z najsilniejszych wałów obronnych przeciw zcudzoziemczeniu: że wielu jedynie z ich pomocą może się czegoś dowiedzieć o kraju, przypomnieć sobie choć od czasu do czasu, jak polska książka lub dziennik wygląda, jaki dźwięk wydaje polska mowa. Wielkie to i piękne zadanie, i nie należałoby go mącić przypominaniem, jak wygląda polska niezgoda; należałoby wzmacniać raczej i rozwijać dawne, niż tworzyć nowe, na śmierć zazwyczaj od urodzenia skazane kółka i kółeczka. Kółka te dla samej już zbyt szczupłej liczby członków, a tem samem zbyt szczupłych środków, nie mają racyi bytu, nic robić, w niczem nikomu pomódz nie mogą, a po pierwszej uczcie, czasem jeszcze po drugiej w pierwszą rocznicę założenia, żyć przestają, choć nikt nie umie oznaczyć właściwej chwili ich zgonu.

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

WŁODZIMIERZ SOŁOWIEW.

(Ciąg dalszy).

II.

Sołowiew zastał swój naród w chwili dziwnego podniecenia, prawie paroksyzmu uczucia narodowego, w chwili, kiedy idea Rosyi zaczynała zaprzątać wszystkie głowy, kiedy najprzeciwniejsze stronnictwa — i rząd i społeczeństwo, i stara partya Katkowa i młodzi słowianofile — w tę samą dmuchali surmę, prześcigając się nawzajem w gorliwości. Z intuicyą właściwą duchom przeznaczonym do głębszego wpływu na współczesnych, młody nasz myśliciel uchwycił się od razu tej idei — jako najpotężniejszego czynnika do działania na umysłowość swego narodu. Istotnie, około tej idei obracają się te wszystkie nawoływania Rosyi do unii i dowodzenia potrzeby katolicyzmu, które objąłem nazwą d o w o d ó w p s y c h o l o g i c z n y c h — ponieważ opierają się na psychicznym nastroju Rosyi.

Jak tylko mowa o idei Rosyi, tak już mimowolnie, i w nas budzą się narodowe nasze sądy i uczucia, i pisarza rosyjskiego posądzamy, że pod wpływem swego nacyonalizmu apoteozować musiał własny naród. Tym razem przekonamy się, że tak nie jest. Sołowiew, prawdziwie chrześcijański filozof, w idei narodowej nie upatruje celu — jak słowianofile i tylu innych, — ale środek do oświecenia swego narodu o religii. Nie daje się on porwać z drugimi, panującemu prądowi nacyonalizmu, ale staje

wysoko ponad nim, i usiłuje prostować jego kierunek. Co więcej, widząc w narodowej pysze i ekskluzywności swych rodaków największą przeszkodę do przyjęcia prawdy, którą im przynosi, uderza on nieustannie w te przywary, wytyka braki i ujemne strony u swoich, zwalcza i wyśmiewa samochwalcze utopie słowianofilów — z nierównie większą mocą i powagą, niżby ktokolwiek z nas obcych mógł to uczynić. Samą ideę wielkości i posłannictwa Rosyi, tak ponętną dla narodowych uczuć, zwraca on, zręcznie a prawdziwie, przeciwko panującej dziś ciasnocie narodowości. Jeśli gdzie sam ulega owej suggestyi nacyonalizmu, to nie w sądzie o rzeczywistości, tylko w marzeniach o przyszłości. A ważniejsze błędy, które będziemy musieli mu zarzucić pod końcem tej rozprawy, nic wspólnego nie mają z nacyonalizmem, i zkądinąd, jak zobaczymy, pochodzą, niż z narodowości rosyjskiej. To wszystko się wykaże z przeglądu głównych myśli Sołowiewa o tej kwestyi.

A najprzód: co jest narodowość — podług niego? Tyle się dziś mówi, pisze, rozprawia o narodowości — któż wglądnął w istotę rzeczy i z pochodnią filozoficznej myśli rozproszył nagromadzone ciemności i zawikłania? Pius IX, przeczuwając doniosłą rolę, jaką ta kwestya odegrać miała w świecie, już w 48 r. polecił jednemu z najdzielniejszych ówczesnych myślicieli, Jakóbowi Balmesowi, aby pisał o narodowości, i tę kwestyę rozjaśnił. Balmes umarł wkrótce, nie spełniwszy zaszczytnej misyi; ale podjął ją dzisiaj Sołowiew, — jak się z niej wywiązuje, zobaczymy.

Przedewszystkiem odróżnia on bardzo jasno n a r o d o w o ś ć — i n a c y o n a l i z m, prawdziwy patryotyzm — i patryotyzm fałszywy. Narodowość, to jest to piętno, fizyczne i duchowe zarazem, które pod ręką Opatrzności wyrobiły wieki w odłamie ludzkości, zwanym narodem, — „siła rdzenna“, objawiająca się samodzielnie, bez żadnego sztucznego rozdmuchiwania, we wszystkich, a zwłaszcza w najwybitniejszych tego narodu ludziach i płodach. Nacyonalizm przeciwnie „to umyślne, gorączkowe troszczenie się o narodową odrębność, podżeganie egoizmu narodowego. A to jest wręcz

przeciwne pierwszemu... Ludzie i narody bywają samoistnymi lecz uczynić się samoistnym — nikt nie może: sztuczna samoistność jest to po prostu sprzeczność, *contradictio in adjecto*". Göthe jest niewątpliwie typowym przedstawicielem narodowości niemieckiej, zwiastunem najwyższego objawu niemieckiej myśli, a jednak, aż zbyt obojętnym się okazywał na wszystkie niemieckie interesa; Schoppenhauer tak samo; a przecież oni więcej wywyższyli ducha niemieckiego, niż taki Menzel i inni germanofile. „W systemie ekonomicznym Adama Shmitha, i w teoryi biologicznej Darwina, charakter nacyonalny angielski najwybitniej się objawił; a jednak ani pierwszy nie myślał stworzyć ekonomii angielskiej, ani drugi angielskiej biologii. Gdyby Shmith i Darwin byli postrzegli, jak dalece ich narodowość wpływała na ich naukowe teorye, niezawodnie, jako prawdziwi i sumienni uczeni, w interesie prawdy naukowej, usiłowaliby się od tego wpływu uwolnić. I dobrzeby na tem wyszli: — właściwość nacyonalna byłaby pozostała, a jednostronności nacyonalne zostałyby uchylone: siłą swej nacyonalności byliby spostrzegli, i wyrobili lepiej jak nikt, wiadomą stronę swych przedmiotów, a nie byliby zamknęli oczu na wszystko inne; — Adam Shmith byłby dostrzegł w życiu społecznem inny jeszcze interes prócz wytwarzania bogactw, a Darwin w życiu natury byłby wykrył inny cel, oprócz walki o byt".

Ztąd patryotyzm, który uwielbia i uwielbiać każe wszystko co swoje, dlatego samego, że swoje — nie pytając się czy złe czy dobre, — jest fałszywy i zgubny, bo przecież nie wszystko co na gruncie narodowym wyrasta, jest prawdziwie dobre w sobie, i dobre dla narodu. Prawdziwy patryotyzm nie pyta czy swoje, — ale czy dobre, i to co dobre, stara się narodowi przyswoić. Ztąd, gdy fałszywy patryotyzm łączy się z pogardą rzeczy obcych, i nienawiścią ludzi obcoplemiennych, a w następstwie prowadzi naród do zasklepienia się w własnej treści, do potęgowania swych przywarów i niedostatków, i do zastoju cywilizacyjnego postępu, — prawdziwy patryotyzm nie zna ani tej pogardy, ani tej nienawiści obcych;

owszem, mając przedewszystkiem dobro swoich na sercu, szuka on badawczem okiem poza granicami wszelkich dodatnich zdobyczy ludzkości, wszystkiego, coby mogło własnemu narodowi pomyślności przysporzyć; a co u swoich jest niedobrego, co tamuje narodowy rozwój i postęp, nad tem prawdziwy patryotyzm boleje, jeśli tego naprawić nie może — i to już jest naprawy początkiem.

Ale żeby módz w ten sposób bezstronnie na rzeczy patrzyć, ocenić co w obcych jest dobrego, zrozumieć co ujemnego w nas samych, na to trzeba wyjść ze siebie i wysoko ponad miłością własną stanąć. I tu wprowadza Sołowiew wzniosłą a prawdziwą naukę o potrzebie z a p a r c i a s i ę, zarówno dla narodów, jak dla jednostek. W tem szerokiem znaczeniu rozumie on słowo Chrystusowe: *Kto chce być uczniem moim, niech zaprze siebie samego.* Egoizm nacyonalny jest równie zdrożny, zaślepiający i zgubny dla narodów, jak egoizm osobisty dla pojedyńczego człowieka. Sołowiew nie poprzestaje tu na ogólnikach, ale chłoszcze panujący dziś szowinizm rosyjski, zacietrzewiony w kulcie wszystkiego co „swoje". Cóż wydatniejszego na własnym naszym gruncie cerkiewnym wyrosło, pyta ich, jak roskoł starowierców? — a jednak uznajecie ten stan rzeczy za zły, i pragniecie zjednoczenia ich z cerkwią. Cóż samorodniejszego u nas, jak stare prawo *krepostnoje*, przykuwające chłopów do roli? jak nasze sądownictwo z przedpiotrowskich czasów? — a jednak przyklasnąć musieliście usamowolnieniu włościan, nowemu sądownictwu i innym reformom, w duchu i podług modły Zachodu zrobionym. Prawicie o rodzimych cywilizacyjnych zasobach, które nic nie zawdzięczają „zgniłemu Zachodowi", o narodowej filozofii, narodowej nauce, sztuce, literaturze, — a jednak widocznem jest, że co jest w Rosyi istotnej filozofii, co nauki, sztuki i literatury, z wyjątkiem może powieści, to wszystko z źródeł zachodnich płynie. Rosya zaczyna przynosić, jak inne ludy, swój przyczynek do powszechnej cywilizacyi, jak inne ludy wyciska na tych zdobyczach swe nacyonalne piętno; ale gdyby marzyć chciała o „rdzennie odrębnym cywilizacyjnym typie", niezależnym od pierwiastków

Zachodu, byłoby to fałszem i zgubą, cofnięciem się wstecz ku barbaryi.

Jakoż znajduje Sołowiew w historyi Rosyi wspaniałe przykłady owego zaparcia się nacyonalizmu, i pokazuje błogie skutki, które za każdym razem to zaparcie uwieńczyły.

Pierwszym krokiem do utworzenia Rosyi, musiało być zorganizowanie polityczne społeczeństwa, zbudowanie państwa. Nie czując w sobie potrzebnych do tego pierwiastków, Ruś nowogrodzka odważyła się obcych z północy zawezwać Waregów. Ci przybyli — i wielkie państwo kijowskie powstało. Wkrótce potem, przyjęcie chrystyanizmu ma ten sam charakter. „Jakżeż mam przyjąć obcą wiarę! — odpowiadał Światosław matce swej Oldze, gdy ta go do Chrztu namawiała — śmiałaby się ze mnie moja drużyna". To był nacyonalista — nie chciał nic obcego. Ale syn jego św. Włodzimierz popełnił tę zbrodnię przeciw narodowości, że wyrzekłszy się wiary i obyczajów ojców, przyjął religię od wrogiego narodu, i całą Ruś za sobą pociągnął, — a dziś sami słowianofile obchodzą tryumfalny jubileusz tego zdarzenia, ani myśląc o tem, jak ten postępek sprzeczny jest z ich zasadami.

W siedm wieków po św. Włodzimierzu, Rosya nie zdołała się samodzielnie ucywilizować, jest jeszcze krajem na w pół barbarzyńskim, wpośród sąsiadów znacznie wyżej ucywilizowanych. Potrzeba oświaty za czasów Piotra W. staje się główną narodu potrzebą. Piotr nie waha się sięgnąć po nią na Zachód: sprowadza majstrów i nauczycieli holendrów i niemców. I temu śmiałemu krokowi zawdzięcza Rosya — mimo rekryminacyj dzisiejszych szowinistów — całą swą pomyślność, — bez tego byłaby do dziś dnia barbarzyńską.

Ale dziś staje przed Rosyą jeszcze donioślejsze zadanie: „Obecny stopień narodowego rozwoju i narodowych potrzeb, wysuwa na pierwszy plan sprawę o wiele ważniejszą i wyższą od pierwiastku państwowego, i kultury świeckiej: sprawę ustroju kościelnego i kultury duchownej". Rosya przyjęła Chrzest za św. Włodzimierza, ale ten chrystyanizm, odcięty przez dłu-

gie wieki od wpływów świata zachodniego, zarażony zetknięciem się z Bizancyum, owocu nie przyniósł, — religijność żyje w duszy ludu, ale Cerkiew strupieszała. Potrzeba religijnego odrodzenia Cerkwi, jest dziś główną i gwałtowną potrzebą Rosyi, — i ta sama miłość ojczyzny, ten sam prawdziwy patryotyzm, który ongi kazał szukać u obcych pierwiastku upaństwowienia, a później światła nauki, dziś każe szukać zetknięcia z Kościołem zachodnim, a właściwie powszechnym, aby cerkiew ożywić i odrodzić.

Tę konkluzyę żywotną — do której zmierzały oczywiście poprzednie wywody, — uzasadnia nasz publicysta coraz nowymi, i coraz wymowniejszymi sposoby. Widzieliśmy przeszłą razą, jak przekonywująco ze stanowiska dogmatycznego dowodzi Boskiego ustanowienia prymatu Rzymskiego, jak historycznie przedstawia zbawienny jego wpływ w ciągu wieków na wiarę i życie kościelne. Ale najwymowniej wykazuje on te prawdy na żywym przykładzie samej Rosyi.

Odsłania on nędzę, niedostatek, martwotę tej biurokratycznej hierarchii cerkiewnej, zabójczy wpływ tego państwowego rządu nad religią, przytacza wyznania dygnitarzy kościelnych, przytacza Aksakowa, który palącemi słowy piętnuje „to dowodzenie więzieniem prawdziwości ortodoksyi“ — to „traktowanie Kościoła, jak wielkiej a niewiernej trzody, której pasterzem jest policya, batem spędzająca zabłąkane owce“. — Sołowiew jeszcze lepiej niż oni oświecony, wyżej ponad ciasnotą nacyonalizmu stojący, — nie tylko zło uznaje, ale aż do jego korzenia dochodzi — i lekarstwo wskazuje. Prawda, mówi on, źle się dzieje z cerkwią, jak twierdzicie, gorzej jeszcze niż się wam zdaje — ale t a k b y ć m u s i: to jest naturalne i konieczne następstwo każdego upaństwowienia i znacyonalizowania Kościoła. Jak tylko człon jakiś Kościoła przestanie być w żywotnym związku z Kościołem powszechnym, i zrobi się instytucyą narodową, w granicach pewnego państwa, natychmiast z konieczności rzeczy, pod najwyższą władzę tego państwa podpadnie, i wszystkim kolejom tejże władzy i kraju podlegać będzie. Jedyny sposób, by Kościół w różnych krajach zacho-

wał w obec państwa swą duchowną niezależność i autonomię, to jest, żeby miał swoją międzynarodową, powszechną kościelną władzę. Każdy Kościół miejscowy, który zrywa z tym centrem powszechności, nie wolność sobie zdobywa, ale w niewolę się oddaje, w niewolę świecką, najprzeciwniejszą duchowi i zadaniu Kościoła. „W r. 1885 urzędowy dokument państwa rosyjskiego[1] wypowiedział, że Kościół wschodni zrzekł się swego zwierzchnictwa i złożył je w ręce cara... To orzeczenie jest tylko wyrażeniem faktu dokonanego; o tem wątpić nie można, że Kościół wschodni abdykował istotnie na rzecz państwa. Kwestya tylko, czy miał prawo to uczynić — i czy, po takiej abdykacyi, ma jeszcze prawo nazywać się Kościołem Chrystusowym, kiedy Chrystus na innej podstawie swój Kościół zbudował?“

Jest więc ze wszech miar widocznem, że cerkiew rosyjska sama w sobie nie może znaleść zasobów życia i odrodzenia. — A dokądże się zwróci? Czy do Konstantynopola, z którym pozorny tylko jeszcze zachowuje związek? Ale i tam nic więcej nie znajdzie, tylko znowu narodowy Kościół grecki — i znowu niewolę świecką, która chwilowo mniej gnębi może, z powodu słabości Porty, ale która, od czasów cesarzów greckich, wycisnęła na tym Kościele niezatarte piętno służalstwa i świecczyzny.

A więc — wszystko do tego nagli — zwrócić się trzeba do Kościoła katolickiego, — który bądź co bądź żyje, i który charakter międzynarodowości i powszechności przechowuje — złożyć w tak żywotnej sprawie pychę i uprzedzenia nacyonalizmu, starać się choć poznać bliżej ten Kościół, — pozwolić przynajmniej dowiadywać się prawdy, dać wolność słowu i dyskusyi religijnej. Są wprawdzie polemiści rosyjscy, którzy głoszą zarzuty przeciw katolicyzmowi. Ale cóż ztąd za korzyść dla oświecenia sumień, kiedy słyszeć nie wolno przeciwnej strony, kiedy wyjaśnienia i odpowiedzi katolików są policyjnie zabronione?

I czegóż się boicie? — nastaje Sołowiew, — chyba sami

[1] „Prawidła egzaminów państwowych dla prawników“.

w cerkiew ruską nie wierzycie, jeżeli przypuszczacie, że wolna wymiana myśli z Zachodu ją zlatinizuje, rozłoży. Nie byli tak małodusznymi ci, co zawezwali panów normandzkich; więcej wierzył w żywotność Rosyi Piotr W., gdy sprowadzał mistrzów holenderskich. I w obu razach patryotyzm ten okazał się prawdziwym: ani jedni ani drudzy przybysze nie pochłonęli naszej narodowości, ale obce siły posłużyły do wytworzenia państwa rosyjskiego i rosyjskiej cywilizacyi. Nie bądźcie małodusznymi, wierzcie we wnętrzną siłę Rosyi, wierzcie w prawdę tkwiącą w cerkwi, nie gnębcie ich pod brutalnym korcem! dajcie światła, powietrza, wolnej myśli! „Mamy u siebie dobre ziarno prawd ewangielicznych, mamy dobrą glebę w religijnej duszy ludu ruskiego; ale bez świeżego powietrza, bez ciągłego dopływu światła i ciepła, bez rannych i wieczornych dżdżów, najlepsze nasiona, na najlepszej glebie, nic dobrego nie wydadzą".

To wykazywanie niedostatków i martwoty cerkwi, nie jest przecież jedyną psychologiczną bronią w arsenale Sołowiewa. Jako psycholog, wie on dobrze, że trzeba błędy wytykać, że zawstydzenie się jest początkiem poprawy, ale wie także, że trzeba i otuchy dodawać, podnosić. I dlatego nie omieszkuje mówić często o sile żywotnej Rosyi, o jej zdolności do spełnienia wielkich rzeczy. Mając wiele do zarzucenia teraźniejszości, chętnie ku przyszłości zwraca oczy i w niej okazuje ideał.

Idea Rosyi, misya Rosyi — słowo to wymyślili słowianofile. Odbija się ono wdzięcznem echem w duszach rosyjskich, powtarza się z ust do ust, jak hasło bojowe. Każdy je rozumie jak chce, podkłada pod nie co mu prawdziwy lub fałszywy patryotyzm dyktuje; w ogóle jednak, wyraża się w tem słowie jakaś nieokreślona aspiracya do potęgi materyalnej bez granic, do wchłonienia jednych, a pogromienia drugich sąsiadów, do jakiejś cywilizacyi bez przymieszek Zachodu. Sołowiew, oceniając psychologiczną siłę tego hasła, chwyta je, przypatruje mu się w świetle najwyższych chrześcijańskich zasad, daje mu po raz pierwszy określone, a głębsze znaczenie: i w tej chwili idea Rosyi staje się w jego rękach narzędziem

do jego idei — do katolicyzmu Rosyi. A nie jest to wcale, jakby można myśleć, dyalektyczna sztuka; jest to szczery, logiczny, i aż do pewnego stopnia przedmiotowy rozwój tej kwestyi, w świetle wiary i filozofii.

Czem jest idea Rosya, wykłada nam Sołowiew w dwóch partyach: najprzód, w broszurze *L'Idée Russe*, kreśli niby jej kontur. „Idea pewnego narodu, — mówi on wzniośle, — to nie jest co ten naród myśli o sobie w czasie, ale co o nim Bóg myśli w wieczności". Jeśli zechcemy opinię Rosyi pytać o jej zadaniu, usłyszymy o zaborze Konstantynopola, o wolności krajów bałkańskich, — otrzymamy odpowiedzi sprzeczne, błache, materyalistyczne, niegodne ani Boga, ani wielkiego narodu. Ale myśl Bożą, aż do pewnych granic, w prawach rządzących jego działami wyczytywać możemy.

Ludzkość jest widocznie jednym organizmem — do tego wniosku i wiara i filozofia i nauka prowadzą — narody więc są organami jednego wielkiego ciała, a zadaniem ich, ideą ich jest: wysługiwać się, sposobem każdemu właściwym, powszechnemu dobru ludzkości. Cel narodu w sobie zamknięty, przeznaczenie do służenia sobie samemu, jest absurdem, który z myślą Bożą nic wspólnego mieć nie może. Pamiętać jednak trzeba, że ludzkość jest organizmem nie fizycznym, ale moralnym, jest uspołecznieniem; zadania więc pojedyńczych narodów nie narzucają im się jak fizyczna konieczność, ale jako moralny obowiązek, który można spełnić lub zaniechać. Wszelako pełnienie danej sobie misyi jest warunkiem pomyślności narodu, a sprzeniewierzenie się jej, pociąga nieuchronnie za sobą jego odrzucenie przez Opatrzność i zgubę; — co stwierdza historya, jak autor w kilku rysach wskazuje. Przed chrystyanizmem, narody nie miały faktycznie prawie żadnej spójni, ciało ludzkości było rozczłonkowane; ale z Chrystusem, jedność rodu ludzkiego urzeczywistniła się w Kościele jednym i powszechnym. Odtąd zadaniem, misyą, ideą każdego narodu chrześcijańskiego jest: przyczynić się na swój sposób, w harmonii z innymi narodami, *ku budowaniu ciała Chrystusowego, aż do miary zupełności*

jego[1] — tj. aż do urzeczywistnienia pełni chrystyanizmu w życiu społecznem całej ludzkości.

Ztąd wypływa, że i Rosyi zadanie takiem być musi. Nie wytyka jej przez to jeszcze Sołowiew misyi indywidualnej; każdy naród chrześcijański ma orzeczoną misyę; stawiając jednak te pewniki, z nauki Chrystusowej wzięte, zakreśla autor Rosyi, co jest w jej zadaniu najpewniejszego, a o czem ona najskłonniejsza jest zapomnieć, w czem najwięcej ją uwodzą fałszywi jej prorocy. I już z tych ogólnych, ale stanowczych zarysów, wyprowadza Sołowiew praktyczne wnioski dla postępowania Rosyi: że pochłanianie innych narodów nie może być opatrznościowem jej posłannictwem, — że chcąc spełnić swą misyę dziejową, musi ona wprzódy pogodzić się z bratem, polskim narodem, którego krzywdzi i ciemięży, — że nadewszystko wyzbyć się musi swej ciasnej, nacyonalnej i państwowej religii. Rosya czuje głęboko, że jej misya jest religijną, ale pod wpływem swych pochlebców i fałszywych proroków, wystawia ona sobie, że chrystyanizm jest właściwością jej narodowości, że Kościół Chrystusowy zamknięty w jej państwowych granicach. I w ten sposób, idea chrześcijańska, która zstąpiła na świat, aby narody jednoczyć, przeobraziła się w Rosyi w nowy czynnik separatyzmu i antagonizmu względem innych narodów. Sołowiew pokazuje fałsz i niedorzeczność tego poglądu, i dowodzi, że Rosya w żaden sposób swej Bożej misyi spełnić nie może, dopóki i w tem nacyonalizmu nie wyzuje, i z powszechnym Kościołem się nie złączy.

Póty wszystko jasne, uzasadnione i pewne. Autor idzie jeszcze dalej, i w ostatniem swem dziele: *la Russie et l'Eglise universelle*, próbuje jeszcze bliżej określić opatrznościową misyę Rosyi, i oznaczyć, co ją indywidualnie odróżnia w planie Bożym od misyj innych narodów. Oto jego myśl: Pierwszą próbę chrześciśijańskiego państwa, czyli wprowadzenia chrystyanizmu w życie publiczne uczynił pierwszy cesarz ochrzczony Konstantyn. Ta próba nie udała się zgoła: religia Chrystusowa uświęcała dusze w Caro-

[1] Efez. IV, 12.

grodzie, napełniała pustelnie, ale w życie publiczne nie wpłynęła wcale, państwo zostało pogańskiem; cesarstwo zajmowało prawie zawsze stanowisko wrogie, nawet dla czystości dogmatu, i w końcu doprowadziło do schyzmy i zamarcia. Drugą próbą w tym kierunku było cesarstwo Karola Wielkiego. To już nierównie więcej dokazało: pierwsi monarchowie czuli się synami Kościoła i narzędziami królestwa Chrystusowego; i oni i episkopat zachodni czynili szlachetne wysiłki, aby zbliżyć życie publiczne i państwo do ideału chrześcijańskiego; podczas kiedy sobory wschodnie, zajmowały się wyłącznie kwestyami dogmatu i sporami hierarhicznymi, a po schizmie już żadnych soborów nie było, na Zachodzie pod Karlowingami mnożą się synody, pracujące nad poprawą obyczajów, ulepszeniem praw, ukróceniem wojen domowych; — wyrabia się wielka idea rzeczypospolitej chrześcijańskiej. Rezultaty jednak w małej części tylko odpowiadają tym wysileniom: cesarzowie i królowie, nawet tacy jak Karol W. i św. Ludwik, bardzo niedokładne mają o państwie chrześcijańskiem pojęcie, a wnet potem następują tacy, jak Henryk IV i Filip Piękny, którzy swą przewrotną polityką i wojną z Papiestwem ścielą drogę reformacyi, i usprawiedliwiają rewolucyę francuską. W najnowszych czasach, spróbowała Europa ukonstytuować się w odosobionych państwach, na zasadach czysto racyonalistycznych; ideę rzeczypospolitej chrześcijańskiej zastąpiła fikcyą równowagi europejskiej; — patrzymy na skutki tej roboty: militaryzm wszystko pochłaniający, antagonizm między narodami, jakiego od pogańskich czasów nie widziano, obniżenie moralnego poziomu... Aż nadto dowodów, że uspołecznienie poza zasadą chrześcijańską jest niemożliwe, że potrzeba nam gwałtem państwa chrześcijańskiego. — Gdzież jest w świecie chrześcijańskim naród, któryby mógł podjąć to zadanie, wznowić szczęśliwiej przedsięwzięcie Konstantyna i Karola W.?

„Charakter głęboko religijny, a oraz monarchiczny ludu rosyjskiego, kilka proroczych wypadków w jego historyi, olbrzymia a zwarta masa jego państwa, (położenie jego geograficzne między Wschodem a Zachodem), wielka siła utajona

jego narodowego ducha, w przeciwstawieniu do ubóstwa i próżni obecnej jego egzystencyi — to wszystko, mówi Sołowiew, zdaje się wskazywać, że przeznaczeniem dziejowem Rosyi jest: dostarczyć Kościołowi powszechnemu moc polityczną, której on potrzebuje dla zbawienia i odrodzenia Europy i świata“[1].

Tu już wyszliśmy z terenu faktów i dowodów, i wchodzimy w sferę konjektury. Nie każdy z nas oczywiście da się tu poprowadzić za rękę p. Sołowiewowi; powiemy mu, że tym razem i on podlegać się zdaje nieco temu czarowi nacyonalizmu, przeciw któremu drugich przestrzega, i w tem mamiącem świetle widzi motywa swej konjektury; upatruje on „kilka wypadków proroczych“ w historyi Rosyi, które zdają mu się taką misyę zapowiadać, — a nie postrzega mnóstwa wypadków w tejże historyi, które wydają się przeciwnie przemawiać: wróży z położenia geograficznego Rosyi — a nie zwraca uwagi, że przed parą wieków, Polska jeszcze wybitniej zajmowała takie środkowe położenie między Wschodem i Zachodem, i że wielcy jej królowie, jak Batory i Władysław IV, brali z tego asumpt do podobnie wzniosłych i szerokich planów[2] — a jednak... na czem się te plany skończyły! Kładzie nacisk Sołowiew na charakter religijny swego ludu, na utajoną w nim ogromną siłę narodową — ale gdyby wziąść te słowa na taki pytel analizy, przez jaki on przeprowadza hasła słowianofilów[3], straciłyby one zapewne trzy ćwierci z podkładanego im znaczenia; pokazałoby się też może, że ten element przedstawiający narodową siłę i religijność rosyjską, który autor chętnie liczy na 110 milionów, sprowadza się w rzeczywistości do mniejszej liczby, niż jest np. katolików we Francyi lub w Austryi...

Ale pocóż polemizować z konjekturą? Skoro autor mówi

---

[1] W przedmowie książki *la Russie et l'église universelle*. Wzmianka o położeniu geograficznem nie znajduje się tam, ale kiedy indziej Sołowiew o niej wspomniał.

[2] Por. art. „Wojenne plany Batorego“ p. ks. Załęskiego. *Przegląd Powsz.* 1884, lipiec.

[3] N. p. w świeżym art. „Szkice z narodowych przekonań ros.“ w *Wiestniku Jewr.* wybornie analizuje „wolność życia“, jakiej oni dla narodu żądają, — i pokazuje, że się w tem nic zgoła nie zawiera.

wyraźnie, że przytoczone motywa nie bierze za dowody, ale za względy, które zdają mu się wskazywać wielką misyę dla Rosyi, nie można mu mieć za złe, że snuje sobie te przypuszczenia podług serca rosyjskiego, i stara się tym szerokim ideałem, odciągnąć swych rodaków od ciasnoty ich partykularyzmu w religii i w polityce.

Powstaje tu wszakże pytanie: jak Sołowiew wyobraża sobie ten ideał wielkiego państwa chrześcijańskiego pod hegemonią Rosyi? Czy w myśl dzisiejszych panslawistów, jako zlanie i stopienie wszystkich nacyonalności w narodowości rosyjskiej, pod jednym absolutnym caratem? — o tem ani myśleć; nikt lepiej od niego nie pojmuje, nikt goręcej nie broni znaczenia i prawa bytu odrębnych narodowości, jako członów w organizmie ludzkości — on nie chce zlania, zgnębienia, tylko organicznego połączenia w jakąś doskonalszą jedność, niż średniowieczna rzeczpospolita chrześcijańska. Ale jak sobie wystawia jej możliwy ustrój polityczny? W tem nie tłómaczy się jasno, i może nie ma o tem jasnego poglądu. Z jednej strony wyjawia on niejednokrotnie przekonania monarchiczne, w monarchicznym charakterze ludu rosyjskiego widzi jedną ze wskazówek jego przeznaczenia do urzeczywistnienia państwa chrześcijańskiego. To daje do myślenia, że jego ideałem jest jakaś federacya narodowych monarchij pod chrześcijańskim cesarzem, który byłby podobnie, lecz trwalej i szczerzej, niż w średnich wiekach, obrońcą i, obok Papieża, ramieniem Kościoła. Jakie środki mogłyby ochronić takie cesarstwo od prędkiej degeneracyi i antagonizmu z duchowną głową chrześcijaństwa, w jakie popadło cesarstwo Karlowingów — o tem autor nic nie mówi.

Z drugiej strony, tak się nieraz wyraża Sołowiew, jak gdyby wogóle państwo i państwowość wykluczał z swego ideału. „Państwo, — pisał on temu parę miesięcy, — jest to przymusowo utrzymywany stan równowagi jednostkowych sił społecznych, w granicach historycznie wytworzonej narodowej grupy. Dla moralnego poczucia, taki stan siłą narzucony może być tylko złem koniecznem... W społecznym ideale i celu dziejowego życia, niema wcale miejsca dla państwo-

wości i polityki“ [1]. A choć autor w tym samym miejscu dodaje, że w obecnym stanie społeczeństwa potrzebne jest państwo, jednak spodziewać się on musi bardzo rychłego dojścia ludzkości do idealnego stanu bezpaństwowości, kiedy w liście otwartym do Redakcyi *Przeglądu Polskiego* napisał: „Polska, przestając być państwem osobnem i dla siebie, wyprzedziła tylko o wiek lub półtora wieku wszystkie inne narody chrześcijańskie. W ten sposób naród polski, choć nie był narodem-mesyaszem, jak marzyli jego wieszcze, został jednak narodem-prorokiem. Tracąc fałszywą jedność odrębnego i samolubnego bytu politycznego, uprzedził on pierwszy idealną przyszłość całej ludzkości“ [1]. Wiek już mija od rozbioru Polski: — idealna więc przyszłość jest już bardzo bliską, w oczach Sołowiewa.

Pogodzić zupełnie tych poglądów nie możemy. Zapewnie nam jakieś dane brakują, bo zwykle pomysły Sołowiewa organicznie bywają zbudowane. Zarzucić mu jednak musimy, że zbyt kategorycznie wypowiada swe konjektury, nie troszcząc się ani o takie ich uzasadnienie, jakiego się od konjektur wymaga, — i widocznie, nie zdając sobie nawet sprawy, jak dalece te poglądy są dla nas, zwykłych śmiertelników, obce, na wiatr rzucane. My wcale nie wiemy np., czy idealne czasy jednego pasterza i jednej owczarni przyjdą za kilkadziesiąt lat, czy za kilkaset wieków — to ostatnie nam jeszcze prawdopodobniejszem się wydaje niż pierwsze. — Kiedy więc autor z obecnego położenia Rosyi wnioskuje o jej powołaniu do urzeczywistnienia tej wszechświatowej owczarni, to przy najlepszej woli, nie możemy się przejąć tą logiką. A kiedy nadto nas Polaków pociesza po utracie niepodległości tą uwagą, żeśmy tylko wyprzedzili inne narody w osiągnięciu ideału, to musielibyśmy to wziąść za ironię, jak mówi pan Tarnowski, gdybyśmy zkądinąd nie znali szczerości i prawości p. Sołowiewa. Naszem zdaniem, te gołosłowne konjektury i filozofumena, które nasz autor, w najnowszych zwłaszcza publikacyach, roz-

[1] *Przegląd Polski.* Listopad, 1889.

rzuca między najlepszymi wywodami swymi, ujmują tylko powadze i jasności tych ostatnich.

Dodać przecież trzeba, że nawet wśród tych marzeń fantastycznych o przyszłości swego narodu, Sołowiew prostuje zawsze swe zapatrywania chrześcijańską zasadą. Cokolwiek mówi o idei świętej Rosyi, nie uważa jednak tej misyi — wyraźnie to zastrzega — za fatalną konieczność, nie twierdzi — jak filozofowie pangermanizmu — że wszystko przed tą koniecznością dziejową ugiąć się musi, i że wszelkie drogi są dla niej dobre; ale uważa ją za Boże posłannictwo, które spełni się przez Rosyę, jeśli Rosya zechce się do niego moralnie uzdolnić, — t. j. jeśli zostanie katolicką; jeżeli zaś Rosya wyłamie się własnowolnie z zamiarów Bożych, to będzie odrzuconą, i ta sama misya — według stałego Opatrzności prawa — obróci się na jej zgubę. Gdzieś nawet nasz autor dał do zrozumienia, że upatruje w państwie chińskiem elementarną siłę, która wezwaną być może przez Opatrzność dla zgnębienia Rosyi, gdyby ta wyłamała się z zamiarów Bożych, i do powszechnego Kościoła powrócić nie chciała.

Więc koniec końcem: powrót do Kościoła, nawrócenie do katolicyzmu, — do tego wszystko u Sołowiewa nawołuje rodaków — od dogmatycznych rozpraw, aż do marzeń o idei Rosyi — każda kartka z pod jego pióra wyszła gorącemi słowy to powtarza. Jakżeż on tedy pojmuje to nawrócenie?

Sołowiew używa często, mówiąc o katolicyzmie pewnych mniej określonych zwrotów: zamiast powiedzieć: Kościół katolicki, mówi zwykle: Kościół powszechny — jak w tytule swego ostatniego dzieła; zamiast słowa: Papież rzymski, używa zwykle nazwy: najwyższy kapłan, pasterz powszechny; prawosławia nie nazywa schyzmą, owszem podnosi przy każdej sposobności prawdziwość nauki Cerkwi i świętość wiary ludu. Ztąd niektórym się wydało, że on nie przyjmuje katolicyzmu bezwarunkowo, katolicyzmu *sans phrases*, tylko myśli o jakiejś tranzakcyi między Cerkwią a Kościołem, podobnie jak myśleli w Anglii Puzeiści. Wszelako treść jego pism wykazuje jak na

dłoni, że nic podobnego nie ma w jego myśli. Wspomniane sposoby mówienia, są tylko eufemizmami, jakich używa, by nie odstręczać odrazu Rosyan, których zawsze ma w swych dziełach na oku, a którzy — trzeba o tem pamiętać — zakorzenione mają od tylu wieków najgorsze przeciw katolicyzmowi uprzedzenia. Czy można mu brać za złe tę oględność? Wszak i św. Piotr, w swem pierwszem kazaniu do Żydów, nie mowi zaraz o Bóstwie Chrystusa, ale nazywa go „mężem od Boga wsławionym cudami i znakami,... o którym Dawid przepowiadał“ [1]. I św Paweł, przemawiając do Ateńczyków w Areopagu, nie mówi im z góry, że są poganami, że muszą palić co czcili, ale chwali ich wrodzoną pobożność, Boga nazywa nieokreśloną filozoficzną nazwą τὸ θεῖον, wynajduje u nich ołtarz *ignoto deo*, który śmiało do prawdziwego Boga odnosi, i wyszuje w ich literaturze cytat, któremu chrześcijańskie znaczenie poddaje [2]. Tej samej apostolskiej taktyki używa Sołowiew względem prawosławnych; ale swoją drogą, wszystkie błędy schyzmy bez ogródki zwalcza, nauki Kościoła katolickiego broni, najdokładniej i najenergiczniej stwierdza prymat i nieomylność papieską, pochodzenie Ducha św. od Syna, Niepokalane Poczęcie, i wszystko, czemu wschodnia teologia zaprzecza.

Niema więc żadnej wątpliwości, że Sołowiew uznaje katolicyzm czysto i bezwarunkowo. Atoli nie zupełnie uznaje on, żeby Rosya była w schyzmie. To potrzebuje pewnego wytłómaczenia.

Według nauki prawowiernej Kościoła wschodniego, te tylko dogmata należą ściśle do wiary, które orzeczone zostały w siedmiu pierwszych soborach — gdyż od chwili rozerwania Kościołów niemożebny jest, ich zdaniem, sobór ekumeniczny, a dogmatycznej powagi papieży od tegoż czasu nie uznają. Zatem idzie, że doktryny, w których się różnią od katolików: przeczenie prymatu i nieomylności papieskiej, pochodzenie Ducha św. wyłącznie od Ojca itp., nie są, podług ich własnych

[1] Dzieje Ap. II. 22—25. [2] Dzieje Ap. XVII. 23—29.

zasad, dogmatami, ale opiniami, nie są nauką Cerkwi, ale nauką szkoły teologicznej: ponieważ te kwestye powstały już po 7-ym soborze, i żaden sobór ekumeniczny nie rozstrzygnął ich przeciw katolikom rzymskim. Hierarchia cerkiewna, która ma w duszy nienawiść schyzmatyką do Kościoła zachodniego, która ma przed oczyma znaki żywotności tego Kościoła i dowody jego praw zwierzchniczych, — ta jest schyzmatycką. To samo powiedzieć trzeba o wielkiej części inteligencyi rosyjskiej. Ale lud jest obcy tym sporom szkolnym, nic o nich nie wie, on ma tylko zdrową wiarę, określoną w pierwszych 7 soborach; dogmatów później orzeczonych on nie przeczy, i to przeczenie nie należy w żaden sposób do jego wyznania; owszem, on i te ostatnie dogmata wyznaje w swych obrzędach i nabożeństwach: — bo, jak Sołowiew, a przed nim O. Martinow wykazali, te wszystkie artykuły wiary znajdują się wyrażone w liturgii wschodniej. Lud więc rosyjski należy do duszy Kościoła katolickiego, bo ma prawdziwą wiarę, i łaskę Bożą czerpie z prawdziwych sakramentów. Co więcej, on należy częściowo i do ciała Kościoła, gdyż należenie do tego ciała zasadza się na trzech warunkach: na wyznawaniu Chrystusowej nauki, uczęszczaniu do sakramentów od Chrystusa danych, i podleganiu kościelnej hierarchii pod zwierzchnictwem Stolicy Piotrowej; otóż dwa pierwsze z tych warunków lud rosyjski posiada w zupełności — brak mu tylko ostatniego o tyle, że hierarchia przez niego uznawana nie podlega Głowie Kościoła.

Nawrócenie więc do katolicyzmu dla Rosyi nie jest porzuceniem jednej wiary, by przejść do drugiej, ale tylko lepszem uświadomieniem sobie tego, co się w wyznawanych już dogmatach logicznie zawiera, czemu się w liturgii od wieków cześć oddaje, pojednaniem się z tą hierachiczną Głową, której się, wbrew wyznawanym zasadom, uległość wypowiedziało.

Z tego punktu widzenia wnosi też Sołowiew, że mu wolno osobiście pozostawać formalnie w cerkwi prawosławnej, jakkolwiek przekonanym jest katolikiem, i sakramenta w cerkwi przyjmować. Nie jest to żadnem tajeniem się, żadną dwulicowością, ale tylko zajęciem wyjątkowego stanowiska, w obec

Cerkwi przynajmniej bardzo silnego. Od Cerkwi, — mówi on — nie odłączam się, i Cerkiew mię wykluczyć nie może, bo wyznaję, i czynię wszystko, co do prawowiernej nauki cerkiewnej należy — odrzucam tylko ich szkolne zdania. Z drugiej strony nic mię nie dzieli od Kościoła katolickiego, bo we wszystko co on każe wierzę; formalność zaś abjuracyi uważam za niepotrzebną, kiedy każde moje pismo i każde wystąpienie jest otwartem wyznaniem całej prawdy katolickiej, a potępieniem błędów schyzmatyckich.

Kiedy w rozmowie z nim, usiłowałem zwalczyć ten sposób widzenia co do jego osoby, odpowiedział mi, że nie upierałby się przy własnem zdaniu w takiej rzeczy, gdyby wszyscy jego przyjaciele katolicy zgodnie je potępiali, ale trzyma się go, ponieważ kilku nawet dygnitarzy kościelnych, których się radził, pochwaliło jego postępowanie. Co do sakramentów, jest on historycznie przekonany o ważności kapłaństwa w cerkwi — i temu przyświadcza praktyka Kościoła: nie wyświęcania na nowo władyków i księży wschodnich, nawracających się do katolicyzmu. Zatem idzie, że i inne sakramenta w Cerkwi ważnie się udzielają; szczególna tylko trudność zachodzi co do sakramentu Pokuty, który oprócz charakteru kapłańskiego, wymaga kościelnej jurysdykcyi, a tej, według utartych pojęć, pozbawieni są wszyscy od Kościoła odłączeni. Jednakowoż, uczony kardynał Albitius twierdzi, że to odebranie jurysdykcyi nie odnosi się w zamiarze Kościoła do schyzmatyków wschodnich, i że ci uważani być mają jako *excommunicati tolerati*, a więc nie pozbawieni jurysdykcyi, która do ich stolic od początku przywiązaną była. Tak samo uczył w Rzymie nie dawno zgasły sławny kanonista, później kardynał Tarquini T. J., jak słyszałem od jego ucznia. Wreszcie znalazłem świeżo w III tomie Dyaryusza ks. Wielewickiego tę ciekawą wiadomość, że r. 1613 ks. Sawicki T. J., towarzysząc Wołuckiemu, biskupowi łuckiemu, w poselstwie do Papieża, otrzymał w Rzymie, *per theologos Romanos*, rozstrzygnięcie kilku kwestyj sumienia o obowiązkach synów rodzin schyzmatyckich, którzy w sekrecie przed rodzicami katolicyzm przyjmo-

wali. Otóż te rozstrzygnięcia, które Wielewicki przytacza *in extenso*, pozwalają w pewnych okolicznościach tym tajnie nawróconym, spowiadać się i komunikować u schyzmatyków — suponują więc u tychże jurysdykcyę i ważność spowiedzi [1]. Nie do mnie oczywiście należy rozstrzygnąć tak doniosłe i trudne zagadnienie; chcę tylko zaznaczyć, że Sołowiew przekonany jest w sumieniu o prawidłowości swego wyjątkowego stanowiska, i że to przekonanie nie jest pozbawione wszelkiego punktu oparcia. Sądzę też, że Sołowiew uważa swe położenie za tymczasowe, bo subjektywnie nie wątpi o bardzo bliskim nawróceniu Rosyi, chociaż przedmiotowo tej nadziei uzasadnić nie może. Z drugiej strony to stanowisko jest oczywiście bardzo ważnem dla jego idei. Gdyby przeszedł na katolicyzm, straciłby nietylko wstęp do Rosyi, ale i przystęp do duszy narodu; najmniejszej nie zwracanoby już uwagi na to coby pisał. Teraz zaś, stawia się między nimi jako prawdziwy prawosławny, a jednak katolik; Cerkiew go nie wyklucza, i prawnie wykluczyć nie może, choć on wyznaje swą wiarę w prymat i nieomylność papieską. I tak faktem wszem w obec dowodzi, że katolicyzm nie sprzeciwia się istotnemu prawosławiu.

Na sam koniec tego studyum o Włodzimierzu Sołowiewie, zostawiliśmy rozbiór jego filozofii dogmatu, zapowiedzianej już w planie „Historyi Teokracyi", a skreślonej — zapewnie w skróceniu — w 3-ciej części jego dzieła: *La Russie et l'Eglise Universelle*. Jest to najmniej przyjemna część naszego zadania, raz dlatego, że wkraczamy w sferę trudnych filozoficznych i teologicznych zagadnień, gdzie nie łatwo czytelnika za rękę prowadzić; a podrugie, że autorowi, dla którego mamy wielką cześć, i w którym dotąd same niemal spotykaliśmy zalety, tu musimy twardo oponować. Ale darmo! jestto powinnością naszego pisma rozprawić się z takim myślicielem jak Sołowiew — i bez tego niniejsze studyum byłoby jednostronnem.

(Dok. nąst.)

Ks. Maryan Morawski.

[1] Wielewicki. *Historicum diarium domus professae S. J. Cracoviensis.* T. III, str. 101.

DZIAŁALNOŚĆ GRZEGORZA W.

WE WŁOSZECH.

W tysiąc trzechsetletnią rocznicę jego wstąpienia na Stolicę Apostolską

(590 — 3 września — 1890).

Dei consul.....
mercedem operum iam sine fine tenes.
Z Epitaf. Grzeg. I. W. w Lib. Pont. ed. Duchesne fasc. 4, p. 314.

Około świąt Wielkanocnych przeszłego roku utworzył się w Rzymie komitet pod prezydencyą kardynała-wikarego J. Św. *L. M. Parocchi*, mający na celu uroczysty obchód 1300-letniej rocznicy wstąpienia na tron papieski Grzegorza Wielkiego (3 września 590; umarł 12 marca 604 r). Obchód ten odbyć się ma, tak w bazylice watykańskiej św. Piotra, gdzie święte zwłoki wielkego Papieża złożone są naprzeciw zakrystyi „ante secretarium", jak i w innych pomniejszych, z pamięcią Grzegorza związanych, np. w opustoszałej dziś nieco jego świątyni na *Monte Celio*. W skład głównej komisyi dwóch tylko weszło duchownych: *Leopold Zelli*, benedyktyński opat św. Pawła za murami [1], i *Albert Gibelli*, również opat Kamedułów św. An-

---

[1] Sławny ród patrycyuszów rzymskich *Anicyuszów* — dziś podobno hr. *Conti* — który wydał dwóch Papieży: Feliksa II (483—492) i naszego Grzegorza W., miał swój grobowiec w tejże bazylice: jedynym z Papieży tu pochowanych, jest ów Feliks II.

drzeja i Grzegorza *al Celio* [1]; resztę członków stanowią świeccy, przeważnie głowy starożytnych, a wiernych Papiestwu rodzin rzymskich, których wspaniałe dary jubileuszowe oglądać można było na wystawie watykańskiej 1888 r., w sali „dei sovrani“ jak np. *Altieri, Antici-Mattei* i t. p.

Wspominamy o niedalekim tym jubileuszu z dwóch przyczyn. Raz, by spełnić życzenie komitetu w myśl jego odezwy, w której zaprosił nietylko Stolicę, ale i cały świat katolicki do uroczystego obchodu wspomnianej rocznicy [2] dnia, w którym ten *vir incomparabilis* — jak go Kościół zowie — ujął potężną dłonią ster łodzi Chrystusowej; powtóre dlatego, by obwieścić, już nie soldową składkę na restauracyę pomników świętego w Rzymie, bo domagających się gwałtownie restauracyi pomników dość mamy u siebie — ale nagrodę w kwocie 2000 franków za najlepszą biografię Grzegorza W. w jednym z trzech języków: łacińskim, włoskim lub francuskim [3]. *Ewald* [4] już nie żyje, tem więc śmielej stanąć można do naukowego tego boju, który znacznie ułatwia pośmiertne dzieło *Clausiera* [5], o innych już nie wspominając.

A t e r a z r a c y a j u b i l e u s z u, którego „consilium et coepta“ otrzymało apostolskie błogosławieństwo (23 marca

[1] Klasztor ten św. Andrzeja, na stokach pagórka *Celio* „ad clivum Scauri“ u podnóża Palatynu, uświęcił był bytnością swoją nasz Grzegorz W. (575—579). Na tem samem miejscu stał przedtem rodzinny dom Papieża *Agapita* (535—6).

[2] W Niemczech — jak doniosły dzienniki — prócz uroczystego obchodu jubileuszu Grzegorza W., myślą już, na wezwanie księcia Karola Löwensteina, o urządzeniu wielkiej pielgrzymki do Rzymu między Wielkanocą a Zielonemi Świątkami b. r.

[3] Biografię tę przesłać należy najpóźniej do dnia 12 marca 1892 r. na ręce wymienionego komitetu.

[4] *Gregorii I. PP. registrum epistolarum liber I—IV ed.* Paulus Ewald. Berolini 1888 *(Mon. Germ. hist. Epist.* T. I pars) i w powtórnem wydaniu Jaffé'go: *Reg. Pont. Rom.* Lips. 1885. T. I, 143—219.

[5] *Saint Grégoire le Grand*, Pape et Docteur de l'Église. Sa vie, son pontificat, ses oeuvres, son temps (540—604) par l'Abbé Clausier. Ouvrage posthume publié par l'Abbé H. Odelin. Paris. Bercle et Tralin. 1886, gr. 8° XXIV, 293.

1889 r.) na prośbę redakcyi włoskiego dziennika *Il Divin Salvatore*. Zdaniem naszem wyrażona ona w końcu wezwania komitetu do świata katolickiego, gdzie po króciuchnym, szkolnym nieco żywocie wielkiego Papieża, następujący czytamy ustęp: „Stał się zbawcą Włoch, chroniąc je przed niewolą Longobar„dów, których przywiódł do wiary katolickiej, a dzikie oby„czaje ich króla ułagodził: dla Rzymu był więcej, ni„żeli ojcem, bo go uwolnił od zarazy fizycznej, a bardziej „jeszcze moralnej. Szczęśliwszy od Augusta, wycisnął na mieście „wiecznem, wieczne kształty odnowionej w Chrystusie sztuki, „dźwigając Rzym stary z błota i przyoblekając go w marmury. „Dla pism i dzieł jego zowie go historya Wielkim, lecz o wiele „jest większym dla swych cnót. Wielkoduszny we wszystkich „zdarzeniach, w każdej walce roztropny, pokorny w szczęściu, „w nieszczęściu silny, hojny i wspaniały w jałmużnach, ojciec „i pasterz wszystkich, krzewiciel prawdziwej wolności i pokoju, „najszlachetniejszy z Rzymian, chwała naszego „Rzymu, którym rządził po ojcowsku".

Rozstrzelamy charakterystyczne słowa odezwy, uwidoczniające zamysł i pobudkę komitetu rzymskiego. I słusznie. Uprzytomniwszy sobie bowiem obecne położenie Papiestwa w mieście wiecznem, któremu rok przeszły, „rok kongresów" wymowny dał wyraz na licznych zjazdach katolików wszystkich państw Europy,—dziwić się nie będziem, że dziś, po tysiącletniem istnieniu świeckiej władzy Papieża, zwraca się myśl wiernych synów Kościoła w czasy zawiązków tejże, i w historyi tej epoki szuka pokrzepienia i nauki. Czasy to straszliwego przełomu, okres zamętu i chaosu po upadku Rzymu i stworzonego przezeń porządku, zanim jeszcze nowy powstał i utrwalił się. Mimo to chętnie bieży myśl w te czasy, bo przyświeca jej wspaniała postać Grzegorza W., który, jak drugi Mojżesz, stoi na rozdrożu zapadającej się w przepaść na długie wieki rzymskiej cywilizacyi, a nowem, pełnem sił i życia, lecz nie ukształtowanem jeszcze społeczeństwem wieków średnich. Z tą też chwilą rozpoczyna katolicka historyografia niemiecka nową, drugą epokę dziejów kościelnych, „chrześcijańsko-germańską"

zwaną; czy słusznie, nie tutaj miejsce rozprawiać. Najostrzej — bo prawie z uprzedzeniem protestanta dla Papiestwa — zaznaczył to zapatrywanie fryburski profesor historyi kościelnej [1].

Pomijając rzekome owe aspiracye polityczne Papieży, które już dawno przejść były winny w sferę legendy historycznej, przyznać trzeba — co zresztą źródła stwierdzają — że początków władzy świeckiej szukać należy za pontyfikatu Grzegorza W. Dziś ona *de facto* nie istnieje, a według prawników-publicystów rzymskich przeszła *in rem judicatam*, otwierając swoim upadkiem, łącznie z dogmatycznemi określeniami soboru watykańskiego, *il terzo stato della Chiesa*, trzecią fazę rozwoju i przeznaczenia Kościoła; lecz z drugiej strony dobrze wiadomo, że Stolica Apostolska nie zrzekła się bynajmniej swoich praw do zupełnej pod względem politycznym niezależności. I inaczej być nie może. Kwestya rzymska bowiem jest w istocie swojej kwestyą wolności Papieża, a tem samem kwestyą, obchodzącą cały Kościół, sumienie każdego katolika; ztąd też mimo zaprzeczań sekty rządzącej tronem włoskim, pozostaje ona nadal jednym z najpierwszych problemów, który z całą koniecznością rychłego wymaga rozwiązania.

Znów tedy w imieniu wszystkich stanie przed okiem historyka, pierwszy w długim szeregu „Ojców miasta wiecznego“, najszlachetniejszy z Rzymian, chwała Rzymu, Grzegorz I. Z drugiej strony w dzisiejszych przedstawicielach wrogiej Papiestwu władzy, trudno nie dostrzedz podobieństwa z aryańskimi najeźdcami w drugiej połowie VI w. Działalność Grzegorza W., jako rządcy i obrońcy Rzymu, to jeden z najgłówniejszych powodów do uroczystego w bieżącym roku obchodu rocznicy wstąpienia Jego na Stolicę św., tem bardziej, że działalność ta powszechnie mniej jest znaną od in-

[1] „Mit dem h. Gregorius I. d. Grossen schliesst für uns das christliche Alterthum, dessen letzter grosser geistiger Repräsentant er ist, gleichwie er den Grund des mittelalterlichen Kirchenstaates und des weltbeherrschenden Einflusses des Papstthums legt“. Kraus. *K.-G.*, 3. Ed., p. 177.

nych tytułów, które Grzegorzowi I zjednały tak słusznie przydomek Wielkiego.

W chwili, w której Grzegorz I[1] wstępował na Stolicę Apostolską, Kościół znajdował się w bardzo ciężkiem położeniu. Grzegórz, donosząc o swej elekcyi w liście do Jana biskupa Konstantynopolitańskiego, skreślił położenie to w następujących słowach: *Vetustam navim vehementerque confractam indignus ego infirmusque suscepi, undique enim fluctus intrant et quotidiana ac valida tempestate quassatae putridae naufragium tabulae sonant*[2]. Również i w Rzymie samym nie było spokoju: *Hostilibus gladiis foris sine cessatione confodimur; sed seditione militum, interno periculo, gravius urgemur*[3]. Z jednej strony Longobardowie, dziki szczep germański, z panońskich lasów przybyły w 3 lata po śmierci Justyniana 568 r., wrogi Kościołowi katolickiemu, bo aryański, a w niemałej części pogański, stanęli już u granic dukatu rzymskiego. Inwazya Longobardzka, którą ułatwił straszny głód w całych Włoszech, zniszczyła niepowrotnie dzieło jedności Włoch, z niesłychanym trudem wśród 18 letnich wojen gotyckich przez Justyniana dokonanej. *Lacrymabile bellum* Rzymian z najeźdcami potrwa aż do początków VII stulecia. Sami jednak Grecy, władcy Włoch od 553 r., dopełniali miary nie-

[1] Ur. 540 r. z ojca Gordyana, senatora, 572 r. otrzymuje od ces. Justyna II (565—578) prefekturę Rzymu, lecz wnet, 575 r., po śmierci ojca usuwa się z życia publicznego i zamyka w założonym przez siebie klasztorze św. Andrzeja, rozdawszy wprzód swoją majętność na ufundowanie 6 klasztorów w Sycylii (o czem obszernie Can. Is. Carini w nader ciekawej pracy: *Lettere e i regestri de' papi in ordine al primato.* Roma 1885, p. 64). Przeznaczeniem jednak Grzegorza było życie czynne, nie kontemplacya. Już 579 r. wyrwany z ustronia życia zakonnego, podąża wkrótce (582 r.) do Konstantynopola na rozkaz Pelagiusza II (579—590) w trudnej misyi nuncyusza, apokryzyara, na dworze ces. Tyberyusza i Maurycego, przeszedłszy wprzód szybko stopnie hierarchii ówczesnej. Po śmierci Pelagiusza 15 stycznia 590 r., który pierwszy padł ofiarą zarazy, z wylewu Tybru powstałej, niedługo po swojem ze Wschodu przybyciu (w listopadzie 589), obranym zostaje jego następcą jednomyślnie przez kler, senat i lud rzymski, a 3 września konsekrowanym w bazylice św. Piotra.

[2] Ep. I, 4 ed. Maur. [3] Jaffé [2] 1069.

szczęścia, rostroju i nędzy. Nieudolni do skutecznego najeźdcom oporu, tem okrutniej gnębić poczęli południową część półwyspu: *quibuscis barbaris adversus Romanos truciores*[1]. To też już wtedy zwrócił się Pelagiusz II w 580 r., acz nie wprost jeszcze, do Franków[2]. Jaka zaś musiała być gospodarka dwóch takich władców ziemi włoskiej i jej mieszkańców, łatwo sobie wyobrazić; zapisana ona przez współczesnych Grzegorzów, w listach Papieża i historyi biskupa turoneńskiego. Jedyna tylko pozostawała siła i potęga we Włoszech — acz sama despotyczną ręką Wschodu ściśniona — zdolna oprzeć się nawale hord germańskich, aby z czasem zbawczem działaniem swojem i ich obyczaje ułagodzić i trwalsze, bo pokojowe z nimi zawiązać stosunki.

Potęgą tą było Papiestwo, a potęgą już nie moralną wyłącznie i apostolską w sferze czysto religijnej, ale polityczną; konsekwencya to nieodzowna dotychczasowego rozwoju Kościoła za wszechwładnych rządów cesarzy bizantyńskich: wzrasta władza i moc tych, którzy sami jedni czynni są na polu administracyi miejskiej i prowincyonalnej, którzy pośrednio wpływają na polityczny zarząd egzarchatu włoskiego, a wreszcie występują samodzielnie w uregulowaniu prawnych stosunków półwyspu z Carogrodem. Stolicy Apostolskiej przypadło tedy zadanie dalszymi Włoch pokierować losami w twardych tych warunkach. „Wśród szczęku i gwałtów oręża Longobardów i pod despotyzmem Greków — słowa to *Gibbonsa*[3] — nowem Rzym zajaśnieje światłem, ów Rzym, który w drugiej połowie VI stulecia w najsmutniejsze popadł poniżenie“. Nie inaczej też sądzi niepodejrzany wcale historyk, żyd *Samuel Sugenheim*[4]: „Zazwyczaj Papieże wybawiali ludność z głodu, wypłacali żołd wojsku i sprowadzali żywność dla niego, a nieraz jeńców z niewoli wykupywali.... Nic zatem dziwnego, że znaczenie ich, jako obrońców i wybawicieli, wzra-

[1] Baron. A. E. 571. [2] cfr. Jaffé [2] 1048.

[3] *Decadenza dell' Imp. Rom. Cap.* XLV.

[4] *Geschichte der Entstehung u. Ausbildung des Kirchenstaates.* Leipzig 1854, str. 5.

stało z dniem każdym. W obec gnuśności cesarzy Wschodu, rozwijali namiestnicy Chrystusa szczególniejszą czynność dla dobra Italii w ogóle, przedewszystkiem zaś w interesie miasta wiecznego, tak że faktycznie stanęli oni u steru spraw świeckich, w Rzymie samym i okolicy jego niemal w książęcą uposażeni władzę *(in und um Rom mit beinahe fürstlicher Macht)*". Stało się to za pontyfikatu Grzegorza I Wielkiego, Papieża obdarzonego niezwykłymi przymiotami umysłu, w dal sięgającym a zdrowym, praktycznym wzrokiem ducha i żelazną ową siłą woli, przez którą w obec dworu greckiego swobodniejsze, niż jego poprzednicy zdołał zająć stanowisko polityczne.

Zaraz w początkach rządów swoich rozwinął był Grzegorz W. niesłychaną działalność, jakiej wymagało ówczesne położenie Włoch, głównie Rzymu, i stosunki ze Wschodem[1]. Zabezpieczenie Rzymu i obrona ojczyzny były jedną z najpierwszych jego trosk. Przypatrzywszy się ówczesnej karcie Italii, zdawałoby się, że najazd Longobardzki wcale nie wpłynął na zmianę wzajemnego stosunku cesarstwa i Papiestwa, lub przynajmniej nieznacznie go tylko osłabił; wszak Rzym, stolica Papieży, wchodził i nadal w część składową prowincyj państwa wschodnio-rzymskiego. W rzeczywistości jednak inwazya z 568 r., rozbijając półwysep na dwie części, — a tak dając początek wszystkim późniejszym podziałom — zniszczył niepowrotnie panowanie Bizantyńskie we Włoszech. Północna i większa część środkowej Italii z księstwem Benewentu, wpadła w ręce najeźdców; właściwy egzarchat (568—751) Rawenny skurczył się do czterech terytoryów tylko: Rawenny, Ferrary, Adryi i Bolonii, a zależny bezpośrednio od niego związek 5 miast na wybrzeżu adryatyckiem (Pentapolis) obejmował Ankonę, Pesaro, Fano i Osimo. Południowa część półwyspu, na siedm księstw czyli dukatów podzielona (Kalabrya, Abruzy, Neapol i Gaeta, Rzym, Ligurya,

[1] Nie zastanawiamy się szczegółowo nad kwestyą ostatnią, bo przekracza ramy niniejszego obrazu działalności Grzegorza I we Włoszech.

Sardynia z Korsyką, Sycylia) pozostały pod panowaniem cesarskiem. Gdyby jeszcze Wschód dbały był o resztę tych posiadłości, wśród ziemi nieprzyjacielskiej po większej części położonych, mógłby był przynajmniej t. zw. rzymskie miasta bezwzględnie dla siebie zachować; lecz ciągłą zajęty walką z Persami nie zdołał nadesłać potrzebnego ku obronie żołnierza. Nie pozostawało zatem cesarzom greckim nic innego, jak powierzyć ziemię włoską własnemu jej losowi, i liczyć na wierność mieszkańców. Przekonywują nas o tem listy Grzegorza W., który przez cały czas prawie swojego pontyfikatu s a m j e d e n straszną z Longobardami wytrzymać musiał walkę [1]. Już zaraz w piewszych miesiącach uskarża się po wielekroć na nawał prac i trudów w tym względzie [2]. Kiedy Ariulf, książe Longobardzki Spoletu, zagrażał Rzymowi i Rawennie, Grzegorz wydaje rozkazy i upomnienia dowódcom, Maurycemu i Witallianowi, by z tyłu uderzyli na nieprzyjaciela: *Si huc vel ad Ravennates partes nec dicendum Ariulfum cognoveritis excurrere, vos a dorso ita, sicut viros decet fortes, laborate;* zawiadamia ich przytem i innych dowódców, prefektów i biskupów o ruchach nieprzyjacielskich i grożącem niebezpieczeństwie. Z rozkazu Papieża mieli biskupi surowo zleconą obronę miast swoich i dyecezyj: *Murorum vigilias et sollicitudinem in locis facite omnibus adhiberi* (dotyczyło to Januarego, biskupa Cagliari); i nie dozwalał, żeby ktobądź pod pozorem służby Bożej uchylał się od służby ojczyźnie: *Nullus neque per nostrae vel ecclesiae nomen aut quolibet alio modo defendi a vigiliis patiatur, sed omnes generaliter compellantur,* jak to w Terracina miało miejsce. Kiedy zaś wszystkie te środki i zarządzenia nie wystarczały, obracał

[1] Obszernie opowiedziana i ilustrowana (miejscami za jaskrawo) w włoskiem dziele papieskiego dyplomaty: *I Papi difensori dell' indipendenza italiana.* Roma, Lovesio 1886, p. 65, sqq. Nie brak źródłowego podkładu tej pracy, lecz więcej w niej... poezyi.

[2] Jaffé [2] 1071, 1073, 1099: *se non Romanorum sed Longobardum episcopum factum esse.* Szczególniej listy lib. II, 3, 29, 30; IX, 4 i 6; VIII, 18 (cfr. Mign. T. LXXVIII p. 540, 564, 941, 944 i 921) odsłaniają tę stronę czynności papieskiej.

Grzegorz bogate dochody kościelne na wykupno jeńców i wytargowanie pokoju od wroga. Prześlicznym jest ustęp listu jego do cesarzowej Konstancyi[1]: „Od 27 lat żyjemy tu wśród wojsk Longobardzkich. Ile im dziennie Kościół nasz płaci, byleśmy tylko pośród nich żyć mogli, nie da się opowiedzieć. Krótko mówiąc: W. C. M. ma tutaj dla głównego wojska we Włoszech swego skarbnika, który na codzienne wydaje potrzeby; urząd takiego skarbnika i ja piastuję".

Jeżeli jednak Grzegorz podczas wojny wydawał plany, i kierując konieczną obroną, na czele stał walki, to zarówno ukończenie boju i zawarcie zgody do niego siłą rzeczy należeć musiało. Istotnie za jego to staraniem, a pośrednictwem Teodolindy, żony Agilulfa, przychodzi w r. 599 do skutku pokój między Grekami a Longobardami. *Gregorovius*[2] całą zasługę zawarcia tego pokoju przyznaje Papieżowi. Znaczenie Grzegorza było już wówczas tak wielkie, że go król Longobardzki uważał za niezależnego władcę; dlatego też wysyła swych posłów do Rzymu z prośbą, by Papież podpisał warunki pokoju. A nie łatwo przyszło do tego pokoju przez opieszałość i zazdrość egzarchy, chociaż Rzym stał otworem, bezbronny, każdej chwili narażony na napad i spustoszenie przez wroga. Jeden zaledwie oddział zostawił w Rzymie egzarcha, miasto obrony na większą jeszcze jego niedolę, bo niepłatny żołnierz porzucając straż murów, stawał się istną plagą obywateli. Kiedy wreszcie legat papieski, opat *Probus* szczęśliwie zakończył układy, sam Grzegorz, mimo oporu egzarchy, przyspieszył zawarcie traktatu pokojowego, chociaż go nie chciał własnoręcznie podpisać[3].

Smutnym jest ten obraz Włoch w jarzmie niewoli Longobardzkiej, i nieprzesadne — jak przeciwnie sądzi *Crivellucci*[4] —

---

[1] Lib. V, 21, p. 749.

[2] Hist. Rzymu L. III, c. II, §. 4 (tłóm. włoskie).

[3] Epist. l. IV, 2, p. 669; IX, 98, p. 1022; 42 i 43, p. 975.

[4] *Storia delle relazioni tra lo Stato e la Chiesa.* Bologna 1885, T. II, 304: „Questa nobile nazione tedescha fu dai pontefici denigrata indegnamente" (!) — „Szlachetny ten naród niemiecki oczernili Papieże niegodnie".

o niej zapiski w listach i dyalogach [1] Grzegorza, lecz bodaj czy nie okrutniejszą była gospodarka greckich egzarchów, książątek i prefektów. Dotkliwszym był ucisk własnego pana, samowola sług jego i przedstawicieli.

Wiele, bardzo wiele listów Grzegorza skreśla nam owe „greckie“ rządy, i wyjaśnia zarazem drugą, równoczesną a odmienną działalność szlachetnego Papieża, jako obrońcy Włoch w obec własnego ich władcy. I tak w zawarciu wspomnianego powyżej pokoju napotkał był Grzegorz na liczne trudności i opór zacięty ze strony najmniej spodziewanej, bo rzymskiego egzarchy, który usuwał się od walki z nieprzyjacielem, a na zakończenie jej pokojowe nie zezwalał [2]; równocześnie cesarz Maurycy (582—602), zamiast podziękowania, słał Papieżowi obelgi [3], wymawiał mu, że się dał oszukać przebiegłemu księciu Spoletu, Ariulfowi. Były to oszczerstwa zawistnych Greków, których zdzierstwa i ucisk ludu w posiadłościach bizantyńskich nie uszły karzącej ręki Papieża. Dość kilka przytoczyć przykładów. Dowiedziawszy się raz od biskupa *Cagliari* (stolica Sardynii), Januarego, o nadużyciach Teodora, namiestnika owej wyspy, względem właścicieli tamtejszych dóbr kościelnych, i o niedoli biednych w dyecezyi *Torres*, nie dość że natychmiast zawia-

[1] Szczególniej l. III, c. 38 (ed. Mig. T. LXXVIII, 316) w ustępie: „Mox effera Langobardorum... Nam in hac terra, in qua nos vivimus, finem suum mundus jam non nuntiat, sed ostendit“. Nadto l. II. c. 27-28.

[2] „Quae de domini Romani persona in hac terra patimur, loqui minime valemus. Breviter tamen dico, quia eius (egzarchy) in nos malitia gladios Langobardorum vicit; ita ut benigniores videantur hostes, qui nos interimunt, quam Reipublicae iudices, qui nos malitia sua, rapinis atque fallaciis in cogitatione consumunt“ (Ep. l. V, 42. p. 769; nadto 36, p. 760; II, 46, p. 583).

[3] „In serenissimis jussionibus suis dominorum pietas, dum me quibusdam redarguere studuit, parcendo mihi minime pepercit. Nam in eis urbane simplicitatis vocabulo me fatuum appellat“. Ep. l. V, 40, p. 765; ważny list to do cesarza, pełen goryczy, w którym uskarża się na fałszywe o sobie wieści u dworu, przeciwstawiając im rzeczywiste położenie: „Przedewszystkiem to mnie boli najwięcej, że podczas gdy mnie tam kłamcą czynią, popada tutaj Italia coraz bardziej w jarzmo Longobardów. Zamilczałbym chętnie o wzgardzie mej i poniżeniu, gdyby niewola ojczyzny cięższą się nie stawała z dniem każdym“.

damia o tem nuncyusza swego Honorata w Konstantynopolu, by rzecz tę cesarzowi przedstawił, ale pisze jeszcze do Gennadyusza, patrycyusza i egzarchy Afryki, od którego zwierzchnictwa zależał Teodor, starając się o usunięcie go ztamtąd[1]. Gwałtom tym i dowolności duków i prefektów w zarządzie prowincyj całych i miast poszczególnych nie było końca; powtarzały się one szczególniej na odległych wyspach: Sycylii i Korsyce. Donosi o tem Grzegorz W. cesarzowej Konstancyi: „Dowiedziawszy się, że w Sardynii wiele jeszcze przebywa pogan i bałwanom składa ofiary, i że kapłani tej wyspy leniwo głoszą Zbawiciela, wysłałem tam jednego z biskupów włoskich, któryby z pomocą Bożą przyciągnął niewiernych do prawdziwej wiary. Tymczasem donosi mi tenże rzecz świętokradzką: oto ci, którzy ofiarują bałwanom, opłacają się sędziemu, aby im to było wolno czynić. Wielu zaś z nich jest już ochrzczonych i zaprzestało ofiar pogańskich, sędzia jednak tej wyspy żąda jeszcze po chrzcie opłaty, którą poprzednio przed nawróceniem składali. Kiedy go ów biskup skarcił, odpowiedział, że do obiecanego sobie przy objęciu urzędu dochodu tylko tą opłatą dojść może.

„Gorzej na wyspie Korsyce, jęczącej pod takim ciężarem poborów i mnogością poborców, że mieszkańcy tamtejsi, chcąc im zadośćuczynić, muszą własnych synów sprzedawać. Ztąd nie dziw, że *derelicta pia republica* szukają schronienia w ucieczce do... Longobardów.

„Opowiadają wreszcie o niejakim Stefanie, poborcy na wybrzeżu sycylijskiem, że za pieniądzmi przebiega wszystkie włości i folwarki z niezmierną szkodą całej okolicy, uciskając je bezprawnie. Gdybym o wszystkiem, co mi o nim doniesiono, chciał pisać, w dużymbym tomie tego nie pomieścił“ [2].

Nie lepiej działo się w Neapolu [3] i pod okiem Papieża w własnych jego posiadłościach [4]. To też w gratulacyjnym li-

[1] Ep. l. I. 49, p. 511; 61, p. 519. Nadto o charakterze i zadaniu apokryzaryara za Grzegorza W. De Marca: *De Concordia Sacerdotii et Imperii* ed. Ven. 1770; l. V, c. 17, n. 2, p. 172 i 3.

[2] Ep. l. V, 41, p. 768. [3] l. X, 26, p. 1084. [4] l. X, 53, p. 1110.

ście, z okazyi wstąpienia na tron Fokasa w r. 602, Grzegorz, prawdziwy obrońca wolności i opiekun uciśnionych, tak się odzywa [1]: „Niechaj miłosierdzie wasze ulży uciśnionym, przygnębionym poddanym... Niech raz wreszcie ustaną testamenty chytrością, darowizny gwałtem wymuszone... Boć tem różnią się królowie pogańscy od przewódców rzeczypospolitej, że tamci są panami niewolników, ci zaś panami wolnych".

W moc powyższej zasady nie zadawalniał się nasz Papież samą tylko krytyką niesprawiedliwej administracyi, przedstawianiem władzy nadużyć urzędników, a płaczu uciśnionych; gdzie namiestnicy dobrze rządy sprawowali, tam dopomagał w razie potrzeby radą i powagą swoją. Tak np. wzywa na prośbę ludu Gennadyusza, egzarchę Afryki, aby przywrócił niejakiego Anastazyusza, trybuna, na dawne jego stanowisko [2]. Również wątpić nie można, że polecenia i wskazówki Grzegorza przy rozdawnictwie urzędów, znajdowały posłuch na dworze cesarskim, kiedy wiele osób znaczniejszych, wysoko położonych, udawało się do Papieża o poparcie. Prosił go o nie np. niejaki Wenancyusz, krewny Opiliusza, patrycyusza, który starał się w Bizancyum o zaszczytny tytuł eks-konsula [3]; kto inny znów prosił o prefekturę [4]. Wpływu Papieża na polu administracyjnem dowodzi ta okoliczność, że nieraz udzielał obrony niższym urzędnikom, których kaprys przełożonego pozbawiał miejsca i chleba. Korzystając z prawa azylu, uciekali się oni wprost pod opiekę papieską, zawsze skuteczną, bo „Stolica Apostolska miłuje człowieka dla sprawiedliwości, a nie odrzuca sprawiedliwości dla względów ludzkich" [5].

---

[1] „Releventur vestra misericordia contriti ac depressi animi subiectorum... Cessent testamentorum insidiae, donationuum gratiae violenter exactae. Redeat cunctis in rebus propriis secura possessio... Reformetur iam singulis sub iugo imperii pii libertas sua. Hoc namque inter reges gentium et reipublicae imperatores distat, quod reges gentium domini servorum sunt, imperatores vero reipublicae, domini liberorum". — Ep. l. XIII, 31, p. 1281.

[2] Ep. l. VII, 3, p. 853. [3] II, 53, p. 598.

[4] XII, 27, p. 1236. Inne przykłady: III, 28.

[5] X, 51, p. 1108; 54—57.

Przykłady te dostatecznie pouczają nas o zakresie i wpływie działalności Grzegorza W. w sprawach półwyspu w ogóle, w szczególności zaś o jego politycznej władzy, jaką wykonywał w greckich posiadłościach we Włoszech [1]. Jeżeli jednak ta władza, którą sprawował w Italii z woli przyjaciół i wrogów swoich, tak była obszerną i wieloraką, to nasuwa się ważne pytanie, jaką ona być mogła w Rzymie samym, który nie cesarzów wschodnich, lecz Papieży za naturalnego władcę swego uważał?

„Cesarz zwał się panem Rzymu — mówi jeden z historyków miasta wiecznego [2], — faktycznie był nim Papież. Zaszczytny to początek doczesnej władzy Papiestwa; podstawą jej bowiem nie gwałt, ani bezprawie lub walka żądna zdobyczy i panowania, lecz chętne a dobrowolne przyzwolenie ludów, płynące z uznania skutecznej obrony, nieustraszonego męstwa, silnej wiary i świętego działania". Tak więc w dukacie rzymskim panował Papież *de facto*, Stolica św. była jego rzeczywistym władcą; cesarz był wprawdzie jego panem, lecz z imienia tylko. A przecież mimo tego stanu rzeczy starali się zawsze Papieże zachować w dawnej osnowie prawny związek między starym i nowym Rzymem. Nie egzarcha, ani tem mniej jeden lub drugi namiestnik bizantyjski we Włoszech, utrzymywał je stale przez dwa niespełna następne wieki w wierności dla Wschodu; cała zasługa w tej mierze przypada Papiestwu, a zasługa tem większa, im poszanowanie to dla władzy z większemi trudnościami było połączone. Zasada, którą obecnie Leon XIII rozwija w najnowszej encyklice: „Kościół wspiera państwo w poszanowaniu praw", znajduje zupełne dziejowe stwierdzenie. Kto bliżej i źródłowo badał i oceniał wzajemny stosunek dwóch tych władz w epoce, o której mowa, ten chcąc być szczerym, szczególniejszy nacisk położyć winien na nienaganne i podziw budzące zachowanie się ówczesnych Papieży względem tyrańskiej woli despotycznego Wschodu. Schyzma Akacyusza pod

[1] Doellinger. *Lehrb. d. K.-G.* 2. Ed. Regensburg 1843, T. I. 175.
[2] Reumont. *Geschichte der Stadt Rom.* II. 105.

koniec V i walka ikonoklastów w VIII wieku najjaskrawszym tego dowodem.

Zanim skreślimy dokładniej doniosłość działalności Grzegorza W., wspomnieć należy o rządach i panowaniu jego w Rzymie.

Dziedziczne dobra Kościoła rzymskiego, które zostawały pod bezpośrednim zarządem Jego biskupów, Papieży, otrzymały nazwę własności, lub raczej dziedzictwa św. Piotra: *Patrimonium S. Petri.* W miarę, jak Rzym przestawał być rezydencyą cesarską, przybierając coraz więcej charakter miasta kapłańskiego, stolicy chrześcijaństwa; w miarę, jak miejscowe stare i bogate rody, porzuciwszy dawną wiarę, łączyły się z Kościołem i zespalały z duchowieństwem i Papiestwem,— przechodziły też liczne i rozległe ich posiadłości *(latifundia)* drogą darowizny, zapisu lub dziedzictwa na własność kościelną. Tymczasem familie owe wymierały; Kościół jednak, który nie rzadko dawał im ostatnie schronienie, pozostał, i dóbr powyższym tytułem nabytych nie tracił. Listy Grzegorza W. rzucają w tym względzie pewne światło, gdyż spotykamy się w nich nieraz z darowiznami na rzecz Kościoła rzymskiego ze strony starożytnych rodów patrycyuszowskich [1].

[1] Należą tutaj: *massa Papirianensis* (Ep. X, 13 ap. Migne LXXVII, 1075), *Furiana* (Ep. IX, 84, p. 1015), *Varroniana* (Ep. I, 44; 503), *fundus Cornelii* (Ep. XIV, 14; 1319), *xenodochium Anichiorum* (Ep. XII, 39; 1247). Określmy tu bliżej *patrimonium* Piotrowe, jak ono się przedstawia za pontyfikatu Grzegorza W., mianowicie jego rodzaj, zarząd i rozciągłość. To, co tak często Grzegórz W. *massą* nazywa, oznacza, ściśle uważając, większy kompleks gruntów ze wszystkiemi ich przynależnościami, które wchodząc w skład pewnej całości, zostają pod nadzorem jednego zarządcy; bywał nim zazwyczaj subdyakon, niekiedy biskup, nigdy zaś człowiek świecki (cfr. np. Ep. IX, 65; 1002; i Grat. D. 89, c. 5). Wyrażenia: *possesiones, agri,* podobne co *massa* mają znaczenie. *Fundus,* w właściwem tego słowa pojęciu, jako przynależność *massy,* jest jej częścią, lub przynajmniej jednym z jej elementów składowych, natenczas kilka *fundi* utworzy jednę *massę;* nieraz jednak używa się go na oznaczenie samej *massy* (cfr. Ep. V, 31; 756, n. a.). A zatem, jak to dawniej w rzymskich latyfundyach miało miejsce, łączono kilka folwarków *(fundi)* dla łatwiejszej administracyi w jedną całość ziemską *(massa),* kilka znów *mass* pewnego obszaru stanowiło wielką posiadłość, która, zarówno jak jej części

Nie można z całą dokładnością oznaczyć liczby i obszaru patrymonium św. Piotra, w dawniejszych zwłaszcza czasach. Za pontyfikatu naszego Papieża, — jak czytamy u biografa jego, Jana dyakona [1], — posiadał ich Kościół znaczną liczbę, bo co najmniej 23. Rozciągały się one we wszystkich prowincyach włoskich od Kalabryi aż do Alp Kottyckich, w Galli, na wyspach Korsyce, w Sardynii, Sycylii, Dalmacyi [2] i w Afryce [3]. Zresztą własne listy Grzegorza świadczą o nich wymownie; można nawet ściśle obliczyć, ile przynosiły dochodu [4].

---

poszczególne, zwała się własnością Piotrową *(patrimonium S. Petri)*. Administracya jego spoczywała — jak wspomnieliśmy — w rękach duchownych, którzy się zwali rządcami *(rectores, defensores patrimonii)*; natomiast większe lub mniejsze folwarki, obejmujące niekiedy całe włości, zamieszkiwali i uprawiali przywiązani do ziemi osadnicy *(coloni, rustici Ecclesiae)*, którzy obowiązani byli oddawać roczny czynsz *(pensio)* w pieniądzach, lecz częściej płodach ziemskich, najczęściej w zbożu. Sycylia np. tak, jak za czasów cesarskich, zostawała teraz „spichrzem Rzymu", dostarczając mu stale żywności (Ep. I, 72, p. 526). W razie pokrzywdzenia ze strony kleru lub świeckich znajdowali obronę u Papieża (Ep. VIII, 32; 934, a szczególniej niżej cytowany in fine). Objaśniającym owe stosunki personalu i zarządu w posiadłości kościelnej, zkąd czerpiemy wiadomości powyższe, jest list, a raczej instrukcya Grzegorza W. dla Piotra, sybdyakona w Sycylii (Ep. I, 44; 499 sqq), w którym określona jest miara czynszu zbożowego, przyczem wszelkie nadużycia z okazyi poborów najsurowiej zakazane.

[1] *S. Gregorii Papae Vita*, l. I, 53 ap. Mig. LXXV, 110.

[2] Ep. III, 22; 621.

[3] Ep. I, 75; 530 i Grat. 23 q. 4.

[4] Za przykład podajemy jedno z nich tylko, sycylijskie, jako najlepiej nam znane wskutek częstej korespondencyi Papieża z rektorem tegoż patrymonium, Piotrem subdyakonem. Za czasów Leona Izauryka (714—741) pobierała Stolica rzymska rocznego dochodu z Sycylii i Kalabryi $3^1/_2$ talenta czyli 350 funtów złota (Theophanes. *Chronographia*, ed. Bonn. 1, 631), w przybliżeniu zatem 25.200 soldów czyli około 19.143 złr.; nie można zaś przypuszczać, żeby wiek przedtem, za czasów Grzegorza W., dochód ten był znacznie mniejszym. Wprawdzie w r. 591 ściągał był cesarz grecki po trzykroć podatek z rolników, w papieskich posiadłościach Sycylii osiadłych, po 507 soldów, t. j. blisko 7702 złr., lecz w tymże samym czasie starczyły Papieżowi tamtejsze dochody na pokrycie niezwykłych jałmużn; również wtedy przywieziono ztamtąd zboże w cenie 3600 soldów (27.348 złr.), prócz osobnego pieniężnego poboru 300 soldów czyli 2278 złr. (Ep. I, 44, p. 500; I, 72, p. 527; II, 32, p. 566,

W każdym razie polityczny wpływ Grzegorza W. silną znajduje podstawę i ugruntowanie na materyalnej sile i ziemskich zasobach Kościoła. W sto lat później staje już formalnie Papież w rzędzie władców niezależnych, i świat ówczesny nie dziwił się temu wcale, gdyż faktycznie był biskup rzymski już oddawna udzielnym księciem. Grzegorz II (715—731), z wielu względów podobny do swojego imiennika, syna św. Benedykta, pierwszy z Papieży doczesne dzierży berło, i niezawisłe od żadnej świeckiej potęgi, ziemskie rozpoczyna panowanie (donacya Sutri 727 r.[1]).

A jakież były rządy Grzegorza I w samym Rzymie?

W prześlicznym liście do Jana, biskupa Konstantynopolitańskiego (luty 591 r.), w którym przesyła mu swoje wyznanie wiary, i szeroko rozprawia o obowiązkach pasterskich, skarży się Papież, że na rzymskiego biskupa spada tyle różnorodnych prac i obowiązków, iż sam często nie wie niejako,

według obliczeń Grisara w *Zeitschr. f. kath. Theol.*, 1877, str. 321 ff.). Tyle dochodu z jednego patrimonium, których było — jak wiemy — 23. Nie przesadne tedy może obliczenie włoskich i niemieckich historyków tego Papieża, jeżeli podają całość dochodu w naturze i w złocie w wysokości $4^1/_{10}$ miliona złr. z wszystkich patrymoniów, obejmujących 85 mil kwadratowych. — Prócz innych większych miast włoskich, jak Otranto, Gallipoli, zostawać miał także prawdopodobnie i Neapol, stolica Kampanii, w tym samym stopniu patrymonialnej własności Papiestwa. Wiele na to mamy danych w listach Grzegorza W. Tak np. w lipcu 592 r. ustanawia nasz Papież trybuna wojskowego dla Neapolu, Konstancyusza, któremu załoga miasta ma złożyć przysięgę wierności; później, w 600 r., nakazuje tamtejszemu biskupowi, Fortunatowi, wydać magistratowi wodociągi i bramy miasta, bierze pod swoją opiekę stowarzyszenie mydlarzy neapolitańskich i wywalcza słuszne prawa Neapolu do niektórych jego posiadłości na okolicznych wyspach (Ep. II, 31, p. 563; X, 25, p. 1083; X, 26, p. 1084; X, 53, p. 1110). Nie można jednak stanowczo zawyrokować, czy rzeczywiście Neapol i inne wyżej wspomniane miasta Włoch południowych stanowiły trwałą własność Stolicy św. — jak mniema kard. Pitra (*Analecta noviss.* Parisiis 1885. T. I, 65); — sam tekst listów sprzeciwia się temu przypuszczeniu.

[1] Prócz innych przedewszystkiem Niehues. *Geschichte des Verhältnisses zwischen Kaiserthum und Papstthum im Mittelalter.* Münster 1887, 2. Aufl., B. I, 430.

czy spełnia urząd duchowny pasterski, czy świecki, książęcy?[1] Zapewne odnoszą się powyższe słowa w ogóle do trudów, jakie przypadają na najwyższego Pasterza z objęciem Stolicy św., ale w swej skardze często się bezwątpienia przebija troska o sam Rzym, o losy wiernego miasta. „Gdziekolwiek się zwrócę — woła Grzegorz, — widzę tylko spustoszenie, słyszę tylko jęki i lamenty. Miasta w ruinie, zburzone zamki, kraj spustoszały, opuszczone pola, próżne ziemie... I czemże się stał ten sam Rzym, który kiedyś był królową świata? Gdzie senat? Gdzie lud? Zginęła chwała dawnych świetności, a garstkę pozostałych przygniatają z dniem każdym coraz ciężej, coraz to nowe nieszczęścia; walą się mury, z których ustępują mieszkańcy... Rzym opuszczony pustynią, cały świat ruiną“ [2]. Lecz z pośrodka tego spustoszenia, moralnego upadku i nędzy materyalnej Rzymu, podnosi się nieustraszona postać Papieża, który, jako prawdziwy konsul Boży, głowa Kościoła i miasta, wszystkiemu zaradza, kieruje wszystkiem, za wszystkich myśli i działa. Brak żywności w Rzymie: żniwa liche, nieurodzaj powszechny, a nadomiar nieszczęścia ostatni wylew zatopił kilka tysięcy morgów zboża[3]. Grzegorz sprowadza zboże ze Sycylii, spichlerza Włoch, nakazuje subdyakonowi Piotrowi, nabyć zboża od obcych za 50 funtów złota i przechować je w miejscu bezpiecznem; gdyby znalazł jaką przeszkodę w wyprawieniu okrętu, niechże sam zarządzi tę wysyłkę, a zarządzi dobrze, t. j. bez pokrzywdzenia tamtejszych osadników kościelnych, i bez uszczerbku na rzecz zwyczajnej jesiennej zapomogi[4].

---

[1] „Suscepto itaque pastoralis curae onere, cum cuncta haec atque alia hujusmodi multa considero, videor quod esse non possum, *maxime* quia *hoc in loco* quisquis Pastor dicitur, curis exterioribus graviter occupatur; ita ut saepe incertum fiat utrum pastoris officium an *terreni proceris* agat“. (Ep. I, 25, p. 476, 7).

[2] Hom. VI, 22, 24.

[3] Gregorii Turon. *Hist. Franc.* X, 1 ap. Mig. LXXI, 527.

[4] Ep. I, 72, p. 526. — List ten pisany w sierpniu 591, w rok po objęciu rządów Kościoła.

Innym razem, kiedy spichrze rzymskiego Kościoła były pełne, słał zboże daleko na Wschód... cesarzowi, przyjmując równocześnie 12 marca 595, jałmużnę 30 funtów złota z ręki Maurycego, którą rozdzielił pomiędzy ubogi kler rzymski i liczny zastęp biedaków świeckich i zakonnych płci obojga[1], z nakazem modłów za cesarza. Gdy jedną ręką odbiera jałmużnę, drugą rozrzuca ją hojnie wśród ludu, zwłaszcza podczas uroczystości; tak n. p. z powodu konsekracyi kaplicy N. Maryi Panny w Sycylii, nakazuje rozdać tamtejszej ludności 10 soldów złota, tyleż amfor wina, jagniąt dwieście, dwa naczynia oliwy, dwanaście baranów, gęsi zaś sto lub dwieście[2]. W Rzymie samym i w Porto stoją otworem z jego rozkazu azyla i przytuliska dla pielgrzymów i zbiegów[3]; niewolników obdarza wolnością i obywatelstwem miasta wiecznego[4]; nawet egzarchowi Rawenny pożycza 600 funtów złota, których — mówiąc nawiasem — tenże nie chciał mu oddać[5]; przyzywa go przeto do siebie do Rzymu. Miasto wieczne samo jedne pozostało duszą narodowej obrony... bez załogi, bo reszta żołnierza — pułk teodozyański — niepłatna, do buntu się zrywała. Donosi o tem Janowi, biskupowi Rawenny... daremnie[6]. Również napróżno woła o naprawę zburzonych akwaduktów.

Kto to wszystko czynił, nie miałże prawa zwać się rządcą i panem Rzymu? Był nim rzeczywiście, chociaż nie zapominał o prawnym węźle, łączącym stolicę biskupa rzymskiego ze Wschodem, z cesarzem i jego zastępcą we Włoszech, egzarchą Rawenny. Grzegorz I, będąc rządcą tylko Rzymu, stał się jego władcą. Pozorny ten paradoks znajdujemy nawet u pisarzy wrogo usposobionych względem Papiestwa[7], którzy zaprzeczyć

[1] Ep. XII, 34, p. 1244 i V, 30, p. 756.

[2] Ep. I, 56, p. 517; formuły te Grzegorza W. konsekracyi i dedykacyi kościołów wraz z niektóremi innemi weszły później do *Liber Diurnus*.

[3] Gregorovius l, c. l. III, c. II. §. 3.

[4] Ep. VI, 12, p. 804. Nadto Ep. II, 10, p. 546 w moc Konstantynowego prawa. Cod. L. I, t. 13.

[5] Ep. IX, 124, p. 1057. [6] Ep. II, 46, p. 584.

[7] Gregorovius l. c.: Crivellucci l. c. I, 311, pomijając już Gibbonsa.

nie mogą, że w tym politycznym i moralnym upadku tak Rzymu, jak i Włoch zarówno, jedyny pierwiastek życia istniał tylko w Kościele, a cała siła w Papieżu, tem więcej, że „w piersi Grzegorza Rzymianina biło serce rzymskie; był też dla Rzymian biskupem, ojcem, władzą, wodzem i królem“ [1].

Mógł on tem być i z wysokiego swego powołania wywiązywać się, dzięki w znacznej części ustawodawstwu ówczesnemu, które zwłaszcza od czasów Justyniana, dawało biskupom, na pierwszem miejscu biskupowi rzymskiemu, wielką władzę w rzeczach czysto nawet świeckiej natury. Jak biskupi byli faktycznymi namiestnikami poszczególnych prowincyj, tak Papieżowi, patryarsze Zachodu, w myśl ustawodawstwa bizantyjskiego, doniosły i nieprzewidziany przez prawodawcę w skutkach swoich przypadł obowiązek opiekuna i rzecznika biednej nad wyraz ludności drugiej połowy cesarstwa. Zasługą to Papiestwa, że go spełniło świetnie, szczególniej wtedy, gdy Wschód zwrócił się przeciw obrońcy własnych poddanych; zasługą zaś Grzegorza I i jednym z najwspanialszych laurów jego wielkości, że nie naruszając politycznego węzła wśród najtrudniejszych warunków, stał się zbawcą Włoch, ojcem Rzymu ku chwale Stolicy św.; — w narzuconych sobie nawet przez państwo kajdanach utorował drogę ku prawdziwej wolności Kościoła. *Defunctus adhuc loquitur.*

Mając przed sobą ten szkic politycznej i administracyjnej działalności Grzegorza W. na półwyspie i w jego centrum, łatwo pojąć doniosłość i znaczenie ogłoszonego na wrzesień b. r. jubileuszowego obchodu. Szkic ten — gdy czynniejszego w tym obchodzie nie będziemy mogli podobno wziąść udziału — niech świadczy o naszej pamięci i czci dla Papieża, który położył fundament doczesnej władzy Papieżów, tego niezbędnego po dziś dzień warunku ich niezależności.

Ks. Dr. Fijałek.

[1] *I Papi defensori dell' independenza italiana*, p. 83: wyrażenia te same prawie powtórzono w odezwie komitetu jubileuszowego.

POŁOŻENIE PRAWNE CHRZEŚCIJAN

W PAŃSTWIE RZYMSKIEM

W TRZECH PIERWSZYCH WIEKACH.

(Ciąg dalszy).

II.

Za rządów Nerwy i w pierwszych latach panowania Trajana cieszyli się chrześcijanie znowu tolerancyą religijną, choć ofiar nie zabrakło i w tym czasie. Nero i Domicyan znaleźli wielu naśladowców między urzędnikami na prowincyi, którzy pastwili się nieraz samowolnie nad wyznawcami Chrystusa, jedynie dla przypodobania się pospólstwu, lub w celu zbogacenia się mieniem chrześcijan. Pojedyńcze te egzekucye nie wstrzymały jednak rozwoju chrystyanizmu, i wkrótce doszło do tego, że namiestnicy prowincyj zauważyli z przestrachem, „iż świątynie pogańskie się wypróżniają, mięsa ofiarniczego nikt nie kupuje, i że święte ofiary zostały zaniechane“. W takich okolicznościach nie mogły już magistraty działać przeciw chrześcijanom na własną rękę, ale zniewolone były żądać instrukcyj z góry.

„Przyjąłem sobie za prawidło — pisze zarządca Bitynii do cesarza Trajana, — donosić ci, Panie, o wszystkich wątpliwej natury wypadkach. Gdyż któżby mógł lepiej od ciebie

usunąć moje wątpliwości, lub moją niewiadomość lepiej oświecić? Nigdy jeszcze nie byłem przy badaniu chrześcijan, i dlatego nie wiem, o ile ich badać i karać należy; nie wiem także, czy wiek ich należy uwzględniać. Co do innych punktów także pełno mam wątpliwości: czy okazującym żal wybaczać należy, czy też nie?—co czynić z tymi, którzy zostawszy chrześcijanami, wyrzekają się potem swej wiary? — czy za samą nazwę chrześcijanina ma być wymierzona kara, czy też za zbrodnię, jeżeli się ona łączy z nazwą chrześcijanina? Dotychczas w taki sposób postępowałem z chrześcijanami, których do mnie przyprowadzano: Pytałem się ich, czy wyznają Chrystusa; jeżeli się tego nie zapierali, pytałem ich po raz drugi i trzeci, i groziłem im karą śmierci; jeżeli uporczywie obstawali przy swojem, na śmierć ich skazywałem, gdyż sądziłem, że niezależnie od tego, do czego się przyznawali, ich nieposłuszeństwo i zatwardziałość winny być ukarane. Innych, tym samym obłędem zarażonych, ponieważ są obywatelami rzymskimi, kazałem spisać, aby ich do Rzymu odesłać.... Jednego razu przysłano mi wykaz, w którym wiele osób było oskarżonych o chrześcijaństwo; te osoby temu zaprzeczały, i na dowód tego, w mej obecności i w wyrazach przezemnie przepisanych, wzywały naszych bogów i ofiarowały twemu obrazowi kadzidło i wino. Potem wymawiały przekleństwa przeciw Chrystusowi, czego nie czynią nigdy ci, którzy są prawdziwymi chrześcijanami. Osądziłem tedy za rzecz stósowną ich uwolnić. Inni, których mi doniesiono, wyznali, że byli chrześcijanami, lecz że się chrześcijaństwa wyrzekli, jedni od trzech, a drudzy nawet od dwudziestu lat. Wszyscy zresztą oddawali cześć twemu obrazowi i posągom bogów, złorzecząc przytem Chrystusowi. Utrzymywali oni, że cała ich wina czy też błąd na tem polega, iż w dniu naznaczonym zgromadzają się przed wschodem słońca, i śpiewają hymny na cześć Chrystusa jako Boga, i że zobowiązują się przysięgą nigdy nie popełniać kradzieży, cudzołoztwa, lub innej niegodziwości. Oprócz tego mają zwyczaj, zgromadzać się dla jedzenia wspólnie potraw niewinnych, czego jednak się wyrzekli,

kiedym ogłosił twój rozkaz, zabraniający wszelkich zgromadzeń! Zdawało mi się również potrzebnem dla wykrycia prawdy użyć męczarni na dwóch młodych niewolnicach, które, jak mówiono, przywiązane były do tej religii. Nic wszakże nie odkryłem, oprócz przewrotnego i fanatycznego zabobonu, i dlatego formalne śledztwo odłożyłem, czekając na twoje rozkazy.

„Sprawa ta zdaje mi się być godną twojej uwagi ze względu na wielką liczbę tych, którzy są uwikłani w tem niebezpieczeństwie. Wielka liczba osób wszelkiego stopnia i obojej płci, jest i będzie objęta tem oskarżeniem, albowiem ta zaraza nietylko dotknęła miasta, ale się nawet rozszerzyła i po wsiach; jednakże sądzę, że będzie jeszcze można znaleść środki do jej powstrzymania. Pewną jest rzeczą, że kościoły niedawno prawie puste, znowu się napełniają, ofiary długi czaś przerwane, rozpoczynają się, mięsa ofiarne, które nie miały kupujących, znowu się sprzedają wszędzie; ztąd można wnosić, że wielu ludzi da się z błędu wyprowadzić, jeżeli się ich przywiedzie do skruchy“ [1].

Przytoczyliśmy list Pliniusza prawie w całości; jest on bowiem jednym z najważniejszych dokumentów do historyi pierwotnego Kościoła, i najlepszym dowodem, że państwo nie zrobiło dotychczas prawnej różnicy między chrześcijanami i żydami, i nie wyjęło pierwszych z pod prawa żadnym osobnym stałym dekretem [2]. Gdyby bowiem taki edykt proskrypcyjny już istniał, to jakim sposobem mógł go nie znać Pliniusz, prawnik, senator i konsul, wmieszany w całą politykę swoich czasów? Czemu, pytamy dalej, jest tu tak bezradny i niezdecydowany, i czemu nie wie, pod jaki paragraf kodeksu karnego podpadają stojący przed jego trybunałem wyznawcy Chrystusa? „Nie wiem, — wyznaje on, — o ile ich badać i karać należy?“

[1] Pliniusz, księga X, list 97. Zdaniem p. Aubé, pochodzi list Pliniusza z r. 112 po Chr. Zob. jego przytoczone już dzieło: *Histoire des Persécutions*. T. I.

[2] List ten dowodzi, pisze Duruy: „qu'il n'y avait pas encore eu contre eux d'information juridique, de décision solennelle ni de persécution générale“. *Histoire des Romains*. T. IV, str. 293.

Skazał wprawdzie na śmierć niektórych za ich „nieposłuszeństwo i upór“, ale czując brak podstawy prawnej tych egzekucyj, nie chce postępować dalej samowolnie i prosi cesarza, „by usunął jego wątpliwości i oświecił jego niewiadomość“. I nic dziwnego, że nawet lekceważący życie cudzoziemca żołnierz rzymski czuł się zaniepokojonym w sumieniu karami, które dotychczas wymierzał na chrześcijan, i dalsze badania zawiesił, czekając rozkazów cesarskich. Nic im bowiem zarzucić nie może, prócz sprzyjania zabobonowi; owszem, jest on zniewolony przyznać chrześcijanom ścisłe stosowanie się do praw państwowych i pielęgnowanie tych cnót, które Trajan publicznie nagradzał[1]. „Mają chrześcijanie zwyczaj,—czytamy w jego liście, — gromadzić się dla jedzenia wspólnie potraw niewinnych, czego jednak się wyrzekli, kiedym ogłosił Twój rozkaz, zabraniający wszelkich zgromadzeń; zobowiązują się także przysięgą nie popełniać nigdy cudzołoztwa, ani innej niegodziwości“.

Jakie stanowisko zajmie teraz cesarz w obec chrześcijan? Mógł Trajan nie zważać na krzyki pospólstwa, lub na denuncyacye żydów, którzy stali zazwyczaj u boku motłochu, ile razy nadarzyła się sposobność szkodzenia chrześcijanom; ale nie mógł ignorować prośby urzędnika, żądającego instrukcyi w sprawie tak ważnej, tem więcej, że podobne zapytania nadchodziły prawdopodobnie do Rzymu i z Grecyi i z Afryki i z innych prowincyj. Odpowiedź jego brzmi: „Dobrze sobie postąpiłeś, Sekundusie, przy badaniu osób, oskarżonych jako chrześcijan, gdyż trudno w tego rodzaju sprawach wydawać jakieś postanowienia ogólne i niezmienne. Wyszukiwać chrześcijan nie trzeba, lecz gdy zostali oskarżeni i przekonani, należy ich karać[2]. Jeżeli zaś

[1] Aby zwalczać konkubinat, wydawał Trajan wielkie sumy na wychowanie biednych dzieci prawego łoża. W mieście Vellei np., pobierało utrzymanie z fundacyi 245 chłopców i 34 dziewcząt z prawych związków pochodzących, a tylko 1 chłopiec i 1 dziewczyna nieprawego łoża. Zob. Holzwarth, l. c. T. III, str. 147.

[2] Conquirendi non sunt, si deferentur et arguantur, puniendi sunt.

oskarżony zaprzecza i dowodzi tego, wzywając naszych bogów, należy mu darować, choćby nawet podejrzenie na nim ciążyło".

Na mocy tego reskryptu nie wolno zatem trybunałom państwowym przyjmować skarg anonimowych. Nie należy chrześcijan karać, jeśli się nikt na nich nie żali. Gdyby jednak śledztwo udowodniło któremu z nich zbrodnię, — a zbrodnią jest odtąd już samo uporczywe trwanie przy imieniu chrześcijanina, — należy go ukarać śmiercią. Kodeks karny rzymski zbogacił się więc o nowy paragraf, odejmujący wiernym na przyszłość prawo egzystencyi w państwie. Chrześcijanin znajduje się od tej chwili poza prawem, i spotyka się na każdym kroku z okrzykiem: Precz z wami! *Non licet vos esse!*

Jak wytłómaczyć to wrogie względem chrześcijan usposobienie cesarza, którego rządy cechowała zresztą łagodność i sprawiedliwość względem poddanych? Nerona i Domicyana skłoniły do prześladowania chwilowy kaprys i rzeczywista czy urojona potrzeba bronienia tronu; u Trajana, przejętego jedynie myślą o wielkości ojczyzny, szukać musimy głębszego powodu, i znajdujemy go w dawniejszym jego reskrypcie przeciw heteryom czyli stowarzyszeniom nielegalnym. Rozporządzeniem tem rozwiązał on wszystkie istniejące w państwie stowarzyszenia religijne i towarzyskie, z tego powodu, że mogły się łatwo zamienić w kluby polityczne, spiskujące pod osłoną bóstwa i świątyni przeciw bezpieczeństwu państwa. Ostały się tylko stowarzyszenia starodawne, uświęcone zwyczajem i prawem.

Ta sama racya stanu, co zniosła heterye w państwie, podyktowała powyżej przytoczoną odpowiedź Pliniuszowi, która jest niczem innem, jak zastosowaniem edyktu ogólnego do poszczególnego stowarzyszenia. Surowe zaś kary, wymierzone przeciw chrześcijanom, tłómaczą się wyjątkowo niebezpiecznym charakterem ich wiary dla religii panującej. Chrystyanizm stanął już bowiem w obec państwa, jako dobrze zorganizowana korporacya, której członkowie w Azyi w ścisłej zostawali łączności z braćmi swymi w Afryce, Achaji, Italii i Gallii, która

obierała sobie sama urzędników i przełożonych, rządziła się podług własnego kodeksu, za ojczyznę uważała niebo, a co najgorsza, nieprzejednany czuła wstręt do bogów państwowych, i na ich zgubę czyhała. Mógł z tych bogów szydzić filozof lub poeta, mógł ich ośmieszyć żołnierz w obozie lub aktor na scenie, mógł ich lekceważyć bez szkody dla państwa cezar, a nawet kapłan, przeznaczony do ich obsługi; jeśli jednak to szydzenie płynęło z ust szeroko po całem państwie rozgałęzionej korporacyi, i to jeszcze nie dozwolonej, równało się to już zbrodni stanu. Kult bogów państwowych był bowiem częścią składową patryotyzmu rzymskiego; *jus sacrum* uchodziło za część *juris publici*, za najprzedniejszą instytucyę państwową, której świetność była warunkiem i podstawą świetności samego państwa [1].

Reskrypt Trajana nie oznacza bliżej rodzaju kary na chrześcijan, do niedozwolonej odtąd koporacyi *(collegium illicitum)* należących. Było to rzeczą zbyteczną. Każdy bowiem urzędnik wiedział już dobrze, że należenie do stowarzyszenia niedozwolonego podpada pod paragraf zbrodni stanu *(laesa maiestas)*, za którą niewolnicy szli na krzyż lub do walki z dzikiemi zwierzętami, wolni zaś na ścięcie lub wygnanie.

Prócz paragrafu *laesae maiestatis*, winni byli jeszcze chrześcijanie zbrodni wzgardy bogów i cesarza *(sacrilegium, ἀσεβεῖα, impietas in deos et principes)*, która zostawała w ścisłym związku ze zbrodnią zdrady stanu, i tej samej co i ona podlegała karze. *Sacrilegi et maiestatis rei convenimur: summa haec causa, immo tota est.* „Oskarżają nas o zbrodnię świętokradztwa i pomawiają o bunt przeciw państwu: główna to wina i nawet jedyna“, — woła Tertullian w swej Apologii [2]. Ściągnęli zaś chrześcijanie na siebie ten zarzut nowy przez

[1] Le culte était une partie du patriotisme, et la première des institutions de la Cité; sa prospérité semblait faire celle de l'État; de sorte que tout ce qui menaçait la religion officielle, était une menace contre l'État lui même. Duruy l. c. T. IV, str. 55. Porówn. Niehues, l. c. str. 57; Marquardt, l. c. T. II, str. 78; Aubé, l. c. str. 78.

[2] Apolog. 10.

odmawianie pokłonu posągom Jowisza, i Romy i panującego cesarza. „Gdyby chrystyanizm, — powiedział trafnie biskup Greppo, — był mógł wejść jakim sposobem w alians z religią cezarów, byliby go uznali, a przynajmniej tolerowali jako sektę filozoficzną, i byłby tylko jeden Bóg więcej w rzymskim Panteonie; ponieważ jednak z swej istoty nie znosi on żadnego obok siebie boga, więc był prześladowany, jako *sacrilegium*“ [1].

Gdy zaś nikt skarżyć nie będzie, — pisze dalej Trajan do Pliniusza, — zostaw chrześcijan w spokoju. Oskarżycieli jednak nie brakło. Ilekroć głód, lub zaraza nawiedziły państwo, ilekroć rzeki wylały, lub orły rzymskie doznały porażki, lub inne jakie klęski publiczne spadły na kraje, ukazywał się przed trybunałem oskarżyciel w osobie ludu, wołając: *Tolle atheos! tolle christianos! christiani ad leones, christiani ad ignem!* Precz z chrześcijanami! na arenę lub na stos z nimi, oni to ściągnęli na nas gniew bogów! Zabobonne te tłumy jeszcze inną przeciw wyznawcom Chrystusa podnosiły skargę. Uważały one instytucyę egzorcyzmu za szkołę zbrodniczej magii, a cudowne uleczania, dokonane słowem wiernych, za skutki czarów poczytywały; ztąd żądały na nich kary, należnej magom *(magi, malefici)*, to jest spalenia ich na stosie z magicznemi pismami.

Wskazując na trzy wymienione paragrafy [2], *(crimen laesae majestatis, sacrilegium, magia)* jako na prawną podstawę prześladowania chrześcijan za Trajana i jego następców, nie chcemy bynajmniej twierdzić, żeby sądy posługiwały się naraz wszystkimi przeciw chrześcijanom w każdym poszczególnym pro-

---

[1] Greppo, *Trois mémoires relatifs à l'histoire ecclésiastique des premiers siècles.* Lyon, str. 236.

[2] Zob. Le Blant, *Sur les bases juridiques des poursuites dirigées contre les martyrs.* Rozprawa drukowana w *Comptes rendus de l'Acad. des Inscriptions. Nouvelle série.* T. II. Paris 1866, str. 358—373. Zob. także artykuł Görres'a: *Christenverfolgungen* w Kraus'a *Real-Encyklopädie der christlichen Alterthümer,* tudzież Kraus, *Roma Sotterranea*, str. 47 i 48. Słynny rzymski jurysta, Domicyusz Ulpianus, zestawił pierwszy koło roku 233 w jeden traktat wszystkie przeciw chrześcijanom wydane prawa. Resztki z tego traktatu przechowały się w Digestach Justyniana.

cesie; w praktyce wystarczał już jeden z nich do wydania wyroku śmierci na oskarżonego. Zaznaczamy tylko, że wrogie te prawa istniały bez przerwy w wieku drugim i trzecim, choć każdy chrześcijanin mógł dać odpowiedź swoim nieprzyjaciołom podobną do tej, jaką daje w Fabioli rycerz chrześcijański Sebastyan cesarzowi Maksymianowi, na zarzut niewdzięczności i zdrady: „Posłuchaj mnie Maksymianie, — mówi on, — może raz ostatni. Powiedziałem, iż jestem chrześcijaninem, i właśnie w mojem wyznaniu masz najlepszą bezpieczeństwa swego rękojmię. — Jakto niewdzięczniku! — zawołał Maksymian. — Tak jest, najjaśniejszy panie! jeśli chcesz mieć przy twoim boku straż złożoną z ludzi, którzy ostatnią kroplę krwi chętnie za ciebie przeleją, pójdź do więzień i wypuść chrześcijan, przykutych łańcuchami do posadzek i ścian tych lochów, poszlij do trybunałów i każ zdjąć napół posiekanych wyznawców z tortury i rusztów żelaznych, poślij rozkaz do amfiteatrów, aby wyrwano napół poszarpanych chrześcijan z paszczy tygrysów, — dozwól im przyjść do siebie, daj im broń do ręki i otocz się nimi; to spotwarzone, pokaleczone wojsko, służyć ci będzie wierniej i szczerzej i z większem poświęceniem, aniżeli wszystkie dackie i panońskie legiony! Odebrałeś im połowę krwi, a oniby ochoczo drugą połowę za ciebie przelali“.

Byli wprawdzie panujący, co poznawszy bliżej charakter chrystyanizmu, tej daniny krwi od jego zwolenników nie żądali; ale nienasyconą zemstą pałało nieustannie przeciwko nim w tym peryodzie pospólstwo. Znaczną część szyderstw, któremi ono ścigało chrześcijan, przechowały nam dzieła Minucyusza Feliksa, Tertulliana, Orygenesa, Euzebiusza, a dziś podaje nam archeologia do historyi tych czasów nowe i niepodejrzane świadectwa, pochodzące z ręki samych prześladowców. Przytoczymy tu tylko jedno; wystarcza ono zupełnie do wyrobienia sobie sądu o usposobieniu ówczesnego pospólstwa względem chrześcijan. Jest to rysunek, wykonany nożem, lub innem jakiemś ostrem narzędziem na murze, a odkryty

w Rzymie w r. 1856, przez O. Garrucciego T. J.[1], na ścianie starego budynku, u południowo-zachodniego stoku palatyńskiego wzgórza (zob. fig. 1). Przedstawia on postać ludzką z oślą głową, ubraną w krótką tunikę i tak zwane *fasciae crurales* (spodnie), przymocowaną do krzyża, kształtu litery T. Ręce

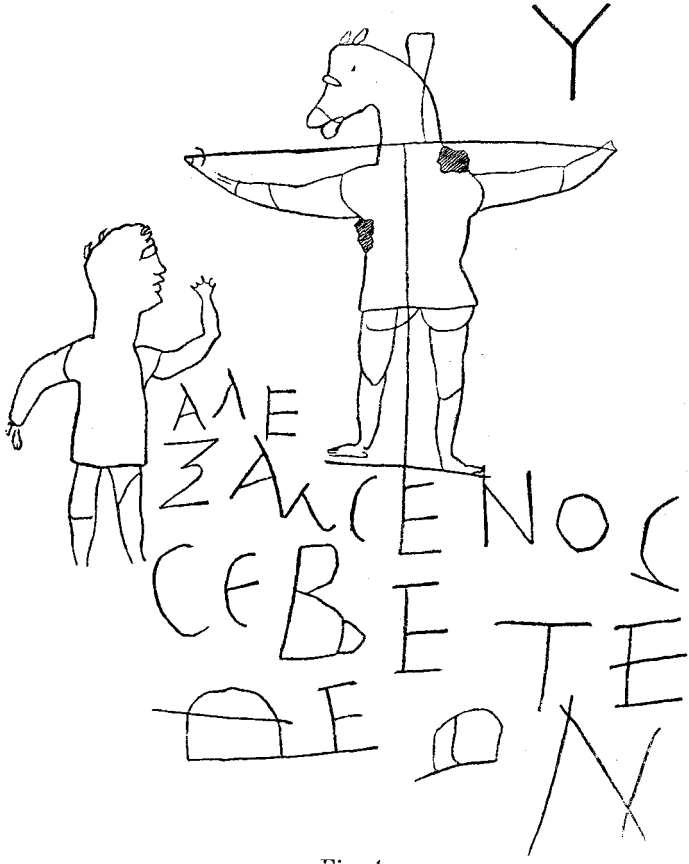

Fig. 1.

ma rozpięte wzdłuż belki poprzecznej, nogi stoją jedna obok drugiej na podnóżku *(suppedaneum)*. Po prawej ręce ukrzyżo-

[1] O. Garrucci publikował ten rysunek po raz pierwszy w r. 1857 w miesięczniku *Civiltà Cattolica* pod tytułem: *Il crocifisso graffito in casa dei Cesari*. Zob. także jego: *Storia della Arte Cristiana nei primi otto secoli della Chiesa*. Prato 1881, T. VI, str. 135—140.

wanego stoi człowiek w podobnym stroju, i rzuca mu ręką pocałunek. Kto on jest, i co ten pocałunek znaczy, tłómaczy nam umieszczony między osobami i pod krzyżem następujący napis:

ΑΛΕ
ΣΑΜΕΝΟC
CEBETE
ΘΕΟΝ

Ἀλεξάμενος σέβετε [1] θεόν. Aleksamenos czci (swego) Boga. — Znaczeniu wyrazu σεβομαί odpowiada zupełnie gest ręki Aleksamenosa; wiemy bowiem z dzieł autorów pogańskich [2] i chrześcijańskich [3], że przy adoracyi bóstwa przybliżano zwyczajnie lewą rękę do ust i całowano ją, podczas gdy prawa dotykała posągu lub ołtarza.

W jakim związku zostaje ten pomnik z historyą prześladowań? O. Garrucci uważa go za karykaturę Chrystusa, nikt bowiem prócz chrześcijan nie czcił Boga ukrzyżowanego, i widzi w nim zarazem ilustracyę do słów Tertulliana: „W pobliskiem mieście pojawiła się nowa publikacya na naszego Boga. Jakiś wrogi nam kupiec, aby w błąd wprowadzić zwierzęta, wydał tam malowidło i dołączył doń następujący napis: Bóg chrześcijański o oślej głowie. Miał on uszy ośle, jedną nogę zakończoną w kopyto, w ręce niósł książkę, a ubrany był w togę“ [4]. Na zdanie O. Garrucci'ego zgodzili się najwybitniejsi

[1] σεβετε zamiast σέβεται, od σέβομαι: oddawać komuś cześć boską.

[2] Plin. N. H. XVIII, 2: „in adorando dexteram ad osculum referimus“.

[3] Minuc. Fel. Octavius, 2: „Caecilius, simulacro Serapidis denotato,... manum ori admovens, osculum labiis impressit“.

[4] Tertull. Apolog. XVI. „Nova iam Dei nostri in ista proxime civitate editio publicata est, ex quo quidam frustrandis bestiis mercenarius noxius picturam proposuit cum eiusmodi inscriptione: Deus Christianorum ONOKOITHΣ. Is erat auribus asiniis, altero pede ungulatus, librum gestans et togatus. Risimus et nomen et formam“. Porównaj także Tert. I. Ad nationes, XIV, gdzie chrześcijanie są zwani: Asinarii, Asinicolae, i Minuc. Fel. Octavius, IX i XXVIII. Zarzut czcicieli osła odziedziczyli chrześcijanie po żydach; odpierał go już Józef Flawiusz (Contra Apionem, lib. II, c. 8).

archeologowie współcześni. Wkrótce potem, bo r. 1870, zdanie to znalazło nowe uzasadnienie w innym napisie, odkrytym w pobliżu bluźnierczego obrazu przez znakomitego znawcę starożytności klasycznych i chrześcijańskich, Karola Ludwika Visconti'ego [1]. Napis ten brzmi:

ALEXAMENOS FIDELIS

Aleksamenos wierny. — Jest to wymowny komentarz do napisu pierwszego: nazwa bowiem *Fidelis* niemal wyłącznie chrześcijan oznaczała [2].

Kto jest autorem tego paszkwilu, wymierzonego przeciw Chrystusowi i jego słudze Aleksamenowi? Odpowiedź na to pytanie daje nam miejsce jego znalezienia. Jestto *paedagogium* czyli szkoła chłopców, urodzonych i wychowywanych w pałacu cesarskim na paziów [3]. W wielkiej części byli oni oczywiście poganami; ale znalazł się paź Aleksamenos, chrześcijanin, i jego to wiarę wyśmiewa kolega poganin, kreśląc dla zabawki na ścianie bluźnierczy wizerunek jego Boga [4].

Pomnik ten pochodzi prawdopodobnie z owego czasu, kiedy kalumnia, że chrześcijanie czczą osła, krążyła wśród pogan Afryki i Italii, a zbijali ją apologeci chrześcijańscy Tertullian i Minucysz Feliks. Wszyscy znawcy starożytności zgadzają się na to, że w żadnym razie nie jest późniejszy nad pierwszą połowę trzeciego wieku, w którym to czasie Tertullian woła z tryumfem: *implevimus palatium* — pełno nas już w pałacu cesarskim!

Nasuwa się tu ważne pytanie, jak Kościół formalnie proskrybowany tyloma paragrafami kodeksu kryminalnego, a nienawiścią ludu ciągle zagrożony, mógł się nietylko ostać, ale

---

[1] Zob. u Kraus'a: *Das Spottcrucifix com Palatin*, str. 12, 13 i *Real-Encycl.* artykuł: *Spottcrucifix.*

[2] Jest tu jeszcze inny ciekawy napis. Pod imieniem Libanus czytamy słowo episcopus. Widoczna, że koledzy żartem nazywali chrześcijanina Libanusa biskupem. Zob. Rossi, *Bullett.* 1863, str. 72.

[3] Visconti sądzi, że ta sala była mieszkaniem przybocznej gwardyi cesarskiej. W takim razie byłyby napisy żartami żołnierskimi.

[4] Porów. przytoczony (w zesz. poprzednim *Przeglądu*) na str. 356 napis pompejański, gdzie poganin zwie chrześcijańskiego nauczyciela mułem.

nawet coraz więcej rozszerzać i wśród niższych warstw społecznych i wśród arystokracyi?

W pierwszym wieku, jak widzieliśmy, zasłoniła go Opatrzność przywilejami, które prawodawstwo rzymskie przyznało synagodze; w drugim i trzecim obmyśliła mu inny tytuł i inną formę egzystencyi.

Opowiada Swetoniusz o Cezarze, że imperator ten rozwiązał wszystkie stowarzyszenia w Rzymie z jedynym tylko wyjątkiem żydów i kolegiów, oddawna legalnie istniejących: *Cuncta collegia, praeter antiquitus constituta, distraxit* [1]. Jego następcy zajęli takie same nieprzychylne stanowisko względem kolegiów, znajdujących się na prowincyi, ścigając surowemi karami nieposłusznych. Żeby zatem nie ściągnąć na siebie prześladowania, inskrypcye korporacyj z owych czasów wspominają wyraźnie o pozwoleniu cesarskim lub senatu, na mocy którego istnieją.

Collegia tria, quibus ex senatus consulto coire permissum est [2]. Trzy kolegia, którym wolno się zgromadzać na podstawie rozporządzenia senatu.

Collegium fabrum lignariorum, quibus ex S. C. coire permissum est [3]. Kolegium cieśli, którym wolno i t. d.

Tylko kolegia *antiqua et legitima* nie potrzebowały powoływać się za każdym razem w swych napisach na pozwolenie władzy, istniały bowiem w zupełnym spokoju, zabezpieczone edyktami Cezara, Augusta, Trajana, Septymiusza Sewera i innych cesarzy. Jakież są te kolegia, i jaka ich natura i organizacya?

Marcyan, przywodząc w *Digestach* prawa przeciwne heteryom, dodaje, że nieprzyjazne owe edykta nie odnoszą się bynajmniej do kolegiów, utworzonych przez biednych *(collegia tenuiorum)*. „Pozwala się ubogim łączyć się w kolegia i składać do wspólnej kasy datek miesięczny, byle się nie zbierali częściej jak raz w miesiąc, aby pod imieniem korporacyi ubogich

[1] Sueton. Caes. 42. Porów. także Octav. 32.
[2] *Corpus Inscriptionum Latinarum* Berolini, 1872 ssq. T. V., n. 7781.
[3] *C. I. L.* T. IX, n. 2213.

nie zgromadzało się kolegium niedozwolone. Rozporządzenie to dotyczy, według edyktu cesarza Sewera, nietylko Rzymu, ale także Italii i prowincyj“ [1].

Niejasny ten passus kodeksu, w ścisłej zostający łączności z prawami, które przyznawały prawną egzystencyę kolegiom starodawnym i legalnym, wytłómaczył pierwszy Mommsen [2] przy pomocy napisu z r. 133 po Chr., znalezionego w r. 1816 w Lanuwium. Pierwsza jego część podaje datę założenia w tem mieście kolegium pod imieniem Diany i Antinousa; druga przytacza ustęp rozporządzenia senatu, który określa bliżej, komu i pod jakimi warunkami wolno łączyć się w stowarzyszenie.

Napis brzmi jak następuje:

M. Antonio Hibero P. Mummio cos. Kal. Ian. collegium salutare Dianae et Antinoi constitutum, L. Caesennio L. f. Quir. Rufo dictatore III idemque patrono. Kaput ex s. c. populi romani. Quibus coire convenire collegiumque habere liceat. Qui stipem menstruam conferre volent in it collegium coeant, neque sub specie eius collegi nisi semel in mense coeant conferendi causa, unde defuncti sepeliantur [3].

„Odezwa do tych wszystkich, którym wolno uczęszczać na zebrania i być członkami stowarzyszenia. Ktoby chciał złożyć miesięczny datek, niechaj przystąpi do tego kolegium. Niewolno jednak zgromadzać się częściej, z tytułu należenia do tego stowarzyszenia, jak raz na miesiąc. Miesięczna wkładka przeznaczona będzie na sprawienie pogrzebu dawcy“.

Ostatnie zdanie mówi, że wkładka miesięczna *(stipes menstrua)* idzie na pogrzeb sodalisa. Cel zatem stowarzyszenia jest pogrzebowy, więc i samo stowarzyszenie bractwem z chara-

---

[1] Sed permittitur tenuioribus stipem menstruam conferre, dum tamen semel in mense coëant, ne sub praetextu huiusmodi illicitum collegium coëat. Quod non tantum in urbe, sed et in Italia et in provinciis locum habere divus quoque Severus rescripsit. (Digest. XLVII, 22, 1).

[2] Mommsen, *De collegiis et sodalitatibus.* Kiliae 1843, str. 87 i nast.

[3] Zob. Mommsen l. c. Porówn. także Łyskowski, *Die collegia tenuiorum der Römer. Inaugural-Dissertation.* Berlin. 1888, str. 10.

kterem ściśle pogrzebowym. Wprawdzie nie podaje nasz napis imienia stowarzyszenia: widoczna jednak, że zwało się ono *collegium funeraticium* pod wezwaniem bóstw Diany i Antinousa. Ponieważ zaś przytoczony ustęp *Digestów* jest jakby dosłownem powtórzeniem rozporządzenia senatu, wyrytego na kamieniu lanuwskim, rzeczą jest tedy pewną, że Marcyan, mówiąc o przywilejach, przyznanym kolegiom *tenuiorum*, ma na myśli *collegia funeraticia*, które znowu nie są czem innem, jak owemi stowarzyszeniami staremi i legalnemi, *collegia antiqua et legitima*.

Po Mommsenie rzucił na naturę tych kolegiów nowe światło komandor de Rossi[1]. Przypatrzmy się im jeszcze bliżej— one to bowiem wytłómaczą nam i formę i tytuł egzystencyi wyznawców Chrystusa, a zarazem ich stosunek do państwa w tym peryodzie.

Cel ich — powiedzieliśmy już — jest ściśle pogrzebowy, a ztąd zwą się *collegia funeraticia*. Nazwę *collegia tenuiorum* noszą dlatego, że składały się głównie z członków ubogich, a nawet niewolników[2]; jako zaś stowarzyszenia istniejące legalnie od dawien dawna, nazywają się *collegia antiqua et legitima*. Obok tych imion, wynikających z samej ich natury, przybierają nieraz jeszcze inne. Czasami mienią się czcicielami Jowisza, Herkulesa, Diany i Antinousa, Apollina, Eskulapa i Hygii i t. d. (*Cultores Jovis, Herculis, Apollinis, collegium salutare Dianae et Antinoi etc.*). Innym znów razem przyjmują nazwę od miejsca, gdzie się towarzysze zbierali, np.: *collegium, quod est in domo*

---

[1] Rossi, *Roma Sotterranea*. T. I, str. 102 i nast. i *Bullett. di arch.* 1865, n. 12. — Porówn. Kraus, *Roma Sotterranea*, str. 56. — Cte de Champagny, *Les Antonins*. T. III. *Appendice*. str. 437—446. — Zell, *Handbuch der römischen Epigraphik*. II Theil. *Anleitung zur Kenntniss der römischen Inschriften*. Heidelberg 1852, str. 237 i nast. — Becker Ferdinand, *Roms altchristliche Coemeterien*. Düsseldorf 1874, str. 26 i nast.

[2] Zwłoki niewolników palono na stosach publicznych (*ustrinae publicae*), albo wrzucano je do wspólnych dołów (*puticuli, fossae communes*) wraz ze zdechłemi zwierzętami i śmieciami. Doły takie odnaleziono na górze eskwilińskiej i innych miejscach. Jeśli tedy niewolnik (*misera plebs, cilia mancipia*) chciał ujść tak podłego pogrzebu, zostawał członkiem bractwa pogrzebowego.

Sergiae Paulinae — kolegium, które odbywa swe posiedzenia w domu Sergii Pauliny. Niekiedy wreszcie zwały się czcicielami znakomitego dobrodzieja, żywego lub zmarłego, który dał im areę, czyli miejsce na wspólny cmentarz. Wspólna cześć jakiegoś bóstwa była tylko dalszym celem tych stowarzyszeń. Napisy głoszą wyraźnie, że członkowie wiązali się w bractwo i składali do wspólnej kasy pewną sumę pieniężną, głównie w celach pogrzebowych [1], jako to: by kupić wspólną areę, zapewnić sobie uczciwy pogrzeb i czcić przez wspólne uczty i aniwersarze swoich zmarłych sodalisów.

Zarząd stowarzyszenia spoczywał w rękach osobnego wydziału *(ordo)*, do którego, prócz protektora bractwa *(patronus, pater, mater collegii)*, należeli między innymi naczelnik *(magister)*, kasyer *(quaestor)*, pisarz i kursor. Członkowie nie piastujący żadnego urzędu zwali się w przeciwieństwie do wydziału: *populus* albo *plebs sodalitatis*. W obec trybunałów państwowych reprezentował i bronił spraw brackich syndyk stowarzyszenia.

Bractwo rozporządzało nieraz wcale pięknym majątkiem, który powstawał bądź z opłaty uiszczanej przez każdego członka przy wstępie do kolegium, bądź z wkładki miesięcznej, bądź z legatów bogatszych członków lub protektorów.

Przypatrzmy się wydatkom bractwa. Z wspólnej kasy *(arca)* zakupywano najpierw winnicę, której część obracano na cmentarz, a resztę na utrzymanie stróżów. Na cmentarzu stawiano między innemi budynek *(schola)*, przeznaczony na zebrania i wspólne uczty, i urządzano go nieraz z wielkim przepychem. Uczty odbywano często. Tak święcono np. wspólną biesiadą dzień założenia bractwa *(dies natalis collegii)* i dzień śmierci znaczniejszych dobrodziejów. Ucztą rozpoczynał swe urzędowanie nowo obrany przewodniczący bractwa; w niektórych miejscach obchodzono także uroczyście dzień poświęcenia cmentarza *(dies natalis monumenti)*. Osobny kalendarz podawał

[1] „L'essenza del privilegio concesso dalla legge ai *tenuiori*, era di potersi associare per pagare una *stipe menstrua*, e così avere un'area, e con questa procurarsi un luogo commune di sepoltura, che appellavasi *area* e *locus sepulturae*“. Zob. Rossi, *R. S.* T. I, str. 103.

wreszcie porządek ceremonij i uroczystości, święconych rokrocznie na cześć bóstwa opiekuńczego.

Jeśli sodalis umarł, natenczas albo samo kolegium sprawiało mu pogrzeb, albo wypłacało jego krewnym pewną kwotę na opędzenie kosztów pogrzebowych. Prócz tego rozdawał zarząd bractwa między osoby, co stawiły się na pogrzeb i podobnie w rocznice śmierci, po kilka sesterców, a przy pogrzebach wybitniejszych członków, jeszcze chleb i wino. Takie libacye urządzały także dla uczestników pogrzebu pojedyńcze familie w swych mauzoleach prywatnych; ztąd przepełnione były cmentarze prawie codziennie gośćmi, spragnionymi stypy.

Otóż z tych zwyczajów i przywilejów stowarzyszeń pogrzebowych skorzystał Kościół od chwili, kiedy reskrypt Trajana wyróżnił go od synagogi i pozbawił prawa własności i egzystencyi. Dowody tego twierdzenia zobaczymy.

(Dok. nast.).

Ks. Bilczewski.

WSPOMNIENIA
Z AMERYKAŃSKIEJ WOJNY DOMOWEJ.

(Dokończenie).

Nie darmo te odległe strony uchodzą za główne siedlisko żółtej febry. Ulewne deszcze, przerywane raz po raz jednodniowym lub kilkogodzinnym skwarem, obok braku zdrowej wody, oczywiście przeróżne szerzą zarazy. Dysenterya na dobre w obozie się rozgościła, a i nowy onego pasterz zapadł na zdrowiu, nie zaopatrzywszy się zawczasu w flanelową odzież, która, przy ciągłych odmianach klimatycznych, jest tu całkiem niezbędną. A tymczasem parafia jego wciąż rosła; każdy przybywający statek wyrzucał na wyspę św. Rozalii nowe posiłki wojska regularnego, złożonego w znacznej części z katolickich Irlandczyków. Wielu z nich od sześciu lub ośmiu lat nie widziało księdza katolickiego, a w każdym razie nigdy im nie było danem patrzeć na oddawane honory wojskowe kapłanowi, do pocztu oficerów zaliczonemu. Nie posiadali się też z radości, patrząc, jak szyldwachy salutowali Ojcu Nash, który w dalszym ciągu swych zapisków tak się odzywa:

„Nowojorski Herald zawezwał mnie na wojennego korespondenta z placu boju, obiecując 20 dolarów za każdy list. Nie podjąłem się tego zaszczytnego i korzystnego obowiązku. Zarzucają nas tu mnóstwem protestanckich broszur i dzienników. W braku innych książek, chłopcy z ciekawością czytają

nikczemne napady na naszą wiarę, z których przeważnie się te druki składają. Redaktor katolickiej w Nowym Jorku gazety pisał także do mnie, proponując, iż mi przyśle tyle egzemplarzy *Tablet'u*, ile potrzeba do rozdania między żołnierzy, bylem tylko zechciał pisywać do tegoż dziennika. Przyjąłem ochotnie, i dostarczać mu będę wiadomości, podpisując się: *Santa Rosa.*

„Wątpię, aby ktokolwiek, misyonarz czy żołnierz, więcej kiedy znosił od nas trudów. Uchwyciliśmy się wszyscy obcego nam zawodu. Znajdujemy się pod zmienionym nieboskłonem, w wygrzewalni żółtej febry i innych chorób. Strawa żołnierska, acz obfita, nad wyraz jest skromną. Ale wszystko co cierpimy, zamienia się w zasługę dla wieczności. W tej też myśli wesoło znosimy wszelkie trudy i niewygody".

„Oficerowie postanowili zwiedzić i dalsze części wyspy, i przypuścili mnie do uczestniczenia w tej wycieczce. Wybraliśmy się wczesnym rankiem, na dobrych koniach, w licznem towarzystwie; zmierzając wciąż ku wschodowi, niebawem spostrzegliśmy, iż wyspa niebezpiecznie się rozszerzała, jak na nasze szczupłe siły, dalej zaś gęsto porastała wspaniałemi jodłami. Co za miejsce na rozłożenie obozu! Czy tylko nieprzyjaciel tej samej myśli nie miał uprzednio, czy nie zapuszczamy sie zbyt daleko? Tymczasem postępowaliśmy dalej, trzymając się środka wyspy, i spotykając naprzemian: to znaczne wydmy piaskowe, to znów głębokie wśród nich doliny, to różnokształtne jeziora, to nareszcie gęste zagajenia. Szalone burze wciąż zmieniają zewnętrzną postać naszej wyspy, kształtują nowe góry i doliny; głębsze zaś z tych ostatnich, po każdej słotnej porze, zamieniają się w malownicze jeziora.

„Odkrycie tych jezior najmilszą sprawiło nam niespodziankę. Konie nasze potrzebowały swe pragnienie ugasić. Nieświadomi głębokości i rodzaju dna, jechaliśmy ostrożnie wzdłuż wąskiego a długiego stawu. Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, spostrzegliśmy, iż brzegi silnie były wyłożone kamieniami. Alboż to jezioro zajmowało miejsce jakiej dawnej warowni, czyli to może ruiny starego zamczyska? Nagle, stanęliśmy

u przerwy murowanego nadbrzeża. Przerwa ta tworzyła naturalny pójnik dla zmęczonych koni. Tymczasem biedne zwierzęta chrapały i cofały się, jakby tknięte nieopisaną grozą, odstępując od nęcącej chłodem wody. Jakaż owego przestrachu może być przyczyna? Patrzcie, ile tam wiórów na powierzchni płynie! — zawołał jeden z nas. — Alboż to wystarcza, aby odstraszyć trzydzieści zdrożonych koni? — pytali inni. — Bliższe zbadanie wykazało, iż to, co braliśmy zrazu za heblowiny drzewne, nie było niczem innem, jeno paszczami aligatorów. Tułowy ich znikały pod wodą, uwidoczniając tylko wysterczające nad powierzchnię długie pyski łakomych potworów. Jeden z nas rzucił w wodę kawałek chleba, dla przekonania się, czy istotnie mniemane heblowiny należą do żywych gadów. Zaledwie kromka musnęła falę, aliści całe stawisko się poruszyło, jakoby pod wpływem nawalnego wichru. Zrozumieliśmy teraz zalęknienie naszych koni! Opodal od tego samego jeziora spotkaliśmy rodzaj bagniska, gęsto porosłego kwiatami, kaktusami i powikłaną roślinnością. Forteca to niedostępna dla ropuch, wężów i aligatorów. W gajach obwarowanych obecnością tych płazów i gadów, ptaki licznie i bezpiecznie osiadają, wiedząc, iż nikt nie wtargnie do ich siedziby, ani im gniazdek nie zepsuje. Skądże tak bujna roślinność na ławie piaszczystej wyspy św. Rozalii? Nie trudno sobie wytłómaczyć. Wiatry ekwinokcyalne rzucają tu mnóstwo rozbitych szczątków, które, powoli niszczejąc, wytwarzają pokład murszu i rodzajnej ziemi".

Następnych dni projektowano zbrojną wycieczkę dla zdobycia uwijającego się na wybrzeżach statku nieprzyjacielskiego. Naznaczeni do udziału w tej wyprawie ludzie, hurtownie się cisnęli do spowiedzi, aby się na przypadek śmierci przygotować. Wszelako zamierzona wycieczka spaliła na panewce; a że urzędowe rozkazy ściśle zalecały opóźniać rozpoczęcie wojennych kroków, obozowa jednostajność zawisła ponownie nad całą wyspą.

„Podczas słotnej pory, — pisze ks. Nash, — mało kto mógł się docisnąć do ciasnego namiotu, w którym się Msza św.

odprawiała. Postanowiłem tedy korzystać z najbliższej pogody, aby znów na otwartem miejscu odprawić nabożeństwo. Teraz mogliśmy już wszystko daleko piękniej i lepiej ułożyć. Chłopcy nie zalegli pola, aby nadać urządzeniom naszym pozór świątyni Bożej; różne skrzynie i baryłki w odpowiedni ustawiono sposób; ołtarz ubrano jedliną. Wszyscy uczestniczyli z zapałem w przygotowaniach. Ponieważ sam zajęty byłem słuchaniem spowiedzi, zdałem całe przysposobienie na poczciwych żołnierzy. Wszystko już było w porządku, tylko komunikantów zabrakło; pospieszyłem tedy do portu, pytając, czy mają pszenną mąkę. Kwatermistrz nie tylko mi jej dostarczył, ile tylko zażądałem, ale jeszcze dopomógł mi wypiec opłatki. Na dniu 22 września pogodna zaświtała niedziela. Tłum był znaczny, ołtarz wytwornie przybrany. Rozpocząłem Mszę św. około południa; orkiestra pułkowa przygrywała, naprzemian z chórem marynarzy i żołnierzy; dwóch małych doboszów służyło mi do Mszy. Wspaniały był to widok. Nie potrafiłbym opisać tej chwili, tego miejsca, tego zgromadzenia. Załogi okrętowe wróciły na statki, wyrażając życzenia, aby co niedziela mogło się uroczyste odprawiać nabożeństwo, co przyjęto z okrzykami. Kazanie powiedziałem krótkie, z powodu osłabienia płuc, ku powszechnemu słuchaczów zadowoleniu".

Niedarmo słynie swoboda wyznaniowa, udzielana wolnym synom Ameryki, w przeciwieństwie do ucisku religijnego, przeważnie panującego na dawnym starej Europy gruncie. Kapelan polowy nie może się nachwalić ułatwień, jakie znajduje na drodze swego świętego posłannictwa: „Pułkownik wydał stały rozkaz do wart, ażeby przepuszczały przez linię wszystkich tych, którzyby do księdza spieszyli. Co więcej, gdyby im nie wystarczyło czasu dla uregulowania spraw sumienia, sierżant ma rozkaz zwalniać ich z obowiązku na moje życzenie. To też ludzie cisną się do mnie o wszystkich godzinach, po naukę i pociechę, dla spowiedzi, czytania lub pisania listów itp. Słucham spowiedzi najczęściej w moim namiocie. Warta dniem i nocą przed moim postawiona mieszkaniem, uprzedza mnie, że ten lub ów żołnierz chce się ze mną widzieć, a gdyby mnie

nie było, za powrotem mi donosi, kto się tymczasem do mnie zgłaszał. Natenczas posyłam po tych biedaków i sprawy ich załatwiam.

„Chcą oni pędzić życie chrześcijańskie, ale wielu z nich tak się opuściło, lub też takiego doznało opuszczenia, iż nie umieją innego złożyć dowodu swych katolickich przekonań i piętna, jeno tem, że się zawsze rano i wieczór przeżegnać nie omieszkali. Nieszczęśliwi, którzy za młodu nauczyli się pacierza, skutkiem długiego zaniedbania już dziś świętych słów złożyć nie umieją. Inni nawet czytać nie potrafią. Ale u wszystkich tyle dobrej woli, tyle uszanowania i posłuszeństwa dla „Ojca!“ Ci, którzy jeszcze swój pacierz umieją, uczą tych, którzy go nigdy nie umieli lub zapomnieli z czasem. Oficerowie i żołnierze, katolicy i protestanci, wszyscy mi aż do zbytku okazują wiele uprzejmej dobroci“.

I znów zbyt śmiałe obroty floty nieprzyjacielskiej zniewalają dowódców do zaczepnej wycieczki. Cztery łodzie, niosąc każda armatę polową i czterdzieści ludzi załogi, spróbować mają szczęścia, azali im się nie uda przytrzeć rogów statkowi, który się bezczelnie przysuwał na strzał bateryj północnych. Wyznaczeni na tę wyprawę katolicy przykładnie się gotowali na śmierć chrześcijańską. „Żołnierze i żeglarze, których spotykałem na wybrzeżu, gotowych do ruszenia na wroga, odzywali się do mnie: „Ojcze, prosimy o spowiedź, kto wie czy nie ostatnią!“ — Chodźcie do mego namiotu! — „Czemu nie tutaj zaraz?“ — I oto klękając na mokrym piasku, opodal wyjącej fali, w obecności tysięcy stojących z uszanowaniem i w milczeniu o parę kroków, poczciwi ci ludzie się spowiadali. Po krótkiej modlitwie wstawali, mówiąc do mnie: Ojcze, a baczcie też, aby mnie po chrześcijańsku pogrzebiono“.

Nie bez poezyi opisuje nam ks. Nash spokój tej nocy, cichość wód, niedomyślających się, iż je niedługo krew ludzka zabarwi, i że posłużą za cmentarzysko dla niejednego dzielnego życia. Wyprawa świetnie się udała, bez strat dla napastników, którzy przeważnie nieznaczne odnieśli rany, a okryli się chwałą i powodzeniem.

Z końcem dżdżystej pory rozłożono obóz w lepszem miejscu i warunkach, namioty stawiając reguralnie, niby ulice miasta. Nareszcie nasz misyonarz miał się zetknąć z wojną, i doczekać właściwego pola pracy *castrensis Missionarii*, trzymając się wciąż pilnie instrukcyj, otrzymanych od prowincyała na wyjezdnem do obozu. Nieprzyjaciel szukał tylko sposobności odwetu, i nieraz już rozstawione czaty zbudziły śpiących żołnierzy wystrzałem, roznoszącym alarm po wszystkich namiotach. Atoli zawsze się w końcu pokazało, iż aligator lub oposum, mknący wśród zarośli, jedynym był powodem bezpodstawnej trwogi i porwania się do broni. Po wielokrotnych fałszywych postrachach, fałszywe też zapanowało bezpieczeństwo, i nawet, gdy pewnej nocy liczne na linii posterunków ozwały się strzały, nikt nie przypuścił, aby to miał być rzeczywisty napad wroga. Nieprzyjaciel ogarnął obóz, zanim się opatrzono. W mgnieniu oka, cały tabor stanął w płomieniach; mnóstwo namiotów ze szczętem spłonęło, między innymi cała zakrystya Ojca Nasha. Ze świtem napastnicy umknęli; ale puścił się za nimi pościg mścicieli zrabowanego i zniszczonego obozu. Po pierwszem starciu przeciwników, Ojciec Nash pozostał w tyle, aby nieść pociechę umierającym i pomoc rannym Południowcom, których nie mała liczba leżała na piasku wyspy.

„Biedni Południowcy, — pisze ks. Nash, — nie długo mnie przy sobie zatrzymali. Kiedym im oświadczył, że jestem katolickim kapłanem, do usług ich gotowym, jeden rzekł: Kiedyindziej się do was zgłoszę; inny odparł, że jest deistą; inny jeszcze, że w nic nie wierzy i nie chce, aby go trudzono religijnemi sprawami. Ten wołał o wodę, tamten o podłożenie mu byle czego pod głowę. Jeden, z czaszką rozpłataną cięciem pałasza, błagał, aby mu ją związano: Jeśli się ruszę, na dwie strony mi się głowa rozpadnie. Szczęściem, przybliżył się doktór, a ja tymczasem mogłem pospieszyć na miejsce pierwszych zapasów.

„Tam już nie jednego biedaka martwym zastałem trupem. Idąc dalej przez wydmy i doliny piaszczyste, słuchałem na razie spowiedzi żyjących, szukając ich gdzie się dało. Wszy-

scy ranni z naszej strony, katolicy czy protestanci, ochotnie przyjmowali moje usługi. Oczywiście, nie udzielałem ani Ostatniego Pomazania, ani też Wiatyku.

„Na linii wysuniętych posterunków znalazłem dwóch śmiertelnie rannych żołnierzy wojsk skonfederowanych. Po chwili wahania powiedzieli, iż są katolikami, i wyspowiadali się przykładnie. Nieco dalej zoczyłem innego konfederata, który już ducha był wyzionął; ten widocznie musiał być także katolikiem; miał bowiem szkaplerz i świętości na szyi zawieszone. Ponieważ zastałem nieboraka klęczącego obok piaszczystej ławy, domyśliłem się, iż nie zginął na razie, lecz czując uchodzące życie, ostatnie onego chwile użył pośpiesznie na przygotowanie się pobożne do śmierci... Miłosierdzie naszych własnych rannych nad wyraz mnie w tych okolicznościach zbudowało. Pościg uchodzącego nieprzyjaciela coraz dalej wiódł walczących, którzy po sobie zostawiali ślady krwi i nie jednego rannego żołnierza. Oczywiście, znalazłem się niebawem daleko po za nimi. Każdy ranny mnie zatrzymywał i opóźniał. Słysząc atoli nieustający ogień rotowy, ci biedacy wnioskowali, iż towarzysze ich w równej zostawać muszą potrzebie duchownego poratunku, i jak najmniej czasu usiłowali mi zabrać. Jeden z nich, cierpiący widocznie straszne katusze, rzekł do mnie: „Niech Ojciec ze mną czasu nie traci, i później dopiero wróci, bo mam tylko zgruchotaną nogę". Niebawem naszedłem na innego, który też widocznie miał na myśli współtowarzyszów swoich i duszne ich potrzeby, bo odezwał się do mnie: „Niech Ojciec idzie dalej — byłem u spowiedzi w sobotę, i odtąd nic złego nie zrobiłem".

Obiegając pole walki, na jednem miejscu kapelan zastaje literalnie stosy trupów, na innem, wśród poległych, znajdowało się wielu śmiertelnie rannych, którzy tam pod skwarem słońca od wielu godzin leżeli, wystawieni na straszne męki pragnienia i napaść nielitościwych owadów. Przerażające snują się opisy pod piórem męża Bożego. Tu widział trupa wyższego oficera, na którego jakby z marmuru wykutem obliczu piorunna śmierć zostawiła pogodny uśmiech życia. Tam znów

młodzieńca, z źrenicami nawpół otwartemi, którego delikatna ręka cisnęła otwartą w boku ranę. Dalej zwłoki gołowąsego pachołęcia, który widocznie zginął od pchnięcia bagnetem w brzuch, zkąd wnętrzności jego wychodziły. Na mokrym piasku wybrzeża zdybał jeszcze ks. Nash młodego oficera wojsk skonfederowanych, któremu kula armatnia obie urwała nogi. Ale daremnie kapłan ofiarował mu swe usługi; stanowczo je odpierał, aczkolwiek zdawał się być bliskim końca. Przechodzące wozy ambulansowe pozwoliły go otrzeźwić wodą, umieszczono go starannie na jednej z podwód, ale nawet wtedy, gdy mu kapłańska ręka podawała orzeźwiający napój, innej, duchownej pomocy odmawiał. Chętniejszym się okazał biedny żuaw, ciężko ranny, który odbywszy przykładnie spowiedź, rzekł do księdza: Przed chwilą padł tu kulą ugodzony protestant, który prosił usilnie, aby Ojciec i do niego zaszedł; znajdziesz go opodal, za tą wydmą piaszczystą.—Po krótkiem poszukiwaniu znalazłem w wskazanym kierunku podoficera, leżącego tak spokojnie na piasku, krwią jego obficie zbroczonym, iż zrazu mniemałem, że trupa mam przed sobą. Chociaż spoczywał on na boku, twarz miał ku ziemi zwróconą, a ręce jakby do modlitwy złożone. Chcąc się o jego stanie upewnić, wziąłem go za rękę. Ku wielkiej mej uldze zwrócił ku mnie twarz śmiertelną bladością okrytą, otworzył gasnące oczy i rzekł: Czekałem na ciebie, Ojcze, bo umieram. — Bądźże dobrej myśli, jeszcze cię nie puścimy; takich jak ty, dziś nam najbardziej trzeba.—Niema się czem łudzić, dwie kule i pchnięcie bagnetu dopełniły zadania. — Znasz mnie, poruczniku, chcesz tedy być przyjętym do katolickiego Kościoła? — Jak najgoręcej pragnę zostać katolikiem. Postanowiłem to sobie od owej pierwszej niedzieli na wyspie, kiedy się tu po raz pierwszy uroczyste odbyło nabożeństwo. Chciałem zaraz prosić o Chrzest św., ale nieroztropnie wciąż tę sprawę odkładałem. — Jeszcze dziś nie będzie zapóźno, odpowiedziałem.—Niestety! manierka, w której zwykle nosiłem wodę, wyczerpnęła się od początku bitwy; nie miałem ani kropli pod ręką i nikogo też do posłania po wodę; w około sami umarli lub umie-

rający mnie otaczali. Trzeba było prędko radzić o sposobie ochrzczenia nieboraka. Powiedziałem mu, iż pójdę szukać wody wśród trupów i rannych, z których może który mieć będzie pełną manierkę. Lękając się, azali nie umrze, zanim powrócę, błagał, abym się spieszył i nie zwlekał. W oczach mi gasnął; — pobiegłem tedy, ile sił mi stało, do brzegu wiecznie niespokojnej meksykańskiej zatoki, chustkę mą umaczałem w morskiej fali, i za powrotem wycisnąłem z niej wodę na spieczone czoło umierającego żołnierza. — Bogu chwała, jestem zbawiony! zawołał, gdy uczuł na skroniach wodę Chrztu św. Teraz zaklinam cię Ojcze, nie odstępuj mnie do końca. — Ależ mój bracie, nie ty jeden leżysz na tym krwawym piasku, są tu i inni może, równie bliscy śmierci, którzy nie mniej niecierpliwie mego przybycia wyglądają. — Może to być, odparł konający, ale oni są katolikami, wiedzą jak mają umierać, ja zaś byłem protestantem, i ani mi się śniło na śmierć się gotować. Nie długo tu czekać będziesz Ojcze, za chwilę stanę przed Bogiem. — Zostałem przy nim, i istotnie wszystko to krótką trwało chwilę. Z pośrodka waru bitwy i krwi i pożogi, czysta jego dusza uleciała do wiekuistego pokoju. Przed oddaniem Bogu odrodzonego Chrztem ducha, prosił, abym jego rodzinie doniósł, jak mu było błogo katolikiem umierać. W tej ostatniej godzinie niczego nie żałował, jeno tego, iż jego krewni nie sięgali po podobną łaskę, i mogliby umrzeć bez niej. Prosił mnie, abym do nich napisał, iż przedśmiertelnem jego życzeniem było, by odrzuciwszy dawne przeciw katolikom uprzedzenia, zapoznali się z jakim katolickim księdzem. Dał mi nawet adres swej rodziny, który niestety zapomniałem. Dowiedziałem się później, iż był to wielce ceniony przez współtowarzyszów żołnierz i kolega".

Nareszcie zakończyła się bitwa...

„Nazajutrz wszyscy się przebudzili w wielkiem ducha znękaniu. Nie mało z pośród nas zginęło, inni ciężkie odnieśli rany. Gdyśmy tak przyglądali się w milczeniu śladom zwęglonym naszego obozu i kaplicy, ujrzeliśmy zbliżający się ku nam poczet wozów ładownych, na których komendant forteczny przysy-

łał nam wszystko, czego było potrzeba, aby nas postawić na tej samej stopie, na jakiej się znajdowaliśmy przed napadem nieprzyjaciół. — Wszystko, — okrom kaplicy — powtarzali żołnierze.

„Po śniadaniu udałem się znów do szpitala. Wziąłem z sobą brewiarz, jedyny przedmiot ocalony, jedyna dziś księga w całym obozie. Zacząłem od zwiedzenia szpitala fortecznego, i jeńców tamże pomieszczonych. Zastałem ich, zdaniem lekarzy, w wcale nie złym stanie. Wysłuchałem ich spowiedzi. Wszyscy jeńcy wydali mi się chmurni i źli na swych oficerów, którym przypisywali nie udanie się wycieczki.

„Korzystając z czasu, udałem się do innego szpitala, położonego w dalszej części wyspy. I tu zastałem rannych, należących przeważnie do nieprzyjacielskiego wojska. Wyglądali dość swobodnie, a spoczywali na czystej pościeli. Jeden tylko mnie uderzył widocznem cierpieniem ducha i ciała. Był to ów młody oficer, którego w wilię spostrzegłem na mokrym piasku wybrzeża. Kiedym opodal jego łóżka przechodził, usłyszałem, jak zapytał asystenta: — Kto tam idzie? — Ksiądz, brzmiała odpowiedź. — Ksiądz! podchwycił ranny; radbym się z nim rozmówić. — Cofnąwszy się na to słowo, zagadnąłem chorego: — Zdaje mi się, iżeśmy się już raz spotkali. — Nie przypominam sobie, odrzekł ranny. — Owszem, na wybrzeżu, kiedyś wołał o wodę. — Może to ksiądz przywołał ambulansową pomoc? — Ja, odparłem. — Nie wiedziałem wtedy sam, co mówię, ozwał się ranny, teraz radbym z Ojcem pomówić. Jestem porucznik S. dezerter marynarki Stanów Zjednoczonych, i to nie tylko dezerter, lecz buntownik, schwytany z bronią w ręku w walce przeciw rządowi. Oświadczono mi dzisiaj, iż zostałem rozpoznany. Czeka mnie tedy niezawodna śmierć na szubienicy lub rozstrzelanie. Opuściłem mój okręt na początku wojny, aby się z konfederatami połączyć. — Spytał mnie następnie, azali nie ma dla niego nadziei wyleczenia się z poniesionych ran, w takim bowiem razie radby katolikiem umrzeć. — A jeśli ta nadzieja się znajdzie? zagadnąłem chorego. — Natenczas, odpowiedział, odroczyłbym moje postanowienie. Twarda to rzecz żyć po katolicku. Wolałbym żyć protestantem, a dopiero jako

katolik umierać. — Chirurg, którego badałem o stan rannego, oświadczył, iż spodziewa się go ocalić. Zdanie to musiałem powtórzyć choremu, co go zdecydowało dalej „protestancki wieść żywot“.— Czy danem mu będzie umrzeć katolikiem? Prosił mnie o wstawienie do komendanta, bo jak mówił, „serce matki jego gotowoby pęknąć na wiadomość, iż syn został rannym, a nie znajduje się pod jej opieką“. Przy tych słowach ukrył twarz w dłoniach i głośno zaszlochał. Opowiadał mi jeszcze, iż zaciągnął się jako woluntaryusz, że nie pożegnał matki wychodząc w pole, że matka nawet nie wiedziała, gdzie się obraca, że jakby tylko do niej wrócił, zarazby jął się przyspasabać do powrotu na łono katolickiego Kościoła... Opuściwszy nareszcie łoże tego „mazgaja-żołnierza“, jak go nazywali współtowarzysze, obiegłem rannych katolików, słuchając ich spowiedzi i udzielając Ostatniego Pomazania tym wszystkim, którzy mi się być zdali w niebezpieczeństwie życia.

„Wieczorem przedłożyłem pułkownikowi prośbę rannego jeńca, porucznika S... — Czy księdzu wiadomo, że to dezerter? — Słyszałem o tem, ale biedaczysko gorzko płacze z tęsknoty za matką. — Jakto? oficer marynarki za matusią beczy! niechże idzie wolnym, nawet bez parolu. Puścić mi go natychmiast! powtarzał sędziwy komendant. — Zaczem dopełniono formalności piśmiennych, które rannemu odniosłem.

„Niedziela 13 października. Smutną mieliśmy niedzielę. Chłopcy odczuwają dotkliwie brak nabożeństwa. Oficerowie z floty przybywszy na Mszę, doznali prawdziwego zawodu, gdy usłyszeli, iż wszystkie przybory kościelne zginęły w pożarze obozu. Pisałem o nowy ich zapas, ale długo potrwa, zanim je odbierzemy.

„Wszystkie moje papiery, list arcybiskupa, instrukcye, wszystko spłonęło. Nie posiadamy nawet grzebienia, nie ma możliwości dokupienia się czegośkolwiek... Między tymi, którzy się w ostatnich czasach do mnie zgłosili, jest i żyd. Czasu mam podostatkiem, aby się jego nauczaniu poświęcać, ale nie posiadam żadnej książki, żadnego katechizmowego podręcznika. Pułk nasz radby mi wynagrodzić ponie-

sione osobiste straty. Ofiarowali mi tedy okrągłą sumkę na zakupienie konia; żuawi bowiem powtarzają, iż nie zawsze na tej pozostaniemy wyspie, i że mi konieczny będzie własny biegun, tem bardziej, iż tu ani sposób jakiegobądź dostać. Oto, jak tłómaczą powody złożonego mi prezentu w dołączonym adresie: Nie możemy znieść, aby Ojciec duchowny, którego zadaniem jest dusze nasze ocalać, gdy ciała giną; który otwiera nam niebo, gdy doczesność dla nas się kończy; który leczy rany duszy, gdy ciało poszarpane kulami i bagnetami; który dusze podnosi do tronu chwały, gdy ciało bywa zdeptane końskiemi kopytami, zmiażdżone kołami armat; który dusze obmywa i oczyszcza, podczas gdy ciało całe jest krwią i kurzawą i prochem zwalane, — nie możemy znieść, aby taki przyjaciel nie posiadał środka szybkiego przebiegania pobojowiska, niosąc nam biednym żołnierzom pomoc, której potrzebujemy w walce. — Dalej znajduje się wyraz współczucia dla poniesionych przezemnie strat w pożarze obozu, powinszowania z powodu okazanej przeze mnie odwagi, i podziękowania za poświęcenie dla poległych. Gdybym temu sam nie był zapobiegł, dar tych poczciwców byłby urósł w krocie. Alboż to nie zacne dusze, nie wymowna odpowiedź na ciskane przeciw nim w Nowym Jorku potwarze?“

Następny list pisany jest na armacie, a ks. Nash tak opisuje swe biurowe urządzenia: „Na prawo i lewo, za nami błyszczy obszar bezkresny morza, przedemną biały, iskrzący się piasek tworzy niezmierną linię widnokresu. Nademną słońce zwrotnikowe prostopadłe a ogniste spuszcza promienie. W około kręcą się i ćwiczą żołnierze różnej broni. Nie wielce to zachęcające ramy do napisania listu, a jednak osnowy nie brak, zwłaszcza z powodu codziennych mych odwiedzin w szpitalach, gdzie z każdym rannym, jakiegokolwiek jest wyznania, rozmawiam po trochu, dostarczając im wiadomości i gazet, pisząc za nich listy, ucząc niektórych po trochu katechizmu i pacierza, albo nawet interesując się grą w szachy rekonwalescentów. Tym sposobem jednam sobie ogólną przyjaźń. Katolicy, ma się rozumieć, odbywają spowiedź; niektórzy

z protestantów domagają się oświecenia w wierze, i z czasem otrzymują Chrzest św., aby umrzeć synami prawowitego Kościoła. Biedacy ci widzą, iż w protestanckiej nauce niemasz ani Sakramentów dla umierających, ani pociechy dla żywych, ani zwłaszcza odpuszczenia grzechów dla biednych żołnierzy. W ten prosty sposób nie mało dobrego uskutecznić się daje. Nie mało czasu zabierają mi te codzienne do przeróżnych szpitalów pielgrzymki, bo i na miejscu długo bawię, i piesza droga po latającym piasku bywa uciążliwą i długą. Zwykle próbuję idąc odmawiać brewiarz, ale blask słońca i spiekota zbyt często na to nie pozwalają, i wracam wieczorem, zupełnie z sił wyczerpnięty".

Następnie ks. Nash dramatycznie opisuje bombardowanie wyspy św. Róży przez flotę nieprzyjacielską, podczas gdy miejscowa załoga odpowiadała nie mniej silnym ogniem. Ks. Nash towarzyszył swemu pułkowi wśród największych niebezpieczeństw, za co wciągniętym został do rozkazu dziennego. Nieprzyjaciel ostrzeliwał garstkę obrońców wyspy, zaledwie nasypem zasłoniętą. Gdy ks. Nash stanął przy jednej bateryi, którą dowodził kapitan świeżo nawrócony na katolicką wiarę, pierwszem jego pytaniem było, azali jest już kto ranny. — Jak dotąd nikt, odpowiedział kapitan, ale nasze położenie jest nad wyraz niebezpieczne. Stoimy na odkrytem miejscu, wystawieni na wszelkie pociski wroga. Ponieważ w około tej armaty sami znaleźliśmy się katolicy, nadaliśmy jej miano Niepokalanego Poczęcia, a teraz Ojca prosimy, abyś nasze działo poświęcił i nam błogosławił. — „I oto dzielny kapitan, wespół z towarzyszami swymi, przyklękł kornie w piasku, można się zaś domyśleć, jakiem sercem im błogosławiłem. Pękały kartacze w około, bez wielkiego atoli skutku". Gdy po południu Ojciec Nash podążył do wysuniętej bateryi, gdzie od ciągłej czynności i strzałów sam nawet kruszec armatni niebezpiecznie się zagrzał, ujrzał kilka ofiar nieprzyjacielskich pocisków, i postanowił zostać na tem niebezpiecznem posterunku. Dzień był nad wyraz parny, ku wieczorowi podniosły się chmury i zalały obfitym deszczem ludzkich sporów pole. Nazajutrz,

przy wspaniałej pogodzie, bombardowanie się wznowiło, a po południu armata, ochrzczona mianem Niepokalanego Poczęcia, pękła, cudem tylko, żadnego w koło nie raniąc człowieka. Pokazało się, iż w spiżowym odlewie był błąd czy szpara, i trudno przychodziło pojąć, jakim sposobem nikt odłamami nie został tknięty. Pobożny kapitan ocalenie przypisywał opiece Najśw. Panny, zaczem wraz z ludźmi swymi ukląkł, nie bacząc na lecące gradem kule, aby podziękować Tej, która nigdy daremnie wzywaną nie bywa.

W niedzielę rano pułkownik rozkazał zawiesić kroki nieprzyjacielskie, aby nie przerywać odpoczynku dnia świętego. I nazajutrz jeszcze wydano rozkaz czekania na zaczepkę wroga. Skorzystaliśmy z chwilowego spokoju, aby zbadać, dlaczego stosunkowo tak mało bomb nieprzyjacielskich pękało, i szkodę nam wyrządzało. Proch musiał być wilgotny albo zwietrzały, albo też kartacze zbyt długo nabite leżały, co nam wytłómaczyło względnie szczupłe po naszej stronie straty...

Następny list pisanym jest z wysuniętej w morze reduty, wzniesionej na cyplu ziemi, najbardziej do nieprzyjaciela zbliżonym, a ztąd wystawionym na pierwsze i najcelniejsze pociski. „Że znów jest mowa o ponownem bombardowaniu, sądziłem, iż będzie moim obowiązkiem dostarczyć tym biedakom, znajdującym się w osobliwem niebezpieczeństwie, łatwej sposobności oczyszczenia sumień swoich, i to w względnym spokoju, nie zaś w gorączce walki. Komenderujący kapitan, innowierca, najuprzejmiej odstąpił własnego namiotu na kaplicę podczas mego w reducie pobytu; katoliccy zaś żołnierze nie potrzebowali żadnego nacisku, aby hurmem do spowiedzi spieszyć.

„Choć to połowa grudnia, upał trwa nie mniejszy, jak bywał w czerwcu. Aczkolwiek znajdujemy się ponad strefą równikową, zaledwie spostrzegamy jakąbądź zmianę w długości dnia. Słońce wschodzi i zachodzi mniej więcej o tej samej godzinie, co w lipcu. Niektórzy wypowiadają obawę, azali stopniowo nie zejdziemy wszyscy do poziomu obyczajowego Hotentotów. Sam kosztowałem już szczególnych przysmaków,

żeby tylko wspomnieć: sztukę mięsa z mułu, bifsztyk z aligatora, duszoną jaszczurkę, smażonego węża, wszystko próby, usiłujące zastąpić nam niedostępne świeże mięso i warzywa.

„Od czerwca nie widzieliśmy już człowieka, nie — żołnierza, ani domu, ani żadnej rzeczy, należących do cywilizowanego życia. Poczciwy żuaw, który niedawno za interesem do mnie przyszedł, w chwili, gdy zajęty byłem rozmową z wyższym oficerem marynarki, rzekł do mnie: „Ojcze, gdybyśmy nie mieli Mszy i kazania, aby nam raz po raz przypomnieć, iż istnieje inny świat, zatracilibyśmy całkiem poczucie, iż jesteśmy ludźmi". Gdy odszedł, bawiący u mnie oficer zauważył, iż w tych słowach więcej tkwiło filozofii, aniżeli się ów poczciwiec domyślał. Katolicki żołnierz na dnie serca odczuwał atoli prawdziwość swych wyrazów. Czemże byłby świat bez wiary, bez praktyki chrześcijańskiej pobożności? Nie mniemałem, że znajdę tyle wiary w sercach tych nieokrzesanych zapewne, lecz poczciwych wojskowych. Próbowałem owemu oficerowi dać zrozumieć, co to jest wiara, ale daremnie; a jednak dobry to człowiek, i prawdziwy dla mnie przyjaciel. Wielokrotne lata służby pozwoliły mu zmierzyć różnicę końca protestantów i katolików; zdumiewała go stale ufność i silna wiara, przejawiająca się w godzinę śmierci u synów katolickiego Kościoła. „Katolik nigdy nie spodziewa się natychmiastowego powołania z grzesznego żywota do chwalebnej wieczności, mawiał nieraz do mnie, wyraża tylko żal głęboki za swe przewinienia, i nadzieję, iż mu one przebaczonemi zostaną przez zasługi Zbawiciela. Umierający katolik nieraz w rzewnych słowach wyraża pragnienie ujrzenia przy sobie księdza, któryby postawił władzę Kościoła między grzechami jego, a obrażonym przez nie Bogiem. W końcu zwraca się do Najśw. Panny, prosząc, aby mu była orędowniczką i matką. W około klęczą i modlą się towarzysze jego. Ach! dodawał ów innowierca, jakżebym pragnął równie dobrze umierać! — Biedny zaślepieniec! katoliccy marynarze i żołnierze dali mu przykład, za który mu przyjdzie odpowiadać przed Bogiem!

„Mimo tylu niedogodności, będących obecnie naszym

udziałem, czujemy się szczęśliwi, starając się znosić wszystko pogodnie. W nocy smaczno zasypiamy na piasku wybrzeży, zawijając się tylko starannie w koce, aby żaden wąż ni jaszczurka, nie wśliznęły się do naszego posłania. Na wszystkiem właściwie nam zbywa; zaczem żołnierze powtarzają: — Zapominaliśmy Bogu dziękować w dniach obfitości, słuszna jest, abyśmy teraz niedostatek cierpieli.

„Odczuwam jednak dotkliwie wszystko, czego mi braknie, a upał niesłychany, ukąszenia moskitosów i much jadowitych, ciżba ustawiczna, hałas i wrzawa tylu ludzi i zwierząt, nie bardzo uspasabiają do pisania listów. Nieraz zerwie się wiatr, i zapisaną starannie ćwiartkę poniesie w głąb morza, albo na alarm zatrąbią, jak oto w tej chwili — i wszystko naraz rzucić trzeba. Dlatego też niniejszy list mój przerywam i w piasku zakopię aż do powrotu z placu, gdzie mnie powinność woła!“

Na tem i my zamkniemy nasze wyciągi z zapisków amerykańskiego misyonarza, za którymi może zbyt długo przyszłoby nam czekać, skoro ukazują się one w wydawnictwie peryodycznem, zatytułowanem: *Woodstock papers*. Uczniowie słynnego w Woodstock kolegium, wydają dopiero poszczególne swego zbiorowego pisma zeszyty, gdy im się dostateczny zgromadzi materyał. Zresztą, przytoczone ustępy wystarczą, aby dać poznać najdodatniejszą stronę stosunków amerykańskich, nawet w pośród wojny, a mianowicie ową wolność wyznaniową, która pozwoliła katolickiemu Kościołowi tak bujnie się w Nowym świecie rozrosnąć.

M.

SPOŁECZEŃSTWO W OBEC ROZUMU I WIARY.

V.

Forma rządu i granice władzy ustawodawczej.

Uwielbienie, jakie z odrodzeniem się pogańskich idei w łonie chrześciańskiego świata budzić się poczęło dla form republikańskich, dało powód najznakomitszym filozofom i publicystom ośmnastego zwłaszcza wieku do ogłoszenia, iż gminowładztwo[1] jest tak niezawodnym talizmanem społecznego szczęścia, że dość jakiemubądź narodowi nadać republikańsko-demokratyczne instytucye, by stałą zapewnić mu pomyślność. Wiara w absolutną skuteczność tego środka wzrosła jeszcze bardziej w przekonaniu europejskich liberałów po wyzwoleniu się i wzorowem zorganizowaniu Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie próba republikańskich instytucyj po raz pierwszy w nowożytnym świecie w większych dokonaną została rozmiarach. Wprawdzie późniejsze trzykrotne we Francyi doświadczenie zachwiało w trzeźwiejszych umysłach owo bezwarunkowe do gminowładztwa zaufanie, dotąd wszakże nieprzeliczone rzesze, spragnione lepszej doli, a sfanatyzowane przez krańcowych liberałów, nie wątpią, iż z tego jedynie źródła wytrysnąć dla nich może pomyślna losu odmiana. Wobec podobnych zapewnień i oczekiwań, obowiązkiem jest każdego sumiennego publi-

[1] Przez gminowładztwo rozumiemy tutaj przypuszczenie obywateli w większej lub mniejszej mierze do udziału w rządach.

cysty zbadać bezstronnie, o ile i przy jakich warunkach dopuszczenie wszystkich warstw narodu do współudziału w rządach kraju, rzeczywiście przyczynić się może do jego uszczęśliwienia.

Że forma rządu nie jest jedynym publicznej pomyślności żywiołem, z tego się już praktycznie wykazuje, iż przy tych samych instytucyach państwowych narody nieraz kwitną i upadają, jak tego mamy smutny lecz niezaprzeczony dowód w dziejach własnego naszego kraju, który, bez ważnych zmian w konstytucyi, jaśniejąc niegdyś oświatą, ładem i potęgą, utraciwszy następnie obywatelskie cnoty, doszedł do ostatecznego niemal rozprzężenia. Prawda, że ustawy i instytucye krajowe oddziaływają na charakter i wykształcenie narodu, nadając rozwojowi żywotnych sił jego zbawienny lub zgubny kierunek; wpływ ten wszelako jest ograniczony i od wielu okoliczności zależny, tak, że przy pewnych warunkach może być nawet całkiem udaremniony. Najpierwszym i najważniejszym z tych warunków jest niezbędny zasób cnót obywatelskich, które jeśli dojdą do heroicznych rozmiarów i cały ogarną naród, mogą tak dalece podnieść go moralnie, iż będzie silnym i szczęśliwym, pomimo widoczne nawet państwowej organizacyi wady. Widzieliśmy zaś, iż wszystkie cnoty obywatelskie płyną ze źródła troistej miłości, a mianowicie: miłości Boga, którego kochamy dla niego samego i nadewszystko, odnosząc doń każdą sprawę, jako do ostatecznego końca; miłości bliźniego, którego kochamy w Bogu i dla Boga, dopomagając mu do wiernego służenia Najwyższemu Panu; wreszcie miłości ojczyzny, która droga nam jest, jak ów korab z woli Stwórcy zbudowany, w którym przeznaczono nam żeglować do portu wieczności. Jeśli postawimy nadto u steru rządu temiż uczuciami ożywionych mężów, co pomnąc, iż namiestniczą tylko od Boga otrzymali władzę, to któż nie przyzna, iż społeczeństwo takie najpomyślniej rozwijać się może, chociażby ustawy jego były wadliwe? I przeciwnie: na co się przydadzą najdoskonalsze krajowe instytucye, tam, gdzie samolubstwo tak opanowało wszystkie serca, że każdy obywatel uchyla się od obowiązku, goniąc jedynie za korzyścią; gdzie mały i wielki lekceważy prawo, skoro go nagiąć nie może do osobistych widoków; gdzie pierwiastek władzy tak zapoznany, że wszyscy radziby rozkazywać, a nikt słuchać nie chce; gdzie między rządem a narodem tak silny wyrodzi się antagonizm,

że władza myśli tylko o rozszerzeniu swych przywilejów, a podwładni o skrępowaniu władzy, publiczna zaś sprawa całkiem zostawiona odłogiem? Potrzebaż być prorokiem, by przewidzieć, iż najmędrsze nawet ustawy w kraju takim martwą pozostaną literą?

Ztąd wszakże, iż głównym czynnikiem pomyślności społecznej są obywatelskie cnoty, nie wynika bynajmniej, by forma rządu i natura ustaw krajowych były rzeczą całkiem obojętną. Owszem, odegrywają one bardzo ważną role, chociaż więcej działają na młode pokolenie. Możnaby powiedzieć, że czem jest wychowanie młodzieży dla umoralnienia narodu, tem są krajowe instytucye dla państwowej jego siły: — przygotowują one przyszłość. To też niezmiernej wagi jest rzeczą dla tych, co w prawodawstwie krajowem przyjmują udział, jasne sobie wyrobić pojęcie o tem, na jakich zasadach oparta być winna konstytucya danego państwa, by do pomyślnego rozwoju narodu dopomagać mogła? Na to też pytanie postaramy się zadawalniającą dać odpowiedź.

Ponieważ urządzona wedle myśli Bożej rodzina zamyka w sobie, jak widzieliśmy, wszystkie zasadnicze życia towarzyskiego żywioły, w jej przeto łonie szukać też powinniśmy moralnej podstawy do rozwiązania i tej także kwestyi. Otóż w rodzinie, która nie zatraciła żywotnego pierwiastku swego t. j. miłości Bożej i wzajemnego przywiązania, stosunki między rodzicami i dziećmi nie mają stałej formy, lecz przekształcają się powoli w miarę dojrzewania młodego pokolenia. Przekształcenie to wszakże odbywa się wedle pewnych praw niezmiennych, które dają się łatwo podpatrzyć i wyraźnie określić. I tak: póki dzieci są małe i nie zdają jeszcze sobie sprawy ani z celu, do którego zmierzać mają, ani z tego, co dla nich może być prawdziwie pożytecznem, całkowita i nieograniczona władza spoczywa w ręku rodziców, ale też i całkowita za jej użycie przed Bogiem odpowiedzialność. Rodzice znając tak przeznaczenie swych dzieci, jak i wiodącą doń drogę, starają się objaśniać je o tem, w miarę rozwijającego się w nich pojęcia, ale jednocześnie mocną prowadzą je ręką, nie dozwalając ani zaniedbać tego, co z istotnem będzie dla nich dobrem, chociażby obecnie jeszcze tego nie pojmowały, ani też gonić za dobrem fałszywem, którego zgubnych następstw wcale nie przewidują. W tej podwójnej pracy prowadzenia ku dobremu i odwracania od złego,

która peryod wychowawczy stanowi, rodzice nie wahają się użyć w razie potrzeby surowych nawet środków, by zaślepioną lub przekorną dziatwę na drodze obowiązków utrzymać i uratować od zguby. Miłość wprawdzie rodzicielska i uszanowanie w dziecięcej nawet duszy godności usynowienia Bożego, doradzają im dawać zawsze pierwszeństwo środkom moralnym, na serce i przekonanie działającym; jeżeli wszakże przekorne zapamiętanie tak daleko się posunie, iż dziecko, wyzuwszy się niejako z przywilejów wolnej i rozumnej istoty, zwierzęcymi jedynie powoduje się popędami, wówczas rodzice, ze zranionem wprawdzie sercem ale z nieugiętą wolą, dla dobra tegoż dziecka, oddziaływają na zwierzęcą jego naturę, karcąc dopóty ciało, aż duch z pod przewagi jego uwolniony, znowu należne sobie panowanie odzyska. W tym peryodzie, poświęconym wyłącznie wykształceniu, dzieci nie przyjmują jeszcze żadnego w familijnych interesach udziału, i niczem też nie przyczyniają się do prac i zajęć gospodarskich, pomimo, że we wspólnych korzyściach uczestniczą. Miłość zachęca rodziców do mozolnej pracy i podwaja ich siły, byle dostarczyć dzieciom środków do odpowiedniego ich stanowi wykształcenia. Dopiero w miarę fizycznego i umysłowego rozwoju, i to z wielką oględnością, dzieci dopuszczane bywają przez rodziców do uczestniczenia w odpowiednich wiekowi swemu pracach, a nawet wyręczają ich w łatwiejszych gałęziach domowego zarządu, zawsze jednak pod zupełną od nich zależnością. Po odpowiedniej wszakże próbie, kiedy nabyte doświadczenie wyrobi w nich samoistny pogląd i nauczy przezorności, rodzice polecają swym dorosłym dzieciom pewną część zarządu na ich własną odpowiedzialność, zastrzegają sobie wszakże ogólną kontrolę i ostateczną w ważniejszych sprawach decyzyę. Wyjątkowo jednak i tak się zdarza, gdy rodzice zbyt sędziwego doczekają się wieku, dzieci zaś całkowicie dojrzeją do samorządu, iż głowa rodziny ostatecznie się usuwa, złożywszy z siebie wszelką odpowiedzialność, zarząd zaś interesów dzieci na własną obejmują rękę.

Otóż coś bardzo podobnego dzieje się z każdem chrześcijańskiem społeczeństwem, co nie zatraciwszy żywotnego pierwiastku miłości, w normalnym rozwija się porządku, przekształcając stopniowo swój państwowy organizm. Monarcha piastuje w niem naj-

przód władzę absolutną, troszcząc się przedewszystkiem o gruntowne wykształcenie swego ludu, i to nietylko pod względem umysłowym, ułatwiając mu nabycie naukowej wiedzy, ale też i pod względem moralnym, wspierając Kościół w jego boskiem odrodzenia ludzkości posłannictwie. Cnota i nauka idą tu w parze, tak w pieczołowitości rządu, jak i w usilnej pracy narodu, gdyż pod tym tylko warunkiem organizm społeczny do zdrowej i trwałej zdążać może dojrzałości. Po upływie dopiero odpowiedniego peryodu tej wewnętrznej w łonie narodu pracy, monarcha przybiera z grona najdojrzalszych, odpowiedzialnych przed nim pomocników, bądź to do rady, bądź do zarządu, zachowując wszakże przy sobie tak władzę, jak i całkowitą za jej użycie przed Bogiem odpowiedzialność. Aż wreszcie, po dokładnem obeznaniu się narodu ze skomplikowanym ruchem machiny państwowej i odpowiedniem wyrobieniu obywatelskiej cnoty, troskliwy o dobro ludu, a nie zazdrosny o swą władzę monarcha, zwołuje prawodawcze izby, stanowi ministrów odpowiedzialnych przed tą najwyższą reprezentacyą narodową, zrzekłszy się dobrowolnie wszelkich atrybutów samowładcy prócz splendoru majestatu i prawa łaski. Republikańska forma rządu w takim narodzie wówczas tylko prawnie ustanowioną być może, gdzieby się zdarzyło, żeby monarcha dobrowolnie złożył koronę na rzecz narodu, albo gdzieby panująca dynastya całkiem wygasła, naród zaś dostatecznie dojrzałym już był do samorządu.

W społeczeństwach, gdzie wszystkie te fazy państwowego przekształcenia odbywają się przy warunkach normalnych, tj. gdzie każdemu rozszerzeniu swobód towarzyszy odpowiedny rozwój umysłowy i moralny, tak że naród cnotami swemi, niemniej jak oświatą stoi na wysokości przyjmowanego udziału w rządzie, w takiem, mówię, zdrowem i żywotnem a nie zacofanem społeczeństwie, rząd, możnaby powiedzieć, nie zmienia się, tylko się udoskonala i do pełności rozwoju dochodzi; jak dziecko n. p., nie przestając być tąż samą osobą, przekształca się stopniowo na dorosłego człowieka, w którym zaledwie ślady dziecinnych rysów pozostają. Przy tak prawidłowym rozwoju krajowych instytucyj nie można też powiedzieć, by którakolwiek z form rządu lepszą była lub gorszą od drugich, gdyż każda w swoim czasie jest najlepszą, skoro najlepiej odpowiada ówczesnym warunkom i potrzebom narodu. Można

wprawdzie twierdzić, iż bardziej udoskonalony mechanizm społeczny, uważany sam w sobie, wyższym jest ludzkiego umysłu utworem, niż którykolwiek z tych, co go poprzedził; w praktycznem wszakże zastosowaniu największą cenę ma ten, co obecnej odpowiada potrzebie. Z tego też stanowiska i Kościół zapatruje się na formę rządu: nie potępia on ani też zaleca bezwarunkowo żadnej, lecz stanowczo się tylko domaga, by w każdem państwie była władza, uznająca zależność swą od Boga i sama też uznana przez naród, jako od Niego postanowiona. W słowach: *niemasz zwierzchności jedno od Boga, a które są, od Boga są postanowione* [1], zawiera się owszem uświęcenie wyraźne wszelkiej formy rządu, byleby piastujący władzę po Bożemu, t. j. w bojaźni Bożej rządy sprawowali, wiedząc, iż przed trybunałem Tego zdadzą kiedyś z włodarstwa swego liczbę, który wyraźnie mówi: *Przez mię królowie królują a prawodawcy stanowią sprawiedliwość* [2].

Widzimy przeto, że kształt rządu jest kwestyą całkiem względną, tak ze stanowiska moralnego jak i praktycznego. Uwzględniać zatem należy: stopień moralnego i umysłowego wykształcenia ludu, dziejowy rozwój jego instytucyj, charakter narodowy, organizacyę i dążności państw ościennych, że nie wspomnę o podrzędniejszych, czasowych i miejscowych okolicznościach, na które wszakże roztropność uwagę zwrócić nakazuje. Między wewnętrzną naturą społeczeństwa, a zewnętrzną jego formą, zachodzi taki sam niemal stosunek, jak w świecie fizycznym między chemicznym składem minerałów i formą ich kryształów, która od kształtu atomów składających je pierwiastków zależy. Oszlifujmy n. p. kryształ saletry w niewłaściwą mu formę, a powoli sam wpływ czasu pierwotny mu kształt przywróci Owa względność wartości formy rządu sprawia, iż te same instytucye państwowe, które uszczęśliwiają jeden naród, przeto że odpowiadają obecnym jego potrzebom, stać się mogą niepowetowaną klęską dla innego narodu, skoro ten nie posiada warunków przez tę formę rządu wymaganych. Któż zaprzeczy n. p., że rzeczpospolita może uszczęśliwić naród, gdzie religia i oświata, podawszy sobie dłonie, tak wykształciły ludność całą, iż od dołu do samego szczytu społeczeństwa, cnoty obywatelskie

[1] Rom. XIII, 2. [2] Przyp. VIII, 15.

idą w parze z dojrzałością polityczną? A jednak wprowadźmy też same republikańskie instytucye do kraju, gdzie zaledwie setna część obywateli choć początkowe posiada wykształcenie, gdzie religia sponiewierana lub w bezdusznych tylko wyraża się formach, gdzie samolubstwo tak zakorzenione w całem społeczeństwie, iż klasy uprzywilejowane myślą jedynie o wyniesieniu się i używaniu, upośledzone zaś oddają się najgrubszym, zwierzęcym niemal namiętnościom, — co, pytam, stanie się z takim narodem pod republikańskim rządem, i czem stanie się rzeczpospolita w łonie takiego narodu? Społeczeństwo niedojrzałe do samorządu trzeba kształcić powoli i uzdalniać doń stopniowo, a dopiero w miarę postępu tej pracy można też rozszerzać udział narodu w publicznych sprawach; wszelkie zaś samowolne przekształcania krajowych instytucyj, na filozoficznych jedynie oparte teoryach, wykolejają tylko naród z dziejowego toru, a zamiast przyśpieszyć jego dojrzałość, do anarchii i zupełnego rozkładu go doprowadzą. Dla tego też niezmiernie są niebezpieczne wszelkie próby tworzenia konstytucyj, bądź z dołu, bądź z góry przedsiębrane, w narodzie mającym już swą dziejową przeszłość i wyrobiony charakter narodowy. Trzeba umieć szanować te zabytki i nabytki minionych stuleci, gdyż w nich przedewszystkiem przechowuje się duch i posłannictwo narodu. Anglicy powiadają, iż około konstytucyi nie z młotem lecz z pilnikiem chodzić trzeba, aby nic nie druzgocząc, szlifować tylko zbyt ostre krawędzie narodowych ustaw, nad któremi wieki pracowały. Dzięki też tej konserwatywnej zasadzie, najmniej stosunkowo mieli oni rewolucyj, a największą dozą swobód się cieszą. Naród, co nie miłuje swej przeszłości i czci nie chowa dla swego prawodawstwa, niezdolny jest do zdrowego postępu, gdyż na ustalonych tylko fundamentach trwałą budowę wznieść można. To też w kraju niepodległym, co ma rząd własny, jakabykolwiek była jego forma, święty ciąży obowiązek tak na piastujących władzę jak i na podwładnych, aby zaniechawszy wszelkiego antagonizmu, wspólnemi siłami do normalnego rozwoju umiłowanej ojczyzny zmierzali. Ze strony ludu, oprócz owej potrójnej miłości, o której mówiliśmy wyżej, niezbędne jest uszanowanie prawa i pierwiastku władzy, gdyż na tem dwojgu publiczny porządek stoi; ze strony zaś rządu, sumienne kształcenie narodu, rozwijanie w nim cnót obywatelskich i stopniowe udzie-

lanie mu nowych swobód w miarę jego dojrzewania do nich. Naród powinien uzdalniać się raczej do swobód, niż się ich domagać; władza zaś, nie czekając aż przyjdzie napór z dołu, winna uwzględniać sama istotne potrzeby narodu, dając mu coraz to szerszy udział w publicznych sprawach; o ile bowiem moralny stan narodu oddziaływa na jego prawodawstwo i urządzenia państwowe, o tyle znowu społeczne instytucye oddziaływają na kształcenie się i dojrzewanie narodu. Zbyteczne rozszerzanie swobód, wprzód nim powołany do korzystania z nich naród dostatecznie dojrzał, wyradza stan gorączkowy, uspasabia do anarchii, i zamiast na pożytek, na szkodę się owszem istotnych jego interesów obraca. I przeciwnie: skoro instytucye okażą się za ciasne, a jednak rozszerzone nie zostaną, wnet naród moralnie koszlawieje, zwracając zbytek sił organicznych na samowolną, a częstokroć burzącą działalność. Pragnąc przeto, by społeczeństwo ciągłe i rzeczywiste na drodze swobód czyniło postępy, tak ścisły stosunek między krajowemi instytucyami i dojrzałością narodu zachować należy, iżby te dwa główne społecznego rozwoju współczynniki w doskonałej pozostawały harmonii.

I tak, przy bliższym rozbiorze kwestyi formy rządu, przekonywamy się, że fałszem jest z jednej strony, jakoby istniały takie państwowe instytucye, któreby same przez się, bez współudziału innych czynników, naród uszczęśliwić mogły. Fałszem jest nawet to mniemanie, iż każdemu narodowi pożytecznie jest posiadać jak najliberalniejsze instytucye, gdyż to od dojrzałości narodu zależy. Prawdą jest wszakże z drugiej strony, że dobre instytucye przyczyniają się niezmiernie do pomyślności społecznej. Powyższe uwagi przekonywują nadto, iż chrześcijański pogląd na społeczeństwo nietylko nie wyklucza postępu pod względem publicznych swobód, lecz koniecznie go owszem wymaga i prawdziwą doń ukazuje drogę. Owszem, niemniej stanowczo potępia on przesadny konserwatyzm, jak i nieoględny postęp. Patryotyzm, zasadzający się na ślepem przywiązaniu do istniejących instytucyj dla tego jedynie, że one są przez przodków przekazane, wyradza się w fanatyzm narodowy, równie zgubny, jak fanatyzm religijny, przywiązujący się do bałwochwalczych nawet wierzeń, przeto, że przez długie wieki czczone były w kraju. Miłość dobra i prawdy górować zawsze winna nad ciasnego patryotyzmu względami, miłość zaś ta zarówno odrzuca

wszelkie pseudofilantropiczne dziwolągi, pozory tylko dobra mające, jak i wszelki fałsz szkodliwy, chociażby pleśnią wieków pokryty. Ustawiczne doskonalenie się całego narodu i odpowiedne doskonalenie się społecznych jego instytucyj — oto chrześcijański ideał postępu.

Kościół nie zaprzecza też bynajmniej narodowi prawodawczej władzy, tam gdzie konstytucya krajowa prawo mu to przyznaje. Owszem, wkłada on ludom, jako obowiązek sumienia, wierne wykonywanie postanowień ciał prawodawczych we wszystkich kwestyach kompetencyi ich nie przewyższających; tam zaś jedynie obywateli ogłasza wolnymi od posłuszeństwa, gdzie izby, wkraczając w niewłaściwą sobie dziedzinę, takie rozstrzygać ośmielają się kwestye, które z samej natury rzeczy do całkiem innego należą trybunału, czego zarówno sprawiedliwość, jak i dobro samego społeczeństwa wymaga.

Racyonaliści nie znają żadnej różnicy między jednemi i drugiemi kwestyami, nie stawiają żadnych granic kompetencyi parlamentów. Jednakże sam zdrowy rozum powinienby ich z tego błędu wywieść. Co chwila przekonywamy się w praktyce, iż większa część pragnień i usiłowań naszych pozostaje bez skutku, i to nie dla tego, że nam wola innych ludzi na przeszkodzie staje, lecz że sam przedmiot upragniony po za obrębem ludzkiego przemożenia leży. Coby nam również pomogło jednogłośne wszystkich parlamentów postanowienie, głoszące, że dwa a dwa stanowi pięć, lub że Napoleon nie istniał wcale, kiedy wszelkiego rodzaju prawda całkiem od ludzkiego uznania nie zależy, tak że chociażby świat cały błądził, prawda prawdą pozostanie. Skoro zaś tak jest, skoro ogromna ilość kwestyj całkiem się z pod wpływu ludzkiej woli wymyka, to wzgląd na własne dobro, niemniej jak na godność rozumu, koniecznie tego wymaga, by dziedzina kompetencyi ciał prawodawczych jak najściślej określoną została, i to nie na podstawie dowolnie udzielonego im przez naród mandatu, lecz na zasadzie owych praw wiekuistych, od ludzkiej dowolności niezależnych, których zbuntowany człowiek może wprawdzie nie uznać, odmienić wszakże, a nawet obejść nigdy nie zdoła. Obaczmyż więc te granice.

Dla uproszczenia kwestyi przypuśćmy, że izby prawodawcze

otrzymały od narodu wszelką władzę, jaką wolny i niepodległy naród udzielić może, tak że nie mają potrzeby oglądać się ani na przywileje korony, ani na istniejące już prawa, ani na międzynarodowe nawet traktaty, co mogłoby mieć miejsce n. p. wśród nowej jakiej, na nieznanej wyspie osiedlającej się kolonii, gdzie świeżo przybyli osadnicy wybrali z pośród siebie do izb prawodawczych przedstawicieli, udzielając im nieograniczoną władzę urządzenia zawiązującego się społeczeństwa, w sposób, jaki za najwłaściwszy dla ogólnego dobra uznają. Szerszego pełnomocnictwa udzielić nawet niepodobna; obaczmyż do czego ono z samej natury rzeczy owych wybrańców ludu upoważnia. Jakkolwiek nowa ta osada żadnemi, bądź społecznemi bądź politycznemi związana nie jest prawami, sami jednak osadnicy, pojedyńczo wzięci, nie przestali być przez to organicznemi istotami i ludźmi, gdyż nie zależy to wcale od ich woli pozbyć się tego, co treść ich natury stanowi, tak iż chcąc niechcąc, muszą się poddać tymże prawom, jakim inne tegoż rodzaju istoty podlegają. Ustawy przeto społeczne, pod względem organicznych praw natury, mogą co najwięcej określać czas, miejsce i inne warunki, tyczące się publicznego porządku, ale nie mogą, bez jawnej niedorzeczności, zabraniać tego, czego ludzka natura koniecznie wymaga. A nietylko prawa rządzące całem przyrodzeniem, ale też prawa estetyki, logiki i cała dziedzina faktów, tak dalece od ludzkiego uznania nie zależą, iż jednomyślność nawet wszystkich ludów i wszystkich rządów nie byłaby w stanie z brzydoty uczynić piękności, z pewnika fałszu, z rzeczywistości urojenia; pewność bowiem w tych wszystkich dziedzinach opiera się na całkiem niezależnych od ludzkiej dowolności podstawach. Nie kuszą się też prawodawcze izby o stanowienie ustaw, wkraczających w pomienione dziedziny; najzagorzalsi zaś zwolennicy gminowładztwa nie sądzą, aby wyłączenie tego rodzaju kwestyj z pod kompetencyi przedstawicieli ludu jakąbądź ujmę wszechwładztwu jego przynosiło. Nie sam przeto fakt ograniczenia kompetencyi ciał prawodawczych, ale wybór wyłączonych przedmiotów właściwie kwestyę sporną tu stanowi. Logiczną oczywistością przyciśnieni, odstępują racyonaliści od pretensyi wyrokowania większością głosów o prawach rządzących światem widomym; pyszny zaś ich rozum pociesza się tem, że wola Stwórcy ukrywa się tu po za niezmiennem prawem natury,

tak iż za tą zasłoną całkiem Boga przeoczyć mogą. Bunt rozpoczyna się dopiero wówczas, gdy chodzi o uszanowanie praw, postanowionych przez Stwórcę w dziedzinie wolnej woli, gdzie z ustaniem konieczności, opór człowieka staje się możebnym. Harda ich samowola żadną miarą przyzwolić nie chce na wyłączenie z pod kompetencyi parlamentów i sejmów wszelkich postanowień Stwórcy w przedmiocie wiary i obyczajów, tak iż powtarza się tu taż sama nienawistna wyłączność w stosunku do Objawienia, jaka zachodzi ze strony niedowiarków w uznaniu wiarogodności historycznych świadectw; racyonalizm ukorzy się przed każdą inną, byle nie przed Boską powagą. A jednak, czyż piękno, prawda i dobro w świecie ducha mniej są niezależne od ludzkiego uznania jak w świecie widomym? Czy zdradzieckie mężobójstwo nie pozostanie tak samo oburzającą zbrodnią, jak zaprzeczenie, że całość większa od swej części pozostałaby oburzającą niedorzecznością, chociażby wszystkie sejmy temu zaprzeczyły? Skoro zaś w dziedzinie moralności istnieją równie stałe i niezależne od ludzkiego uznania prawa, jak i w dziedzinie materyi, to nie będzież to nietylko zuchwałym lecz i próżnym wysiłkiem chcieć prawa te wywracać, a chociażby tylko zapoznawać? To też nic słuszniejszego a zarazem zgodniejszego z prawdziwem dobrem człowieczeństwa być nie może, nad owo przez Kościół wymagane wyłączenie z pod kompetencyi ciał prawodawczych tego wszystkiego, co wszechmogący zarówno ducha jak i materyi Stworzyciel, pod względem wiary i obyczajów postanowić raczył, gdyż niebaczne burzenie tego niemniej mądrego jak zbawiennego dla ludzkiego rodzaju porządku, odbije się wnet najfatalniej na szczęściu tegoż przedewszystkiem ludu, w imię którego nieproszeni jego opiekunowie bezprawia tego dokonać dziś usiłują.

Tak zaiste: bezstronny rozbiór stanu społeczeństwa chrześcijańskiego i bezwyznaniowego wykazał nam, iż wierne zastosowanie się do wymagań woli Bożej we wszystkiem, gdzie się ona objawiła, jest niemniej koniecznym warunkiem pomyślności publicznej jak i szczęścia osobistego; zakon przeto ewangieliczny świętem i nietykalnem winien dla narodów być prawem, nietylko z powodu nieskończonej mądrości i powagi Prawodawcy, ale też i ze względu na błogie skutki wszechstronnego zastosowania jego do życia praktycznego. Skoro zaś tak jest, to jakiż dobrej wiary publicysta nie

przyzna, że prawa moralne, postanowione przez Stwórcę dla rządzenia istotami, na obraz Jego stworzonemi, tak samo wyjęte być winny z pod kompetencyi ciał prawodawczych, jak i prawa rządzące resztą stworzeń; czy zaś wola Stwórcy objawi się nam w żywej księdze świata, głosem niezmiennych praw przyrodzenia, czy też na kartach martwego pargaminu, nieomylnym głosem objawienia, — to bynajmniej na obowiązek posłuszeństwa z naszej strony nie wpływa. Komu sam Prawodawca straż i tłumaczenie zakonu swego powierzył, ten jeden odnoszące się doń kwestye rozstrzygać ma prawo; izby zaś prawodawcze tak samo obowiązane są przyjąć z jego ręki i w całości uszanować prawo Boże, jak i każdy prywatny chrześcijanin; żaden bowiem z wyborców nie może udzielić w mandacie wybrańcowi swojemu prawa, którego sam nie posiada.

Widzimy przeto, iż sama natura rzeczy ściśle i stanowczo ogranicza w wielu kierunkach kompetencyę ciał prawodawczych, całkiem niezależnie od tego, jakiego rodzaju pełnomocnictwo deputowani od wyborców swych otrzymują, ani też od ich osobistego do traktowania pewnych kwestyj uzdolnienia. Najswobodniejsza nawet rzeczpospolita nie ma prawa upoważnić swej poselskiej izby do wkraczania w atrybuta Stwórcy, rozprawiając i stanowiąc o tem, co On już sam postanowił, chociażby wybrani przez naród posłowie wszelką możebną wiedzę posiadali. Lecz w obec tak wielkiego ograniczenia zakresu prawodawczej władzy, zapyta może czytelnik, cóż przecie ma być przedmiotem rozpraw i postanowień sejmowych? Jest całe pole jeszcze, odpowiadamy, obszerna i dla pomyślności publicznej niezmiernie ważna dziedzina, zamykająca w sobie te wszystkie sprawy, których nie obejmuje ani przyrodzone, ani objawione prawo, i które z tego powodu moralnie obojętnemi czynnościami się zowią. Owszem, każdy patryota składający dobrowolnie pewną cząstkę godziwych swobód lub korzyści osobistych na ołtarzu dobra ogólnego, ma niezaprzeczoną zasługę nie tylko w obec ojczyzny, dla miłości której ofiarę tę spełnia, ale też i w obec Boga, który miłość tę za święty obowiązek nam wkłada. Zaspokojenie przeto wszystkich istotnych potrzeb kraju, które bądź osobistego trudu, bądź majątkowego współudziału obywateli wymagają, słusznie do kompetencyi władzy prawodawczej należy; przy rozwiązaniu zaś tego rodzaju kwestyj, przedstawiciele narodu

obowiązani są tylko powodować się nie prywatą, lecz względami na dobro publiczne, zachowując przytem ścisłą sprawiedliwość przy rozdziale publicznych ciężarów, tak iżby nikt ani faworyzowanym, ani nad siły obarczonym nie został. Jak obszerne jednak szranki tak ograniczona kompetencya prawodawczej władzy państwowej obejmuje, łatwo zrozumiemy, zwracając uwagę na to, że jurysdykcyi jej podlegają nietylko wszystkie kwestye ekonomiczne, jak urządzenie całego systemu podatkowego, celnego, przemysłowego i handlowego, ale też i organizacya władzy wykonawczej, prawodawczej i sądowniczej, niemniej jak obrony krajowej. Przypominamy wszakże, iż mówimy tu o nowem społeczeństwie, żadnemi nie skrępowanem zobowiązaniami; w zorganizowanych już bowiem państwach, związanych zaprzysiężoną przez cały naród wiernością obowiązującym w kraju ustawom i międzynarodowym traktatom, ciała prawodawcze nie mają prawa zrywać samowolnie tych zobowiązań, jak to wykazaliśmy, mówiąc o solidarności narodowej. Ani uciążliwość przyjętych na się warunków, ani łatwość wyzwolenia się od nich w przyjaznych okolicznościach, nie upoważnia państwa do złamania zawartego dobrowolnie traktatu bez zgody interesowanej strony, ani też narodu do obalenia rządu, na przekor woli stojących u steru władzy; chrześcijańskie bowiem społeczeństwo wyżej nierównie cenić winno wierność przyjętym w obec Boga zobowiązaniom, niż jakiebądź materyalne korzyści.

Określiwszy dokładnie zarys kompetencyi władzy prawodawczej w najwolniejszym nawet narodzie, możemy już uważać parlamentarne instytucye za rodzaj polubownego sądu, którego zadaniem winno być obmyślenie najwłaściwszego kompromisu między publicznym a prywatnym interesem, tj. między państwem a obywatelami kraju. Z tego stanowiska uważana społeczna ustawa ma przede wszystkiem na celu znalezienie należytego stosunku między obowiązkiem a prawem, t. j. sprawiedliwe oznaczenie tej dozy ofiary, jaką każdy obywatel kraju złożyć winien na ołtarzu ojczyzny, aby krajowi zapewnić siłę, porządek, rozwój i bezpieczeństwo, sobie zaś spokojne używanie praw obywatelskich. Ponieważ wszystkie stany zarówno są interesowane w sprawiedliwem rozwiązaniu tej kwestyi, słuszna więc, by wszystkie reprezentowane były przez swych delegowanych w prawodawczych izbach, tak iżby wszelkiego

rodzaju prywatne interesa miały specyalnie obeznanych z niemi przedstawicieli. Że jednak delegowani ci nie są obrońcami tylko interesów wyborców swoich, ale mają też głos decydujący w kwestyach obchodzących ogół, przeto niemniej niezbędną jest rzeczą, by deputowani wszystkich stanów patryotycznym ożywieni byli duchem, t. j. iżby szczerze publiczne dobro miłowali, dając mu zawsze pierwszeństwo nad prywatnem. Pożądaną też jest niezmiernie rzeczą, by każdy z posłów należycie był obeznany tak z obecnym stanem kraju, jako też i z przeszłością jego dziejową, bez czego ducha i dążności jego należycie wyrozumieć nie zdoła. Wreszcie nie powinny mu być obce ogólne zasady, na których każde społeczeństwo oprzeć się musi, skoro chce, by organizm jego stał się zdrowym, silnym i trwałym; bez tych bowiem elementarnych pojęć najgorętsza nawet miłość kraju i najlepsza wola nie ustrzeże przedstawicieli narodu od szkodliwych błędów, których niekiedy naprawić nawet później niepodobna. Prawda, że przy wyłączeniu od obrad sejmowych tych wszystkich kwestyj, które do ich kompetencyi nie należą, brak należytego wykształcenia politycznego w łonie przedstawicieli narodu mniej może być fatalnym dla państwa, niż w razie przeciwnym; gdyby jednak nieoświeceni znaleźli się w większości, cała społeczna budowa zagrożonąby została ze strony życia praktycznego, co tak samo kraj do ruiny doprowadza, jak i podkopanie zasad moralnych. To też naród dbający o swą przyszłość, uzdolnionych tylko i cnotliwych przedstawicieli do ciał prawodawczych wybierać winien; póki zaś patryotów takich w dostatecznej liczbie nie posiada, stokroć lepiej zrobi nie dopominając się o reprezentacyjną formę rządu, niż żeby ją miał nieudatnością swoją skompromitować. Tam gdzie parlament stanowi prawa, słuszna jest, by w kwestyach kompetencyi jego podległych większość rozstrzygała; tam bowiem, gdzie po wyczerpaniu dyskusyi jednomyślność otrzymaną być nie może, społeczeństwo musi posiadać praktyczny jakiś środek rozstrzygania sporów i załatwiania bieżących interesów, skoro w anarchią wpaść nie chce. Jeżeli Kościół powstaje przeciwko zasadzie wszechwładztwa ludu, to nie w tem znaczeniu, by chciał klasy upośledzone wyłączyć z reprezentacyi krajowej, albo żeby reprezentacyi tej zaprzeczał prawa rozstrzygania większością głosów tych wszystkich kwestyj, które do jurysdykcyi

jej słusznie należą, lecz powstaje on jedynie na przywłaszczenie sobie przez lud lub jego przedstawicieli, praw Bogu jednemu należnych, a także na wyzutą nietylko z chrześcijańskiej miłości, ale i z prostej sprawiedliwości bezwzględność, z jaką parlamentarne większości obchodzą się dziś częstokroć z politycznymi przeciwnikami swymi, których zgnębić wszelkiemi środkami usiłują. Reprezentacya narodowa z głosem decydującym i dla wszystkich warstw społeczeństwa dostępna, w narodzie w cnoty publiczne wzbogaconym i do samorządu już dojrzałym, jest owszem i w oczach Kościoła potężną dźwignią politycznego i społecznego rozwoju, byle nie wychodziła z właściwego sobie zakresu działalności, i byle stojąca u steru rządu większość, dobro pospolite a nie własną przewagę miała na względzie.

Jakkolwiek postanowienia większości nie mogą być uznane za kryteryum prawdy lub normę cnoty, słusznie wszakże służyć mogą za regułę postępowania tam, gdzie wyższe prawa swobodę zostawiają; zwłaszcza, że intencya służenia wiernie krajowi przez zastosowanie się do postanowień większości, podnosi istotnie posłuszeństwo pojedyńczych obywateli do godności cnoty chrześcijańskiej. Rodzi się tu wszakże pytanie: czy każdy obywatel kraju obowiązany jest w sumieniu poddać się postanowieniom większości, chociażby czuł się przez nie pokrzywdzonym? Ze stanowiska chrześcijańskiego nie ulega wątpliwości, że gdzie wyrok parlamentu, chociażby jednomyślnie uchwalony, jest z natury swej niegodziwy, jako sprzeciwiający się Bożemu prawu, wyrok taki nikogo obowiązywać nie może; obywatele kraju, wierni głosowi sumienia, jeśli ogłoszeniu niegodziwej ustawy zapobiedz nie są w stanie, mają nietylko prawo lecz i obowiązek uciec się do biernego oporu. t. j. stanowczo odmówić posłuszeństwa, bez naruszania wszakże publicznego porządku przez podniesienie zbrojnego przeciwko władzy rokoszu, naśladując w tej mierze pierwotnych chrześcijan w stosunku do świętokradzkich edyktów Cezarów. Jeśli zaś postanowienie tyczy się jedynie uczynków moralnie obojętnych, tak iż wyrządza pokrzywdzonym materyalną tylko szkodę, wówczas bogobojny a miłujący kraj swój obywatel podda się chętnie jego wymaganiom przeto, że dobro pospolite ważniejsze jest niż prywatne; ofiara zaś, dobrowolnie uczyniona dla miłości ojczyzny, bez nagrody

ze strony Stwórcy nie zostanie. Nie wynika ztąd wszakże, by władza prawodawcza korzystać miała prawo z patryotyzmu obywateli kraju, obarczając ich nad miarę ciężarami bez koniecznej dla państwa potrzeby; stojący owszem u steru rządu z ojcowską troskliwością uwzględniać powinni materyalne nawet interesa swych podwładnych, nie wymagając od nich ofiar, przewyższających konieczne państwa potrzeby. Tam gdzie wiara głębokie zapuściła korzenie w sercu narodu całego, pobudki religijne przyczyniają się najwięcej do zażegnania tego rodzaju nieporozumień; z jednej bowiem strony tak prawodawcza jak i wykonawcza władza, miłując sprawiedliwość, wiaruje się wszelkiego nadużycia, gdyby zaś przez ludzką ułomność zdarzyło się jej zbłądzić, wnet pomyłką swą naprawić usiłuje, skoro ją spostrzeże; z drugiej zaś, poskromione wpływem łaski w sercach podwładnych samolubstwo, uspasabia je do chętnej ofiary z bezinteresownej jedynie miłości. Lecz któż, zapytacie, w publicznem życiu narodów czuwać będzie nad tem, by władza prawodawcza nie wkraczała w niewłaściwą dla jej działalności dziedzinę, i kto z drugiej strony usposobi ludy do poświęcenia raczej najdroższych interesów swych osobistych, niż dla ich poratowania zakłócić pokój publiczny i na szwank narazić ojczyznę? Nikt inny posługi tej państwu oddać nie jest w stanie, krom katolickiego Kościoła; tylko nadprzyrodzony wpływ jego zapewnić może rzetelną i trwałą pomyślność narodowi, przyjmującemu wpływ ten z synowskiem zaufaniem. To też w następującym rozdziale zastanowimy się nad tem, jaki stosunek istnieć powinien w chrześcijańskiem społeczeństwie między państwem a Kościołem.

(Dok. nast.).

Ks. Z. Szczęsny.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Sprawa Zygmunta Unruga. Epizod historyczny z czasów saskich 1715—1740. Przez *Aleksandra Kraushara.* Kraków, 1890. 2 tom.

„Sprawa Unruga“ już przez to samo cenna, że prawie całkiem nieznana historykom naszym, tem cenniejszą się staje, że rzuca światło na szerszą widownię naszych dziejów, i to na najboleśniejszą i najbardziej pouczającą ich kartę, na której już widnieje początek Bałtazarowych głosek. Oto jaki był zawiązek, przebieg i wynik, głośnej w przeszłym wieku, a dziś zupełnie zapomnianej „Sprawy Zygmunta Unruga“.

Zygmunt Unrug był potomkiem starożytnego rodu niemieckiego, którego gałąź jedna z końcem XVI w. przeniosła się do Polski. Ojciec Zygmunta, Krzysztof, był starostą gnieźnieńskim i wałeckim, matka Bogumiła Jaskolecka, Polką rodowitą, bracia dość wysokie zajmowali stanowiska w Rzeczypospolitej; on sam, pan na Poniecu, Janiszewie, Śmiłowie, Kawczach, Szelejewie i Zdunach, starostą był gnieźnieńskim i pułkownikiem wojsk J. K. Mości Augusta II. Wychowany w kalwińskiej wierze, kształcił się też w kalwińskiem gimnazyum w Lesznie. Po ukończeniu gimnazyum udał się Unrug na uniwersytet do Frankfurtu n. O., wówczas już najzupełniej w duchu reformatorskim a nawet racyonalistycznym kierowany. Młody Zygmunt, kalwin po ojcu, nie mógł oczywiście nie uledz zgubnym wpływom racyonalizmu, który w takiem otoczeniu wszystkiemi do duszy jego wciskał się porami. Religijnych zasad, zdaje się, nie miał żadnych, lub tylko jakieś dei styczne wierzenia, wysnute z filozofii racyonalistycznej, natomiast wielką żywił nienawiść przeciw Kościołowi katolickiemu, papieżom, ducho-

wieństwu, a nadewszystko przeciw Jezuitom. Nic więc dziwnego, że gdy w r. 1695 odbywał podróż naukową po Holandyi, Anglii, Francyi i Niemczech, czerpał ze zwiedzanych bibliotek to tylko, co harmonizowało z jego wrogiem dla katolicyzmu nastrojem. W podróży tej woził ze sobą ulubiony swój dyaryusz czy pamiętnik, w którym skrzętnie zapisywał i doznane wrażenia i wyciągi z dzieł przeczytanych, nie przewidywując, że notatki te staną się przyczyną jego zguby. Ten właśnie rękopis, powierzony opiece służącego, zginął Unrugowi z początkiem r. 1715 w czasie jego pobytu na sejmiku w Środzie, i niewiadomym sposobem, drogą kupna czy darowizny, podejścia czy kradzieży, znalazł się w rękach gnieźnieńskiego pisarza grodzkiego, Andrzeja Potockiego, człowieka brudnego i nikczemnego charakteru. Przywłaszczywszy sobie ów niebezpieczny manuskrypt Unruga, udał się do niego z żądaniem odpowiedniego okupu, grożąc w przeciwnym razie wydaniem go w ręce sądu.

Unrug, nie przypuszczając, aby jego *Silva rerum* mogła dlań w obec sądu stać się niebezpieczną, w żadne układy z Potockim wejść nie chciał, i propozycyą z oburzeniem odrzucił. Delator, bardziej jeszcze zawzięty tą pogardliwą odmową, stanął na sejmiku wojewódzkim w Środzie d. 13 maja 1715 r. w licznem gronie swoich stronników, i z udaną boleścią opowiedział zgromadzonej szlachcie o znajdującym się w jego rękach, rzekomo bluźnierczym manuskrypcie. Sejmik orzekł, aby Potocki pismo to zatrzymał u siebie, póki nie przyjdzie do rozsądzenia tej sprawy. Konsystorz poznański i biskup Tarło, urażeni byli tą samowolą sejmiku, a naruszeniem praw jurysdykcyi duchownej. Zażądał tedy konsystorz poznański najprzód polubownie, by Andrzej Potocki wydał rzeczony rękopis: gdy delator zostawił żądanie to bez odpowiedzi, konsystorz przesłał urzędowe wezwanie stawienia się na termin. Potocki prosił o zwłokę, lecz w końcu ani stawić się do urzędu duchownego, ani manuskryptu wydać nie chciał. Gdy upomnienia, namowy i groźby nie skutkowały, w końcu publicznie z ambony w parafii swojej i we farze poznańskiej wyklęty został. Lecz nawet klątwa kościelna nie złamała uporu przedajnego donosiciela, który delacyę swą odniósł do trybunału koronnego w Piotrkowie. Nic nie pomogły odezwy biskupa i sufragana Tarłów, do sejmiku średzkiego i do trybunału koronnego wystosowane; — adherenci Potockiego umieli nie dopuścić nawet do ich odczytania. Zresztą wszystko jakoś dla Unruga złowróżbnie się składało. Umarł biskup Tarło, jadący umyślnie do Poznania, by osobiście wdać się w tę sprawę: marszałek trybunału Rybiński, podobno przychylnie dla Unruga usposobiony, właśnie odwo-

łany został na pole walki przeciw konfederatom tarnogrodzkim. Sam wreszcie Unrug popełnił błąd wielki, że na wezwanie trybunału nie stawił się osobiście, jedno przez patrona Chybińskiego, który nie uzyskawszy żądanego odroczenia sprawy, oddalił się z sądu, — poczem trybunał dozwolił Potockiemu uzyskać pierwszą kondemnatę [1], nakazującą Zygmunta Unruga, jako infamisa i banitę, gardłem ukarać, a dobra jego w połowie na rzecz Skarbu zabrać, w połowie zaś oddać delatorowi, Andrzejowi Potockiemu. Na drugi termin, w miesiąc po pierwszym wyznaczony, Unrug osobiście stawić się już nie mógł, bo Potocki czyhał na jego życie tak zaciekle, że nawet narzeczonemu swej córki pod tym tylko warunkiem rękę jej przyobiecał, jeśli tenże podejmie się skazanego banitę pojmać i do Piotrkowa dostawić. Wysłał więc Unrug w zastępstwie swych braci na termin, dawszy im na piśmie obronę swej sprawy znakomicie zredagowaną. Nie uchroniło go to jednak od drugiej kondemnaty, wydanej na zasadzie uroczystej przysięgi, którą złożył Potocki wraz z sześciu świadkami. Wyrok był surowy, gdyż rozkazuje J. O. Trybunał przedewszystkiem rękę winowajcy, która się poważyła skreślić inkryminowane bluźnierstwa, na spalenie przez kata, język tylną stroną przez kark na wyrwanie, a głowę na ścięcie (t. I. str. 27). Ostrożny Unrug już przed tą powtórną kondemnatą schronił się za granicę, i tu na posłuchaniu u Augusta II uzyskał obietnicę jego protekcyi; tu też napisał i wydrukował memoryał p. n. „Relacya dyskretna żałosnej sprawy IP. Zyg. Unruga... 1717“, w której świetną dykcyą i świetniejszymi jeszcze argumentami dowodzi swej niewinności. *Casus Unrugianus* głośnym się stał po całej Europie, budząc niechęć przeciwko trybunałowi, a sympatyę ku skazanemu banicie. Poseł francuski przy dworze pruskim, hr. Rottenbourg, wziął w opiekę Unruga, i sprawę jego przedłożył Sorbonnie. Teologowie sorbońcy uważali ten wypadek za *casum chimaericum*, a dopiero dowodami przekonani, że on istotnie wzięty z życia, orzekli, że wyrok przeciw oskarżonemu wydany gwałci najoczywiściej wszelkie Boskie i ludzkie prawa. Miał tedy Unrug opinię nawet katolickiego świata za sobą. Z tem większą zaś ufnością mógł się obecnie spodziewać unieważnienia wyroku i przywrócenia do wszelkich praw obywatelskich, że miał także broń na odparcie najważniejszego zarzutu, który niemal je-

[1] Według praw polskich, sprawa w nieobecności pozwanego sądzona, kończyła się ostatecznie dopiero za trzecim kontumacyjnym wyrokiem. Postępowanie jednak d o w o d o w e kończyło się już przy drugiej kondemnacie.

dyną stanowił podstawę jego kondemnaty. Znaleziono bowiem w jego rękopiśmie następujący urywek w języku francuskim: *La verité salutaire n'est elle donc descendue du Ciel, que pour être aux habitans de notre Globe une occasion perpétuelle d'erreur, de guerre, de haine et de division?* Fragment ten, przetłómaczony przez Andrzeja Potockiego i przedłożony sądowi, brzmiał jak następuje: „Prawda zbawienna dlatego zstąpiła z nieba, aby być mieszkańcom naszej ziemi nieustannym powodem błędu, nienawiści etc.“. Unrug nie mógł wykazać złośliwego fałszu w przekładzie, bo nie miał swego rękopisu; nie mógł też udowodnić, że to nie jego zdanie, lecz fragment z dzieł innego autora, bo nie pamiętał zkąd ten ustęp wypisał. Zaczął więc szukać po bibliotekach, i istotnie znalazł ów fatalny ustęp w dziełku pt. *L'ésprit des Cours pour l'année 1709, mois de Septembre — Decembre* p. 585 Z kontekstu jeszcze jaśniej poznać było można, że myśl, w ustępie zawarta, nietylko daleką była od wszelkiego bluźnierstwa, lecz owszem wyrażała najprawowierniejsze katolickie uczucia. Mógł więc na tej zasadzie zażądać powtórnego wytoczenia swej sprawy *de noviter repertis* przed trybunałem, pozywając zarazem Andrzeja Potockiego o krzywoprzysięztwo. Istotnie w r. 1718 miał trybunał piotrkowski sądzić sprawę Unruga o restytucyę, i zapozwał też na ten termin Andrzeja Potockiego; lecz gdy Unrug nie stawił się osobiście, Potocki zapozwał go nawzajem, a sąd, jako na pozwanego, dozwolił Potockiemu kondemnaty, mocą której nowo wykryte dokumenta zostały zniesione, a dawna kondemnata w całej swej grozie zatwierdzona. Zgasła więc dla nieszczęśliwego banity ostatnia nadzieja wybawienia. Los jednak wygnańca nie był zupełnie zrozpaczony. Miał współczucie ogólne, miał opiekę osób wpływowych, co mu mogło być wróżbą jaśniejszej przyszłości. Dzieci jego miały także los zabezpieczony, bo król w tym właśnie celu darował rodzinie Unruga połowę dóbr jego, na rzecz skarbu zebraną.

Przyjaciele też podsunęli mu myśl, aby skargę swą wniósł do kuryi rzymskiej, z prośbą o rozsądzenie sprawy i wymiar sprawiedliwości. Skarga ta znalazła posłuch u Stolicy Apostolskiej. Trybunał rzymski uznał wyrok trybunału piotrkowskiego za niesprawiedliwy, nieważny i niebyły, i zażądał przywrócenia pokrzywdzonego banity do wszelkich praw dawnych, niesłusznie mu odjętych. Orzeczenie to jednak pozostało na razie bez żadnej praktycznej dla Unruga korzyści. Nie chciał bowiem ani on ani przyjaciele jego drażnić szlachty, która wdanie się Ojca św. w sprawę Unruga uważała za zamach na swe prerogatywy szlacheckie; a tak wielkie było rozdrażnienie na samą wieść

o tym wypadku, że już tu i owdzie Ojca św. Papieżem kalwińskim nazywano. Zresztą było prawo polskie, dozwalające tylko sejmowi zrywać wyroki trybunału koronnego. Trzeba więc było mimo wszystkiego starać się o względy pp. marszałków, sędziów i posłów.

Właśnie najlepsza do tego zdarzała się pora. W r. 1726 zwołano sejm do Grodna. Tutaj, obok wielu spraw innych, miano także przeprowadzić naprawę trybunału koronnego, w którym — jak zapisano w dyaryuszu sejmowym — już nie sprawiedliwość, ale *sola crimina regnant.* Istotnie, od pewnego czasu rozwielmożniły się w trybunale wszelkiego rodzaju nadużycia i bezprawia, a prywata, przekupstwo i służalstwo dyktowało najwyższe wyroki. Dość więc było najdrobniejszego wypadku, aby cały sejm powstał przeciwko trybunałowi Takim właśnie wypadkiem stał się zatarg między szlachtą wielkopolską a trybunałem, wskutek czego mnóstwo skarg wytoczono przed sejmem przeciw niemu, upominając się o krzywdy, wyliczając bezprawia. Skorzystali z tej sposobności przyjaciele Unruga, i przedstawili posłom sejmowym całą wielkość krzywdy, którą nieszczęśliwy banita cierpiał już lat jedenaście, dotknięty najniesprawiedliwszym wyrokiem koronnego trybunału. Sejm potępił wyrok trybunału, Unruga uznał niewinnym, i przywrócił mu wszystkie prawa obywatelskie, oprócz skonfiskowanego majątku, a to dla uniknienia kłopotów prawniczych, bo majątek ten przeszedł już prawem kupna od sukcesorów Potockiego do rąk Ludwika Szółdrskiego, który go nabył w dobrej wierze; Unrug więc zmuszony był wejść w układy z Szółdrskim i odkupić swą własność.

Oto przebieg całej sprawy Unruga, która dowodzi zapewne wielkiej niesprawiedliwości trybunału i wielkiej krzywdy, niesłusznie poniesionej przez niewinnego kalwina. Ale i dzisiaj ileż to podobnych i stokroć gorszych jeszcze bezprawi możnaby wydobyć na jaw z cieniów ukrycia lub z pyłu zapomnienia!

Nie dlatego więc sprawa Zygmunta Unruga jest ważną, że podnosi niesprawiedliwość koronnego trybunału i krzywdę dysydenta, ale dlatego — że skupia około siebie osobistości historyczne, przedstawicieli różnych warstw naszego społeczeństwa z czasów saskich — że uwydatnia nietylko charaktery, żądze i dążności, lecz także społeczne i polityczne stosunki naszego narodu — słowem, że dorzuca nie mało nowego światła na ową smutną, bo przedśmiertną kartę naszych dziejów XVIII w. Z wielką starannością miłośnika historyi i zapalonego jej badacza, pozbierał p. Kraushar dokumenta nowe, dotąd nieznane, i na nich oparty, wysnuł z prawdziwym talentem ściśle historyczne swe opowiadanie, które i pod względem formy i pod względem treści prawdziwie jest

zajmującem, tak dalece, że choćby nawet liczne rozdziały książki p. Kr. nie były zaopatrzone owem mnóstwem szumnych, a tak wiele obiecujących napisów, mimo to nie straciłaby ona nic zgoła na swej rzetelnej dziejopisarskiej wartości.

P. Kraushar jednak mimo szczerych chęci i wielokrotnych zapewniań o swej bezstronności, nie uniknął przecież stronniczych zapatrywań i sądów.

I tak sprawę Zygmunta Unruga stawia p. Kr. jako dowód fanatyzmu katolickiego społeczeństwa ówczesnej epoki. A przecież sam przyznaje, że Zygmunt Unrug znajdował współczucie nawet wśród katolików; wszak sam p. Kr. kilkakrotnie z uwielbieniem podnosi łagodność konsystorza poznańskiego, dobroć i wyrozumiałość nuncyusza Santiniego, sprawiedliwość kuryi papieskiej. Ale zapatrując się bezstronnie a uważnie na sprawę Unruga, nie trudno dostrzedz, że nie fanatyzm napisał wyrok banicyi i śmierci na niewinnego kalwina, ale nikczemna przedajność trybunału, chytre intrygi Andrzeja Potockiego. Przewrotność Potockiego aż nazbyt jest widoczną; gotów on dopuścić się wszelkiej podłości, nie cofa się nawet przed krzywoprzysięstwem,—a zręcznym jest, przebiegłym, umie skorzystać z każdej chwili, stronników przedajnych ma dużo i na sejmikach i w trybunałach. Nic więc dziwnego, iż jak pająk, potrafił ofiarę swą uwikłać, wyssać zdobycz i zgubić. Sprawa zatem Unruga — jak mu to jeden ze szlachty na sejmiku otwarcie powiedział — była nie *criminalis*, ale *crumenalis*. Wreszcie nie można też nikogo obwiniać o to, że niesprawiedliwego wyroku, przeciw Unrugowi wydanego, nikt nie unieważnił, bo tak błędnem było prawodawstwo nasze, że nie było już wyższej instytucyi sądowej; a sam król nawet był w obec trybunału bezsilnym, tembardziej, że chciał się takim w obec Europy okazać, a wyroki sądowe mógł tylko sejm walny zawieszać lub znosić.

Mija się też p. Kr. z prawdą twierdząc, że ogólnie jednaką była nietolerancya katolików i protestantów. Otóż dość przypomnieć krwawe edykta Elżbiety lub Wilhelma z Oranii, zaciekłość Knoxa, prześladowanie w Irlandyi i Holandyi, fanatyzm Zwinglianów, rabunki i świętokradztwa Hugonotów, listy Melanchtona, Kalwina lub Lutra, pouczające, jak należy postępować z katolikami, — a w obec fanatyzmu tego bledną okrucieństwa Filipa II lub Ludwika XIV.

A w Polsce samej, słynnej z tolerancyi, do której ciągnęli ze wszech stron różnowiercy, pewni bezkarności i w swawolę niestety! wyradzającej się swobody, jakże zbyt często za tolerancyę tę płacili? Czyżby panu Kr. nieznajomemi były nazwiska tych magnatów, którzy,

skosztowawszy sami luterskich, aryańskich czy kalwińskich nowinek, zaprowadzili je przymusem w swych włościach, katolickich księży wypędzali, kościoły, dla katolików przez pobożnych przodków ufundowane, zamieniali w zbory? Czy nie wie, że w samej Małopolsce zagrabili protestanci katolikom około 600 kościołów? Krakowscy żacy bili heretyków, zburzyli bróg na ulicy św. Jana, ale głowy pięciu żaków padły za tę burdę pod siekierą katowską. Parę to faktów, a wiele, wiele więcej ich sobie z pewnością sam autor „Sprawy Unruga“ potrafi przypomnieć, jeśli tylko przypomnieć sobie zechce; bo wątpimy, aby, jako badacz „bezstronny“, zechciał uciekać się do wymówki, którą niegdyś Bandtke podał biskupowi Łętowskiemu [1], gdy tenże, zbijając jego poglądy, zacytował mu długi szereg faktów, świadczących o nietolerancyi heretyków, tolerancyi katolików polskich:

— A to piszcie o tem — odparł Bandtke.

Protestanci krzyczeli w niebogłosy, gdy ich kto zadrasnął, więc wszyscy, a z nimi i p. Kr., wiedzą doskonale, gdzie, kiedy i od kogo jaka krzywda im się stała. Katolicy cicho siedzieli, gdy ich z wrzaskiem bito, a ztąd oczywisty wniosek, że nie ich, lecz oni bili i prześladowali.

O Jezuitów z p. Kr. kopii kruszyć nie myślimy; nie bierzemy mu nawet wcale za złe jego wycieczek przeciw zakonowi, oskarżeń o fanatyzm i t. d., i t. d. Wiadomą jest przecież rzeczą, że wedle dawnej, a po dziś dzień jeszcze w niektórych kołach pokutującej mody, każdy młody historyk-liberał obowiązanym jest do rzucenia garści frazesów przeciw Jezuitom w Polsce. To też już z tego jednego szczegółu, choćby nawet cała książka jasnego w tej mierze nie wydała świadectwa, domyśleć się nie trudno, że p. Kraushar jest autorem bez wątpienia pilnym, nawet nie bez talentu, ale jeszcze, i to nie z jednego względu, bardzo młodym.

B. Jasieńczyk.

Droga życia, szkic poetyczny. Przez *Józefa H. Rychtera.* Kraków, księgarnia Gebethnera i Sp.

„Jam przeczuwał Boga w potężnym rozgromie świata! — Ja, „duch pokutniczy, szukałem ciała, by się stać człowiekiem!... Czu„łem się wielkim w tym strasznym chaosie (wichrów, grzmotów, ryku „spienionych fal) i nieśmiertelnym synem Ducha-Boga!...“

[1] Opowiada o tem ks. Łętowski w swym „Katalogu biskupów krakowskich“.

Gwałtu! co to takiego? — czy się Irydion przebudził?... czy Konrad improwizuje?... Nie — to pan Rychter uderzył w gęśl. Miał myśl do wypowiedzenia... ale ona nie nadawała się do prozy — bo nie była dość określoną; szukała stroju rymów... ale widać rymów znaleść nie mogła; więc przebija się, z hukiem i trzaskiem, w formie pośredniej — prozy poetycznej. Forma aż do końca zostaje taką samą, jak ten początek, który na okaz przytoczyłem.

Ale czemże jest ta myśl? cóż zapowiada taki „eifflowski“ początek?

Quid dignum tanto feret hic promissor hiatu?

Przedmiot zaiste nie mały objął autor; skreśla on — jak mówi — drogę życia, tj. koleje ludzkości, od chwili, kiedy „jaźn“ człowieka „płynęła jeszcze w przestrzeni jak lekki puszek“ wśród chaosu żywiołów, aż do — sądu ostatecznego. To wszystko mieści się na 24 stronniczkach, z których 7 pozostało białych (zapewnie dla nieumiejących czytać). Lecz na tych kilku kartkach, jak wiele pysznych rzeczy! Najprzód ten duch ludzki, wyłaniający się z zamętu materyi — hipoteza Tyndala i innych materyalistów. Potem zjawienie się pierwszego człowieka, tak mgliste i nieokreślone, że tylko w „szkicu poetyckim“ mogło się to tak rzucić. Wnet potem, równie zagadkowe ukazanie się kobiety — i wtedy raj! Raj u p. Rychtera naszkicowany jest jak niebo Mahometa; barwy nawet są tak silne, że wartoby jedną stronnicę zakleić. Człowiek w tym raju przedstawia się dziki, zabobonny, trwożliwy w obec zjawisk przyrody, a przytem tak łakomy i zazdrosny, że własne dzieci zjada, jak to dotąd praktykują samcy nierogatej trzody. A jednak, rzecz dziwna! poetyczna tęsknota za tym iście nieuroczym rajem gra w całym tym utworze, i zapowiada się w samem *motto*, gdzie autor swój własny wiersz cytuje:

Na łonie przyrody, wśród piękna i czaru,
Żył człowiek swobodny, nie trapił go znój.
Lecz później, gdy rozum chciał życia nektaru,
Raj w piekło zamienił, a życie na bój.

J. H. R.

Autor widać nie spostrzegł, że dwa źródła, z których czerpie: tradycya biblijna o Edenie (zkąd tęsknota), i darwinizm (zkąd zwierzęcość pierwotnego stanu człowieka), nie zupełnie są w zgodzie. Niechże się na jedno zdecyduje.

Po tym raju oczywiście przychodzą biedy, tyrania i niewola; najrozmaitsze wymysły ludzkie mnożą tylko nieszczęście (coś *à la Rous-*

seau); zło i ciemnota rosną bez miary (wbrew teoryi ewolucyi). Śród tej ciemności zjawia się w końcu Chrystus, niosąc miłość... Ale — dodaje autor z osobliwem współczuciem — „On pierwszy niestety upadł wśród zawodu!“ Co potem idzie, to już łatwo przewidzieć. Naturalnie „rzesza płatnych kapłanów zamienia w jakiś ciemny mit słowa Zbawiciela“; naturalnie wspomnienie ze zgrozą o Inkwizycyi (jakżeby się bez tego obeszło?); naturalnie Kościół gasi światło, wstrzymuje pochód ludzkości, ogłupia i t. d. i t. d. Szczególnie jakoś żali się autor na przykazanie nierozwiązalności małżeństwa!... Wszystko jest na tych paru kartkach — brak tylko wzmianki o Jezuitach. Zapewne tak brzydka nazwa nie mogła znaleść miejsca w tej „poetycznej prozie“.

Epifonemat do tej poezyi da nam znowu Horacy:

> Nanciscetur enim nomen pretiumque poetae,
> Si tribus Antyciris caput insanabile, etc.

Ks. M. Morawski.

Biblioteki pedagogicznej tom II. Ks. Grzegorza Piramowicza mowy, miane w Tow. do ksiąg elementarnych w l. 1776—1788. Kraków 1889.

„Ulepszenie szkół średnich jest najżywotniejszą u nas kwestyą społeczną. Odczuł tę potrzebę sejm, porusza ją dziennikarstwo, wszędzie widać zajęcie się nią żywsze“ [1]. Co zaś w obec tego ruchu i dążenia ku reformie daje może najsilniejszą rękojmię, iż wreszcie doczekamy się tego ulepszenia, to niewątpliwie owo zespolenie i ściślejsze zszeregowanie się stanu nauczycieli szkół wyższych w pojedynczych kołach. Wyrazem tego zespolenia jest czasopismo *Muzeum*, któremu już społeczeństwo nasze zawdzięcza rozwikłanie niejednej zagmatwanej kwestyi z dziedziny szkolnictwa. Nie dziw tedy, iż Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych zasłużyło sobie na zaszczytne uznanie i zachętę ze strony władz krajowych. „Jak we wszystkich stosunkach życia społecznego — mówi JE. p. hr. Badeni w okólniku c. k. Rady sz. kr. z d. 6 maja 1889 r. l. 412 [2] — łączna praca, dla dobra ogółu podjęta, z postępem czasu coraz większego nabiera znaczenia, tak dążeniom i pracy wymienionego Towarzystwa nie można odmówić doniosłości w dziedzinie nauki i wychowania publicznego, jeżeli i jak długo to Towarzystwo wytrwale i rzetelnie spełniać będzie zadania sobie postawione“.

Pierwsza myśl wydawania biblioteki pedagogicznej wyszła z grona koła krakowskiego nauczycieli szk. w. Ono też podjęło się tego wydawnictwa

[1] Patrz *Muzeum* 1890. str. 16. [2] Patrz *Muzeum* 1889. str. 525

a rozpoczęło je ogłoszeniem „Sposobu edukacyi“ Fr. Bielińskiego z r. 1775 (Kraków 1888. str. 155 wydał Stan. Siedlecki). Wybór nazwać możemy bardzo szczęśliwym; listy Bielińskiego, napisane na wezwanie komisyi edukacyjnej, zawierają tyle zdrowych a mądrych rad, że niejedna z nich żywcem w nasze stosunki szkolnicze przeszczepioną być może.

Drugi tom biblioteki pedagogicznej zajmują mowy ks. Grzegorza Piramowicza, miane przed Stanisławem Augustem i „powszechnością narodową“, w których Piramowicz, jako sekretarz komisyi edukacyjnej, zdawał sprawę tak z prac i zajęć Towarzystwa do ksiąg elementarnych, założonego r. 1775, jakoteż z ogólnego postępu na polu szkolnictwa. „Mowy“, których jest 10, poprzedza wstęp wydawcy, dra W. Wisłockiego, gdzie po krótkiej wzmiance o powstaniu Towarzystwa do ksiąg elementarnych, wykazuje autor ilość mów ks. Piramowicza, i rzuca kilka myśli o ich formie, treści i wartości. Charakter tych mów jest dość monotonny. Są to właściwie urzędowe sprawozdania sekretarza komisyi; choć okraszone po oratorsku, choć pisane stylem poważnym, miejscami ciężkim, pełnym klasycznego smaku owych czasów — zawsze to sprawozdania. Ale czy przez to tracą na wartości, i czy nadają się do takiego wydawnictwa jak Biblioteka pedagogiczna? Na to odpowiadamy, że właśnie ta cecha urzędowa podnosi ich cenę, a dla Biblioteki pedagogicznej są wybornym nabytkiem ze względu na swą treść. Wyłączywszy bowiem dość krótkie wstępy, powtarzające się w każdej mowie mniej więcej dość jednostajnie, wyłączywszy dość częste komplementy dla króla JM. i „powszechności narodowej“ [1] — czego oczywiście, stosując się do etykiety, wyminąć nie mógł — otrzymamy obfitą bardzo treść, która jaskrawe rzuca światło na całą rozległą działalność tak w ogóle komisyi edukacyjnej, jak w szczególności tego Towarzystwa do ksiąg elementarnych: co wprowadza nas w żywy ruch ówczesny na polu podniesienia narodowej oświaty, i pozwala nam zbliska przypatrzyć się tym szlachetnym umysłom, jak usilnie krzątają się i trudzą i pocą, by poziom edukacyi podnieść, by „przyłożyć się do tego, aby społeczność coraz lepszych miała ludzi, a ojczyzna lepszych obywatelów“ (str. 19 m. I.). Im dalej postępuje się w czytaniu tych mów, tem więcej przybywa otuchy; czuje się coraz silniejszy prąd w narodzie, który, zdaje się, na chwilę zapomina, że to już po r. 1773, że grunt mu z pod nóg się usuwa, i wielką przejęty ideą, o tem zda się

[1] Np. w mowie I. str. 16, 17, 18; w mowie II. str. 24, 29; w mowie III. str. 38, 39; w mowie VI. str. 88 etc.

jedynie myśleć, jak podnieść zagrożoną i zarysowaną całość, jak skupić się w duchu, jak spotężnieć umysłem i hartem duszy. I nic dziwnego, bo za 13 lat będzie sejm czteroletni a po nim... konstytucya 3 maja!

Wiadomo powszechnie, jak pamiętną w dziejach naszych porozbiorowych jest działalność komisyi edukacyjnej, ustanowionej 14 października 1773 r. na wniosek Joachima Chreptowicza. Z jej łona wyszło d. 7 marca 1775 r. „Towarzystwo do ksiąg elementarnych", w którego skład wchodzili tak zasłużeni mężowie, jak: Piramowicz, Marcin Poczobut, Kołłątaj, Albertrandy, Kopczyński, Popławski, Zabłocki etc.

W „Mowach" zawarte są dzieje tego Towarzystwa. One odsłaniają nam skrzętność i pracowitość, z jaką członkowie jego wzięli się do dzieła. Widzimy, jak ze wszystkich stron kraju, a nawet z zagranicy, uczeni przysyłają swe projekta do podręczników szkolnych; jak je Towarzystwo na posiedzeniach roztrząsa, pochwala, odrzuca lub ulepsza; jak wykonanie tych projektów wchodzi w życie; jak jawią się szybko rok za rokiem nowe księgi elementarne: o ogrodnictwie i rolnictwie J. P. Rieula, arytmetyka i geometrya Lhurlliera, gramatyka ks. Kopczyńskiego, „nauka moralna" ks. Popławskiego, fizyka Hubego, historya powszechna wedle projektu Ign. Potockiego (napisana przez ks. Skrzetuskiego), botanika i zoologia ks. Kluka, historya „umiejętności, nauk i kunsztów" Pfledrera, wypisy z autorów klasycznych ks. Piramowicza etc. etc. A każde dzieło, zanim dostanie się do rąk młodzieży, przejść musi istną łaźnię krytyki i uczonej dyskusyi; a biorą w niej udział najznamienitsi mężowie, a zajmują się nią najpoważniejsi dostojnicy. Jakaś gorączka, jakiś dobry szał owładnął te umysły: oni wszyscy troszczą się o szkołę, oni wszyscy przemyśliwają nad jej podniesieniem, jakby przewidywali, jakby czuli, że jeśli nie rozbudzą w młodem pokoleniu nowego życia umysłowego, jeśli mu nie dadzą głębszego wykształcenia jak dotąd, to ta ojczyzna rozdarta, poszarpana teraz fizycznie, straci na przyszłość wszelką rękojmię, wszelką nadzieję zmartwychwstania...

Lecz „Mowy" Piramowicza nie są suchą li kroniką, bibliografią podręczników szkolnych. Każda prawie z nich występuje z jakimś nowym projektem. W IV-tej i VII-tej spotykamy plany reformy „szkół głównych" (akademij) Korony i Litwy. V-ta śmiały a głęboki kreśli obraz unormowania wszystkich stosunków szkolnictwa i stanu „akademickiego" (nauczycielskiego). Z VII-mej dowiadujemy się, „że gdziekolwiek powołani do instrukcyi publicznej przejęli ducha ustaw komisyi, gdzie podanego w uczeniu trzymają się toru, tam najwięcej młódź postąpiła. Bo uczą na rozum... bo uczą rzeczy" (str. 112—113). VIII-ma zdaje sprawę

z powstania nowych konwiktów dla podupadłej szlachty i założenia „szkoły gospodarskiej“ przez książąt Józefa i Kazimierza Czartoryskich. W IX-tej i X-tej występują na jaw usilne pragnienia podniesienia oświaty między ludem, gorące zajęcie się szkółkami parafialnemi i wykształceniem nauczycieli ludowych (szkoła księcia prymasa w Ławiczu). A ile tu mimochodem rozsianych głębokich myśli, ile poglądów na życie społeczne, na zadanie szkoły, na powołanie stanu nauczycielskiego! — istna skarbnica pedagogiczna Nie możemy się tu zapuszczać w szczegóły; — ale bodaj kilka myśli zaznaczyć musim. Jak idealnym jest np. obraz nauczyciela, nakreślony w mowie V. (str. 78 — 79): „Nauczyciel, którego kształcimy, nie jestto człowiek tylko uczony, samym umiejętnościom, przez smak i zamiłowanie onych lub dla zysku lub dla próżności, czas i pracę poświęcający; nie jest... martwem narzędziem; rozum jego nie jest ściśniony czczą wiadomości pamięcią, ani nieczułe na to wszystko, co ludzkość obchodzi, serce... Nauczyciel nasz jest cnotliwy i objaśniony obywatel. Pogląda na Ojczyznę, jako na wspólną Matkę, która, poruczywszy mu do ukształcenia dzieci swoje, wyciąga od niego dobrych i pożytecznych synów. Myśli, mówi i postępuje w ten sposób, aby wyrażenia od niego w umysł i serce młodego przesłane, ochroniły go od zgorszenia i zepsucia świata, od zarazy błędu i podłości, od nieczułości i bezczynnego lat trawienia“. Albo, mówiąc o edukacyi córek, jak trafną czyni przestrogę: „iż lepiej, aby dzieci nie umiały, kiedy inaczej być nie może, języków, i nie miały inszych powierzchownych talentów, a gruntowne wychowanie w religii, cnocie, obyczajach, gospodarstwie, robotach stanowi swemu przyzwoitych, stały się potem dobremi żonami, matkami, paniami domu“, albowiem za to „są w odpowiedzi Bogu, dzieciom, Ojczyźnie“ (str. 94). A dając w ostatniej mowie wskazówki matkom, jak mają wychowywać swe córki, tak pięknie się odzywa: „Matki! wasza jest nieodwołana nigdy powinność dawać dobre wychowanie tym, którymeście życie dały. Biada tej, która stawszy się rodzicielką, nigdy nie umie być matką! Córki wasze dojdą do stanu, w którym ich równy obowiązek czeka. Zaniedbane albo skażone od was, przeszlą większe jeszcze zepsucie w potomstwo swoje“ (str. 158).

Na tem kończymy uwagi nasze. Jesteśmy przekonani, że rozpowszechnienie tych „Mów“ nietylko między ludźmi zawodowymi, ale i w szerszych kołach o los szkoły dbałego społeczeństwa, z pewnością „wyjdzie na dobre nauce i jej postępowi“ (wstęp dra W. W. p. 10). Rzucają one bowiem wiele światła na stosunki edukacyjne owej doby; są zatem wybornym przyczynkiem do dziejów szkolnictwa

w Polsce, a szczególniej w tej tak ważnej sprawie. W obecnych zaś okolicznościach, gdy u nas z dniem każdym potrzeba reformy szkół dotkliwiej czuć się daje, gdy jej wszyscy z upragnieniem oczekują, — dzieło to może niejednemu z pracujących nad tąż reformą nasunąć myśli nowe, praktyczne, poddać plany łatwo wykonalne, a zgodne z psychicznemi i indywidualnemi przymiotami lub przywarami polskiej młodzieży, czego tak wiernie przestrzegała komisya edukacyjna w swych pracach, a co w naszych organizacyjnych zarysach często ze szkodą wychowania jest zapoznane. Wdzięczność się więc należy Kołu Krak. Tow. n. sz. w. za inicyatywę w tem tak pożytecznem wydawnictwie.

R. K.

Historya wojny chocimskiej 1621 r. Przez *Józefa Tretiaka*. Lwów 1889. 8⁰ str. 235.

Do nielicznych stosunkowo prac nad wiekiem XVII przybyła nam nowa monografia ruchliwego niezmiernie, i na różnych polach naszego piśmiennictwa występującego autora.

Wiek XVII w naszych dziejach przedstawia się jakby ciemne, ponure tło wewnętrznego rozkładu, upadku politycznego, obniżenia się oświaty, na którem tem jaskrawiej występują olśniewające zwycięstwa i potężne postacie historyczne. Jedną z najjaśniejszych chwil, w których geniusz polski w całej zabłysnął potędze, to pierwsza walna rozprawa pod Chocimem między Turcyą a Polską. Wypadek to powszechno-dziejowy, jedno ogniwo więcej w długim łańcuchu zapasów między Wschodem — a Zachodem, między półksiężycem — a Krzyżem.

Czuli to współcześni, swoi i obcy, opisując najdokładniej wojnę chocimską czy prozą, czy rymem. Mimo tak obfitego materyału, mimo przedmiotu tak ponętnego dla pióra polskiego, żaden historyk nowszy dotąd nie zajął się nim specyalnie i krytycznie. Tem wdzięczniejsi jesteśmy p. Tretiakowi za wyświecenie tak ważnej chwili w dziejach naszego narodu.

Zebrawszy prawie wyczerpująco materyał źródłowy, tak bogaty a tak barwny zarazem, stworzył zeń autor prawdziwy obraz bohaterskiej walki, pełen ciepła i życia. Trudniejszem było dać ekspozycyę dramatu wojennego, wykazać przyczyny i okoliczności poprzedzające walkę; lecz i w tej mierze autor nic do życzenia nie pozostawia.

Omówiwszy przyjazne stosunki Polski z Turcyą w XVI w., szuka autor przyczyn antagonizmu, i znajduje w kozaczyźnie główne źródło wojny. Stosunki wewnętrzne Polski przedstawione są w czarnych ale

rzeczywistych barwach. To rozprzężenie się karności w narodzie, to uwłaczanie powadze królewskiej, ten rostrój religijny na Wschodzie, sprowadzony spaczeniem unii, „uświęcającej w tej chwili niewolę chłopów i mieszczan, a samowolę i pychę pańską“, ten król wreszcie małoduszny, „nie znajdający lepszego wyjścia nad obietnicę spełnienia życzeń dyzunitów, daną bez zamiaru dotrzymania słowa“, — potęgują grozę położenia w przededniu walki z najpotężniejszem mocarstwem.

Ale i owa potęga osmańska, choć tak groźna na pozór, nie jest tak straszną, jak była za Solimana. Autor kreśli dość szczegółowo na podstawie obcych badań owo rozprzęganie się państwa tureckiego. Przedewszystkiem zaś Osman, nowy sułtan, jest tylko nieudolnym marzycielem i śmiesznym naśladowcą wielkiego swego dziada.

A jednak czemże była garstka niesfornego i buntującego się żołnierstwa polskiego w obec 300 000 armii nieprzyjacielskiej? Geniusz militarny Chodkiewicza i pomoc dziarska Kozaków pod Konaszewiczem, te czynniki rozstrzygają walkę na korzyść Polski. Przebieg zaś tej walki bohaterskiej stanowi osnowę drugiej części pracy, i jest prawdziwie pięknie skreślony.

Taki opis walki konnicy na str. 146 godzien jest pióra Sienkiewicza. Przedewszystkiem zaś olśniewa i do głębi porusza wspaniała postać wodza. Ustęp na str. 165, opisujący, jak hetman na łożu śmiertelnem próbuje ducha swych podkomendnych i z radością spostrzega, że jego nieugięte męstwo wszystkim się udzieliło, jest wspaniały. Ale też takie fakta porywają i pisarza i czytelnika. Tu rzeczywistość idzie w zawody z poezyą.

Mimo to nie traci nigdy autor trzeźwości historyka bezstronnego. Obdzierając nimbus, jakim panegiryzm XVII wieku wojnę chocimską otoczył, odsłania błędy narodu i niedołęstwo króla, które krwawą pracę wielkiego Chodkiewicza i bohaterskiego wojska w połowie zmarnowały.

Z książką taką czytelnik ze smutkiem się rozstaje.

K. K.

Zarys dziejów Polski porozbiorowej, z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej. Wydanie ozdobione rycinami i mapą Polski. Poznań. Nakładem K. Kozłowskiego. 1890. str. 287.

Najbliższe nam, a ztąd pod niejednym względem najwięcej i najważniejszych nauk dla nas w sobie mieszczące, dzieje Polski porozbiorowej, nie są z wielu przyczyn tak, i w tak szerokich kołach znane, jakby być powinny; dobrą też i praktyczną myśl miał znany poznań-

ski wydawca, starając się o popularny a tani podręcznik tych dziejów, na pierwszem miejscu dla ludu i młodzieży przeznaczony. We wstępie skreślone są pokrótce przyczyny upadku Polski, z szczególnym naciskiem na nieszczęsne pijaństwo, i dziś jeszcze, niestety, nie zupełnie wytępione. Na końcu całego dziełka wraca autor ponownie do tego przedmiotu, a kreśląc usiłowania podjęte w ostatnich kilku dziesiątkach lat w celu wykorzenienia zgubnego tego nałogu, do dalszej pracy na polu tem zachęca. Same porozbiorowe dzieje opowiedziane są zajmująco a przystępnie, stylem jasnym i poprawnym, z widoczną a gorącą miłością dla naszych religijnych i patryarchalnych ideałów. Mniej zadowalnia nas „króciuchny zarys dziejów literatury polskiej", będący raczej tylko suchem wyliczeniem najznakomitszych naszych pisarzów, i to wcale nietylko z czasów porozbiorowych; być może i żywimy nadzieję, że Wydawca zamierza później obdarzyć nas pierwszą bodaj popularną historyą naszej literatury, i dlatego obecnie historya ta w tak ciasne ujęta jest ramy. Liczny szereg wizerunków najznakomitszych Polaków z epoki porozbiorowej przedstawia się zupełnie dobrze: również i dodana na końcu mapa Polski. Dziełko to witamy tem chętniej, że nietylko z nazwy i sposobu opowiadania, ale i z ceny jest popularne, bo kosztuje w Galicyi — już z oprawą i przesyłką — 1 złr.

B.

Patrologiae Compendium scholis accommodatum. Opera *Andreus Retke S. Th. Doct.* In Coep. R. C. Eccey. Acad. Petropolit. Nomil. et Patrol. Prof. Varsaviae, apud Czerwiński, 1889. In 8. Pag. 308.

Od dawna już czuć się dawała potrzeba łacińskiego podręcznika dla seminaryów i uniwersytetów, w których, zgodnie z duchem Kościoła, przedmioty teologiczne wykładają się po łacinie. Potrzebie tej zadość czyni autor, i miłą przez to uczącym się i nauczającym oddaje przysługę. Lecz i z innego jeszcze względu wdzięczność mu się należy. Albowiem tak podział rzeczy, jak podanie treści pojedyńczych dzieł Ojców, nic nie pozostawia do życzenia, gdyż autor słusznie wybrał i krótko przedstawił to tylko, co jest najważniejsze.

Dzieła o patrystyce autor widocznie dobrze wertował; jednakże najnowsze tego rodzaju książki, jak ostatnie, znacznie powiększone i poprawione wydanie Mochlera, Patrologia Hirschl'a (3 tomy) i inne, wiele jeszcze zawierają rzeczy, z których autor w drugiej edycyi swego kompendyum z pewnością skorzysta.

W naukach teologicznych już i tak wiele trzeba się uczyć na pamięć. Dlatego bardzo dobrze zrobił autor, że się ograniczył na tem, co jest najpotrzebniejsze. Dla tych zaś słuchaczów, którzy głębiej będą chcieli w naukę patrologii wniknąć, pomoc profesora w każdym razie jest na pogotowiu.

Nareszcie i dlatego jeszcze dziełko jest godne polecenia, że doprowadza rzecz swoją aż do św. Bernarda.

Tu i ówdzie, mógłby ktoś, według swego widzi mi się, czegoś więcej wymagać; ale jeśli to wolno krytykom, tembardziej wolno było autorowi uważać to za mniej potrzebne. Dlatego i my się wstrzymujemy od wytykania braków, jakie nam się w niektórych miejscach być zdawały.

W ogólności książkę tę uważamy za praktyczną, i wielkiego pożytku z niej się spodziewamy.

Ks. Augustyn Arndt.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le Diurnal de Marie. Eulogiès quotidiennes à la très sainte Vierge, mère de Dieu et mère des Hommes. Par le p. *Pie de Langoque* des FF. min. Capucins, membre de l'Académie pontificale de l'Immaculée Conception. 2 vol. Tournay, 1889.

„De Maria nunquam nos satis". Temi słowy św. Bernarda usprawiedliwia autor wieniec najpiękniejszych kwiatów, świeżo przez niego na cześć Maryi uwity. Za wzór do tych codziennych wezwań Bogarodzicy, służyło dzieło łacińskie ojca Calasanz de Llesanaras, wydane w Medyolanie w 1885, p. t. *Mariale quotidianum*. Nowe to wydanie francuskie różni się atoli pod niektóremi względami od łacińskiego; podnosimy to tem chętniej, że wprowadzone przez O. Piusa odmiany, dały sposobność do potrącenia o strunę dla serc polskich zawsze głęboką i dźwięczną.

Po inwokacyach, wijących się się około pięciu liter Imienia Maryi, i modlitewkach prozą, które tak jedne jak drugie, na wzór łacińskiego *Mariale quotidianum*, wyjęte są z pism największych świętych i doktorów Kościoła, — następuje intencya codzienna, odnosząca się

bądź do myśli przewodniej poprzedzającego tekstu, bądź do miejsca pielgrzymki, na ten dzień przez autora upatrzonego. Są to po większej części świątynie francuskie, cudami Maryi słynące, do których Ojciec Pius swoich czytelników prowadzi, niekiedy tylko do kościołów rzymskich zbaczając. Ale z nadejściem maja, gdy cześć Maryi się uogólnia, gdy bez różnicy narodowości i zatargów plemiennych wszyscy czciciele Maryi podają sobie bratnie dłonie u stóp jej ołtarzy, — Ojciec Pius opuszcza granice swej ojczyzny, i wędrując od kraju do kraju, wzywa swych ziomków do modlitwy za wszystkimi ludami: więc i za tymi, co zagrożeni — jak katolicy bałkańcy, i za tymi, co uciemiężeni i prześladowani — jak my Polacy. W chwili, gdy Francya, z ujmą dla swej godności najstarszej córki Kościoła, zwraca swoje sympatye ku Rosyi, miło ujrzeć tego pielgrzyma francuskiego na Jasnej Górze u stóp naszej polskiej Królowy, błagającego Ją o opiekę „nad tym dzielnym narodem w walce z prześladującą go schyzmą“, a na pożegnanie z Częstochową, śpiewającego hymn św. Wojciecha do Bogarodzicy.

Jest w „Diurnalu“ jeszcze jedna myśl nowa a rzewna, o której nie możemy zamilczeć. O. Pius, nie ograniczając się do pieśni po seminaryach śpiewanych, zbierał dla swej książki kwiaty poezyi wszędzie, gdziekolwiek je miłość i cześć ku N. Pannie posiała. Ztąd obok nazwisk wiernych synów Kościoła, spotykamy imiona tych, co tylko w chwilowem uniesieniu wielbili Maryą. Oto jak autor dziwne to na pozór zestawienie usprawiedliwia. „Sądzę, — mówi on w swej przedmowie, — że oprócz literackiej wartości, poezye te mają jeszcze nadprzyrodzoną zasługę. Ci co je pisali, przestali się modlić, ale do modlitwy dotąd pobudzają; przestali chwalić Maryę, ale pochwała, co kiedyś z serc ich wytrysnęła, nie straciła swej doniosłości za pośrednictwem ust, które je odmawiają. Nie podobna zatem, aby Matka miłosierdzia nie uwzględniła na ich korzyść przysługi duchowej, jaką bezwiednie drugim po dziś dzień wyrządzają“. — Czyż słowa te nie dowodzą najlepiej, że cześć Maryi jest jakoby tem słońcem, z którego miłość na świat cały zasyła promienie. Kończymy to sprawozdanie „Diurnalu“ gorącem życzeniem, aby zjednało sobie w Polsce takie uznanie, jak to, z którem je powitano we Włoszech i Francyi, a w krótkim czasie doczekało się przerobienia ne język polski, do czego i w naszych pieśniach obfity znajdzie się materyał.

M. St.

August Comte, der Begründer des Positivismus. Von *H. Gruber S. J.* Herder. Freiburg, 1889. 2 M.

Choć w Polsce teorya A. Comtego dobrze jest znaną, to jednak rys biograficzny, skreslony przez O. Grubera, każdego z pewnością zainteresuje. Odznacza się on bardzo głębokiem i źródłowem, opracowaniem; wskazuje zarazem całą nędzę człowieka bez Boga. Z młodości Comtego (1798—1822), a przedewszystkiem z jego stosunku z Saint-Simonem mało budujących dowiadujemy się szczegółów. Nieszczęśliwe pożycie rodzinne stanowi w latach późniejszych tło jego dążności. W r. 1845 bohater pozytywizmu poznał panią Klotyldę de Vaux, którą uznał za swój ideał. Po śmierci stała się ona dla niego „prawdziwą boginią, świętą towarzyszką, matką jego drugiego życia, jego aniołem, kapłanką ludzkości, pośredniczką między prawdziwie wielką istotą (ludzkością) i jej arcykapłanem, Comtem“. Kto pragnie ujrzeć, do jakiego stopnia szaleństwa dochodzą bezbożnicy, niech przeczyta przedewszystkiem *Die Andachten* (wspomnienia). Rano od godziny $5^1/_2$ do $6^1/_2$, najprzód szczególne wspomnienia Klotyldy przez przeciąg kwadransa, potem przez minut 20 wspomnienia ogólne, wreszcie serdeczne zwierzenia. Wieczorem pół godziny „modlitwy wieczornej“, składającej się ze wspomnień, dziesięć minut siedzenia w łóżku z myślą o Klotyldzie, wynurzenie serdeczne i zakończenie. Po południu wspomnienia, trwające 20 minut. Pomijamy już inne szczegóły.

Imię Comtego jest godłem dzisiejszej modnej nauki, niewiarą nacechowanej; od niego pochodzi kierunek i większa część frazesów, chce on uchodzić za wielkiego filozofa, jednoczącego w swej osobie Mojżesza, Pawła i Arystotelesa. Ojciec Gruber wskazuje wartość przekonań Comtego, którego własna teorya świadczy o wartości jego osoby. Poglądy jego są takiego rodzaju, że gdyby je kto inny wygłosił, osadzonoby go kosztem rządu w szpitalu obłąkanych. Ukrywają jednak tę prawdę, przypisując założycielowi pozytywizmu rysy chrześcijańskiego na świat poglądu, których nigdy nie posiadał.

A. Arndt.

Goethe in Polen. Von *Karpeles.* Berlin, 1890.

W książce tej zebrał znany już w literaturze niemieckiej autor z wielką skrzętnością wszystko, co w biografii Goethego ma jakikolwiek związek z Polską i Polakami, a zarazem wykazał, o ile u nas

zajmowano się dziełami tego poety. Ogólne wrażenie tej książki jest miłe, bo jakkolwiek znajduje się w niej kilka zdań, które nam podobać się nie mogą, to jednak nie dziwią one u autora niechrześcijanina; za to widoczną jest wszędzie jego sympatya dla nas, która tem bardziej godną jest uznania, że dosyć rzadko pojawia się wśród jego współwyznawców, po niemiecku piszących. Sam Goethe bardzo cenił Polaków, z których wielu odwiedzało go w Weimarze, a wielu innych poznawał w Karlsbadzie, dokąd często wyjeżdżał dla kuracyi Nie znajdujemy wprawdzie i w tej książce żadnych uwag głębszych „starego Mistrza“, odnoszących się do naszego życia duchownego i piśmiennictwa, bo ich nie wypowiedział, bo był to widocznie świat dla niego obcy; jednak czarowało go wyższe nasze towarzystwo swoim wdziękiem, dobrym tonem i wykształceniem. Kiedy raz rzekł do niego jeden ze znajomych: „przecież my Niemcy jesteśmy w obec Polaków czemś podobnem do Holenderczyków *(eine Art Holländer)*, — odpowiedział Goethe: „Nic dziwnego, gracya jest im wrodzona“. Najwięcej naturalnie zachwycały go Polki, i nie jedna była jego uwielbień przedmiotem. Wiadomo, że do późnej starości ulegał erotycznym zapałom, a szczególnie w kąpielach uważał za potrzebne, jak sam wyznaje, zawiązywać platoniczne stosunki, dla odpędzenia nudów. Dokładnie jest opisane spotkanie się z Mickiewiczem, o którym powiedział: „widać, że to człowiek genialny“.

Dobrzeby więc było, gdyby ta książka znalazła wielu czytelników w Niemczech; możeby się cośkolwiek przyczyniła do rozbudzenia na nowo sympatyi dla nieprawnie ujarzmionych i nielitościwie tępionych... Szkoda tylko, że autor nie jest estetykiem, jak widać z jego uwag o Panu Tadeuszu; n. p. Zosia wydaje mu się postacią nie szczególnie udaną. Tu zdaje się poszedł za krytykiem polskim, u którego estetyka jest także piętą Achilesową, za p. Chmielowskim [1].

Ks. dr. A. P.

---

[1] Por. tegoż książkę p. n.: „Kobiety w dziełach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego“.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Tryumf katolików w Niemczech. — Odezwa senatora Lampertico. — *Revue des deux Mondes* o prześladowaniu religijnem we Francyi. — Memoryał biskupów austryackich o szkole katolickiej. — Głosy i taktyka wiedeńskiej i naszej prasy.

KATOLICKA REAKCYA. Nie tak jeszcze dawno temu, z katolickiemi zasadami i dążnościami ledwie jaki rząd, a bodaj czy jaki parlament na seryo się rachował; nad petycyami katolickiej ludności przechodzono do porządku dziennego, skarg i wniosków nielicznych szczerze katolickich posłów słuchano wśród śmiechu i nieuwagi. Dziś stan rzeczy zmieniony, lub nader szybko zmienia się na korzyść katolików; jak szybko, o tem przekonuje najlepiej historya ostatnich kilku tygodni, w czasie których ze wszech stron — nie zawsze zapewne zupełną świadomością, czasem chwilowem może tylko przerażeniem wywołane, ale zawsze zadziwiające i pocieszające — odezwały się odgłosy: „Jedynie zasady chrześcijańskie, tak wytrwale, a mężnie przeciw wszelkiego rodzaju modnym systemom, liberalnym teoryom, przez Kościół katolicki szerzone i bronione, mogą stawić czoło niebezpieczeństwom, podkopującym byt i całość państw, grożącym zagubą społeczeństwu“.

TRYUMF KATOLIKÓW NIEMIECKICH.

Najgłośniej okrzyk ten odezwał się, siła katolickich zasad w całej pełni na jaw wystąpiła — w Niemczech, w czasie ostatnich wyborów, przygrywki, — jak je nazwano, — do dawno przepowiedzianej przez filozofów chrześcijańskich, olbrzymiej walki między dwoma obozami, na które świat cały coraz wyraźniej się dzieli: socyalistycznym i katolickim. Dotychczasowe rządowe stronnictwa, sprzężone ze sobą wolą Bismarka, które przed trzema latami również dzięki tylko nieprzebierającej w środkach woli niemieckiego kanclerza przyszły do władzy, zostały obecnie na całej linii pobite, i bodaj czy kiedy z tego strasznego upadku zdołają się podźwignąć. Sprawiedliwa nemesis wyborcza sprowadziła najcięższą klęskę na tych, których gospodarce i niewolniczej usłużności zawdzięczali katolicy długoletnie prześladowanie, a obecnie socyaliści zawdzięczają bądź co bądź trwogą napełniające tryumfy, — na narodowo-liberalnych. Stronnictwo to, które w czasie ostatniej sesyi liczyło 99, a w najświetniejszej swej epoce między 1874 a 1877 r. aż 151, stopniało dziś do stosunkowo bardzo skromnej liczby 42 członków. Socyaliści natomiast, których całe stronnictwo składało się w r. 1871 z jednego szeregowca i wodza zarazem, a w ostatnim peryodzie parlamentarnym rozporządzali 11 głosami, wysłali teraz do Berlina 35 posłów. Wzrost Centrum — najwybitniejszego ze wszystkich stronnictw, — nie może dziś być tak szybki, ale co w jego historyi zwraca uwagę, to stały postęp naprzód, jakim wyłącznie ono jedno się szczyci. Tak w r. 1871 liczyło Centrum członków 58; w r. 1874 — 91; w r. 1877 — 93; w r. 1878 — 93; w r. 1881 — 98; w r. 1884 — 99; w r. 1887 — 98; przy ostatnich wyborach wyszło z urny 107. Dołączając do tej liczby 16 Polaków, 11 Welfów, 10 Alzatczyków, którzy we wszystkich kwestyach ważniejszych, zwłaszcza wyznaniowych, stale razem z Centrum głosują, — otrzymujemy bardzo poważną grupę, złożoną z 144 posłów, podczas gdy kartelowa prawica doliczyć się tylko może 138, a lewica, na którą składają się 69 wolnomyślnych, 35 socyalistów i 10 demokratów, rozporządza 114 głosami. W ten sposób katolicy,

ogłoszeni nie tak dawno jeszcze „wrogami niemieckiego państwa“, rozstrzygać dziś mają o jego losach; bez ich współudziału żadne nowe prawo uchwalone być nie może; w każdej sprawie, w każdej między lewicą a prawicą toczącej się walce, oni ostatecznie głosami swemi przechylać będą szalę zwycięstwa.

Stanowcza klęska wrogiego chrześcijańskim ideom i zasadom liberalizmu, a wysunięcie się naprzód katolików i socyalistów jaśniej jeszcze się maluje, gdy weźmiemy na uwagę nie tylko cyfrę wybranych posłów, ale i głosów na nich oddanych. Tak np. w jednej tylko Kolonii Centrum zyskało 7000 głosów, socyaliści 6000; liberali utracili 6000. W Berlinie oświadczyło się za „kartelem“ 33.803; przeciw kartelowi 201.086 głosów. W ogóle na mniej więcej siedem milionów uprawnionych do głosowania, „kartel“ stracił przeszło milion zwolenników; Centrum pozyskało około 100.000 nowych głosów; wolnomyślni, w których tryumfie znaczną rolę odegrali, wspierający ich wielokrotnie tak katolicy, jak i socyaliści, zyskali około 200.000 głosów; socyaliści aż 500.000. Ciekawe, choć nie wesołe są cyfry, okazujące przerażający wzrost socyalizmu w stolicy Niemiec, gdzie katolicy w zbyt szczupłej znajdują się liczbie, aby mogli groźnemu temu zalewowi się oprzeć, a przynajmniej w pewnych granicach go powstrzymać. Kandydaci socyalistyczni w Berlinie otrzymali:

W roku	1867	— głosów	67
„	1871	— „	2.058
„	1874	— „	11.279
„	1877	— „	31.323
„	1878	— „	36.147
„	1884	— „	68.523
„	1887	— „	93.335
„	1890	— „	127.122

Dokąd dojdziemy, idąc dalej w tym kierunku, — pyta z nietajoną rozpaczą prasa rządowa, protestancka, liberalna; — kto nas obroni przed temi hordami, które na wieczny wstyd niemieckiej stolicy, wolą mieć przedstawicielem polskiego rze-

mieślnika Janiszewskiego, niż słynnego w całym świecie mówcę, liberała, niemieckiego uczonego Virchowa. „Złóżmy pychę z serca, — odpowiada organ fanatycznych protestantów, *Reichsbote*, — i wyznajmy, że dziś tylko Centrum rzucić może Niemcom deskę zbawienia. Wszystkie stronnictwa poruszyły się w swych posadach; Centrum stoi bez szwanku. Zgubny wpływ socyalizmu nie szerzy się między ludnością katolicką; nawiedza tylko protestancką ludność. Ludność ta poiła się od całego szeregu lat jadem, sączonym przez liberalną prasę; i dziś niestety, wszystko w niej skażone: religia, zasady, moralność. Prasa liberalna, otoczona opieką kół urzędowych, prowadziła lud, bez chwili przerwy, do boju przeciw Kościołowi, przeciw wszelkiej zasadzie chrześcijańskiej; posiew socyalizmu, rzucony na tak przygotowaną rolę, przyjął się z łatwością. Kąkol, w sercach zasiany, wzrósł; a dziś panowie liberali i ich opiekunowie udają, że się dziwią, oglądając owoce swej pracy. Co kto posiał, to zbiera; prawa tego nikt nigdy nie zmieni. Skoro dziś Kościół katolicki złożył nam dowód, że sam jeden jest w stanie wywierać zbawienny a niezbędny wpływ na ludność, to nie wolno nam będzie się dziwić, jeśli zarazem i wpływ w jego państwie się zwiększy, a przeciwnie wpływ Kościoła protestanckiego na sprawy publiczne dozna znacznego uszczerbku".

Ciekawe to wyznania organu protestanckich pastorów, uzupełnił jeszcze słynny Stoecker w wygłoszonej w Berlinie mowie, w której zastanawiając się nad wynikiem wyborów, wręcz oświadczył, że protestantyzm nie ma sił, aby stawić czoło zwycięskiemu pochodowi katolików. Stronnictwo katolickie, — mówi ze swej strony *Kreuzzeitung*, — okazało się gotowe do walki z socyalizmem; ma w swem ręku westfalskich i nadreńskich robotników; a jeśli w wielkich miastach pokonanem zostało przez socyalistów, to dlatego, ponieważ zbyt mało jest księży, a działalność ich zawarta w zbyt szczupłych granicach. Najlepszem lekarstwem w tej mierze byłyby bez wątpienia misye katolickie, i dlatego ani wątpić można, że

Centrum domagać się będzie energicznie powrotu Redemptorystów i Jezuitów“ (sic!)

Strach nie przed widmem już, ale przed idącą naprzód w zwartych szeregach i zwyciężającą armią socyalistów, musi być wielki; przepaść, która nagle przed oczami otworzyła się, głęboką, kiedy najzaciętsi wrogowie katolików, do nich o ratunek ręce wyciągają, i gotowi się nawet zgodzić na powrót zakonników, znienawidzonych „grenadyerów papieskiej tyranii“, byle grenadyerzy ci bronili ich przed socyalną rewolucyą. Wszyscy, — jak nie bez złośliwej ironii zauważa *Temps*, — dobijają się na wyścigi o przyjaźń, o łaskawe słówko ludzi, których *Kulturkampf* wyjął z pod prawa, przeciw którym kanclerz rzucał pioruny swego słowa, swych praw i rozporządzeń. Wszak dopiero co czytaliśmy w *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, — a nikomu chyba nie tajne urzędowe stanowisko tego organu, — że dwa tylko wielkie stronnictwa, stojące na gruncie rozumnej polityki społecznej i autentycznych tradycyj państwa pruskiego t. j. konserwatyści i Centrum, wychodzą bez szwanku z wyborczych zapasów. Przesadzony to komplement co do konserwatystów, którzy w wirze walki nie jedną ranę ponieśli; ale tem większe ma znaczenie odnośnie do katolików, owego „zagranicznego hufcu — jak ich nazywano, — armii w służbie ultramontanizmu, zbirów potęgi wrogiej samymże fundamentom pruskiej monarchii“.

Głos rządowego organu nie małą ma wagę, bo dowodzi jasno, że rząd, politycznie godząc się z okolicznościami, najzupełniej jest gotów oprzeć się na Centrum, i że dziś zwłaszcza po ustąpieniu kanclerskiem, przejdzie prawdopodobnie po pod kaudyńskie jarzmo Windthorsta, — jak *Nord* obrazowo się wyraża, — przyjmie katolicki wniosek szkolny, uzna nawet, że katolickie zakony mogą bez wielkiego niebezpieczeństwa dla państwa w Niemczech pracować. W każdym razie, czy rząd zechce czy nie zechce dokończyć własnemi rękami dzieła zburzenia, z takim mozołem przez siebie wystawionej fortecy przeciw katolickiemu Kościołowi, — do zupełnego zburzenia dojść musi. O rozwiązaniu parlamentu

i mowy być nie może, bo to doprowadziłoby tylko do pomnożenia socyalistycznych i katolickich zastępów; zresztą cesarz myśli widocznie bardzo na seryo o podjęciu na szeroką skalę reformy społecznej, a w przeprowadzeniu tych swych zamiarów rachuje na pierwszym planie na Centrum. Przed wyborami oświadczył z naciskiem jednemu z przywódców niemieckich katolików, że bardzo, i wcale nie dla komplementu tylko sobie życzy, aby Centrum zajęło w przyszłym parlamencie jak najwybitniejsze stanowisko; co więcej, wyraźnie polecił słowa te swoje rozgłosić. Na niechcącego brać już udziału w życiu publicznem Schorlemera-Alsta, osobiście wpłynął, i naleganiem swem dokazał, że zasłużony ten weteran parlamentaryzmu wstąpił ponownie w szranki, z których zdawało się, stanowczo już się był wycofał; księcia biskupa wrocławskiego mianował niemieckim delegatem na zwołanym przez siebie do Berlina międzynarodowym kongresie społecznym; wreszcie udał się do Papieża z prośbą o poparcie swym wpływem rozpoczętego dzieła. Wszystkie te kroki i fakty razem wzięte, dość widocznym są znakiem, że „monarcha robotników", kopijując w swych reskryptach — jak wyraża się *Figaro*, — program, którego oryginał znajduje się i wyszedł ze Rzymu, nie zapoznaje siły i znaczenia katolickiego Kościoła, jego pomocy pozbawiać się nie myśli; rozumie, że oprzeć się musi na katolikach, jeśli chce w życie wprowadzić myśli, które Papież jeszcze roku zeszłego uznał za swoje, i gorąco pochwalił w liście sekretarza Propagandy mgr. Jacobiniego do gorliwego organizatora konferencyi socyalnej w Bernie, profesora Decurtins.

ODEZWA SENATORA LAMPERTICO.

W Niemczech urzędownie niejako wezwano katolików do ratowania zagrożonych podwalin społeczeństwa; czerwoni wolnomularze, rządzący Włochami, woleliby się dać w gruzach pogrzebać, niż przyjąć ratunek z rąk religii, Kościoła. Ale poza tą kliką występują coraz częściej „liberali", nawet „radykali", którzy widząc niebezpieczeństwo, ostrzegają przed niem, papieża i katolików na pomoc wzywają. Taki okrzyk: „Ratunku!" wydał w ostatnich tygo-

godniach senator Lampertico we florenckiej *Rassegna Nazionale*, omawiając konieczność założenia nowego, opartego na szerokich podstawach stronnictwa konserwatywnego, które, jak wyznaje, jest z jednej strony niezbędnem, z drugiej niemożliwem, jeśli katolicy, trzymając się nadal polityki abstencyjnej, w skład jego nie wejdą. „Ludzie, broniący porządku, widzą z przerażeniem, w jakiem pozostają osamotnieniu. Inaczej niestety! być być nie może od chwili, w której odłączyli się, i nie mają stycznych punktów z ową wielką, potężną organizacyą, którą Kościół rozporządza na korzyść porządku społecznego i politycznego. Złemu dziś zaradzić mógłby tylko udział katolików w życiu publicznem; dlatego obowiązkiem każdego dobrego Włocha przyspieszać tę pożądaną chwilę, a w danym razie otworzyć na oścież bramy parlamentu dla katolików, przyjąć ich z otwartemi ramionami... Zapewne, trudnoby się nam było z nimi we wszystkiem zgodzić; niektóre kwestye należałoby niezbędnie pozostawić nietknięte, ale w daleko więcej sprawach moglibyśmy rozwinąć wspólną, zbawczą akcyę. Zachowanie rodziny, własności, rzeczywistej wolności, przedewszystkiem gwałtownej dziś wolności sumienia, uregulowanie nie jednostronne, jak dzisiaj, ale sprawiedliwe stosunku państwa do Kościoła, — czyż to nie dość ważne i fundamentalne interesa, czyż nie należałoby nam razem je wyświecać, razem stawać w ich obronie? Zdaniem mojem, kompromis w tym duchu pojęty, zawarty być powinien jak najprędzej, tak, aby przyszłe wybory odbyły się już pod jego wpływem, i były jego naturalnym wynikiem".

Odezwie senatora Lampertico trudno odmówić pewnej symptomatycznej doniosłości, choćby głos jego był odosobnionym; obecnie tem większą ma wagę, że stanowi pewnego rodzaju program, i wyraża najgłębsze życzenia nowo formującego się w łonie parlamentu włoskiego konserwatywno-liberalnego stronnictwa, którego ostrze zwróconem być ma przeciw despotyzmowi Crispiego. Właściwym organizatorem rodzącego się stronnictwa jest, a przynajmniej mówią powszechnie, że jest głośny Bonghi; rolę jego adjutantów, ogłaszających w li-

cznych dziennikach i broszurach rozkazy i myśli wodza, wykonują margrabia Alfieri, hr. Jacini, Massarani, Colombo, Robert Stuart i paru innych „ex-ministrów, ex-deputowanych, ex-prefektów, ex-syndyków i ex-dziennikarzów“ — jak sarkastycznie wyraża się *Civiltà Cattolica*, która całego tego przedsięwzięcia, raczej przeciw osobie, niż przeciw zasadom skierowanego, nie bierze zbyt na seryo. „Wszystko to pięknie i ładnie, — pisze z równem niedowierzaniem i temi samemi niemal słowami paryski *Journal des Débats* i rosyjski *Nord;* — cóż, kiedy w świeżo formujących się kwadrach figurują sami oficerowie, a napróżno pytałbyś za naczelnym wodzem, i brak zupełny — co najgorsza — żołnierzów. Jedni katolicy mogliby żołnierzów dostarczyć, i dlatego oficerowie owi starają się wszelkimi sposobami wytłómaczyć im, że powinni zerwać z dotychczasową tradycyą i jąć się życia publicznego równie w interesie państwa, jak i Kościoła. Spóźniony to i wymuszony hołd, oddany potędze katolickiej opinii, której p. Crispi nigdy radzić się nie raczył, a która obecnie w oczach publicystów wcale a wcale o klerykalizm nie podejrzanych, okazuje się jako żywioł, od którego w gruncie zależą przyszłe losy Włoch. Ale jakże żądać od katolików, aby się zgodzili na przedstawiony sobie bezbarwny program, który ostatecznie streszcza się w następnej przemowie do dzisiejszego ministeryum: „Grać będziemy na tę samę nutę co i wy, ale z mniejszym hałasem, a przedewszystkiem z mniejszymi wydatkami“. Takie bezkrwiste programy równie nie mogą tłumów pociągnąć, jak upić się nie można ślazem lub rumiankiem. Katolicy więc — kończy *Nord* swe wywody, — na lep ten nie pójdą; bez katolików żadne stronnictwo konserwatywne nie będzie w stanie zająć rzeczywiście silnego stanowiska, a bez silnego stronnictwa konserwatywnego parlamentaryzm włoski toczyć się będzie coraz szybciej na drodze zupełnej niemocy i bezpłodności“.

PRZEŚLADOWANIE WE FRANCYI.

Parlamentaryzm francuski toczy się nie od dziś po tej drodze przyspieszonym pędem: sekciarski, w niewoli radykałów jęczący rząd nie rozumie, czy może tylko udaje, że nie rozumie groźnej lekcyi, którą dała mu ludność przy ostatnich wyborach, którą powtarza z coraz większym naciskiem przy każdym niemal wyborze uzupełniającym. „Czyżby lekcya ta, — pyta *Revue des deux Mondes* w programowym artykule: „Republika i konserwatyści“, wyszłym zpod pióra jednego z najznakomitszych, dla rzeczypospolitej wcale wrogo nie usposobionego polityka, — czyżby ten głos ludu przebrzmieć miał niepostrzeżony, niezrozumiany? Czego domaga się kraj od swych rządców? Niczego, prócz uspokojenia. Każdy to czuje, wszyscy to powtarzają; dnia następnego po wyborach słowo „uspokojenie“ przesunęło się przez usta wszystkich; a dziś po sześciu miesiącach napróżno szukamy choć jednej oznaki zwrotu w tym kierunku. A przecież, — czyż to tak trudno wydać pożądany przez wszystkich sygnał pokoju? Mąż, który dał już dowody swego przywiązania do rzeczypospolitej, człowiek najzdrowiej na rzeczy patrzący, obdarzony politycznym zmysłem, jak nikt może inny w szeregach większości, p. Leon Say, wskazał przed kilku tygodniami w mowie, wygłoszonej w kole przyjaciół, co republikanie mogliby zrobić. Uspakajające kroki i środki same się narzucają, a sprzeciwia się im jedynie sekciarski fanatyzm. Nie potrzebaby nawet zawsze, dla okazania uspakajających dążności, zmiany istniejących praw, do czego parlament nie ma oczywiście ani odwagi, ani dostatecznego rozumu; wystarczyłoby mniej sekciarskie zastosowanie prawa. A czyż tak postępują sobie ministrowie, czyż w tym kierunku większość każe im postępować? Czy ustały banicye zakonnic ze szpitalów, czy zawieszono laicyzacyę szkół? Czy duchowieństwo nie jest wciąż wystawione na wszelkiego rodzaju pociski, czy proboszcze drżeć dniem i nocą nie muszą przed administracyjnym ukazem, który im odbierze skromną ich pensyjkę? O ile mi wiadomo, to nic na lepsze się nie zmieniło. Niedorzeczne, a marnujące grosz narodowy laicyzacye rozciągają się na co-

raz nowe szkoły i szpitale; za wiele mamy pieniędzy, aby korzystać z bezpłatnego poświęcenia. W stolicy każdego prefekta istnieje osobny departament szpiegów i donosicieli; wszakże sam p. minister wyznań oświadczył nam, że 1 stycznia 1890 było we Francyi 300 proboszczów, którym rząd pensyę skonfiskował; — a więc trzy lub cztery razy więcej, niż 1 stycznia 1889. Oryginalny to zaprawdę sposób uspakajania umysłów! Ależ. — słyszę odpowiedź — to słuszna kara za zachowanie się duchowieństwa w czasie wyborów. — Jakto! więc panowie sądzicie, że taka zemsta, kontrybucye, pogodzą kler z rzeczą-pospolitą? — Niech się księża w politykę nie wdają! — woła p. Ribot. — Zgoda! ale, aby do tego dojść, niechże polityka przeciw księżom się nie zwraca. Każdy rok nowe ciężary na duchowieństwo wkłada, nowe ciosy mu zadaje: nowe laicyzacye lub banicye, stałe ściąganie i tak szczupłego budżetu; w tym roku prawo wojskowe, wymierzone przeciw seminarzystom, zagroziło samej podstawie jego bytu; — i jakże żądać od kleru, aby patrzał spokojnem, obojętnem okiem na wyborcze walki, od których zależy i chleb jego codzienny i wolność jego ołtarzów. Czyż wolnomyśliciele, którzy inne ewangelie odrzuciwszy, uwierzyli w Darwinowską, wyobrażają sobie, że księża stanowią wyjątek między wszystkiemi istotami żyjącemi, i sami jedni nie podlegają prawu „walki o byt“?

MEMORYAŁ BISKUPÓW AUSTRYACKICH.

Przez dłuższy czas zdawać się mogło, że podjęta we wniosku Liechtensteina sprawa reformy szkolnej w duchu chrześcijańskim, nietylko śpi, ale i pogrzebana; a gdy sam wnioskodawca z parlamentu ustąpił, zabrzmiały ze wszech stron pogrzebowe mowy nad grobem jego wniosku, który nawet honoru „pierwszego czytania“ nie mógł dla siebie wykołatać; rozbrzmiały liberalne, radykalne, żydowskie, ale zawsze na tę samą nutę nucone tryumfalne hymny na cześć szkoły nowoczesnej, zwycięskiej, niezwyciężonej. Odzywały się wprawdzie od czasu do czasu mącące tę radość obawy, czy fala żądań chrześcijańskiej ludności, wydobywszy się raz z ciasnych, liberalnym despotyzmem zakreślonych gra-

nic, napowrót do nich się cofnie, sztucznych przeszkód nie przełamie; czy austryacki episkopat raz poruszonej, a tak niezmiernie ważnej dla katolickiej ludności kwestyi, sam w rękę nie weźmie, i całym swym, dzięki Bogu, niemałym w Austryi wpływem i powagą, jej nie poprze; — ale zwolennicy szkoły niechrześcijańskiej, rozradowani klęską znienawidzonych klerykałów, z możliwością tą rachować się nie śmieli, czy nie chcieli, naznaczając jej ze śmiechem miejsce w kraju mrzonek i baśni w niepowrotnej, przedliberalnej erze. Nie dziw, że jak grom z pogodnego nieba podziałał na nich protokół posiedzenia komisyi szkolnej izby panów z 12 marca, ogłoszony tegoż samego dnia na naczelnem miejscu w *Wiener Abendpost:*

„Po otwarciu posiedzenia odczytał J. Eminencya kardynał książe arcybiskup pragski hr. Schoenborn, następne oświadczenie:

W celu wywiązania się z obietnicy, danej na pierwszem posiedzeniu komisyi szkolnej izby wyższej d. 28 lutego b. r., tj. udzielenia wskazówek, w jakim kierunku nastąpić musi zmiana, — której konieczność uznał sam Wysoki Rząd, — w sprawach z 14 maja 1869 r. i 2 maja 1883 r, aby zadość uczynić słusznym żądaniom katolickiego Kościoła; — niżej podpisani członkowie komisyi szkolnej, występując zarazem w imieniu całego episkopatu z królestw i krajów w radzie państwa reprezentowanych, pozwalają sobie kierunek ten bliżej określić w następujących punktach:

Wedle powyżej wzmiankowanych praw, nie wolno rodzicom lub opiekunom pozostawić dzieci własnych lub staraniu swemu powierzonych, bez nauki przepisanej dla publicznych szkół ludowych (§. 20).

Wskutek tego największa część rodziców lub opiekunów prawie jest zmuszoną posyłać własne lub opiece swej poruczone dzieci do publicznych szkół ludowych (§ 23). W ten sposób uczęszczanie do publicznej szkoły ludowej staje się właściwie przymusem, a rodzice lub ich zastępcy mogą być nawet przymusowemi środkami zniewoleni do regularnego posyłania dzieci do tejże szkoły (§. 24).

Podpisani zastanawiać się nie chcą nad pytaniem, czy przymus szkolny jest w ogóle usprawiedliwionym; uważać go jednak mogą tylko wtedy za dopuszczalny i znośny, jeśli katolikom nie odejmuje, choćby w pewnej tylko części, najświętszej i zasadniczemi ustawami zagwarantowanej (§. 14) wolności wiary i sumienia. Wolności tej jednak

bezwątpienia sprzeciwia się, jeśli prawomocni opiekunowie katolickich dzieci nie mają możności dać im za pośrednictwem szkoły publicznej wychowania i nauki, któraby zasadom ich wiary jedynie odpowiadała, i której sumienie ich się domaga; niemożność ta wkłada na nich obowiązek ciągłego ponawiania swych żądań, odnoszących się do urządzenia katolickich szkół ludowych. Katolicy wiedzą, że sumiennie przyczyniają sie do ponoszenia wszelkich szkolnych i publicznych ciężarów, że i oni wiernie spełniają wszystkie obywatelskie obowiązki: a przeświadczenie to dozwala im z tym większym naciskiem głos swój podnieść.

W wyższej jeszcze mierze obowiązani są biskupi domagać się dla poruczonej sobie od Chrystusa owczarni takiego urządzenia przymusowej — w gruncie rzeczy — szkoły ludowej, aby dzieci w niej wychowywały się nie na podstawie raz po raz zmieniających się szkolnych hypotez, ale aby otrzymywały religijno-moralne wychowanie, oparte na niezmiennych zasadach świętej swej wiary; aby dawano im w niej nietylko wiadomości i wyrabiano zdolności, mogące się przydać w życiu doczesnem, ale aby również dawano im w ręce środki do osiągnięcia wiecznego swego przeznaczenia, a tak aby szkoła ludowa stała się instytucyą, wydającą prawdziwie dzielnych ludzi i członków państwowego i kościelnego społeczeństwa.

Dlatego niżej podpisani zgodnie ze swoim obowiązkiem domagać się muszą publicznych katolickich szkół ludowych dla katolickich dzieci; a żądanie to określają bliżej w następnych punktach:

1) Publiczne szkoły ludowe mają być tak urządzone, aby uczęszczające do nich dzieci katolickie nie były w ogóle mieszane z dziećmi innych wyznań. 2) W katolickich szkołach ludowych mają być wszyscy nauczyciele katoliccy wychowani w katolickich seminaryach nauczycielskich. Nauczyciele ci mają się wykazać nabytem uzdolnieniem do udzielania nauki religii katolickiej. 3) Przy obsadzie posad nauczycieli w takich szkołach, należy organom Kościoła katolickiego przyznać potrzebny wpływ, aby się można przekonać, że nauczyciele ci odpowiednio do wyż wskazanych intencyj działać będą. 4) Naukę religii należy rozszerzyć, używając do pomocy oprócz katechety także nauczyciela szkoły. Naukę innych przedmiotów, plany i środki naukowe należy tak urządzić, aby one odpowiadały katolickiemu charakterowi szkoły. 5) Celem skutecznego popierania we wszystkich kierunkach wyznaniowego charakteru szkoły ludowej, należy umożliwić Kościołowi dozór nad katolickiemi szkołami ludowemi i seminaryami nauczycielskiemi, za pośrednictwem wyznaczonych przezeń prawidłowo organów.

W końcu oświadczają podpisani, że nie zapuszczając się obecnie na pole polityki, gotowi są w sprawie swych żądań porozumieć się z kompetentnemi czynnikami.

Wiedeń 12 marca, 1890 r.

Franciszek, kardynał hr. Schoenborn, książe arcybiskup pragski. — Jan Zwerger, książe biskup z Seckau. — Jakób, książe biskup lubłański.

J. E. minister wyznań i oświaty, Dr. von Gautsch, wysłuchawszy tego oświadczenia, przemówił w następnych wyrazach:

Oświadczenie, złożone przez Najprz. księży biskupów nie tylko w własnem ich imieniu, jako członków wysokiej Izby Panów, ale też w imieniu całego Najprz. Episkopatu, którego obowiązkiem jest czuwać nad religijnemi interesami katolickiej ludności, tak jest doniosłe, że wymaga ze strony rządu gruntownego i wszechstronnego zbadania. Zdam zatem sprawozdanie radzie ministeryalnej i zdania jej zasięgnę. Tymczasem upraszam przewodniczącego, aby zamknął dzisiejsze posiedzenie komisyi szkolnej, a zwołać je zechciał dopiero na dzień, w którym będę mógł udzielić odpowiedzi rządowej".

Istotnie, jak odrazu zrozumiał i wręcz przyznał minister oświaty, jak wyznać muszą wszyscy, i ci co się cieszą, i ci co się gniewają na memoryał biskupi, doniosłość jego jest niezmierną. Przeciw Liechtensteinowi walczono w swoim czasie argumentem, że wdaje się nie w swoje rzeczy, i że biskupi, naturalni i pierwsi obrońcy praw wiary i Kościoła, ze szkoły dzisiejszej są zadowoleni; na argument ten odpowiedział obecnie cały episkopat austryacki, a odpowiedział jasno, bez ogródek, zatwierdzając silniej i bezwzględniej, niż to nawet uczynił wniosek Liechtensteina, prawo, jakie mają katolicy do zapewnienia swym dzieciom katolickiej nauki i katolickiego wychowania, z całą powagą i siłą, jako przewódcy i pasterze katolickiego ludu, katolickiej szkoły dla niego się domagając. Wielkie znaczenie tego kroku okazuje się zresztą najlepiej z popłochu, jaki zapanował w obozie liberalnym żydowskim, jak i w najliczniejszym obozie tych wszystkich, którzy uwierzyli zręcznie przez wrogów religii szerzonym hasłom, że szkoła wyznaniowa, to cofnięcie się wstecz o kilka wieków, że samo

jej domaganie się, to rozdwojenie, a bodaj czy nie koniec Austryi. W pierwszej chwili stracono formalnie głowę; dość powiedzieć, że notorycznie półurzędowy, redagowany co prawda przez żyda Schepsa, *Wiener Tagblatt*, nazwał biskupów ni mniej ni więcej, tylko „anarchistami“. Rozległy się głosy tragiczne, gdyby nie były śmiesznemi: „Konstytucya w niebezpieczeństwie, prawica rozbita, Austrya ginie!“ „Niemieckość i wolność, — woła *Deutsche Zeitung*, — wyciągnie miecz i bronić się będzie przeciw napastnikom!“ „Wskutek wystąpienia biskupów, — tryumfuje *Neue Freue Presse*, — klub kleryków zerwie z prawicą, a rządy przejdą wreszcie w ręce stronnictwa liberalnego“. U nas znów *Nowa Reforma*, stając oczywiście przeciwko biskupom katolickim po stronie *Tagblattów* i innych niemieckich organów, odpisuje z nich: „Żywioł destruktywny w dotychczasowej prawicy, klub klerykalno-konserwatywny dokona dzieła zniszczenia, a upór, z jakim całe stronnictwo klerykalne, w obu reprezentowane izbach, obstaje przy skrajnych swych żądaniach co do szkoły wyznaniowej, musi ostatecznie wywołać zmianę w konstelacyi parlamentarnej“. Zresztą *Nowa Reforma* z godną wszelkiej pochwały otwartością nie kryje wcale, że zmiana ta miłąby jej była, i że niemieckie, liberalne t. j. centralistyczne rządy uważa ostatecznie dla kraju za najlepsze.

Takie głosy, zdradzające czasem aż za jawnie, co na dnie serca leży, odezwały się w pierwszej chwili; po ochłonięciu i naradzeniu się, zgodzono się widocznie w kołach rządowych i rządowi przyjaznych, a nawet do czasu tylko go tolerujących, na przedstawienie biskupiego memoryału, jako obracającego się wyłącznie w granicach oderwanej teoryi, jako protestu bez praktycznego znaczenia, i któremu sami biskupi, świadomi wewnętrznych trudności, do wystąpienia swego przez klerykalne stronnictwo przyniewoleni, wcale a wcale praktycznego znaczenia nadawać nie myślą. Tak całą tę kwestyę usiłował przedstawić *Fremdenblatt* i stara *Presse;* tak zapatruje się na nią staroczeska *Politik;* tak z budującą zgodą przedstawiają ją wiedeńscy korespondenci *Czasu*, *Nowej Re-*

formy, *Przeglądu* w listach ogłoszonych w tym samym dniu, i jakby z jednego biura wysłanych. Rzecz oczywista, że akcya przez biskupów obecnie podjęta, wolnym tylko krokiem może naprzód kroczyć; że nie ma bynajmniej na celu rozbicia prawicy, i że biskupi, występując jako przedstawiciele i pasterze katolickiego ludu, a zarazem jako członkowie izby wyższej, nakreślili w memoryale swym tylko ogólny program, którego poszczególne punkty mają być bliżej określone i do praktyki zastosowane w porozumieniu z rządem i parlamentem. — To wszystko, powtarzamy, rzecz jasna. Natomiast, aby memoryał biskupów miał być tylko efektowną racą, puszczoną dla pociechy katolickiego klubu, aby episkopat austryacki tak jasno a śmiało zasady i żądania swe wypowiedziawszy, miał się tem zadowolnić, i tak doniosłą, tak ważnych spraw dotykającą, a tak jednomyślnie przedsiewziętą akcyę, zawiesić na spisasaniu i ogłoszeniu jednego „teoretycznego“ oświadczenia; — to nietylko nie jasne, ale poprostu niemożliwe. Można się gniewać, że kwestya szkoły katolickiej — tak stanowczo i tylekrotnie pogrzebywana — znów zmartwychwstała, a raczej wbrew wszelkim zapewnieniom żyła i żyje; — ale pocóż w obec niezaprzeczalnego tego faktu łudzić siebie i innych opowiadaniami o pozornem jej tylko, w granicach teoryi zamkniętem, istnieniu, o rzeczy nie istniejącej, a przecież dającej znać o sobie?

Ks Jan Badeni.

Statystyka Masonii w 1889 r.

Szczęśliwym trafem dostał mi się do rąk *via Breslau* kalendarz masoński: *Kalender für Freimaurer auf das Jahr 1889*, rocznik 29. wydanie kieszonkowe str. 366, w drukarni brata *Findel'a* w Lipsku. Pierwsze 18 roczników wydawał brat *Dalen* aż do swej śmierci 1879 r. w Berlinie; kontynuatorem jego brat Karol *Paul*. Niewielka ta książeczka, przeznaczona dla ogółu braci Masonów, nie zawiera żadnych tajemnic i nic takiego, coby masoński zakon w obec rządów i profanów skompromitować mogło, ale za to podaje rzecz arcyważną, cyfry i nazwiska nietylko pospolitej rzeszy masońskiej, ale wielkich wschodów, wielkich lóż, wielkich rad i kapituł.

Ten *Kalender für Freimaurer* obejmuje pięć działów. Z działu pierwszego, *Notizkalender*, dowiadujemy się, że nietylko koronowane głowy, Fryderyk II, Wilhelm I, Fryderyk III i udzielni książęta, jak Ferdynand książe Brunszwicki, Karol Landgraf heski; nietylko dzielni wodzowie, jak książe Blücher, ale mnóstwo sławnych w literaturze i sztuce mężów niemieckich należało do masonii: jak n. p. Mozart, członek wiedeńskiej loży Humanitas, Hayden, Bode, Boerne, Lessing, od którego nazwę otrzymał *Lessingbund deutscher Freimaurer*: filozof Fichte, członek berl. loży Royal York, Herder, Wieland, Goethe od r. 1780 członek loży wejmarskiej Amalia itd.

Po *Notizkalender* idzie *Maurische Chronik*, potem Nekrologia, dalej Literatura masońska, dość uboga, bo tylko dział 27. Nakoniec przychodzimy do najważniejszego działu: *Grosslogen-Verzeichniss*, dającego nam dosyć dokładne pojęcie o statystyce masonii.

Rozpoczynamy rzecz od Niemiec. Istnieją tam dwie korporacye masońskie, oddzielne administracyą, ale mające wspólne „prace“ i cele. Nazwy ich te:

I. *Deutscher Grosslogenbund* założony 1872 r. w przededniu antykatolickiego prawodawstwa w Prusach. Należy do nich ośm wielkich lóż niemieckich z swojemi filiami. Mianowiecie:

1. *Grosse National-Mutterloge „zu den drei Weltkugeln" in Berlin*, założona 1740 r. przez Frydryka II. Pod jej zwierzchniczą władzą stoi 120 lóż symbolicznych t. j. 1, 2, 3 stopnia, 64 lóż szkockich t. j. 4—33 stopnia — razem lóż 184, braci zaś 13.490, którzy zajmują się 225 instytucyami dobroczynnymi.

2. *Grosse Landesloge der Freimaurer von Deutschland in Berlin*, założona 1770 r. Do niej należy: 7 lóż kapitulnych 4—18 i 18—33 stopnia, 3 loże prowincyonalne, 23 lóż szkockich a 93 lóż świętojańskich, razem lóż 126, braci lożowych 10.553, instytucyj masońsko-dobroczynnych 104.

Wyż wspomniane trzy prowincyonalne loże są:

a) Meklenburska w Rostoce, założona 1819 r., do której należą loże w miastach: Rostoka, Szwerin, Parchim, Bützow, Boizenburg, Neustrelitz, Wismar, Waren.

b) Szląska w Wrocławiu założona 1776 r. Do niej należą loże w miastach: Wrocław, Świdnica, Nisa, Schmiedeberg, Löwenberg, Tarnowce, Waldenburg, Głogów, Bunzlau, Jaworz, Strzygów, Rawa, Katowice, Fryburg.

c) Dolno saska w Hamburgu, założona 1777 r. Do niej należy 15 lóż w samym Hamburgu i 3 loże w Bremie.

3) *Grosse Loge von Preussen genannt „Royal York zur Freundschaft"*, założona 1770 r. Za jej to pośrednictwem otrzymała 1783 r. polska masonia *magnam chartam*, ustawę od w. Loży londyńskiej, od której też do r. 1784 zawisłą była.

Do w. loży królewskiego Jorku należy jedna w. loża prowincyonalna w Wrocławiu, mająca swoje filie w Świdnicy, Gliwicach, Wrocławiu, w Reichenbachu, Łancucie, Goldbergu i w Lesznie w księstwie poznańskiem. Wszystkich lóż 64, i dziesięć udzielnych Wschodów wewnątrz Prus, braci aż 6.167, dzieł dobroczynnych 74.

4. *Grosse Loge von Hamburg*, założona 1740 r. jako w. prowincyonalna loża angielska, i dopiero od r. 1811 jako

udzielna wielka loża, do której należy 34 lóż zwyczajnych, 3.357 braci zajmujących się 49 instytucyami dobroczynności (milde Stiftungen).

5. *Grosse Loge zur Sonne in Bayreuth*, założona 1741 r. jako wielka loża pracuje od r. 1811. Należy do niej 25 lóż, 2.175 braci, 30 dzieł dobroczynności.

6. *Grosse Landes-Loge von Sachsen in Dresden*, założona 1811 r. liczy 20 lóż, 3.760 braci, 73 dzieł dobroczynnych.

7. *Grosse Mutterloge des Eklektischen Freimaurerbundes zu Frankfurt am Main*, założona 1783 r. jako wielka loża ogłoszona 1828 r. liczy 14 lóż, 2.306 braci i 29 dzieł dobroczynnych.

8. *Grosse Freimaurer-Loge zur Eintracht in Darmstadt*, założona 1846 r.; protektorem jej w. książe Heski Ludwik IV. Liczy 8 lóż, 817 braci, 26 dzieł dobroczynnych.

Tak więc w związku ośmiu wielkich Lóż niemieckich, przyczyniającym się niepomału do wzmocnienia jedności cesarstwa niemieckiego, naliczyliśmy 475 lóż, 44.725 braci i 610 dzieł dobroczynności masońskiej.

II. Oprócz tego związku istnieje *Freie Vereinigung der fünf unabhängigen Logen in Deutschland*, t. j. dwie w Lipsku, trzy zaś inne w Altenburgu, Hildburghausen i Gera. Niezależne te loże liczą razem 1.390 braci i opiekują się 44 dziełami dobroczynności. Tak więc ogólna cyfra Masonii niemieckiej liczy 480 lóż, 46.110 braci lożowych i 654 dzieł dobroczynnych.

Z niemiecką masonią afiliowana masonia szwajcarska, *Alpina* t. j. alpejską zwana. Wielka szwajcarska Loża z siedzibą w Winterthur ma pod sobą 32 lóż i 2.363 braci pracujących w niemieckim i francuskim języku.

Przejdźmy do ojczyzny masonii, do Anglii. Tam to ona 1717 r. otrzymała z rąk br. Peterssohna i br. Desguillies ostateczną organizacyą i pierwszy regulamin wydrukowany 1724 r. i w ciągu lat 170 tak bardzo się rozwielmożniła. Zjednoczona w. Loża Anglii, *United Grand Lodge of England*, w Londynie liczy obecnie 44 w. lóż prowincyonalnych w Anglii samej, 26 lóż wielkich obwodowych (Districkt-Gross-Logen) w koloniach

i za granicą; koło 2100 lóż zwyczajnych; z tych zaś 352 w samym Londynie, 3 na Gibraltarze, 5 lóż na Malcie, 2 w Tunisie, 12 lóż w Turcyi, 2 na wyspach Jońskich, 5 w Egipcie, 114 w Indyach wschodnich, 7 na Archipelagu wschodnim, 13 lóż w Chinach, 4 loże w Japonii, 61 lóż w południowej Afryce, 30 lóż w Indyach zachodnich i środkowej Ameryce, 21 w północnej i południowej Ameryce, i 6 lóż wojskowych. A braci ilu? — przeszło 140.000.

I Szkocya wybornie się zasłużyła koło rzpltej masońskiej. Ryt szkocki o 33 stopniach masońskich, ułożony koło 1740 r. służył długo bardzo wielu lożom za rytuał prac lożowych, i służy on w stopniu równym, dzisiaj jeszcze. To też w. Loża szkocka w Edynburgu, *Grand Lodge of Scotland*, liczy 42 wielkie loże prowincyonalne i 585 lóż zwyczajnych, z tych po zagranicami Szkocyi znajduje się 15 lóż w. prowincyonalnych, 165 lóż św. Jana czyli zwyczajnych; w Indyach Wschodnich lóż 28; braci zaś lożowych 69.255. Protektorem szkockiej masonii jest książe Walii.

Nawet katolicka Irlandya niezostała wolną od masońskiego posiewu. Liczy ona w obecnej dobie 18 w. lóż prowincyonalnych, 376 lóż zwyczajnych, braci 18.000. W samej stolicy, w Dublinie istnieje lóż 37, w koloniach i za granicą lóż 64; lóż wojskowych 9.

Tak więc w państwach królowej Wiktoryi, która w przekonaniach swoich niewątpliwie do katolicyzmu się skłania, pracuje 227.255 braci Masonów w 2.892 lożach.

Zobaczmy, co się dzieje w Holandyi. Tam nie masz w. Loży jeno w. Wschód niederlandzki w Haadze, założony 1756 r.; liczy obecnie 86 lóż, z tych 36 w koloniach holenderskich. Braci lożowych 4.278.

Królestwo Szwedzkie oddane zupełnie na usługi masonii. Wielkim mistrzem zakonu jest sam król Szwecyi i Norwegii Oskar II, a wielkim mistrzem w. Loży krajowej szwedzkiej w Sztokcholmie jest Jego Królewiczowska Mość następca tronu br. Oskar Gustaw Adolf. W. Loża szwedzka założona jeszcze 1754 r. liczy 5 lóż prowincyonalnych, 12 lóż szkockich i 25

lóż zwyczajnych świętojańskich, razem lóż 42. Braci lożowych 3.279.

W Danii protektorem zakonu masońskiego król Chrystian IX. Mistrzem zakonu, następca duńskiego tronu br. Chrystian Friedrich Wilhelm Karol; w. mistrzem w. Loży duńskiej w Kopenhadze brat *Hans* książe szlezwicko-holsztyński. Wielka Loża duńska założona nie tak dawno, bo 1858 r., liczy jedną prowincyonalną lożę, dwie loże szkockie i 9 lóż zwyczajnych, a więc lóż tylko 12; ale każda z tych lóż liczy po kilku set członków, ogólna bowiem cyfra braci lożowych w Danii wynosi 3.472.

Zatrzymać się musimy nieco dłużej nad masonią we Francyi. Istnieją tam cztery główne ogniska masońskie.

1. Wielki Wschód Francuski w Paryżu, *Grand Orient de France, Suprême Conseil pour la France et les possesions françaises*, o 3 stopniach niższych, a 30 stopniach wyższych; założony 1772 roku służył za model organizacyi masonii polskiej. Pod jego sterem stoi 352 lóż, w samym Paryżu 67, za granicami Francyi 32, w Barcelonie, w Gandawie, Konstantynopolu, Bajrucie, Aleksandryi itd. Braci lożowych cyfra nie jest podaną, licząc jednak na każdą lożę po 100 osób w przecięciu, liczba Masonów w. Wschodu francuskiego dochodzi do 35.000; w rzeczy samej musi ich być daleko więcej. W. mistrzem w. Wschodu franc. był z. r. brat Frydryk *Desmons* członek izby deputowanych. 2. Drugie ognisko: Najwyższa rada Francyi w Paryżu, *Suprême Censeil de France, Rite Ecosais Anciens et Accepté* o 33 stopniach, założona 1804 r. liczy 70 lóż, z tych 20 w Paryżu; braci do 17.000. 3. Ognisko trzecie: masonia wschodnia rytu egipskiego o stopniach 8. *Ordre Maçonnique oriental de Misraim ou d'Egypte* lóż 6, z tych dwie w Paryżu; braci lożowych do 600. 4. Wreszcie ognisko czwarte: Symboliczna wielka loża rytu szkockiego w Paryżu, *Grande Loge Symbolique Ecossaisse*, założona 1881 r. liczy 26 lóż, z tych 16 w Paryżu; braci koło 3.000. W. mistrzem brat *Mesureur* przemysłowiec, prezydent rady miasta Paryża.

Tak więc Francya uszczęśliwiona 454 lożami, sam Paryż ma ich aż 105, w których pracuje koło 56.000 braci.

W królestwie Belgii masonia ma dwie najwyższe władze: 1. Wielki Wschód Belgijski *Grand Orient de Belgique*, dla 16 lóż trzech stopni niższych w Brukseli, założony 1833 r. 2. Najwyższą Radę belgijską dla lóż stopni wyższych, *Suprême Conseil de Belgique à Bruxelles*. Areopag zaś rady ma 30 członków — pod nią stoi 8 kapitulnych lóż o 18 stopniach, i 3 loże symboliczne o 3 niższych stopniach. Jest więc wszystkich lóż w Belgii 28, w których pracuje koło 3.000 braci.

A Włochy? Do r. 1861 masonia słabo rozwijała się we Włoszech podzielonych na kilka państw udzielnych, których rządy prześladowały srogo masonią. Kwitnął za to karbonaryzm ze swojemi wójtami i gminami zwyczajnemi, okręgowemi i prowincyonalnemi. Od włoskiego to karbonaryzmu zapożyczyli patryoci polscy organizacyą towarzystw patryotycznych między 1822 a 1830 rokiem. Od chwili zjednoczenia Włoch pod berłem Wiktora Emanuela, karbonaryzm jako instytucya sekretna i niepotrzebna upada, wzmaga się za to masonia jawnie pracująca, i już 1861 r. organizuje się w wielki Wschód Włoski w Rzymie, *Grande Oriente della Massoneria in Italia*. Nie wszystkie jednak loże włoskie uznawały jego władzę nad sobą. Dopiero na walnym zjeździe deputatów lóż masońskich w Rzymie 1886 r. w. Wschód włoski uznany został za jedyną prawowitą władzę wszystkich lóż i rytów we Włoszech, i liczy w obecnej dobie 119 lóż rytu szkockiego, 21 lóż rytu symbolicznego, wszystkich razem lóż 140, w których pracuje co najmniej 14.000 braci. O politycznej działalności włoskiego Wschodu powiemy niżej. Na czele jego stoi najwyższa Rada z 52 członków złożona.

Hiszpania podminowana cała masońskiemi lożami, którym przypisać należy liczne rewolucye trapiące ten kraj katolicki od półwieku, i przygotowujące w niedalekiej przyszłości zupełne obalenie tronu hiszpańskiego. Istnieją w Hiszpanii trzy ogniska masońskie:

1. Wielki Wschód narodowy hiszpański w Madrycie, *Gran*

Oriente National de Espana, założony 1780 r. Najwyższa rada erygowana 1808 r. Należy do niego 216 lóż. 2. Wielki Wschód hiszpański, wielka loża symboliczna w Madrycie, *Gran Oriente de Espana*, *Gran Logia Simbolica*, założony 1868 r. liczy 33 kapitulne loże, 347 lóż zwyczajnych. 3. Wielka loża niezależna hiszpańska w Sewili, *Grane Logia Simbolica Independiente*, *Espanola in Scvilla*, założona 1881 roku, liczy lóż 25. Tak więc 621 lóż uszczęśliwia Hiszpanią, pracuje w nich conajmniej 60.000 braci.

Portugalia ma swój zjednoczony Wielki Wschód w Lizbonie, *Grande Oriente Lusitano unido*, założony 1805 r., wskrzeszony 1859 r. a zjednoczony 1869 r.; liczy lóż 70, z tych 41 w Hiszpanii, braci 2.800. Najwyższa jego władza spoczywa w dyrektoryacie z 5 członków. Honorowym w. mistrzem jest minister państwa Mendes Leal.

W Grecyi istnieje od 1872 r. wielki Wschód grecki w Atenach. Składają go: najwyższa Rada, dwie loże kapitulne, oraz 12 lóż symbolicznych: w Atenach, Korfu i Cefalonii. Braci przeszło 1.000. Wielkim mistrzem i prezesem rady jest książe Rhodocanakis.

Nawet tak malutki kraik, jak wielkie księstwo Luxemburskie, ma swoją najwyższą Radę masońską w Luxemburgu, *Suprême Conseil maçonnique*, *Chef d'Ordre dans le Grand-Duché de Luxembourg*, założoną 1849 r. pod którą pracują dwie loże, braci 150.

Rumunia nie ma własnego w. Wschodu ani w. Loży krajowej, ma jednak lóż 20, z których 8 pracuje pod w. Wschodem francuskim, 9 pod w. Wschodem włoskim, 2 pod w. Wschodem portugalskim, 1 pod w. Lożą hamburską. W Bukareszcie istnieją 2 loże: *Les Sages d'Héliopolis i La Corona di Romania*. W Jassach mistrzem loży *L'Etoile de Roumenie* jest burmistrz miasta br. L. Negnuzzi. Serbia i Czarnogóra zdają się dotąd być wolne od lóż masońskich.

Austro-Węgry zostawiłem naumyślnie na sam koniec statystyki masońskiej w Europie. Dziwnym zbiegiem wypadków Masonia zabroniona w Austryi jeszcze 1795 r., istnieje i pro-

speruje w zjednoczonych z nią Węgrzech. Łatwo pojąć, że w tych warunkach zakaz masonii w Austryi ściśle wykonanym być nie może, i tak też jest istotnie. W Węgrzech istnieje masonia i pracuje otwarcie od r. 1867; ma swoją wielką symboliczną lożę w Budapeszcie, *Symbolische Freimaurer Grossloge von Ungarn,* która powstała 1886 r. z połączenia w. Loży świętojańskiej i w. Wschodu węgierskiego, liczy obecnie 40 lóż symbolicznych, 2 kółka, 1.894 braci. Wielkim mistrzem węgierskiej masonii był do niedawna br. Franc. *Pulszky*, dyrektor muzeum narodowego. W samym Peszcie jest lóż 11. Oto ich nazwy: Korwin Màtyás, Humbold, St. Istvan, die alten Getreuen, Haladás (postęp.) Hungaria, Könves, Kálmán, Eötvös, Deak Ferencz, zur Gossmuth, Galilei. Dziesięć pierwszych lóż ma swój lokal wspólny przy Waitzner Boulevard. W Preszburgu istnieje lóż sześć. Każde większe miasto i miasteczko ma swoją lożę jak: Debreczyn, Wielka Kanisza, Wielki Waradyn, Igló, Kanów, Klaudiopol, Laita Szent-Miklós, Szegedin, Temeszwar itd. Zauważyć jednak należy, że węgierska masonia rekrutuje się przeważnie z żydów, którzy stanowią 67% sumy braci lożowych.

Austrya figuruje w kalendarzyku naszym p. t. *Die humanitären Vereine und Kränzchen in Österreich-Ungarn.* Bardzo słusznie, — chcąc bowiem wyminąć prawo z 1795 r., zakazujące masonią w Austryi, musiała masonia zmienić nazwy. Loża nazywa się tu *nicht politischer humanitärer Verein*, mistrz loży nazywa się przewodniczącym *Vorsitzender*, albo prezydentem. Zmieniono nazwy, rzecz została ta sama. I tak istniała w Wiedniu jeszcze za Józefa II loża *Humanitas;* miałem jej katalog z r. 1774 w ręku. Otóż na jej miejsce istnieje teraz: *Nichtpolitischer Verein Humanitas, Amelienstrasse Nr. 6.* Prezydentem t. j. mistrzem tej loży jest dziennikarz *Praetorius*, a zastępcą jego były prezydent miasta dr. Edward *Uhl. Humanitas* ma 4 filie: jedną w Białej, liczącą 9 braci, drugą w Czerniowcach, której obmanem t. j. mistrzem jest adwokat izraelita Max Goldenberg, trzecią w Wienerneustadt pod Wiedniem, czwartą w Pilźnie w Czechach pod nazwą „wianek“ (Kränzchen) Harmonia.

Obrócz loży *Humanitas* (ludzkość) istnieje w Wiedniu siedm lóż innych, z których pierwsze pięć: 1. *Einigkeit*, 2. *Bildung*, 3. *Literarischer Geselligkeits-Club*, 4. *Freundschaft*, 5. *Freidenkreis* filiami są lóż preszburskich: *Sokrates*, *Schiller*, *Zukunft*, *Columbus;* dwie zaś ostatnie: 6. *Eintracht* i 7. *Concordia* filiami są węgierskiej loży w Laita Szent-Miklos czyli Neudörfl [1].

Oprócz tu wymienionych, istnieją loże masońskie jeszcze w innych miejscowościach Austryi. Zakłady kąpielowe mają swoje wianki (Kränzchen) *Franzensbad* w Britisch-hotel, *Marienbad* w hotelu Casino, *Cieplice* w hotelu „zum schwarzen Ross". *Karlsbad* ma formalną lożę liczącą 30 braci *Verein Munificentia*, która swe prace odbywa w kursalu w brunatnym pokoju (braunes Zimmer). W Pradze istnieją dwie loże, pod nazwą kółek bratnich (Bruderkreis) *Amicitia* i *Harmonia*. *Saaz* w Czechach, *Tropawa* w Morawii mają swoje *Kränzchen*. Wreszcie *Czerniowce* mają aż 3 loże, przeważnie z żydów złożone: 1. *Humanitas* filia wiedeńskiej loży tejże nazwy. 2. Karol I, zależna od w. Wschodu Portugalii; mistrzem tej loży kupiec Ludwik Wolkenstein, sekretarzem br. Jan Jakubowski. 3. *Kinder-Asyl-Verein Montefiore*, którego Obmanem t. j. mistrzem jest br. Moryc Silberstein. Nazwa tej na wskóś żydowskiej loży dana na uczczenie sławnego obrońcy żydów w Egipcie i Turcyi, angielskiego żyda bankiera i brata barona Mojżesza Sir Montefiore.

A w Galicyi i dawnych polskich ziemiach czy istnieją loże masońskie? Do r. 1822 istniało lóż 40 pod osobnym w. Wschodem Polski, które liczyły 4 do 5 tysięcy braci. W Galicyi zamknięto je wcześniej, bo jeszcze 1795 r. w Królestwie Polskiem i w Rosyi zniósł je ukaz cesarza Aleksandra I 1821 i 1822 roku. W księstwie Poznańskiem i Prusach polskich istnieją loże podziśdzień: w Poznaniu loża „zum Tempel der Eintracht" liczy 180 braci; w Inowrocławiu: „zum Licht im Osten" mistrzem tej loży 1888 r. landrat hr. *Solms*; w Kroto-

[1] Loże nr. 1. 2. 3. 5. mają swój lokal wspólny w Wiedniu przy Peregrinistrasse nr. 4. Loża nr. 5 ma lokal swój przy Habsburgerstrasse nr. 3. Loża nr. 6 jest w Wienerneustadt. Loża nr. 7 jest w Simmering.

szynie „zum Tempel der Pflichttreue“; w Lesznie *Comenius*; w Ostrowie „Tempel der Treue im Osten“; w Rawiczu, „Tempel der Bruderliebe“; w Brunsberdze „Bruno zum Doppelkreuz“: w Gdańsku trzy loże: „Eugenia zum gekrönten Löwen“, „zur Einigkeit“, „zum rothen Kreuz“; w Elblongu „Constantia zur gekrönten Eintracht“; w Insterburgu „zum Preusischen Adler“; loża ta należała do polskiego Wschodu 1785 r. W Malborgu „Victoria zu den drei gekrönten Thürmen“; w Toruniu „zum Bienenkorb“, założona 1795 r. liczy 145 braci. Personal tych lóż składa się wyłącznie z Niemców i niewielu zniemczonych Polaków. Germanizacyjna ich dążność, zwłaszcza że przy wielu z tych lóż istnieje klub niemiecki, odstrasza dobrych Polaków, nie mówiąc już nic o motywach religijnych, od zapisywania się do masonii.

W Królestwie i zabranych krajach nie mam najmniejszych danych, żeby istniały formalne loże; tak samo jak nie mam żadnych danych aby istniała loża w Krakowie lub we Lwowie, i wszelkie poszukiwania moje w tej mierze niedoprowadziły do żadnego rezultatu. To jedno tylko pewne, że znajdują się sporadycznie tu i owdzie polscy masoni, przyjęci do loży podczas swego dobrowolnego lub przymusowego pobytu za granicą.

Reasumując cyfry i dane widzimy, że Europa zaciągnięta jest siecią 5.216 lóż, w których pracuje przeszło 427.000 braci do warstw najwyższej i średniej inteligencyi należących, od głów koronowanych do kupców i księgarzy.

Pomijam szczegółowe cyfry masonii w Ameryce. Reasumując wszystko: na całym świecie istnieje przeszło 16.200 lóż, w których pracuje przeszło 1,100.000 braci lożowych. Cyfra ta jest raczej za mała jak za wielka; raz dlatego, że opiera się na obliczeniach przed dwoma laty dokonanych, a masonia nie stoi bezczynnie, ale posuwa się ustawicznie naprzód; a powtóre dlatego, że wiele istnieje lóż niezależnych od żadnej w. Loży, o których nasz kalendarz masoński nic pewnego powiedzieć nie może. Z tych racyj, nie pomylę się gdy podam okrągłą cy-

frę lóż masońskich na 17.000 na całym świecie, a cyfrę wszystkich Braci Masonów na 1,200.000.

Ks. St. Załęski.

Kwestya z dyecezyi Mińskiej.

Ks. Kuszelewski Wincenty, pseudo-proboszcz w Uzdzie (od 1879),— otrzymał to probostwo, zobowiązawszy się wprowadzić język rosyjski. Jak się parafianie względem swego niby-pasterza zachowują, niech on sam opowie. Oto jego własne słowa, skreślone w raporcie do dziekana; podaję je w przekładzie z rosyjskiego autentyku:

„Do Jego Przewielebności Pana Dziekana Mińsko-Nadniemeńskiego, ks. Piotrowskiego.

„Raport ks. Kuszelewskiego, proboszcza kościoła Uzdzieńskiego.

„Wielu parafian uzdzieńskich nietylko że nie bywają nigdy w kościele na nabożeństwie, lecz tak są uparci, że nawet spowiedzi wielkanocnej nie odbywają w kościele parafialnym [1]. Tylko w razie choroby niektórzy wzywają księdza do chorego, żeby w razie śmierci nie pozbawiać nieboszczyka pogrzebu chrześcijańskiego, według praw kościelnych. Jeśli zaś taki uporny nie chce się pozbawić chrześcijańskich obrzędów (pogrzebowych), i chociaż dla oka ludzkiego przyzywa do siebie (w chorobie) księdza, to czemu on chociaż raz przy życiu, w ciągu 5—6, lub więcej lat, nie może, chociażby, jak mówią, dla oka ludzkiego odbyć wielkanocnej św. Spowiedzi? Albo bywa, że ten, który w ciągu kilku lat nie był ani razu w kościele, gdy sam ksiądz chce do niego pójść, żeby zrobić spis parafian, parafianin zamyka drzwi przed księdzem; w przypadku zaś jednakowoż (tj. w innym razie, ale w jakim?) ten sam, który księdza nie puścił do swego domu, udaje się w jakiejkolwiek sprawie [2] do swego proboszcza, jak prawdziwy w tym przypadku parafianin; i nie rzadko jeszcze zdarzy się od takich niby parafian [3] doświadczać nieprzyjemności i utrudzać nawet zwierzchność [4]. Będąc proboszczem w Uzdzie już drugi rok, i widząc *(zamietił)* u parafian uzdzieńskich wspomniane postępki, będące obrazą praw kościelnych, zwracam się

[1] Raport nie oskarża parafian, iż wcale nie odbywają spowiedzi; twierdzi tylko, iż nie chcą jej odbywać w kościele parafialnym.

[2] Zapewne w sprawie uczynienia nieprzyjemności, jak o tem niżej raport mówi. *(Przyp. tłóm.)*

[3] Bo też i ci *nastojatiele* są tylko niby-proboszczami. *(Przyp. tłóm.)*

[4] Donosić isprawnikowi, lub stanowemu prystawowi i wzywać pomocy, oraz obrony. *(Przyp. tłóm.)*

do Waszej Przewielebności z zapytaniem: jak należy postąpić w wypadkach podobnych z nieposłusznymi parafianami? — Ks. W. Kuszelewski. N. 109. d. 21 Lipca (v. s.) 1880 r.“

W zastępstwie dziekana ośmielam się księdzu niby-proboszczowi odpowiedzieć. Przedewszystkiem jednak muszę dać pewne objaśnienia wstępne.

Ks. Wincenty Kuszelewski urodził się w r. 1843, na kapłana wyświęcony został w r. 1872 D. 25 grud. 1869 (6 stycz. 1870) wyszedł carski ukaz, „pozwalający“ wprowadzić język rosyjski do nabożeństwa katolickiego, jeżeli gdzie parafianie takie życzenie objawią. D. 11 lipca 1877 r. Stolica Apostolska zabroniła tego. W wielu wypadkach parafian nie pytano o życzenie, jak chce ukaz; podejmowali się często sami tylko księża uczynić zadość „pozwoleniu“ carskiemu, i pod tym warunkiem otrzymywali od pseudo-administratora dyecezyi wileńskiej, intruza, ks. Żylińskiego, za protekcyą ks. Senczykowskiego, probostwa, niekiedy po kilka. W tem położeniu jest ks. Kuszelewski. Probostwo w Uzdzie otrzymał r. 1879, zobowiązawszy się pierwej używać języka rosyjskiego w kościele, chociaż parafianie tego sobie wcale nie życzyli i nie życzą, owszem protestują w sposób przez raport opisany. Za gorliwość w tym kierunku, wynagrodzony został ks. K. drugiem probostwem w Swierzeniu (1883) i godnością dziekana nadniemeńskiego (1884).

Otrzymać probostwo wskutek obietnicy uczynionej i niemoralnej, — jest ciężkim występkiem, który prawo kanoniczne piętnuje nazwą symonii czyli świętokuptswa, i karze exkomuniką, oraz innemi cenzurami kościelnemi. Proboszcz, który w ten sposób otrzymał probostwo, nie jest proboszczem; jako wyklęty, nie może ani Mszy odprawiać, ani żadnych Sakramentów udzielać; a parafian nie można obowiązywać, żeby uczęszczali na jego świętokradzkie nabożeństwa.

To wszystko mając na uwadze, na zapytanie ks. Kuszelewskiego odpowiedzieć nie można inaczej, jak tylko słowy, które Głowa Apostołów, Piotr św., wyrzekł do pierwszego świętokupcy, Symona czarnoksiężnika: *Poenitentiam igitur age ab hac nequitia tua:* Pokutujże tedy za tę złość twoją (Act. 8, 22). Przestań uważać się za proboszcza; przestań spełniać obowiązki kapłańskie, dopóki nie będziesz zwolniony od cenzur kościelnych i *ab irregularitate;* a po zwolnieniu nie bądź *sicut canis, qui revertitur ad vomitum suum* (Prov. 26, 11. II. Petr. 2, 22), t. j. nie wracaj do obrządku potępionego przez Stolicę Apostolską i wiernym nie narzucaj, skoro go sobie nie życzą.

Druk ukończony 26 marca 1890 r.

WSPOMNIENIA Z PIELGRZYMKI DO KOMPOSTELI.

I.

SANTIAGO.

Wrażenia z wystawy paryskiej. — Lourdes i Burgos. — Ogólny krajobraz. — Dzieje przeniesienia relikwij św. Jakóba i odkrycia tychże. — Historya miasta Komposteli i kościoła. — Znalezienie relikwij św. w r. 1879. — Opis kościoła. — Claustro, archiwum i biblioteka. — Pielgrzymki dawniejsze i dzisiejsze. — Zakłady dobroczynne i naukowe. — Fizyognomia miasta i okolicy. — Powrót do Venta de Bańos.

Oddawna pragnąłem uczcić grób św. Jakóba Większego, patrona Hiszpanii, a przytem poznać bliżej ten naród pełen sławy i zasług, który pokonał Maurów, ucywilizował wielką część Ameryki, pobudował wspaniałe katedry w Burgos, Komposteli, Toledzie, Sewilli itd. — ten naród, który wydał takich Świętych, jak św. Ignacy z Loyoli, lub św. Teresa z Avili, takich bohaterów jak Cid Campeador, takich teologów jak Suarez, takich pisarzy jak Cervantes, takich malarzy jak Murillo. W lecie r. 1889 znalazła się wreszcie pogodna chwila, i w imię Boże wybrałem się na pielgrzymkę do Komposteli [1].

Po drodze [2] rzuciłem okiem na ów przechwalony cud

[1] Towarzyszył mi ks. Karol Krementowski, kolega szkolny, z którym w r. 1872 pielgrzymowałem do Ziemi św., a później do Rzymu; w Paryżu przyłączył się do nas Stanisław Starowieyski, ukończony słuchacz praw.

[2] W Wiedniu na dworcu kolei zachodniej kupiłem bilet okrężny (*Rundreisebillet*) do Paryża (II kl. za 86 złr.), w Paryżu, w biurze *des Chemins de fer d'Orléans*, bilet okrężny po Francyi i Hiszpanii (II kl. 244 fr.).

świata, — na wystawę paryską, i nie powiem, abym został olśniony[1]. Wprawdzie imponowała ona swoim ogromem, a czarowała artystycznem urządzeniem; ale pod względem myśli przewodniej przedstawiła mi się jużto jako gloryfikacya wielkiej rewolucyi, już jako apoteoza człowieka i tryumf materyalnego postępu. Z pałacu sztuk pięknych, gdzie pełno było nagości, pożeranych przez bezduszną gawiedź, a ledwie kilka obrazów religijnych, godnych wejrzenia, wybiegłem rozczarowany i smutny, by szukać Francyi, wierzącej i zamiłowanej w wyższych ideałach; jakoż znalazłem ją w dzień Wniebowzięcia przed ołtarzami Najśw. Panny, przedewszystkiem zaś na Montmartre, gdzie ofiarność katolicka kosztem wielu milionów wznosi kościół Serca Jezusowego, jako *ex voto* narodu[2].

W Lourdes doznałem słodkich nader wrażeń, patrząc na nieustającą wystawę modlitwy, a szczególnie na tłumy pielgrzymów, klęczących przed grotą zjawienia, i odmawiających głośno Różaniec, — na ten długi szereg kalek i chorych, wiezionych na wózkach do Betsaidy XIX wieku[3], na tę wreszcie procesyę wieczorną ze świecami, wśród której z kilku tysięcy wzruszonych piersi wyrywała się pieśń: *Ave, ave, ave Maria!*

W Burgos, starej stolicy Kastylii, zatrzymała mię słynna katedra gotycka, ozdobiona z zewnątrz zgrabną kopułą i dwoma smukłemi wieżami, wewnątrz bogata w kwiecistą ornamentykę z XV i XVI wieku, ale nie tak majestatyczna, ani tak czysta co do stylu, jak katedra kolońska. Podziwiałem tam w wielkim ołtarzu szczerosrebrną statuę Najśw. Panny i misterne *retablo*, — w chórze, zajmującym, niestety, środek głównej nawy, inkrustowane stalle *(silleria)* ze scenami mitologicznemi (!) i ogromne organy, — w kaplicach *del Condestable* i *Santa Ana*

---

[1] W Paryżu zacny kapitan Kosiłowski, sekretarz szkoły polskiej na Batignolles, przygotował nam u siebie miły kącik. Prócz niego, odwiedziłem także p. Teodora Jełowickiego i ks. Tańskiego, nie widziałem zaś O. Wł. Witkowskiego, bo bawił w kąpielach.

[2] Wydano już przeszło 20 milionów fr., a grosz płynąć nie przestaje.

[3] Za mojego pobytu ogłosił ksiądz z ambony, że chora kobieta z Valence cudownie odzyskała zdrowie.

przecudne rzeźby i parę marmurowych pomników, — w kaplicach *de la Visitacion* i *de la Presentacion* nader cenne obrazy. W innej kaplicy pokazano mi słynny krucyfiks, powleczony skórą bawolą, a nie ludzką, jak niektórzy twierdzą, — w zakrystyi portrety biskupów, — w sali kapitulnej tak zwany kufer Cida, podczas gdy kości tego rycerza i jego żony Chimeny spoczywają, nie wiedzieć dlaczego, w ratuszu. Słowem, Burgos ze wspaniałą katedrą, łukiem Fernanda Gonzaleza, bramą Najśw. Panny i okolicznymi klasztorami, *Las Huelgas* i *Cartuja de Miraflores*, godnem jest widzenia.

Zato krajobraz wcale mnie nie zachwycił, — i nieraz pytałem zdziwiony: O Hiszpanio, gdzież jest twoja krasa? W ziemi Basków i w Galicyi, jakoteż w Andaluzyi i Katalonii napotyka się dosyć piękne okolice, bo tam więcej zieleni i życia; ale Kastylia to jakby martwa pustynia, w części tylko zasiana zbożem, lub zasadzona winogradem i niskiemi sosnami, zresztą jałowa i naga, bez drzew i wody, do tego poprzerzynana pasmami gór skalistych i łysych, do których tu i owdzie poprzyczepiały się brudno-szare miasteczka lub wioski, podobne do kretówek na piaszczystej wydmie. Kraju tak pustego i ponurego nie widziałem, chyba gdzieś na Wschodzie.

Z Burgos puściłem się pociągiem madryckim do Venta de Baños [1], a nazajutrz koleją galicyjską, na Palencyę, Leon, Astorgę i Lugo, do Curtis, zkąd dyliżans w przeciągu nocy zawiózł mię do Santiago. Wrażenia z tej podróży, o ile dotyczą się ludzi, opiszę gdzieindziej; tymczasem otwórzmy księgę dziejów i poznajmy, jakim to sposobem ciało św. Jakóba dostało się na to miejsce, i czy przechowywane tam relikwie są autentyczne. Głównem źródłem będą tu bulle papieży, Leona III, Kaliksta II, Aleksandra III (z 25 czer. 1179) i Leona XIII (z 1 list. 1884); a dat historycznych i statystycznych dostarczy nam gruntowne dziełko hiszpańskie p. t. *Guia de*

[1] Tu kupiłem bilet do Santiago i z powrotem. Obecnie zamierzają budować kolej z Santiago do Betanzos, przez co uciążliwa ta podróż znacznie się ułatwi.

Santiago y sus alrededores, napisane przez profesorów Iosé M. Fernandez Sanchez i Francisco Freire Barreiro.

Według starej tradycyi, o której także Leon XIII w swojej bulli wspomina, miał św. Jakób Większy, syn Zebedeuszów, a brat św. Jana Apostoła, zaraz po Zesłaniu Ducha Św. opowiadać Ewangelię w Hiszpanii, — i dotąd jeszcze pokazują obok wioski El Padrón, niedaleko Komposteli leżącej, wykutą w skale kazalnicę i takiż „ołtarz św. Jakóba“. Wnet atoli miał wrócić Apostoł św. do Jerozolimy, gdzie z rozkazu Heroda Agrippy został ścięty, i jako pierwszy między Apostołami krew za Chrystusa przelał[1]. Uczniowie jego, Anastazy i Teodor, lękając się, aby żydzi świętych zwłok nie znieważyli, unieśli takowe potajemnie do Ioppy[2], a wsiadłszy tu na statek, przybili szczęśliwie do portu miasta Ira Flavia, w Galicyi hiszpańskiej położonego, bo tam ich natchnienie Boże skierowało. W krypcie pobliskiej, wydrążonej w skale, złożyli święte relikwie i zbudowali nad nią małą kapliczkę, w której jużto trwali na modlitwie, już uczyli wiary św. lud okoliczny, dopóki sami w tymże samym grobie po obu bokach Apostoła nie spoczęli.

Podczas prześladowań za cesarzów rzymskich, a następnie podczas najazdu ludów barbarzyńskich z północy i Maurów z Afryki, nie zatarła się wprawdzie pamięć o przeniesieniu świętych kości; ponieważ jednak w onych przewrotach kapliczka, wzniesiona nad kryptą, zburzoną została, przeto nie wiedziano z pewnością, gdzie się te kości znajdują. Dopiero na początku IX wieku, jak twierdzą niektórzy, w r. 813, czcigodny kapłan i pustelnik Pelagio, doniósł Teodomirowi, biskupowi z Ira Flavia, że na szczycie niedalekiej góry Libredon, porosłej dębami, widać w nocy światła w kształcie gwiazdy, i słychać śpiewy. Światła te, krążące naokoło starego dęba, widział również biskup i towarzyszący mu kapłani; a gdy tamże zrobiono poszukiwania, znaleziono wśród gruzów dawnej

[1] Dzieje apost. XII, 2.

[2] Niektórzy historycy, jak np. Gams, utrzymują, że ciało św. Jakóba zostało przeniesione najprzód na górę Sinai, a później, z obawy przed Saracenami, do Hiszpanii; ale niema na to dowodów.

kaplicy podziemną grotę z grobowcem, zawierającym w trzech osobnych framugach kości św. Jakóba i dwóch jego uczniów, jakoteż jego laskę pielgrzymią i tabliczkę z napisem, świadczącą, że tu rzeczywiście leży św. Apostoł [1]. Niebawem przybył na to miejsce sam król Alfons II Czysty, i nietylko polał łzami święte relikwie, ale kazał zbudować nad oną grotą kościół, któremu później darował okoliczną ziemię w promieniu trzechmilowym (4 wrześ. 829).

Wieść o tem zdarzeniu i o cudach, jakie się tam działy, dotarła wkrótce do Rzymu, a zatwierdzona apostolskiem pismem Leona III, podniosła cześć św. Jakóba w całym świecie katolickim, przedewszystkiem zaś w narodzie hiszpańskim, wówczas przez wyznawców Islamu ciężko upokorzonym. Odtąd rycerstwo chrześcijańskie z wielką otuchą szło do boju, mając za hasło: *Santiago cierra España*, i już w bitwie pod Clavijo, gdzie miano widzieć św. Patrona Hiszpanii na czele wojska w postaci rycerza, świetne nad półksiężycem odniosło zwycięstwo (r. 846).

Tymczasem obok grobu św. Apostoła osiedli zakonnicy i część kanoników z Ira Flavia; przybyły też inne kościoły, klasztory, gospody i domy, a tak powstało miasto św. Jakóba, *Santiago*, zwane także *Compostela*, od *campus stellae*, to jest, od owej tajemniczej gwiazdy. W obec coraz liczniejszego napływu pielgrzymów, kościół pierwszy wydał się zbyt szczupłym i ubogim; jakoż staraniem króla Alfonsa III zbudowano drugi, lśniący od marmurów i złota, który 6 maja 899 siedmnastu biskupów poświęciło. Według świadectwa pisarzy arabskich, był on w takiem poszanowaniu u chrześcijan, jak Kaaba u muzułmanów.

Sto lat później (997) wódz kalifa Hixena II, Almanzor, spustoszył miasto i kościół, nie tknąwszy atoli samego grobu, a ogromne dzwony na barkach jeńców uprowadził do Korduby [2], zkąd je dopiero około r. 1236, po zwycięstwie króla

[1] Tak opisuje stare bardzo dzieło p. t.: *Libro de la Hermandad de los Caballeros Cambeadores*. W bulli Leona XIII niema wzmianki o tabliczce.

[2] Służyły one tam za lampy w meczecie.

Ferdynanda III św., Maurowie na barkach swoich przynieśli napowrót do Santiago. Biskup Piotr Mozonzo naprawił w części szkody zrządzone najazdem, następcy zaś jego, którzy tu z Ira Flavia przenieśli swą stolicę[1], ofiarami królów i pielgrzymów odbudowali i ozdobili kościół św. Jakóba. Za rządów biskupa Diego Gelmireza pomnożyła się liczba kanoników do 72, zakwitły nauki, wzmogły się pielgrzymki, tak, że Kompostela w średnich wiekach do największej, po Jerozolimie i Rzymie, doszła sławy; nie dziw też, że Paschalis II biskupowi tej stolicy pozwolił w pewne dni roku nosić paliusz (31 paźdz. 1104), i ustanowił przy niej „siedmiu kardynałów“ *cum usu mithrae* (1102), a Kalikst II wyniósł ją do godności metropolii (26 lut. 1120).

Tymczasem nowa bazylika św. Jakóba, do której kamień węgielny położył biskup Diego Pelaez w r. 1078, została nawiedzona pożarem (r. 1117); dzięki jednak Gelmirezowi i następcom, do większego jeszcze przyszła blasku, poczem konsekracyi dokonał arcybiskup Piotr Muñiz (r. 1211). Wtenczas to znakomity mistrz Mateusz zbudował kaplicę podziemną, czyli tak zwaną „starą katedrę“ (1168—1175) i słynny portyk *de la Gloria* (1168—1188), uważany do dziśdnia za jedno z arcydzieł sztuki chrześcijańskiej.

Wspaniały ten kościół omal że w wieku XVI nie uległ zniszczeniu. Kiedy bowiem Anglicy, w spółce z wichrami, rozprószyli „niezwyciężoną armadę“ Filipa II, pokusili się nawet o wylądowanie w Galicyi, grożąc, że zrównają z ziemią grób św. Jakóba. Ponieważ zachodziła obawa, by hordy heretyckie nie znieważyły świętych relikwij, przeto arcybiskup Jan de Sanclemente wyjął je z krypty głównej kaplicy, gdzie dotąd spoczywały, i ukrył je nieco dalej w utworzonym na prędce grobowcu, którego ślad na zewnątrz zatarł. Nie wiedzieli o tem pielgrzymi, ni mieszkańcy Komposteli; a z czasem nawet wśród kapituły, co stała na straży grobu św., zatraciła się pamięć,

[1] Biskup Dalmacio był pierwszym, który przyjął tytuł „biskupa z Santiago“, na mocy dekretu Urbana II z 5 grudnia 1095.

w którem właściwie miejscu kości Apostoła i dwóch jego uczniów zostały złożone; co tem było łatwiejszem, że po r. 1665 wzięto się do przekształcenia starego kościoła. Była to myśl nieszczęśliwa, bo budowę romańską zeszpecono dodatkami barokowymi w duchu Churriguera, jednego z twórców zepsutego smaku [1].

Gorszem nieszczęściem dla Komposteli były wojny i rewolucye XIX wieku, których ofiarą padły znajdujące się tamże klasztory i hospicya. Kościół św. Jakóba stracił wiele ze swej świetności, tak że za rządów arcybiskupa kardynała Michała Paya y Rico okazała się potrzeba restauracyi, z którą połączono poszukiwania za relikwiami św. Apostoła. I rzeczywiście, skoro robotnicy w kaplicy głównej, za wielkim ołtarzem, oderwali posadzkę, zobaczyli pod ziemią sarkofag, murowany z kamieni i cegieł, a z wierzchu opatrzony krzyżem, w nim zaś trzy szkielety męskie (28 stycznia 1879 r.). Osobna komisya, złożona z mężów uczonych, tak duchownych jak świeckich, po dokładnem zbadaniu rzeczy, orzekła, że to są kości św. Jakóba i dwóch jego uczniów; ponieważ jednak w sprawie tak ważnej wyrok Stolicy św. był konieczny, przeto na prośbę arcybiskupa wyznaczył papież Leon XIII drugą komisyę w Rzymie, do której, z łona Kongregacyi obrzędów, weszli kardynałowie: Bartolini, Monaco la Valletta, Ledóchowski, Serafini, Parocchi, Bianchi, Zigliara, i konsultorowie: Nussi, Salvati, Caprara i Lauri. W poważnem tem gronie rozbierano rzecz jak najściślej, a nawet wysłano do Komposteli promotora wiary, Augustyna Caprarę, który tam nietylko kilku teologów pod przysięgą przesłuchał, ale zdania najbieglejszych znawców historyi, archeologii i anatomii zasięgnął; poczem na podstawie jego dochodzeń, orzekła kongregacya, że zgodnie ze zdaniem kardynała Paya y Rico, należy znalezione relikwie uważać za autentyczne (19 lipca 1884 roku).

Z radością zatwierdził ten wyrok Ojciec św. Leon XIII bullą z 25 lipca 1884, ogłoszoną tegoż dnia w Rzymie, w hi-

[1] Plan zrobił José Verdugo, roboty ciągnęły się do r. 1669.

szpańskim kościele Najśw. Panny z Monserratu, a przesłaną następnie wszystkim biskupom; co więcej, do dawnych odpustów, nadanych kościołowi św. Jakóba, nowy w kształcie jubileuszu na dzień 25 lipca 1885 r. dołączył, który to odpust wierni i gdzieindziej, w którymkolwiek dniu tegoż roku pozyskać mogli.

Zaledwie po całonocnej torturze wylazłem z niewygodnej arki, nazywającej się dyliżansem hiszpańskim, i w hotelu szwajcarskim *(Fonda Suiza)* [1] złożyłem swe manatki, pobiegłem zaraz z towarzyszami do bazyliki św. Apostoła, prawie na krańcu miasta leżącej. Ciemno w niej było i pusto, bo nabożeństwa jeszcze się nie zaczęły; szczęściem jeden z kanoników klęczał przy grobie św., zatopiony w modlitwie, i na prośbę naszą pozwolił nam przystąpić do ołtarza; inaczej musielibyśmy byli stawić się pierw w konsystorzu i może tak, jak w Burgos, długo czekać na pozwolenie arcybiskupie. Z uczuciem słodkiej pociechy odprawiliśmy Mszę św. w „kaplicy mniejszej", ponad kryptą, mieszczącą św. relikwie, a podziękowawszy Panu Bogu za łaskę tak wielką, obejrzeliśmy kościół, najprzód sami, następnie w towarzystwie kilku kanoników kompostelańskich, którzy dla pielgrzymów polskich okazali się nader uprzejmymi i łaskawymi.

Znakomita to budowla, mająca kształt łacińskiego krzyża, a co do rozmiarów 94 metrów długości (od facyaty zachodniej do środka absydy) i 63 szerokości (w ramieniu poprzecznem, czyli t. zw. *transepto).* Styl jej romański, z przymieszką naleciałości barokowych z XVII i XVIII wieku, których najnowsza restauracya, przez kardynała arcybiskupa Paya y Rico podjęta, całkowicie usunąć nie zdołała. Na zewnątrz zdobią ją trzy wieże większe [2], parę mniejszych, niezbyt wielka kopuła i cztery facyaty [3], z których najstarszą jest południowa, bo pochodzi ze starego kościoła, najokazalszą zaś zachodnia, wzniesiona do-

[1] Hotel wygodny a nie drogi, co w Hiszpanii należy do rzadkości.

[2] Zwane *del Reloj* (zegarowa), *de las Campanas* (dzwonnica) i *de la Carraca.*

[3] Północna *(de la Azabecheria),* zachodnia *(del Obradoiro),* zegarowa *(del Reloj,* albo *de la Quintana)* i południowa *(de las Platerias).*

piero w latach 1738—1747 przez Ferdynanda de Casas y Novoa, naśladowcę Churriguera.

Z pomiędzy kilku bram, wiodących do wnętrza, najwięcej nas wabi *puerta santa*, ozdobiona posągami św. Jakóba i dwóch jego uczniów, jakoteż napisem: *Haec est Domus Dei et porta Coeli;* ponieważ jednak brama ta jedynie w roku jubileuszowym *(Año santo)* stoi otworem, przeto wejdźmy z pięknego placu *de las Platerias* do *transepto*, czyli krzyżownicy, a stanąwszy w środku, spojrzyjmy najprzód na lewo. Mamy przed sobą trzy wielkie nawy, z długimi szeregami filarów i zgrabnemi arkadami, nad któremi wznoszą się galerye; ale niestety, środek głównej nawy zajmuje *el coro*, tj. chór kanoników, co nielitościwie psuje perspektywę.

Zwracając się na prawo, widzimy wielki ołtarz, otoczony kratą. Dzieło to ogromne i przeładowane ornamentyką, nie najlepszego smaku, bo jak się już rzekło, zawdzięcza swój początek epoce baroku (1665—1669). Przedewszystkiem uderza nas szereg kręconych kolumn, tworzących półkole, i wielki baldachim ze złoconego drzewa, wsparty na ramionach ośmiu aniołów, po rogach zaś mający posągi czterech cnót kardynalnych. Góruje nad nimi św. Jakób w takiej postaci, w jakiej się ukazał w bitwie pod Clavijo, tj. jako rycerz na koniu i z chorągwią w jednej ręce, a mieczem w drugiej; poniż są herby królestwa Hiszpanii, a po bokach geniusze ze sztandarami, zdobytymi na wrogach.

Pod tym baldachimem wznosi się wielki ołtarz, nie tyle artystycznie piękny, ile oryginalny i kosztowny. Nad mensą jest jakby kapliczka *(camarin)*, wyrobiona ze srebra przez mistrza Figueroa (1701 roku), a w środku tejże posąg św. Jakóba z kamienia złoconego, w stylu bizantyńskim. Stary on bardzo, ale niezgrabny, wyobraża zaś św. Apostoła, siedzącego na srebrnem krześle i trzymającego w lewej ręce laskę pielgrzymią ze srebra z takąż flaszką, wysadzaną drogimi kamieniami [1], a prawą

[1] Krzesło srebrne, laska pielgrzymia, flaszka mająca kształt dyni, kapliczka i frontal czyli antipendium, pochodzi z daru arcybiskupa Monroy (1685—1715), który na ten cel ofiarował 240.000 dukatów.

wskazującego na napis, wyryty poniż na kamieniu: *Hic est Corpus Divi Jacobi, Apostoli ac Hispaniarum Patroni.* Dwoje schodów wiedzie z tyłu do tej kapliczki; pielgrzymi idą jedną stroną, całują statuę i, według starego zwyczaju, ocierają się o nią plecami, jakby chcieli złożyć na Świętogo brzemię swoich cierpień, poczem zstępują po stronie Ewangelii. Ponad posągiem widać w obłokach Ojca Niebieskiego, otoczonego rzeszą Aniołów, również ze srebra, wyżej zaś na szczycie kapliczki stoi św. Jakób w stroju pielgrzyma, a czterech królów hiszpańskich składa mu hołd na kolanach.

Tak wygląda wielki ołtarz, na którym pierw tylko arcybiskupi i kanonicy-kardynałowie mogli odprawiać Mszę św.; dopiero Pius IX rozszerzył ten przywilej na wszystkich kanoników i beneficyatów Kościoła. Niemałą ozdobą tej kaplicy, zwanej *capilla mayor*, są dwa wielkie pająki, zrobione w Rzymie przez artystę Lud. Balladier (1761 r.) i trzy piękne lampy, wiszące na łańcuchach. Dawniej tych lamp było 51, a wszystkie ze srebra, ale złupiły je wojska francuskie pod wodzą marszałka Neya, nie zadawalniając się kontrybucyą 100.000 talarów *(duros)*, nałożoną na kapitułę.

Z tyłu za wielkim ołtarzem jest *capilla menor*, oddzielona od reszty presbiteryum srebrną kratą, i mająca w ołtarzu drewniane *retablo* z trzema płaskorzeźbami; z boku zaś jest wejście do podziemnej krypty. Wszedłem do niej z uczuciem głębokiej czci, bo tu właśnie mieszczą się kości św. Jakóba. Spoczywały one na tem miejscu przez długie wieki, dopóki ich arcybiskup Sanclemente nie ukrył gdzieindziej, lękając się napadu Anglików. Po znalezieniu św. relikwij w r. 1879 i ogłoszeniu bulli papieża Leona XIII z 25 lipca 1884 r., kazał kardynał arcyb. Paya y Rico ulać nową trumnę ze srebra [1], ozdobioną wizerunkami Zbawiciela, Apostołów, Maryi Salome, matki, jakoteż dwóch uczniów św. Jakóba, w płaskorzeźbie; poczem złożono w niej święte kości i wśród uroczystej procesyi zanie-

[1] Trumnę ulał artysta José Losada, według planu kanonika Ant. Lopez Ferreiro.

siono ją do krypty. Leży ona obecnie nad mensą ołtarza, pod pięknym łukiem bronzowym; po bokach zaś są groby św. Atanazego i Teodora. Krypta sama pochodzi bezsprzecznie z rzymskich czasów, a mamy jej opisy z wieków IX, X i XI; później atoli zmieniono jej postać. Nazajutrz odprawiłem tu Mszę św. wraz z moim towarzyszem, i nie potrzebuję dodawać, że do duszy cisnęły się święte i rzewne uczucia; mianowicie stawał na pamięci to Grób Zbawiciela w Jerozolimie, to ołtarz Narodzenia w Betleemie, to krypta pod konfesyą św. Piotra w Rzymie.

Wyszedłszy z krypty, obejrzałem chór, gdzie właśnie kanonicy i beneficyaci skończyli pacierze. Zajmuje on środkową część głównej nawy, i w stronie ku wielkiemu ołtarzowi ma przed sobą wolne miejsce, otoczone kratą pozłacaną [1]; w kierunku zaś ku wielkim drzwiom jest odgrodzony wysokim murem, co bardzo szkodzi perspektywie. W środku widzimy piękne stalle *(silleria)*, dzieło rzeźbiarza Jana Davila z r. 1606, i podwójne organy, dar arcybiskupa Antoniego de Monroy z r. 1708; więcej atoli ciekawości budzą dwa pulpity, stojące u wejścia do *capilla mayor*, a przeznaczone do odczytywania Lekcyi i Ewangelii. Wykonał je z bronzu artysta aragoński Jan Celuza w r. 1583 i pięknemi płaskorzeźbami ozdobił. Obok nich są dwie statuy, niezgrabnie pomalowane, w stylu bizantyńskim; jedna przedstawia św. Maryę Salome, matkę Zebedeuszów, druga św. Jakóba Mniejszego. Przed pulpitem, po stronie Epistoły, stoi kolumna miedziana *(columna de cobre)*, pochodząca, jak się zdaje, z czasów biskupa Diego Pelaez, a więc z jedenastego wieku; w niej mieści się laska żelazna, której św. Jakób używał w apostolskich swoich podróżach, a którą wraz z nim złożono do grobu [2], jakoteż kij pielgrzymi Karmelity św. Franco z Syeny, który tu wzrok cudownie odzyskał.

Spojrzyjmy teraz w górę; mamy nad sobą ośmioboczną

---

[1] Krata, otaczająca chór i kaplicę większą, pochodzi z daru arcybiskupa Alfonsa de Fonseca (r. 1535).

[2] Laska ta, znaleziona w grobie przez biskupa Teodomira, ma u wierzchu kształt greckiej litery Tau. Opisuje ją *Historia Irense* i *Libro de la Hermandad de las Cabelleros Cambeadores.*

kopułę, wzniesioną na miejscu dawnej wieży w r. 1445. Miała ona pierwotnie okna ostrołukowe, ale restauracya w epoce baroku i tu zostawiła swe ślady. Pod nią wisi metalowy świecznik *(alcachofa)*, a w większe święta ogromna kadzielnica, którą podczas uroczystych procesyj wprawia w ruch, zapomocą lin, ośmiu ludzi, tak że tworzy ona w krzyżownicy wielkie półkole, mające 40 metrów średnicy. Kadzielnicę tę, zwaną *botafumeiro*, podziwiano już przy końcu XIII wieku. Obok niej wywieszają w chórze, ale tylko w uroczystość św. Jakóba i przez całą oktawę, olbrzymią chorągiew, która w bitwie pod Lepantem (7 października 1571 r.) powiewała na okręcie admiralskim floty chrześcijańskiej, a którą potem naczelny wódz Don Juan de Austria, przysłał w darze do Santiago.

Obejdźmy teraz kościół dokoła, aby choć pobieżnie zwiedzić boczne kaplice. Z *transepto* wchodzimy pięknym portalem, w stylu *plateresco*, do zakrystyi o motywach gotyckich, gdzie nam uprzejmi kanonicy pokazują szaty kościelne, kandelabry, krzyże, obrazy na miedzi i płótnie, przeważnie pędzla Jana Ant. Bouzas. Tak zakrystya, wraz z t. zw. *antesacristia*, jakoteż przyległa kaplica św. Ferdynanda, której główną ozdobą jest *retablo* gotyckie z cennemi płaskorzeźbami, pochodzi z czasów arcybiskupa Alfonsa de Fonseca (1521 r.).

Wspanialszą nierównie jest *capilla de las Reliquias*, szkoda tylko, że architekt Bernard de Cabrera, jako wielbiciel churrigueryzmu, pod sklepieniem gotyckiem umieścił *retablo* w stylu barokowym, w Hiszpanii *borrominesco* zwanym[1]. We framugach ołtarza i na gzymsach pełno relikwiarzy z rzadkiemi relikwiami; jest tu krzyż grecki, darowany kościołowi przez króla Alfonsa III Wielkiego (874 r.), ze znaczną partykułą Drzewa św.; jest cierń z Korony św., cząstka z tuniki Zbawiciela, odłamek Grobu św. i kawałek szaty Najśw. Panny; jest głowa św. Jakóba Mniejszego, przyniesiona z Jerozolimy przez arcybiskupa Bragi, Mauricio, a ofiarowana tu przez królowę Urrakę. Są relikwie wielu innych Świętych; a co do dzieł sztuki, wymienimy z pośród

[1] Od mistrza nazwiskiem Borromini.

wielu jedynie krucyfiks ze słoniowej kości, nader misternej roboty, i kustodyę, czyli rodzaj kościółka z kolumnadą, w którym podczas procesyi Bożego Ciała noszą kanonicy Najśw. Sakrament. Jest ona ze srebra pozłacanego w ogniu, wysoka na półtora metra, a wykonał ją Antoni de Arphe w r. 1544. W tej kaplicy są także grobowce kilku książąt, jak Ferdynanda II i Alfonsa IX, królów Leonu, cesarzowej Berengueli i królowej Joanny de Castro; zkąd poszła druga jej nazwa — *el Panteon real.*

Wyszedłszy ztąd, zobaczyliśmy na ścianach bocznych naw krzyże *de consegracion*, które podczas poświęcenia kościoła namaścił był arcyb. Piotr Muńiz (1211 r.), poniż zaś szereg konfesyonałów, przeznaczony dla pątników różnych narodowości, tak jak w bazylikach rzymskich. W jednym z nich siedział właśnie penitencyaryusz z Towarzystwa Jezusowego, jakby czekał na pielgrzymów polskich; tu też odprawiliśmy spowiedź i otrzymaliśmy kartkę pamiątkową.

W środkowej nawie, tuż za chórem jest ołtarz *del trascoro*, poświęcony Najśw. Pannie Samotnej *(Nuestra Señora de la Soledad)*, a będący w wielkiej czci u ludu. Zwyczajem hiszpańskim, który, powiem otwarcie, nie bardzo mi się podoba, statuę Najśw. Panny zdobią kosztowne szaty, ofiarowane przez arcyb. Rafaela de Velez. Obok niej są dwa obrazy, pędzla Jana Cancela, nad nią krucyfiks ze statuami Matki Bolesnej i św. Jana.

Pod względem sztuki większą ma wartość słynny portyk *de la Gloria*, zamykający nawy od strony facyaty głównej *(del Obradoiro)*. Znakomite to dzieło mistrza Mateusza, rozpoczęte w r. 1168 a skończone r. 1188, należy do najpiękniejszych pomników stylu romańskiego, ale znać już na niem wpływy gotycyzmu. Znawcy tak wysoko je cenią, że dla muzeum londyńskiego sporządzono olbrzymi odlew w gipsie. I rzeczywiście, słuszny podziw budzą płaskorzeźby, wykonane w kamieniu, a przedstawiające sceny biblijne, jakoteż posągi Aniołów, Proroków i Apostołów, umieszczone na smukłych kolumnach, których podnóże otaczają głowy ludzkie i potwory z rozwartemi

paszczami. Pośród posągów widzimy wizerunek samego mistrza, a o kilka kroków dalej grobowiec arcyb. Piotra Muńiz, który w r. 1211 bazylikę konsekrował. Pod portykiem i głównemi schodami znajduje się kościół podziemny, zwany starą katedrą *(Catedral vieja)*, albo kościołem św. Jakóba *(iglesia de Santiago)*, zbudowany w kształcie krzyża łacińskiego przez tegoż Mateusza (1168—1175). Są tu piękne kolumny i stare *retablo* w wielkim ołtarzu, podczas gdy inne trzy ołtarze są nowsze.

Wyszedłszy z tej ogromnej, bo 22 m. długiej krypty, wracamy do nawy głównej, by spojrzeć jeszcze na jej wspaniałe galerye; poczem obok konfesyonałów, mających napisy: *pro linguis itala et gallica* i *pro linguis germanica et hungarica*, wchodzimy do pierwszej kaplicy nawy lewej, zwanej *del Santissimo Cristo de Burgos*, tu bowiem mieści się podobizna krucyfiksu, czczonego w Burgos. Styl jej klasyczny, ale upstrzony dodatkami w duchu Borrominiego. W ołtarzu przechowuje się Najśw. Sakrament, — a ten sam przywilej ma także sześć innych kaplic — po bokach zaś są grobowce: arcybiskupa Piotra Carillo y Acuńa, fundatora tej kaplicy († 1667) i arcyb. kardynała Michała Garcia Cuesta, jednego z najznakomitszych pasterzy kompostelańskich (1851—1873). Przyległą kaplicę *de la Comunion*, mającą kształt rotundy, wzniósł arcyb. Lope de Mendoza († 1445), a zrestaurował arcyb. Bartłomiej Rajoy y Losada († 1772); ich też zwłoki tu spoczywają. Dawniej w tej kaplicy, poświęconej Najśw. Pannie Przebaczenia *(del Perdón)*, udzielano uroczyście stopni akademickich; dziś rozdają tu ludowi Komunię św. Dwie ostatnie kaplice nawy północnej, pod wezwaniem św. Katarzyny (z r. 1544) i św. Fruktuoza *(capilla parroquial de San Fructuoso* z r. 1696) nie mają nic szczególnego, chyba, że w pierwszej z nich mieści się statua Najśw. Panny z Lourdes, będąca w wielkiej czci u wiernych.

Przejdźmy teraz *el transepto*, czyli nawę poprzeczną, i zaglądnijmy do kaplic, leżących we wschodniej części kościoła. Są one stare i dosyć zaniedbane, a co do architektury, przeważnie ostrołukowe, podczas gdy ołtarze przypominają styl *plateresco*, albo barok Churriguery. Niektóre z nich nazywają

się parafialnemi, jak *San Andrés* i *San Juan*, do innych, jak *Purissima Concepción* i *del Espiritu Santo*, przywiązane są bractwa. Do najstarszych zaliczają kaplicę *de Santa Maria de la Corticela;* pochodzi ona bowiem z połowy IX wieku. Od początku należała do Benedyktynów, którzy nawet po zbudowaniu kościoła św. Marcina w wieku X, mniej więcej aż do r. 1527, odprawiali w niej nabożeństwa. Tu przedewszystkiem gromadzili się pielgrzymi innych narodowości; tu też kapłani, znający obce języki, t. z. *confesores lenguajeros*, słuchali ich spowiedzi. Później powstała tu t. z. *parroquia Castrense*. Ozdobą tej kaplicy jest bramka romańska z piękną rzeźbą, obraz Najśw. Panny *de la Corticela* w głównym ołtarzu i statuy kamienne Chrystusa Pana w Ogrojcu i w Grobie, przed któremi lud chętnie się modli.

Podobnie w przyległej kaplicy *del Espiritu Santo* mieszczą się dwie stare i wielce czczone statuy: Najśw. Panny i Zbawiciela, pokazującego swe rany; ale ołtarze nie są najlepszego smaku. Przy niej to istniało kolegium „kapelanów Ducha Św.“, których zadaniem było odmawiać jutrznię od pierwszej do trzeciej w nocy, a później śpiewać codzień wieczór *Salve Regina*.

Z pomiędzy pięciu kaplic następnych [1], trzy zachowały mniej więcej formę starożytną, lubo i tu wtargnął churrigueryzm. Najokazalszą z nich jest *capilla del Salvador*, fundowana w wieku XII za biskupa Diego Gelmireza, a mająca marmurowe *retablo* w stylu *plateresco*. Zowie się ona także *del rey de Francia*, bo król francuski Ludwik XI, będąc jeszcze delfinem (1447), uposażył przy niej trzech kapelanów, mających sprawować Sakramenta św. dla pielgrzymów.

Za tą kaplicą jest „brama święta“, zwana w średnich wiekach *puerta de San Pelayo*, później zaś *puerta de los Perdones* (przebaczenia), albo zazwyczaj *puerta santa*. Jest ona zawsze zamknięta, a tylko gdy nadchodzi rok jubileuszowy,

[1] Są to kaplice, *de san Bartolomé*, *de san Juan Apostol* (parroquial), *de Nuestra Señora de las Espanas* (albo *de la Blanca*), *del Salvador*, *de san Pedro*.

otwiera ją arcybiskup 31 grudnia wśród uroczystych obrzędów; rokiem zaś jubileuszowym albo świętym *(año santo)* nazywa się ten, w którym święto Apostoła Jakóba W. przypada w niedzielę. W ciągu tegoż roku siadają tu ciemni, których w Hiszpanii niemało, i wyśpiewują bardzo stare pieśni.

Idą wreszcie trzy kaplice po prawej stronie wielkiego ołtarza, mianowicie *capilla de San Pedro* z obrazem Najśw. Panny *de la Azucena* i z grobowcem benefaktorki tej kaplicy, Mencia de Andrade, — dalej *capilla de Nuestra Señora de Piedad* (albo de Mondragon) z piękną płaskorzeźbą Najśw. Panny *de las Angustias*, — nakoniec najbogatsza ze wszystkich *capilla do la Virgen del Pilar*, ze statuą Najśw. Panny, umieszczoną na filarze, tak jak w Saragossie.

Otośmy już obeszli cały kościół; teraz nic nam nie pozostaje, jak rzucić okiem na starą rzeźbę na murze, przedstawiającą św. Jakóba w bitwie pod Clavijo, i bramą, wiodącą z *transepto* [1], wejść do t. z. *claustro*. Jestto niejako cmentarz kościelny, przylegający do prawej nawy, a otoczony zewsząd krytymi krużgankami, w których pełno grobowców, bo tu spoczywają kanonicy i prebendarze bazyliki. Wspaniały ten zabytek stylu renesansowego powstał z daru arcyb. Alfonsa III de Fonseca (1521—1580), a kosztowne dywany, którymi w święto Bożego Ciała i w uroczystość św. Jakóba W. pokrywają jego ściany, ofiarował scholastyk katedralny Piotr Acuña Malvar.

W stronie południowej widać dwie wieże piramidalne, na których dawniej w dzień św. Apostoła zatykano czerwoną chorągiew, we wschodniej zaś mieści się archiwum, bogate w cenne manuskrypta z XII, XIII, XIV i XV wieku. Słynnym mianowicie jest t. z. kodeks Kaliksta II, napisany po r. 1140 przez sekretarza tegoż papieża, Aimerico Picaud, a ozdobiony rzadkiemi miniaturami [2].

---

[1] Na boku zostaje skarbiec *(el tesoro)*, który złupili najprzód Francuzi, a następnie sami Hiszpanie podczas rewolucyj.

[2] Ocenę krytyczną o tym kodeksie napisali uczeni Fidel Fita i Aureliano Fernandez Guerra w dziele *Recuerdos de un viaje a Santiago.*

Z *claustro* wchodzi się z jednej strony do t. z. *Veeduria*, gdzie pielgrzymi otrzymują *compostela*, to jest poświadczenie, że odwiedzili grób św. Jakóba, — z drugiej do biblioteki, ozdobionej scenami z dziejów św. Apostoła, malowanemi *al fresco*. Tuż obok jest *sala capitular*, czyli sala posiedzeń kapituły, ze srebrnym obrazem Najśw. Panny *de Guadelupe* pod baldachimem i z misterną rzeźbą, wyobrażającą św. Jakóba w stroju pielgrzyma; a nieco dalej t. z. *Sastreria*, w której przechowują kosztowne kapy z XVI wieku i słynne dywany.

Zwiedziliśmy te miejsca w towarzystwie kilku kanoników, poczem wyszliśmy na zewnętrzny balkon, zkąd piękny otworzył się widok na obszerny plac *del Hospital* i na góry, okalające Kompostelę, a w części także na zachodnią facyatę *(del Obradoiro)* z dwoma bocznemi wieżami. Facyata jest imponującą, ale nie najczystszego smaku, bo przybyła dopiero w wieku XVIII, kiedy churrigueryzm panował wszechwładnie. Takiemiż są obie wieże: *de las Campanas* i *de la Carraca*, które rozpoczęto w wieku XII, podwyższono w XV, ukończono w XVIII. Pierwsza z nich ma trzynaście dzwonów, odzywających się co chwila potężnymi głosy; współzawodniczy z nimi olbrzymi zegar, umieszczony na wieży *del Reloj* [1], a tak doniosły, że nas budził ze snu w nocy.

Jak widzisz, miły czytelniku, kościół św. Jakóba ma wiele cennych i ciekawych szczegółów; jeżeli zaś opis ten wyda ci się niedostatecznym, wybierz się sam do Komposteli, w ślad za tylu milionami pielgrzymów. Począwszy od połowy IX w. ciągną oni tam tłumnie, jużto by uczcić grób św. Apostoła, jużto by pozyskać odpusty, w jakie Namiestnicy Chrystusowi: Leon III, Kalikst II, Aleksander III i inni, hojnie uposażyli to miejsce. Słusznie też arcybiskup wienneński Gwido mógł napisać na początku wieku XII, że widział w Santiago synów przeróżnych narodów i ziem, i to nietylko z Europy, ale nawet

[1] Wieżę tę rozpoczęto w r. 1463, a skończono w r. 1680, przyczem pierwotny styl gotycki zmieniono. Są tu dwa dzwony, darowane przez króla francuskiego Ludwika XI w r. 1483.

z Azyi i Afryki. W ich sercach religijny zapał, w ich rękach długie laski, z flaszką nakształt dyni, na głowach szerokie kapelusze, na ramionach grube płaszcze z muszlami; tak wchodzą do miasta św. Jakóba, niosąc zazwyczaj świece gorejące i nucąc osobne hymny, nieraz przy dźwięku instrumentów muzycznych. W kościele modlą się przed ołtarzem Apostoła i składają ofiary; następnie odbywają pewnego rodzaju stacye, przyczem pokazują im nietylko laskę pielgrzymią Świętego i łańcuch, którym go miano krępować, ale także koronę i kapelusz, snadź jako jego godła. Jak świadczy Eryk Lassota ze Steblowa (r. 1581), koroną, która zdobiła posąg Apostoła, wieńczyli pielgrzymi na chwilę swoje głowy; wieczorem zaś kładli się na spoczynek naokoło grobu, aby i w nocy wstawać na modlitwę.

Byli między nimi Święci, jak św. Wilhelm, św. Franciszek z Assyżu, św. Dominik, św. Bernardyn Seneński, św. Wincenty Ferreryusz, św. Franko, św. Izabella portugalska, św. Brygita szwedzka i t. d. Byli królowie, i to nietylko z Hiszpanii, jak np. wielu królów Leonu i Kastylii, a dalej Filip Piękny, Karol V, Filip II, Filip III, Izabella II, Alfons XII, ale także z innych krajów, jak np. Ludwik VII, król francuski, Jan de Brienne, król jerozolimski, Jan II, Manuel i Ludwik I, królowie portugalscy, Wilhelm X, książę akwitański, Rajmund XII tuluski, Otton frankoński, Filip burgundzki, Matylda, cesarzowa niemiecka, Katarzyna, królowa angielska, Marya Pia, królowa portugalska i t. d. Byli biskupi i znakomici duchowni, między innymi Zanelo, wysłannik papieża Jana X, i Gwido z Vienne, późniejszy papież Kalikst II. Byli wielcy wojownicy i rycerze, jak Cid Campeador i inni. Nawet z dalekiej północy zapędzali się tu pątnicy, a niektórzy opisali swą podróż, jak Mikołaj de Popielowo *(von Popplau)*, Szlązak, w r. 1484, Eryk Lassota de Steblowo *(von Steblau)*, zniemczały Polak ze Szląska, w r. 1581, Jakób Sobieski, ojciec Jana III, w r. 1611 [1].

[1] Opis podróży Mikołaja von Popplau, napisany po niemiecku, wydany został r. 1806 w piśmie: *Schlesien ehedem und jetzt.* Opis Eryka Lassoty, który jako najemny żołnierz Filipa II wstąpił do Santiago, ogłosił drukiem Reinhold Schottin w r. 1866, p. t.: *Tagebuch des Erich Lassota*

Jeszcze w wiekach XVI i XVII napływ pielgrzymów z różnych stron świata był tak wielki, że nieraz w święto Apostoła nietylko w kaplicach i nawach kościoła, ale także w *claustro* i na placu *de la Quintana* rozdawano im Komunię św. Dopiero prądy antyreligijne wieku XVIII, a więcej jeszcze najazd Francuzów, częste rewolucye i wojny domowe w w. XIX ostudziły dawny zapał do pielgrzymek i osamotniły grób św. Apostoła. W nowszych atoli czasach, kiedy z jednej strony niedowiarstwo pod egidą masoneryi coraz zuchwalej wdziera się do Hiszpanii, z drugiej coraz nowe klęski spadają na nieszczęśliwy naród, — ludzie z wiarą zwracają znowu swe oczy na to palladium narodowe, i spieszą po pomoc do tego, który niegdyś ich ojców wiódł do zwycięstw nad Maurami.

Lud prosty czci po staremu swojego Patrona, acz i tu mniej gorliwości, niż dawniej. Szczególnie w dniu 25 lipca zbierają się w Kompostelli różnobarwne tłumy wieśniaków zbliska i zdala; a wabi je nietylko pobożność, ale także chęć widzenia olbrzymiej kadzielnicy *(botafumeiro)*, ogni sztucznych na placu *del Hospital* i pochodu pątników *(gigantones)* w średniowiecznych strojach. Toż samo w „roku świętym“ *(año santo)* — w którym uroczystość św. Jakóba przypada w niedzielę — liczniejsze są pielgrzymki, niż kiedyindziej, a natłok przy konfesyonałach tak jest nieraz wielki, że dwunastu penitencyaryuszów nie może podołać tej pracy: wszakże w grudniu r. 1875 do pięciu tysięcy pobożnych przystępowało codziennie do Stołu Pańskiego. Zjawiają się też częściej pielgrzymi z obczyzny; tak np. niedawno temu kompania z Poitiers, a nieco później gromadka uczniów uniwersytetu katolickiego w Paryżu uczciła grób św. Apostoła.

Pożegnajmy się już z tym grobem św. i wyjdźmy z kościoła bramą północną, nad którą wznosi się facyata *de la Azabachería*, w r. 1758 przez architekta Dominika A. L. Mon-

con Steblau. Jakób Sobieski opisał swoją podróż po Hiszpanii po polsku w r. 1642. Czytaj o tych podróżach dzieło prof. Ksaw. Liskego, przełożone na język hiszpański przez ks. Fel. Różańskiego, p. t.: *Viajes de extranjeros por España y Portugal en los siglos XV, XVI y XVII*. Madrid 1879.

tenegro zbudowana [1]. Tuż naprzeciw, za placem dawniej *el Paraiso* zwanym [2], leży pałac arcybiskupi, dzieło znakomitego Gelmireza z wieku XII, później po wielokroć przerabiane, wskutek czego pierwotny styl romański znacznej uległ zmianie. Ślady tegoż zostały jeszcze w kaplicy i w refektarzu, bo dwaj ostatni odnowiciele: arcyb. Garcia Cuesta i Paya y Rico, kazali zachować skrzętnie, co przeszłość przekazała cennego. Patrzyłem ze czcią na ten gmach poważny, w którym tylu mieszkało książąt Kościoła, a między nimi tacy mężowie, jak Gelmirez, Fonseca, Sanclemente, Rajoy, Velez, Garcia Cuesta, Paya y Rico i t. p. Obecnego arcybiskupa — bo kardynał Paya y Rico przeniósł się na stolicę prymasowską w Toledzie — nie zastałem w domu; za to zaznajomiłem się z jego kuryą, i znalazłem tam, wraz z towarzyszami, nader miłe przyjęcie.

Co do dziejów arcybiskupstwa, już w pierwszych wiekach Kościoła założoną została stolica w niedalekiem mieście *Ira Flavia*, a od połowy wieku IX, czyli od odkrycia relikwij św. Jakóba, przyjęli jej pasterze tytuł: *sacerdotes apostolicos de Santiago, gobernadores del lugar apostolico, regentes de la Catedra apostolica.* Po zburzeniu miasta Ira Flavia przez Almanzora (r. 997), przenieśli biskupi swą siedzibę do Komposteli; co więcej, na mocy dekretu Urbana II z 5 grudnia 1095, dziewiętnasty następca Teodomira, Dalmacyusz, począł się pisać *obispo de Santiago* (biskup z Santiago). W wieku XII papież Paschalis II pozwolił bisk. Gelmirezowi używać w pewne dni paliusza i nosić stułę nawet w domu (31 paźdz. 1104); Kalikst II zaś wyjął stolicę kompostelańską z pod jurysdykcyi arcybiskupa z Meridy i wyniósł ją do godności metropolii (26 lut. 1120). Ze swej strony królowie nadali jej pasterzom świetne przywileje; tak np. Alfons VII przyznał każdemu z nich tytuł: *capellan mayor de la real capilla y notario mayor del reino de Leon* (1127); krom tego w czasach feudalizmu byli oni rządcami miasta

[1] Nad bramą jest statua św. Jakóba w stroju pielgrzymim, a przed nim klęczy dwóch królów.

[2] Na tym placu i na ulicy, dawniej *Francigena* zwanej, siedzieli kupcy z różnemi rzeczami, potrzebnemi dla pielgrzymów.

i tytularnymi przynajmniej dowódzcami wojsk prowincyi. Niemałe też były ich zasługi około Kościoła i narodu; wszakże jeszcze w czasach najazdu francuskiego arcyb. Rafael de Muzquiz uzbrajał hufce młodzieży do walki za ojczyznę. Rewolucye wieku XIX odpłaciły się za to zaborem majątku duchownego, zniesieniem klasztorów i obdarciem kościołów, które to krzywdy konkordat z r. 1851 tylko w części powetował. Dziś płaca arcybiskupa ze skarbu państwa wynosi nominalnie 140.000 realów, czyli do 17.000 złr.; a co do jurysdykcyi, podlegają mu, jako metropolicie, biskupi: w Lugo, Mondoñedo, Orense, Oviedo i Tuy. W całej prowincyi kościelnej jest 828 parafij, w samem mieście 11.

Oprócz kościoła św. Jakóba jest w Komposteli znaczny poczet kościołów parafialnych i zakonnych [1]; wszelako zawieruchy wieku XIX nie oszczędziły żadnego klasztoru męskiego, podczas gdy dla zgromadzeń żeńskich okazały się łaskawszemi; istnieją tu bowiem jeszcze klasztory Benedyktynek, Karmelitanek, Klarysek, Dominikanek, Matek *de la Enseñanza* (nauki chrześc.) i *de la Merced*, Sióstr miłosierdzia, Oblatek *del Santissimo Redentor*, i Siostrzyczek *de los ancianos desamparados* (starców opuszczonych).

Dzięki gorliwym pracom tych zakonnic i duchowieństwa, życie religijne silniejszem, niż gdzieindziej bije tu tętnem; a co do liczby kościołów, możnaby Kompostelę, tak jak nasz Kraków, nazwać słusznie drugim Rzymem. Oprócz wyż wymienionych, zasługują na uwagę jeszcze kościoły klasztorne Najśw. Panny *de la Merced* [2], *del Carmen* [3], *de Santa Clara* [4], *de Belvis* [5], *de la Enseñanza* [6], — dalej kościoły parafialne *S. Maria Salome* [7], *S. Felix de Solovio* [8], *Santa Susanna* [9], św. Bene-

[1] Opis innych kościołów i pomników Komposteli zostawiam do osobnego wydania tej pracy.

[2] Z końca XVII wieku. [3] Z XVIII wieku. [4] Z XIV wieku.

[5] Dominikanek z XVIII wieku.

[6] Z XVIII wieku. [7] W stylu romańskim.

[8] Jeden z najstarszych w Komposteli, bo istniał już w wieku IX, a po zburzeniu przez Almanzora, został odbudowany przez biskupa Gelmireza w stylu romańskim na początku XII wieku.

[9] Dzieło bisk. Gelmireza z r. 1105; później przebudowany.

dykta[1], Najśw. Panny *del Camino*, św. Piotra *de Fora*[2], św. Michała *dos Agros*[3], wreszcie niektóre kaplice, jak *Capilla del Apostol*[4], *Capilla de las animas*[5], *Capilla del Pilar* i *del Portal*, *Angustia de abajo* itd. Najwięcej atoli pociąga miłośników sztuki chrześcijańskiej kościół *Santa Maria la Real de Sar*, położony na przedmieściu Sar. Jestto budowla romańska o trzech nawach z półkolistemi absydami, rozpoczęta już w wieku XII, a mająca wiele cennych zabytków, jak np. chrzcielnicę z w. XII, grobowiec arcyb. Bernarda z wieku XIII, przedewszystkiem zaś pochyłe słupy w nawach, tak, iż się zdaje, jakoby kościół miał runąć. Od wieku XII istniała tu kolegiata kanoników regularnych pod regułą św. Augustyna, która atoli w wieku XVI zamieniła się w kolegiatę kanoników świeckich; dziś jest tu kościół parafialny, bardzo niestety, zaniedbany. Dalej za miastem, godnemi są widzenia kościoły: *Santa Maria de Conjo*, *San Lorenzo*, *El Cuerpo Santo*[6] *Colegiata de Iria*, wreszcie te miejsca w *El Padrón*, gdzie św. Jakób miał nauczać i odprawiać Ofiarę św.

Niemniej bogatem jest Santiago w zakłady dobroczynne, i słusznie się szczyci takimi gmachami lub instytucyami, jak: *Hospital real*, *de la Raina*, *de Salome*, *de Carretas*, *de San Roque*, *de San Lazaro*, *el Hospicio*, *Asilo de recogidas* (dom dla pokutnic), *Colegio de las Huerfanas* (ochronka dla sierót), *Asilo de mendicidad* (dom przytułku), *Monte de piedad* (bank pobożny), zakład dla ciemnych i głuchoniemych i t. d. Opiekują się tymi zakładami różne stowarzyszenia katolickie, między któremi prym dzierży Towarzystwo św. Wincentego a Paulo.

Pod względem oświaty Kompostela ubiega się o chlubną

---

[1] Wzniesiony pierwotnie przez bisk. Gelmireza, później odnowiony w stylu renesansowym.

[2] Kościół i klasztor Benedyktynów za miastem, istniał już w w. IX, odbudowany w r. 1173.

[3] Istniał już w IX wieku, odbudowany przez bisk. Gelmireza.

[4] Tu — według tradycyi ludowej — miały przez czas jakiś spoczywać kości św. Jakóba.

[5] Z XVIII w.: tu się odprawiają codziennie nabożeństwa za zmarłych.

[6] Tu w wieku XI zdarzył się głośny bardzo cud.

nazwę „Aten Galicyi“, mieści bowiem w swoich murach uniwersytet, seminaryum duchowne, kolegium misyonarzy *para Tierra Santa y Marruecos*, seminaryum nauczycielskie, cztery kolegia *de segunda enseñanza* (gimnazya), szkoły: weterynaryi, sztuk i rzemiosł, rysunku, muzyki, handlu, języków [1], 12 szkół ludowych, utrzymywanych przez gminę, więcej jeszcze takich szkół pod sterem zakonnic, szkoły wieczorne i niedzielne, ochronki dla sierót, zakłady dla ciemnych i głuchoniemych. Uniwersytet obejmował z początku tylko t. zw. *humanidades* [2], i dopiero Klemens VII, na prośbę arcyb. Alfonsa Fonseca, pozwolił na otworzenie *studium generale* (1526 r.), poczem powoli organizowały się pojedyncze wydziały. Od r. 1544 odbywały się wykłady w *Colegio de Fonseca*, wzniesionem przez tegoż arcybiskupa; w r. 1769 kazał rząd zająć na ten cel kolegium wygnanych OO. Jezuitów; ponieważ jednak takowe było niewystarczającem, przeto dobudowano nowy gmach kosztem kilku milionów realów [3]. Dzisiejszy uniwersytet, w którego skład wchodzi pięć wydziałów świeckich *(Facultad de Ciencias* [4], *de Derecho* (prawa), *de Farmacia*, *de Filosofia y Letras*, *de Medicina)*, ma dobrze zaopatrzone gabinety, muzea, kliniki, obserwatoryum meteorologiczne. laboratorium chemiczne, zbiór numizmatyczny, ogród botaniczny, bibliotekę o 40.000 przeszło tomach; liczba profesorów wynosiła w 1884 r. 56, liczba uczniów 771. Ruch umysłowy musi być dosyć ożywiony, skoro w samem Santiago wychodzą dwa pisma codzienne i dziewięć przeglądów, między tymi dwa w narzeczu galicyjskiem *(gallego)*.

Miasto samo, liczące obecnie do 28.000 mieszkańców, zachowało widoczną cechę starożytności; ztąd obok ulic schludnych, tu i owdzie z podcieniami [5], widzisz ciasne i brudne

[1] Pięć szkół ostatnich utrzymuje własnym kosztem t. z. *Sociedad economica*.

[2] Na mocy przywileju papieża Juliusza II z r. 1504.

[3] Do r. 1805 wynosiły koszta budowy 3,964.851 realów (real $^1/_4$ franka).

[4] Tu należy: fizyka, chemia, zoologia, botanika i mineralogia.

[5] Główne ulice są: Rua nueva, del Villar, Bonaval, największy ruch na placu El Preguntoiro.

zaułki, obok wspaniałych gmachów liche lepianki. Nie należy ono do najuboższych, skoro dochody w r. 1885 wynosiły 737.008 *pesetas* [1]; ale jak w całej Hiszpanii, tak i tu spotkałem niemało żebraków. W nowszych czasach ożywił się handel zbożem i wyrabianem tu suknem, dzięki szczególnie dobrym drogom do la Coruña i Curtis, jakoteż kolei żelaznej do Carril, miasta portowego nad Atlantykiem. Przybyło też oświetlenie gazowe i kilka ogrodów publicznych [2], z których jeden zdobi udatny pomnik admirała Nuñez Mendeza. Samo zresztą położenie miasta jest wcale piękne, bo wzgórze, na którem się rozsiadło, otacza wieniec ogrodów i winnic, dalej zaś ciągną się zielone doliny i niewysokie góry z małemi laskami po stokach; mianowicie od wschodu Gozo i Viso, od zachodu Pedroso (594 m.), od północy Vite i Almaciga, od południa Santa Marina i Humilladoiro.

Jednem słowem, Kompostela zrobiła na mnie miłe wrażenie, toż żegnałem ją nie bez żalu. Dwudziestego trzeciego sierpnia rano, odprawiwszy Mszę św. przy grobie św. Jakóba, wsiadłem wraz z towarzyszami do ogromnego dyliżansu, do którego zaprzągnięto pięć koni mocnych i pędzących jak wicher. Królujący z wysokiego kozła *mayoral*, dodawał im ciągle animuszu, to przemową, to batem lub ostrymi kamykami; i to mi wytłómaczyło, dlaczego niektóre rozynanty miały grzbiety pokaleczone. Okolica aż do Curtis była jednostajna, acz nie tak smutna, jak w Kastylii. Obok gościńca, wijącego się wężykowato po pagórkach i dolinach, słały się pola uprawne, na których tu i owdzie pod gołem niebem młócono zboże; niemałe atoli obszary ziemi leżały odłogiem, co świadczyło o niedostatecznem zaludnieniu kraju. Rzadkie też tam wioski i snadź niebogate, skoro w wielu domach, ulepionych z gliny i z kamieni, nie widzieliśmy szklannych okien, jedno otwory, zatykane na noc deskami. Na przestankach, gdzie zmieniano konie, witał nas rój żebraków płaczliwą swą muzyką; zato żołądek musiał ostro pościć, bo w wiejskich ventach (karczmach) trudno co

[1] *Peseta*, tyle co frank. Wydatki w tym roku wyniosły 874.509 *pesetas*.
[2] Jardines de la Alameda i la Herradura.

innego dostać, prócz chleba, sera i wina. Na stacyi kolejowej w Curtis sprzedawano, hiszpańskim zwyczajem, wodę *con azucarillos* [1], a tak o głodzie i chłodzie — bo noc była dosyć zimna — puściliśmy się do Valladolid, gdzieśmy nazajutrz po południu stanęli.

Ks. Dr. Józef Pelczar.

[1] Jestto stwardniała piana cukrowa.

POŁOŻENIE PRAWNE CHRZEŚCIJAN

W PAŃSTWIE RZYMSKIEM

W TRZECH PIERWSZYCH WIEKACH.

(Dokończenie).

Widzieliśmy poprzednio, jak Kościół, korzystając ze zwyczajów stowarzyszeń pogrzebowych i z przyznanych im przywilejów, stanął w obec państwa jako *collegium funeraticium*, z chwilą, kiedy mu reskrypt Trajana odjął prawo własności i egzystencyi. Mógł zaś to uczynić tem śmielej, że instytucya ta nie gwałciła jego wiary i nie żądała odeń niczego więcej, jak zgłoszenia się u prefekta miejskiego jako bractwa pogrzebowego, i podania rozmiarów cmentarzy; a natomiast miał zapewnione spokojne ich użytkowanie. Jakie mamy dowody na uzasadnienie tego twierdzenia? Przytoczymy najważniejsze, opierając się tu przedewszystkiem na pomnikowych foliach Rossi'ego.

Silnym dowodem jest najpierw fakt utrzymania się i rozszerzenia Kościoła, a jeszcze więcej posiadania przezeń obszernych posiadłości ziemskich, w których mieściły się chrześcijańskie cmentarze podziemne, znane tak władzy jak i pospólstwu. Wymieniamy na pierwszem miejscu te, których początek sięga jeszcze — jak już wspomnieliśmy powyżej — czasów apostolskich; są to katakumby św. Domitylli, Pryscylli, Ostryana. Noszą one i w drugim wieku

jeszcze imiona osób prywatnych, choć zwiększyły się w tym peryodzie bardzo, i przeszły na własność Kościoła. Obok nich powstało później w drugim i trzecim wieku w samym Rzymie kilkadziesiąt nowych cmentarzy, jak: Pretekstata, św. Sebastyana, św. Agnieszki, św. Hipolita, Maksima, Jordanów i wiele innych. Najwybitniejsze miejsce zajmowały katakumby św. Kaliksta, które autor Filozofumenów zwie κοιμητήριον *per antonomasiam*, jako oficyalne miejsce spoczynku biskupów rzymskich.

Położenie tych cmentarzy, jakoteż wewnętrzne ich urządzenie, najlepszą jest wskazówką, że były publiczne i znane władzy. Prawie wszystkie znajdowały się przy głównych drogach konsularnych, w stronę których otwierały się też obszernemi bramami, o freskach, przypominających dekoracye pompejańskie lub termów Tytusa. Zarówno wnętrze katakumb pełne było bogatej ornamentyki; ztąd wniosek, że ruch w nich musiał być wielki. Wchodziły tam kolegia fossorów, którzy budowali te miasta podziemne, następnie malarze, rzeźbiarze, orszaki pogrzebowe, a wreszcie tłumy osób, co chciały zaczerpnąć u grobów męczenników siły do walki, jaka ich czekała. Wszystko to działo się w oczach pogan, którzy tysiącami przechodzili codziennie koło bram nekropol chrześcijańskich, albo odbywali swe uczty pogrzebowe w pobliżu chrześcijańskich bazylik [1].

Podobne cmentarze spotykamy także gdzieindziej: w Neapolu znajdują się stare katakumby św. Januarego tuż obok grobów pogańskich [2]; w Kyrenie leży wielki cmentarz chrześciski w pagórku, przepełnionym grobami niewiernych. Na innych miejscach wznoszą się znowu grobowce pogańskie na terenie podziemnego cmentarza chrześcijańskiego.

Ważną jest tu okoliczność, że rozmiary cmentarzy chrześcijańskich najdokładniej przypominają nieraz pogańskie. Tak

[1] Katakumby n. p. św. Kaliksta leżały w najbliższem sąsiedztwie mauzoleów rzymskich i cmentarza żydowskiego.

[2] Zob. Schultze Victor, *Die Katakomben von San Gennaro dei Poveri in Neapel.* Jena 1877.

obejmuje np. area Luciny, najstarsza część katakumb św. Kaliksta, podobnie jak groby Scypionów, Cecylii Metelli i innych wybitnych osób, pochowanych przy drodze apijskiej, na froncie *(in fronte)* 100 stóp rzymskich, a 230 w głąb *(in agro)*.

Bractwa pogrzebowe stawiały na swych cmentarzach różne budynki, z których najważniejszym była *schola*, czyli zabudowanie przeznaczone na wspólne zebrania i uczty. Podobne budynki mieli także chrześcijanie nad swemi katakumbami[1]. Zwały się one: *cellae cimiteriales, cellulae, scholae, memoriae martyrum, basilicae*, i służyły za kościoły, w których odprawiała się w aniwersarze męczenników i w inne dnie najświętsza ofiara i uczty miłości czyli agapy. Uczty te odbywali chrześcijanie w największym spokoju. Poganie nie zwracali bowiem na nie bliższej uwagi, sądząc, że jakieś pogańskie bractwo pogrzebowe obchodzi swe święta kolegialne.

Oprócz cmentarzy podziemnych odkrył de Rossi w Rzymie jeszcze p u b l i c z n e cmentarze chrześcijańskie, położone pod otwartem niebem *(sub dio)*[2], a które, podobnie jak pierwsze, sięgają drugiego i trzeciego wieku. Istnienie podobnych cmentarzy w Afryce za panowania Septymiusza Sewera poświadcza Tertulian jawnie, mówiąc o cmentarzach kościelnych *(areae sepulturarum nostrarum)*, jako o instytucyi wszystkim w Kartaginie znanej. Na jakiej prawnej podstawie posiadali publiczne te cmentarze? Jako chrześcijanie nie mieli prawa własności; mogli je więc posiadać jedynie z tytułu bractwa pogrzebowego. Że istotnie tak było, dowodzi inne miejsce sławnego

[1] Zachowane do dziś dnia na cmentarzu św. Kaliksta ruiny dwóch zabudowań, znanych pod imieniem bazylik św. Cecylii i Sykstusa i św. Soteris są właśnie resztkami takich bazylik, zbudowanych w wieku trzecim.

[2] „La primitiva sicurezza dei cristiani cimiteri, i quali nei più antichi tempi ebbero anche vestiboli patenti e porte ornate di facciate monumentali, come quella omai celeberrima del cimitero di Domitilla, da principio non die' consiglio di nascondere le tombe nelle parti più interne e difese del sotterraneo: e se a queste cautele in alcun tempo si vienne, ciò dec essere stato dopo turbata la quiete e più volte interrotto il libero possesso di quelle necropoli nelle radicali persecuzioni della seconda metà pel secolo terzo e dei primi anni del quarto". Zob. Rossi, *R. S.* T. III, str. 560. Porówn. także: *Bullett. di archeol. crist.* 1865, str. 90.

apologety, gdzie prawie opisuje organizacyę chrześcijańskiej gminy. „Zgromadzeniom naszym — powiada on, — przewodniczą czcigodni starcy. Każdy z nas przynosi co miesiąc, kiedy i jak chce, w miarę swej możności, pieniężny datek *(stipem)*: albowiem nikt do tego nie bywa zmuszonym, tylko daje dobrowolnie. Zebrany pieniądz jest jakby funduszem pobożnym, bo nie trwonimy go na uczty, ani na pijatyki, ani na inne niepotrzebne zbytki, ale obracamy na utrzymanie i pogrzeb ubogich, sierót, sług, starców, rozbitków, skazanych do kopalń, wygnańców i więźniów, cierpiących za sprawę Bożą". Jest tu więc mowa, podobnie jak w konstytucyi bractw pogrzebowych, o wydziale, o miesięcznej opłacie, o wspólnej kasie, a co także ważne, tę samą nawet co u pogan spotykamy tu terminologię.

Kolegia pogańskie miały swój kalendarz *(album, feriale)*, zawierający spis dorocznych świąt i uczt brackich; miały też podobne *feriale* i gminy chrześcijańskie [1]. Różnica cała polegała na tem, że poganie pisali w niem imiona swoich dobrodziejów, jak n. p.: *VIII. idus Martias natali Caesenni... patris* — ósmego idów marcowych uczta, jako w dzień urodzin protektora Caesenniusza; albo: *XIII. kal. Sept. natali Caesenni Silvani fratris* — 13 kalendów wrześniowych uczta, jako w dzień urodzin brata Caesenniusza Silvanusa. Chrześcijanie natomiast podstawiali imionom pogańskim imiona swych męczenników: Kaliksta, Syksta, Agnieszki i innych. Kolegia pogańskie miały swych syndyków *(quaestores collegii, actores)*, których obowiązkiem było bronić spraw brackich w obec władzy i innych stowarzyszeń; miały także gminy chrześcijańskie takich syndyków, a w Rzymie był nim pierwszy papieski dyakon [2].

---

[1] „Io osservo — pisze Rossi, *R. S.* T. I, str. 210, — che perfino il *feriale* della chiesa, l'albo cioè delle feste de' martiri poteva essere legalmente compilato, e nei lunghi intervalli di quiete impunemente proposto".

[2] Zob. Rossi, *R. S.* T. III, str. 511. „Il diritto e l'uso generalissimo dei collegii funeraticii ci fa intendere, come i Cristiani, mentre vigevano le leggi che la loro religione e la loro coitio religionis causa dichiaravano illecite, ciò nondimeno poterono, tolleranti e talvolta assenzienti e cooperanti gli Augusti, possedere cimiteri ed altri luoghi a nome co-

Aby zaś żadna nie została wątpliwość co do organizacyi brackiej kościoła w drugim i trzecim wieku, przytaczamy na potwierdzenie naszej tezy kilka świadectw monumentalnych z tych czasów. Poczynamy od prześlicznego napisu, znalezionego niedawno w starej maurytańskiej Cezarei, niedaleko dzisiejszego Cherchel w Afryce.

AREAM AT SEPVLCRA CVLTOR VERBI CONTVLIT
ET CELLAM STRVXIT SVIS CVNCTIS SVMPTIBVS
ECLESIAE SANCTAE HANC RELIQVIT MEMORIAM
SALVETE FRATRES PVRO CORDE ET SIMPLICI
EVELPIVS VOS SATOS SANCTO SPIRITV
ECLESIA FRATRVM HVNC RESTITVIT TITVLVM · M · A ·
[I · SEVERIANI C · V ·
EX ING · ASTERI [1].

Ewelpiusz Czciciel Słowa ofiarował areę na cmentarz i wystawił wyłącznie własnym kosztem kaplicę, którą zostawił Kościołowi świętemu. Witajcie, Bracia! czystem i pokornem sercem śle wam pozdrowienie Ewelpiusz, wam zrodzonym z Ducha Świętego. Zgromadzenie Braci odnowiło ten napis.
Utwór Asteriusza.

Przedostatni wiersz wskazuje, że nie mamy przed sobą oryginalnego napisu, tylko późniejszą jego kopię. Kiedy ona została wykonaną, trudno z całą dokładnością oznaczyć; niepodobna bowiem odcyfrować znaków dołączonych do wiersza szóstego, w których właśnie kryje się potrzebna nam data. Zdaje się, że to nastąpiło z chwilą nastania pokoju za Konstantyna W. Oryginał pochodzi w każdym razie jeszcze z pierwszej połowy trzeciego wieku. Został zaś rozbity podczas prześladowania w r. 257, albo najdalej w r. 304. Porównajmy teraz ten napis z inskrypcyami bractw pogrzebowych pogańskich. Na ostatnich zwie się poganin: *Cultor Jovis, Apollinis,* lub też czcicielem jakiegoś innego bóstwa; nasz Ewelpiusz

mune del loro corpus, σύνοδος: *rappresentato quanto al possesso dai vescovi, quanto all'amministrazione pecuniaria dai diaconi, equivalenti ai quaestores collegii ed actores*".

[1] Zob. Renier, *Inscriptions de l'Algérie.* Nr. 4025. Rossi, *Bullett.* 1864, str. 28 i *R. S.*, T. I, str. 105 i 106. Kraus, *Roma Sotterranea,* str. 58 i 59.

nosi także imię Czciciela — ale jego Bóstwem jest *Verbum*. Dalej spotykamy w napisie cezarejskim nazwy: *area, cella, memoria*, żywcem przejęte z dykcyonarza kolegiów pogrzebowych pogańskich. Ewelpiusz kończy swój napis gorącem pozdrowieniem dla współwyznawców, którym daje piękne imię braci. Zgromadzeniem braci nazywają się także ci, co zniszczony ręką nieprzyjacielską monument zrestaurowali.

Zdaniem Rossi'ego właśnie ta nazwa braci *(fratres, ἀδελφοί)* była oficyalnym tytułem, który chrześcijanie przybrali w obec państwa w chwili, kiedy zorganizowali się i zgłosili u pojedyńczych rządów prowincyj, albo prefektów miejskich jako kolegium pogrzebowe [1]. Braćmi byli bowiem we wierze i mi-

[1] „I Cristiani fondando cemeteri communi a nome del loro corpo, assumevano la denominazione di fratres senz' altro aggiunto. Fratelli essi erano nella fede e nella carità; di questo nome si gloriavano, perchè loro proprio; non avendo giammai i pagani immaginato una siffatta fratellanza". Spotykamy wprawdzie kilkakrotnie tę nazwę u kolegiów pogańskich; znaczenie jej i źródło jest tam jednakże zupełnie odmienne. Braćmi zwą się np. członkowie stowarzyszenia *fratrum Arcalium* dlatego, że założycielami tego bractwa miało być dwunastu synów Akki Laurencyi. Zob. Rossi, *R. S.* T. I. str. 107. Wielkiej wagi jest także, co pisze w tomie trzecim, str. 512 i 513. „Il vocabolo antonomastico *fratres* fu propio del sodalizio cristiano. A questa sentenza non fanno eccezione le epigrafi, nelle quali i colleghi od i commilitoni mutuamente si appellano *fratres;* appellazione non propria ed antonomastica di quei corpi e sodalizi, ma a *titolo di civile officiosità* tra le persone pari usitatissima. Il Willmanns (Exempla inscriptionum latinarum, n. 57) ad una epigrafe votiva pagana dedicata da un *pater deorum omnium cum fratribus et sororibus* annota: pater, fratres, sorores ad cultum Mithrae pertinent. Ed in fatti in un' altra iscrizione dedicata al dio Arimanio (persiano) da un cotal *Libella leo* (leo qui significa uno dei gradi dei misteri mitriaci) sono ricordati i *fratres.* Se veramente in questi esempi *fratres, sorores* sono appellativi dei cultori di Mitra, io vedrei in essi una novella prova dell' imitazione del linguaggio cristiano negli ultimi secoli del paganesimo affetata dai sacerdoti e dagli iniziati di quel culto; uno dei quali disse: *ipse* (Mithra) *christianus est.* Le allegati iscrizioni sono del secolo terzo volgente al quarto, o del quarto".

Czasami spotykamy na napisach chrześcijańskich obok oficyalnej nazwy „fratres", tytuły równoznaczne: ecclesia fratrum, fraternitas, sodales fratres. Gdzie zaś okoliczności tego wymagały, mogli przybrać nazwę od miejsca, gdzie odbywali swe zgromadzenia, jak np. „collegium fratrum, quod consistit in praediis Lucinae", albo: „in domo Lucinae".

łości; z imienia tego chlubili się, jako im wyłącznie przynależnego z tej przyczyny, że o podobnem braterstwie poganie nigdy nawet nie śnili. „Tak my dajemy sobie nawzajem nazwę braci, której wy nam zazdrościcie, — odzywa się Minucyusz Feliks do czcicieli starych bogów, — jako dzieci jednego Ojca niebieskiego, jako wyznawcy tej samej wiary i dziedzice tych samych dóbr obiecanych“ [1].

Twierdzenie to uzasadnia Rossi jeszcze kilkoma innymi napisami afrykańskimi, azyatyckimi i rzymskimi, w których stale wraca tytuł *fratres*. I tak czytamy na drugim napisie cezarejskim, że kapłan Wiktor zbudował grobowiec dla braci... *hunc locum cunctis fratribus feci*. Na greckim nagrobku, z końca trzeciego wieku pochodzącym, odzywa się Aureliusz Filippianus, że każdy, coby się odważył pochować w jego grobie jeszcze kogo innego, ma zapłacić za karę do kasy braci 500 denarów.

ΕΙ ΔΕ ΤΙΣ ΤΟΛΜΗΣΕ ΕΤΕΡΟΝ ΒΑΛΕΙΝ ΔΩΣΕΙ ΤΟΙΣ ΑΔΕΛΦΟΙΣ ϟ· Φ.

Podobne życzenie, by nie naruszono grobu syna Marka, zanosi do czytelnika jakiś Aleksander, sługa Cezarów *(Augustorum servus)*, na kamieniu, przechowanym w muzeum Kirchera w Rzymie.

PETO A BOBIS FRATRES BONI PER VNVM DEVM NE QVIS·VII·TITELO MOLEstet POS·MORtem meam [2].

Do przytoczonych już napisów, dołączamy wreszcie piękny nagrobek niejakiej Agapy, znaleziony w katakumbach św. Pryscylli, a sięgający może jeszcze drugiego wieku:

---

[1] „Sic nos, quod invidetis fratres vocamus, ut unius Dei parentis homines, ut consortes fidei, ut spei cohaeredes“. M. Minucii Felicis, Octavius. ed. Hurter. S. S. Patrum Opuscula selecta. XV. pag. 91.

[2] Małe litery są uzupełnieniem Rossi'ego.

Eucharis Est Mater Pius Et Pater Est (mi)
Vos Precor O Fratres Orare Huc Quando Veni (tis)
Et Precibus Totis Patrem Natumque Rogatis
Sit Vestrae Mentis Agapes Carae Meminisse
Ut Deus Omnipotens Agapen In Saecula Servet.

Nie zastanawiamy się tu bliżej nad tym cennym nagrobkiem, omówimy go bowiem na miejscu innem; zaznaczamy tylko, że zmarła Agape zwraca się w nim z prośbą o modlitwę za spokój swej duszy do całego Kościoła, któremu daje piękne imię „braci“ [1].

Moglibyśmy już poprzestać na przytoczonych dotychczas świadectwach; niepodobna jednak pominąć kilka faktów historycznych, zostających z naszą kwestyą w najściślejszym związku.

Za panowania Aleksandra Sewera (223—235), wybudowali sobie chrześcijanie kościół w Rzymie na placu za Tybrem. Z pretensyami do tego miejsca wystąpili tamtejsi szynkarze. Sprawa wytoczyła się przed forum samego cesarza, który odrzucił roszczenia szynkarzy, oświadczając, że lepiej będzie, aby zamiast szynku stała świątynia, w której Bóg będzie chwalony. „Zdaje mi się, — powiada Rossi — że Aleksander Sewerus, pozwalając na wytoczenie tej sprawy spornej między szynkarzami a chrześcijanami, jak gdyby jedni i drudzy istnieli na tej samej podstawie prawnej, jako korporacya, i rozstrzygając ją na korzyść ostatnich, musiał albo już wcześniej, albo w tym samym akcie uznać legalną egzystencyę zgromadzenia wiernych“. A trochę dalej określa uczony archeolog jeszcze bliżej swoje myśli w ten sposób: „Stowarzyszenia wzajemnej pomocy i pogrzebowe były pretekstem i firmą *(colore)*, pod którą chrześcijanie posiadali już przed Aleksandrem w wielu miastach swoje cmentarze; ale za rządów tego cesarza i jego następców, przychylnych wyznawcom Chrystusa, ten *titulus coloratus* (ty-

[1] Zob. Rossi, *Inscriptiones Christianae urbis Romae saeculo septimo antiquiores.* Romae 1888. Tomus II, pag. XXX. Porówn. także: Duruy, *Histoire des Romains.* T. VI, str. 150; Crivellucci, *Storia delle relazioni tra lo Stato e la Chiesa.* Bologna 1886, vol. I, pag. 58 i nast.

tuł upozorowany) został legalnie uznany, i stał się powodem do większej tolerancyi, która rozciągała się odtąd nietylko do cmentarzy, ale także do miejsc, przeznaczonych na zgromadzenia i nabożeństwa chrześcijan [1].

Nie mniej ciekawe zdarzenie miało miejce w lat kilka lub kilkanaście później. W r. 235 objął rządy państwa dziki Got, Maksymin. W tym samym roku został skazany wraz z kapłanem Hipolitem na wieczne wygnanie do Sardynii papież Poncyan. Następcą Poncyana, który 28 sierpnia 235 r. złożył swą godność, wybrano 21 listopada tego samego roku Anterosa. Ten panował tylko dni 40 i miał następcą Fabiana (236—250), za którego rządów, 30 października r. 236, umarł w Sardynii Poncyan. *In eadem insula adflictus, maceratus fustibus, defunctus est III kal. novemb.* — czytamy w *Liber Pontificalis* [2].

Ta sama kronika papieska, która nam opisuje przyczynę śmierci świętego wygnańca, dodaje: *Quem beatus Fabianus adduxit cum clero per navim et sepelivit in cymiterio Calisti, via Appia.* Zwłoki jego sprowadził okrętem św. Fabian, otoczony swym klerem, i pochował je w katakumbach Kaliksta, przy drodze apijskiej. Jest tu mowa, jak widzimy, o solennej translacyi Poncyana z Sardynii do stolicy. Rozumiemy, że Kościół dbał o oddanie tej pobożnej usługi swemu Naczelnikowi, tem więcej, że czuwał zawsze nad całością tego wielkiego monu-

[1] „Vero è, che Ulpiano suo prefetto del pretorio raccolse in un libro tutti i rescritti de' principi contro i Cristiani; ma poichè non ostante quei rescritti e quelle leggi, il corpo dei Cristiani nel secolo III potè legalmente possedere, ciò mostra, che il mal talento di Ulpiano non impedì ad Alessandro Severo di riconoscere quel diritto, e di farlo passare in re-giudicata per l'avvenire. Io non m'accingerò a svolgere, come il tèma vorrebbe, un punto di sì alto momento. Formolerò soltanto il mio pensiero così; che le associazioni di mutuo soccorso e funeraticie furono a mio avviso il colore, sotto il quale anche prima di Alessandro Severo i fedeli possederono in molte città dell' impero i loro cemeteri; e che sotto Alessandro Severo e i seguenti principi amici de' Cristiani quel titolo colorato fu legalmente riconosciuto, e fu pretesto ad una maggior tolleranza, che si estese anche ai luoghi di convegno ed agli edifici dedicati al nuovo culto". *R. S.* T. I, str. 105.

[2] *Le Liber Pontificalis,* ed. Duchesne, Paris 1885, pag. 145.

mentu historycznego i dogmatycznego, jakim są groby papieskie; ale jak wytłómaczyć fakt ekshumacyi i przewiezienia publicznie w procesyi zwłok biskupa, którego władza skazała na deportacyę, a wreszcie o śmierć przyprawiła? Odpowiedź daje nam współczesny Poncyanowi prawnik rzymski Marcyan, przytaczając prawo, dotyczące wygnańców. „Jeśli ktoś został deportowany albo wygnany na wyspę, to karze tej podpada jeszcze i po śmierci; i niewolno przewieść go ztamtąd i pochować na innem miejscu bez przedłożenia prośby cesarzowi, jak to kilkakrotnie orzekli Sewerus i Antoninus, i wielu o to proszącym pozwolili“ [1]. Za komentarz do tych słów może posłużyć wspomniane przez Tacyta zdarzenie: *Lolliae Paulinae cineres reportari, sepulcrumque extrui (Nero) permisit* [2]. Nero pozwolił na sprowadzenie prochów wygnanej Lollii Pauliny i na wybudowanie jej grobu.

Wyjazd Fabiana do Sardynii w towarzystwie całego kleru rzymskiego, jakoteż przewiezienie zwłok Poncyana, nie mogły się odbyć potajemnie. Musiał Fabian prosić o łaskę, o której mówi Marcyan, i otrzymać takową. Kiedy się to stało? W kwietniu r. 237 powstali przeciw Maksyminowi dwaj Gordyanie, a po nich Clodius Pupienus Maximus i Coelius Balbinus. Za ich krótkich rządów, jak również za panowania Gordyana III (238—244) ustało prześladowanie chrześcijan; translacya zwłok nastąpiłaby jeszcze w r. 237 albo w następnym, w dniu 13 sierpnia.

Nagrobku Poncyana nie odnalazł dotychczas Rossi między gruzami katakumb św. Kaliksta, które wydały nam epitafia papieży: Anterosa, Fabiana, Lucyusza i Eutychyana. Odkrył tam jednak resztki innego napisu z trzeciego wieku, umieszczonego na drzwiach krypty papieskiej, a uwieczniającego pamięć złożenia wygnańca u boku swych poprzedników. —

[1] „Si quis in insulam deportatus vel relegatus fuerit, poena etiam post mortem manet; nec licet eum inde transferre alicubi et sepelire inconsulto Principe, ut saepissime Severus et Antoninus rescripserunt et multis petentibus hoc ipsum indulserunt“. *Digest.* XLVIII, 24, 2.

[2] Annal. XIV, 12.

ΕΝ ΘΕω ΜΕΤΑ ΠΑΝΤων επισκόπων ΠΟΝΤΙΑΝΕ ΖΗΣΗΣ

Poncyanie, żyj w Bogu wraz z wszystkimi spoczywającymi tu Biskupami (twoimi kolegami)![1]

Po Gordyanie i Filipie Arabie (244—249) nastali dwaj cesarze, którzy innem okiem patrzyli na kolegium chrześcijańskie. Nie uznawali oni jego charakteru bractwa pogrzebowego; widzieli w niem jedynie niedozwoloną korporacyę religijną, a ztąd rozpoczęli srogie przeciw niemu prześladowanie. Sam jednak Decyusz nie targnął się jeszcze na cmentarze; dopiero Waleryan (253—260) wzbronił chrześcijanom do nich wstępu osobnym edyktem z r. 257. Za przekroczenie właśnie tego dekretu, zamordowanym został przez żołnierzy w katakumbach Pretekstata papież Sykstus II w chwili, kiedy tam spełniał najświętszą ofiarę.

Postępowanie Waleryana nowym jest dowodem, że Kościół posiadał swe cmentarze legalnie, skoro do zawieszenia jego prawa własności potrzeba było osobnego edyktu, nakazującego konfiskatę majątku kościelnego[2]. Stawia ten okrutnik straż u grobów, by czatowała przy nich, jak niegdyś u grobu Chrystusa; zamyka wejścia, aby kościół, który tam w chwilach ciężkich prześladowań schodził z wszystkiemi swojemi świętościami, z pod ziemi już się nie wydobył; — ale jak ongi straż jerozolimska nie mogła przeszkodzić zmartwychwstaniu Ukrzyżowanego, tak i żołnierze rzymscy nie zduszą w grobach uczniów Zmartwychwstałego.

---

[1] Rossi, *R. S.* T. II, str. 73—80.

[2] Moltissimi hanno scritto sulle chiese de' Cristiani nei primi secoli e innanzi alla pace data da Costantino. Il Tillemont crede, che la benevola propensione di Alessandro Severo verso il cristianesimo abbia dato ai fedeli occasione e franchezza di comprare o di erigere edifici destinati al loro culto. *La tolleranza personale d'un imperatore* non mi sembra sufficiente a spiegare un fatto *costante* e legalmente riconosciuto dai successori di lui, anche dagli Augusti persecutori del nome cristiano. Imperocchè gli editti di persecuzione e di confisca non accennano al possesso di quei luoghi e dei cemeteri, come ad un possesso illegittimo ed abusivo, ma come ad un diritto, che si vuole *abolire o sospendere*. E Valeriano decretò soltanto, che i fedeli non si adunassero nei luoghi da loro appellati cemeteri. Zob. Rossi, *R. S.* T. I, str. 104.

Ze śmiercią Waleryana odzyskali chrześcijanie wszystkie swoje dawniejsze prawa; syn jego Gallienus (260—268) rozporządził solennym edyktem, wydanym w r. 260 dla całego państwa, by wszyscy właściciele miejsc religijnych *(loci religiosi)*, które przed Waleryanem należały do kościoła, zwrócili takowe biskupom miejscowych kościołów; prócz tego wezwał niektórych biskupów, aby odebrali skonfiskowane cmentarze. *Loci religiosi* były to domy modlitwy i kościoły parafialne w mieście. W Rzymie odebrał je z rąk władzy papież Dyonizy, który też dokonał nowego rozgraniczenia parafij miejskich, rozszerzył katakumby i wystawił na nich nowe budynki w miejsce zburzonych. Czynił to zaś tem swobodniej, że Gallienus sprzyjał wiernym, już nie tylko jako członkom bractwa pogrzebowego, ale wprost jako chrześcijanom.

Podobnie postępował z chrześcijanami cesarz Aurelian (270—275). Za ilustracyę do jego usposobienia posłużyć może znane zresztą zdarzenie. Heretyk Paweł z Samosaty, potępiony na synodzie w Antyochii r. 269 i kanonicznie z swej stolicy złożony, nie chciał chrześcijanom antyocheńskim wydać domu, który był własnością kościoła. Pokrzywdzeni udali się z prośbą do cesarza, by nieprawego posiadacza wypędził „z miejsca do kościoła należącego“ — τοῦ τῆς Ἐκκλησίας οἴκου, — co też uzyskali. Uchwała synodu została tu wykonana przez urząd pogański; cesarz zawyrokował, że prefektura miejska ma oddać dom temu, który pokaże listy biskupów italskich, a zwłaszcza rzymskiego [1].

Ostatnie te dwa wypadki dowodzą jasno, że dokonało się już wielkie zbliżenie między państwem a Kościołem, że chrystyanizm znajduje się w przededniu tryumfu, a co najmniej, że niedaleka już chwila, w której Kościół przejdzie z tego dziwnego położenia — nazwanego trafnie przez hr. Desbassayns de Richemont: *l'état mixte et étrange de légalité et persécution* [2] — w stan normalny publicznego uznania. Nim to jednak nastąpi, musi przejść jeszcze jeden, ale już ostatni chrzest krwi.

[1] *Euseb. Hist. eccl.* VII, 30.

[2] *Les nouvelles études sur les catacombes romaines.* Paris 1870, str. 223.

W r. 303 wybuchło straszne prześladowanie Dyoklecyana. Tysiącami szli wierni pod miecz lub na stos; kościoły zostały zburzone, cmentarze skonfiskowane. Równocześnie nastąpiła supresya hierarchii kościelnej. Władza przestała uważać papieża za legalnego przedstawiciela korporacyi chrześcijan, gdy poleciła prefekturze miejskiej wykreślić jego imię z rejestru reprezentantów dozwolonych kolegiów. Legalne to interregnum *(legalis cessatio episcopatus)* rozpoczęło się za pontyfikatu Marcellina z początkiem r. 304, i trwało aż do r. 311, choć prześladowanie ustało w stolicy już w r. 306. Od Marcellusa, następcy Marcellina, żądał cesarz, aby złożył swą godność *(ut negaret, se esse episcopum);* a ponieważ ten rozkazu nie usłuchał, poszedł na wygnanie. Podobny los spotkał w r. 310 albo 311 papieża Euzebiusza. Zrazu ignorowała władza państwowa i jego następcę Milcyadesa, obranego w r. 311; niezadługo otrzymał on jednak listy Maksencyusza, znoszące konfiskatę majątku kościelnego, i uznające go tem samem znowu legalnym reprezentantem Kościoła. Korzystając z rozporządzenia cesarskiego, wysłał Milcyades swych dyakonów z otrzymanymi listami do prefektury miejskiej, gdzie też nastąpiła oficyalna restytucya wszystkich posiadłości, należących do *corpus christianorum*, a zasekwestrowanych przez Dyoklecyana.

W dwa lata później znany edykt medyolański rozszerzył przyznane przez Maksencyusza Kościołowi rzymskiemu przywileje, na chrześcijan całego państwa, a podnosząc uroczyście Kościół do rzędu osoby prawnej, zrównał jego religię w obec prawa z religią pogańską. Wszyscy, — nakazuje on — którzy nabyli domy modlitwy chrześcijańskie, czy od rządu czy od kogo innego, mają zwrócić takowe natychmiast chrześcijanom... A ponieważ chrześcijanie posiadali nietylko te miejsca, w których zwykli byli się zgromadzać, lecz także inne, które były własnością nie pojedyńczych osób, ale należały do nich, jako do korporacyi, więc i tych wszystkich niniejszym dekretem zwrot nakazujemy [1].

[1] „Atque hoc insuper in persona christianorum statuendum esse censuimus, quod si eadem loca, ad quae antea convenire consueverant,

Streszczając cośmy dotychczas powiedzieli, położenie prawne chrześcijan w trzech pierwszych wiekach przedstawia się w sposób następujący. Przez cały wiek pierwszy żył Kościół pod osłoną Synagogi i posiadał majątek wspólny, jużto pod imieniem sekty żydowskiej, już pod osłoną prawa prywatnego. W drugim i trzecim wieku krył się, rozszerzał, i posiadał obszerne cmentarze pod formą bractwa pogrzebowego, zarejestrowanego w metrykach policyi najprawdopodobniej pod imieniem: *fraternitas*, albo: *ecclesia fratrum*. Aby módz zorganizować się w takie stowarzyszenie, nie potrzebował uzyskać osobnego pozwolenia władzy; dość było zastosować się do uchwały senatu, która jasno określiła, komu i pod jakimi warunkami wolno było łączyć się w korporacyę: *quibus coire, convenire collegiumque habere liceat.*

Wiedziało państwo, że poza firmą *fraternitas* kryje się coś więcej, niż zwyczajne bractwo pogrzebowe. Z jednej strony bowiem pospólstwo denuncyowało niejednokrotnie zgromadzenia chrześcijańskie, jako zebrania czysto religijne, z drugiej, wstępowali chwilami apologeci otwarcie na trybunę, wyznając się członkami proskrybowanej przez Trajana religii chrześcijańskiej, i żądając wprost, aby władza z nimi się porozumiała i wrogi edykt cofnęła. Polityka jednak kazała państwu zamykać oczy na naturę religijną tych stowarzyszeń, i traktować je jako bractwa czysto pogrzebowe, tem więcej, że czuło się bezsilnem w obec wzrastającej z dniem każdym liczby wyznawców Chrystusa, a mnożących się z każdym lat dziesią-

---

de quibus etiam datis ad officium tuum literis certa antehac forma fuerat comprehensa, priore tempore aliqui vel a fisco nostro, vel ab alio quocunque videntur esse mercati, eadem christianis sine pecunia, et sine ulla pretii petitione, postposita omni frustratione atque ambiguitate, restituantur... Et quoniam iidem christiani non ea loca tantum, ad quae convenire consueverunt, sed *alia etiam* habuisse noscuntur, *ad jus corporis* eorum, id est, ecclesiarum, non hominum singulorum, pertinentia, ea omnia lege, qua superius comprehendimus, citra ullam prorsus ambiguitatem, vel controversiam iisdem christianis, id est, corpori et conventiculis eorum reddi jubebis". Zob. Lactantius, *Liber de mortibus persecutorum*. ed. Hurter. T. XXII, pag. 92, 93.

tkiem nieprzyjaciół postronnych [1]. Wytworzył się tym sposobem pewien praktyczny *modus vivendi*, czyli, jak Allard [2] go nazywa, pewien rodzaj cichego konkordatu między Kościołem a rządem. Z tego układu państwo mogło zrzucić się każdej chwili, zedrzeć zasłonę z bractw chrześcijańskich, i skazać jako heterye na zagładę; ten stan rzeczy jednak o tyle był korzystnym dla pojedyńczych gmin chrześcijańskich i całego Kościoła, że zapewniał im w czasie normalnym regularną egzystencyę wraz z prawem własności.

Kończymy słowami Mommsena: *Erant quidem coitiones Christianorum illicitae, quicquid dicit Tertullianus, sed ideo tantum quod erant Christianorum.* Abstrahując bowiem od charakteru religijnego *(qualitas religiosa)* chrześcijan, były ich wspólne cmentarze i korporacye koło tychże ugrupowane, wraz ze wspólną kasą i majątkiem nieruchomym, zupełnie legalne, o ile miały formę i organizacyę bractwa pogrzebowego.

Ks. Bilczewski.

[1] Dobrze charakteryzuje tę politykę Aubé, kiedy pisze: „Comme toute politique, la politique romaine avait des courbes et des replis infinis; elle vivait de compromis, de demi-mesures et d'expédients. Elle varia avec les temps, les circonstances et les moeurs publiques, ou pour mieux dire, s'y accommoda". *Histoire des Persécutions de l'Église*, str. 74.

[2] Allard, *Histoire des Persécutions pendant les deux premiers siècles d'après les documents archéologiques.* Paris 1885. Introduction.

Z ARCHIWUM KARMELITANEK BOSYCH WILEŃSKICH.

Bawiąc podczas wakacyj 1889 r. w uroczej okolicy Krzeszowic, byliśmy oczywiście i na Czerny, gdzie tyle cudów przyrody Boża dłoń nagromadziła, że można zjechać znaczny kawał świata, a nie tak łatwo znajdzie się równie piękny, wspaniały, czarujący zakątek. Ponieważ zaś, jak powiadają, „natura wilka ciągnie do lasa“, zapytaliśmy w klasztorze Wielebnych OO. Karmelitów o archiwum, z którego korzystał dotychczas tylko Louis-Wawel w swej monografii Paczołtowic. Przewielebny Przeor, O. Rafał Kalinowski, pełen łaskawej uprzejmości, zwrócił naszą uwagę na dwie szkatuły aktów, z których nikt dotychczas nie korzystał, a które zawierały — szczątki archiwum Panien Karmelitanek Bosych w Wilnie.

Po zamknięciu tego klasztoru przez władze rosyjskie zdołano przynajmniej skromne archiwum ocalić przed ręką grabieżną. Osoby, pozostające zapewne w bliższych stosunkach z konwentem, przewiozły papiery do Krakowa, gdzie przez dłuższy czas tułały się porozrzucane w rękach prywatnych, niestety — wystawiane nawet na sprzedaż c z ę ś c i o w o! Usiłowaniom dopiero gorliwym niniejszego, wysoce wykształconego Przeora z Czerny, udało się zebrać tę jedyną spuściznę bogatego niegdyś klasztoru, i umieścić w zakonnej bibliotece na Czerny, uporządkowawszy ten materyał jakotako, o ile dadzą się należycie uporządkować takie *disiecta membra*. Są to już

bowiem szczątki archiwum, z widocznemi na każdym niemal kroku znacznemi lukami.

Klasztor wileński założono dopiero 1637 r. Czy może budzić interes naukowy archiwum tak... młode? Czy jest też o czem pisać do publicznego pisma?

Porozumiejmy się! I archiwa i sposób pisania o nich jest dwojaki: z pretensyami i bez pretensyj. Co innego takie archiwum, jak Metryka, Muzeum XX. Czartoryskich, t. z. Bernardyńskie i t. p. — a co innego archiwum jednego konwentu Karmelitanek z XVII i XVIII wieku. Nikomu nie przyjdzie na myśl wydać uczony katalog takiego archiwum, choćby tysiące nawet aktów obejmowało, nikt nie będzie miał zamiaru złożyć z tego jaki nowy *Codex diplomaticus*. Na pięćdziesiąt aktów zaledwie jeden się znajdzie ważny mniej lub więcej dla szerszego horyzontu historycznego, — a być nawet może, że się nie znajdzie nic podobnego. A przecież niema tak skromnego archiwum, któreby można ignorować całkowicie, nie wyrządzając przez to nauce żadnej, ani najmniejszej nawet szkody; w każdem bowiem coś się znajdzie. Dlatego też regułą jest, że mając sposobność, zagląda się do każdego bez wyjątku.

Jednym archiwom dano jest wyświecać fakta doniosłe, wytyczne dziejów słupy, a drugim zachowano możność poznania z ich pomocą gruntu społecznego, na którym te słupy stały i padały. Tamte ciekawsze, do badań wdzięczniejsze, jak drzewo pełne dojrzałych owoców, nęcą do siebie — ale ich niewiele! Te zaś nie nęcą; nie wyniesie się z nich materyału ani do dyplomataryusza, ani do rozprawy pełnej nowości naukowych; nic nie obiecują, bo niewiele każde z nich dać może. Ale za to są liczne, nader liczne, te niepozorne archiwa klasztorne, parafialne, familijne; gdyby je znieść razem (wydawszy poprzednio ustawę, zakazującą darcia ich pod placki, sprzedawania na funty, wyrzucania na strych i t. p. wandalizmów), te kopciuszki możeby przerosły tamtą arystokracyę archiwalną, nietylko ilością, ale może i treścią. Archiwa wielkie bowiem, owe sławne archiwa, mają to do siebie, że wtaje-

mniczając w szczegóły danego faktu, nigdy nie zdołają wyświecić jego przyczyn, dlatego, że w tych archiwach brak śladów — społeczeństwa współczesnego, tego właściwego autora faktu i twórcę, lub też oponenta i burzyciela. Tylko drobne archiwa zdołają przedstawić nam obraz społeczeństwa, bo tylko one w łonie społeczeństwa powstały, będąc pomnikiem jego codziennych potrzeb, zwyczajów i obyczajów, tendencyj i upodobań; każdy akt jest tu następstwem i skutkiem jakiegoś faktu; korespondencyj, planów, intryg etc. niema. W wielkich archiwach akt zwykł wyprzedzać fakt, w drobnych następuje dopiero po nim; to też objawy ż y c i a tutaj bardziej się skupiły; to też tutaj udać się musi, kto się chce dowiedzieć, jak przodkowie ż y l i, jakie mieli pociechy i strapienia, jak pracowali i spoczywali; tutaj i tylko tutaj kryje się wyjaśnienie najgłębszych, ostatecznych przyczyn tych faktów, które opisuje się z archiwów wielkich, z rządowych, tajnych, a które nie są niczem innem, jak tylko danego sposobu życia pewnego pokolenia ostatecznemi rezultatami. Tam rezultaty, a tu przyczyny: tam szczyty gmachu, a tu jego podstawy odkrywać pragnie historyk.

Obydwa zadania uzupełniają się nawzajem. Drugie z nich jest atoli nierównie trudniejszem, wymaga bez porównania więcej rąk skorych do pracy, i znacznie, znacznie więcej czasu. Przy sprzyjających okolicznościach wystarczy praca jednego człowieka, ażeby w ciągu lat kilku zbadał wszechstronnie np. fakt zniesienia królestwa we Francyi — lecz tylko sam fakt; ale, ażeby poznać, dlaczego godność królewska dała się znieść we Francyi, na to trzeba długiego szeregu pracowników. Dziś też dopiero poczynamy coś o tem wiedzieć, gdyśmy się dowiedzieli mnóstwa szczegółów o warunkach życia Francuzów z końcem XVIII wieku.

Jest też jedna czysto zewnętrzna przyczyna, utrudniająca badanie przyczyn ostatecznych danego faktu: oto materyał do tego jest nieograniczony, a rozproszony. Nieograniczony — bo chcąc dokładnie społeczeństwo poznać, niczego pominąć nie można; czyż w książce Taine'a *Ancien Regime* raził kogo ustęp

o sposobie strojenia dzieci w salonach, jako zbyteczny? Rozproszony — bo niema takiego zakątka w kraju, gdzieby do tego materyał się nie znalazł. Ileż czasu minąć musi, zanim sam materyał się zgromadzi! Są archiwa duże, które powstały ze zwiezienia na jedno miejsce kilkunastu, kilkudziesięciu, a nawet kilkuset drobnych, lokalnych — ale takie sztuczne archiwa zawdzięczają swe powstanie najczęściej przemocy, przed którą zawsze coś schować i na miejscu pozostawić zdołano. Wygoda dla historyka ztąd mniejsza, niżby się z pozoru zdawało, a dla historyi korzyść wątpliwa, bo niejedno, co na miejscu swem rodzimem zwróciłoby może uwagę, w długim szeregu szaf pozostanie może nietknięte na zawsze, jako nazbyt mały drobiazg. Drobne archiwa, pozostawione na miejscu, zmuszają do wglądnięcia w te drobiazgi, z których każdy jest tylko pyłkiem, ale złożone kiedyś razem ręką mistrza, mogą wydać wiele.

Takie to pyłki zawiera też archiwum Karmelitanek wileńskich. Wiedząc, że tam nie odkryjemy żadnego nieznanego faktu, przejrzeliśmy je z tem poczuciem, że gdyby przejrzeć wszystkie takie archiwa kryjące się u nas, łatwiej byłoby wyświecić niejeden fakt znany, boby się zyskiwało coraz szersze tło dziejowe. Za dwukrotną tylko bytnością na Czerny niesposób było nawet to skromne nasze zadanie załatwić należycie; kto ma ochotę, może śmiało zajrzeć po nas jeszcze do tych szkatułek, pewny, że znajdzie niejedno, czegośmy wyzyskać nie mieli czasu i sposobności. Zachęcamy też każdego do miłej wycieczki na Czerną; niema rzeczy tak drobnej, ażeby bez wartości była, i ta drobniutka wycieczka historyczna także wartość będzie miała, byle tylko była — bez pretensyj!

Szanowna zaś Redakcya pozwoli nam na tem miejscu odezwać się w kilku słowach do Wielebnego Duchowieństwa. Są na prowincyi stare fary, po kilka wieków istnienia liczące; są konwenty dawniejsze i nowsze; wszędzie znajdą się „szpargały jakieś“, świadczące, że — mogłoby być archiwum, gdyby — był porządek. Co się już zepsuło, to przepadło, a za winy po-

przedników nikt nie odpowiada; ale ażeby na przyszłość nic się już nie psuło, ażeby następny proboszcz nie miał tych „szpargałów“ mniej jeszcze — to niech będzie obowiązkiem sumienia proboszcza teraźniejszego. Komu nie wystarczy poprzednie wyjaśnienie, że każdy dawny papier ma pewną wartość (choćby nawet rachunki kuchenne! — i to się do jakiego specyalnego celu może komuś przydać), tego niech zachęci zapewnienie, że czasem bardzo ważne, drogocenne dokumenty znajdywano gdzieś niespodzianie na zapadłej prowincyi, daleko od poczty i szosy. Ot, były wojny; hetman np. lub choćby rotmistrz pancerny gonił Turka lub Szweda, a miał przy sobie papiery ważne; gotując się do tańca z poganinem, stanął tymczasem na głównej kwaterze w dworku lub na plebanii, i papiery tam zostawił. Po bitwie gonił nieprzyjaciela dalej, do wsi już nie wrócił; papierów już nie potrzebując, nie troszczył się o nie lub zapomniał, gdzie zostawił, bo taki kawał kraju już od tego czasu zjechał! A nuż te papiery są jeszcze u dziedzica lub proboszcza? Poszukajmy... a gdy się przypadkiem kto na wakacyach do nich przypyta, nie kryjmy się z tem, pokażmy wszystko, pomni, że przecież sam Ojciec św. tajne watykańskie archiwum dla wszystkich historyków bez wyjątku na ścieżaj otworzył. „A jako kto może, do wspólnego dobra niechaj dopomoże“.

Resztki archiwum Karmelitanek wileńskich, podzielone obecnie na pliki, obejmują:

Documenta Conventus Vilnensis, tj. akta, dotyczące założenia, wyposażenia i w ogóle spraw majątkowych zakonu. Ponieważ dobra klasztorne składały się z darowizn różnych osób, posiadał klasztor nietylko akta odnośnej dotacyi, lecz i dokumenta wykazujące, że dobroczyńcy klasztoru byli prawnymi właścicielami podarowanego majątku; skutkiem tego znajdzie się tu sporo aktów, napozór związku z konwentem nie mających. Całkiem to naturalne, że klasztor, posiadłszy jakieś dobra, starał się także posiąść wszelkie do-

kumenta, z nowym nabytkiem związek mające. Pełno też tu wypisów z „ksiąg ziemskich spraw wieczystych".

Testamenty. Jeżeli ktoś testamentem zapisywał coś klasztorowi, musiał klasztor posiadać ten akt ostatniej woli, jako dowód swego tytułu prawnego; — ztąd oblaty testamentów. Zapewne było ich sporo, bo w wieku XVII i XVIII, któż w testamencie zapominał o klasztorach? Ale ta część archiwum najbardziej zdefektowana: niema testamentów najważniejszych fundacyj, o których z innych aktów przekonaliśmy się, że niewątpliwie pochodziły właśnie z zapisu ostatniej woli.

Listy znakomitych osób. Do tego działu wliczono wszystko, co pochodziło od osób starszych stanowiskiem, począwszy od kasztelana i kasztelanowej. Po większej części nie przedstawiają żadnego interesu; ale niektóre za to bardzo ciekawe. Najważniejsze są listy Zebrzydowskiej, kasztelanowej lubelskiej, w sprawie Kolumby Radziwiłłównej, której poświęcamy osobny ustęp. Z r. 1635 list kasztelanowej trockiej z przypiskiem Magdaleny z Konopata Gaszewskiej; następnie z XVIII wieku: z r. 1728—1730, Denhoffowej z Warszawy i z Gdańska 7 listów; z r. 1735 wojewody Ogińskiego z Warszawy i Maryi ks. Czartoryskiej; z r. 1737 i 1740 jej męża Augusta Czartoryskiego z Wilanowa i z Warszawy; z r. 1743 ks. Wiśniowieckiej, wojewodziny wileńskiej i hetmanowej W. Ks. Lit.; z r. 1765, H. Ogińska, kasztelanowa wileńska, dziękuje „za łaskawe obesłanie obarzaneczkami". Mąż jej choruje na rękę, ale ma się lepiej; umarł w r. 1777. Donosząc o tem z Warszawy pani Ogińska, nadmienia, że wypłaci 15.000, które się po mężu należą klasztorowi.

Listy królewskie. Tutaj wliczono wszystko, co ma na sobie podpis królewski, a nie pochodzi z jurysdykcyi sądów zadwornych. Ważniejsze: Władysława IV z r. 1636; Jana Kazimierza z r. 1651, 1662; króla Michała z r. 1670.

Radziwiłłowskie akta, najciekawsza część archiwum, a nadspodziewanie obfita. Nam szczupłość czasu nie pozwoliła ani w przybliżeniu nawet skorzystać z tej pliki należycie; plika ta zasługuje, ażeby się kto zajął nią wyłącznie.

Autografy znaczniejszych osób. Plika ta zawiera przeróżne akta; zabłąkały się tu nawet dwa „królewskie". Widoczna rzecz, że niegdyś treść jej była inną, że z biegiem czasu popadła w pewien chaos. Z „autografów" na aktach różnej treści wymieńmy: Aleksandra Naruszewicza, podkanclerzego W. Ks. Lit. z r. 1664; Gosiewskiego Wincentego Korwina, podskarbiego wielkiego, hetmana polnego i pisarza ziemskiego W. Ks. Lit. z r. 1655. Są tu też akta, wydane pod imieniem królewskiem: Władysława IV z r. 1638 i Jana III Sobieskiego z r. 1694 i 1695, których treść w dalszym ciągu wyzyskujemy.

Plika „Biskupów", zawierająca wszelkie listy biskupie, utrzymana w porządku. Wymieniamy: z r. 1638 Abrahama Wojny, biskupa wileńskiego; tejże dyecezyi Jerzego Tyszkiewicza z r. 1653 trzy do konwentu, jeden do wojewody wileńskiego; do konwentu z roku następnego; z r. 1662 biskupa łuckiego do trybunału w sprawie zakonnic; z r. 1783 Ignacego Massalskiego; z r. 1813 Jeronima hr. Strojnowskiego; z r. 1839 (kopia) Jędrzeja Benedykta Kłągiewicza, biskupa chryzopolitańskiego, sufragana wileńskiego, w sprawie relikwij św. Kazimierza. Z treści ciekawszych zdajemy niżej sprawę.

Niezmiernie ważnym do spraw majątkowych klasztoru, a cennym przewodnikiem dla każdego, ktoby się chciał zająć bliżej dokumentami wileńskiemi, jest zeszyt zatytułowany: *Regesta Papierów Zakonu Wileńskiego Karmelitanek Bosych do komissyi likwidacyjnej dla dośledzenia długów y majątków Hrabiów Ogińskich w Wilnie ustanowiony.*

Sporo materyału zawiera też *Extrakt z xiąg Skarbowych Decretowych Commissiey Wileńskiey anno 1667.*

Dwie pliki bez żadnego napisu; jedna z nich (tak się zdaje) zawierać miała pierwotnie akta do stosunków z mieszczaństwem wileńskiem, te bowiem i dziś w niej przeważają; druga zawiera wszelkiego rodzaju akta.

Mnóstwo aktów luźnych, procesowych przeważnie, nie zgrupowano całkiem, zdaje się dlatego, że pisane po większej

części po rusku; to też inne pliki przygodnie całkiem utworzyły się.

Przepisy zakonne, wizyty jenerałów, prowincyałów etc., w ogóle akta, tyczące się wewnętrznego życia klasztornego. Akta utrzymane w porządku, wcale liczne; treść niezmiernie ciekawa, nietylko do dziejów zakonu, ale i do historyi obyczajów w ogóle; na każdym niemal kroku zwraca uwagę jakiś szczegół, zadziwia, zaciekawia. Bo też niełatwo znaleść, gdzie wszystko „tak, jak na spowiedzi“, jak w takiej plice zakonnego archiwum. Wizyty były surowe, a lada drobiazg, zaraz cała stronnica dyktatu; a zakonnice pomne, „że najsprawiedliwszy siedm razy na dzień upada“, jakby się siliły i ubiegały na wyścigi o dostarczenie materyału wizytatorowi. Na człowieku świeckim robi to wrażenie szczególne. Trzeba być zakonnikiem, trzeba się przejąć duchem ascetycznym, trzeba przedewszystkiem znać dokładnie regułę św. Teresy, tej najwznioślejszej przedstawicielki mistycyzmu, ażeby zrozumieć te dwie pliki zatytułowane: *Przepisy Generałów zakonu Karmelitów Bosych i Wikaryuszów Generalnych* i *Rozporządzenia i ustanowienia, głównie Wizytatorów Generalnych, dotyczące się urządzeń klasztornych u Karmelitanek Bosych;* a jeszcze trudniej zrozumieć plik p. t.: *Pobożne postanowienia przy odnawianiu ślubów t. z. Certamina Karmelitanek Bosych.*

Z tych trzech plik nie przytaczamy niczego, a to z dwóch powodów: drukowanie dosłownych wyjątków uważamy wręcz za niestosowne, bo jeżeli gdzie, to tu, ustęp wyjęty z całości, oddzielony od swego kontekstu, mógłby wprowadzić czytelnika w nieporozumienie; drukować zaś w całości niema powodu ani dostatecznej racyi naukowej. Nadto zaś wzgląd drugi: rzeczy te powstały w zakonie tj. tam, dokąd schroniły się serca niewieście umyślnie w tym celu, ażeby pozostać same ze swem sumieniem i z Bogiem. Wyciągać przed forum publiczne teraz spowiedź formalną jakiej Siostry, zdało się nam czemś podobnem do wyciągnięcia ciała nieboszczyka z trumny, w której już dwa wieki spoczywał, celem powłóczenia go po ulicach. Co sumienia dotyczy, niech to Bóg

sam roztrząsa, a my uszanujmy i w archiwum klauzurę zakonną. Jeden tylko byłby sposób dozwolony skorzystania z tych plików: przestudyować należycie wszystko, i dać czytelnikowi sumienny obraz życia zakonnic św. Teresy w Polsce w wieku XVII i XVIII w ten sposób, ażeby uchwyciwszy ideę samą i pilnując sedna sprawy, nie potrzebować tykać osób i wchodzić w sanctuarium sumienia jednostki. Ale na to trzebaby osobnego studyum.

O ile z aktów, dochowanych na Czerny, sądzić można, na fundowanie konwentu wileńskiego złożyły się w równej części dwa stany: szlachecki — i mieszczański, patrycyuszowski ród wileński Majmoniczów — i karmazynowy Paców. Majmonicze dali kilka kamienic dla powstać dopiero mającego konwentu — Pacowie dali gotówkę i wzięli na się starania o sprowadzenie zakonnic do Wilna; im łatwiej było załatwić tę sprawę, niż mieszczanom, chociażby patrycyuszom. Sprawę fundowania zakonu poruszono w r. 1635; dochował się z tego roku list Stefana Paca, wojewody trockiego, o introdukcyi zakonnic do Wilna i staraniach o pozwolenie papieskie. Pac zwrócił się do króla o poparcie, a Władysław IV pisał w tej materyi 29 kwietnia 1636 r. do kardynała Franciszka Barberini'ego o wstawienie się u Urbana VIII i wyjednanie pozwolenia, potrzebnego do sprowadzenia Karmelitanek Bosych do Wilna. Z tego listu Władysława IV mamy na Czerny kopię, bardzo pięknie kaligrafowaną, i nadto polski przekład. Z r. 1637 jest list biskupa wileńskiego, Abrahama Wojny, w sprawie fundacyi nowego konwentu. Nareszcie 19 września 1637 r. wydał Urban VIII „licencyę na fundowanie we Wilnie klasztoru Panien Karmelitanek Bosych"; jestto breve erekcyjne, pisane na pergaminie, wybornie zachowane, z pieczęcią, jak zwykle, w puszce blaszanej. Na dołączonym polskim tekscie objaśniono, że breve wydano „z akceptacyą i dozwoleniem dyecezalnego wileńskiego biskupa, Abrahama Wojny"; rozumieć to należy oczywiście w ten sposób, że papież przed wydaniem pozwolenia wysłuchał opinii biskupa.

Jak już nadmieniono, nowy konwent miał miejsce dla siebie już przygotowane. Majmoniczowie, patrycyusze wileńscy, zapisali Siostrom Bosym kilka kamienic przy ulicy Końskiej; z tych główne dwie zwały się: Majmoniczowska i Borysowiczowska. Fundacyę tę zatwierdził Władysław IV przywilejem z tegoż jeszcze r. 1637, — i to stanowiło punkt wyjścia dla nowego konwentu. Jest na Czerny kilka dokumentów, odnoszących się do rodziny Majmoniczów, z lat przed założeniem konwentu, 1570 — 1611.

Same domy dawały zapewne jakieś dochody; Siostrom na pomieszczenie mogła z początku wystarczyć jedna kamienica. Pamiętała zresztą o ich potrzebach Pacowa, podkanclerzyna W. Ks. Litewskiego; zaraz po założeniu konwentu, zobowiązała się wypłacać po 1000 złotych rocznie przez całe swe życie, a po swej śmierci zapewniła zakonnicom znaczną kwotę, bo 500 grzywien. Zapis ten wniesiono w r. 1638 do kancelaryi królewskiej, i dochował się odnośny dokument Władysława IV z małą pieczęcią. Inna matrona z rodu Paców, umierając w r. 1644, zapisała Siostrom 12.000 złotych, z tego 10.000 „na klasztor“, a 2000 „na budynek klasztoru“. Spełniając ostatnią wolę matki, syn jej, Krzysztof Pac, starosta wołkowiski, dworzanin JKMości pokojowy, stwierdza 24 marca 1644 r. należność tej sumy, wypłaca gotówką 4000, a resztę tj. 8000 na dobrach swych prawem wyderkafowem oneruje. W dziesięć lat później, w r. 1654 znów tamten Pac, Stefan, wojewoda trocki, stwierdza pewne należności na rzecz klasztoru. Rodzina ta świadczyła tedy ciągle łaski konwentowi; niedziw, że w ważnej sprawie do Paców zakonnice się udawały. To też gdy w r. 1665 potrzeba było Siostrom powołać się na testament Albrechta Władysława Radziwiłła, kasztelana wileńskiego, którego córkę miały w swem gronie, oblatują Karmelitanki ten testament za pośrednictwem Krzysztofa Paca.

O założeniu i początkowem wyposażeniu konwentu można się tedy jako tako poinformować ze szczątków jego archiwum. Ale żadną miarą nie da się z tych papierów ułożyć, choćby nawet najprościejszy, kontur jego dalszych dziejów;

wątek przerywa się ciągle i okazują się znaczne luki. Z XVII w. nie wpadł nam już w ręce żaden zapis w właściwem tego słowa znaczeniu [1]: nie możemy wprawdzie zaręczyż, czy absolutnie żaden się nie dochował i żadnego, ani jednego na Czerny niema, prócz już wymienionych, bośmy tam bawili tylko dwa razy po kilka godzin, i tylko bardzo pobieżnie z materyałem obznajamiać się mogliśmy, — ale bądź co bądź, z XVII wieku jest on nader szczupły co do zapisów. Donośnym wypadkiem dla konwentu było wstąpienie do zakonu księżniczki Kolumby Radziwiłłównej w roku 1653. Nadeszły nieszczęśliwe czasy Jana Kazimierza; klasztor na wojnach bardzo ucierpiał, co też znalazło wyraz w jednym z dokumentów Jana Kazimierza z roku 1662, gdzie król wyraża się: „mając wzgląd na tychże Panien, Bogu poświęconych, *egestatis et ruinae*, które przez nieprzyjaciela koronnego cierpią". Podejrzany też bardzo jest „rachunek o konie u Karmelitów i Karmelitanek 1655 — 1658!"

Z tych smutnych czasów pochodzi dar Mikołaja Słupskiego, pochodzącego z Wielkopolski: był on atoli raczej wyposażeniem siostry, która wstąpiła do Karmelitanek. Tranzakcyj pomiędzy braćmi Słupskimi dochowało się tu kilka. Zapis Mikołaja, wyjęty z aktów grodzkich poznańskich, na rzecz brata Michała, wynosi 11.000 florenów z prowizyą.

Drugi Słupski siedział w Warszawie; i u tego brata miał Mikołaj jakieś pretensye, co do których porozumieli się raz w r. 1655 i znów w r. 1661. Mikołaj zaś był proboszczem kowieńskim (1655), następnie kanonikiem i kustoszem wileńskim i sekretarzem królewskim, a wszystkie swe pretensye przelał na Karmelitanki wileńskie, jak stwierdza wypis „z ksiąg ziemskich spraw wieczystych Województwa wileńskiego", i drugi

[1] W r. 1665 Jan Stanisław Korysiński, starościc gniewkowski, pisze o jakiejś tranzakcyi majątkowej z zakonnicami (donosząc zarazem o zerwaniu sejmu), nie można atoli dojść z listu, o co chodzi; osoby, do których pisał, domyślały się treści sprawy, widocznie tedy nie pierwszy raz była o tem mowa: my dziś, nie mając innych listów, niczego domyślać się nie możemy, ani też powiedzieć, czy tranzakcya doszła do skutku.

z grodu warszawskiego, zkąd kopie „zapisów wlewkowych“ ks. Mikołaja wydać sobie kazano.

Z zapisów, pochodzących z w. XVIII, ważniejszemi są:

1) Kwitacya Józefa Franciszka Nieściuszki, bujnickiego podczaszego, majątku Hubina w powiecie Oszmiańskim dla Karmelitanek Bosych dnia 10 czerwca 1706 r. (fol. 2).

2) Ceduła, dana Karm. B. od Kossadowskiego co do wsi Wesołowy dnia 23 lipca 1713 r. (fol. 2).

3) Ceduła dla K. B. Maryi Anieli z Dąbrowskich Oziębłowskiej z r. 1713 (fol. 2).

W latach 1717—1720 księża Dąbrowscy, siostrę rodzoną mający w klasztorze, drobne sumki wypożyczone przekazują klasztorowi. Świadczą o ofiarności jednego ks. Dąbrowskiego, audytora sądu biskupiego wileńskiego:

1) List na przyznanie obligu od wielmożnej pani sędziny ziemskiej Wiłkomirskiej, na talerów bitych 210, służącego Imci księdzu Dąbrowskiemu z dnia 10 czerwca 1717 r. (fol. 2).

2) Oblig od WP. sędziny ziemskiej Wiłkomirskiej, na talerów bitych 210, służący Imci księdzu Dąbrowskiemu. Termin oddania na św. Marcin 1717 r. (fol. 2).

3) List na przyznanie obligacyi od Imci pana Mietelskiego na złt. 500, księdzu Dąbrowskiemu, audytorowi sądu biskupiego wileńskiego z 1719 r. (fol. 2).

4) Oblig od pana Mietelskiego na złt. 500 i t. d. Termin oddania 1720 r.

Drugi z braci, ks. Jan Dąbrowski, kanonik smoleński, wydaje, na rzecz siostry swej w zakonie, zapis wlewkowy na jakąś pretensyę 500 złt. dnia 23 kwietnia 1719 r. Na dokumencie tym figuruje też trzeci brat, Maryan Dąbrowski, jako świadek.

Głównem źródłem pomnażania się dobytku klasztornego były posagi córek możnych rodzin, wstępujących do zakonu. Nawet dwoma księżniczkami, które w ciszy zakonnej żywot swój spędziły, może się klasztor poszczycić tj. ks. Konstancyą Zofią Radziwiłłówną, w zakonie siostrą Kolumbą od Wniebowzięcia, i ks. Heleną Sanguszkówną, po zakonnemu siostrą Eu-

frozyną od św. Kazimierza. Pierwsza zrobiła śluby zakonne 21 sierpnia 1654 r., druga w następnym roku 13 stycznia.

Przed ślubem robiły nowicyuszki, jako umierające dla świata, testament, zapisując to mniejsze, to większe sumki ze swego posagu dla osób sobie bliskich, jak: krewnych, panien służących, znajomych it. p. Zapis taki wydawały atoli dopiero po odbyciu próby nowicyatu, kiedy już miały składać uroczyste, nieodwołalne, dożywotnie śluby, t. zw. profesyą zakonną. Świadczy o tem następujący „excerpt oświadczenia", wyjęty już w r. 1780 z aktów trybunału głównego W. Ks. Litewskiego.

„Roku 1780 mca Octobra dwudziestego pierwszego dnia, na świecie Teresa Autorowiczowna, skarbnikówna województwa trockiego, a w zakonie Konstancya od Zwiastowania N. M. P., Karmelitanka Bosa konwentu wileńskiego, chcąca przyznać p o o d p r a w i e p r ó b y, a przystępując do posesyi [1], wieczysto zrzeczny zapis z sumy wnioskowej posagowej, w Bogu najprzewielebniejszej JM. Pannie Franciszce od św. Kazimierza, Przeoryszy i wszystkim Wielebnym Pannom Karmelitankom Bosym konwentu wileńskiego, gdy sama osobą swoją, z przepisu zakonności, u sądu stawić się nie może, przeto prosi u Najjaśniejszego Trybunału Głównego W. Ks. Lit. compositi iudicii wyznaczenia delegatów do wysłuchania przyznania wymienionego dokumentu w klasztorze przy kościele św. Józefa sytuowanym". (Podpisany „Leonard Eydziatowicz, pisarz trybunału compositi iudicii").

W obecności tedy delegatów trybunału należało takie zapisy czynić, które też wpisywano do aktów trybunalskich. Że praktyka taka istniała nie dopiero z końcem XVIII, ale już w pierwszej połowie XVII w., świadczy dochowany zapis jednej z zakonnic z r. 1637 (a więc w pierwszym roku istnienia zakonu), uczyniony właśnie przed trybunałem w Wilnie; na akcie tym są podpisy deputatów trybunalskich wszystkich województw litewskich.

[1] Sic — widoczna pomyłka pisarza, czyniącego ten „excerpt", zamiast „profesyi".

Testamentów takich znaleźliśmy kilkanaście. Najciekawsze z nich oczywiście wspomnianych książęcych cór. Bo też nie mały wnosiły one posag: tak ks. Radziwiłłówna wnosi 58.000 złt. posagu; nie mniejszy zapewne otrzymała posag jej towarzyszka ks. Halszka, jak o tem świadczy: „kwit na odebrane pieniądze 20.725 złt. ze spadku po ks. Halszce i Kolumbie, zakonnicy Radziwiłłownie r. 1667 dnia 5 czerwca".

Nie mogąc jednym ciągiem opowiadać historyi konwentu, wejdźmy odrazu w sam środek archiwum, i przypatrzmy się, co się tam znajdzie. Jak z ruin szczątki, tak my zbierajmy epizody przynajmniej.

Najstarsze z aktów wyprzedzają nieco datę założenia konwentu, potrzebne mu następnie do wykazania się z tytułu pewnej posiadłości. Mówiliśmy już, że z rodzinnych papierów Majmoniczów zachowały się dokumenta od r. 1570; następnie wiekiem najstarszy jest akt podziału wsi Pilwiszek z r. 1602. Na trzeciem miejscu kwitancya jakaś Zimockiego z r. 1616; z następnego roku skrypty na depozyty, długi i t. p. Krzysztofa Zimockiego, Krzysztofa Malinowskiego, Wojciecha Bielańskiego i Dłuskiego. Następują dwa testamenty: Stanisława Andrzejewicza Łoszeta, ziemianina powiatu Oszmiańskiego z r. 1619 i Macieja Wesołowskiego z r. 1630; ten ostatni bliski już swą datą założenia klasztoru wileńskiego.

Jeżeli zapisy na rzecz klasztoru świadczą o wielkiej ofiarności naszego społeczeństwa dla Kościoła, to z drugiej strony nie mniej liczne pozwy, dekreta, kompromisy, obwieszczenia i t. d. o pieniactwie naszej szlachty, która i klasztorów się czepia i do procesów je zmusza, która nawet w szacie zakonnej swej przywary się pozbyć nie umie, jak o tem długoletni spór między właśnie naszemi Karmelitankami, a księżmi Augustyanami konwentu michalskiego świadczy. Brak dokładnych granic — to główny powód do procesów, jakie Karmelitanki wileńskie w XVIII w. prowadzić są zmuszone. W sprawie posiadłości ich klasztoru 1705 r. 15 maja otrzymuje Dominik Szaniawski pozew na Trybunał. Kilka lat później Lubartowie, chłopi

z majątku karmelickiego Oleszyce, w sąsiedniej puszczy pana Gedaczewskiego, cześnika trockiego, 70 sosen wycięli; — ztąd proces zakończony kompromisem. Do tego zajścia trzy dokumenta się odnoszą:

1) Kwitacya, od Imci pana Gedaczewskiego PP. Karmelitankom Bosym konwentu wileńskiego dana, occasione Lubartów, chłopów oleszyckich o szkodzie puszczy.

2) Przysięga Lubartów, że tylko 70 sosen panu Gedaczewskiemu wycięli z r. 1718 dnia 7 stycznia.

3) Dekret kompromisalny, należący Imci panu Gedaczewskiemu, cześnikowi trockiemu od Wielebnych w Bogu Karmelitanek Bosych konwentu wileńskiego".

Procesować się musiał konwent nawet z magnatami. Z r. 1729 mamy pozew w sprawie z Morsztynową, wojewodziną sandomierską i Czartoryskim, podkanclerzym W. Ks. Lit. (pisał Władysław Jodko, jenerał, którego pismo charakterystyczne często się w papierach wileńskich spotyka). Obfity w procesa był mianowicie dla Karmelitanek piąty dziesiątek lat XVIII w. Toczą spór z Żabą, wojewodą mińskim, z którejto sprawy zachowała się Deklaracya Trybunału Skarbowego i Dekret contumacyjny z r. 1742; mają jakąś sprawę z księdzem Markiewiczem (Dekret komisyjny z dnia 9 lutego 1749 r.); prowadzą kilkoletni (1743—1746) proces, już wspomniany, z XX. Augustyanami o rozgraniczenie dóbr, do czego się cały plik dokumentów odnosi:

1) Dekret kompromisalny między Karmelitankami B. a XX Augustyanami, dnia 13 maja 1743 r. zapadły.

2) Obwieszczenie w tej sprawie.

3) Suplement w tej sprawie.

4) Wypisy z akt grodzkich wileńskich, tyczące sprawy Karmelitanek B. i Augustyanów michalskich.

5) Dekret ostateczny w sporze między Karmelitankami B. a Augustyanami michalskimi z r. 1746.

Wypisy z ksiąg grodzkich województwa wileńskiego z lat: 1714, 1719, 1725, 1746 1749, 1750, 1765, dalej pozwy liczne między r. 1749 a 1818 mówią wymownie o tych walkach są-

dowych, jakie klasztor nasz staczał ze społeczeństwem, dla którego pieniactwo było *sui generis* sportem.

Ciekawą byłaby może dla prawnika sprawa z Adryanem Józefem Orzechowińskim, ziemianinem województwa połockiego, który pożyczywszy w klasztorze 2000 złt., i zapisawszy je na swych dobrach prawem wyderkafowem, nie chciał następnie długu zwrócić. Sprawa zdaje się być zawiłą, i niesposób należycie jej wyłuszczyć, nie będąc prawnikiem. Skrypt dłużny ma datę 19 czerwca 1691 r. W r. 1693 uzyskano na dłużnika dekret w trybunale mińskim i drugi w r. 1694; nadto z roku 1694 jest banicya na Orzechowińskiego, uzyskana przez Karmelitanki, na której mała pieczęć królewska i podpisano: „Jan tretij, Boż. miłostiju korol polski" etc. (cały akt po rusku). Z tegoż samego roku jest drugi dekret banicyjny na Orzechowińskiego, w formie listu króla Sobieskiego, z podpisem Dominika Radziwiłła, wielkiego kanclerza. Ale oto w r. 1695, pomimo banicyi, wydanej w roku poprzednim, sprawa ciągnie się dalej przed sądem zadwornym asesorskim; mamy pozew, „doręczony w duplikacie" zakonnicom, z zapiską jenerała *in dorso*. Tam pozwany Orzechowiński nie stawił się; sąd nakazuje egzekucyę „na sumach jego majątku w województwie połockiem". Data wyraźna 1695 „panowania naszego 21"; podpisani Radziwiłł kanclerz i Romanowicz, pisarz dworny. Jest też „oznajmienie" w tej sprawie, dane konwentowi przez jenerała wileńskiego, Jana Jagwiłowicza, nadto dwa polskie akty, jeden datowany w Wilnie a drugi w Warszawie, a nareszcie tegoż 1695 r. druga banicya na tegoż Adryana Orzechowińskiego, pisana po rusku. Nie będąc prawnikami, sądziliśmy, że najlepiej nie próbować nawet żadnych tłómaczeń, tylko ciekawy stan i kolej dokumentów poprostu skonstatować. Krótkość czasu nie pozwoliła wglądnąć bliżej w sprawę; być może, że niezapłacenie długu było tylko jednym jej epizodem.

Arcyciekawym jest luźny akt, którego związku ze sprawami konwentu dojść nie zdołaliśmy, niedatowany, zatytułowany:

„Puncta do IM. Panow Niecieskich, pogwałconym nay-

ściem na kramę y o zabicie nieboszczyka Jakuba Podymnikowicza". (Podymnikowicz miał kram na gruncie klasztornym, gdzie JM. Panowie Nieciescy zrobili burdę). Przytoczmy tych sześć punktów:

1. Za głowę zabitego podług rozdziału drugiego artykułu pierwszego sowito.

2. Za gwałt najechania na miasteczko Głębokie[1] a potem najście na kramę nieboszczyka zabitego winy fl. 50.

3. Szkoda podczas tego mężobójstwa w kramie *stałych z mariąską* podług rozdziału drugiego artykułu pierwszego fl. 2800.

4. Za presentatią na urzędzie grodzkim Oszmiańskim ciała zabitego, protestatię y decret na roczkach inionych[2] w Oszmianie otrzymano fl. 80.

5. Za tak niezbożny uczynek przed kościołem Wielebnych Ojców Bosych, w mieście Głębokiem będących, podczas pewnych festynów z pistoletem y dobytą szablą przez trzy msze stać, wyznawając swój występek.

6. Wielebnych Ojców Bosych, osobliwie Wielebnego Ojca Przeora y Wielebnego Ojca Prokuratora, jako opiekona majętności Wielebnych Ich M. Panien Karmelitanek Bosych publice przeprosić; toż uczynić y samym Wielebnym Dobrodziejkom. a potem pozostałej żonie y krewnym zabitego.

Niedatowany ten papier pochodzi niewątpliwie z wieku XVIII, kiedy to za króla Sasa, wołało się: „jedz, pij i popuszczaj pasa", a piło się tyle, że dobyć pałasza bez przyczyny, i zabić człowieka po pijanemu było rzeczą dość zwykłą, choćby nawet przed domem Bożym podczas nabożeństwa. Niestety, jak wiadomo i z tych „punktów" widać, kto miał pieniądze i mógł zapłacić „winę", miał prawo zabijania mieszczuchów; taki system karania w praktyce na to bowiem wychodził. Ale czyż tylko u nas tak było, czy gdzieindziej może jeszcze gorzej?

[1] W sąsiedztwie był tam konwent Karmelitanek: akt ten jest może cedułą listu, pisanego z Głębokiego do Wilna.

[2] Może iuniowych = czerwcowych.

Przytoczymy dosłownie jeszcze jeden list z r. 1750; takie świstki niepozorne mają tę wartość, że nas wprowadzają od razu *in medias res* stosunków danego społeczeństwa, i nie wymagając komentarzy, pouczają lepiej od długich wywodów. Odczytajmyż sobie ten oto list:

„Wielmożny IMości! Sędzio grodzki Bracławski, mnie wielce Mości Dobrodzieju!

Za dekretem w grodzie województwa Wileńskiego, przez w Bogu Przewielebne Ich M. Panny Karmelitanki Bose konwentu Wileńskiego na I. M. Xiędza Markiewicza, kanonika Smoleńskiego, proboszcza Oszmiańskiego podstępnie otrzymanym, zjachałeś Wny Pan Dobrodziej *pro executione* do dóbr, nazwanych Rubienka, w województwie Wileńskiem sytuowanych, w possessyi moiey zostających; o którym dekrecie otrzymanym jakem nie wiedział, tak tę cedułę podając upraszam W. W. M. Pana Dobr. przyjąć y spokoynego (nieczyniąc żadnego *prejuditium* tym dobrom) odjachania. O co y powtórnie upraszając, zostaję W. W. M. Pana Dobr. nayniższym sługą

Michał Werakowski.

W Rubienku 1750 Mca Maia 9. dnia".

Na odwrotnej stronie tego listu napisano, co następuje:

„Roku 1750. mca Maia 9-go dnia. Za dekretem grodzkim województwa Wileńskiego *ex instancia* w Bogu Przewielebnych IM. Panien Karmelitanek Bosych konwentu Wileńskiego na IM. X. Andrzeja Markiewicza, proboszcza Oszmańskiego, kanonika Smoleńskiego, tudzież IM. pana Michała Werakowskiego, gdym zjechał do majętności Rubienka *ad fundum*, natenczas IM. Michał Werakowski, tenutor tych dóbr, stanąwszy przy zatarasowanych wrotach, takową stronnicę ceduły na piśmie podał, którą akceptowawszy *cum toto rei effectu*, *ad forum competens* odesłałem. Nikodem Gieczewicz, Podstoli Woj. Wileńskiego, Sędzia grodzki powiatu Bracławskiego".

Te trzy przykłady niech posłużą na dowód, ile ciekawych rzeczy do historyi sądownictwa i obyczajów znaleśćby można na Czerny; takie małe archiwum, stojące na pograniczu publicznego a prywatnego, najbardziej właśnie nadaje się do

studyów z dziedziny zwyczajów i obyczajów współczesnych, w życiu publicznem i prywatnem jednostki. Procesy zwłaszcza mają dar odsłaniania społeczeństwa — że się tak wyrażę. — w przekroju, — *sit venia dicto.*

Ale zwróćmy się w inną stronę, odejdźmy od tej Temidy XVIII w., która miała wprawdzie wagę, ale pozbyła się miecza, aż skutkiem tego i waga szwankować poczęła. Wszak znajdą się w tych resztkach archiwum Karmelitanek wileńskich przyjemniejsze do czytania rzeczy, a niemniej ciekawe.

Oto mamy przed sobą rejestr garderoby szlachcianki polskiej z połowy lepszego, bo XVII wieku. Może miała córkę w zakonie, która po niej dziedziczyć miała, i ztąd znalazł się u Panien Bosych

Reiestr scomputowany rożnego ochędostwu y rzeczy po nieboscc Im. Pani Halsce Łękawskiej 1655.

Ileż tu nieznanych dzisiaj całkiem wyrażeń! Chyba słownik Lindego zdoła nas oprowadzić po tym labiryncie ubiorów, ubiorków i materyj! Nie przepisywaliśmy całego rejestru od początku do końca, ale wynotowaliśmy tylko, co godniejsze uwagi.

Materye, z których były suknie: czarny i wzorzysty tabin, fursztat, aksamit, adamaszek, atłas wzorzysty. „Palendra czarna nowa, z tabinu wzorzystego, s potrzebami iedwabnemi, rysiami podszyta". — Armentel, soboli i złota w całym rejestrze pełno, n. p. „rękawek złotem y srebrem przeszywany, gronostajami obszyty" — „rękawiczki z iedwabną frędzlą". — Następuje rejestr „zawicia", z którego najważniejsze: „bawełnica złotem aftowana, bawełnica pod brodę ze złotym pasamanem, w około wstęga do opasania złotem przetykana, druga do opasowania takoważ. Faworów na pasamanie przetykanych złotem, takteż i czarney jedwabney Fetoci, mankietów ząbkowych szytych y s korunkami para. Iedwabnica czarna s korunkami: szlarka iedwabniczna s korunkami wielkiemi czarnemi". Łańcuszek złoty, kolców sto ośmdziesiąt pięć, pierścieni trzy. Nareszcie „pieniędzy złotych 950 za rekognitią u JM. Pana Iozefpha Piotrowicza, woyta wileńskiego".

Zwracając się znów do papierów odmiennej treści, znajdujemy różne rachunki, jak np. „rachunek o konie 1655—1658 roku u Karmelitów i Karmelitanek“, rozmaite umowy, ugody, i t. p. Ciekawą jest klauzula na jednej „z transakcyj przedażnych“.

Małżonkowie Dukleszowie sprzedają „puszczę“ swego dworku Punżańskiego dworzaninowi królewskiemu Stanisławowi Dziewiałtoskiemu, „a ieśliby ktokolwiek z bliskich naszych (tj. krewnych) miał wstępować w tę puszczy ziemię, ten ma zapłacić winy Krolowi Iegomości Piędziesiąt kop groszy litewskich, a Panu Stanisławowi sowito zapłacić, to iest Sto kop groszy“ — „y wszystkie szkody, *co on słowem swoim rzecze, krom dowodu y przysięgi*“.

(Dok. nast.).

Dr. F. Koneczny i *Dr. K. Krotoski.*

POLACY W ANGLII.

II.

Pierwszem i z wieku i z urzędu i ze znaczenia jest „Towarzystwo literackie“, złożone w zasadzie z „przyjaciół Polski“, Anglików, ale do którego w rzeczywistości, w ostatnich zwłaszcza czasach, należą przeważnie, a bardzo przeważnie o losy i interesa jego się troszczą, zamieszkali w Londynie Polacy. „Towarzystwo“ ma za sobą przeszło półwiekową, zawsze piękną, na początkowych kartach nawet świetną historyę. Założył je[1] w r. 1832 słynny poeta Tomasz Campbell, o którego więcej niż przyjaźni dla Polski i Polaków dać mogą wyobrażenie wiersze, umieszczone w poemacie *Rozkosze nadziei:*

Niech grom we mnie uderzy — i żywota zdroje
Niech ze zbytku radości we mnie bić przestaną
W dniu, który znów dla Polski zabłyśnie wygraną!

Głównym celem „Towarzystwa“ miało być — jak mówił pierwszy artykuł regulaminu — podejmowanie starań przez rozszerzanie potrzebnych wiadomości ku ciągłemu utrzymywaniu

[1] Por. *Przegląd Poznański* z r. 1848. Tom VII, artykuł: „Polityka Anglii w czasie ostatnich wypadków w Poznańskiem“, pochodzący niewątpliwie z pod pióra, znającego Anglię, jak bodaj kto drugi z Polaków, starszego Stanisława Koźmiana. Następne szczegóły o założeniu i pierwszej epoce „Towarzystwa“, oparte są przeważnie na tym i na następnych artykułach, w *Przeglądzie Poznańskim* umieszczonych.

żywej sympatyi dla sprawy polskiej; nazwano je zaś „literackiem“, ponieważ zajmować się miało nie politycznemi sprzysiężeniami, lecz obznajamianiem Anglików z historyą, literaturą, potrzebami i nieszczęściami Polski. Na wezwanie Campbella zapisało się odrazu w szeregi „Towarzystwa“ stu kilkudziesięciu najznakomitszych angielskich magnatów, artystów, literatów. Za przykładem stolicy utworzyły się niebawem podobne stowarzyszenia w Birmingham, Warwich, Hull, w Glasgowie, Edynburgu. Członkowie z Hull wydawać zaczęli peryodyczne czasopismo *The Hull Polish Record;* członkowie londyńscy pismo *Polonia.* W r. 1834, gdy Campbell zmuszony chorobą ustąpić musiał z krzesła prezesa, miejsce jego zajął jeden z najbogatszych członków parlamentu, lord Tomasz Wentworth Beaumont, który przez lat dziesięć wydawał kosztem swym kwartalnik *The British and Foreign Review*, głównie sprawę polską mający na oku.

Właściwym jednak przewódcą, a raczej — jak dosadnie a prawdziwie się wyrażono, — „całem niemal towarzystwem w jednej osobie“, był od tego już czasu lord Dudley Coutts Stuart, noszący przez długie lata skromny tytuł jednego z czterech wiceprezesów, a w r. 1848, po śmierci Beaumonta, wybrany prezesem. Gorętszego, czynniejszego przyjaciela Polaków, opiekuna polskiej emigracyi, znaleść nie można było; bronił on niejednokrotnie naszej sprawy w parlamencie; protestował przeciw bombardacyi Krakowa i poznańskim rzeziom; ułatwiał Polakom wyjazd do Ameryki, gdzie łatwiej niż w Anglii na kawałek chleba mogli sobie zarobić; napierał u rządu i wyrabiał rok rocznie znaczne wsparcie dla polskich wychodźców. Nie brakło mu przeciwników; zarzucano mu, że nie powinien cudzoziemcami się zajmować, gdy tylu Anglików z głodu umiera:[1] — ale ten prawdziwie, a nie z tytułu tylko szlachetny lord, nigdy i niczem zrazić się nie dał od wypełniania — jak pięknie o nim się wyraził słynny angielski poeta i histo-

[1] List Lorda Dudleya do ks. Wład. Czartoryskiego pod datą 8 czerwca 1850 (*Przegl. Pozn.* t. X, str. 779).

ryk Walter, Landor — „dobrowolnie przyjętego na siebie urzędu obrońcy nieszczęśliwych i uciśnionych“. W r. 1853 lord Dudley wyjechał do Turcyi, by przekonać się, czy i o ile da się wyciągnąć jaką korzyść dla Polaków z gromadzącej się na Wschodzie burzy; a we wrześniu roku następnego, znowu głównie w interesie Polski wybrał się do Szwecyi. Tutaj w Sztokholmie zabrała go śmierć 17 października 1854, śmierć, która dla Polaków w ogóle, — jak współczesne pisma, i polskie i zagraniczne jednomyślnie podniosły — ale w szczególności dla biednych Polaków w Angli, była „klęską publiczną“ [1].

Ze śmiercią lorda Dudleya, kończy się na długo — bo powiedzieć nie chcemy: niepowrotnie, — świetny okres historyi „Towarzystwa literackiego“. Jeśli jeszcze za życia tego naszego wiernego przyjaciela topnieć zaczęły sympatye, a wespół z sympatyami hojność Anglików, — to gdy go nie stało, sympatye, a bardziej jeszcze i szybciej hojność, schodziły do bardzo drobnych, coraz drobniejszych rozmiarów. Następcy Dudleya w prezesowskiej godności: szambelan królowej, lord Breadelban, margrabia admirał Fownhend, lordowie: Ilchester, Kinnaird, Houghton, Lytton, choć brali na seryo przyjęty obowiązek, to innemi zajęciami i urzędami obciążeni, faktycznie mało mu czasu mogli poświęcić. W ten sposób rzeczywistymi zarządcami Towarzystwa byli sekretarze - Polacy:

[1] Por. *Przegląd Poznański*, t. XX, str. 335 np.; t. XXII, str. 455 np. Lord Dudley wziął w opiekę w ostatnich latach życia rewolucyonistów węgierskich i włoskich, i odzywał się wielokrotnie przeciw Ojcu św. Rzuca to cień na jego życie, na przekonania, na pobudki, dla których Polakami się zaopiekował: nie można jednak zapominać, że był on nie katolikiem, lecz protestantem i angielskim „radykałem“, który bodaj czy sobie z europejskiego radykalizmu zdawał dostateczną sprawę, — a zarazem szwagrem głośnego wichrzyciela, księcia Canino (Lucyana Bonapartego). Bądźcobądź dla Polaków robił i zrobił, najzupełniej bezinteresownie, bardzo dużo dobrego, i za to pamięć i wdzięczność mu się od nas należy. W archiwum londyńskiego „Towarzystwa literackiego Przyjaciół Polski“ znajduje się z pewnością obfity materyał do skreślenia obszerniejszego życiorysu tego naszego przyjaciela; gdyby który z Polaków bawiących w Londynie chciał tej pracy się podjąć, wystawiłby Dudleyowi Stuartowi należący mu się dawno od nas, a najodpowiedniejszy pomnik.

Major Karol Szulczewski[1], Jan Józef Baranowski, Edmund Naganowski od r. 1886, a od roku zeszłego, urodzony w Szkocyi, z matki Szkotki, i ztąd nieznający niestety! polskiego języka, ale duszą i sercem Polak, B. J. Jazdowski, były lekarz brygady w armii angielskiej.

Z chwilą, w której P. Naganowski objął pióro, a z piórem, nie złote, co prawda, berło, w salach zajmowanych przez „Towarzystwo", — „spało ono snem iście śmiertelnym": [2] było bez zarządu, bez członków, bez środków; składało się poprostu z biurowego pisarza, i z jednego bardzo gorliwego, lecz już steranego wiekiem i chorobą „przyjaciela". Sekretarz wziął się z zapałem polskim, a z angielską wytrwałością do wlania nowego życia w obumierającą instytucyę. Dzięki w znacznej, jeżeli nie w wyłącznej części jego staraniom, powstał jeszcze w tymże roku 1886 w łonie „Towarzystwa" osobny komitet damski, na którego czele stanęła słynna z dobroczynności lady Burdelt-Coutts. Energiczny sekretarz nie zraził się nawet, gdy jakiś zamożny rodak, który dotąd „Towarzystwo" funduszami swymi wspierał, przybył w chwili zniechęcenia, czy kaprysu do Londynu, aby „Towarzystwu kres położyć". W marcu 1888 r. musiało „Towarzystwo" opuścić dawniej zajmowany lokal, i przenieść się do małego, skromnego mieszkania, by tak oszczędzić nieco pieniędzy dla pokrycia dość znacznego niedoboru, dla przyjścia w pomoc cisnącym się o wsparcie, zwłaszcza z Prus wyrzuconym wygnańcom. Reformę finansową „Towarzystwa" zaczęto bardzo słusznie od oszczędności, ale na samych oszczędnościach nie można było naturalnie poprzestać. Po licznych debatach, wahaniach, zdecydowano się wznowić po wielu latach przerwy, publiczny bal polski. Przedsiewzięcie to było tem śmielsze i ryzykowniejsze, że dawne bale polskie,

[1] Umarł w sędziwym wieku w r. 1884. Lord Dudley Stuart oddał w jednej ze swoich mów na uroczystem posiedzeniu Towarzystwa wielkie pochwały jego energii i zapobiegliwości. Był bez wątpienia dobrym, kochającym ojczyznę Polakiem, a przecież... ożeniony z Angielką, zostawił dwoje dzieci: syna i córkę, nieumiejących po polsku. (Por. *Przegl. Pozn.* t. VII, str. 234; *Kraj* z r. 1886 nr. 7).

[2] *Kraj* z 12 (24) sierpnia 1888.

urządzane w pierwszych latach istnienia „Towarzystwa“, w czasie głośnych, powszechnych, modą niemal nakazanych sympatyj dla Polaków, zostawiły po sobie nader świetną tradycyę, — sprowadzały do błyszczących polskimi sztandarami sal westminsterskiego ratusza książąt krwi, całe tłumy najpierwszych angielskich magnatów i dostojników, niekończącą się procesyę pań, przybranych w polskie kolory, w białe orzełki, — stawały się przedmiotem entuzyastycznych pochwał angielskiej prasy, zjadliwych pocisków ze strony szkalującego nas z urzędu *Timesa*, — zajmowały nawet sobą dyplomacyę [1]. „Dawne bale były świetne, więc i my świetny bal urządzimy“ powiedział sobie „komitecik“, złożony z sekretarza „Towarzystwa“, i niezmordowanych dla polskiej sprawy Adamów Giełgudów, powiedzieli sobie główni protektorowie balu, księstwo Władysławowie Czartoryscy, — i istotnie, wbrew przeszkodom, wbrew aż zbyt usprawiedliwionym obawom, bal urządzony 20 maja 1887 r. w westminsterskim ratuszu udał się doskonale; przypomniał Londynowi, a może i niektórym ze samychże członków „Towarzystwa“, że żyje ono jeszcze i umrzeć nie myśli, a co niemniej ważne, pokrył deficyt, grożący wprost bankructwem [2].

„Następnego roku (1888) „Towarzystwo“, a raczej damski jego komitet [3] z p. Naganowskim, jako adjutantem swym do

[1] Opowiadano i pisano, że mający się odbyć bal polski znacznie przyśpieszył (r. 1844) wyjazd cesarza Mikołaja z Londynu. Znaczenie i świetność balów polskich opisuje obszernie *Przegl. Pozn.* t. VII, 238 np.

[2] Obszerny opis tego balu — ważnego bądźcobądź wypadku w najnowszej historyi polskiej kolonii w Anglii — umieszczony jest w londyńskiej korespondencyi *Kraju* z 12 (24) czerwca 1887 r. Niektórzy goście spodziewali się ujrzeć narodowe, polskie tańce; ale zkądże było wziąść tancerzów i tancerek? Miłą za to niespodziankę sprawiły trzy polskie „dziewuchy“ w krakowskich strojach... „Wam, czytelnicy — kończy korespondent, któremu w czasie balu widocznie nie balowe tylko myśli po głowie się snuły — wam wszystko to wydaje się prozą jałową; nam tu, oddawna świata owego pozbawionym, owe trzy krakowianki uprzytomniały tyle obrazów z przeszłości“...

[3] Najczynniejszymi członkami od chwili założenia komitetu są: P. Adamowa Giełgudowa z domu Aszpergerówna, dwie panny: Jazdowska, i znana dobrze i u nas z literackich swych prac, do których wrócić nam jeszcze wypadnie, Miss Maude Ashurst Biggs.

pomocy, zakrzątał się żwawo około przygotowania osobnego kiosku polskiego w wydziale robót kobiecych, mianowicie chaftów i koronek, na międzynarodowej wystawie w Glasgowie[1]. Myśl tę szczęśliwą podały panny Jazdowskie, które poprzedniego lata pojechały zwiedzić Kraków i Zakopane, a zdziwione pięknością i oryginalnością zakopańskich zwłaszcza chaftów, postanowiły zapoznać z nimi angielską publiczność. Za powrotem do Anglii, zajęły się energiczne siostry wprowadzeniem w życie powziętej idei; potrafiły nawet uzyskać od zarządu wystawy pewną subwencyę pieniężną dla pokrycia kosztów przewozu. Pani Giełgudowa siadła do korespondencyi z Galicyą i Księstwem; ktoś inny[2] poruszył całą prasę polską... Powstały komitety, zbierające okazy w Krakowie, we Lwowie i w Poznaniu... Na naznaczony termin wstępny, dnia 8 marca nadeszły punktualnie paki i skrzynie do Londynu... I czegóż tu niema w tych pakach? — woła pod świeżem wrażeniem rozentuzyazmowany, pragnący się wywdzięczyć rodaczkom za pomoc, sekretarz „Literackiego Towarzystwa". — Przecudne roboty koronkowe (niektóre zbyt drogie, inne b a r d z o tanie), pyszne hafty, artystyczne wieśniaczek galicyjskich i podolskich wyszywania, serdaki, kaftany, klimki, złotem i srebrem przetykane materye magnackie i wieśniacze, makaty itd. Choć mężczyzna, nie znam się na tych delikatnych cudnościach, byłbym przedmiot każdy całował z radości!"

Powodzenie nietylko moralne ale i materyalne „kiosku polskiego", liczne pochwały, które w jednym wypadku wyszły nawet podobno z ust samej królowej, i co niemniej ważne, liczne zakupna i obstalunki, — zachęciły komitet damski do dalszej pracy w tym kierunku. W połowie grudnia 1888 r. sale reduty Wilisa w londyńskiej dzielnicy St. James, otwarły się dla ciekawych, jak wyglądają polskie wyroby snycerskie i ceramiczne, polskie koronki, hafty i płótna[3]. Kilka pań, należących do komitetu wystawy w Glasgowie, głośno wyrażały

[1] *Kronika rodzinna* z 1888, str. 212 np.
[2] Samże korespondent *Kroniki*, p. E. Naganowski.
[3] *Kraj* 23 grudnia 1888 (4 stycznia 1889).

ubolewanie, że niektóre z tych okazów, zwłaszcza nadesłanych przez warszawski zakład św. Marty, nie zdążyły na czas na tę wystawę, gdyż niewątpliwie otrzymałyby nagrodę. Wyroby garncarskie, przez hr. Dzieduszyckiego udzielone; robótki i desenie z krakowskiego zakładu św. Scholastyki; złote i srebrne hafty podolskie, — miały mnóstwo wielbicielów a zwłaszcza wielbicielek, czego najlepszym dowodem pokaźna liczba uczynionych przez panie angielskie obstalunków [1]. Natomiast nie bardzo świetnie wystąpiła zakopańska szkoła snycerska, nadsyłając — jak bez ogródek wyraża się sprawozdawca z wystawy, a zarazem podobno i jeden z głównych jej organizatorów: — „liche wyroby, naśladujące tyrolskie i szwajcarskie, którymi Londyn jest przepełniony i świat cały zmęczony".

Krząta się więc jak może „Towarzystwo literackie", a choć niektórzy pytają, jaki właściwie ma stosunek z literaturą sprowadzanie do Anglii polskiego masła, polskich haftów i strojów, — to w obec siły rzeczy trudno na pedantów tych uważać, i dobrze, że „Towarzystwo", a może raczej wykonawczy jego „komitecik" na nich nie zważa. Rzutki „komitecik" nie stracił zresztą z oka i innych celów, dla których „Towarzystwo literackie" zostało przed półwiekiem założone, a przedewszystkiem: obznajmiania Anglików z polską sprawą i literaturą, prostowania fałszów przeciw nam, błędów o nas szerzonych [2]. W pier-

[1] Wedle sprawozdania, ogłoszonego na dorocznem posiedzeniu „Towarzystwa literackiego" w maju r. z., uzyskano już do tego czasu ze sprzedaży polskich wyrobów około 400 funtów szterlingów.

[2] W odezwie „Towarzystwa literackiego Przyjaciół Polski" do Polaków (Londyn 26 września 1850 r. — po polsku i po angielsku), znajdujemy następny spis broszur, artykułów i pism, wydanych w ogóle w języku angielskim przez Towarzystwo lub za jego pośrednictwem, w przeciągu pierwszych ośmnastu lat jego działalności:

Sprawozdania roczne z czynności Towarzystwa. Zeszytów 17.

Odezwa Towarzystwa do ludów Wielkiej Brytanii, napisana przez Tomasza Campbella. Londyn 1832.

Polonia, czyli miesięczny przegląd spraw, tyczących się Polski — pięć poszytów od sierpnia do grudnia 1832 r. Pismo to wydawał Campbell przy pomocy Lacha Szyrmy.

Sprawa Polski ujarzmionej, na parlament W. Brytanii przez Ro-

wszym szeregu tych, rzecby można, dawnych, w pomoc nieszczęśliwym spieszących, każdą ich krzywdę pomścić pragnących rycerzów, uznanie nam jedna — powiedzieć to i na naczelnem miejscu wymienić ją należy nie dla galanteryi tylko — literatka, poetka Miss Ashurst Biggs. Do studyów nad językiem polskim wzięła się p. Biggs przed dwunastu mniej więcej latami, pragnąc poznać

---

berta Cutlara Ferguson, po raz trzeci w dniu 9 lipca 1833 r. wniesiona (po polsku. Paryż 1834).

Mowa Lorda Dudleya Stuarta o polityce Rosyi, miana w izbie niższej na dniu 19 lutego 1836 r.

Rosya; odpowiedź rękodzielnikowi z Manchester (Ryszardowi Cobden). Londyn 1837.

Sprawozdanie z walnego zebrania Przyjaciół Polski, odbytego pod laską księcia Sussex na dniu 15 czerwca 1839 r. — Toż samo po polsku wyszło w Paryżu.

Polacy i car, przez p. Ainslie Young. 1839.

Persya i Affganistan. 1839.

Odezwa Towarzystwa do mieszkańców W. Brytanii i Irlandyi. 1840.

Dyskusya w izbie niższej, wywołana wnioskiem p. Gally Knight, o złożenie parlamentowi ukazów, wydanych przez rząd rosyjski, a dotyczących Królestwa Polskiego. 1842.

British and Foreign Review, pismo kwartalne, 35 tomów, od lipca 1835 do października 1844. Redaktorem był najprzód p. Ainslie Young, później p. Kemble, syn sławnego Karola Kemble.

Odezwa Towarzystwa do ludu W. Brytanii i Irlandyi, napisana przez Lorda Dudleya Stuarta. 1846.

Protestacya miasta Krakowa. 1847.

Mowa Lorda Dudleya Stuarta w izbie niższej dnia 16 maja 1848, wraz z dokumentami tyczącymi się powstania w W. Ks. Poznańskiem i bombardowania Krakowa.

Wypadki w Poznańskiem, wraz z licznymi dokumentami; tudzież sprawozdanie z dyskusyi w izbie wyższej nad wnioskiem w tymże przedmiocie, przez Lorda Kinnaird wniesionym. 1848.

Rosyanie w Mołdawii i Wołoszczyźnie. 1849.

Dyskusya w izbie niższej d. 22 marca 1849 nad wnioskiem Lorda Dudleya Stuarta w przedmiocie zajęcia Mołdawii i Wołoszczyzny przez wojska rosyjskie.

„Towarzystwo“ dopomagało Dawidowi Urquhartowi w ogłaszaniu słynnego *Portfolio.* „Żadne dzieło — czytamy dalej w „Odezwie“ — przez Polaka (rozumie się, w Anglii) napisane, nie obeszło się bez wsparcia od Towarzystwa. Prawie wszystkie artykuły w gazetach na korzyść Polski pochodziły od jego członków. Rozciągało też swą opiekę nad dziełami za granicą ogłaszanemi“. (Por. *Przegląd Pozn.* t. XII, str. 261—265).

w oryginale poezye Mickiewicza, z którym zapoznała się za pośrednictwem [1] francuskiego tłómaczenia Krystyna Ostrowskiego. Zdolna uczennica, używając jedynie do pomocy francusko-polskiej gramatyki Rykaczewskiego, czytała po dwóch latach pracy z łatwością i przyjemnością naszych autorów; a gdy później spotkała się z niejaką panią Pace (z domu Andrzejewską z Poznania), wybornie wyuczyła się i pisać i mówić po polsku. Jak język nasz, tajemnice jego i piękności poznała, jak ją — cudzoziemkę — ojczysta nasza piosnka porusza, tego najlepszym dowodem ogłoszony w 1882 przekład „Konrada Wallenroda", a w trzy lata później przekład „Pana Tadeusza" [2] „Przejęcie się oryginałem, — pisał o tym przekładzie krytyk [3], bodaj czy u nas w tej mierze nie najkompetentniejszy, — jest wielkie i rzadkie... Pierwsza zaleta, nad którą prawdziwie zdumieć się trzeba, to wierność niesłychana, niepojęta, nie do uwierzenia prawie... Spodziewać się możemy z ufnością, że przekład da Anglikom o oryginale wyobrażenie i dokładne i korzystne". Niemałe to pochwały, tem cenniejsze, że wyszły z pod pióra krakowskiego profesora polskiej literatury, który dla nieudolnych tłómaczeń arcydzieł naszych — dla tych „karykatur, niedorzeczności, bezbożności, bezczelności", jest nieubłagany, a złym tłómaczom wprost po wynagrodzenie do pruskiego *Reptilienfond* zwracać się radzi; [4] ale tem też większy żal, że *Master Thaddeus* nie znalazł ani w Angli ani u nas, najprzód odpowiedniej reklamy, a co za tem idzie, i odpowiedniego odbytu, a tak nie mógł dopomódz, spoczywającym już dość dawno w tekach niezmordowanej tłómaczki: „Grażynie",

---

[1] *Kronika rodzinna* r. 1885, str. 84 np.

[2] *Master Thaddeus or the Last Foray in Lithuania.* by Adam Mickiewicz. Translated from the original by Maud Ashurst Biggs, with a preface by W. R. Morfill and notes of the translator and Edmund S. Naganowski. London. Trübner et Comp. 1885.

[3] *Przegląd Polski* r. 1886, zeszyt majowy, str. 360 np. Sprawozdanie podpisane znanymi inicyałami S.(tanisław) T.(arnowski).

[4] *Przegląd Polski* r. 1876, kwiecień. Z okazyi niefortunnego przekładu Słowackiego i Krasińskiego przez de Noire Isle.

„Dziadom", „Balladom i Sonetom" do oglądania angielskiego nieba w angielskiej sukience...

Kto inny by się może zraził; Mis Biggs, „Przyjaciółka Polski" nie z imienia tylko, zrozumiała, że właściwa przyczyna, dla której polskie arcydzieło nie znalazło w Anglii należytego rozgłosu i uznania, leży w zapomnieniu o naszym narodzie, o cierpieniach jego i losach, w nieznajomości jego dziejów, ideałów. Trudno, by się zbyt interesowali „zaściankiem" dobrzyńskim ci, którzy ledwie wiedzą o istnieniu Polski, a gdy czytają pierwszy wiersz:

Litva! My country like art thou to health,

pytają, co za zacz ta *Litva?* Przedewszystkiem więc, powiedziała sobie energiczna a praktyczna Angielka, przypomnieć należy Anglii w paru ogólnych rysach o „zapomnianym narodzie", zbić choć parę głównych, najszkodliwszych bajek o nim krążących. Zamiaru tego dokonała p. Biggs w broszurze *The forgotten Nation* [1], a choćby broszura ta nie miała była innego

---

[1] *The forgotten Nation.* By Maude Ashurst Biggs. London. Published by the Literary Association of the Friends of Poland. 1886. Oto treść tej broszury, jak ją w swoim czasie w *Przeglądzie Powszechnym* (r. 1887, zeszyt lutowy) podaliśmy:

„Zapomniany naród! jakiż to zapomniany naród?" — pyta się Angielka, pani Biggs, dobrze znana w Polsce tłómaczka „Pana Tadeusza" i „Konrada Wallenroda". — Czy we wnętrzu Nowej Gwinei odkryto nieznane dotąd pokolenie; czy jaki podróżnik natrafił na wyspę, nie dość dotąd zbadaną? Nie — naród ten leży w środku Europy; kiedyś zajmowano się i pisano o nim wiele; ale od pewnego czasu zdawałoby się, że znikł z powierzchni ziemi, tak o nim głucho i cicho; a choć kto się czasem o Polsce półsłówkiem odezwie, to zazwyczaj niechętnie, a zawsze prawie niedokładnie. Czemu przypisać to zobojętnienie, tę nieznajomość polskich stosunków, które przecież powinnyby choć tyle Anglię obchodzić, co np. stosunki ludów Afryki centralnej? Przedewszystkiem złym i fałszywym wyobrażeniom, które zagnieździły się w Anglii, a dzięki którym Polska przedstawia się w umysłach Anglików, to w fantastycznych barwach do gruntu socyalistycznego kraju, to znów jako raj niezdrowej bigoteryi, śmiesznego ultrakonserwatyzmu, broniącego się przed napadem europejskiej cywilizacyi w zamkach swych i szlacheckich dworach. Nieraz przyrównywano Polskę do Irlandyi, a w porównaniu tem jest coś prawdy, ale jest i dużo fałszu: Irlandczycy spiskują, a dzisiejsi Polacy są wrogami spisków, nie tworzą tajemnych stowarzyszeń, a jawnej agi-

praktycznego skutku, jak ten jeden, że lord Salisbury z treści jej wziąść miał pochop[1] do zaprzeczenia w parlamencie (5 marca 1887), jakoby można słusznie porównywać agitacyę irlandzką do polskiej, — to już nie mało przysłużyłaby się polskiej sprawie w Anglii, której nic tu może bardziej od tego porównania nie szkodzi[2].

P. Biggs jest „przyjaciółką“ naszą szczerą i jawną; autor przedmowy do angielskiego wydania „Pana Tadeusza“, pro-

tacyi tworzyć nie mogą. Carlyle i inni odmalowali Anglikom złe dawne polskie czasy, swawolę i wygórowane przywileje szlachty; ale pisarze ci nie powiedzieli im, że sama szlachta na pamiętnym sejmie czteroletnim pracowała najusilniej nad usunięciem zarodków swawoli i ścieśnieniem zbytnich przywilejów. Polacy przywiązani są do wiary katolickiej, ale z tego zarzutu niepodobna im czynić; przypomniećby raczej można Anglikom, że kiedy w XVI wieku cała niemal Europa, a wespół z nią i Anglia była teatrem religijnych prześladowań, to w jednej Polsce w całej pełni kwitła tolerancya. Stosunek szlachty do ludu był w Polsce ten sam, jaki przez długie wieki panował i w innych krajach; sama szlachta polska parła do wyzwolenia chłopów z poddaństwa; a jak dziś Anglicy nie chcą i nie myślą wrócić do feudalizmu, tak i Polacy nie myślą wskrzeszać poddaństwa i pańszczyzny.

Czemże więc są dzisiaj Polacy? W odpowiedzi na to pytanie kreśli autorka w kilku śmiałych rysach obraz dzisiejszej Polski pod trzema zaborami. Rzeczy to nam znane, powtarzać więc ich nie potrzebujemy; na każdej stronicy znać, że szczere współczucie i miłość nietylko dla literatury, ale dla całego naszego kraju natchnęła te słowa nieokraszone retorycznemi wykrzyknikami, ale samą prawdą dość wymowne. Opisując smutny los przybyłych do Londynu w ostatnich miesiącach wygnańców polskich z Prus, zwraca się autorka z gorącą prośbą do swych rodaków, aby bez różnicy przekonań politycznych śpieszyli nieszczęśliwym z pomocą. „Pokażcie w ten sposób, — woła — że dla Anglików Polska przestała już być zapomnianym narodem!“ Jak wiemy z odezwy, niedawno przez „Towarzystwo Przyjaciół Polski“ ogłoszonej po dziennikach, pomocy tej potrzebują wygnańcy koniecznie, aby nie umrzeć śmiercią głodową; ztąd książeczka p. Biggs, zachęcająca do ofiar w tym celu, jest nietylko bardzo nam miłym i sympatycznym objawem, ale zarazem prawdziwym uczynkiem miłosierdzia.

[1] *Kraj* 6 (18) marca 1887 r.

[2] Miss Biggs pisuje również od czasu do czasu do pism polskich, a stałą jest współpracowniczką *Kroniki rodzinnej*, w której prócz peryodycznych korespondencyj z Londynu, umieściła (w roku 1887) powieść: „Król wysp koralowych“. Nadto napisała po angielsku „Dzieje Polski współczesne“, ale, o ile wiemy, dotąd ich nie ogłosiła.

fesor Wilhelm Ryszard Morfill, przyjacielem, a w każdym razie zbyt jawnym i gorącym przyjacielem nie jest, ale wespół z p. Biggs zna bodaj najlepiej z Anglików naszą historyą i literaturę, i obznajmia z nią swych rodaków choć w najogólniejszych rysach [1]. Do tego obznajomienia z Polską i Polakami — jednego z głównych zadań „Literackiego Towarzystwa“ — przyczyniły się również nie mało w ostatnich latach przez jego członków, lub za jego głównie inicyatywą i poparciem, ogłoszone powieści, dziennikarskie artykuły i polemiki, poważne książki i rozprawy.

Znany już nam Adam Giełgud, wydał pamiętnik księcia Adama Czartoryskiego, książkę wyjątkowo chętnie czytaną i kupowaną; a przed dwoma latami, zwiedziwszy choć cząstkę ojczystej ziemi, rozkochawszy się w jej pięknościach, ogłosił artykuły: „W polskich Karpatach“ i „Rzym polski“ [2], mające na celu ściągnąć bogaczów angielskich do Krakowa i Zakopanego. Z powieści, na tle polskiem osnutych, zwróciły na siebie w ostatnich latach uwagę: „Najpiękniejsza Warszawianka“ przez pannę M. Collins, i „Zgubione rubiny“ przez pannę Dudney: obie autorki żywią dla nas niekłamaną sympatyą. P. Naganowski ogłasza w chwili, gdy to piszemy, powieść: *Almighty England*, która jednocześnie p. t. „Anglia Wszechmożna“, drukowaną jest w *Gazecie Lwowskiej;* bohaterem tej powieści jest Polak, żyjący w Anglii.

---

[1] Prof. Morfill zajmuje się nietylko Polską, ale w ogóle Słowiańszczyzną, a najbardziej Rosyą. W miesięczniku *The Westminster Review* ogłosił szereg studyów o bogatszych słowiańskich literaturach, między innemi o polskiej; w nowej *Encyklopaedia Britannica* umieścił obszerny artykuł *Poland*, który stał się przyczyną długiej, prywatnej i niezupełnie prywatnej polemiki między autorem a p. Naganowskim. W dziełku *Slavonic Literature* poświęcił p. Morfill 24 strony literaturze polskiej, doprowadzając ją tylko do r. 1606. (Por. *Bibl. Warsz.* r. 1884, t. III, str. 102 np. i 157 np. — *Kraj* z 1 (13) czerwca r. 1886). Wyszła z pod pióra tego samego autora *Simplified Grammar of the Polish Language* (1884) bardzo małą, jeźli w ogóle jakąkolwiek ma wartość.

[2] Pierwszy z tych artykułów, ogłoszony w *English ilustrated Magazine*, zdobią liczne rysunki Witkiewicza; drugi, zawierający głównie opis Krakowa, umieściła rok przedtem *Morning-Post.*

I znowu nasunęło się pod pióro nazwisko p. Naganowskiego, bo mowiąc dziś o Polakach w Anglii, mówiąc zwłaszcza o „Towarzystwie literackiem“, niepodobna nie spotkać się na każdym kroku z byłym wprawdzie, ale i dziś z niemniejszą energią troszczącym się o polskie interesa w Anglii jego sekretarzem, p. Naganowskim. Polakom pokazuje on raz po raz w nader licznych korespondencyach do najróżniejszych polskich pism i dzienników, czego od Anglików uczyćby się mogli i powinni; Anglikom zapomnianą Polskę wciąż przypomina, z każdym jej przeciwnikiem kopiję kruszy; a choć go może zimny jaki Anglik porówna do średniowiecznego błędnego rycerza, to przecież nie przestaje — jak ktoś się wyraził — piastować niewdzięcznego i nierentującego się dziś urzędu ambasadora sprawy polskiej w Anglii, zwłaszcza w angielskiej prasie. A nie zawsze łatwo to przychodzi. Tak n. p. gdy *Pall Mall Gazette* umieściła przed trzema latami bardzo dla Polaków nieprzychylny artykuł p. t. „Irlandya i Polska“, w którym starała się udowodnić, że Polacy sami sobie winni, bo roszczą sobie pretensye do ziem czysto ruskich, — nadesłał sekretarz „Towarzystwa literackiego“ natychmiast odpowiedź; ale niechętna nam gazeta arcynielojalnie i nieliberalnie, repliki tej poprostu nie przyjęła. Następnego roku (1888) nowa napaść na Polskę w tejże samej *Pall Mall Gazette*, nową wywołała odpowiedź; a tym razem odpowiedź ta znalazła już miejsce w łamach londyńskiego organu. Jednocześnie rozpoczął p. Naganowski prywatną, a za pośrednictwem *Timesa, Standarda* i telegraficznej agencyi *Press Association*, i publiczną walkę z Gladstonem, wyrażając zdziwienie, jak mógł tak wielki mąż stanu w jednej z swych mów zawyrokować, że ucisk i prześladowanie sroży się dziś w jednej tylko Irlandyi, nie chcąc chyba wiedzieć, co się dzieje w ziemiach polskich: pod berłem pruskiem, rosyjskiem![1] Walka ta znalazła żywy odgłos

[1] Na prywatny list p. Naganowskiego, odpowiedział W. E. Gladstone, zwyczajem swym, na kartce korespondencyjnej, pod datą 7 września 1888: „Panie! Cieszę się bardzo, że to, co przy niektórych okazyach powiedziałem, dało Ci sposobność do rozszerzenia wiadomości tak smu-

w całej angielskiej prasie równie stołecznej, jak prowincyonalnej. Obecnie znów objął p. Naganowski dział polski w założonej w roku bieżącym, a liczącej już setki tysięcy czytelników *Review of Reviews*. Jeszcze kilka takich potyczek, paru ludzi równie rzutkich, a kraj swój kochających, a nie będzie już można w Anglii prawić — jak niedawno jeszcze temu bezkarnie prawiono, — o Polsce i „o zniknięciu najmniej zdatnego“ [1], prawdziwych dubów smalonych, z którymi nikt nie odważyłby się występować przed angielską publicznością, mówiąc o Kafrach lub Hotentotach.

Z krótkiego tego zarysu dawnej i współczesnej historyi „Literackiego Towarzystwa Przyjaciół Polski“, dawnej jego świetności, z dzisiejszych usiłowań, by choć cień tej świetności zachować, z suchego wyliczenia głównych prac i zabiegów jego polskich członków, z paru bladych sylwetek tych niewielu naszych „przyjaciół“, „przyjaciółek“, którzy nie pustą tylko nazwą, lecz czynami przyjaźni swej ku nam dowodzą, — dość chyba jasno widać, że choć dziś instytucya ta — prawdziwie po polsku — zasługą paru ledwie jednostek żyje i działa, to przecież jest, a w wyższym jeszcze stopniu być może, pewnego rodzaju centrum dla Polaków i dla ludzi, o sprawę polską się troszczących, i głównie dlatego, a nietylko dla subwencyonowania i informowania kilkunastu biedaków, nietylko dlatego, że — jak się wyrażano — niema nikogo,

tnie nam brakujących. Ale nie widzę, jaki pożytek wyniknąłby z rozpoczęcia przezemnie dyskusyi nad sprawą polską...“ Część prasy irlandzkiej nie przyjęła tak spokojnie i grzecznie wywodów p. Naganowskiego: oburzyła się nad wszelki wyraz na śmiałka, który odważył się powiedzieć, że rodacy jego byliby szczęśliwymi, gdyby mieli choć cząstkę irlandzkich swobód, a zowiąc go bez ceremonii „psem“, „kłamcą“, „zdrajcą ojczyzny i religii“, wyraziła życzenie, by w piekle znalazł „kąt najgorętszy, którego unikają nawet kozacy i Polacy“. (Por. *Kraj* z 8 (20) i 16 (28) września 1888 r.).

[1] Pod tym tytułem miał na wiosnę 1887 niejaki p. Fyffe publiczny odczyt w Londynie. O oryginalnym tym odczycie dyletanta, szukającego z naszą szkodą taniego rozgłosu, zdał Latarnik obszerne sprawozdanie w *Kraju* 6 (18) marca 1887.

ktoby jej cios śmiertelny zadał, ma racyę bytu i życia. To też rozumieć trudno, jak znaleść się mogli ludzie, Polacy, którzy myśleli na seryo, nie o możliwem zreformowaniu i podniesieniu „Towarzystwa“, ale o położeniu mu kresu. Inni znów podnieśli myśl reformy na tak szerokie rozmiary, że nie byłaby to już tylko reforma, ale przemienienie dotychczasowego „Towarzystwa“ od fundamentów do szczytu w zupełnie inne, czysto polskie, bez angielskiego zabarwienia i nazwiska. Czy taka reforma jest możliwą, czy byłaby pożyteczną; czy przez nią „Towarzystwo“ nie podpisałoby na siebie wyroku śmierci, nie straciłoby i tych kilku okruszyn wpływu, które jeszcze w angielskich kołach posiada? W samemże łonie „Towarzystwa“ panują w tym względzie i walczą ze sobą dwa wręcz sprzeczne zapatrywania; w każdym razie operacya tak radykalna, głębokiego wymaga zastanowienia, wielkiej przezorności, aby lekarstwo miasto pomódz, śmierci raczej nie przyśpieszyło.

W przeciągu przeszło półwiekowego swego istnienia widziało „Towarzystwo“ cały zastęp obok siebie i przeciw sobie utworzonych, w ogóle wyłącznie z polskich członków składających się związków, kół i bractw; gdy jedne nikły, powstawały inne, by znowu po niedługim czasie jeszcze innym, nowością nęcącym, miejsca ustąpić. Tak zniknęły dawne, demokratyczną barwą świecące związki: „Gromada“, „Orzeł biały“; wolno topniała, aż wreszcie w ostatnich miesiącach stopniała do liczby trzech czy dwóch członków wolnomularska loża polska, założona w r. 1843; przed trzema laty powstało i istniało — a może i po dziś dzień jeszcze choć w teoryi istnieje — „Towarzystwo dywizyi polskiej“, złożone z kilku niedaleko siebie, we wschodnich dzielnicach Londynu mieszkających kolegów z wojny krymskiej. Lepiej ma się podobno powodzić niedawno powstałym związkom polskim w Sheffieldzie i Liverpoolu.

W samym Londynie, nie mówiąc już o „Towarzystwie literackiem“, nietylko wegetują, ale, choć w szczupłych grani-

cach, rozwijają się: „Związek polski“ dla W. Brytanii i Irlandyi, i zależny od niego „Klub robotników“. Przewodniczącym po ostatnie czasy był „obywatel“ Tolkemit [1], majster ciesielski, były sierżant w szeregach Koszuta, człowiek, który osobiście zasługiwać miał na wszelki szacunek. „Związek“, założony w r. 1882 pod nazwą „Towarzystwa robotników“, raził w początku silnie czerwoną, genewską barwą; tułał się po różnych szynkach i norach, i honoru imieniowi polskiemu niewiele przynosił. W r. 1886 — dzięki w wielkiej części staraniom p. Naganowskiego, a w największej części dobrej woli zarządu i samychże członków — nastąpił zwrot ku lepszemu: zmieniono statuta i usunięto z nich wszystko, co trąciło międzynarodowem socyalizmem; nazwę „Towarzystwa robotników“ przekształcono w jaśniejszą i odpowiedniejszą „Związku polskiego“; urządzono „kasę chorych“ i „kasę bezrobocia“. Stosunki zawiązane z „Towarzystwem literackiem Przyjaciół Polski“ znowu po bardzo niedługim czasie psuć się zwolna zaczęły; ale sam „Związek“, wkroczywszy raz na drogę rozumnej reformy, nie wrócił się już na szczęście do dawnych nor i rozpierających się w nich poglądów i systemów. Do dość obszernego, porządnego lokalu „Związku“, wynajętego we wschodniej dzielnicy Londynu, Clerkenwell, schodzą się chętnie członkowie — dziś w liczbie około 50 — przyprowadzają wielu innych Polaków nie-członków, przypominają sobie dźwięki ojczystej mowy, a dzięki rozłożonym na stołach polskim pismom i dziennikom, dzięki choć szczupłej, bo ledwie dotąd z 200 tomików składającej się biblioteczki, nie tracą z oka dalekiej rodzinnej ziemi, jej potrzeb, interesów, nieszczęść... „Klubem robotników“ rządzą żydzi, i ze zwykłą sobie przedsiębiorczością i sprytem utrzymują jego, a prawdopodobnie — przeciw czemu zresztą w tym razie protestować trudno — i swoje interesa w kwitnącym stanie, bo klub jest, a przynajmniej bardzo jeszcze niedawno temu był polską restauracyą trzeciego lub czwartego rzędu, czyli wprost już nazywając rzeczy po imieniu, polsko-

[1] Umarł w grudniu 1889.

żydowskim szynkiem. Swoją drogą i taki szynk w Londynie, i urządzane w nim dwa razy miesięcznie bale i odbywające się od czasu do czasu improwizowane wiece, mają swoją dobrą stronę: przyczyniają się do jakiejkolwiek przynajmniej łączności między najuboższą warstwą Polaków, i nie dozwalają im zupełnie zapomnieć, że są Polakami i że matka nie angielskim językiem w dzieciństwie do nich przemawiała; że dotąd bracia ich i siostry nad Wisłą, Wartą i Niemnem nie po angielsku ze sobą rozmawiają.

(Dok. nast.).

Ks. Jan Badeni.

WŁODZIMIERZ SOŁOWIEW.

III.

Powiedziałem na początku (w marcowym Nrze *Przeglądu*), że filozofia panteistów niemieckich była pierwszą duchową karmią naszego myśliciela, i że pierwsza dała mu pochop do szukania prawdy w religii. Dziwiłem się zawsze temu faktowi, tem bardziej, że w pismach Sołowiewa nie znajdowałem poszlaków owego niezdrowego pokarmu. Obracały się one, co prawda, w sferze historyi i walki z prawosławiem. Ale gdy przyszło do czystej filozoficznej spekulacyi, w książce przed pół rokiem wydanej, filozofia niemiecka wyszła na wierzch — a to najsmutniejsze, że na tle dogmatów wiary. Włodzimierz Sołowiew wpadł w to samo, w co popadli niepoczesnej pamięci filozoficzni teologowie niemieccy z pierwszej połowy tego wieku: Frohschammer, Günter, Balzer, Knoodt, którzy chcieli dogmat katolicki z Heglizmu wysnuć; — dogmat wyszedł z tej roboty tak niedopoznania, że Kościół go się wyparł [1]. I u Sołowiewa podobny rezultat, z tą jednak wielką różnicą, że autor uznaje nadewszystko powagę Kościoła; zatem, cokolwiek nam zarzucić wypadnie jego poglądom na dogmata, ani cienia wątpliwości nie mamy o jego prawowierności.

[1] Listy dogmatyczne Piusa IX przeciw doktrynom Frohschammera i Güntera, o których niżej.

Można filozofować o dogmacie. Każdy wiek chrześcijaństwa potrzebuje nowego filozoficznego uświadomienia sobie prawdy objawionej; bo choć dogmat zawsze w sobie jednaki, ale myślenie ludzkie w coraz nowe przechodzi fazy, musi więc z nowych punktów widzenia dogmat oglądać. Od Klemensa aleksandryjskiego, który zaczyna budować γνῶσιν ἐπὶ τῆς πίστεως (wiedzę na wierze), aż do dziś dnia, ta tradycya w Kościele się nie przerywa, i świeżo sobór Watykański usankcyonował ją w swem orzeczeniu o stosunku rozumu do wiary [1]. Wszelako do tego filozofowania o wierze potrzeba najpierw oczywiście bardzo dokładnej znajomości dogmatu; trzeba dalej iść od dogmatu do filozofii, a nie odwrotnie, tj. brać dane objawione za punkt wyjścia, mianowicie w tajemnicach nadrozumowych, i na tem opierać filozoficzny pochód, a nie usiłować z filozofii wyrozumować dogmat [2], jak czynili Günteryanie. Potrzeba wreszcie do tego lepszej filozofii, mniej odległej od chrystyanizmu, niż filozofia Hegla i Schoppenhauera.

Sołowiew stoi we filozofii tak daleko od nas, że ani myślimy się z nim na tym gruncie rozprawić. Pominiemy więc wszystko, co nas w jego książce z punktu filozoficznego razi: sposoby mówienia od panteistów zapożyczone, — „jedność substancyalna“ wszystkich ludzi tak samo określana, jak jedność trzech Osób Boskich, — samowiedza oparta na odróżnianiu siebie od czegoś obcego (jaźni od nie-jaźni) i t. d. [3]. Podniesiemy jedynie to, co mamy do zarzucenia z punktu czysto dogmatycznego. Tu mamy wspólny grunt: objawienie Boże i określoną naukę wiary.

---

[1] Sess. III. c. IV.

[2] Może także rozum, wychodząc z własnych (filozoficznych) danych, doprowadzić do pewnych prawd religijnych; ale ten pochód nie dosięga właściwych tajemnic wiary. Jestto właśnie zadanie „dogmatyki fundamentalnej“ *(ratio ante fidem)*, ale nie jestto jeszcze filozofią dogmatu, tem „wyższem uświadomieniem wiary“, do którego dąży autor.

[3] Nazwałem niejednokrotnie Sołowiewa „filozofem chrześcijańskim“, i jestto najzupełniej prawdą w całej dziedzinie filozofii historyi, socyologii, psychologii narodowej ...; co do samej metafizyki muszę uczynić zastrzeżenie.

Zaczyna nasz autor od rozumowego dowodzenia Trójcy św. W samym zaraz tytule I. rozdziału czytam: „Trójca św. rozumowo wywiedziona z pojęcia bytu“ [1], a na końcu rozdziału: „...Widzieliśmy, że ta prawda (Trójcy św.) narzuca się rozumowi i może być logicznie wywiedzioną, skoro się uzna, że Bóg j e s t, w dodatniem i całkowitem tego słowa znaczeniu“. — Ale już samo to wstępne założenie jest teologicznie błędnem. Trójca św. jest t a j e m n i c ą, więc rozumowo dowiedzioną być nie może. Już św. Paweł najwyraźniej odróżnia dwie sfery prawd o Bogu: jednę „wiadomą“, *quod notum est Dei*, którą rozum ludzki poznać może, wznosząc się z widomych stworzeń do niewidzialnych doskonałości Stwórcy [2] — drugą „tajemniczą“, którą nazywa *profunda Dei*, głębią Boga, którą tylko „Duch św. wypatruje“ i nam objawić raczył, którą Apostołowie „opowiadają, nie przez uczone słowa ludzkiej mądrości, ale przez naukę Ducha“ [3]. Któż zaś wątpić może, że do tej właśnie sfery należy najwyższa z tajemnic, Trójca św.? Zresztą, cóż znaczą uroczyste słowa Chrystusowe: *Nikt nie zna Syna jeno Ojciec, i nikt nie zna Ojca jeno Syn* [4], jeśli nie to, że znajomość Osób w Bóstwie jest absolutnie niedostępna dla stworzeń? A nie można tego rozumieć wyłącznie o tem znaniu najdoskonalszem, wyczerpującem, które jest oczywiście samemu Bogu własnem, skoro zaraz dodaje Chrystus: *...jeno Syn, i komuby chciał Syn objawić* — mówi więc o takiej znajomości Osób, jaką nam daje wiara.

To samo o niedostępności Trójcy św. dla rozumu twierdzą Ojcowie, zwłaszcza Grecy: Bazyli i Grzegorz z Nissy [5], Chryzostom [6], Grzegorz z Nazianzu [7], Epifaniusz [8], Cyryl Aleksandryjski [9], Cyryl Jerozolimski [10]. W walce z kacerzami, Eunomiuszem, Monarchianami, na zarzuty rozumowe przeciw Trójcy odpowiadają: Zgoda, że Trójca św. nie da się wy-

[1] W tytule tego rozdziału według spisu rzeczy.
[2] Rzym I. [3] 1. Kor. II. [4] Mat. XI. 27.
[5] W dziełach przeciw Eunomiuszowi.
[6] W 5 homiliach „o niedostępnej naturze Boga“.
[7] W mowach *de Theologia*. [8] O herezyi 76.
[9] In thesauro. [10] W katechezie VI.

rozumować, ale to jest właśnie znamieniem tej najwyższej tajemnicy, że tylko z objawienia o niej wiedzieć możemy. Tekstów nie przytaczam, ale odsyłam autora do teologów katolickich, gdzie ich znajdzie wiele.

Teologia jednozgodnie, od św. Tomasza aż do Franzelina [1], trzyma się tej nauki. Zaraz na wstępie Summy *contra Gentes* Doktor anielski odróżnia dwie kategorye prawd o Bogu: jedne, których rozumem dociec można — między niemi istnienie i atrybuty Boga, jako jednego — i te w trzech pierwszych księgach tej Summy wykłada; drugie, właściwe tajemnice, których rozumem filozoficznym ani dociec, ani udowodnić nie można — i między temi kładzie na pierwszem miejscu Trójcę św. Gdzie indziej daje św. Tomasz istotną racyę, dla której troistość Osób w Bogu jest niedostępna rozumowi: mianowicie, że przyrodzony rozum nasz jedynie ze stworzeń dowiaduje się o Stwórcy; [2]— ale w stworzeniu i we wszelkiem działaniu na stworzenie Osoby Boskie działają, nie każda swoim czynem, na swój sposób, ale jako Jedno, czynem wspólnej natury; więc z tego czynu i jego skutków niczego dowiedzieć się nie możemy o odrębności i znamionach Osób [3]. Wszyscy późniejsi teologowie zatwierdzają tylko tę samą doktrynę i wyjaśniają dalej tę nadrozumowość, *superrationalitatem* tej tajemnicy: Nietylko — mówią — rozum bez pozytywnego objawienia nie mógłby się jej domyśleć, ale nawet po otrzymaniu nauki wiary nie może on zrozumieć wnętrznej racyi Trójcy Osób, ani jej udowodnić z danych rozumowych [4].

Wreszcie, kiedy teologowie nowego kroju, wyrobieni na Heglu — Frohschammer, Günter *et consortes* — poczęli wszystkie prawdy objawione pod filozofię podciągać i Trójcy św. dowodzić, Pius IX szeregiem sławnych listów dogmatycznych: *Dolore haud mediocri* z 30 kwietnia 1860 r., *Gravissimas inter* z 11 grudnia 1862 r., *Tuas libenter* z 21 grudnia 1863 r. i t. d., su-

[1] Ob. Franzelin *De Deo Trino*, theses XVII et XVIII.

[2] *Invisibilia Ipsius per ea quae facta sunt intellecta conspiciuntur.* Rom. I.

[3] S. Thom. De Verit. q. 10. a. 13.; także Summa Th. I. q. 32. a. 1.; także I. Dist. 3. q. 1. a. 4. etc.

[4] Ob. Franzelin l. c.

rowo te wybryki filozofii skarcił i wspomnianą naukę katolickiej szkoły swą najwyższą powagą zatwierdził — mianowicie: że w tajemnicach wiary rozum ludzki, nawet po otrzymanem objawieniu i przy kulturze filozoficznej, nigdy do tego nie dochodzi, iżby mógł własną siłą (rezonowania) i z przyrodzonych swych zasad istotne tajemnice wiary zrozumieć lub je uzasadnić: ... *ut haec (ratio) nunquam effici possit idonea ad illa (mysteria) suis viribus et ex naturalibus suis principiis intelligenda aut demonstranda* [1]. Nakoniec sobór Watykański, uwzględniając, jak zwykle czyniły sobory, współczesne błędy, i w tej kwestyi przemówił; w Sesyi III. rozdz. 4. naucza, że są dwa rodzaje wiedzy: wiedza przyrodzona, rozumem zdobyta — i wiara od Boga dana; ta druga różni się od pierwszej nietylko pierwiastkiem, ale i zawartością, bo obejmuje, oprócz prawd rozumowi dostępnych, także „tajemnice w Bogu ukryte, o których bez objawienia wiedzieć nie możemy". Tych ostatnich sobór szczegółowo nie wymienia, ale rzecz jasna, że w pierwszym rzędzie do nich należy Trójca św., tem bardziej, że sobór powołuje się na tekst *profunda Dei*. W tych tajemnicach — jak naucza dalej sobór — rozum ludzki, wychodząc z danych objawionych, może wiele i z wielką korzyścią zrozumieć, nigdy jednak nie może przeniknąć ich racyi, jak przenika prawdy przyrodzone w dziedzinie filozofii; „Boskie albowiem tajemnice z na„tury rzeczy tak dalece rozum stworzony przechodzą, że na„wet po danem objawieniu i przyjęciu wiary, zostają one za-

[1] *Tuas libenter.* — Ktoby chciał się z tych orzeczeń wykręcić w kwestyi Trójcy św., tenby musiał chyba odnieść te wszystkie teksty i kościelne definicye wyłącznie do faktu Wcielenia i innych faktów od wolnej woli Bożej zawisłych, i twierdzić, że tajemniczość ich nie na tem zależy, że istota rzeczy jest tak wzniosła i rozumowi nieprzystępna, ale na tem, że tego, co Bóg dowolnie robi, wiedzieć nie możemy bez jego objawienia. Ten jednak sposób pojęcia wręcz się sprzeciwia powyższym orzeczeniom, które niedostępność tajemnic zasadzają właśnie na ich istotnej wzniosłości i na niedołężności względem nich rozumu stworzonego. W takiem zaś pojęciu rzeczy Trójca św. jest oczywiście najwyższą i najniedostępniejszą ze wszystkich tajemnic, i zawiera essencyę tajemniczości Wcielenia i wszelkich innych Boskich dzieł i objawów.

słoną tejże wiary pokryte i jakby mrokiem przysłonięte". Zamyka wreszcie sobór powyższą naukę w takim kanonie:

> Jeśliby kto powiedział, że Boskie objawienie żadnych nie zawiera tajemnic, w prawdziwem i ścisłem tego słowa znaczeniu, ale że rozum należycie wykształcony może wszystkie dogmata wiary z przyrodzonych danych zrozumieć i udowodnić — niech będzie anatema [1].

Zatrzymałem się nieco dłużej na tym wstępnym punkcie, bo z tego błędnego założenia autora płyną, a oraz tłómaczą się wszystkie dalsze jego błędy. Przedsięwzięcie dowiedzenia rozumowo tajemnicy nadrozumowej prowadzi do dwóch następstw: najprzód, że się źle dowodzi, a podrugie, że się właściwe pojęcie tej tajemnicy wykrzywia. Jakżeż Sołowiew dowodzi? Zacząwszy *a priori* od pojęcia bytu — z którego, mimo Hegla, nic logicznie nie wypływa — przeskakuje nagle do empirycznego pojęcia istoty żyjącej; a że ta ma istnienie — czyn — i używanie (ze świadomości czynu), wnosi osobliwą dyalektyką, że te trzy formy bytu w Bogu muszą być upostaciowane w trzech Osobach. Łatwoby pokazać, że w tym całym wywodzie jest wiele uchybień, że nawet te trzy formy nie odpowiadają znamionom Osób Trójcy św.; [2] ale ten argument jest tak podobny do dowodzenia Marka Mastrofini'ego, które kard. Franzelin przytacza i zbija, w tezie XVIII *de Deo Trino*, że wolę p. Sołowiewa do tak poważnego źródła odesłać. To tylko w ogóle dodam, że rozum filozoficzny prowadzi wyłącznie do jedności w Bogu, każdą czynność w Nim każe identyfikować z jego istotą; a że mimo tej identyczności wszelkiego bytu w Bogu, możliwe są osobne sposoby posiadania tego bytu, i choć niema istotnej produkcyi, możliwe są pochodzenia — tego rozum ani domyślić się, ani nigdy jasno pojąć nie zdoła.

---

[1] Si quis dixerit, in revelatione divina nulla vera et propria dicta mysteria contineri, sed universa fidei dogmata posse per rationem rite excultam e naturalibus intelligi et demonstrari; anathema sit.

[2] Ojciec np. nie jest tem w Bóstwie, czem istnienie w stworzeniu, ale raczej odpowiada czynowi ze strony aktywnej, a Syn ze strony biernej.

Co gorsza, to że ta błędna droga przywodzi autora do pojęcia o samym dogmacie Trójcy św. bardzo niedokładnego. On uznaje, że trzy Osoby są spółistotne; jednak Ojca mieni wielokrotnie „bytem w sobie“, w przeciwstawieniu do Syna (str. 225), — kiedy „bytem w sobie“ jest każda osoba; mówi, że „Bóg w trzeciej Osobie w szczególności posiada wolność działania na zewnątrz“ (str. 218), — kiedy w każdej osobie ta wolność jest jedna i tasama. Jest w tem wszystkiem naciąganie tajemnicy Trójcy św. do kategoryi Hegla, nie bez skrzywienia pojęć o tej tajemnicy. Autor mówi ogólnikowo, że „Osoby są nierozdzielne w działaniu“, ale gdy w szczegółach omawia stworzenie i inne Boskie czyny, każda Osoba występuje u niego z osobną działalnością, każda czyni coś innego w świecie: Ojciec stwarza materyę kosmiczną — czyni to „siłą własną tej pierwszej Osobie“ [1]; Syn stwarza idee, istoty samoświadome, ale zgoła nieczynne [2]; Duch św. stwarza duchy kompletne, tj. Aniołów (str. 244, 245). Tymczasem w obec dogmatu o Trójcy niemożliwem jest, żeby co innego czyniła jedna Osoba, co innego druga; żadna z Osób nie ma sobie własnej siły (odnośnie do stworzeń), tylko wszystkie mają wspólnie jedną siłę i jeden czyn. *Cokolwiek czyni Ojciec* — mówi Pan Jezus — *to i Syn także czyni* [3]. „Nie mówi, — dodaje św. Augustyn — cokolwiek czyni Ojciec, i Syn podobne rzeczy czyni, jakoby naśladując Ojca; ale mówi: cokolwiek czyni Ojciec, to czyni i Syn zarazem; co jeden to drugi: świat stwarza Ojciec, świat stwarza Syn, świat stwarza Duch św.“ [4].

Przypisuje nieraz Pismo św. pewne dzieło w stworzeniu z wyszczególnieniem pewnej Osobie; lecz, jak wiadomo, jestto tylko sposób mówienia, oparty na jakiemś podobieństwie między tem dziełem w stworzeniu, a wnętrznem znamieniem wspomnianej Osoby w Trójcy — ale nie znaczący bynajmniej, żeby

---

[1] „Par la torce spéciale de sa première hypostase“.

[2] Także pomysł osobisty Sołowiewa, niczem nieuzasadniony — i niemożliwy.

[3] Jan V. 19. [4] Św. Augustyn *in Ioannem* tract. 20.

to dzieło wyłączną było tej Osoby sprawą, lub żeby więcej albo inaczej było zrobione przez tę Osobę niż przez drugie. Samo Pismo św. nas o tem przestrzega, odwracając niekiedy zwykły porządek tych przypisywań, czyli „apropriacyj"; i tak: stworzenie przypisuje się zwykle Ojcu — a jednak św. Paweł w liście do Żydów odnosi je do Syna: *I Tyś Panie na początku ugruntował ziemię i dziełem rąk twoich są niebiosa* [1]; mieszkanie Boga w duszy przez łaskę i miłość przypisuje się zwykle Duchowi św. — a jednak w jednem miejscu Chrystus przypisuje takowe Ojcu i sobie, przemilczając o Duchu św.: *Jeśli kto mię miłuje, będzie chował mowę moją, a Ojciec mój umiłuje go, i do niego przyjdziemy, a mieszkanie u niego uczynimy* [2]. Nie potrzebuję się nad tym punktem dogmatu rozwodzić, wszelkie na to dowody znajdzie autor u każdego poważnego teologa, w kwestyi *de appropriatione*.

Jeszcze większe uchybienie w pojęciu Trójcy upatruję w oryginalnem wyobrażeniu Sołowiewa o Mądrości Boskiej, Σοφία. Mądrość, pojęta jako atrybut absolutny, jest oczywiście identyczna z istotą Bóstwa i wspólną trzem Osobom; Mądrość, pojęta jako p o c h o d z ą c a, jako wyraz myślenia Bożego, jest tem samem co Słowo, czyli Syn w Trójcy św.; ztąd w zwykłym języku Ojców Kościoła, Λόγος i Σοφία, *Verbum* i *Sapientia*, jedno i to samo znaczą [3]. Zauważają też Ojcowie, że w starozakonnych księgach Przypowieści, Mądrości, Ekkleziastyka, Mądrość Boża przedstawia się i przemawia jakby uosobiona; w kilku miejscach nawet mówi wyraźnie, że jest „zrodzoną" z Boga, zkąd wnoszą kategorycznie, że mowa jest w tych miejscach o drugiej Osobie Trójcy. Otóż p. Sołowiew przez tę Mądrość rozumie coś, co nie jest Osobą Syna — to mówi wyraźnie — i co nie jest także prostym atrybutem istoty Boskiej,

[1] Żyd. I. 10. [2] Jan XIV. 23.

[3] Patrz Proverb. VIII. Sap. VII. Eccli XXIV. Słowa w tych miejscach użyte: *Dominus possedit me — concepta eram — parturiebar*, jednakowo wyrażają rodzenie w języku biblijnym. Porównaj św. Bazylego *Contra Eunom.* l. II. n. 20; Franzelin, *De Deo Trino*, th. VII.

gdyż jest, podług niego, tym początkiem *(reshith)*, w którym Bóg stworzył świat, — „pierwiastkiem żeńskim wszelkiego bytu, podobnie jak Jehowa, Bóg trój-jeden, jest pierwiastkiem czynnym ... Będąc jednością dokonaną wszystkiego w Bogu, staje się ona także jednością Boga i bytu poza-Bożego (t. j. świata)“ (str. 241). — Czem właściwie jest ta Mądrość w myśli autora, doprawdy niełatwo pojąć; to tylko jasno, że ona się w pewien sposób przeciwstawia trzem Osobom (ma relacyę realną do Boga trój-jednego, jak pierwiastek bierny do czynnego): więc nie jest ani żadną z trzech Osób, ani istotą, ani atrybutem Bóstwa, (bo między Osobami a Istotą z jej atrybutami nie ma żadnej relacyi, ale sama identyczność): — więc jest jakimś czwartem uosobieniem, ponieważ relacya w Bóstwie stanowi osobowość. W każdym razie jest ona czemś, co w chrześcijańskiem pojęciu Trójcy żadnego miejsca znaleść nie może.

I na czemże opiera Sołowiew wprowadzenie takiej nowości? Ojcowie Kościoła nic o niej nie wiedzą: przez Mądrość pochodzącą rozumieją zawsze Osobę Syna, jak to Petawiusz mnóstwem cytacyj dowodzi; w liturgiach greckich Mądrość ma to samo znaczenie, skoro autor sam przyznaje, że Grecy nie odróżniają Σοφίαν i Λόγον.—Dwie racye przytacza Sołowiew za swoją hipotezą: najprzód teksty Pisma św. o Mądrości nie mogą, jego zdaniem, wyrażać samej Osoby Syna, ponieważ w liturgii przypisują się nietylko Chrystusowi, ale także Matce Boskiej — i temu Pius IX dał sankcyę w bulli o Niepokalanem Poczęciu. Ależ wiadomo, że Kościół odnosi te teksty do Matki B. w znaczeniu tylko przystósowanem *(sensu accomodatitio)*; i sama bulla, na którą powołuje się Sołowiew, dosyć wyraźnie mówi, że te słowa Pisma opiewają tę Mądrość przedwieczną, która wcielić się miała w żywocie Maryi, tj. Syna Bożego, i że z tego tytułu Kościół je i do Maryi p r z e n o s i [1]. Drugi

[1] Ipsissima verba, quibus divinae scripturae de increata Sapientia loquuntur, ejusque sempiternas origines repraesentant, consuevit (Ecclesia) tum in ecclesiasticis officiis, tum in sacrosancta liturgia adhibere et ad illius Virginis primordia transferre, quae uno eodemque decreto cum divinae Sapientiae incarnatione fuerunt praestituta. Z bulli *Ineffabilis*.

i w gruncie główny dowód naszego autora zależy na tem, że w jakiejś cerkwi — jeśli się nie mylę, św. Zofii w Nowogrodzie — znalazł on obraz, przedstawiający postać skrzydlatą, siedzącą na tronie, która nie może być ani Aniołem, ani Matką Boską, ani żadną z Osób Trójcy św., ponieważ te wszystkie postacie naokoło niej są przedstawione; — musi to więc być Σοφία, Mądrość Boża, którą lud ruski w ten sposób pojął. Ale jakież ztąd, pytam, prawo do wniosku dogmatycznego? Co z dwojga łatwiej przypuścić: czy, że jakiś malarz średniowiecznej ławry nie dobrze wiedział, czem jest ta Boska Mądrość, albo choć nieźle rzecz pojmował, niedokładnie ją w obrazie przedstawił, — czy też, że trzeba powszechne w Kościele pojęcie Boskiej Mądrości zreformować, i jakąś czwartą postać do Trójcy wprowadzić — *quaternitatem in divinis!?* [1].

Nadwerężywszy w ten sposób chrześcijańskie pojęcie Boga w Trójcy jedynego, autor — jak było do przewidzenia — zwichnął w następstwie i pojęcie stworzenia. Najprzod, chcąc i fakt stworzenia świata *a priori* filozoficznie wywnioskować, musiał przypuścić konieczność tego faktu. Mówi on wprawdzie kilka razy, że akt twórczy jest „wolny", ale chyba przez tę wolność rozumie tylko wykluczenie zewnętrznego przymusu, a nie wewnętrznej konieczności; albowiem od str. 224 do 228 czytam wywnioskowanie faktu stworzenia z wymagań Istoty Boskiej, jako coś Bóstwu koniecznego, bez czego Bóg nie może być istotą doskonałą. Tymczasem, według dogmatu chrześcijańskiego, Bóg mógł być bez świata, a stworzenie jest

[1] Pomijam ów dowód filologiczny, który Sołowiew upatruje w pierwszem słowie genezy (*bereshith* — na początku); kładzie on nacisk na to, że *reshith* jest rzeczownikiem, i że jest żeńskiego rodzaju, twierdząc, że Hebrajczyk nie mógł pod tem słowem rozumieć „początku czasu", ale musiał sobie pomyśleć istotę substancyalną. Gdyby i tak było, toby trzeba rozumieć przez ten początek Słowo, — jak tłómaczą niektórzy Ojcowie (*in principio*, tj. *in Verbo*). Ale faktycznie ten sam wyraz: *reshith*, *bereshith*, zachodzi wielokrotnie w Biblii w znaczeniu oczywiście czasowem, jak: „na początku panowania tego króla". Porównaj: Deuter. XI. 12. Isaj. XLVI. 10. Job. XLII. 12. Jer. XXVI. 1, XXVII. 1. XXVIII. 1, XLIX. 34.

czynem Boga zupełnie wolnym, „wolnym od wszelkiej konieczności“ — jak orzeka wyraźnie sobór Watykański [1].

Ale to jeszcze mniejsza w porównaniu z pojęciem i tłómaczeniem samego aktu twórczego, jakie nam autor daje. Czytając to tłómaczenie, myślałem, że jestem w starej Aleksandryi i słucham wykładu Plotyna, albo któregoś z ówczesnych mistrzów gnostycyzmu. Bóg stwarzając, ma przed sobą, nie czystą nicość (jak zwyczajnie pojmujemy), ale jakąś istność potencyalną, chaotyczną, ὕλην, ἄπειρον, *tohu-vabohu*, *die schlechte Unendlichkeit*, która tak dalece nie jest niczem, że odwiecznie „c h c e się zatwierdzić“, że „ma pretensye“ do pełnego istnienia (str. 226), i że, aby ją powstrzymać od tego urzeczywistnienia się, potrzeba odwiecznego czynu i „siły Boga Ojca“. Ztąd wynika najoczywiściej, że ten pierwiastek chaotyczny jest czemś, ma jakąś moc i dążność, sam przez się, nie od czynu twórczego: to samo co twierdzili Platończyczy, Gnostycy i Manichejczycy, gdy stawiali jakąś materyę (ὕλην) niestworzoną — a przeciwko czemu jednogłośnie powstawali Ojcowie Kościoła, ucząc, że Bóg stworzył bez żadnego zgoła substratu, „dając byt temu, co nie było“ [2]. Samoistność pierwiastku chaotycznego u Sołowiewa potwierdza się jeszcze tą logiczną konsekwencyą, że kreacya, podług niego, nie jest czynem Boga pozytywnym, dającym byt, jak powszechnie chrześcijanie rozumieją, ale tylko „wstrzymaniem się od czynu“, „puszczeniem chaosu na wolność“. To czytam wyraźnie na str. 231, i jeszcze wyraźniej na str. 236 i 243. Wedle tego oczywiście Bóg nie byłby stwórcą, ale tylko organizatorem świata, δημιουργός — nowe podobieństwo z manicheizmem. Jakoż po czynie negatywnym Ojca, który wypuścił chaos na wolność, występują u autora drugie dwie Osoby, aby ten chaos opanować i ład weń wprowadzić (str. 243).

Co więcej, w dalszym ciągu pokazuje się, że ten pierwiastek chaotyczny jest zarazem pierwiastkiem psychicznym,

[1] Sess. III. cap. 1. can. 5.

[2] Teksty Ojców niezliczone u Petawiusza, *de Creatione*: Palmieri, *de Deo creante*, teza VI etc.

bo ma aspiracye, żądzę; przeobraziwszy się, jak zaraz powiem, w duszę świata, „ma jakieś głuche wspomnienie istnienia bez początku“ *(sic!* — str. 237). Wreszcie okazuje się on także pierwiastkiem złym, rdzennie złym, bo wszelkie jego objawy i podrygi są złe, są „buntami przeciw Bóstwu“ (str. 227), aż póki go Bóg nie owładnie i nie przeniknie. I wtedy jeszcze „tli się on jak ogień pod popiołem“, i nawet w grzechach człowieka przejawia swą niewygasłą potęgę. Tu już doprawdy takie występuje podobieństwo tej teoryi z nauką Manesa i jego poprzedników aż do Zoroastra, że ja — niech mi autor wybaczy — różnicy oznaczyć nie potrafię. Tu i tam: Bóg dobry — a *hyle* samoistna i zła; tu i tam świat nie jest czystym utworem Boga, ale wynikiem walki tych dwóch pierwiastków; początek zła nie jest od wolnej woli stworzenia, ale od istności rdzennie złej [1].... Radzę tylko p. Sołowiewowi, żeby odczytał Ojców, którzy więcej pisali o manicheizmie, jak Epifaniusz, Augustyn, Teodoret, Tytus Bostrensis [2]: w ich dziełach zobaczy, jak nauka katolicka o stworzeniu daleką jest od tego pesymizmu wschodniego, od tej zmory dwóch potęg przeciwnych, — jak jest pełną światła, wolności, samodzielności Boga i każdej jednostki stworzonej — prawdziwej filozofii.

Jeszcze jeden krok zróbmy w tej kosmogonii Sołowiewa. Z owego złego chaosu wywiązuje się jakaś „dusza świata“, pierwiastek już zupełnie psychiczny, któremu autor ważną rolę przypisuje w rozwoju i losach świata, a potem ludzkości. Jak-

[1] Tak dalece zapuszcza się autor w tym kierunku, że w samem kształtowaniu świata i pojedynczych gatunków przypuszcza walkę Słowa z potęgami demonicznemi o duszę świata, i tej rozterce przypisuje wytworzenie niekształtnych przedpotopowych potworów (str. 250—252). — A przecież wiadomo, że ta sama kwestya o zwierzętach dla człowieka wstrętnych i szkodliwych, służyła już za taran Manichejczykom; Ojcowie zaś prawowierni obstawali przy twierdzeniu, że i te wszystkie zwierzęta od Boga samego stworzone zostały i że nie są złe w sobie. Wreszcie dekret soboru lateraneńskiego IV spór zamknął, zdaje mi się, gdy orzekł, że Bóg jest „jedynym pierwiastkiem *(unum universorum principium)*, stwórcą wszystkich rzeczy *(creator omnium)* widomych i niewidomych, duchowych i materyalnych“.

[2] Contra Manicheos l. I.

żeż on tę duszę wprowadza? jak udowadnia jej istnienie? Bardzo prosto. W pierwszem stadyum już urzeczywistnionej materyi występują trzy prawa albo formy jej bytu: przestrzenność, czasowość i mechaniczne działanie: „otóż widocznem „jest, że te trzy prawa wyrażają tylko powszechny wysiłek, „dążący do rozdrobienia i rozkładu świata. Ten wysiłek, ta „dążność jest samym rdzeniem natury poza-bożej, chaosu. Ale „wysiłek suponuje wolę, a wola suponuje podmiot psychi- „czny, duszę".—Doprawdy, zdałby się lepszy argument dla tak ważnej tezy. Jestto poprostu gra ze słowem wysiłek *(effort)*. Przecież kiedy w potocznej mowie przenosimy wyrazy psychologiczne: wysiłku, dążności, chcenia, z podmiotu do materyalnych przedmiotów, czynimy to tylko w znaczeniu analogicznem, mamy na względzie podobieństwo zewnętrzne w skutku, o wewnętrznem zaś podobieństwie nic nie wiemy. Jeżeli zaś kto chce nam dowieść, że jest tu i wewnętrzne, psychiczne podobieństwo, chcielibyśmy na to innego dowodu, niż to — żeśmy tych wyrazów użyli.

Racyi więc przypuszczenia takiej duszy świata niema żadnej. Z drugiej strony to przypuszczenie doprowadza do nie wiedzieć jakich dziwnych, obcych i wcale nie przyjemnych następstw. Będąc członkami świata, znajdujemy się pod wpływem nietylko zewnętrznych podszeptów złego ducha, ale jakiejś immanentnej, a nieznanej nam potęgi. Ponieważ ta dusza ma wolność wyboru, może się ku dobremu lub ku złemu zwrócić (str. 235, 236), zdaje się konsekwentnem, że może się zbawić i może się na wieki potępić — a wówczas powstaje pytanie: o ile my, będąc w jakiś sposób jej organami i członkami, zostajemy indiwidualnie panami naszego losu?... Takich pytań i zawikłań snuje się cały szereg, bośmy wyszli z prostego chrześcijańskiego poglądu na świat, i grzęźniemy w jakiejś oryentalnej, z panteizmem pokrewnej teozofii.

W końcu przecież ten zły sen się rozwiewa: z rozdziałem VIII-ym przechodzimy znowu do życiowych, społecznych zagadnień. — i tu odnajdujemy naszego dawnego Sołowiewa, jasnego

i gruntownego myśliciela. Mamy wrażenie, żeśmy z jakiejś burzliwej i złowrogiej cieśniny wypłynęli znów na spokojny i głęboki ocean. Rozprawia on nam o zasadniczych warunkach i prawach chrześcijańskiego społeczeństwa, rzuca śliczne i głębokie poglądy na dziejowe przygotowanie do Chrystusa, u Indów, u Greków i u Żydów. W związku, jaki upatruje między potęgami społecznemi a Osobami Trójcy św., tudzież między prawami i obowiązkami człowieka, a siedmioma sakramentami, nie widzimy nic więcej, jak tylko piękne i trafne zestawienie; ale w tem wszystkiem jest wiele nowych, wzniosłych i prawdziwych myśli; wszystko prowadzi do tego, że społeczeństwo chrześcijańskie musi być solidarne, a Kościół Chrystusowy nie może być, jak tylko jedną Owczarnią pod jednym Pasterzem.

Jak sobie wytłómaczyć owo nieszczęśliwe zboczenie Sołowiewa, które tak fatalnie szpeci znakomitą zkądinąd jego książkę, i całej pracy jego życia niewątpliwie szkodliwy cios zadaje — utwierdza tylko gadania jednych, że Sołowiew jest marzycielem i niczem więcej, i posądzenia drugich, że nie jest prawowiernym chrześcijaninem? Tłómaczy się to najpierw, jak powiedziałem, złą filozofią, którą się karmił nasz autor, nie przebywszy wprzód klasycznej szkoły myślenia:

> Quo semel est imbuta recens, servabit odorem
> Testa diu —

po drugie, pewną jednostronnością jego studyów teologicznych. Czytając Ojców, chwytał on chciwie wszystko, co dotyczyło kwestyj spornych między Wschodem a Zachodem; w tym zakresie stał się prawdziwie biegłym teologiem, — reszta widocznie mniej go obchodziła i nie wpadała mu w oczy. Wystarcza to do polemiki, jaką przeciw schyzmie zawsze gruntownie i zwycięsko prowadzi, wystarcza do historycznych i społecznych badań, w których jest zawsze tak świetny; ale nie wystarcza wcale do filozofii o dogmacie; na to potrzeba, co najmniej, dobrej i wszechstronnej teologicznej szkoły. Wreszcie tłómaczę to sobie tem, że Sołowiew ma błogosławieństwo Boże do walki, jaką prowadzi dla pojednania Rosyi z Kościołem, ale

do tego specyalnie; — gdy zapuszcza dalej swe zagony, wychodzi ze swego zadania.

Wytknąłem objektywnie i bez ogródki błędy, w jakich utknął Sołowiew w swej filozofii dogmatu. Nie wątpię, że jak się przekona o niezgodności swych zdań z nauką tego Kościoła, któremu się sercem poddaje i którego dogmatycznej powagi wymowniej broni, niżbym to potrafił uczynić, to ani się zawaha do nauki kościelnej się zastosować. Dodać też muszę uwagę, że ten nieudany utwór — tych 60 stronnic z jednej książki — jest wyskokiem poza organiczną całością wielkich i cennych płodów autora; jestto — jak mówią Francuzi — *un hors-d'oeuvre*, który wyłączyć można bez żadnego uszkodzenia reszty. Ludzie myślący, których te wzniosłe zagadnienia obchodzą, powinni to wyłączenie w myśli czynić (aż je sam autor uczyni), i niemniej cenić rzadkie tego pisarza i człowieka zalety i zasługi. Dla ogółu zaś czytających ten cały ustęp jest zbyt zawiły i abstrakcyjny, aby mógł wpłynąć na ich zdanie — wyłączą go mimowolnie.

W rezultacie, jaki może mieć wpływ Sołowiew na Rosyę? — ta kwestya żywotna staje przed myślą na końcu niniejszego studyum. Gdy go zapytano w Paryżu, wielu ma stronników w swoim kraju, o lpowiedział: „Sto milionów“: — wiemy już z tego, co poprzedza, w jakiem znaczeniu uważa on cały lud rosyjski za solidarny ze sobą. Gdybyśmy go zapytali: kiedy się Rosya nawróci do katolicyzmu? odpowiedziałby bez wahania, że jutro. Niech się cieszy tą nadzieją. W rzeczywistości przecież historya nie kroczy nagłemi cudami, ale płynie korytem normalnych praw natury ludzkiej, i Bóg nią rządzi Opatrznością „łagodną“ i „przewłoczną“ i szanującą samodzielność ludzką. *Tu autem cum tranquillitate judicas* — mówi Pismo o Bogu w historyi — *et cum magna reverentia disponis nos* [1].

[1] Sap. XII. 18.

Nagłe zwroty zdarzają się w polityce, jako zewnętrzne wyrazy przygotowanych zwolna w łonie narodów odmian. Ale wewnętrzne, moralne przeobrażenia społeczeństw nie dzieją się inaczej, tylko po stopniach i z czasem — bo tak łaska Boża, jak i wpływy złego, ważą się z milionem wolnych czynników. Ten cały pochód „usprawiedliwienia grzesznika", który magistralnie skreśla sobór Trydencki[1]: — najprzód wejście w siebie i poznanie złego stanu swego — potem bojaźń Boga — aspiracya do sprawiedliwości — obrzydzenie występku i przedsięwzięcie nowego życia, — jestto ewolucya, nietylko nawracającej się jednostki, ale *a fortiori* nawracającego się społeczeństwa. Chcemy wnioskować o bliskim powrocie jakiegoś narodu do prawdy Bożej? patrzmy, czy ten naród jest na pierwszym, czy na drugim, czy na innym stopniu rzeczonej ewolucyi ducha; — żadnej innej wskazówki na to niema. I my nie wątpiemy, że wolą Bożą jest, by i Rosya się nawróciła do katolickiej prawdy, i służyła wraz z innemi narodami królestwu Bożemu na ziemi; ale nie widzimy dotąd, żeby się na którymkolwiek stopniu nawrócenia znajdowała. Nie widzimy tego osobliwie w warstwie oświeconej społeczeństwa rosyjskiego, — a ta warstwa jest bądź co bądź organem świadomości narodu, i jeszcze nie widziano, żeby jakaś myśl urzeczywistniła się w jakimś narodzie, poza jego „inteligencyą".

Z drugiej strony nie mniejszym byłoby błędem mówić: Sołowiew jest sam jeden, to zjawisko nic nie znaczące i wpływu żadnego mieć nie może. Już to samo, że kraj ten wydał ze swego łona taką jednostkę, która samodzielnie przebiła grubą krustę ignorancyi i nacyonalnych uprzedzeń, i do tak wysokiej i jasnej wzniosła się intuicyi prawdy, — już to samo pokazuje, że w łonie tego narodu tkwi więcej treści i uzdolnienia do królestwa Bożego, niż pospolicie przypuszczamy.

Przytem taki głos, jak Sołowiewa, tak szczerym brzmiący akcentem prawdy i miłości, tak uderzający zwykle niezwyciężonemi dowodami, tak trafnie przenikający do głębi duszy ro-

[1] Sessio VI, cap. VI.

syjskiej, nie może zostawać bez odgłosu — przynajmniej cichego w duszach lepiej nastrojonych. I w rzeczy samej, dokądkolwiek ten głos dolatuje, ztamtąd wracają nam echa jakiegoś ruchu myśli i serc. Cenzura państwowa stawia zapory, policya czuwa, ale materyalne przeszkody nie uwięzą tak zupełnie ducha, żeby jego siła nie oddziaływała w dal magnetycznie. Samo to rozbudzenie idei religijnej w Rosyi, na które w tej chwili i dwór i rząd i słowianofile dmuchają — jakkolwiek w fałszywym, czysto schyzmatyckim i zgubnym pędzone kierunku — bądź co bądź przyczyni się do jakiegoś myślenia, do badania w sferze religijnej; a gdy jeszcze wśród tego odmętu pustych głosów odezwie się raz poraz głos brzemienny prawdą, — jak ten dzwonek św. Bernarda wśród burzy — to nie może zostać bez skutku. Sołowiew nie nawróci swego kraju, jak się iście spodziewa, ale zacznie — i już zaczął jego nawrócenie. Nie doczeka się zapewnie Rosyi katolickiej, ale już dziś ma tę zasługę i tę pociechę, że zbliżył do niej katolicyzm.

W końcu Włodzimierz Sołowiew jest w moich oczach żywym dowodem, że Pan Bóg myśli łaskawie o Rosyi, a kiedy ona zamyka uporczywie oczy na wszystkie źródła światła, które mieni obcemi, ten Bóg nieprzebrany w miłosierdziu zapala jej pochodnię z jej własnego rosyjskiego korzenia, i — co dziwniejsza — wśród jej własnej prawosławnej Cerkwi.

„Wejrzyj, Panie — temi słowy modlitwy za Skargą koń-„czymy [1] — wejrzyj na błędne owce z trzody twojej, a na „swoje ramiona podźwignij je, aby droga krew twoja na nich „nie ginęła. Uwesel z nich Anioły twoje, i nas braty ich, a do „domu paszy i pokoju twego przygarnij je. Otwórz oczy ich „na światłość prawdy katolickiej, a wywiedź je z błędów i mocy „szatańskiej: aby z nami, w jedności ciała twego, wiecznych „dóbr oczekiwali".

Ks. Maryan Morawski.

[1] „Wzywanie do jednej wiary".

RESTAURACYA
PRESBITERYUM KOŚCIOŁA PANNY MARYI W KRAKOWIE.

W poniedziałek wielki 31 marca 1890 r. oddane zostało presbiteryum kościoła Panny Maryi do użytku kościelnego, po dokonanej restauracyi, niezwykłej i świetnej, tak co do umiejętnego przeprowadzenia jej, jak co do krótkości użytego na to czasu (15 miesięcy) i nadzwyczaj małych kosztów — a szczególnie co do otrzymanego rezultatu. Tylko dzięki niepospolitym zaletom serca i umysłu czterech osobliwie kierowników: JE. p. Pawła Popiela, mistrza Matejki, prof. Łuszczkiewicza i architekty Stryjeńskiego, pociągniętych miłością kościoła Panny Maryi do rozwinięcia całej swej energii, każdy w innym zakresie, i dzięki całej dobrej woli proboszcza Panny Maryi, ks. prałata Bobra, i innych księży tego kościoła,—dzieło podobne dokonać się mogło. Jest ono więc w pierwszym rzędzie chlubą dla miasta i dla całego społeczeństwa polskiego, że takich posiada ludzi; jest niemniej chlubą, jako dowód pobożności i miłości kościelnych zabytków naszych; jest wreszcie chlubą niemałą, jako dzieło sztuki niezwykłej miary i niezwykłej doskonałości, które napełnia radością i zachwytem dusze modlących się i ten przybytek Pański zwiedzających.

Ale gdy odrazu chcielibyśmy biedz za tą radością serca i za tym zachwytem umysłu, i najgorętszymi słowy, na jakie

nas stać, opowiadać wszystkim piękność dzieła, czujemy, że słowa nasze z trudnością przedrzećby się mogły przez gęstą siatkę wątpliwości, a nawet zdań niepochlebnych, wypowiadanych przez ludzi, o których dobrej woli nie wątpiemy, ale którzy, jak przekonani jesteśmy, z rzeczy tak nowej dla ogółu jasnej sprawy sobie nie zdają i za doraźnem idą uczuciem. Musimy więc na krótką chwilę zadać sobie gwałt i wypowiedzieć najprzód kilka ogólnych uwag, któreby te mgły niejasne ile możności rozwiały.

Najznakomitszy może znawca sztuki średniowiecznej, jaki żył w naszym wieku, Viollet-le-Duc, mówi, że „o malarstwie, zastosowanem do architektury, można to powiedzieć, co o każdej kompozycyi muzycznej, którą musimy słyszeć kilka razy, aby nam była jasną ... Harmonia jest językiem dla uszu, niemniej jak dla oczu, i trzeba się z nim dobrze obeznać, aby pojąć jego znaczenie;... my zaś tak się boimy monumentalnego malarstwa, że właściwie tej sztuki już dziś nie rozumiemy". Jeżeli tak można było mówić przed 20 laty we Francyi, to u nas z pewnością dziś jeszcze daleko słuszniej to powiedzieć można. Nietylko niższy stan naszej cywilizacyi, ale i wszystkie warunki naszego bytu nie pozwalają nam na normalny rozwój najbardziej zbytkowego objawu ducha ludzkiego, sztuki monumentalnej w ogóle, a cóż dopiero na rozwój jednej z jej gałęzi, która i w najważniejszych centrach cywilizacyi tylko sporadycznie, a rzadko kiedy szczęśliwie uprawiana bywa. U nas dotąd jeszcze, w warstwach umysłowo najwyżej stojących, powszechnym jest gust klasyczny, w początkach tego wieku wszechwładny, a wszelkiej żywej barwie, jako rzeczy barbarzyńskiej, przeciwny. Do tego przyłącza się inny jeszcze powód, powszechniejszej natury, byśmy nie chcieli kościelnego, szczególnie jaskrawego, monumentalnego malarstwa: w pojęciu bowiem naszem połączone jest ono ściśle ze stylem bizantyńskim i ze schyzmatycką cerkwią, a ponad tę niema dla nas na świecie nic bardziej wstrętnego. Jest także w sławiańskim charakterze naszym pobożność mglista jakaś i mroczna, która szuka ciemnych, szarych kątów do modlitwy, a jasnych i bar-

wnych kościołów unika. Gdy więc nagle stawiono nam przed oczy dzieło uderzające żywością barw, kapiące od złota, które niejednym rysem przypomina nam całe bogactwo i przepych Wschodu, cóż dziwnego, że ten widok niezwykły i niespodziewany zadziwił jednych, obudził wątpliwości drugich, oburzył trzecich. Pamiętać trzeba i o tem, że bardzo często rozczarowanie lub niezadowolenie artystyczne pochodzi ztąd, że dzieło, które mamy przed oczyma, porównujemy z niejasnem pragnieniem wyobraźni naszej, z którem, jako z fikcyą, ono realne, konkurencyi wytrzymać nie może. Kto jednak chce sobie zdać sprawę z rzeczywistej wartości dzieła, ten musi porównać je z tem, co już w tym kierunku zrobiono, i musi mieć wyobrażenie o tem, co w ogóle sztuka w tym kierunku zdziałać może. Sąd więc słuszny wymaga, obok wyrozumienia i spokoju, znajomości rzeczy i kultury artystycznej, która w najbardziej nawet inteligentnych kołach naszych jest dość wyjątkowa.

Niektórzy w sądzie swoim doraźnym zasłaniają się tem, że i wśród nas są nowocześni znawcy, z polichromią zasadniczo w zgodzie, którzy, choć nie publicznie w pismach, ale w poufnej pogadance przeciw restauracyi, takiej jak jest, niejednę podnoszą wątpliwość. Co do szczegółów, gdy do nich przejdziemy, będziemy się starać na wszystko odpowiedzieć, obecnie tę tylko zrobimy uwagę ogólną, że i w świecie rdzennie artystycznym są rozmaite przekonania i szkoły, że i tam wre walka, a niema kierunku, któryby z jakiegoś stanowiska nie mógł być zwalczany. Nie chodzi więc o to, by dzieło jakieś podobało się wszystkim znawcom, ale by w sobie, w tym kole zasad i wymagań, w jakiem jest stworzone, tym wymaganiom i zasadom odpowiadało. Odnowienie zaś presbiteryum kościoła Panny Maryi, pominąwszy ten lub ów szczegół, w tem położeniu jest, i dlatego ma rzeczywistą i głęboką artystyczną wartość.

„Malarstwo dekoracyjne — mówi Viollet-le-Duc w innem miejscu — jest w zastosowaniu do architektury rzeczą trudną, a to dlatego, że prawidła jego są bardzo rozmaite, względnie

do miejsca i do przedmiotu. Malarstwo dekoracyjne powiększa lub zmniejsza wnętrze budynku, czyni je jasnem lub ciemnem, psuje jego proporcye albo je uwydatnia, oddala lub zbliża, sprawia wrażenie miłe lub nużące, dzieli lub jednoczy, zakrywa błędy, lub je zwiększa". Widzimy więc, że pomalowanie może budynkowi łatwo szkodzić, a może także wartość jego architektoniczną zwiększyć, ale w każdym razie m u s i go w jakiś sposób zmienić — i sam fakt tej zmiany nie może być zarzutem, chyba że ta zmiana wyszła budynkowi na niekorzyść. Nie zdaje mi się więc, aby można żałować np., że presbiteryum kościoła Panny Maryi skutkiem pomalowania zdaje się niższe lub szersze, lub że dynsty i żebra zdają się grubsze, byle tylko ogólne proporcye budynku, po okryciu go barwami, były dobre, szlachetne i miłe dla oka. Powiem nawet, że to, co się mówi o zniżeniu lub rozszerzeniu budynku, lub zgrubieniu jego elementów, ma bardzo niepewną podstawę, bo sąd taki płynie z porównania silnego wrażenia aktualnego z innem, dawno minionem, które słabiej zostało w pamięci. A w naszym wypadku ta jeszcze zachodzi niedokładność, że tego presbiteryum, oczyszczonego z przeróbek architektonicznych ks. Łopackiego, a niepomalowanego, nikt dobrze nie widział, zastawione bowiem było ciągle rusztowaniem. Apriorystyczne zaś twierdzenia, że takie lub inne malowanie musi w ten lub w inny sposób proporcye zmieniać, często myli, jeżeli się wciąga w rachubę samo prowadzenie linii, a nie zarazem dobór kolorów, rzeczywistą wielkość i wzajemny stosunek pól zabarwionych, oddalenie i t. d. Taki apriorystyczny sąd wymaga wielkiego doświadczenia i bardzo subtelnego a zupełnie fachowego znawstwa. Nam się zdaje, że sklepienie, oczyszczone z brudu i pyłu, na którem widzi się wyraźnie żebrowanie o dokładnych profilach, musi koniecznie wydawać się nam bliższe, niż sklepienie zapylone i zamglone. Sklepienie bliższe zaś czyni kościół niższym, a przeto w ogólnej proporcyi i szerszym, ale czyni go właśnie takim, jakim chciał go mieć architekta. Zdawać się może, że bardziej jeszcze zbliżyły oczom naszym sklepienie żywe barwy i złoto. Jestem przekonany, że tak nie jest, ale gdyby tak było nawet, niema ni-

czyjej winy, bo obniżenie presbiteryum było w każdym razie nieuniknionem, jeżeli się w ogóle kościół restaurować i malować postanowiło.

Ale — mówią niektórzy — stylu gotyckiego główną cechą są proporcye wąskie a wysokie, cienkie a wydłużone podpory i brak linij poziomych. Wszystko to prawda, byle w miarę, byle się nie wpadło w doktrynerstwo. Tym, którzy uważają powyższą zasadę za absolutną, przedstawimy do porównania dwie fasady gotyckie: Notre-Dame w Paryżu, która jest niezrównanem arcydziełem, i fasadę tumu kolońskiego, która jest jednem z najnudniejszych rezultatów konsekwentnie przeprowadzonej doktryny o wydłużonych proporcyach i zupełnem wykluczeniu linij poziomych. Gotyka najlepszych czasów ma proporcye dużo szersze, niż z epoki gotyckiego baroku.

Tych kilka uwag wystarczy by wykazać, że odzywającym się tu i owdzie sądom niechętnym i wątpliwościom brak jest tej bezwzględnej naukowej wartości, w jaką przybierać się usiłują, i że w ogólnym kierunku i w całości restauracyi nie odkryły żadnego zasadniczego stylowego lub artystycznego błędu, któryby całe dzieło potępiał. Wszystkie te sądy i wątpliwości są najczęściej wyrazem ciasno pojętego doktrynerstwa książkowego, a w najlepszym razie dowodzą tylko, że można było zrobić inaczej, i byłoby także dobrze; nie dowodzą jednak, że to inaczej byłoby lepsze, lub że to, co się zrobiło, dobrem nie jest.

A w samej rzeczy to, co się zrobiło, nie tylko jest dobre, ale znakomite i wspaniałe; i choć ten tylko, kto rozumie wszystkie trudności z dziełem tak wielkiem połączone, wartość jego w całej prawdzie osądzi, jednak i to co się widzi, wystarczyło, by wywołać zachwyt w niezmiernej większości mieszkańców Krakowa. Niektóre dusze nieuprzedzone, a głębiej pobożne, znajdywały nawet wyrażenia niezwykle silne dla wypowiedzenia swych wrażeń; nazywały presbiteryum Panny Maryi „przedsionkiem nieba“, „przybytkiem świętości“, w którym „i ściany się modlą“, „niedorównanem *Magnificat*, harmonią linij i barw wyśpiewanem“. A wykrzykniki te mają w sobie z pewnością wię-

cej istotnej prawdy, niż na wiatr rzucane słowa niezadowolenia i krytyki. Przyłączając się więc stanowczo do zadowolonych i zachwyconych, przypatrzmy się bliżej dokonanemu dziełu.

Plan całej polichronii, pojęty w myśli Matejki, nadzwyczaj jest jasny i prosty, a dziwnie głęboki i wyczerpujący to wszystko wielkie, co się z tym kościołem łączy. Kościół ten, poświęcony czci Najświętszej Panny, postawiony w stolicy Polski, w epoce Kazimierza W., związany w pierwotnem założeniu swojem z imieniem Iwona Odrowąża, zbudowany jest głównie staraniem i kosztem mieszczaństwa krakowskiego. Ztąd w czterech zwornikach sklepienia presbiteryum cztery godła: w głębi, nad wielkim ołtarzem, monogram Matki Boskiej — dalej ku tęczy: herb Odrowąż, herb Polski i herb miasta Krakowa. Od tych czterech zworników rozchodzące się żebra ku kapitelom, i dynsty dźwigające kapitele i żebra, powtarzają te same godła w polach naprzemian złotych i czarnych, jakoby na kładzionych na sobie kamieniach, na jakie są podzielone. Żebra zaś, które do zworników sklepień nie dochodzą, ale idąc w poprzek kościoła całą długość sklepienia na przęsła dzielą, te mają wszystkie literę *K* z koroną, znany monogram Kazimierza W., w ten sam sposób w polach naprzemian czarnych i złotych umieszczoną. Ta ornamentacya jednolita całego zrębu architektonicznego, która, wznosząc się z dołu do góry, od pierwszego gzemsu nad stalami obejmuje baldachimy, dynsty, kapitele, żebra i zworniki, nietylko zaznacza nadzwyczaj wyraźnie całą architektoniczną konstrukcyę, ale także, niemniej wyraźnie, te główne momenta historyczne, które z budową tego arcydzieła architektury się łączą. Pola sklepień błękitne, zasiane są gwiazdami, ujętemi w pewien stylowy szemat. Ściany zaś kościoła, tj. pola między dynstami, w których umieszczone są okna, podzielone są na

dwie części wąskim fryzem, umieszczonym w wysokości kapiteli i kapitele łączącym. Górna, mniejsza część, na tle surowo traktowanym cegieł i kafli, ma dwanaście herbów, a raczej dwanaście olbrzymich pieczęci, po jednej z każdej strony okna, odnoszących się wyłącznie do historyi miasta. Jest tam pieczęć królewska, i dwie pieczęcie miasta Krakowa, wielka i mała, pieczęć magdeburskiego prawa, pieczęć Uniwersytetu, pieczęcie miasta Kaźmierza i Kleparza, i pięć pieczęci cechów, które się odznaczyły w rozmaitych epokach przy obronie murów Krakowa: mieczników królewskich, pasamoników, kuszników, złotników i rzeźników. Pod temi herbami, a nad samym fryzem, jest na banderoli ciągnącej się wdłuż całego kościoła wypisana antyfona: *Salve Regina*. Pod fryzem zaś, na dwunastu wielkich polach, pomiędzy dynstami a glifami okien, są na ciemnem jednolitem tle, z góry na dół, rzędy barwnych modlących się Aniołów, którzy trzymają banderole, każdy z inną inwokacyą, i składają się na olbrzymią Litanię loretańską do Matki Boskiej. Tylko Aniołowie umieszczeni najniżej, tuż nad gzemsem nad stalami, a oddzieleni od górnych banderolą, z wypisaną na niej antyfoną: *Ave Regina Coelorum*, nie śpiewają, ale grają na rozmaitych instrumentach.

Taki jest w ogólnych rysach pomysł Matejki, i każdy, kto zna sławniejsze polichromie gotyckie, przyznać musi, że jest zupełnie oryginalny, i że niema może na świecie drugiego, któryby był równie prosty a wzniosły, i równie zastosowany do architektury. Mnie cisną się na myśl dwa kościoły, sławne ze ściennego malarstwa: Ste Chapelle i Assyż. Assyż, którego wszystkie ściany i sklepienia, tak górnego jak dolnego kościoła, zapełnione są niezrównanemi figuralnemi kompozycyami Giotta i współczesnych mu malarzy, jego i sienneńskiej szkoły, będzie zawsze pierwszorzędnym monumentem malarskim; ale tam o związku organicznym malarstwa z architekturą niema mowy. Ste Chapelle zaś jest arcydziełem ornamentyki, zadziwia żywością i harmonią barw, czystością linij i szlachetnością motywów ornamentacyjnych, — wszystko tam dąży do uwydatnienia architektury, ale jakiejś wyższej myśli religijnej lub histo-

rycznej, jakiejś ogólnej koncepcyi duchowej niema tam śladu. W presbiteryum Panny Maryi jest jedno i drugie: jest pomysł duchowy i uwydatnienie architektury, a obie te strony, jednocząc się w szlachetnej harmonii kolorystycznej, podnoszą się nawzajem kontrastem traktowania i zupełnie innym charakterem rysunku: twardym i surowym w części architektonicznej, dźwigającej — fantastycznym i pełnym poezyi na wypełniających polach, które nic już nie dźwigają.

Nie wszyscy jednak godzą się na ten sposób pojęcia, który zdaje im się zbyt silnie zaznaczonym, ze szkodą ogólnego duchowego znaczenia gotyki. „Gotyka — powiadają — jest wyrazem idei chrześcijańskiej, i dlatego wszystkie jej proporcye, w porównaniu do proporcyj architektury klasycznej, są porywające w górę, elementa zaś architektoniczne nie mają charakteru dźwigania i opierania się martwej sile ciężkości, ale mają charakter organiczny, roślinny, wyrastania z ziemi i rozgałęziania się w górze; więc malarstwo powinno ten właśnie charakter silniej uwydatnić ornamentacyą, idącą wzdłuż filarów, dynstów i żeber; zaznaczenie zaś malowaniem, i to w sposób tak jaskrawy, pojedyńczych warstw kamieni, jest gotyce wręcz przeciwne, i ono to stanowi najsłabszą stronę dekoracyi kościoła". Na ten zarzut niema odpowiedzi absolutnej. Faktem jest, że polichromia kościołów gotyckich, której ślady zostały nam z minionych wieków, przeprowadzona jest najczęściej według powyższej zasady, która jest prawdziwą, nie zdaje mi się jednak, aby była jedynie prawdziwą. Malarz, dekorujący wnętrze budynku, czyni dobrze, jeźli sztuką swoją uwydatnia stronę idealną, która tkwi w kształtach budynku: ale nie zdaje mi się, by czynił źle i zasługiwał na bezwzględną naganę, jeźli uwydatnia materyalną konstrukcyę. Takiej dekoracyi przykłady — że wspomnę tylko zamek gotycki Bourbon-l'Archambault, malowany w początku XIV wieku — choć rzadkie, jednak w najlepszej epoce gotycyzmu odnaleść można. Dla architekty jedną z niezrównanych rozkoszy w dzisiejszem presbiteryum kościoła Panny Maryi jest to właśnie,

że całą konstrukcyę ma jak na dłoni, że błękitne szmaty sklepienia ze złotemi gwiazdami, że ciemne ściany z chórami aniołów same mu odpadają, i zostaje mu cały szkielet, jednolicie a nadzwyczaj silnie zaznaczony, i przedstawiający przez to w całej swej piękności doskonałą proporcyę i szlachetność głównych linij. A jakby odgadywał malarz główny przedmiot ciekawości architekty, dzieląc dynsty i żebra na pojedyncze kamienie, w powstającem ztąd niezliczonem mnóstwie przecięć, daje mu cały szereg profilów, które w każdym budynku najlepiej charakteryzują artystyczną jego wartość i epokę; — a tak w całej architektonicznej koncepcyi nic nie zostaje zakrytego.

Zresztą co się tyczy roli i znaczenia linij prostopadłych i poziomych w dekoracyi, widzieliśmy już, jak łatwo w doktrynerstwo wpaść można. Wszak słyszeliśmy i takie zdanie, że aniołowie na ścianach presbiteryum, dlatego, że są i muszą być umieszczeni w pewnych regularnych odstępach, mają charakter ornamentacyi poziomej. Wyznaję, że ilekroć usiłowałem tak na tę ornamentacyę patrzeć, okna i dynsty, pomimo całej mojej dobrej woli, tę linię poziomą mi przerywały, i usiłowania moje udaremniały. Przeciwnie, szereg aniołów pomiędzy dynstem a oknem, umieszczonych jeden nad drugim na tem samem, ciemnem, niczem nieprzeciętem tle, usadowionych na fantastycznych gałęziach rosnącej w górę olbrzymiej rośliny, z coraz szerzej rozwiniętemi skrzydłami, mimo mej woli porywał mnie do góry. Ornamentacya ta stanowczo jest prostopadła, nie pozioma. A dodam jeszcze, że podział dynstów na pojedyncze kamienie jest tak drobny, w porównaniu do rozmiarów całego budynku, iż wielu osobom nie odbiera bynajmniej ogólnego wrażenia wyrastania tychże do góry, które jest charakterem gotyki.

To ogólne wrażenie potęguje się niezmiernie, gdy się wejdzie w bliższe szczegóły całej kompozycyi, która i tem swój charakter gotycki objawia, że w ogólnych rysach bardzo prosta, w szczegółach bardzo jest skomplikowana i pełna niespodzianek. Już na polach sklepień nie same są tylko gwia-

zdy, ale tam gdzie te pola łączą się z żebrami, ciągnie się wzdłuż żeber śliczna złocona koronka, a w koło każdego zwornika wspaniała aureola, która te pola z żebrami i zwornikami doskonale łączy i do harmonijnej doprowadza całości. Znakomicie także przeprowadzona jest ornamentacya tam, gdzie żebra schodzą się nad kapitelami w bardzo wąską lejkę. Tych żebr bowiem, wychodzących z jednego dynstu i kapitelu jest aż pięć, a służy im za ornament trojakie godło: żebro środkowe ma literę *K*, a każda para żeber po bokach ma godło zwornika, od którego spływa. Przeprowadzić te godła w tem przenikaniu się wzajemnem żebr, tak, żeby ich nie zatracić i nie zagmatwać, jest rzeczą bardzo trudną, a każdemu, kogo to interesuje, polecam przypatrzyć się, czy można było lepiej tę trudność rozwiązać.

Fryz, łączący kapitele dynstów, jest także skomponowany nadzwyczaj misternie, bo każdy kawałek jest płaskiem rozwinięciem rzeźbionego ornamentu samego kapitelu, a dopiero na tem zawieszony jest z ukosa cały szereg herbowych tarcz rodzin krakowskich. Cztery tarcze, umieszczone na tęczy, po dwie z każdej strony, mają herby lub monogramy JE. P. Popiela, Łuszczkiewicza, Stryjeńskiego i kamieniarza Chrośnikiewicza. Dlaczego Matejko tak tu, jak w ogóle w całem presbiteryum żadnem godłem siebie nie naznaczył? Chyba dlatego, że chce to uczynić wtedy, gdy na chwałę Matki Boskiej, a naszą niezmierną pociechę, całego dokona dzieła. Takie płaskie rozwinięcie rzeźby, jak na fryzie, jest jeszcze jedno w górze, gdzie malutkie rzeźbione fryzy na glifach okien przeciągnięte są malowaniem aż do głównych sklepień. A te glify także są prześliczne, bo na polach o rozmaitej, ale bardzo prostej i kolorystycznie ubogiej ornamentacyi o jasnych barwach, umieszczone są w dość wielkich odstępach główki aniołków, t. zw. cherubinów, o sześciu barwnych skrzydłach, pełnych żywego a dziecinnego wyrazu. Tylko na kluczu okiennego sklepienia, i w tem miejscu, gdzie na wysokości kapiteli fryz do glifu dochodzi, i gdzie się zaczyna sklepienie całego budynku, a więc w miejscach konstru-

krywnie najważniejszych, zamiast głów aniołków są krzyże w formie t. zw. Zacheuszków.

Aniołowie, śpiewający litanię, komponowani są w ten sposób, że odwracają się tyłem do dynstów, a przodem do okien. Przy tych oknach z obu stron wyrastają od samego dołu jakieś olbrzymie, egzotyczne rośliny, które kwitnąc w samej górze pękiem lilij, wypuszczają w regularnych odstępach bujne a fantastyczne gałęzie, niezmiernie barwne, o gotyckim rysunku. Na tych gałęziach klęczą, albo raczej wykwitają z nich aniołowie; banderolom zaś, które trzymają, i na których wypisane są gotyckiemi literami inwokacye litanii, odpowiadają inne banderole, owinięte przed każdym aniołem wokoło pnia rośliny, z napisem: „Módl się za nami“. Najniżsi aniołowie, którzy grają, zwróceni są już więcej ku środkowi kościoła, a w miejscu, gdzie drzewo z ziemi wyrasta—z pośród bujnych fantastycznych liści, bardziej tym razem naturalistycznych niż stylowych—wyzierają szatany o głowach i postaciach dziwacznych, pełne gniewu i wściekłości na odgłos niebiańskiego śpiewu aniołów; niektórzy zatykają sobie uszy. Na polach pomiędzy dynstami i glifami pierwszych okien w absydzie, tak wąskich, że zaledwie mieści się w nich kilka pasów ornamentacyjnych, są jednak w tych samych odstępach, jak gałęzie rośliny dopiero opisanej, małe gałązki, które się wydobywają jakby na świadectwo, że tylko brak miejsca przeszkadza im, aby wyrosły i aby aniołowie na nich uklękli. Ciekawy jest także ten szczegół, że tak skrzydełka cherubinów, jak skrzydła wielkich aniołów, mają pióra o żywych kolorach, czerwone, niebieskie, zielone i żółte, czasem nawet z pawiemi oczami, co doskonale z żywością reszty barw kościoła się łączy. Aniołów wielkich jest wszystkich 66, a między nimi najniżsi, ci którzy grają, komponowani każdy osobno, są szczególnie piękni. Ale i między tymi, którzy śpiewają, niema dwóch jednakich; zawsze choć w części rysunkiem lub przynajmniej barwą stroju się różnią. A gdy nadto nie wszystkie ich postacie przez tego samego malarza wykonane zostały, rozmaitość ich wyrazu i ich piękna jest tak wielka, że z tego chóru każdy sobie najulubieńszego wybrać i szcze-

gólnie ukochać go może. A jest to tem łatwiej, że każdy anioł ma swoją nazwę od banderoli, którą trzyma; jeden nazywa się „Ucieczko grzesznych“, drugi „Domie złoty“, trzeci „Królowo Aniołów“ — a każdy ma swój indywidualizm, swe odrębne życie i charakter. Są wśród nich zachwyceni, zamyśleni i rozmodleni, są smagli i biali, z włosami czarnemi i blond... i to wszystko sprawia, że ta litania do Matki Boskiej jest taka żywa, taka porywająca do wtóru.

Słyszeliśmy zdanie, że aniołowie nie mają charakteru gotyckiego, ale bardzo wybitnie „Matejkowski“. Nie przeczymy z góry, ale pytamy najprzód, czy te dwa charaktery są rzeczywiście zupełnie ze sobą sprzeczne? A powtóre pytamy, które malarstwo figuralne mamy uważać za rdzennie gotyckie? Czy Giotto, który do epoki gotyckiej stanowczo należy, lub Fra Angelico, do tejże epoki powszechnie jeszcze zaliczany, są rzeczywiście malarzami bardziej gotyckimi, niż Dürer, który żył w epoce pełnego renesansu włoskiego? Mnie się zdaje, że nie. Gdy Burckhardt mówi, że niema poczucia antyku ten, komu kompozycye Fra Angelika są wstrętne, zdanie to jest obosieczne, i stwierdza niezaprzeczenie pewną bliskość stosunku Fra Angelika do antyku. A ta bliskość i u Giotta zdaje mi się nierównie większa, niż u fantastycznego Dürera; i w ogóle pierwszy renesans niemiecki zdaje mi się nierównie więcej gotyckim, niż cały gotyk włoski. Nikogo z nas z pewnością nie razi w gotyckim kościele ołtarz Wita-Stwosza; a ile jest reminiscencyj Dürerowskich u Stwosza, a Stwoszowych u Matejki, wszyscy wiemy. Gdy więc Matejko jeszcze wziął sobie za zadanie, czy to surowszym rysunkiem, czy lżejszem modelowaniem do gotyckiej epoki i do gotyckiego charakteru się zbliżyć, to doprawdy trzeba mieć wymagania bardzo wygórowane albo wielką dozę uprzedzenia, aby w swem artystycznem uczuciu do aniołów Matejki, choć stanowczo Matejkowskich, jako do niegotyckich się zrażać. Nie rażą one w gotyckim kościele rysunkiem, a nie rażą także modelowaniem, jakkolwiek to ostatnie dość jest plastyczne; bo choć przyznamy, że to modelowanie jest różne od tego, które na obrazach Giotta,

Fra Angelika lub Dürera widzimy, jednak w gruncie rzeczy nie jest ono plastyczniejsze. Wiemy, że i średniowieczna polichromia we Francyi, choć przeważnie traktowała figury w sposób tapetowy, nie czyniła tego jednak wyłącznie. Nam się zdaje, że kto bez uprzedzenia patrzy, przyzna, iż figuralna część polichromii, oryginalna zupełnie, jest zarazem zupełnie stylowa, w ogólnej kompozycyi spokojna i monumentalna i odpowiadająca wszystkim wymaganiom sztuki.

Nie wszędzie cała ta ornamentacya dała się przeprowadzić w całości, gdyż pewne waryanty architektury temu przeszkodziły. I tak, dwa przęsła na lewej ścianie są zajęte nad pierwszym dolnym gzemsem szeregiem tryforyów, czyli okien ślepych, które służą do upiększenia ściany w miejscu, gdzie przybudowana zakrystya otwarcie okien aż do dołu czyniła niemożliwem. Tryforya te nakryte są osobnym gzemsem gotyckim, przerwanym tylko dynstem w środku swej długości. W ostatnim oknie, także po lewej ręce, trzeba było umieścić chórek z organami, na miejsce zniesionego tam, gdzie dziś są tryforya. Po prawej zaś ręce są drzwi wchodowe, które także łamią gzems dolny ku górze, a niektóre pomniki — szczególnie przy tęczy wspaniały grobowiec Montelupich — na pola malowane zachodzą. To wszystko jednak nie wypada na niekorzyść całości, przeciwnie, niezmiernie ją urozmaica, a do ornamentacyi wprowadza mnóstwo nowych motywów, które bogactwo całej kompozycyi niezmiernie zwiększają. Ta zaś część ornamentacyjna, obok szlachetności rysunku i harmonii barw, ma jeszcze i tę zaletę, że cała wystudyowana jest na pomnikach gotyckiej epoki. I to nowy rys wielkości duszy Matejki, że mając ozdobić dzieło architektoniczne dawno minionego stylu, nie zabrał się do dzieła, dopokąd z malarstwem tego stylu dokładnie się nie obznajomił. Otoczył się mnóstwem rysunków i czytał najnowsze o polichromii rozprawy, i natchniony tem, co inni tworzyli w dawno minionych wiekach, stworzył to, co widzimy. Ale stworzył, nie naśladował — i tylko wprawne oko odnajduje, z pewnem zadowoleniem naukowych wymagań duszy, nici łączące ten utwór z dawną sztuką, a odnajduje

je ze szczególną radością tam, gdzie źródłem natchnienia były motywa dawnej sztuki u nas. Tę radość sprawiły nam szczególnie gałęzie, na których spoczywają aniołowie, przypominając nam prześliczne motywa Libuszy, Krużlowej, i inne. Dużo trzeba czasu, aby odkryć i spostrzedz to niezliczone mnóstwo ornamentów, ciągnących się wzdłuż okien i dynstów, i wzdłuż laskowań tryforyów, a także na dolnych zamurowanych częściach okien, na tympanonach nad tryforyami, w nyżach pod baldachimkami, na gzemsach..., a gdy się je obejmie naraz z już wspomnianymi, obfitość ich zdumiewa i stawia żywo przed oczy wszystkie dzieła średniowiecznej sztuki, świadczące sumiennością swoją, że nie dla ludzi, ale dla Boga dokonane zostały. Matejko nic siebie nie żałował, aby uczcić Matkę Najświętszą, i aby dodać chwały tym murom kościelnym, które tak gorąco ukochał. I pod jego twórczą ręką te mury rozmodliły się i rozśpiewały anielską harmonią, aby porywać odtąd wiernych do modlitwy i do hymnów pochwalnych na cześć Matki Boskiej.

Znamy już Matejkę od dawna jako malarza, i on wie, jak go wysoce cenimy; ale właśnie ta znajomość jego artystycznej muzy budziła u wielu pewną obawę, czy bogatej wyobraźni swojej potrafi nałożyć wędzidło, aby mury kościoła zachowały dosyć klasycznego spokoju, który w malarstwie monumentalnym jest konieczny, i by ich powierzchnia, jakkolwiek olbrzymia, nie została tak przepełniona postaciami, jak nieraz jego obrazy. Gdy Matejko odezwał się raz, iż gdyby dawne mury Krakowa istniały, on byłby gotów historyą polską zamalować je całe, — czujemy doskonale, że w ustach jego to nie próżne przechwałki, i że nawet do tak olbrzymiego dzieła pomysłu by mu nie brakło. Tem bardziej zasługuje na uznanie, że w tej pracy potrafił tak zapanować nad sobą, tak się poddać wyższym wymaganiom sztuki, iż odsłonił się nam jakby nowy mistrz, pełen klasycznej miary, a zarazem obejmujący intuicyjnie, tak jak wszyscy najwięksi geniusze plastycznej sztuki na świecie, nietylko warunki malarstwa, ale i wymagania architektury i rzeźby. W tem jego dziele, w historyi

twórczości jego od dzieł poprzednich tak bardzo różnem, widzimy, jak architekturę kościoła doskonale zrozumiał, i jak się jej poddał, gdy nie wahał się cały swój pomysł jej podporządkować. Widzimy go także jako znakomitego rzeźbiarza w pomyśle chórku i ustawieniu krzyża w tęczy, a dwie postacie rzeźbionych aniołów pod belką tęczy, i św. Cecylii pod chórkiem, do których dał rysunki, są postaciami dłuta tak doskonałemi, jak aniołowie na ścianach pomysłem pendzla. Ta doskonałość pomysłu całego i każdej jego części i wszystkich szczegółów jest duszą całego dzieła, — i ona tłómaczy dlaczego to dzieło jest tak znakomite, tak w swoim rodzaju jedyne.

Co już wprost zdumiewać musi i zdawać się nieprawdopodobnem, a jednak jest prawdziwem, to że niema w całem tem olbrzymiem dziele ani jednej postaci, ani jednego ornamentu, ani jednej linii, do którejby Matejko nie dostarczył wzoru i kartonu, najczęściej naturalnej wielkości. Tych kartonów, których wartość artystyczna jest niezmierna, są całe stosy, a mistrz pendzla, patrząc dziś na swoje dzieło, może mówić o sobie z całą prawdą to, co mistrz słowa widział w swej wyobraźni wieszczej:

Ja mistrz!
. . . . . .
Milion tonów płynie: w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie.
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i w strofy plączę.
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach.

Jak prawdziwie wielki musi być ten duch, który nie ogranicza się do podania ogólnych rysów pomysłu i do wykonania najważniejszych jego części, ale w ostateczne wchodzi szczegóły i drobnostki, i wie, że go to nie poniża, bo w każdej drobnostce jest twórczy. Jest to może najwybitniejszy rys tego podobieństwa z Bogiem, na które dusza ludzka stworzona została, a które w wyjątkowych jednostkach szczególnie wyraźnie się objawia; i jest to najcharakterystyczniejsza strona

duszy głęboko chrześcijańskiej, która wie, że niema rzeczy tak drobnej, by nie można nią pochwalić Boga, i wie, że to wszystko, co jest dla Boga i czem się Boga chwali, winno być doskonałe, bez względu na to, czy ludzie to widzą czy nie, — dość że Bóg to widzi.

Jakby za pierwszą nagrodę szlachetnych usiłowań, wszyscy kierujący budową otrzymali to, że dwie rzeczy niezrównanie piękne, które już dawniej w presbiteryum były (ołtarz i trzy okna kolorowe w głębi absydy) niezmiernie zyskały, i przedstawiły się dopiero po raz pierwszy oczom naszym w całej swej świetności, dostrojone doskonale do harmonii z resztą kościoła. A kto wie, jakie były niepokoje i obawy, nawet w gronie kierowników, ten zrozumie, jak wielkiej wagi był dla nich podobny rezultat. Ten widok ołtarza o barwach chłodnych, w których przeważa silny kolor niebieski, przyćmiony obficie złotem — na tle niezmiernie świetlanem i gorącem okien kolorowych i bogatej nowej polichromii, w której kolor czerwony przeważa — jest pierwszym jaki się ma widokiem, gdy się przez główne drzwi do kościoła wchodzi, i jest olśniewającym zawsze, bez względu na to, czy niebo jasne czy pochmurne. W górze widzi się błękit sklepienia, błyszczący od gwiazd, poprzeżynany siatką wyginających się szlachetnie, a silniej od wszystkiego traktowanych żeber, które spływają wszystkie ku dołowi do zbitych perspektywicznie dynstów, ujmujących cały ten widok jakby w olbrzymie ciemne ramy, by głąb tem światlejszy uczynić. A na błękitnym tle sklepienia olbrzymi krucyfiks, najbliżej widza, bo w tęczy, zarysowuje się wyraźnie, i odbija silną surowością tonów i prostotą linij, — a odbijałby z pewnością jeszcze lepiej i poważniej, zdaniem naszem, gdyby mu odjąć te bogate złocone ornamenty w koło głowy Chrystusa P., które ze złotemi gwiazdami i ornamentami sklepienia zbyt się mieszają. Jest to w całym tym niezrównanym widoku jedyny szczegół niezadawalniający, któryby się usunąć chciało, a który łatwo przy dalszej restauracyi kościoła usunąć będzie można. W miarę jak się zbliżamy do presbiteryum, pokazują się coraz wyraźniej jasne glify okien i ciemne ściany kościoła,

i dynsty rozchodzą się coraz dalej od siebie, rozwijając przed oczyma naszemi cały system architektonicznej konstrukcyi. Dopiero gdy staniemy w środku presbiteryum, uderza nas całość kompozycyi malarskiej, i zaczyna pociągać mnóstwo szczegółów nęcących rozkosznie oko, lub pobudzających umysł do zastanowienia.

A tych szczegółów jest już bez końca, a tyle uroczych i rzewnych, tyle głębokich i mistycznych! — Wspomnę te ostatnie dwa wyrazy: *VIRGO MARJA*, kończące antyfonę *Salve Regina*, a z dziesięciu złożone liter, które wypisane są po literze, po obu stronach okien pięciu wąskich pól absydy, i formują osobny motyw nad sławnym ołtarzem Wita Stwosza, tej samej Dziewicy Maryi poświęconym. Lub tę drugą antyfonę *Ave Regina coelorum*, która umieszczona nad rzędem aniołów grających, na poziomo rozciągniętej białej banderoli, formuje wraz z nimi rodzaj cokułu pod całą kompozycyą, i doskonale naznacza tę wysokość, w której dynsty przechodzą w inny motyw architektoniczny: w baldachimy i nyże z posągami. Podsuwano Matejce myśl, by te baldachimy rzeźbione rozwinął na ścianach, jako motyw malarski, i umieścił pod nimi szereg aniołów, stojących i grających na rozmaitych instrumentach. W dawnej gotyckiej polichromii motyw ten powtarza się często; ale zmysł artystyczny Matejki odczuł od razu, że kontrast byłby za wielki, i natchnął go rozwiązaniem tej samej myśli zupełnie oryginalnem, a nierównie bardziej zgodnem z całością kompozycyi. Tu zwracam uwagę na inny, jeszcze drobniejszy szczegół tego samego motywu. Gdy na końcowe wyrazy tej antyfony: *pro nobis Christum exora*, jakoby zabrakło miejsca, bo ostatnie pole zajęte jest przez pomnik Montelupich, malarz zawinął banderolę ku dołowi, i umieścił na niej: *pro nobis*, a dalsze wyrazy: *Christum exora* wypisał niżej, nad drzwiami wchodowemi do presbiteryum, i rodzielił je monogramem Chrystusa Pana: *X. P. S.*, otoczonym czterema znakami ewangelistów, — przez co otrzymał śliczny, osobny, a głęboko mistyczny motyw. Albo ta mysl, że monogram

Matki Boskiej powtarza się zawsze, czy to w absydzie czy w tęczy, wraz z monogramem Chrystusa Pana. Albo i na sklepieniu, gdzie żebra, idące od zwornika w cztery ramiona krzyża, potem rozdwajają się każde, i w ten sposób trzy żebra, w jednym schodzące się punkcie, wymagają osobnego ornamentacyjnego motywu: — Matejko wydobył ze starych dokumentów wiadomość, że herbem Wierzynka, któremu tradycya ufundowanie presbiteryum przypisuje, były trzy kółka, i te kółka jako ornament na pomienionych punktach na sklepieniu umieścił. Ale dosyć już tego, a może i za wiele.

Dzieło tak wielkie i tej natury nie przedstawiało się odrazu tak jasno, by wszystko z góry obmyśleć można było. Gdy postawiono rusztowanie aż pod sklepienie, dawne szczegóły stylowe powoli wydobywały się z pod licznych i grubych przylepek ks. Łopackiego, wykonanych sumiennie, bo także na chwałę Bożą. Trzy jednak momenta pamiętne są szczególnie wszystkim, którzy do tego dzieła przykładali rękę. Pierwszy, gdy odkryto kapitele dynstów, dziwnie pięknie i subtelnie komponowane i wykonane, a złocone i bogato malowane — to dało pierwszą myśl polichromii. Drugi, gdy pod nadzwyczaj grubą warstwą muru odnaleziono bogate tryforya — nie spodziewano się bowiem nigdy, aby dawna architektura kościoła tak była wspaniała. A trzeci, gdy Matejko przedstawił pierwszy szkic polichromii — co rzecz ostatecznie zdecydowało. Zanim jednak ta decyzya zapadła, zastanawiano się i wahano bardzo długo, bo sumiennym kierownikom chodziło o to, by nie zrobić czegoś, coby z charakterem stylowym budynku nie było dość w zgodzie. Gdy chodziło o architekturę, rzecz była łatwa, bo tam nie było żadnej zagadki, były ślady wszystkich architektonicznych elementów, wszystkie profile; a oprócz tej jednej zupełnie słusznej odmiany w szczegółach gotyckich, że na sklepieniu zrzucono pewną ilość żeber, aby je przywieść do dawniejszej czystości i prostoty, wszystko odtworzono kreska w kreskę; sumienność z jaką to czyniono, i ścisłość wykonania przez najlepszych kamieniarzy naszych, zasługuje na naj-

wyższe uznanie. Ślady polichromii zaś, oprócz na kapitelach, były tak nieliczne i niewyraźne, że podstawą odtworzenia w żaden sposób stać się nie mogły — i trzeba było z konieczności pomyśleć o polichromii nowej. Do tego zaś wiodły dwie drogi: albo zapoznać się ze wzorami polichromii gotyckiej, których resztki na świecie jeszcze się znajdują, i wybrawszy najlepsze, sumiennie je naśladując, zapełnić niemi mury kościoła; ta praca musiałaby być powierzona ludziom uczonym, którzyby byli mieli pod sobą sumiennych i zdolnych malarzy-rzemieślników; — albo trzeba było powierzyć rzecz całą jakiemuś jednemu, ale niepospolitemu malarzowi-artyście, któryby plan polichromii oryginalnie obmyślił i ułożył. Szczęśliwe miasto i kraj, gdzie taki artysta mógł się znaleść. A tu stało się więcej, bo ten, który się podjął tej wielkiej sprawy, nietylko obmyślił wszystko, ale i sam rysował i sam kierował, i wszystko to uczynił z absolutną ofiarnością, jedynie na cześć Matki Boskiej i dla miłości tego najpiękniejszego krakowskiego kościoła, w którym od dzieciństwa się modlił, w którym jako młodzieniec dumał, marzył i rysował. Tak niegdyś Michał Anioł, już sędziwy starzec, żeby zatwierdzić swe głębokie katolickie przekonania i swą niezachwianą wierność Kościołowi w obec szerzącego się buntu reformacyi, jako pomnik odrodzenia się Kościoła i zwycięstwa prawdy Bożej nad heretyckim fałszem, postanowił bez żadnego wynagrodzenia, jedynie „dla chwały Bożej“, podnieść panteon w powietrze. I uczynił to — i do dziś dnia kopuła kościoła św. Piotra jest symbolem panowania Kościoła nad światem. Oby na wzór tamtego, to dzieło naszego mistrza, które wykwitło takie jaśniejące, takie pobożne i świeże, gdy nie może jeszcze być p o m n i k i e m, stało się u nas przynajmniej h a s ł e m odrodzenia Kościoła i narodu.

Gdy się wzięto do roboty i przez cały czas jej trwania musiało powstawać niemało trudności zasadniczych, administracyjnych i pieniężnych; ścierały się zdania ludzi fachowych i uczonych, może ambicye artystów i rzemieślników. Ale te burze musiały być poskramiane bardzo umiejętnie i szybko, gdy za tak

wiotką zasłoną tak rzadko słyszeć się dały. Pod tym względem główna jest zasługa architekty Stryjeńskiego, którego imię na zawsze złączone jest z wielkiem dziełem odnowienia kościoła Panny Maryi, a oblicze jego w kamieniu wykute, słusznie, jako podpis na tem dziele, na wieczne czasy w ścianę kościoła włożono. Jeżeli podnosimy tak wysoko talent kierowniczy p. Stryjeńskiego, w społeczeństwie naszem dziś tak rzadki, to nie chcemy przez to zmniejszać zasługi jego jako architekty, miłującego swą sztukę, który, nie oglądając się na trudności, ufny, że fundusze się znajdą, bo pewny ofiarności i pobożności serc polskich, zawsze parł do jak najdoskonalszego wykonania wszystkiego, co się składało na wspaniałą całość zamierzonego dzieła. A tak Matejko, jak Stryjeński w usiłowaniach swoich znaleźli cały zastęp pomocników, artystów i rzemieślników, którzy także z miłości woli Bożej i kościoła Panny Maryi, zawsze jak najsumienniej, z bardzo małym zarobkiem albo bez zarobku, powierzone wykonywali roboty. Wśród nich malarz Wyspiański i kamieniarz Chrośnikiewicz zapewne pierwsi, ale nie jedyni; a jeżeli nie wymieniam więcej nazwisk, to dlatego, że byłoby ich zbyt wiele.

Rola p. Łuszczkiewicza w tej całej wielkiej sprawie nie była wcale drobna. On był tym, który do podjęcia dzieła ciągle kusił i skusił nareszcie, a w ciągu całego trwania robót, jako wytrawny a spokojny znawca sztuki, jej warunków i jej historyi, a najznakomitszy znawca zabytków naszych, powagą swoją głównie popierał lub moderował to, co było w zamysłach lub popędach innych członków komitetu. A cóż powiem o prezesie komitetu kościelnego i restauracyjnego, o sędziwym Exc. P. Pawle Popielu, z duszą tak młodzieńczą, z kulturą tak szeroką, jakiej dziś nie napotkasz, a przewyższoną chyba tylko szerokością jego serca. On w poczuciu całej odpowiedzialności, którą — rzecz dziś tak rzadka — chętnie i z zupełną świadomością na siebie przyjął, wszystkie wątpliwości i obawy i przejścia, i wszystkie zwroty pomyślne i tryumfy całego dzieła odczuwał jak nikt, i zgryzł w sercu swoim wiele

trosk, ale też doznał wiele cichych radości; on to dzieło całe sercem objął, powagą obronił; on był jego duszą i jednością— i w pierwszej linii on go dokonał.

Gdy obejmiemy myślą cały ten zastęp ludzi tak niepospolitych a tak cichych i ofiarnych, i ten niezwykły na nasze czasy przebieg całej sprawy, to przypomnieć nam się muszą dawno minione wieki, pełne miłości i wiary, owiane jakąś świeżą wonią cnoty i młodzieńczą poezyą — i dziękujemy Panu Bogu, że byliśmy czegoś podobnego świadkami.

Ale czy na tem koniec? Bynajmniej! — Teraz chodzi o to, by dzieła dokonać, a dokona się go najlepiej i najpewniej, jeżeli się go przerywać nie będzie. Nie chcielibyśmy być niedyskretni, ale od dawna słyszeliśmy, że jest mąż szlachetnego serca, który pragnie uniknąć rozgłosu, a który znaczną kwotę na odnowienie głównej nawy przeznaczył. Kwota ta nie wystarczy, ale ofiarność publiczna dokona reszty. Wszak i do skończonej obecnie restauracyi komitet kościelny miał tylko 23.500 złr., a wydano 42.000; a choć został jeszcze deficyt 6000 złr., jednak 12.500 złr. wpłynęło z datków, czy to sejmu (4000), kasy oszczędności (1000) i miasta (500), czy też z datków większych i mniejszych prywatnych (4800); sama kwesta kościelna przyniosła 2200 złr. Więc i deficyt się spłaci i o dalsze fundusze się nie bójmy. Same miasto, które dotąd dla tego kościoła, przez mieszczan głównie fundowanego, a w mieście najpiękniejszego, tak mało uczyniło, z pewnością do znaczniejszej poczuje się ofiary. W każdym razie na początek jest dosyć, więc trzeba, aby komitet w składzie swoim niezmienionym trwał dalej, i by ci sami ludzie, którzy dotąd tak świetnie rzecz prowadzili, przy kierownictwie zostali. Ta niezmienność organizacyi w dalszem prowadzeniu dzieła jest i dlatego niezmiernej wagi, żeby nawa była z presbiteryum zupełnie jednolita, by ta sama była w niej myśl przewodnia w kompozycyi, te same ręce w wykonaniu. Więc jeżeli nam wolno wypowiedzieć najgorętsze nasze pragnienie serca i naszą nadzieję — nie wątpiemy, że ci sami, już zespoleni

i zorganizowani ludzie, bez żadnej zmiany, jak najrychlej podejmą dalszą pracę, a ufnej ich wierności i wytrwałości Bóg nie zawiedzie. Wobec tego, na cośmy patrzeli, czyż byłoby zuchwalstwem spodziewać się, że za rok będziemy oglądać odnowioną nawę?

Ks. Eustachy Skrochowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

De cognitione humana ad mentem Doctoris Angelici S. Thomae Aquinatis. Scripsit *Dr. Josephus Laskowski*, professor catholicae religionis L. R. penes C. R. superiorem scholam realem. Leopoli 1889, pag. 1—252.

Rzadkie zjawisko w naszej literaturze: książka o filozofii, oryginalna, i to po łacinie napisana. Już to samo na przyklaśnięcie zasługuje.

Jeszcze cenniejszą staje się ta niespodzianka, gdy się wgląda w zawartość tego dzieła: rzecz o wiedzy ludzkiej, oparta na nauce św. Tomasza, obejmująca wszystkie ważniejsze zagadnienia logiczne, i co główniejsze, psychologiczne. Autor dzieli rozprawę na cztery części.

Pierwsza część mówi o istocie pojęcia naszego. Pojęcie każde jest wynikiem wzajemnego działania przedmiotu pojętego i podmiotu pojmującego; od podmiotu więc i przedmiotu zarazem zależy istota pojęcia. O ile pojęcie powstaje w podmiocie pojmującym, okazuje nam swój początek; o ile zaś pojęcie odnosi się do przedmiotu, przekonuje nas o przedmiotowej swej wartości *(objectiva realitas)*. Część więc pierwsza rozpada się na dwa rozdziały. W pierwszym rozdziale autor, idąc za wzorem św. Tomasza i innych filozofów scholastycznych, zbija dosadnie systemata fałszywe, jako to: empiryzm, idealizm, natywizm (t. j. teoryę pojęć wrodzonych), mistycyzm, ontologizm, tradycyonalizm; następnie rozwija naukę św. Tomasza o sposobie powstania pojęcia ludzkiego. Drugi rozdział wykazuje przed-

miotową wartość pojęcia, i udowadnia, że jedynie system pośredni między idealizmem a realizmem przesadnym broni scyentyficznie tej przedmiotowej wartości.

Druga część rozprawy omawia własności przedmiotowe pojęcia. Pojęcie każde z istoty swej jest obrazem przedmiotu pojętego. Jeźli pojęcie przedstawia rzecz zgodnie, wtedy posiadamy prawdę; w przeciwnym razie pojęcie jest fałszywe. Prawda więc i fałsz są przymiotami objektywnemi pojęcia. Najprzód więc określa autor pojęcie prawdy, przytacza źródła *(fontes veritatis: intelligentia, ratio, sensus externi* etc.), z których możemy czerpać prawdę, wykazuje zarazem, kiedy i pod jakimi warunkami źródła powyższe podają nam prawdę. W drugim rozdziale wyłuszczona jest istota fałszu i wskazany sposób, w jaki fałsz zarazić może pojęcia.

Trzecia część rozbiera własności subjektywne pojęcia. Nie zawsze z równą stanowczością sądzimy; nieraz wstrzymujemy sąd, gdyż nie mamy dostatecznych dowodów ani *pro* ani *contra*. Kiedy więc wstrzymujemy się od sądu, wtedy powątpiewamy: kiedy zaś rozum bez wahania uznaje coś za prawdę, wtedy pewni jesteśmy. Część ta zatem dzieli się również na dwa rozdziały. Pierwszy podaje określenie pewności, udowadnia możebność nabycia jej, przyczem wykazuje wewnętrzną sprzeczność sceptycyzmu; następnie wylicza kryterya różne prawdy, z pomiędzy których *evidentia objectiva* jest najwyższem kryteryum, inne zaś (zmysł zewnętrzny, zmysł wewnętrzny, rozumowanie, powaga i t. d.) są podrzędne. Dla lepszego uzasadnienia powyższej kwestyi autor zastanawia się nad błędem, jego możebnością, udowadnia, że nigdy do błędu nie jesteśmy przymuszeni, i poucza, jak możemy się błędu ustrzedz. W drugim rozdziale znajdziemy odpowiedź wyczerpującą na pytanie: czem jest powątpiewanie—i w jaki sposób możemy się go pozbyć?

Wreszcie czwarta część zaznacza granice wiedzy ludzkiej; następnie wykazuje, czy i jaki postęp wiedzy ludzkiej jest możliwy; nakoniec, jak wiele zyskała wiedza nasza przez rewelacyę pozytywną.

Oto ogólny szkic niniejszej rozprawy. Zachodzi pytanie, jak wywiązał się szan. autor ze swego zadania: czy odpowiedział w zupełności usprawiedliwionym wymaganiom krytyki. Zacznijmy od formy zewnętrznej. Rozprawa napisana jest po łacinie, stylem niejednostajnym, ciężkim i nieraz bardzo ciemnym; np. str. 140: *Ita qui laborat daltonismo (optici nervi morbo, in quo sive cuncti, sive quidam saltem non, sive videntur aliter ac sunt colores),* cfr. pag. 29, 46, 36 etc. Nieraz

bierze autor wyrazy w znaczeniu bardzo rzadko lub wcale nie używanym, np.: *quosuper* zamiast *super quo; desuper* zamiast *de eo; ceu* zamiast *seu; quotrursum* nie wiedzieć w jakiem znaczeniu; *sicubi* w znaczeniu *alicubi*. Byłaby się też bardzo przydała staranniejsza korekta druku, któraby była uchyliła pomyłki drukarskie, sprostowała interpunkcyę, nieraz fałszywą (cfr. pag. 36, 96 etc.), i usunęła inne błędy, które obecnie się przedstawiają, jak błędy gramatyczne.

Rzecz sama gruntownie opracowana; przeciwne systemy dosadnie zwalczone; — widać z całej rozprawy, że autor należycie jest obznajomiony z św. Tomaszem, Liberatorem, Tongiorgim, Sanseverinem. Zarzucićby można, że zanadto ściśle trzymał się książki Liberatorego, z której ustępy, prawie niezmienione, co kilka stronnic znajdujemy. Tak np. na str. 91 czytamy: *Praeterea, si nomen evadit idcirco generale, quia pluribus, successive significandis applicatur individuis, ea tantum denotabit individua, quae innotuerunt nobis. Atqui nomine communi non sola significamus individua jam cognita, sed omnia prorsus existentia immo quoque possibilia; ergo nominales falso nituntur fundamento.* To samo odnajduję w Liberatorem: Inst. phil. vol. I pag. 179 (ed. II Prati 1883). Podobnie str. 93, cfr. Lib. I pag. 181; str. 97, cfr. pag. 183; str. 99, cfr. pag. 186; str. 58—59, cfr. vol. II pag. 404, 405, 406 i t. d.; str. 213, cfr. vol. I pag. 175; pag. 192, cfr. pag. 112 n. 12 i t. d. Niejedno zapożyczył także autor z Tongiorgego i Sanseverina. I tak: str. 218 § 61, cfr. Tong. (Romae 1861) vol. I pag. 373 n. 710; str. 223, cfr. I pag. 374 n. 711; str. 230, cfr. pag. 237 n. 425 i t. d. — str. 68, cfr. Sansev. (ed. II Neapoli 1873) vol. I pag. 280 n. 163 etc.

W tych warunkach, nic dziwnego, że wykładowi zbywa nieraz na jasności i porządku. Weźmy np. pod rozbiór choć początek paragrafu 16 str. 62, w którym autor tłómaczy genezę naszej wiedzy. Wiadomo, że w teoryi poznania św. Tomasza i scholastyków, czworakie zachodzą obrazy poznawcze, zwane *species:* jest najprzód *species impressa sensilis*, t. j. wrażenie, jakie przedmiot wywiera na organie zmysłu; dalej *species expressa sensilis*, t. j. obraz nieświadomy, który władza zmysłowa tworzy sobie w akcie czucia, i który następnie przechowuje się w wyobraźni jako *phantasma;* potem znowu *species impressa intelligibilis*, t. j. wyraz myślny, abstrahowany przez um czynny *(intellectus agens)* od zmysłowego fantazmatu; wkońcu *species intelligibilis expressa*, t. j. samo pojęcie istoty przedmiotu, jakie tworzy w sobie um bierny *(intellectus possibilis)*, zapłodniony owym działaniem

umu czynnego. Otóż w całym paragrafie autora o tej genezie wiedzy te wszystkie *species* się mieszają — i najczęściej nie wiadomo, o której mówi. I tak na str. 63—65, sądząc z zacytowanych tekstów św. Tomasza, mowa jest o obrazie myślnym. Na str. 65, dowodząc potrzeby takiego obrazu, przytacza dowody św. Tomasza, okazujące niezbędność fantazmatów, czyli obrazów zmysłowych — widocznie więc mowa była poprzednio o obrazach zmysłowych czyli fantazmatach. Na str. 67 rozróżnia dopiero autor obraz myślny od zmysłowego — zkądby wynikało, że poprzednio mówił o obrazach w ogóle. Na str. 68 zbija autor filozofów, którzy zaprzeczali potrzeby obrazów, twierdząc, że fantazmaty czyli obrazy zmysłowe same wystarczą — mówi więc widocznie o obrazach myślnych. Lecz zaledwie uzasadnił potrzebę tych ostatnich, zaraz potem odwodzi nas od tego zdania, gdyż porównując obraz z pojęciem, w tem widzi różnicę zasadniczą, że obraz ów przedstawia przedmiot w sposób konkretny, materyalny, pojęcie zaś przedstawia litylko istotę przedmiotu. Atoli twierdzenia te zastosować jedynie można do obrazów zmysłowych, nie zaś do obrazów myślnych i t. d. Podobne pomieszanie rzeczy zdarza się raz po razu w tej książce.

Dalej zarzucić musimy, że niekiedy powtarzają się te same argumenta, i to prawie bezpośrednio po sobie (cfr. str. 63). Ważniejsza, że spotyka się tu i owdzie twierdzenia i definicye conajmniej niedokładne: np. na str. 37 autor twierdzi, że, aby powstało w nas poczucie przedmiotu, wystarcza sama jego obecność, niepotrzebne zaś zetknięcie przedmiotu z podmiotem czującym, czy to pośrednie, czy bezpośrednie. Twierdzenie to nie da się utrzymać, gdyż — jak autor sam później przyznaje — w procesie czucia potrzebne jest fizyczne działanie przedmiotu na zmysły; lecz w takim razie musi być połączenie przedmiotu ze zmysłami — bo przecież *non datur actio in distans.* Na str. 205 autor pisze, że można postępować wedle zdania nawet mniej prawdopodobnego, na poparcie czego ciekawy podaje argument: *Nam de tali opinione (objective minus probabili) potest quis, propter argumenta pro ea militantia tam fortiter esse persuasus, ut arbitretur vix sustineri posse objective probabiliorem.* (Porówn. definicyę sądu prawdomównego i fałszywego na str. 159).

Niekiedy autor bierze dwa wyrazy techniczne, jako synonima, które mają całkiem różne znaczenie: np. na str. 45 używa wyrazów *immanentes* i *innatae* naprzemian. A jednak, te wyrazy całkiem się różnią znaczeniem... Każde pojęcie jest *actus immanens;* czyn bo-

wiem imanentny jest taki, który nie wychodzi poza władzę czynną, lecz w niej pozostaje; żadnego zaś niema pojęcia wrodzonego *(innata)*, bo wszystkie są nabyte.

Roztrząsnęliśmy to dzieło szczegółowo i surowo, — bo tylko taka krytyka jest w nauce pożyteczna, a ta książka nie jest do zbycia powierzchownem sprawozdaniem; ma ona w naszych oczach tyle wartości, autor zaś tyle okazuje uzdolnienia do filozofiii, że chcieliśmy dokładnie wytknąć, co uważamy za usterki w tej cennej pracy.

Ks. J. Piwernetz.

Lalka, powieść w trzech tomach. Przez *Bolesława Prusa*. Z portretem autora. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1890.

Kto zabrał się do przeczytania trzech tomów, liczących razem 1373 stron in 8^0, temu chyba zbytecznie dziwić się nie można, jeźli dobiegłszy sumiennie do ostatniej stronnicy, zapyta: jakiż ostatecznie sens z tej długiej bajki się wywodzi, czy i jaki cel miał autor w tej długiej pielgrzymce, do której za sobą mię pociągnął? Bohaterem powieści jest Wokulski, człowiek bardzo energiczny, wszystko sobie samemu zawdzięczający, który sprytem i pracą dorobił się w czasie wojny tureckiej milionowego majątku; piękne i wzniosłe nosi w sercu ideały, chciałby ludzkość, a przynajmniej kilkuset bliźnich swych uszczęśliwić, i co więcej, uszczęśliwiać ich zaczyna; chciałby przyczynić się do dobrobytu kraju, i istotnie handel podnosi, mnóstwo pieniędzy w ruch puszcza i genialnie, szczęśliwie, a uczciwie niemi operuje, raczej jeszcze dla cudzej, niż dla własnej korzyści. Bodźca do tej pracy dodawała mu miłość do znanej ledwie z widzenia panny z arystokratycznego rodu, do której bogactwem i sławą chciał sobie drogę utorować. Tymczasem ten wymarzony ideał był najprostszą salonową lalką, która ostatecznie gotowa się kochającemu za pieniądze oddać, ale odczuć jego miłości, zrozumieć jego planów nie jest w stanie; poświęcić — ona, familiantka-arystokratka, dla byłego kupczyka — choćby jedną próżnostkę, jedną zachciankę, ani jej przez głowę nie przechodzi. Krok już tylko dzielił Wokulskiego od ołtarza, gdy wtem szczęśliwym trafem spostrzegł on wreszcie, z kim ma do czynienia; wzdrygnął się przed tą piękną lalką bez czucia, w której salonowe wytresowanie zajęło miejsce i miłości i moralności; z panną zerwał, a sam w łeb sobie strzelił.

Oto w najkrótszych słowach treść trzytomowej powieści; a sens jej jaki? Ten chyba jedynie: „człowieku, który czujesz w sobie ener-

gię, myślisz i możesz coś zrobić, nie wdawaj się z arystokratycznemi lalkami, bo cię ubezwładnią, sponiewierają, a ostatecznie zabiją, jeżeli cię nie zamienią w podobne do siebie laleczki". Ta sama to, a przynajmniej jak kropla do kropli wody podobna tendencya, która przebijała już z dawniejszych jego utworów: „Grzechy Dzieciństwa", „Dusza w niewoli", „Anielka"... Ale jeźli hrabiowie i książęta Prusa są często podłymi, a zawsze głupimi, to wyznać trzeba, że i bohater Wokulski — choć wbrew zdaje się myśli i planom swego twórcy — wcale posągowo nie wygląda: do majątku doszedł głównie zapomocą przyjaciela Suzina, który w czasie całej powieści, jak niewidome jakieś bóstwo nad nim czuwa; w czasie całej również powieści wyrzuca potrzebnie, a częściej niepotrzebnie pieniądze, i tylko dzięki silnej woli autora, nie dochodzi do żebraczego kija; zakochawszy się wreszcie, robi się takim mazgajem, że ma go się ochotę za drzwi wyrzucić, tak nieporadnym, że tysiące, zyskane w Bułgaryi, zaczynają na mit lub farsę wyglądać. Spotkawszy taki typ w rzeczywistości, powiedziećby tylko należało: „To człowiek niezupełnie z rozumem swym w porządku!"; — tem też „nieporządkiem" tylko wytłómaczyć da się końcowe samobójstwo, którem niemożliwa ta z samego założenia postać, ostatecznie się w opinii czytelników dobija.

Ale jeźli hrabiowie i książęta głupi, hrabianki — lalkami; pokorne, gdy bieda, i zdawałoby się, poczciwe Schlangbaumy, wychodzą na arogantów, wyzyskiwaczy, skoro tylko nieco w pierze porosną; jeźli gołębiej prostoty, ale — mówiąc nawiasem — nieco nudny ze swymi, ciągle tymi samymi, przynajmniej sto razy powtórzonymi konceptami o Napoleonie, subjekt Rzecki, kończy smutnie, niemal w biedzie, a w każdym razie w zależności od żyda; jeźli wreszcie bohater, który miał przedstawiać energię, pracę, talent, waryuje i marnie ginie, a dobrze wychodzi tylko ten, co nigdy nie pracował i nie wart, aby mu uczciwy człowiek rękę podał: Maruszewicz, — to jakiż praktyczny wynik tego wszystkiego? Jeden tylko możliwy, i autor bardzo wyraźnemi słowami, bez ogródek — choć wierzyć się nie chce, aby zupełnie świadomie — sam go wyciąga: „Pracować w tym kraju trudno, nie warto; rób co chcesz, do niczego nie dojdziesz: hrabiowie wezmą cię może na chwilę do usług, ale gdy się znudzisz, to i służbę wypowiedzą; Maruszewicze, niepożyteczne pasożyty, na wierzch wypłyną; Schlangbaumy cię zduszą. Pocóż więc stawać do walki, w której pewna twoja przegrana?"

Po wyciągnięciu tego moralnego, a raczej niemoralnego sensu

z całej tej powieści, nie warto się już sprzeczać o parę ani miłych, ani prawdziwych, ani potrzebnych szczegółów i obrazów. Scena np. w kościele przy kweście wielko-piątkowej jest wręcz wstrętną. Oryginalnie też wyglądają narzekania na nietolerancyę zakonnic względem grzeszników (w tomie III), zwłaszcza dla czytelnika, który pamięta jeszcze (z tomu I), że właśnie zakonnice wyratowały z upadku biedną Marysię. Ale mniejsza o te, dajmy na to, „nieuwagi“, i dajmy na to, że „realistycznie“ naszkicowane sceny. Czego już ani na nieuwagę, ani na wierność realizmowi złożyć nie można, to nienaturalnej postaci samego bohatera powieści, i płynącego z niej siłą rzeczy morału. Na morał ten innym chyba morałem odpowiedzieć należy: „Źle się bawicie — tu idzie o życie!“ *B.*

Pan Michał, wspomnienie myśliwskie. Przez *Kazimierza hr. Wodzickiego.* Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1889.

Dla czcicielów św. Huberta wspomnienia te z lepszych czasów, gdy było gdzie i komu, nie na przepiórki tylko i szaraki, ale i na grubego zwierza polować, to uczta prawdziwa, tem większa, że — jak znany szeroko myśliwy, przyrodnik, portrecista ptasich i ludzkich „Kukułek“ i „Bocianów“ się skarży — „w literaturze naszej jest tak mało publikacyj dla myśliwych, tak skąpo karmy dla ludzi kochających myśliwstwo, a lubiących czytać“. Ale i ci, co nigdy ze strzelbą i z chartami nie mieli do czynienia, a o jamnikach i borsukach wiedzą ledwie z opowiadania, zapoznają się z prawdziwą przyjemnością z oryginalnym, w inne, zdawałoby się, bardzo dalekie czasy przenoszącym nas Panem Michałem, z jego wiernym Grzesiem, a nawet z Mróweczką i Nurkiem, Łoskotem, Murdziem i Zagrajem. Zwłaszcza ciekawy jest końcowy ustęp o myśliwskich czarach i urokach, dziwnych niespodziankach i niepowodzeniach, co do których autor, o hołdowanie zabobonom pewnie niepodejrzany, zdania swego jasno nie wyjawia, ale mimochodem tylko niejako przypomina: „Są rzeczy na niebie i na ziemi, są w górach i w borach, w parowach i na trzęsawiskach, o których się filozofom nie śniło“. *J.*

O Kościuszce, przez *Czesława Pieniążka.* **O Bitwie Racławickiej,** przez *Teofila Lenartowicza.* Z dwiema rycinami Juliusza Kossaka. (Wydawnictwo „Macierzy Polskiej“. Książeczka 47). Lwów. 1890.

Ładna to była myśl rozpowszechnić między ludem prześliczny, tak rzewny, a prawdziwie swojski opis „Racławickiej bitwy“ przez

Lenartowicza; szczęśliwą zwłaszcza i praktyczną było myślą przygotowanie wiejskiego czytelnika do zrozumienia treści i piękności tego opisu przez zaznajomienie go w obszernym niejako wstępie z samą rycerską, do serca i wyobraźni przemawiającą postacią racławickiego wodza. Postać tę, główne czyny i zasługi Kościuszki odmalował prof. Pieniążek barwnem, popularnem piórem, którego szkoda, że tak stosunkowo nie często używa. P. Pieniążek nie od dziś dla ludu pisać zaczął i pisać umie; nowym tego dowodem niniejsza, po długiem milczeniu wydana książeczka, która, spodziewajmy się, będzie nie jedyną, lecz pierwszą w nowej seryi prac jego w tym kierunku.

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z prasy prawosławno-rosyjskiej.

Stan duchowieństwa prawosławnego w Rosyi. — Dwa obrazki z życia „russkiego“ popa. — „Sprawozdanie z działalności chełmskiego prawosławnego bractwa św. Bogarodzicy“ w walce z katolicyzmem i polonizmem. — Historycy rosyjscy o rzekomych postępach prawosławia w Królestwie Polskiem. — Monografie pp. Budiłowicza i Kwaśnieckiego. — Kartki z dziejów „russkiej“ tolerancyi religijnej. — N. J. Bielajew i jego dzieło „O Katolicyzmie“. — Prawosławie wśród czeskich osadników w Rosyi. — „Zapiski“ archimandryty Terleckiego o „propagandzie polskiej w liceum krzemienieckiem“.

P. Szełgunów, znany literat rosyjski, nakreślił w jednym z ostatnich zeszytów *Ruskoj Myśli* bardzo niepochlebny obraz prawosławnego duchowieństwa w Rosyi. *Cerkownyj Wiestnik*, zajmujący kierownicze stanowisko w prasie prawosławnej, występuje z artykułem polemicznym, starając się udowodnić, że sądy i opinie p. Szełgunowa są niesprawiedliwe i niezgodne z prawdą historyczną. Najbardziej zaś czuje się dotkniętym zarzutem, że kler prawosławny mało ulega wpływom kultury. Posłuchajmy, jak na tym punkcie broni swej klienteli duchownej *Cerkownyj Wiestnik:* „Już od w. XVI było duchowieństwo przewodnikiem wyższej kultury; do czasu założenia uniwersytetu w Moskwie w drugiej połowie w. XVIII duchowne zakłady naukowe, jak akademia kijowska i akademia słowiano-grecko-łaciń-

ska w Moskwie, były jedynymi zakładami ogólno-wychowawczymi, dostępnymi dla wszystkich stanów, z organizacyą na wzór szkół łacińsko-polskich. Tacy przedstawiciele stanu duchownego, jak Piotr Mohyła, bracia Lichudy, Palladyusz Rogowski, Stefan Jaworski i Teofan Prokopowicz, byli nietylko pierwszymi co do czasu twórcami oświaty narodowej, ale i istotnymi wyrazicielami prawdziwej zachodnio-europejskiej kultury. Wszyscy oni kończyli za granicą szkoły i uniwersytety, a sprawie oświaty szczerze byli oddani. Dosyć wspomnieć o takich postaciach, jak Jerzy Koniski, Anastazy Bratanowski, Platon Lewszyn, Eugeniusz Bołchowitinów, Inocenty Borysow, którzy, obok swych stanowisk w hierarchii kościelnej, zasłynęli zarazem jako mężowie stanu. Wątpić można, czy w jakimkolwiek innym kraju znajdzie się tylu użytecznych pracowników w życiu publicznem, w nauce i literaturze, pochodzących ze stanu duchownego, jak u nas w Rosyi. Dosyć tylko wskazać na Sporańskiego. — Co się tyczy duchowieństwa parafialnego, to żyje ono tem samem życiem, co reszta społeczeństwa rosyjskiego i cały w ogóle naród rosyjski. Duszpasterstwo w kościele naszym znajduje się w takich warunkach, iż nie może być izolowanem, a musi zostawać w jak najbliższem zetknięciu się z narodem. Życie familijne, do którego każdy duchowny u nas obowiązany, nie pozwala mu być li tylko sługą ołtarza, lecz żyć musi życiem ogólnem całego narodu i sfery otaczającej, być czynnym członkiem społeczeństwa. Do tego ścisłego, organicznego zespolenia się z resztą społeczeństwa prowadzi go obowiązek utrzymywania domu i zajmowania się gospodarstwem. Już ze względu na samo swe stanowisko kapłan prawosławny nie może być obcym interesom intelektualnym, społecznym i nawet powszednim swej owczarni. Wskutek tego nikt nie ma prawa twierdzić, jakoby duchowieństwo nasze żyło w odosobnieniu i kastowem zasklepieniu się w obec reszty społeczeństwa".

W dalszym ciągu protestuje *Cer. Wiestnik* przeciwko zarzutowi, aby duchowieństwo prawosławne żyło tylko życiem powszedniem, a było obojętnem dla interesów kulturnych i obowiązków obywatelskich. Wystarcza przypomnieć, — pisze *Cer. Wiestnik* — że z powodu ścisłego związku, jaki zachodzi pomiędzy cerkwią i państwem w Rosyi, kler prawosławny bywał i dotąd bywa organem i przewodnikiem przy wprowadzaniu w życie różnorodnych reform cywilizacyjnych i kulturnych, zaczynając od upowszechnienia kartofli, ulepszenia uprawy roli i gospodarstwa wiejskiego, aż do szczepienia

ospy i spraw oświaty ludowej". Najcharakterystyczniejszym zaś z tej apologii będzie ustęp: „Córki swoje kształcą zwykle nasi księża w pensyonatach, tak iż w domu plebana wiejskiego można bardzo często słyszeć „tęskne dźwięki fortepianu", miasto gry na gitarze, tego tradycyjnego towarzysza wędrownego alumna w porze wakacyjnej. Nasze popadianki — czyż mamy to ukrywać? — tańczą nie gorzej od panien wielkoświatowych, a ubierają się w suknie, chociaż i skromne, ale uszyte podług ostatniej mody i jej najkapryśniejszych wymagań. Czyż to nie są symptomata stanu kulturnego? Przecież innych nie posiada i samo społeczeństwo".

Wyznać należy, że apologia duchowieństwa rosyjsko-prawosławnego w *Cerkownym Wiestniku* słaba. Osoby, powyżej wymienione, a mające świadczyć o jego zasługach cywilizacyjnych, są przeważnie pochodzenia ruskiego, kształciły się w akademii kijowskiej, założonej za czasów polskich i zorganizowanej na wzór akademii krakowskiej. Dwóch z tej liczby (Teofan Prokopowicz i Stefan Jaworski) było wychowańcami szkół jezuickich i katolikami w młodości, a dopiero w starszym wieku przyjęli prawoławie. Z mnogiej rzeszy popowiczów przytoczył *Cerk. Wiestnik* tylko jednego, Michała Sperańskiego, wydawcy *Swoda Zakonów*, którego nazwisko zyskało szerszy rozgłos. Nareszcie wiele możnaby powiedzieć o tych „popędach kulturnych" duchowieństwa rosyjskiego w przeszłości i teraźniejszości. Wolimy jednak wyręczyć się krótką, ale jędrną charakterystyką znanego krytyka Wisaryona Bielińskiego, wyrażoną w liście do Gogola, nie podzielając naturalnie jego bezwyznaniowego poglądu na znaczenie Kościoła w naszych czasach: „Katolicyzm kiedyś czemś był; prawosławie nigdy niczem nie było".

Na osiągnięcie owych „symptomatów stanu kulturnego", — jak się wyraził *Cerk. Wiestnik* — dla synów i córek popowskich, muszą w pocie czoła pracować ubogie zwykle i nieludne parafie w głębi Rosyi. Znanemi aż nadto dobrze są zdzierstwa i chciwość duchowieństwa prawosławnego; zaczem idzie brak wszelkiego poważania, jeżeli nie jawna pogarda ze strony owieczek. Na udowodnienie tego nie potrzeba ani przytaczania faktów, ani anegdot o popie, popadii i popadiankach, jakich tysiące krąży po wszystkich zakątkach „świętej Rosyi", — dosyć byłoby zacytować tylko kilka przysłów, tego „skarbca mądrości narodowej", aby nabrać wyobrażenia, jakieto węzły serdeczne łączą naród rosyjski ze swem duchowieństwem. Nie mogę powstrzymać się od powtórzenia na tem miejscu opowiadania

osoby zasługującej na wiarę, a niedawno przybyłej z Rosyi. „W roku 188... — przytaczamy je prawie dosłownie — przejeżdżałem przez wieś Saburowo w gubernii kurskiej. Dowiedziawszy się, że w tej chwili odbywa się ślub córki właściciela tejże wsi, pana Sk..., pospieszyłem do cerkwi, gdzie już zastałem cały orszak weselny. Nie będę opisywał nadzwyczaj długiego i skomplikowanego ceremoniału ślubnego: wspomnieć jednak muszę, iż na pierwszy rzut oka uderzyła mię okoliczność, że panna młoda stała na kilkołokciowym kawałku kosztownej materyi jedwabnej, a ręce państwa młodych, zamiast stuły, związane były nieco mniejszym kawałkiem takiejże materyi. Z całego zebrania najwięcej ciekawości obudziły we mnie fizyognomie dwóch popów, parochów obu wsi dziedzica, niezwykle ożywionych, albowiem, oprócz oczekiwanej sowitej nagrody pieniężnej, przechodziły, na mocy zwyczaju, na ich własność oba te kawałki materyi, mogące popadii i popadiankom sprawić niezwykłą radość. Były to prawdziwe typy bizantyńskie: chciwość i przebiegłość w ruchliwem a niespokojnem spojrzeniu górowały ponad wszystkie inne uczucia i wrażenia. Podczas gdy usta ich wymawiały słowa sakramentalne aktu ślubnego, myśli pracowały nad ułożeniem planu, jakby najzręczniej można było przyjść do posiadacza obu kawałków materyi, usuwając swego współzawodnika od udziału w kosztownym łupie. W tym celu ręce i nogi obu popów gorliwie pracowały. Każdy z nich przysuwał nogą lub przyciągał ku sobie ręką jeden z tych kawałków materyi, rzucając pełne złości i nienawiści spojrzenia na swego duchownego kolegę. Powodzenie jednego lub drugiego w walce o kawał materyi było tylko przemijające: przeciwnik w każdej chwili mógł pozbawić owocu zwycięstwa. Walka popów zwróciła uwagę wszystkich obecnych. Wesołość (ale nie oburzenie) panowała w całym orszaku. Nareszcie obrzęd ślubny skończył się. Wszyscy cerkiew opuścili — pozostali w niej tylko obaj przedstawiciele Kościoła panującego. Niestety! nie mogłem się przekonać, jakimi środkami spór był załatwiony. Wkrótce ujrzałem wychodzących z cerkwi obu zapaśników, wiodących ze sobą nader ożywioną rozmowę, którą musiała poprzedzać jakaś gwałtowna scena. Spolia opima były w ich rękach: pop, ubielony siwizną, unosił większy kawał materyi z pod nóg państwa młodych. Co mu zapewniło znaczniejszy udział w łupie: czy powaga wieku, czy większa zręczność lub większa siła? — Pan Bóg raczy wiedzieć. Epilog odbył się na dworze dziedzica, dokąd podążyli i popi za orszakiem weselnym. Opowiadano mi, że

tam przyjmowano ich w przedpokoju, gdzie zastawiono w wielkiej obfitości jadło, a przedewszystkiem gorące napoje. Po wypiciu i skonsumowaniu wszystkiego, otrzymawszy po 100 rubli, wracali obaj do domu w najlepszej komitywie i, jak to mówią, pod dobrą datą. Chłop, stojący pod oberżą wiejską, ujrzawszy niepewny krok jednego ze swych duszpasterzy, zawołał z niekłamaną pogardą: *Dlinnowołosyj czort nalizałsia!* Jestto tylko jedna ze scen, jakich tysiące w mniej lub więcej podobnej formie odbywa się na całym obszarze, jak szeroka i długa „ziemia russka".

Nie odstąpię zbyt od rzeczy, jeżeli przytoczę tutaj opowiadanie, jakie słyszałem przed laty od jednego z bardzo inteligentnych Rosyan, p. L... „Przyjaciel mój pan K., — są to słowa opowiadającego — profesor gimnazyum żeńskiego w Moskwie, po zamachu Karakazowa w r. 1866, skazany został za szerzenie doktryn liberalnych na wygnanie do własnego ojca, parocha wsi N... w gubernii twerskiej. Położenie mego przyjaciela, oderwanego od stosunków ze światem i towarzystwem inteligentnem, a skazanego na towarzystwo wiejskich popów i ich rodzin, było nadzwyczaj przykre. To też otrzymywałem list po liście, w których błagał mię, abym go choć na krótko odwiedził. Nareszcie prośbom jego uczyniłem zadość. Celem uprzyjemnienia nam wspólnego kilkodniowego pobytu, ojciec mego przyjaciela zaprosił popów z najbliższego sąsiedzwa. Nie chcę się obszernie rozwodzić nad właściwościami i wadami niższego duchowieństwa prawosławnego — rzecz to aż nadto znana: brak wszelkich form towarzyskich, pospolitość w uczuciach i sposobie myślenia, a prostactwo w postępowaniu. Dla scharakteryzowania towarzystwa, w jakiem spędziłem dni kika, przytoczę jeden tylko szczegół. Po kolacyi, skrapianej obficie „żytniówką" *(dwojnaja oczyszczennaja)*, zasiadło całe towarzystwo, nie wyłączając popadij i popadianek, do gry w karty, zwanej „stukułką", pociągającej zwykle za sobą szybki obieg drobnej monety. Uderzyło mię to, że każdy z popów, podczas gdy w prawem ręku trzymał karty, lewą osłaniał starannie kupkę monety srebrnej i miedzianej. Mniemając, iż jestto jakaś lokalna odmiana gry zresztą dobrze mi znanej, prosiłem gospodarza domu o bliższe wyjaśnienia. Na to odrzekł mi ze złośliwym uśmiechem: „Masz Pan przed sobą objaw wzajemnego niedowierzania i przezornej baczności, albowiem często się zdarza w naszem kółku duchownem, iż... pieniądze giną z pod ręki".

Mamy przed sobą „Sprawozdanie o działalności chełmskiego

prawosławnego bractwa św. Bogarodzicy" z dziesięcioletniego okresu istnienia (1879—1889. Warszawa, str. 114). Wyjmujemy zeń kilka dat, bliżej nas obchodzących. Bractwo to powstało w r. 1879 z inicyatywy Leoncyusza, arcybiskupa chełmsko-warszawskiego, „aby za przykładem przodków z w. XVI stać za prawosławie i naród russki w walce z katolicyzmem i polonizmem". Obecnie panujący monarcha, z rażącą bezwzględnością w obec swych poddanych innej wiary i innego języka, raczył przyjąć nad niem protektorat, ofiarowawszy na cele bractwa 3000 rubli. Nic dziwnego, że pod takim protektoratem bractwo rozwijało się pomyślnie, a liczba członków doszła 990. Pośród mnogiej rzeszy figur podrzędnych ze sfery urzędniczej i wojskowej, znajdujemy na liście członków i grubsze ryby: w. ks. Włodzimierza, brata cesarskiego; ministrów: Durnowo i Wyszniegradzkiego; wysokich dostojników państwa, jak: generał-gubernatora Hurko, kuratora Apuchtina, dyrektora departamentu obcych wyznań, p. Kantakuzina Speranskiego, — pracującego widocznie nie nad rozwojem, lecz nad przyspieszeniem zwinięcia własnego departamentu — i nareszcie jedynego honorowego członka płci żeńskiej, Maryą Andrejewnę Hurko.

Na rzecz bractwa członkowie różnych kategoryj nie skąpili ofiar: generał-gubernator Hurko, jako członek honorowy, ofiarował 300 rubli; jego małżonka, znana Marya Andrejewna, nie dała wprawdzie pieniędzy, ale przyniosła zapewne w ofierze „skarby uczuć prawosławnych". Między ofiarodawcami figuruje i niejakiś p. Świeżawski, niewątpliwie Polak, którego skromny datek (1 rb.) był zapewne powodem, że nie podano przy jego nazwisku ani imienia, ani godności lub tytułu.

W celu rozbudzenia w łonie bractwa większej żarliwości, ustanowiono, na mocy najw. rozporzenia z dn. 23 stycznia 1883 r., ordery trzech stopni. Rozumie się samo przez się, że wszyscy członkowie wyższej rangi lub stanowiska społecznego, nie wyjmując i Maryi Andrejewny, otrzymali ordery I-go stopnia, przyczem okazało się jednak, że w długiej liście wynagrodzonych, obejmującej stronnic 15 (od 62—77 str.), daleko więcej było braci, jak sióstr orderowych.

Ustawa wkłada na bractwo św. Bogarodzicy obowiązek szerzenia i wzmacniania uczuć prawosławnych: przez upowszechnienie ksiąg kościelnych, broszur treści religijno-moralnej, utworów znaczenia lokalnego, ikon prawosławnych po domach prywatnych, przez ozdobę starych lub budowę nowych cerkwi, ulepszenie śpiewu kościelnego

i wreszcie uczynki dobroczynne. Wydawnicza działalność bractwa przedstawia w okresie dziesięcioletnim 101.590 egzemplarzy; z ofiar osób prywatnych i instytucyj wpłynęło do jego składów w ciągu tegoż czasu 60.812 egzemplarzy dzieł i broszur treści mieszanej, stanowiących wartość 15.913 rubli. Ikon kupiono 23.521 na sumę 2077 rubli, krzyżyków 185.110 za 2929 rubli; ofiarowano na rzecz bractwa różnych świętych i historycznych obrazów 21.790 na sumę 970 rubli, a nadto 18 ikon na deskach cyprysowych, wartości 1065 rubli. Majątek bractwa, złożony w chełmskiej kasie powiatowej, składa się obecnie: a) z kapitału żelaznego w papierach procentowych 25.100 rubli, b) w rewersach i obligach dłużniczych 1000 rubli, c) w gotówce 1280 rubli — co wszystko razem wynosi 27.380 rubli.

Z własnych wydawnictw najwięcej starano się upowszechnić „Kalendarz“ na r. 1890, wydany w 8010 egzemplarzach, i t. zw. „Bohogłasnik“ — w 8000 egzem. Z tego ostatniego pozostało na składach tylko 451 egzemplarzy. Do „Kalendarza“ prawosławnego dodano i rzymsko-katolicki, „aby — jak powiedziano w „Sprawozdaniu“ — usunąć z izby wieśniaczej kalendarze polskie“. Przeznaczeniem zaś „Bohogłasnika“ jest odzwyczajenie narodu od śpiewania pieśni polskich po cerkwiach i domach prywatnych. O upowszechnienie książek, wydanych kosztem bractwa, troszczyli się nie sami tylko członkowie. Kurator np. warszaw. okręgu naukowego, p. Apuchtin, zakupywał je dla szkół ludowych; arcyb. warszawski Leoncyusz rozdawał książki i krzyżyki po szkołach cerkiewno-parafialnych, a na rozkaz gubernatorów (siedleckiego, lubelskiego i suwałkskiego) nabywali je wszyscy wójci gmin wiejskich i naczelnicy powiatów. Nadto bractwo utrzymywało dotąd dwóch stałych kolporterów, płacąc im po 120 rubli rocznie, których głównym obowiązkiem było odwiedzanie domów „upartych i trwających w błędzie byłych unitów“ (str. 25), gdzie nietylko sprzedawali książki, ikony, krzyżyki, medaliki itp., ale zarazem agitowali na rzecz prawosławia. Tej szczególniejszej pieczołowitości doznawały następujące powiaty na Podlasiu: radzyński, bialski, konstantynowski, włodawski i siedlecki. W roku zaś bieżącym powiększono liczbę kolporterów o dwóch. Pomimo tych wszystkich prywatnych i urzędowych (świeckich i duchownych) zabiegów, pozostało dotąd na składzie z wydawnictw bractwa 31.041 egzemplarzy, to jest prawie część trzecia. Niektóre z nich posiadają chyba właściwość rozmnażania się. Tak np. na str. 10 czytamy, że książkę pod tytułem: „Zjawienie się cudownej ikony Matki Boskiej

w Leśnej" (gdzie obecnie założono prawosławny klasztór żeński), wydano w 300 egzemplarzach; na str. zaś 102, iż z tego wydania pozostało 1600 egzemplarzy! Zakupiono na konto bractwa także 20 egzemplarzy „Listu pasterskiego od imienia papieża do wszystkich byłych unitów w państwie rosyjskiem" (tłómaczone z polskiego), których część złożono w muzeum bractwa w Chełmie, a resztę rozdano pomiędzy członków, celem możebnego zużytkowania.

Przy tej sposobności winniśmy dodać, że ofiarność ludności rosyjskiej na cele propagandy prawosławia jest znaczną. Z dalekich nawet zakątków Rosyi nadchodzą ofiary, przeznaczone do poparcia tych lub owych usiłowań przedstawicieli wyznania panującego. Tak np. biskup ołonecki, Paweł, ofiarował 2000 rubli na wydanie pracy naukowej, wyjaśniającej kwestyą połączenia unitów z cerkwią prawosławną (*Wołyń. Ep. Wied.* nr. 32, r. 1889). Zdaniem naszem, lepiejby może zrobił, gdyby obrócił je na umoralnienie i wzmocnienie uczuć prawosławnych u Czuchnów (Finnów), których znaczną ilość ma w swej dyecezyi.

W nrze 24 *Chołmsko-Warsz. Epar. Wiestnika* (r. 1889) ukończył p. Aleksander Budiłowicz monografią pod tytułem: „Kilka słów o obecnym stanie Milejowa i całego Zawieprza pod względem kościelnym". Tendencyą tej pracy było odgrzebanie śladów istnienia obrządku grecko-katolickiego na przestrzeni pomiędzy Wieprzem, a jego dopływem z lewej strony, Bystrzycą, co przy obecnych stosunkach wyszłoby na korzyść prawosławia. Wynikiem tych zachcianek rewindykacyjnych jest wytworzenie nowej nazwy geograficznej— „Rusi zawieprzańskiej". Jużto na podstawie źródeł urzędowych rosyjskich możnaby napisać monografią nazw, przez jakie przechodziły ziemie polskie pod berłem carów od czasu rozbioru. Mielibyśmy w niej dokładny obraz systemów rządowych i wibracyj opinii publicznej rosyjskiej w poglądach na kwestyę polską. Szczególniej ostatnie dwa lub trzy dziesiątki lat świadczyły o wielkiej pomysłowości sfer rządowych i przedstawicieli opinii publicznej rosyjskiej w dziedzinie nomeklatury historyczno-geograficznej. I tak kolejno pojawiały się nazwy: „Rosya zachodnia", „Kraj północno-zachodni", „Kraj południowo-zachodni", „Kraj priwiślanskij", „Ruś chełmska" czyli „Kraj zabużańskij", — a obecnie p. Budiłowicz dodał do nich „Ruś zawieprzańską". Przypatrzmy się, jak w jego własnej pracy i w świetle statystyki rządowej przedstawia się w chwili obecnej owa „Ruś zawieprzańska". W obrębie tejże, tj. pomiędzy Wieprzem a Bystrzycą,

jest 15 parafij rzymsko-katolickich, liczących w r. 1888 mieszkańców płci obojga 60.709. Na tę liczbę, „w kraju niegdyś czysto ruskim i nawskróś prawosławnym“, znajduje się obecnie tylko 2040 prawosławnych, mieszkających w dwóch parafiach: stężyckiej i łopennickiej. A przed laty było jeszcze gorzej: w r. 1861 liczba unitów w parafii łopennickiej spadła była na 400; dopiero reformy, dokonane w Królestwie Polskiem po roku 1863, „oddziałały dobroczynnie“ i na ten zakątek kraju. W r. 1870 pobudowano w Łopennicach nową cerkiew, a ilość parafian doszła w r. 1888 do 1030 dusz. I poziom religijno-moralny — jak zapewnia p. Budiłowicz — podniósł się znacznie. W kronice cerkiewnej łopennickiej, zrobiono pod r. 1882 następującą uwagę: „Młodsze pokolenie zaczyna uczyć się swego ojczystego języka (uczy się i cerkiewno-słowiańskiego) i w nim się modlić — jest nadzieja, że z czasem wzmocni się tutaj wiara prawosławna i narodowość ruska“. Daleko lepiej ma się przedstawiać stan moralny prafii stężyckiej: mieszka w niej 1010 parafian „oddanych najzupełniej wierze prawosławnej i narodowości russkiej“. W r. 1870 zbudowano w Stężycy cerkiew murowaną; w r. 1887 oddzielono ją od parafii w Krasnymstawie, a utworzono osobną parafią. Zmiana ta nastąpiła na usilne a wielokrotne prośby prawosławnych Stężyczan, piszących w swem podaniu z r. 1883 do władz rządowych: „Wieś nasza w liczbie 900 dusz ludności ruskiej, przywiązanej — rzec można — żarliwie do cerkwi prawosławnej;“ w r. zaś 1882 ex-uniccy mieszkańcy tej parafii — widocznie dobrze wtajemniczeni w ducha obecnego systemu rządowego — powoływali się w podaniu do archireja chełmsko-warszawskiego bardzo politycznie na „żądzę pozostania prawdziwymi synami św. cerkwi i narodu rosyjskiego wśród innych spolszczonych sąsiadów“. W monografii wsi i parafii Milejowa, obecnie bez wyjątku rzymsko-katolickiej, przebija się nie dwuznacznie żyłka zaborcza. Ślady istnienia tam ludności unickiej są tylko archiwalne, do czego się sam autor z pewnym elegijnym nastrojem najzupełniej przyznaje; ale okoliczność ta bynajmniej nie budzi skrupułów w duchownym współpracowniku organu dyecezalnego. Istnieje przecież w kościele katolickim w Milejowie ikona Bogarodzicy, jako zabytek po dawniejszej cerkwi unickiej. Czyżby cenna ta pozostałość — czytać można pomiędzy wierszami — nie mogła być dostatecznym tytułem do rewindykacyi samegoż kościoła i parafii?

Do podobnego celu zmierza artykuł A. Kwaśnieckiego, umieszczony w nrze 2. *Chołm.-Warszaw. Epar. Wiestnika* z roku 1890,

a noszący tytuł: „O zwiniętych parafiach i zamkniętych cerkwiach byłej chełmskiej grecko-unickiej dyecezyi". Autor opowiedział pokrótce historyę trzech parafij unickich w powiecie włodawskim: Stulna, Andrzojowa i Dołholiska. Istnienie pierwszej da się udowodnić już w r. 1460, a zamknięcie cerkwi z powodu grożącego zawalenia się nastąpiło w r. 1825. Chociaż autor narzeka na kolatorów narodowości polskiej, że starodawnej cerkwi nie podtrzymywali, to jednak nie podnosi zarzutu, aby czemśkolwiekbądź przyczynili się do jej upadku. Cerkiew w Andrzejowie, o której założeniu niema żadnych źródłowych wiadomości, zamknięto z nakazu konsystorza chełmskiego w r. 1848; parafia w Dołholisce istniała już w w. XVI, a zwinięto ją w r. 1884, na mocy najwyższego rozporządzenia. Ileżby tu było żalów i narzekań na rządy polskie, gdyby za ich opinią (chociażby z tych samych powodów) dokonano kasaty wyżej wymienionych parafij! W tym razie rzecz miała się odwrotnie: fundowano i dotowano cerkwie za czasów polskich, a zamykano i kasowano za rządów rosyjskich.

O rzekomych postępach prawosławia w Królestwie Polskiem piszą *Wołyń. Epar. Wiedomosti* w nrze 31, co następuje: Duchowieństwo prawosławne w guberniach lubelskiej i siedleckiej, w adresie doręczonym arcybiskupowi Leoncyuszowi dnia 18 września 1889 r., z całą stanowczością podnosi, iż prawosławie rozszerza się i wzmacnia nietylko w Chełmskiem, ale i na Podlasiu. Świątynie Boże mają być przepełnione narodem, a ofiary na budowę, restauracyę lub ozdobę cerkwi mnożą się. Arcybiskupa wita naród wszędzie z wielkim entuzyazmem, podczas gdy w r. 1876 przechodził w niektórych miejscowościach pomiędzy szeregami „upartych", leżących twarzą na ziemi, i tym sposobem broniących wejścia do cerkwi. W tym samym numerze tegoż czasopisma czytamy o coraz lepszym stosunku, jaki wytwarzać się zaczyna w niektórych stronach Kongresówki pomiędzy „innowiercami" a prawosławnymi. Na takie weselsze myśli naprowadza prasę rosyjską opis wizytacyi, odbytej w dekanacie suwałkskim przez Leoncyusza, arcybiskupa chełmsko-warszawskiego. Na drodze do Suwałk, we wsi Krasnopolu, witali go chlebem i solą między innymi i miejscowi katolicy. We wsi Stawiskach wyszli na spotkanie arcybiskupa prawosławnego dwaj księża katoliccy, i otrzymali odeń błogosławieństwo. Celem powitania „arcypasterza" w soborze łomżyńskim zebrali się, oprócz duchowieństwa i parafian prawosławnych, liczni katolicy i luteranie z pastorem na czele.

Jeżeli ze strony niektórych katolików, a nawet księży katolickich, kurtoazya w obec dostojnika kościelnego obcego wyznania przechodzi zakres grzecznych form towarzyskich i może dać powód do opacznych tłómaczeń,—to przyznać należy, że nasze duchowieństwo na wzajemność z tamtej strony liczyć wcale nie może. Organ dyecezalny litewski *(Litow. Epar. Wiedom.)* systematycznie się zajmuje szpiegowaniem duchowieństwa katolickiego, używając do tego nauczycieli szkół cerkiewno-parafialnych. Zwyczajem ludzi tego rzemiosła, miejsce prawdy zastępują przesada, urojenia i wymysły. Takie wrażenie robi na nas artykuł pod tytułem: „Szkoła cerkiewno-parafialna w Szczęśliwej Słobodzie“ (nr. 5, rok 1890), napisany przez Jana Łyskowa, kandydata teologii. Rzecz tak się miała. W połowie roku minionego założono szkołę cerkiewno-parafialną we wsi Szczęśliwej Słobodzie, w parafii kiejdańskiej powiatu kowieńskiego. Wieśniacy ze wsi okolicznych, niepojmujący widocznie różnicy, jaka zachodzi pomiędzy szkołą ludową, a cerkiewno-parafialną o charakterze wyłącznie prawosławnym, zaczęli do niej posyłać dzieci. Skoro jednak spostrzegli, że jej przeznaczeniem propaganda prawosławna, i że ksiądz katolicki niema tam wstępu, z wielkim pośpiechem wycofali dzieci ze szkoły, która wskutek tego stanęła pustką. P. Iwan Łyskow, kandydat teologii i nauczyciel tej szkoły, widocznie z obawy o swe stanowisko, występuje w *Litow. Epar. Wiedom.* z denuncyacyą na księdza. „Zaczęła się — pisze kandydat teologii — walka tajna, głucha, prowadzona w skrytości, a objawiająca się wynikiem. Pięcioro dzieci katolickich opuściło szkołę: opuściły wszystkie w jednym czasie, chociaż troje z nich należało do rodziców, biorących żywy i czynny udział w rozwoju szkoły (polegał na ofiarowaniu po jednym rublu na bibliotekę szkolną); opuściły przytem dzieci, uczęszczające dotąd jak najgorliwiej do szkoły. Ale co najdziwniejsza, iż opuściły szkołę po odbytej świeżo kolędzie przez księdza. Inicyatywa w tym względzie nie mogła oczywiście wyjść od rodziców (zatem udziału księdza domyśla się tylko, co jednak nie przeszkadza mu denuncyować): trudno bowiem przypuszczać aby rodzice tak rychło zmienili swą sympatyę dla szkoły i bez żadnej przyczyny przestali posyłać dzieci na naukę. Sami katolicy przyznawali się przed osadnikami rosyjskimi, że ksiądz zakazuje posyłania dzieci do szkoły cerkiewno-parafialnej. Na kilka dni przed Bożem Narodzeniem pojawił się ksiądz z Kiejdan — który niedawno zkądś powrócił — z tak zwaną kolędą w okolicach Szczęśliwej Słobody. Chociaż w samej Słobodzie nie był,

to jednak w osadach okolicznych prowadził propagandę przeciwko szkole, wpajając przekonanie: że dziewcząt do „russkiej“ szkoły posyłać nie należy; że w następstwie mogłyby przyjąć prawosławie lub wyjść zamąż za prawosławnego; że lepiej już dziewczynie zejść z drogi cnoty (literalnie słów kandydata teologii powtórzyć na tem miejscu nie można), jak uczęszczać do „russkiej“ szkoły. W tymże domu dodał ksiądz także, że i chłopców nie należy posyłać do szkoły, bo i oni mogą zostać prawosławnymi. Słowa te skutkowały. Krewny gospodarza tego domu, w którym ksiądz odzywał się w podobny sposób, natychmiast swego syna ze szkoły wycofał. W innym znowu domu ksiądz powiedział: „Jeżeli będziecie posyłać dzieci do „russkiej“ szkoły — będziecie przeklęci, a uderzą w was pioruny i błyskawice niebieskie“. Takie to artykuły umieszcza nie jakieś pisemko brukowe, ale organ prawosławnej metropolii litewskiej. Gdyby nawet nie rozdrażniony i płynący widocznie z osobistej niechęci ton całego artykułu, to już same zaklęcia i prostackie wyrażenia, przypisywane księdzu, zadają kłam twierdzeniom Iwana Łyskowa, kandydata teologii. Autor tego artykułu, nasłuchawszy się w prawosławnych duchownych seminaryach podobnych krasomówczych wyrażeń i argumentacyj (o czem można się przekonać z wybornych „Oczerkow bursy“ Mikołaja Pomiałowskiego. Petersburg. 1865), gotów mniemać, że i księża katoliccy ich używają w stosunkach ze swymi parafianami. Jeżeli co księdza zdoła ochronić od przykrych następstw powyższej denuncyacyi, to chyba okoliczność, że p. Iwan Łyskow objął nią zarazem i mirowego pośrednika, p. Powiedzkiego, zarzucając mu obojętność dla szkoły cerkiewno-parafialnej, niegodną patryoty rosyjskiego wyznawcy Kościoła prawosławnego.

„Obrazek (jeden z wielu) fanatyzmu katolików rzymskich“. Pod takim tytułem opowiadają *Litow. Epar. Wiedomosti* (nr. 6, r. 1890) następujące zdarzenie. Na początku roku bieżącego umarł we wsi Rukła, w parafii Giegużyn, w powiecie trockim, żołnierz wyznania prawosławnego. Komendant szwadronu chciał pogrzebać go na cmentarzu tejże wsi, gdzie dotąd chowano tylko katolików. Zamiarowi temu chłopi stanowczo się oparli, a grób wykopany przez żołnierzy zasypali. Komendant zażądał pozwolenia na pogrzebanie od księdza z Giegużyna. Ksiądz żądane pozwolenie przesłał pisemnie na ręce komendanta; ale chłopi i tym razem nie zgodzili się na pochowanie prawosławnego na swym cmentarzu, tłómacząc się tem, iż „ksiądz wydał pozwolenie z bojaźni, a w istocie tego nie pragnie, abyśmy

zezwolili na pogrzebanie: my lepiej znamy naszego księdza". Po takiej replice ze strony włościan — z której, mówiąc nawiasem, organ Kościoła panującego kuje również broń przeciwko proboszczowi giegużyńskiemu — musiano żołnierza pochować osobno, gdzieś tam na skraju lasu. Ale komendant przesłał natychmiast raport wyższej władzy wojskowej i administracyjnej. Przyszedł z Wilna rozkaz, aby żołnierza z grobu wydobyć i bądźcobądź pochować na cmentarzu. Z tego powodu przybył na oznaczone miejsce sprawnik z asesorem i dwoma uradnikami, sprowadzono popa, a włościanom ze wsi okolicznych nakazano zgromadzić się jak najliczniej, aby byli świadkami i uroczystości pogrzebowej prawosławnej i aktu wszechmocności władzy. Szwadron dragonów w gotowości bojowej wydobył zwłoki swego towarzysza i przeprowadził na cmentarz, gdzie je pochowano w grobie poprzednio wykopanym. Oporu, ma się rozumieć, teraz żadnego już nie było. Tylko gdy pop zanucił na cmentarzu katolickim: *Błogosławien Boh nasz*, chłopi zaczęli rzewnie płakać. Był to jedyny protest przeciwko przemocy rządzących. Opór ze strony ludu był objawem zupełnie naturalnym i wytłómaczonym. Na tyle podstępnych kasat swych kościołów i kaplic patrzyli już wieśniacy litewscy, iż słuszną była ich obawa, aby grób tego dragona nie dał powodu do przemiany cmentarza katolickiego na prawosławny. Dzienniki rosyjskie darzą zachowanie się włościan w tym wypadku mianem „fanatyzmu katolickiego". Do nich zatem można zwrócić się z radą: *Medice, cura te ipsum!* We właściwej Rosyi wyjątkowo tylko pozwalają grzebać innowierców na cmentarzach prawosławnych. W większych miastach posiadają katolicy (częstokroć wspólnie z protestantami) własne, odrębne cmentarze. A po wsiach i miasteczkach grzebią swych nieboszczyków — czego nieraz byliśmy świadkami — poza murami lub parkanami cmentarzy prawosławnych, niekiedy w czystem polu lub wśród krzaków i zarośli, jakby jakich samobójców. Czyż to ma być objawem tolerancyi rosyjskiej?

Św. Synod wydał niedawno rozporządzenie do duchowieństwa prawosławnego w guberniach litewsko-ruskich (*Wołyń. Epar. Wied.*, r. 1889, nr. 21), aby nie dopuszczało do cerkwi obrazów i krzyżów katolickich, a na ołtarzach aby odtąd było nie po cztery, lecz po siedm świec, jak to nakazują przepisy kanoniczne Kościoła prawosławnego. — Do tegoż samego czasopisma donoszą (r. 1889, nr. 29), że w departamencie obcych wyznań, istniejącym przy ministeryum spraw wewnętrznych, rozpatruje się obecnie projekt reorganizacyi

nadzorów nad kościołami rzymsko-katolickimi. Reorganizacya zmierzać ma głównie do rozszerzenia władzy przewodniczącego i członków rady kościelnej, zwłaszcza w administrowaniu funduszem kościelnym i kontroli dochodów, jak np. *jura stolae*, których część jedna idzie obecnie na korzyść księdza, a druga na potrzeby kościoła, utrzymanie cmentarzy i t. p.

N. J. Bielajew wydał świeżo dzieło „O Katolicyzmie“ (Kazań 1889), mające być odpowiedzią na niedawno wyszłą w Berlinie pracę bezimiennego autora-Rosyanina pod tytułem: „O cerkwi“ (Berlin 1888). Nie znając ani jednej, ani drugiej pracy, musimy poprzestać na notatce *Wołyń. Epar. Wiedomosti* (nr. 29) treści następującej: „Wśród naszej inteligentnej warstwy obiega, jak wiadomo, książka, wydana w języku rosyjskim w Berlinie, celem której — obrona nauki katolickiej o Kościele. Z odpowiedzią na katolickie tendencye tej książki, zaopatrzonej w gruncie rzeczy w stare, a tylko nieco odświeżone argumenta, występuje N. J. Bielajew, profesor teologii. Uzbrojony w logikę i potęgę faktów, wykazuje dostojny autor bezpodstawność nowej apologii papiestwa, obliczonej sposobem jezuickim na rozbudzenie w naszem społeczeństwie sympatyj dla katolicyzmu, ku czemu już grunt istnieje. Kto się uważniej zastanowił nad nastrojem rosyjskiej inteligencyi, ten nieraz się spotkał z poglądami katolickiemi — echem oryginalnej filozofii Włodzimierza Sołowiewa“. Słów powyższych nie należy przyjmować w dobrej wierze. Chodzi tutaj widocznie o to, aby zwrócić uwagę wyższych władz duchownych i rządowych na możność pojawienia się w społeczeństwie rosyjskiem aspiracyj katolickich.

Oczywiście, że nie znajdą one najmniejszego pobłażania w redakcyi *Moskiewskich Wied.* Tam króluje w całej pełni duch Katkowa. Czcigodny ten organ wypowiada bez ogródki, czego przedstawiciele obecnego systemu w Rosyi żądają od Głowy Kościoła i duchowieństwa katolickiego w ziemiach polskich: „Dokąd papież nie nakaże podwładnemu Rosyi duchowieństwu katolickiemu mówić po rosyjsku i być wiernem Rosyi, dotąd wszelka nasza ugoda z Watykanem będzie nadzwyczaj szkodliwą“. W dalszym ciągu wylewa swój żal do seminaryum katolickiego w Petersburgu: „Przybędzie tutaj z Litwy jakiś Mickunas czy Stasiulis, a najczęściej wychodzi ztąd żarliwym Polakiem: Mickiewiczem lub Stasiulewiczem — i to jest kontyngent przyszłych księży polskich dla katolików rosyjskich“. W końcu

dostaje się i społeczeństwu stołecznemu: „W Petersburgu — piszą *Moskiew. W.* — bardzo lekkomyślnie i dobrodusznie zapatrują się na sprawę polską, prędko zapominając krwawe jej lekcye. Przyjedzie jakiś pan polski do Petersburga, którego Polacy nienawidzą, a jego społeczeństwem w duszy gardzą — a oto sypią się nań ze wszech stron ściśnienia rąk i uściski przyjacielskie. Nikt nawet nie podejrzywa, że ci panowie przybywają tutaj pracować na rzecz polszczyzny, a nie dla niewinnej rozrywki w salonach i klubach, chociażby najwykwintniej arystokratycznych".

Głównem ogniskiem czeskiego ruchu prawosławnego na Wołyniu jest gmina Hulcza. Liczba Czechów wyznania prawosławnego wynosi tam 400 osób. Utworzyli oni osobną parafię, nie mającą nic wspólnego z parafią ruską św. Mikołaja. Ale blisko połowa tej gminy trzyma się jeszcze wiary katolickiej, zwłaszcza we wsiach: Urwenie i Zalesie. „Mężczyźni — piszą *Wołyń. Ep. Wied.* w nrze 23 — uznają konieczność przejścia na prawosławie. Nie mija niedziela albo inna jakaś uroczystość kościelna bez tego, aby do któregoś z parochów okolicznych nie zgłosił się jakiś Czech z gotowością przejścia na wyznanie panujące. Daleko silniejszą opozycyą stawia personal żeński, twardo trzymający się swej dawnej wiary; szczególnie fanatycznemi są stare lub w wieku podeszłym Czeszki . . ." „Na razie jednak — czytamy w dalszym ciągu — zmiana wiary nie pociąga za sobą zmiany w dalszym sposobie życia. Czesi wyznania prawosławnego chodzą do cerkwi nie z pobudek religijnych, lecz tylko dla formy; nabożeństwu przysłuchują się obojętnie, wielu nie żegna się nawet. Ale gdy się zacznie kazanie, znać wówczas niezwykłe ożywienie i natężoną uwagę". Czeską cerkiew prawosławną w Hulczy przerobiono z dawnego czeskiego kościoła katolickiego, pomimo, że połowa gminy pozostała katolicką. Wygląda ona nadzwyczaj ubogo: ściany gołe, czarne, a ksiąg liturgicznych i ikon mało. Widocznie, że władze duchowne i rządowe dla swych nowych współwyznawców niezbyt pochopnie spieszą z pomocą.

Dnia 14 maja roku minionego przyjęło prawosławie 11 Czechów z przysiołka Podhajec w parafii małodorohostajskiej (powiat Dubno). W dniu 29 maja przeszło w tejże parafii na łono prawosławia 13 Czechów: — byli to już ostatni w powiecie dubieńskim Czesi wyznania katolickiego. Liczba nawróconych wynosi tam 500 dusz.

Na rozbudzenie w nich pociągu ku prawosławiu miały—zdaniem „*Wołyń. Epar. W.* (nr. 19)—najsilniej wpłynąć śpiewy cerkiewne i konferencye duchowne, urządzane systematycznie we wsiach: Nowiny i Podhajce. Z okazyi przejścia na prawosławie Czechów ze wsi Wołkowyje (powiat Dubno) zamieszczają *Wołyń. Epar. W.* (nr. 21 r. 1889) artykuł pod tytułem: „Kilka myśli z powodu połączenia się Czechów z cerkwią prawosławną“, w którym organ dyecezalny wołyński poleca wyraźnie duchowieństwu prawosławnemu pełnienie rzemiosła szpiegowskiego w następujących słowach: „Jeżeli polsko-łacińscy księża umieją z oddalenia kilkudziesięciomilowego oddziaływać na osadników czeskich w Rosyi, to tem bardziej rosyjski kapłan prawosławny może i powinien na nich wpływać w interesie pokrewnej plemionom słowiańskim cerkwi prawosławnej, śledząc bacznie za bynajmniej niepożądanemi czynnościami zbyt gorliwych przedstawicieli i sług papieża rzymskiego“. W dalszym ciągu tych wcale niebudujących „Kilku myśli“ czytamy: „Jeżeli OO. Jezuitom wolno urągać wierze prawosławnej w sąsiedniej Wołyniowi Galicyi, starożytnej kresowej prowincyi ruskiej: jeżeli oni, stłumiwszy w sobie sumienie, wstyd i bojaźń Bożą, w fanatyźmie niczem nie krępowanym, bezkarnie wygłaszają swe bluźniercze mowy przeciwko wszystkiemu, co święte i czczone u prawosławnych, byle tylko powstrzymać dążenia tamecznych unitów do połączenia się z cerkwią prawosławną, — to w żadnym razie i pod żadnym względem nie można zezwolić na ich wpływ w potężnej prawosławnej Rosyi. Kapłan prawosławny, podsłuchawszy i podpatrzywszy uważnie wszystkie ich tajne działania i wpływy, winien je demaskować i zwalczać siłą prawa i prawdy“.

W artykule zatytułowanym: „Propaganda polska w liceum krzemienieckiem“ obiega prasę rosyjską wyjątek z „Zapisek“ archimandryty Włodzimierza (Hipolita) Terleckiego, znanego awanturnika i w końcu apostaty. Przytaczam go tutaj, jako wyraz usposobienia duchowieństwa unickiego z pierwszej ćwierci naszego wieku. „Katechetą dla klas niższych — czytamy w „Zapiskach“ — zamianował Tadeusz Czacki Sobkiewicza, księdza unickiego, człowieka szczerego i uczciwego, ale w wiedzę niebogatego. I tak np., gdy wypadło mu mówić lub wykładać o męce Chrystusowej, to natychmiast wspominał o Polsce i zalewał się gorzkiemi łzami: — co oczywiście nie mogło nie wywierać wpływu na umysły i serca dziecinne. Przez cały rok

szkolny dzieci nic nie słyszały o Rosyi; nic takiego uszu ich nie doszło, coby im przypominało, że żyją w kraju „russkim“; — w umysłach i sercach uczących i uczących się królowała Polska. Tylko w końcu roku szkolnego, podczas aktu uroczystego i w przemówieniu, wspominało się kilku pochlebnemi słowy o carze“.

A. Szarłowski.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Korespondencya papieża z cesarzem Wilhelmem. — Kwestya odpoczynku niedzielnego. — Okólniki księcia-biskupa wrocławskiego. — Urzędowe gazety niemieckie o roli i wpływie Kościoła. — Stoecker, Gossler, Salisbury, wojskowe dzienniki austryackie o szkołach wyznaniowych. — Ruch katolicki w Austryi.

KORESPONDENCYA PAPIEŻA Z CESARZEM WILHELMEM.

Kwestya socyalna z coraz większą siłą pcha się naprzód i umysły sobą zajmuje; w ostatnich tygodniach, w miesiącu „berlińskiej konferencyi“, w miesiącu olbrzymich robotniczych ruchów, na niebywałą skalę zorganizowanych i organizujących się strejków, — pochłonęła niemal wyłącznie uwagę wszystkich, usuwając na drugi plan nawet rzeczywiście niezmiernej doniosłości fakty, nawet dymisyę Bismarcka. Niemiecki cesarz — któremu z pośród mnóstwa nadanych już, a wręcz sobie nieraz przeciwnych przydomków, najlepiej bodaj! odpowiada przydomek „zagadkowego młodzieńca“ — nie wątpi, że „młody — zdusi Centaury; a z ufnością tą, co ważniejsza, łączy — mniejsza o to, czy i przez kogo wpojona — świadomość, że samą siłą „łba hydrze nie urwie“, że jedynie wiara chrześcijańska, wprowadzone w życie jej zasady i przepisy z dzisiejszego zamętu mogą świat wyprowadzić. Przeświadczenie to wypowiada cesarz głośno przy każdej sposobności; a choć prawdopodobnie niema w szczególności na myśli katolickiego Kościoła, to siłą rzeczy i w praktyce przy-

znać mu musi pierwszą, jeśli nie wyłączną rolę. „Istotnie reskrypty swe wykroił jakby żywcem z encyklik papieskich i przemów Windthorsta; do udziału w konferencyi — jak dziś już urzędownie jest stwierdzonem — chciał papieża zaprosić, a gdy Ojciec św. dla różnych względów zaproszenia tego przyjąć nie mógł, zwrócił się doń o moralne popacie, i zawiadomił o zamianowaniu swym delegatem na konferencyę księcia-biskupa wrocławskiego, „ponieważ wiem, — pisał w liście do papieża — że przeniknionym on jest myślami i pragnieniami W. Świątobliwości". Sam zresztą Leon XIII w odpowiedzi, przesłanej cesarzowi, streścił ponownie te myśli swe i pragnienia, zatwierdził wymownie słowa cesarskiej odezwy, że „los biednych i opuszczonych najgoręcej leży mu na sercu".

„Przedewszystkiem — czytamy w papieskiej odpowiedzi — miło Nam powinszować Waszej Cesarskiej Mości, że tak bardzo wziąłeś do serca sprawę tak szlachetną i tak godną bacznej uwagi, która zajmuje świat cały. Sprawa ta zresztą nie przestała nigdy Nas zajmować, a dzieło, podjęte przez Waszą Cesarską Mość, odpowiada jednemu z Naszych najdroższych życzeń. Już dawniej, jak to sobie Wasza Cesarska Mość przypomina, objawiliśmy Nasze zdanie w tym przedmiocie i słowem Naszem wezwaliśmy ku pomocy naukę katolickiego Kościoła, którego jesteśmy Głową. Niedawno przypomnieliśmy znowu tęż naukę: i aby trudne to zadanie było rozwiązane podług wszystkich zasad sprawiedliwości, i aby słuszne interesa klasy roboczej znalazły odpowiednią opiekę, wyłożyliśmy wszystkim i każdemu z osobna, nie wyłączając rządów, obowiązki i powinności, jakie na nich przypadają.

Połączona praca rządów przyczyni się bez wątpienia silnie do osiągnięcia tak upragnionego celu. Wspólność zapatrywań i ustaw, o ile na to pozwalają odrębne warunki miejsc i krajów, posunie znacznie kwestyę tę naprzód ku sprawiedliwemu rozwiązaniu.

To też możemy tylko z całych sił popierać wszelkie rozprawy konferencyi, które zmierzać będą do podniesienia warunków bytu robotników: jak np. rozdzielenie pracy, lepiej zastósowane do sił, wieku i płci: odpoczynek w dniu Pańskim — i w ogóle wszystko, coby przeszkodziło wyzyskiwaniu robotnika, jako nędznego narzędzia, bez względu na jego godność człowieczą, moralność i ognisko domowe.

Nie uszło jednakże baczności Waszej Cesarskiej Mości, że szczęśliwe rozwiązanie kwestyi tak ważnej wymagałoby, oprócz mądrej interwencyi władzy świeckiej, także potężnego poparcia ze strony religii i dobroczynnego współdziałania Kościoła. Istotnie samo tylko uczucie religijne jest zdolnem zapewnić ustawom całą ich skuteczność, a Ewangelia jest jedynym kodeksem, w którym się znajdują zawarte zasady prawdziwej sprawiedliwości, wzajemnej miłości, mającej łączyć wszystkich ludzi, jako dzieci jednego Ojca i członków jednej rodziny. Religia to nauczy pracodawcę uszanować w robotniku godność ludzką i traktować go sprawiedliwie, ona to wpoi w sumienie robotnika poczucie obowiązku i wierności, i uczyni go moralnym, trzeźwym i uczciwym.

Straciwszy z oczu, zaniedbawszy i nie poznawszy zasad religijnych, społeczeństwo czuje, że jest teraz poruszone w swych posadach: przypomnieć mu te zasady i powołać do życia jest jedynym środkiem utrwalenia podwalin społeczeństwa i zapewnienia pokoju, porządku i dobrobytu. Posłannictwem Kościoła jest przeto nauczać i szerzyć w świecie całym te zasady i nauki. Do niego to zatem należy wpływem błogim i szerokim przyczyniać się do rozwiązania społecznego problematu. Wpływ ten wywieraliśmy i wywierać go będziemy szczególnie dla dobra klas roboczych. Z swej strony Biskupi i Pasterze, popierani przez całe duchowieństwo, czynić będą to samo w odnośnych swych dyecezyach — i mamy nadzieję, że ta zbawienna praca Kościoła, daleka od przeszkód ze strony władz świeckich, znajdzie u nich odtąd pomoc i poparcie. Jako rękojmię tego, mamy z jednej strony interes, jaki budzi w rządach ta ważna kwestya, z drugiej strony przychylne wezwanie, jakie Wasza Cesarska Mość Nam przysyłasz.

Tymczasem łączymy najserdeczniejsze życzenia, aby prace konferencyi były obfite w błogie skutki, i aby odpowiedziały najzupełniej wspólnym oczekiwaniom. Zanim zakończymy pismo niniejsze, pragniemy jeszcze wyrazić tutaj zadowolenie, jakiego doznaliśmy, dowiadując się, że Wasza Cesarska Mość zawezwał do wzięcia udziału w konferencyi, jako swego delegata, księcia Biskupa wrocławskiego, msgr. Koppa; będzie on bez wątpienia czuł się wielce zaszczyconym tym dowodem wysokiego zaufania, jakie mu Wasza Cesarska Mość okazujesz przy tej sposobności“ . . .

Dan w Watykanie dnia 14 marca 1890 r.

Leon XIII. Papież.

„Tekst obu listów — wyraża się słusznie *Kœlnische Zeitung* — przynosi zaszczyt równie papieżowi, jak i cesarzowi. Wszyscy, którzy rozumieją, że najgłówniejszem zadaniem naszego wieku są reformy społeczne, i że reformy te mogą być przeprowadzone tylko wspólną pracą wszystkich, na pierwszem miejscu zgodną pracą Kościoła i państwa, — ucieszyć się musieli z tego rodzaju wymiany zdań między dwoma przedstawicielami władz najwyższych". „Słowa cesarza, — określa znaczenie tej korespondencyi, nie ukrywając niemiłego zdziwienia, oportunistyczny *Siècle* — słowa papieskiej odpowiedzi, zwracają nas do wieków średnich, do połączenia dwóch władz, wspólnie do jednego celu zdążających. Ten cesarz, wzywający „w imię ludzkiego społeczeństwa" i „dla spełnienia humanitarnego programu" dozwolenia i pomocy papieskiego słowa, przyznaje Głowie Kościoła katolickiego ściśle określone posłannictwo, którego następstwem musi być prawo regularnej interwencyi w sprawach publicznych. Wyraźny to hołd, prośba o inwestyturę. Cesarz prosi dla swej konferencyi o pewnego rodzaju *Imprimatur*, którego biskupi udzielają gorliwym wiernym, zabierającym się do jakiegoś pobożnego dzieła. Potrzeba było rzymskiej wizy, z obawy przed kongregacyą inindeksu. Przez ten mistycyzm, cesarz uznaje w dworze rzymskim władzę, na której najbardziej mu zależy; władzę, której panowanie nad dziedzictwem św. Piotra było tylko zewnętrznem stwierdzeniem; władzę doradczą nieomylnego sędziego myśli i dusz, sędziego narodów. Książe Bismarck, grzeczny aż do złośliwości, udał się do Ojca św. o decezyę w kwestyi kilku odległych wysepek gdzieś w Oceanii; zastosował się, nie zważając na zyski ni straty, do papieskiego zdania, z góry przychylnego Hiszpanom. Wilhelm II wzywa pomocy Namiestnika Chrystusowego w przedmiocie innej zupełnie wagi i doniosłości; wyszedł z Canossy, wchodzi do Rzymu i prosi u stóp ołtarzów o papieskie zezwolenie". Dalej jeszcze idzie republikański *National*, a tracąc kompletnie równowagę, przeklina najnieszczęsny dla rewolucyi dzień, w którym nastąpiło porozumienie „papieżów z cesarzami, protestantów z katolikami".

Jaki cel tych prac, tych konferencyj? — pyta *National.* — „Papież z cesarzem nad tem pracują, aby społeczeństwo nasze poddać pod jarzmo religijnych dogmatów; aby kupić od ludu za kilka prawdziwych lub wrzekomych dobrodziejstw, wyrzeczenie się własnego sumienia; aby okuć narody w dawne łańcuchy".

Zrozumiałe to szyderstwa i gniewy; dotąd rewolucya i nieodrodne jej dziecko: socyalizm, głosiły wszędzie, że są jedynymi obrońcami uciśnionych — odtąd okrzyk ten, choć zapewne nie umilknie, stracił przecież zupełnie na znaczeniu, i trudno, aby go kto brał na seryo. Natomiast głośno i jawnie odezwała się przygłuszona dotąd nieraz prawda: „Kwestyę społeczną można tylko rozwiązać z pomocą religii, i na zasadach jej się opierając". Prawdę tę uznać musiała i uznała i berlińska konferencya; a choć uchwały jej, a raczej dane przez nią teoretyczne wskazówki i postulata, nie są ani wystarczające, ani — przynajmniej dotychczas — dla kogobądź obowiązujące, to przecież — jako pierwszy krok w tym kierunku — nie mniej są pocieszające i ważne.

KWESTYA ODPOCZYNKU NIEDZIELNEGO.

Ważne zwłaszcza uchwały powzięła komisya, obradująca nad kwestyą odpoczynku tygodniowego, domagając się zaprzestania robót w niedziele; tak, aby robotnik w każdą niedzielę, a przy pewnych, niedozwalających przerwy zajęciach, przynajmniej co drugą niedzielę zupełnie od pracy był wolny. Uchwała ta odpowiada najzupełniej oddawna objawianym życzeniom robotników na całym świecie; wyrywa zarazem socyalistom z rąk potężną broń, którą dotąd walczyli przeciw rządom i pracodawcom. Dość powiedzieć, że kwestya odpoczynku niedzielnego stawała już osiem razy — w 1872, 1873, 1877, 1878, 1881, 1885, 1888 i 1889 — przed samym tylko niemieckim parlamentem, i oddawna byłaby tutaj pomyślnie załatwioną, gdyby nie zacięty opór ks. Bismarcka. Na sesyi z 25 listopada 1885 przemawiał sam Bismarck pięć razy przeciw odnośnemu wnioskowi, wysuwając naprzód twierdzenie, że sami robotnicy są mu przeciwni. Tymczasem an-

kieta, przez rząd ustanowiona, dowiodła oczywiście fałszywości tego zdania. W wielkim przemyśle oświadczyło się za wprowadzeniem legalnego odpoczynku niedzielnego 67% chlebodawców a 75% robotników; w drobnym przemyśle 59% chlebodawców a 73% robotników; w handlu 68% chlebodawców, 78% robotników. Na podstawie tych danych parlament uchwalił 15 lutego 1888 zaprowadzenie legalnego odpoczynku niedzielnego; ale „Rada związkowa" uchwały tej nie przyjęła, jak zatwierdzić prawdopodobnie nie zamierzała identycznej uchwały z 25 listopada r. z. Dziś, gdy główny przeciwnik ustąpił z areny, spodziewać się można, że prawo, za którem głosowali zgodnie katolicy, konserwatyści, postępowcy i socyaliści, wejdzie wreszcie w wykonanie.

A nie tylko w Niemczech domagają się ciężko pracujący przez cały tydzień, wytchnienia w niedzielę. Francuskie izby kupieckie, na pierwszem miejscu paryska, nie tają sobie, jak wielkiem było błędem zniesienie przed dziesięciu laty obowiązkowego odpoczynku niedzielnego — i agitują za przywróceniem praw dawniejszych. Belgia i Szwajcarya zaprowadziła w ostatnich czasach znaczne zmiany w służbie kolei żelaznych, w celu zapewnienia urzędnikom choć paru niedziel wolnych miesięcznie. Wiec robotników szwajcarskich, zebrany w Olten w pierwszych dniach kwietnia, oświadczył się energicznie za gruntowniejszemi jeszcze reformami w tym kierunku, i przez usta prezesa swego Scherrera wypowiedział przekonanie: „Robotnik ma prawo do odpoczynku niedzielnego; obowiązkiem państwa jest odpoczynek ten mu zapewnić". Również i w Austryi coraz głośniej szerzy się przekonanie, że dotychczasowe prawa w tej mierze są niewystarczające, a co gorsza, że bardzo niedokładnie są wykonywane. Smutnoby było, gdyby Austrya, która dawnemi laty w złem tak wiernie iść usiłowała za Niemcami, nie zechciała teraz w dobrem, jeśli już nie przodować, to równem przynajmniej krokiem postępować.

OKÓLNIKI BISKUPA WROCŁAWSKIEGO.

Główny przedstawiciel katolicki na konferencyi berlińskiej, książe-biskup Kopp, nie zadowolnił się tylko wzięciem udziału w obradach, lecz praktycznie w życie je wprowadzając, stara się gorąco o założenie w swej dyecezyi jak największej liczby katolickich stowarzyszeń robotniczych, i w drugiej już z kolei odezwie powołuje swe duchochowieństwo do energicznej pracy w tym kierunku, do wspólnych narad nad polepszeniem materyalnego i moralnego losu warstw pracujących.

„Z wielką radością — czytamy w okólniku, rozesłanym bezpośrednio po zakończeniu berlińskiej konferencyi — dowiedziałem się, że Wielebne Duchowieństwo, idąc za wskazówkami, udzielonemi w pasterskim mym liście z 3 lutego b. r., zabiera się do zakładania stowarzyszeń robotniczych . . . Duchowieństwu musi tem bardziej leżeć na sercu obowiązek pielęgnowania i opiekowania się ze szczególną troskliwością interesami klas robotniczych, że druga strona nie cofa się przed żadnymi środkami, byle zniechęcić i oddalić robotnika od Kościoła. Praca w tym kierunku jest ścisłą powinnością księdza, któremu poruczone jest staranie o zbawienie dusz. Środki i drogi, wiodące do skutecznej pracy dla dobra ludu, zmieniają się z czasem. W naszych czasach jest, w ogóle mówiąc, niemal niepodobieństwem wywierać zbawienny wpływ kościelny na warstwy robotnicze, jeśli ksiądz nie utrzymuje z nimi i poza Kościołem ciągłych stosunków za pośrednictwem stowarzyszeń, mających na celu bronić ich interesów i nimi się opiekować.

Ani wątpię, że W. Duchowieństwo mej dyecezyi podziela w zupełności me zapatrywania. Z radością też pewnie powita ofiarowaną sobie przezemnie sposobność, i zrozumie potrzebę zastanawiania się nad wypełnieniem obowiązków tych społecznych, aby następnie, zbadawszy sumiennie w świetle miłości i gorliwości o zbawienie dusz, co może być dla nich pożytecznem, roztropnem i koniecznem, przystąpić do dzieła z odwagą i ufnością w Bogu.

W tym celu postanawiam, aby na zebraniach archiprezbiteryalnych, mających się odbyć w roku bieżącym, poddano pod rozbiór następne ważne pytanie:

W jaki sposób Duchowieństwo może i powinno wywiązać się z posłannictwa swego w kwestyi robotniczej? . . .

W szczególności zastanowić się należy, mając na oku nie ogólne,

teoretyczne zasady, ale miejscowe, praktyczne stosunki, nad następnemi punktami:

1) W jaki sposób, jak i kiedy urządzićby należało kościelne nabożeństwa, aby ułatwić robotnikom branie w nich udziału?

2) Jakie należałoby utworzyć instytucye dla zapewnienia materyalnego dobrobytu dzieciom rodzin robotniczych?

3) Czy jest rzeczą możliwą założyć w danej miejscowości stowarzyszenie lub stowarzyszenia robotnicze, a mianowicie stowarzyszenia: robotników, robotnic, młodzieży pracującej?

4) Duchowieństwo poznać powinno dokładnie społeczne prawodawstwo swego kraju".

W dalszym ciągu swego okólnika określa bliżej biskup wrocławski powyższe punkty i zapytania, schodząc do drobnych, lokalną już raczej wartość mających szczegółów. Podobne odezwy wydali biskupi: warmijski, monasterski, padernborski i arcybiskup koloński — a pasterskie te napomnienia dziś już przynoszą owoce. W archidyecezyi kolońskiej liczba męskich stowarzyszeń robotniczych wzrosła do 46; na Szląsku przybyło w ostatnich kilku tygodniach 13 nowych związków. Nie dziw, że tak namacalne rezultaty, że gorliwość, z jaką katoliccy biskupi i przewódcy do rozwiązania kwestyi socyalnej rękę przykładają, — budzi podziw u samychże ich przeciwników, i doradza im uciekać się pod skrzydła Kościoła przed nadciągającą burzą. Organ pastorów protestanckich, *Christliche Welt*, wyraża się w następny sposób o społecznej działalności księcia-biskupa Koppa i o dwóch jego, powyżej wspomnianych, okólnikach:

GAZETY NIEMIECKIE O WPŁYWIE KOŚCIOŁA.

„Jak głębokie to wniknięcie w tajniki kwestyi socyalnej! Jakie nauki, jakie światło spłynie nań przy tej pracy, podjętej dla robotniczego świata! Mąż ten umie zużytkować swe doświadczenie dla dobra Kościoła, dla przeprowadzenia społecznej reformy. Dwa ogłoszone przezeń reskrypty odbijają w sobie przedziwnie zalety nowoczesnego katolicyzmu. Rząd nie powołał przedstawiciela Kościoła protestanckiego do zasiadania w zwołanym przez siebie areopagu... Czyż miałoby to znaczyć, że nasz Kościół nie ma posłannictwa do wzięcia udziału w tej sprawie?"

Dziwniejsze jeszcze wrażenie, świadczące dobitnie, jak olbrzymie zmiany zaszły w Niemczech w ostatnich paru tygodniach, robią komunikaty ogłoszone w *Reichsanzeigerze* i w *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* o wpływie, jaki Kościół i jego organy wywierać mogą i powinny na społeczeństwo, zwłaszcza na klasy pracujące. „Nie ulega wątpliwości, — pisze rozstrzelonemi zgłoskami ostatni z tych dzienników — że główną sprężyną propagandy kościelnej jest spełnianie obowiązków kapłańskich, a zatem: kazania i duchowny rząd nad sumieniami. Gdzie się uda przeniknąć uczuciami wiary chrześcijańskiej równie gminy parafialne, jak i każdego z jej członków, tak aby wiara ta, w miłości się objawiająca, stała się siłą kierującą całem życiem, — tam i na takiej podstawie dadzą się najlepiej rozwiązać kwestye społeczne w duchu i wedle zasad chrześcijańskich. Duchowni i wszystkie organa kościelne winny w tym celu, bardziej jeszcze niż dotychczas, usilności nie szczędząc, całą swą energię wytężając, — dopomagać do polepszenia moralnego i materyalnego losu klas robotniczych“... Następnie wylicza urzędowy dziennik zakłady i miłosierne instytucye, w których działalność kapłańska na szeroką skalę rozwinięta, szczególnie jest pożądana. Nie dwuznaczna to zapowiedź — jak zgodnie, choć z różnemi uczuciami, wszyscy przyznają — gruntownej reformy w tym kierunku; zapowiedź — jakby przynajmniej logicznie wnioskować trzeba — rychłego obalenia reszty praw, krępujących wolność Kościoła, zamykających granice Niemiec dla katolickich zakonów.

STOECKER, GOSSLER, SALISBURY O SZKOŁACH WYZNANIOWYCH.

Jeźli chrześcijańskie zasady stanąć mają murem przeciw anarchii i odrodzić społeczeństwo, to rzecz prosta, przedewszystkiem młode pokolenie musi je poznać, pokochać i w życie wprowadzać w wiele wyższym stopniu, niż to w dzisiejszych, bezwyznaniowym duchem zarażonych szkołach może mieć miejsce. Prawda ta, samą siłą rzeczy, coraz szerszą toruje sobie drogę. Konieczność szkoły szczerze chrześcijańskiej, wyznaniowej, uznano w ostatnich tygodniach w całym szeregu oświadczeń, wyszłych z ust

mężów, których nawet liberalne nasze dzienniki nie odważą się może obwinić o obskurantyzm i niezrozumienie epoki, w której żyją. W czasie obrad nad budżetem wyznań w pruskiej izbie poselskiej, wygłosił znany Stoecker długą mowę o wpływie religii na wiedzę i wychowanie — wpływie, którego religia wykonywać w należytej mierze nie może, jak tylko w szkołach wyznaniowych.

„Dzisiaj chrześcijanie w Niemczech — mówił Stoecker — są wprost upośledzeni; w wyższych zwłaszcza szkołach przeważa element żydowski, a zatrważająca ta przewaga musi najgorzej oddziaływać na ukształcenie charakterów, na chrześcijańsko-narodowe wychowanie uczniów chrześcijańskich. W r. 1888 znajdowało się w państwowych i miejskich gimnazyach berlińskich 1898 żydów na 6900 ewangelików, 278 katolików i 26 dysydentów . . . W gimnazyum francuskiem przypada 193 żydów na 222 ewangelików i 12 katolików; w gimnazyum Wilhelma 201 żydów na 545 chrześcijan; w gimnazyum Frydryka Werdera 180 żydów na 283 chrześcijan; w gimnazyum kolońskiem 180 żydów na 340 chrześcijan; w gimnazyum Fryderyka 202 żydów na 349 chrześcijan. Sprawa pogarsza się, gdy weźmiemy na uwagę wyższe klasy. W francuskiem gimnazyum w wyższej sekundzie było na 32 uczniów, 22 żydów; w oddziale *A* na 11 uczniów, 9 żydów. W czasie wakacyj wielkanocnych roku zeszłego przeszło w temże gimnazyum 10 uczniów do wyższej sekundy: mający między nimi pierwszą lokacyę, był — ku memu zadowoleniu — chrześcijaninem; dziewięciu następnych było—ku memu mniejszemu zadowoleniu—żydami. Gorzej stoją rzeczy w wyższych szkołach żeńskich. W r. 1887 znajdowało się w Berlinie 1639 żydowskich uczennic na 3446 ewangelickich, 63 katolickich, 12 dysydenckich . . . Nie brak też żydowskiego żywiołu w berlińskich szkołach ludowych. Tak np. do szkoły na *Gipsstrasse* uczęszcza 131 żydków, 151 żydóweczek; tutaj założenie żydowskiej szkoły elementarnej nie nastręczałoby przecież trudności. Rzeczy się mają podobnie w Wrocławiu, a w Poznaniu jeszcze gorzej . . . Wysoki procent żydowskich uczniów pociąga za sobą liczny procent żydowskich nauczycielów. A czyż jest rzeczą możliwą, aby nauczyciel żydowski wyłożyć mógł jasno uczniom chrześcijańskim, w historyi chrześcijańskiej i w historyi powszechnej, działanie ręki Bożej? Dajmy na to, że znajdzie się jaki żyd do tego stopnia nauce hołdujący, iż zrozumiał, czem jest chrześcijaństwo w hi-

storyi; w każdym razie niepodobieństwem jest, aby i taki wyjątkowy żyd mógł z przekonaniem i zapałem uwagę swych uczniów w tym kierunku zwracać . . . W Frankfurcie nad Menem istnieją dwie wyższe szkoły żydowskie, założone za pruskich jeszcze czasów, z własnej rozumnej chęci przez żydowskich obywateli: dlaczegóż nie mielibyśmy się zdobyć na odwagę, i nie zrobili tego dla siebie, co Izraelici oddawna dla siebie przeprowadzili?.. Jeżli sami żydzi taką wagę na to kładą, aby mieć własne swe, wyższe szkoły, — to cóż w tem obrażającego, że chcemy ich z naszych szkół wyprowadzić i do żydowskich wprowadzić? Mamy do tego prawo; mamy, co więcej, obowiązek!“

Mowa niemieckiego wodza antysemitów ciekawą jest i ważną sama w sobie, tem bardziej, że prawica darzyła ją częstemi i hucznemi oklaskami; o wiele jednak ważniejszą i ciekawszą była odpowiedź ministra oświaty von Gosslera, w której tenże stanął — rzec prawie można — na stanowisku, zajętem przez Stoeckera. Poruszone obecnie pytanie — przyznawał minister — należy do najtrudniejszych w dziedzinie szkolnictwa; kwestya podzielenia szkół wedle wyznania uczniów, jest bezwątpienia nadzwyczaj ważną. Ustawy krajowe dają każdemu wyznaniu prawo do odrębnych szkół. Zakładanie wyznaniowych szkół ludowych nie przedstawia zbytnich trudności: sprawa komplikuje się w gimnazyach i innych wyższych szkołach, bo w niewielu miejscowościach zachodzą tak sprzyjające okoliczności, jak np. w Frankfurcie nad Menem lub w Wrocławiu. Żydzi garną się licznie do szkół i uniwersytetów: tak w r. 1886 stanowili oni w uniwersytetach 9·5 procent, choć liczba ich, w stosunku do całej ludności, stanowi tylko 1·29 procent. Naturalnie, ta chęć do nauki zasługuje na wszelkie pochwały, wszakże z praktycznych względów bardzo trzeba sobie życzyć rozdzielenia uczniów chrześcijańskich od żydowskich, choćby dlatego, że żydzi obchodząc szabaty i własne swe święta, przynoszą w ten sposób uszczerbek chrześcijańskim kolegom. Bądźcobądź, zaprzeczyć się nie da, że trudność rzeczywiście istnieje, i że trzeba będzie podjąć pewne kroki ku jej choć częściowemu usunięciu.

Jednocześnie z ministrem pruskim odezwał się w tym samym duchu, z większą jeszcze siłą za szkołą wyznaniową w szranki występując, przezes ministeryum angielskiego, lord Salisbury, w mowie wypowiedzianej na politycznym bankiecie w Newport:

„Żądam i domagam się, aby każdy — mniejsza o to, do jakiego Kościoła lub chrześcijańskiej sekty przynależy — był w stanie wychowywać swe dzieci we własnej swej religii, bo nikt na seryo zadowolnić się nie może pozbawioną treści i siły, mechaniczną, pozorną nauką religii, udzielaną w szkołach międzywyznaniowych. Z samej natury nauki religii wypływa konieczność, aby nauczyciel wierzył w to, co wykłada, i aby uczniom przekazywał cały skarb prawd wiary bez uszczerbku, tak jak sam go kiedyś w spadku otrzymał. Skoro uczeń powątpiewa o szczerości nauczyciela, nie może między nimi zapanować tak niezbędna wspólna sympatya, a nauka religii staje się komedyą, obłudną farsą . . . Słyszeliśmy w ostatnich tygodniach dużo i aż za dużo o zbrodniach, występkach, okropnościach, o rzeczach, których po nazwisku wymienić wstyd zabrania; słyszeliśmy o moralnej zgniliźnie, której obraz ledwie w marzeniu może kiedy stanął nam przed oczami. Znajdują się tak nierozsądni, którzy domagają się od prawodawstwa lekarstwa przeciw temu złemu! Jedno tu tylko możliwe lekarstwo: wychowanie dzieci we wierze chrześcijańskiej. Dlatego zalecam Wam bronić z całych sił najdroższego tego dobra wolnych obywateli; obstawać za wolnością podawania dzieciom naszym całej chrześcijańskiej prawdy, tak jak każdy z nas ją wyznaje! Najwyższe to prawo każdego chrześcijanina; precz z teoryami, mającemi na celu odjęcie lub nadwerężenie tego prawa przez mieszanie się państwa do szkoły, lub jej zeświecczenie!“

RUCH KATOLICKI W AUSTRYI.

Męskie to, chrześcijańskie prawdziwie słowa, i wziąśćby je sobie u nas powinni do serca wszyscy, którzy uchylając czoła przed wyrokami żydowskich dzienników wiedeńskich, nie mogą się jeszcze pogodzić z myślą szkoły wyznaniowej; za złe mają austryackim biskupom, że tak energicznie za nią przemówili; wierzą naiwnie, że wszyscy zwolennicy takiej szkoły — a zatem równie najznakomitsi katolicy wszystkich narodowości, jak protestant Stoecker, pruski minister Gossler i angielski Salisbury — dążą do zniżenia poziomu

oświaty, do „ogłupienia“ ludu!... Szczęściem i w Austryi powietrze z liberalnych miazmów zwolna oczyszczać się zaczyna — z wyjątkiem „Koła“, przedstawiającego kraj najbardziej katolicki. Zdrowe, katolickie pojęcia i zasady jawnie i śmiało wywieszone, wyprowadzają z ukrycia i gromadzą koło siebie zbyt dotąd lękliwych, liberalnymi frazesami oszołomionych katolików. Pocieszającym znakiem takiej katolickiej reakcyi jest świeżo odbyty pierwszy austryacko-szląski wiec katolicki. Wiec liczył około 800 uczestników, a obrady i uchwały — jak nie trudno to zresztą było dziś przewiedzieć, — obracały się głównie koło kwestyj społecznych i szkolnych. W Wiedniu odnieśli katolicy ponowne świetne zwycięstwa przy wyborach do Rady miejskiej. Misye, urządzone po raz pierwszy na tak wielką skalę pod koniec wielkiego postu, jednocześnie w jedenastu największych kościołach wiedeńskich, gromadziły u stóp ambony około 60.000 pobożnych słuchaczów. Niemniej znaczącem i okazującem, że wiara nie tylko między „pospólstwem“ krzewi się, szerzy i owoce wydaje, — jest wspólne wystąpienie kilku fachowych austryackich dzienników wojskowych przeciw liberalnej prasie w obronie chrześcijańskiej wiary i opartej na niej moralności.

„Biedni my chrześcijanie! — pisze *Armeeblatt*, w wybornie zredagowanym, ciętym artykule — biedni my, jeźli wierzyć trzeba takim dziennikom, jak *Neue Freie Presse*. Kto jest katolikiem, ten głupieje; kto jest protestantem, ten bawi się w obłudę, hipokryzyę; tak że ostatecznie nic nam chyba innego nie pozostanie, jak... przyznać się do religii Mojżeszowej, ponieważ przeciw jednym wyłącznie rabinom żadnej skargi nie słyszymy. Prawda, że i wyznawcy tej religii zaczynają się z wszelkiej wiary emancypować: nowoczesna oświata domaga się przecież nie wiary, ale bezwyznaniowości! . . . Chcąc dokładnie odpowiedzieć żądaniom nowoczesnej oświaty, powinnibyśmy właściwie wprowadzić znów w życie „religię rozumu“, i miasto pięknej małżonki drukarza Momoro, inną jaką piękność, jako boginię Rozumu na ołtarzach postawić . . . Lub raczej może należałoby składać hołdy złotemu cielcowi! Pięknaby to była religia, zwłaszcza, że możnaby ją w palcach ścisnąć!“

Inny organ wojskowy — *Die Reichswehr* — staje śmiało prawdziwie po rycersku, w obronie szkoły wyznaniowej:

„Ciężki to błąd w prawodawstwie, regulującem nasze ludowe szkolnictwo, że wychodząc z zasady wrzekomej równości dla wszystkich, odrzuca z natury rzeczy płynące rozdzielenie szkół wedle wyznania uczących się dzieci. W ten sposób religijno-wychowawczy cel szkoły ludowej rozpływa się we mgle, staje się niemal zupełnie illuzorycznym . . . Żołnież potrzebuje religii. Musi Bogu swemu ufać i nadzieję w Nim pokładać; musi niezachwianie weń wierzyć, jeźli stracić nie chce moralnej podpory, której koniecznie potrzebuje nietylko wśród strachów i niebezpieczeństw wojennych, ale i w pokoju dla należytego spełniania swego powołania, które nakłada nań większe od każdego innego powołania ciężary i przykrości, domaga się zaparcia samego siebie, pokory i posłuszeństwa. Im bardziej nasi rekruci są duchem religijnym przejęci, a zatem, im więcej szkoła ludowa ducha wiary w nich wlała, tem łatwiej dać im prawdziwie wojskowe wychowanie, tem silniej rozwinie się moralny rdzeń naszego wojska. Wolnomyślni pisać i rozprawiać sobie mogą w swych gabinetach; ale w szeregach, w żelaznej obręczy stanu, który chętnie, w milczeniu życie za obowiązek poświęca, potrzeba mężów we wierze silnych. Komu brak najważniejszej części wojskowej odwagi: ufności w Bogu; kto w Boga wtedy dopiero wierzyć zaczyna, gdy śmierć doń się zbliża i przytomność swą sercu zwiastuje na krwawem polu bitwy, — ten jest tylko pół-żołnierzem!“

„Tylko religia, prawdziwa religia — pisze w tym samym kierunku *Oesterreichisch-ungarische Heereszeitung* — natchnąć może żołnierza odwagą, ofiarnością wśród najstraszniejszych okoliczności; jeśli dla każdego, to dla żołnierza przedewszystkiem jest głęboko w sercu rozwinięta religia niezbędną koniecznością“.

Po raz pierwszy to podobno spotykamy się w najznaczniejszych wojskowych organach austryackich z takiemi, z taką jasnością i zgodą wypowiedzianemi słowami. Dobre to zadośćuczynienie za bardzo niewłaściwe wystąpienie pewnego organu wojskowego przeciw szkole wyznaniowej w chwili pierwszego wprowadzenia wniosku Liechtensteina. Reskrypt cesarza Wilhelma, kładący szczególny nacisk na rozwój w szkołach woj-

skowych „bojaźni Bożej i pobożności, zaparcia się względem samego siebie a pobłażliwości dla drugich“, znalazł widocznie odgłos i uznanie i w sprzymierzonem mocarstwie. I tutaj, sądząc po wyliczonych powyżej objawach, szerzyć się, na sile i jawności — i to nie tylko w wojskowych kołach, ale w stolicy i całem państwie — zyskiwać zaczyna przekonanie, wyrażone w tymże samym reskrypcie niemieckiego cesarza: „Wierność i ofiarność dla panującego i ojczyzny, równie jak wypełnienie wszystkich obowiązków, opiera się i wypływa z przykazań Bożych“.

Ks. Jan Badeni.

Nowy uniwersytet katolicki we Fryburgu.

Mało się dziś Polską zajmują za granicą. Od kiedy nie jesteśmy siłą, nie wchodzimy w obrachunek czcicieli materyi i siły. Jeźli kto jednak myśli jeszcze o nas życzliwie, to chyba ci, którym pierwiastek katolicyzmu rozszerzył serca i wyższy dał pogląd na rzeczy tego świata. Dowodem tego jest parlament niemiecki. Innym, na mniejszą skalę, ale także interesującym dowodem, jest uniwersytet fryburski.

Podczas kiedy w Austryi radzi się od wielu lat nad założeniem uniwersytetu katolickiego w Salzburgu — Szwajcarzy w Fryburgu przygotowali się cicho, zebrali bez rozgłosu pieniądze i ludzi... i nagle przeszłego roku wystąpili przed światem z dziełem, jeszcze niezupełnie dojrzałem, ale już mogącem żyć i samoistnie dorastać. Wydział prawny przedstawił się odrazu z 10 katedrami; wydział filozoficzny z 19, nie licząc kilku docentów; teologia, do której powołany został zakon Dominikański, zacznie się wykładać tej jesieni i będzie miała 8 profesorów; fakultet medyczny jest w dalszym projekcie.

Dobór katedr i ludzi powołanych — jak widać z *Index lectionum*, który nam nadesłano — świadczy o wszechstronności myśli, co przewodniczyła temu dziełu. Samej filozofii (a nie historyi filozofii) poświęcono 5 katedr: prof. Wolff wykłada tego roku metafizykę, O. Konnedy logikę, Horner psychologię w jej związku z pedagogią,

Jaccoud prawo natury, O. Weiss socyologię. Z historyi: Schnürer traktuje obecnie czasy Karola W., Reinhardt historyę współczesną, Steffens paleografię łacińską, Büchi historyę Szwajcaryi, Effmann historyę sztuki w średnich wiekach, Grémaud ogólną introdukcyę do historyi. Niemniej szeroko pomyślany jest rozkład literatury: Niemiec Jostes, uczeń Zarncke'ego, wykłada germańską literaturę; kilku Francuzów romańską: Bédier czyta tego roku o literaturze z czasów Henryka IV, O. Berthier wykłada Danta, Rabier historyę języka francuskiego. Nie zapomniano też i o tem, że oprócz romańskiego i germańskiego jest jeszcze w Europie świat słowiański z odrębnym objawem ducha. Ale zamiast szukać przedstawiciela tego ducha słowiańszczyzny w literaturze rosyjskiej, — jak byliby z pewnością uczynili politycy francuscy — albo w językoznawstwie starosłowiańskiem, — jak byliby zrobili uczeni niemieccy — oni, wiedzeni instynktem katolickim, wyżsi nad uprzedzenia czasu, wybrali literaturę polską, do Krakowa przyjechali szukać profesora, i ofiarowali katedrę znanemu i już wysoce cenionemu u nas p. Kallenbachowi. I dobrze ich ten instynkt prowadził: bo w rzeczy samej, nie inna, tylko polska literatura jest rodzimym kwiatem Słowiańskiego szczepu, użyźnionego rosą Zachodu — jedyną, na której cywilizacya kiełkuje.

Prof. Kallenbach preleguje tego roku o epoce romantycznej naszej literatury; przytem wykłada gramatykę starosłowiańską i ma seminarya w obu przedmiotach. Wreszcie nie brak katedr języków klasycznych i nawet wschodnich: Sturm traktuje tego roku historyę greckiego dramatu; Weyman preleguje Tacyta; Streitberg wykłada gramatykę porównawczą indoeuropejskich języków, tudzież o sanskrycie i o celtyckim języku; Docent Grimme uczy perskiego języka; docent Hess chińskiego, a zarazem wykłada hieroglify egipskie i historyę pierwotnej sztuki. — Jak widzimy, niejednej z tych katedr mogłyby pozazdrościć pierwszorzędne uniwersytety europejskie.

Stawiano sobie u nas pytanie: czemu imiona największej części tych profesorów są dotąd nieznane w nauce? Odpowiedź na to daje korespondent *Kraju*, który w lutym zwiedził Fryburg: — bo prawie wszyscy są bardzo młodzi. I w tem była głębsza i praktyczna myśl: dobierając dzielne a świeże siły do składu tej wszechnicy, chciano, żeby ona była niejako dziełem ich życia, żeby oni się z nią zrośli i razem z nią w świecie naukowym wyrośli. Zresztą są to po największej części doborowi uczniowie znanych w nauce mistrzów. Umieszczeni są w najkorzystniejszym dla nauki ognisku, na pograniczu

Niemiec i Francyi, a poza sferą politycznych waśni; należą do różnych narodowości, wykładają po francusku i po niemiecku — ale miłość nauki i wspólność przekonań katolickich tak ich zbliżyła, że, jak słyszę, najmilsze jest między nimi pożycie.

Lecz po co uniwersytet katolicki? Korespondent *Kraju* wszystko pochwala, krom tego przydomka, i zrozumieć nie może, — jak powiada — co np. egiptologia może mieć wspólnego z katolicyzmem. Co do egiptologii, widać, że ten pan nie czytał ks. Zaborskiego. Ale pominąwszy ten szczegół, czyż nie jest rzeczą notoryczną, jak antykatolicyzm, duch sekciarski lub materyalizm, przenikać potrafi ogół umiejętności, i pchać je w wytkniętym *a priori* kierunku, podstawiać umyślnie hypotezy, które, zanim pod kilofem krytyki i doświadczenia upadną, wiele umysłów skrzywią i moralnych zasad zachwieją? Dlaczegóżby katolicyzm nie miał zarówno całej nauki przeniknąć — z całą różnicą, jaka jest między dniem i nocą? Charakter katolicki uniwersytetu da w każdym razie profesorom pewien wspólny grunt przekonań, który spotęguje płodność ich pracy, — da słuchaczom cenną rękojmię, że w żadnym przedmiocie wykład profesora nie będzie tendencyjnie podkopywał ich wiary, — da samej nauce w wielu razach dyrektywę, która się nigdy dotąd niekorzystną dla nauki nie okazała.

Ale uniwersytety katolickie nie udają się w naszych czasach: we Francyi, w Anglii nie wielka z nich pociecha. — Prawda, że niektóre próby niezupełnie dopisały; ale były miejscowe trudności, od których uniwersytet fryburski zdaje się zabezpieczony. Londyński uniwersytet katolicki w zawiązku był podcięty wskutek fatalnego stanu nieporozumienia między klerem świeckim a zakonnym; przytem w Anglii taki panuje kult dla starych wszechnic Oksfordu i Cambrige, że żaden uniwersytet przy nich istnieć nie może. We Francyi może zbłądzili katolicy, dzieląc odrazu swą ofiarność i naukowe siły na kilka nowych uniwersytetów, podczas gdy Sorbona zachowywała swą centralizacyę; wkrótce odebrał im jeszcze rząd prawo udzielania stopni, coby je było odrazu umorzyło, gdyby nie miały żywotnej siły. Wreszcie te wszystkie nowe uniwersytety chromieją, jak mi się zdaje, na brak autonomii i swobody ruchów — za wiele mają opiekunów. Fryburski wydaje mi się w szczęśliwszych otwarty warunkach. Założony urzędownie przez rząd kantonu fryburskiego, ma on ten stempel urzędowości, bez którego nic dzisiaj na kontynencie nie po-

płaca; a przytem, w obec liliputowego państwa jest on tyle niezależny, że ma wszystkie korzyści uniwersytetu wolnego: charakter jego katolicki nie stawia go w sprzeczności, ale w zupełnej zgodzie, tak z ludnością miejscową, jak z władzą polityczną. Słowem, ten uniwersytet zdaje się najwięcej warunkami swego bytu zbliżony do uniwersytetu lowańskiego, — a więc pomyślna zapowiada mu się przyszłość.

Rozumie się, że z naszej strony należy mu się poparcie, poparcie sercem i czynem — bo co katolickie, to nasze; a to dzieło jest jeszcze zbliżone do nas przez tę piękną kreacyę katedry literatury polskiej. Za inicyatywą prof. Kallenbacha zawiązał się komitet, celem założenia biblioteki polskiej, z którejby i profesor i uczniowie mogli korzystać, i rozesłał ten komitet piękną odezwę do narodu polskiego, prosząc o poparcie tej instytucyi i posyłanie dzieł polskich. Wnet Akademia Umiejętności krakowska ofiarowała wszystkie swoje wydawnictwa, to samo uczyniła księgarnia Heymanna; słuszna, żeby i inni wydawcy i autorowie i posiadacze księgozbiorów również odpowiedzieli temu wezwaniu.

Najważniejsze atoli poparcie zależeć ma na tem, żeby tam młodzież polska jeździła. Tyle naszej młodzieży krąży po Europie, szukając odpowiedniego uniwersytetu, albo chcąc choć kilka kursów prawa lub filozofii za granicą odbyć. Często trafiają nie bardzo szczęśliwie. Otóż we Fryburgu znajdą z pewnością poważną naukę, profesorów dla młodzieży oddanych, kolegów dobranych z różnych części świata — a wszystko cementem jednych przekonań spojone.

Ks. M. Morawski.

Ze zjazdu nauczycieli szkół wyższych.

Od jednego z członków zjazdu, świeckiego, otrzymujemy następujące zapiski:

„Sprawa poruszona na zjeździe nauczycielskim przez ks. dra prof. Pechnika: o potrzebie przywrócenia religii przy egzaminie dojrzałości — na tem większą zasługuje uwagę, iż częściowo była przed-

miotem obrad ankiety gimnazyalnej w pierwszych dniach marca r. b., a wedle zapewnień JE. p. Ministra z dnia 10 marca częściowo załatwioną będzie w myśl wniosków szan. Ref. Pierwszy jednak z wniosków ks. dra Pechnika idzie dalej, opiewając, iż nie należy uwalniać uczniów przy egzaminie dojrzałości z żadnego przedmiotu nauki gimnazyalnej, z wyjątkiem historyi naturalnej. Nie wchodzimy w to, czy wniosek ten w całości byłby pożądanym? — czyby nie można przeciwnie wprowadzić pewnych uwolnień, dotyczących wszystkich przedmiotów i wszystkich uczniów zarówno? Chodzi nam o jeden przedmiot, który wedle naszego zdania na pierwszy plan przy egzaminie dojrzałości wysunięty być winien, tj. o religię. Przy dyskusyi w sprawie religii mojżeszowej, wyrażono z jednej i drugiej strony obawy przed szerzeniem się indyferentyzmu między młodzieżą; a czy usunięcie całkowite religii z planu matury, nie jest także jednym z ważnych czynników zobojętnienia wiary w sercach naszej młodzieży? W sprawie religii mojżeszowej trafną ktoś rzucił uwagę, że w wieku młodzieńczym, kiedy żądze i namiętności się budzą, najpierw moralność wystawiona jest na szwank, i upadek wiary za sobą pociąga. Niezawodnie umysł pochopny do złego, a krępowany karbami moralnemi, jakie mu wiara nakłada, jak najchętniej zrywa pęta, ujarzmiające jego wolę. Czyż zatem upośledzenie obecne religii krewkości młodzieńczej w pomoc nie przychodzi? „Nie będę egzaminowany z religii, zatem nie potrzebuję się jej uczyć“, — to pierwsza konkluzya chłopca: z niej płynie zobojętnienie dla przedmiotu tak ważnego, z niej lekkie i płaskie go pojmowanie. „Ponieważ z religii nie egzaminują przy maturze, zatem ona mniej znaczy niż łacina, greka i t. d.“ — to drugi wniosek konsekwentny, za którym idzie lekceważenie i wzgarda religii i wiary. A więc, rzekłby ktoś, z wprowadzeniem religii do egzaminu indyferentyzm wśród młodzieży całkiem zniknie? Nie łudzimy się bynajmniej taką nadzieją: że jednak złe pomniejszy się, tego spodziewać się można. U nas obojętność względem wiary pochodzi raczej z nieznajomości rzeczy, jak ze złej woli. Uczeń, egzaminem zmuszony do sumiennego zajmowania się nauką religii, dokładniej zapozna się z jej prawdami, które lepiej zrozumiałe, znajdą odgłos w jego sercu i staną się pewnym zadatkiem i stałą podstawą na przyszłość. Obecnie jednak czyż nauka religii w gimnazyach nie jest tym kopciuszkiem, o którego użyteczności wszyscy są przekonani, od którego się wiele wymaga, o którym się wiele mówi, któ-

rego się jednak przy popisie w tył spycha. Że to nie przesada, pojmiemy, zważywszy, że w protestanckich Prusiech religia przy egzaminie pierwsze zajmuje miejsce, i że braki w tym przedmiocie bezwarunkowo za niedojrzałością ucznia przemawiają. W państwie protestanckiem, nawet za ministerstwa Falka, kiedy bezwyznaniowość bezwzględnie tryumfowała w szkołach, religia przy maturze pierwsze dzierży miejsce: w katolickiej Austryi, w szkołach o charakterze katolickim, ta sama religia zajmuje ostatnie".

K. K.

Druk ukończony 25 kwietnia 1890 r.

PEDAGOGIA

W DRUGIEJ POŁOWIE ŚREDNIOWIECZA [1].

I.

Charakterystyka epoki.

Kto zechce w średniowieczu uwzględniać nie wojny prowadzone lub dynastye panujących, ale wewnętrzny rozwój życia społecznego i umysłowego, ten wieki XIII, XIV i XV zaliczy do nowej epoki cywilizacyjnej, która przechodzi w inne stosunki czyli kończy się dopiero, i głównie, przez wynalezienie i rozpowszechnienie sztuki drukarskiej, a więc w drugiej połowie XV wieku. Ciekawym i wielce pouczającym jest w tych 250 latach rozwój pedagogii, i ubolewać trzeba, że okres ten, nawet w poważniejszych pracach pedagogicznych, tak mało, lub — co gorsza — błędnie bywa przedstawianym. Zabierając się jednak do skreślenia i ocenienia pedagogii owych czasów, rozpatrzyć się trzeba przedewszystkiem w stosunkach społecznych i naukowych, na jej rozwój wpływających, i które zarazem usprawiedliwiają wprowadzenie nowej epoki.

Wiek XIII różni się znacznie pod względem dążeń społecznych od wieków poprzednich. Jeźli bowiem tamte przejęte były nawskróś duchem chrześcijańskim w polityce zewnę-

[1] Jestto ciąg dalszy rozprawy p. t. „Kilka słów o genezie pedagogii“ w roczniku 1889.

trznej i w ustroju państwowym i w życiu domowem, jednem słowem, we wszystkich kierunkach życia społecznego; jeźli one pod ożywczem tchnieniem chrześcijaństwa coraz skuteczniej usuwały różne zabytki barbaryzmu, — to w wieku XIII znać wybitnie zwrot ku ideom starożytnej Romy, znać zarazem początki rewolucyi, dosięgającej nawet ogniska rodzinnego. Zwroty podobne nie dzieją się nagle — i zazwyczaj muszą być długo przedtem przygotowywane, zanim zdołają objąć tak szerokie koła, iżby wycisnęły swe piętno na całem społeczeństwie. W rzeczy samej już walka o inwestyturę złożyła świadectwo, że panujący zaczęli opuszczać tropy Karola W., cesarza chrześcijańskiego, a natomiast odświeżać ideę starożytnego *imperium*, owo wcielenie absolutyzmu, który nie zna podziału władz na świecką i duchowną, nie zna praw niezależnych od kaprysu monarchy, lecz każdorazowy objaw woli imperatora — półboga uważa za jedyne źródło prawa i słuszności. Idea ta, zaczerpnięta bądź to wprost z ambicyi i zapewnienia sobie całkowitej bezkarności, bądź też z dzieł klasycznych Rzymian, z których chrześcijaństwo chętnie korzystało, bądź z wywodów prawników, tłómaczących bizantyński kodeks Justyniana — równocześnie jednak tamowana duchem chrześcijaństwa, — rozwijała się zwolna w miarę powagi pierwszych lub drugich czynników, i przybierała szatę albo narodowego patryotyzmu, jak to było we Włoszech w XII stuleciu — albo monarszego cezaropapizmu, jak się to zdarzało u władców Niemiec. Po raz pierwszy idea ta dosięgła szczytu swego rozwoju w dążnościach Hohensztaufów, którzy, wszedłszy przez krucyaty w bezpośrednią styczność ze Saracenami i z cesarzami Konstantynopola, objawili ją w zachciankach bezwzględnego absolutyzmu i w mrzonkach o nieograniczonem światowładztwie. Kościół miał tylko słuchać poleceń imperatora, i być policyjnem narzędziem do bezwarunkowego przeprowadzania w sumieniach tego, co imperator umyślił sobie przeprowadzić na zewnątrz. Absolutyzm ten, z natury swojej wprost przeciwny dotychczasowemu rozwojowi społeczeństwa chrześcijańskiego, ograniczał wszelkiemi środkami feudalne

prawa książąt i rycerstwa, tudzież samorząd miast, a wskutek tego wywołał silną reakcyę ze strony pokrzywdzonych czynników. Reakcya w Niemczech skończyła się zwycięstwem książąt, którzy już w XIII wieku potrafili znaczenie cesarskiej władzy sprowadzić niemal do zera. Z upadkiem potęgi cesarskiej nie upadła jednak idea absolutyzmu; owszem — przeszła na książąt, bo ci w obec rycerstwa i miast usiłowali odgrywać tę samą rolę, jaką zwalczali u imperatorów. Rycerstwo znowu broni się z jednej strony przeciw wszechwładztwu książąt, lecz z drugiej usiłuje to samo wszechwładztwo przeprowadzić względem ludu: odbiera wieśniakom ich ustalone prawa i zamienia w poddanych. To też wieki XIV i XV stały się arenami krwawych rewolucyj wieśniaczych w Anglii i we Francyi; z początkiem wieku XVI dzieje się to samo w Niemczech. W miejsce dawnego ładu społecznego występuje na jaw walka stanów niższych przeciw wyższym, gnębionych przeciw gnębicielom; duch rewolucyjny ogarnia coraz szersze koła i nieodzownie doprowadzić musi do stanowczego jakiegoś przewrotu. Jakżeż w obec tego zachowuje się Kościół?

Głównym środkiem, jakiego już w XII wieku chętnie i bardzo często chwytali się poplecznicy cezaropapizmu, czy to państwowego (Hohensztaufowie), czy miastowego (Włosi), — jest wybór antypapieży i podtrzymywanie schyzmy w Kościele. Zrazu schyzmy owe nie trwały długo; ponieważ jednak były częste, spowodowały nieład w ustroju Kościoła i osłabiły znaczenie powagi Stolicy Apostolskiej. Antypapież przybierał sobie nowych kardynałów i mianował nowych biskupów — papież znów rzucał na nich klątwę i unieważniał wszelkie ich zarządzenia; zkąd wynikało, iż wierni nie mogli ufać swemu biskupowi ani ustanowionym przezeń opatom, kapitule i innym dygnitarzom dyecezalnym, ale musieli starannie badać prawowitość ich instytucyj — co w tych czasach było rzeczą niezmiernie trudną z powodu niedostatecznych środków komunikacyjnych. W tych warunkach panujący i książęta, a za ich wzorem kolatorowie probostw łatwo mogli rozszerzać swój wpływ na obsadzanie urzędów duchownych, i narzucać na nie ludzi

sobie usłużnych, choć dalekich od ducha kościelnego. Że tak było, dowodzą liczne narzekania synodów z XIV i XV wieku. Prałaci, narzuceni przez świeckich, prowadzą nieraz życie wprost gorszące i, pewni bezkarności, nabywają równocześnie po kilka beneficyów, nie pełniąc obowiązków duchowuych; nadto używają kościelnego majątku na zaprowadzenie strojnych dworów, zaćmiewających przepychem książęce orszaki. A przypomnijmy sobie, że dobra kościelne powstawały z ofiarności wiernych, i obracane były dotąd nietylko na utrzymanie duchownych, ale i na różne instytucye pobożne, do których zaliczano i szkoły. Wzmaga się więc rozsprzężenie duchowieństwa i klasztorów, krzewi się coraz bardziej niemoralność. Resztki herezyj, zwłaszcza manichejskich, które tu i owdzie tlały jeszcze na Zachodzie, podnoszą teraz śmiało głowę — i korzystając z rozsprzężenia stosunków i z niezadowolenia wiernych, uderzają zawzięcie na Kościół katolicki i szerzą swe zgubne zasady. Tak to rewolucya polityczna dopomaga w swych skutkach do rozwoju rewolucyi religijnej. Katarowie i Albigensi, osłaniając się mianem chrystyanizmu, głoszą wszędzie naukę wprost znoszącą chrystyanizm: naukę manichejską o dwóch pierwiastkach dobrego i złego, o tem, że posiadanie wszelkich dóbr ziemskich jest nieprawe, jak również związki małżeńskie; i nietylko w ten sposób podkopują podwaliny społeczeństwa, ale nadto ogniem i mieczem, gdzie się czują na siłach, tępią katolików. Opatrzność jednak wzbudza papieżów tak dzielnych, jak Innocenty III i Bonifacy VIII, a nawet tworzy zakony żebrzące, które swem życiem kłam zadają wszelkim narzekaniom na zbytkowność Kościoła. Czynniki te łagodzą znakomicie przewroty społeczne, i rzucają na wiek XIII jeszcze odblask poprzedniego rozkwitu, a to tem więcej, że obok materyału rewolucyjnego, tkwi głęboko w szerokich warstwach ludu duch chrześcijaństwa z poprzednich czasów. Mogłyby nawet te czynniki zupełnie uleczyć społeczeństwo, gdyby panujący nie byli się ograniczyli na zwalczaniu mieczem heretyków, jako burzycieli ładu społecznego, ale gdyby się byli sami otrząśli z cezaropapizmu.

Tymczasem idea absolutyzmu w panujących nie słabnie, ale wzmaga się w swym rozwoju. Jej ogniskiem staje się Francya, słynna z usiłowań Filipa IV, z t. zw. niewoli babilońskiej papieży w Avignionie i z długoletnich schyzm, jakie ztąd wynikły. Rozsprzęga się coraz bardziej dyscyplina kościelna, wkrada się zepsucie nawet między prawników i urzędników, składających t. zw. kuryę papieską, a powaga papieży słabnie tak dalece, iż ginie prawie znaczenie kar duchownych. To też znajdują się ludzie, dobrzy zresztą katolicy, którzy nie widzą innego sposobu wyjścia, jak poddanie papieży pod głos soboru powszechnego. Sobór w Konstancyi kładzie wprawdzie koniec schyzmie, ale nie przeprowadza ogólnej reformy obyczajów; a tymczasem nadużycia panujące sprzyjają rozszerzaniu się nowych herezyj: Wiklefa i Husa. Dwaj ci kacerze znoszą w zasadzie wszelki ład społeczny, kościelny i państwowy: głoszą bowiem zasadę, że każdy panujący, duchowny lub świecki traci władzę, skoro popadnie w grzech śmiertelny. Panteistyczny realizm Wiklefa, obok wielu błędów dogmatycznych, uczy, że świat mieści w sobie pierwiastek szatański, z którego też pochodzą wszystkie naukowe zakłady, nie wyłączając uniwersytetów, tudzież zakony — i że jest grzechem wspierać te instytucye; zarazem ogłasza papieża antychrystem i chce znieść cały Kościół. Wiadomo, że jeszcze za życia jego pobudziły te i tym popobne nauki wieśniaków angielskich do rewolucyi. Hus, wyzyskując nadużycia cezaropapizmu panujących, głosi, że papiestwo zawdzięcza swój początek jedynie opiece i sile cesarskiej, i opierając swój system na predestynacyi, rozwiązuje Kościół jako widome społeczeństwo, a tworzy społeczeństwa niewidzialne, złożone tylko z ludzi do nieba przeznaczonych; przyczem sam wyznaje, że o czyjemś przeznaczeniu nie można wiedzieć bez osobliwego objawienia Bożego. Nie dziw, że władza świecka zwalcza orężem Husytów — ale nie jest już w stanie ich stłumić; posiew religijnej i społecznej rewolucyi szerzy się coraz bardziej i dąży do gwałtownego kataklizmu. Wzmacniają go jeszcze kierunki naukowe, w XIV i XV wieku występujące.

W tych warunkach niejedne instytucye, które przedtem znakomicie przyczyniały się do rozwoju społeczeństwa, popadają w zboczenia wprost przeciwne nietylko swym celom, ale i duchowi chrześcijaństwa. Okazuje się to przedewszystkiem na rycerstwie. Traci ono coraz bardziej poczucie swych wzniosłych zadań, a wraca do dawnego prawa pięści; gardzi nauką i sztukami, popada w zdziczenie moralne, i staje się w niejednej okolicy plagą społeczeństwa. Jeźli nawet niektóre zakony rycerskie, jak Templaryusze i Krzyżacy, uległy prądom wprost przeciwnym swemu zadaniu (czego dowodzą użalania współczesnych), — to można sobie przedstawić, jak nisko upaść musiało rycerstwo świeckie. Czarodziejstwo, alchemia i kabalistyka: oto ulubione zajęcie ówczesnych rycerzy-możnowładców.

Kościół nie potrzebuje przed potomnymi zasłaniać tych i wielu jeszcze innych objawów rozkładowych tej bezsprzecznie najsmutniejszej epoki swych dziejów, — owszem, żąda najdokładniejszego ich roztrząśnięcia: bo im gruntowniej historya wyświeca złe i jego przyczyny w owych czasach, tem silniej piętnuje cezaropapizm władców świeckich, jako główną przyczynę rozkładu, tem świetniejsze zarazem wydaje świadectwo, że Kościół — którego nawet własne wyrodne nie potrafiły zgubić dzieci — nie stoi siłą ludzką, ale jest instytucyą przez Boga założoną. Historya owych czasów wyświeca też lepiej, niż nieliczne pozytywne dowody z wieków poprzednich, jak głęboko musiało działanie Kościoła przerobić już warstwy społeczne, skoro nawet tak iście ogniowe próby rozkładowe zczeznęły na silnych moralno-religijnych zasadach ogółu. Myliłby się bowiem, ktoby na podstawie owych rozkładowych czynników chciał w czambuł swe czasy potępiać. Obok wielkiego rozsprzężenia moralnego jednych, spotykamy tam u drugich moralność nieskażoną, a nawet heroiczne cnoty. W rodzinach żyje przeważnie duch nawskróś chrześcijański; nie ustaje dobroczynność, odnawiają się w swej karności dawne, a zarazem powstają nowe i to bardzo liczne zakony; występują mężowie głośni nauką i świątobliwością, i czy to z ambony, czy też z katedr uniwersyteckich i z mownic na zjazdach publicznych

nawołują do cnoty, każą wycinać z moralnego organizmu trujące zarodki. Jednem słowem, obok dojrzewającego zwolna wywrotu rewolucyjnego, wstępującego coraz więcej na grunt pogański, przygotowuje się także epoka świetnego z wewnątrz odrodzenia się życia chrześcijańskiego.

Obok stosunków społecznych na rozwój pedagogii wpływa zawsze niepoślednio duch panujący we współczesnych umiejętnościach, a zwłaszcza we filozofii. Naukowe te kierunki, o ile wynikały z głębi ducha chrześcijańskiego, stosowały się w fazach swego rozwoju do zmian, jakie przechodziło społeczne życie chrześcijańskie. Mamy tu na myśli tak pozytywną teologię i filozofię w czasach Ojców Kościoła, jakoteż późniejszą scholastykę i mistykę. Scholastyka i mistyka nie były nowemi, odrębnemi umiejętnościami, lecz nowemi tylko sposobami badania tych samych prawd teologicznych; jedna i druga zawdzięcza swój początek nie jednemu jakiemuś myślicielowi, ale rozwojowi chrześcijanizmu. Teologia chrześcijańska w czasach Ojców Kościoła, odpowiednio do potrzeb czasu, miała — jak wiemy — charakter p o z y t y w n y; t. j. w walce z poganami, występującymi przeciw Objawieniu, a opierającymi się na zdyskredytowanym rozumie i na sofistyce, wyświecała prawdy wiary i obyczajów głównie na tle powagi — a mianowicie czerpała dowody z Pisma św. i z poprzednich Ojców Kościoła, a nawet ze zdrowych zdań filozofów pogańskich. Ztąd można było przewidzieć, że później, kiedy chrześcijaństwo spokojnie zawładnie światem, nauka wiary będzie się zwolna pogłębiać i zamieniać na system u m i e j ę t n y, zestawiający wszystkie prawdy objawione w jednę logiczną całość tak, aby swym ścisłym związkiem wzajemnie się wyjaśniały i uzasadniały. Są ślady takiego dążenia już w niektórych pismach Ojców Kościoła: występuje ono dobitniej w dziełach Boecyusza na Zachodzie i Jana Damasceńskiego (w IX w.) na Wschodzie; nareszcie utrwala się w świadomym siebie, umiejętnym kierunku od czasu św. Anzelma (w XI w.). Kierunek ten przybiera nazwę s c h o l a s t y c z n e g o, i rozpada się na dwa całkiem odrębne działy: na scholastykę filozofii i na scholastykę teologii.

Pierwsza obiera za punkt wyjścia niewątpliwe pewniki rozumowe, tak zw. *principia per se nota*, i posługując się doświadczeniem, dochodzi drogą ścisłego logicznego wnioskowania do prawd najwyższych, przyczem korzysta wiele z dzieł Arystotelesa i Platona; druga ma za punkt wyjścia prawdy objawione, które czerpie z Pisma św. i z Ojców Kościoła, następnie powołuje się na doświadczenie, na zdania klasyków i na prawdy filozoficzne, usiłuje zestawić w jednę systematyczną całość, według logicznego związku, tak wszystkie prawdy wiary (dogmatykę), jak wszystkie prawdy obyczajów (dog. moralną). Prawdy te wzajem siebie wyjaśniały, a zarazem były ilustrowane analogiami z filozofii. Scholastyczna przeto teologia posługiwała się głównie rozumowaniem, a ze względu na słuchaczy kierowała się hasłem: „Wierzę, abym zrozumiał, i rozumiem, abym wierzył", t. j. domagała się wiary w Objawienie Boże przez wpływ woli, starała się następnie wiarę tę uczynić rozumną, a podając jej głębsze zrozumienie, wyrabiała zarazem w prawdach moralnych niewzruszony praktyczny sąd rozumu, a przez to znów wpływała na wolę i na ukształtowanie obyczajów. Pod względem więc formalnym bezpośrednim jej rezultatem musiało być wykształcenie rozumu, pośrednim zaś, wykształcenie woli. Scholastyka dbała głównie o jasne a zwięzłe i gruntowne wyrażenie myśli, zostawiając na drugim planie krasę oratorską: dlatego to wyrobiła się w niej wkrótce techniczna terminologia, która ułatwiała wielce jasne i gruntowne badania, lubo odstępowała od klasycznych form języka. Na tem ogólnem tle uwydatniają się u scholastyków przeróżne sposoby logicznego grupowania systematów, a zarazem mniej lub więcej wykwintne formy wyrażenia.

Ponieważ chrześcijaństwo nosi cechę głębokiej praktyczności, przeto odkąd jedna część teologów zwróciła się ku myśleniu oderwanemu, należało się spodziewać, że powstanie wnet kierunek uzupełniający, którego zadaniem będzie wpływać przedewszystkiem na wolę i na życie praktyczne, a pośrednio dopiero na poznanie. Tym kierunkiem była m i s t y k a. Ograniczając się wyłącznie do teologii, do poznania Boga, wy-

chodziła ona z założenia, że tylko rozum oczyszczony od wpływu namiętności zdoła pojąć prawdy najwyższe, że tylko ludzie „czystego serca“ oglądają Boga, że zatem chcąc Boga poznać, trzeba usunąć pierwej przeszkody moralne, a złączyć się z nim przez miłość. Wiele już w tym kierunku pisali Ojcowie Kościoła, a zwłaszcza Dyonizy Areopagita; mistyka, rozszerzona głównie przez św. Bernarda i przez paryską szkołę św. Wiktora (Hugo i Ryszard a Sto Victore) usiłowała te luźne spostrzeżenia rozwinąć i zebrać w jednolitą, systematyczną całość. Mistyka nie występowała wrogo przeciw scholastyce — owszem, jako jej uzupełnienie, opierała się, podobnie jak scholastyka, na prawdach objawionych, a przez scholastyków jasno wyłożonych; dlatego też najdzielniejsi mistycy bywali zarazem niepoślednimi scholastykami, i odwrotnie mistrzowie „szkoły“ bywali cenionymi mistykami. Scholastyka i mistyka, wzajem się dopełniając, obejmowały dopiero całego człowieka, i dlatego nie mogły się obejść jedna bez drugiej. Jeżli bowiem scholastyka, nie ożywiona mistyką, zdolna była popaść w oschły pedantyzm naukowy, to mistyka, bez jasnych pojęć scholastycznych, mogła pomieszać łatwo zasadnicze pojęcia o różnicy między stworzeniem a Stwórcą, między życiem naturalnem a nadnaturalnem, między duchem a materyą — i popaść w chorobliwe mrzonki. Takiego losu doznał rzeczywiście fałszywy mistycyzm, daleki od mistyki Kościoła, właśnie przez to, że zerwał całkiem ze scholastyką. Mistyka wnika głęboko w moralną stroną duszy, a zwłaszcza pożądań ludzkich, i w badaniach swych posługuje się nie myśleniem oderwanem, lecz obserwacyą; dlatego i stylowi swemu nadaje barwę obrazowości, plastyczności, krasomówstwa.

Tak w scholastyce, jak w mistyce, rozróżnia historya trzy główne fazy rozwoju, a to: peryod powstawania, peryod rozkwitu i peryod upadku, tak dalece od siebie zawisłe, iż zawsze rozwój mistyki idzie tuż w ślad za rozwojem scholastyki; jedna zaś i druga stosują się znowu do silniejszego lub słabszego tętna, jakiem się objawiało życie chrześcijańskie. Wskutek rozwoju ducha chrześcijańskiego powstaje w XI wieku

scholastyka i mistyka, i organizują się wewnętrznie aż do wieku XIII. W peryodzie tym zaczyna się między filozofami scholastycznymi zacięty spór naukowy w sprawie realizmu i nominalizmu. Kościół pozostawia zupełną swobodę badań, i wtenczas tylko, gdy jaki filozof scholastyczny twierdzenia swe rozumowe przenosi na pole teologii scholastycznej i gmatwa prawdy objawione, Kościół piętnuje błąd jego i przypomina mu właściwe szranki. Zazwyczaj filozofowie ci, jak np. Abelard, byli mężami głęboko pobożnymi; dlatego też poddają się pod sąd Kościoła, i nie zostają formalnymi heretykami. Wpływ arabskiej filozofii, która zwłaszcza w XII wieku zakwitła pod opieką Omajadów hiszpańskich i duchem Alkoranu skaziła filozoficzne dzieła Arystotelesa, doprowadza niektórych filozofów scholastycznych do różnych błędnych zapatrywań, między innymi do twierdzenia, iż są dwie odrębne prawdy w tem znaczeniu, że może być coś prawdziwem w świetle wiary, co jest fałszywem w świetle filozofii i odwrotnie. Z tego względu Kościół ogranicza studyum skażonych dzieł Arystotelesa do samej jego dyalektyki — wnet jednak, bo już w r. 1254. pozwala wykładać wszystkie dzieła Arystotelesa; stało się to mianowicie od chwili, kiedy scholastycy potrafili na podstawie autentycznych tekstów wydzielić błędy Arabów, a nawet wskazać usterki samego Arystotelesa, a posługiwać się nim tylko jako dogodnem narzędziem do wzniesienia gmachu filozofii chrześcijańskiej. Od tej chwili datuje się rozkwit filozofii i teologii scholastycznej; a przyczyniły się doń najwięcej zakony żebrzące, które w XIII wieku na widownię wystąpiły. Imiona takich mistrzów scholastyki, jak Aleksander z Hales, Albert Wielki (słynny także z pism w zakresie historyi naturalnej) i św. Tomasz z Akwinu, zwany „aniołem szkoły", będą zawsze błyszczeć, jako istne perły między uczonymi wszechświata. Z badań matematycznych, przyrodniczych i językowych zasłynął Franciszkanin Roger Bacon; zaś olbrzymiemi encyklopedycznemi wiadomościami w podziw świat wprawił Wincenty z Beauvais (Bellovacensis). Równocześnie św. Bonawentura — także Franciszkanin — doprowadza mistykę do szczytu rozwoju.

Mało jest dzieł w literaturze świata, któreby czy to głębokością i wszechstronnością myśli, czy też zwięzłością i dokładnością wyrażenia mogły się mierzyć z dziełami koryfeuszów XIII wieku. Poetyczny wyraz znalazła scholastyka w „Boskiej Komedyi" Dantego, który w szacie obrazowej podawał całe niemal artykuły św. Tomasza z Akwinu.

Rozstrój życia chrześcijańskiego sprowadził za sobą i upadek jego umiejętnych kierunków. Uczniowie św. Tomasza, a zwłaszcza zawiłego Duns Scota, mniej się już troszczą o głębokość myśli i o życie według zasad prawdziwej mistyki, a natomiast pogrążają się całkiem w wyszukanej i niejasnej terminologii, i zasadzają wszystko jedynie na zwrotach dyalektycznych, przyczem karykaturują zupełnie język łaciński i zubożają treść nauki. Mistyka, powstawszy nieco później od scholastyki, dłużej znacznie ożywia studya teologiczne, opierając się co do jasności pojęć nie na dziełach pseudoscholastyków, ale na dziełach mistrzów XIII wieku; już jednak w XIV wieku zdarzają się mistycy (Ekart), którzy nie sięgając do dzieł XIII wieku, wnet się zniechęcają czczością nowszych scholastyków, porzucają grunt scholastyki i w skutkach popadają w chorobliwy mistycyzm, właściwy niektórym dawniejszym i późniejszym herezyom. Opaczne te kierunki musiały odstręczać od zamiłowania nauk, a z drugiej strony były dobrym gruntem dla krzewienia różnych chwastów. Już w r. 1311 w liście publicznym, wystosowanym do soboru powszechnego w Vienne, żali się słynny biskup Durandus, że teolodzy zajmują się jedynie czczemi subtelnościami dyalektycznemi, a zaniedbują badanie Pisma św. i poważnych autorów. — i błaga, aby sobór złemu zaradził. Rozkład jednak powiększał się raczej, zamiast się zmniejszać.

Im bardziej pogrążona w upadku scholastyka, a raczej już pseudoscholastyka podkopywała naukę, tem silniej zaczęła się budzić u mężów ze starożytnością obeznanych chęć odrodzenia nauk napowrót przez studya klasyczne, których celem miało być nietylko wprowadzenie wykwintnych form mowy, ale także otworzenie klasycznego skarbu prawd pokrewnych chrze-

ścijanizmowi, by przez to całą wzniosłość tegoż uwydatnić. W XIV wieku reprezentują i szerzą ten kierunek, humanistycznym zwany, Dante, Petrarca, Boccacio we Włoszech. Dwaj pierwsi stoją na gruncie ściśle chrześcijańskim, chcąc go jedynie uprawić i przyozdobić klasycznie — ostatni zaś popada już w śliskość moralną, właściwą wielu autorom starożytnym. Ci sami dostojnicy Kościoła, którzy domagają się przymusowej reformy podupadłej scholastyki i powrotu do mistrzów XIII wieku, popierają żywo kierunek humanistyczny, mniemając słusznie, że połączenie go z ówczesną dyalektyką doprowadzi do ponownego odrodzenia się teologii i filozofii chrześcijańskiej, a pośrednio do odrodzenia wszystkich umiejętności i sztuk wyzwolonych. Dyalektyczne krętarstwa, jakiemi się posługiwali heretycy XIV wieku, niemało też zdyskredytowały dyalektykę; a głębiej patrzący mistycy coraz dosadniej piętnowali czczą sofisteryę. Takimi byli np. Piotr d'Ailly [1], Gerson [2] i Mikołaj z Clemange [3]. Pośrednio głosy te przyczyniały się również do poparcia humanizmu. W tych bowiem warunkach naturalnym biegiem rzeczy humanizm chrześcijański skłania się więcej ku mistyce, lubo nie brak w nim reprezentantów, którzy sympatyzują raczej z poprzednią scholastyką. Dwór papieski w Rzymie i dwór

[1] *Recommendatio S. Scripturae.*

[2] *De reformatione theologiae. Lectiones duae contra curiositatem:* dwa listy *ad student. in Coll. Navarrae.* Skarży się na zaniedbanie Pisma św. i poważnych autorów, i na uganianie się za nowymi dziełami i komentarzami, które oryginał rozwałkowują i przekręcają. Zaleca studentom, aby porzucili te niewczesne płody, a wrócili do studyowania dzieł: w scholastyce: Duranda, Henryka z Gandawy i św. Tomasza z Akwinu: w mistyce: św. Bernarda, Ryszarda a Sto Victore, a zwłaszcza św. Bonawentury, — dodając także dzieła Ojców Kościoła. O starożytnych mówi: „Wcale nie ganię tych, co dziełom pogan nie oddają się zupełnie, lecz niejako się wypożyczają, przebiegając je na sposób wędrowca: a to i dla mnóstwa sentencyj moralnych, i dla stylu i retorycznej słów okrasy, i dla obznajomienia się z poematami i z historyą, wreszcie dla zadowolenia pewnego z urozmaicenia lektury, — chociaż sądziłbym, że w świętych doktorach, jak w Augustynie *(de civ. Dei)*, w Orozyuszu, Hieronimie, Laktancyuszu znaleść można nie mniej, jeźli nie więcej owych pożytków". *(G. Opera. Parrhysiis*, ap. J. Parvum et Franc. Regnault a. 1521 p. I. f. 108).

[3] *De studio theolog.*

Medyceuszów we Florencyi, są głównemi ogniskami, zasilającemi nowy kierunek we Włoszech. Najazd Turków sprowadza na Zachód Manuela Chryzolorasa i wielu uczonych Greków, a upadek Konstantynopola w XV w. zmusza do przesiedlania się całe szeregi mężów klasycznie wykształconych wraz z licznymi rękopisami klasyków. Znalazłszy grunt odpowiedni, podnoszą oni znakomicie studya klasyczne.

W rzeczy samej, humanizm przyczynia się znacznie do ożywienia teologii, filozofii i wszystkich nauk. Pod jego tchnieniem wychodzą w XV wieku dzieła teologiczne, wolne od dyalektycznej przesady, głębsze treścią a zarazem pociągające klasyczną formą; ożywia się studyum języka hebrajskiego i studyum Pisma św., budzi się wielki zapał do odpisywania i zgłębiania dzieł Ojców Kościoła, wreszcie urozmaica się studyum historyi. Humaniści chrześcijańscy są zarazem istnym wzorem pod względem pobożności, głębokiej wiary i przywiązania do Kościoła, a tem samem, na wzór Ojców Kościoła, umieją chrzcić niejako Platonów i Arystotelesów, i z każdej nauki dawać nowego bodźca duchowi chrześcijanizmu, rozkutemu z pęt strupieszałej pseudodyalektyki. Wielkie więc przysługi oddali Kościołowi dostojnicy jego przez gorliwe popieranie humanizmu.

Jednakowoż słyszeć można głosy, potępiające ową opiekę, udzielaną humanizmowi ze strony Kościoła, jako czyn wielce nieroztropny. Powodem tak ostrego sądu bywa zawsze pomieszanie humanizmu chrześcijańskiego z humanizmem pogańskim. Nic dziwnego bowiem, że w rozkładzie społecznym, jaki wówczas panował, w obec nurtujących głęboko w życiu praktycznem idei starorzymskich, przeciwnych chrystyanizmowi, znaczna część humanistów zaczęła się oddalać od ducha chrześcijańskiego, i z zamiłowania klasycyzmu popadać w ubóstwianie stosunków pogańskich jako takich. Już Boccacio, a za nim wielu innych, na podstawie licznych niemoralnych dzieł klasycznych, piszą w ponętnej formie rzeczy wprost przeciwne moralności chrześcijańskiej; inni unoszą się nad ideą starożytnej municypalności we Włoszech, a żaden z tego obozu w zwalczaniu scholastyków nie odróżnia karykatury od samej prawdy;

powstają nawet przeciw najcelniejszym mistrzom prawdziwej scholastyki, nie myśląc oczywiście w dumie swojej zajrzeć do ich dzieł i przekonać się, o ile ich wycieczki są uzasadnione. Zwolna też przyswajają sobie pogańskie twierdzenia Platona i Arystotelesa, i wszystko to, w czem ci filozofowie są wprost przeciwni prawdom Objawienia chrześcijańskiego. Ponieważ jednak humanizm pogański nawiązywał się do prądów nurtujących w społeczeństwie, i zwolna, a może nawet nieświadomie się przerabiał w zupełną antytezę chrześcijaństwa, przeto nie wywoływał reakcyi ze strony Kościoła, tem bardziej, że ci sami humaniści, potrzebując koniecznie poparcia ze strony dostojników Kościoła [1], starali się usłużnością i pochlebstwem utrzymać ich w błędzie [2].

W środku między temi kierunkami, ale więcej pochylając się do humanizmu pogańskiego, stanęli humanistyczni formaliści, którzy swe zamiłowanie ku studyom klasycznym posunęli aż do zupełnego utonięcia w szczegółach i kwestyjkach filologicznych, zaniedbując wszelkie inne przedmioty. Nieraz też cytowano przeciwko nim Senekę, potępiającego gramatyka Didyma za to, że napisał 4 tysiące dzieł o samych drobiazgach

[1] Tak np. Poggio Bracciolini, sekretarz kuryi papieskiej, z gruntu niemoralny; Wawrzyniec Valla, drwiący sobie z instytucyj chrześcijańskich — i wielu innych.

[2] W sprawie humanizmu czytać można wiele sprzecznych twierdzeń: ludzie bowiem, nie sięgający do źródeł, powtarzają (nawet pod płaszczykiem nauki) stronnicze zapatrywania tych lub owych partyj. Zazwyczaj chcą we wszystkich humanistach widzieć zdeklarowanych amatorów pogaństwa. Na tej podstawie jedni upatrują w Kościele zawziętego wroga humanizmu, drudzy znów biorą za złe Kościołowi, że się opiekował humanizmem. Pierzchają snadnie te mylne poglądy, gdy się zacznie czytać dzieła humanistów i uwzględni ściślejsze badania historyczne: z dzieł widać, że jedni humaniści, obok walki z pseudoscholastyką, tchną nawskróś duchem chrześcijańskim, inni zaś grzęzną w bagnie pogaństwa; historya znowu dowodzi, że humanizm we wszystkich krajach rozszerzył się głównie przez poparcie dostojników Kościoła, że jednak dostojnicy ci użyczali nieraz swej opieki także humanistom pogańskim, mieszając ich z pierwszymi. Dlatego zwracamy dobitnie uwagę na owo pomieszanie rzeczy, bo wynikł ztąd już niejeden mylny pogląd na rozwój pedagogii.

niepotrzebnych, jak o domniemanej ojczyźnie Homera, o prawdziwej matce Eneasza i t. p.

Metoda humanistów była zawisłą początkowo od tego, czy się przychylali do scholastyki, czy do mistyki. Gdy się później humanizm ustalił, zaczął się posługiwać szeroko powagą autorów klasycznych, oraz spostrzeżeniami z doświadczenia zewnętrznego, — przyczem humaniści chrześcijańscy powoływali się często i z upodobaniem na Pismo św. i na dzieła celniejszych Ojców Kościoła. Im więcej humaniści pogańscy zaczęli się oddalać od chrystyanizmu na podstawie autorów klasycznych, tem częściej humaniści chrześcijańscy powoływali się również na autorów klasycznych, aby takiem *argumentum ad hominem* przekonać przeciwników, a zarazem pseudoscholastykom, walczącym z humanistami, odjąć powody do napaści. Ztąd dzieła humanistów chrześcijańskich XV wieku przepełnione są wywodami z autorów klasycznych[1].

Wśród tego ścierania się umiejętnych kierunków, którego znaczenie uwydatnia się bliżej w rozwoju pedagogii, zachodzi wypadek, stanowiący prawdziwą epokę w ich dalszem kształtowaniu się i wpływie na wychowanie. Tym doniosłym wypadkiem cywilizacyjnym jest wynalezienie i rozpowszechnienie sztuki drukarskiej. To też czasy od połowy XV wieku wymagają omówienia w osobnym artykule [2].

(C. d. n.)

Ks. W. Gadowski.

[1] Nie idzie jednak zatem, żeby mieli zaniedbywać Pismo św. i Ojców Kościoła. Z takiego postępowania tłómaczy się dowodnie Eneasz Sylwiusz (papież Pius II), powołując się na św. Cypryana, który już się martwił, że przeciw Demetryanowi użył Proroków i Apostołów, których ten nie uznawał, zamiast się powołać na filozofów i poetów, których powagi, jako poganin, nie mógłby odrzucić. Najlepsze zresztą usprawiedliwienie widzi w postępowaniu samego św. Pawła Apostoła. (*De liberorum educatione*. Basileae 1551).

[2] Historyografia protestancka najmyliej przedstawia właśnie wieki XIII, XIV i XV, ich życie społeczne i kierunki naukowe, a to w widocznym celu, by usprawiedliwić wystąpienie protestantyzmu, i chwilę jego powstania wysławić jako najważniejszy moment cywilizacyjny. Z biegiem

czasu wpłynęło to na zupełne spaczenie sądu tak o scholastyce i mistyce Kościoła, jak o humanizmie, o których sądzono za drugimi, nie zaglądając do dzieł, pozostałych z owych czasów. Ztąd powstało zupełne pomieszanie scholastyki z późniejszą pseudoscholastyką, mistyki z fałszywym mistycyzmem, humanizmu chrześcijańskiego (zwanego też dawniejszym) z humanizmem pogańskim (tak zw. młodszym); ztąd owe deklamacye na temat zaciętej walki między scholastyką a mistyką — przyczem w scholastykach Kościoła chciano widzieć ludzi, zaprzeczających wszelkiej potrzeby życia moralnego, w mistykach zaś marzycieli, odrzucających potrzebę wiary w pozytywne objawienie, i polegających na ślepym subjektywizmie. Wiekowi XIX trzeba przyznać tę zasługę, że sięgnął głębiej, bo do samych źródeł, i dlatego też coraz bardziej rozwiewają się uprzedzenia do scholastyki, a papież Leon XIII, z uznaniem świata uczonego, mógł nakazać, by za podstawę studyów filozoficznych wziąść filozofię św. Tomasza z Akwinu, widząc w niej najlepszy sposób na wyleczenie z płytkości myśli. Nie zapomniano i o mistykach, których dzieła wydobył z pleśni, głównie, żyjący jeszcze O. Denifle, Dominikanin. Rozbiło to zupełnie twierdzenia protestantów, tak iż zrobili raz (względem XIV w.) Denifiemu zarzut, że im odebrał mistyków. „Nie potrzebowałem ich odbierać, — odparł tenże — bo oni nigdy do obozu waszego nie należeli". Dzisiaj też mieszania tych pojęć trudno już usprawiedliwić.

Z ARCHIWUM KARMELITANEK BOSYCH WILEŃSKICH.

(Dokończenie).

Z mieszczaństwem wileńskiem miał konwent oczywiście liczne stosunki; a jak to zawsze między ludźmi — bywało i tu różnie: jedni zapisywali Pannom kamienice, drudzy znów z niemi się procesowali. Jest wiele dokumentów i oryginalnych, i kopij do spraw z mieszczaństwem; myśmy tylko cząstkę przejrzeć mogli, a odnieśliśmy wrażenie, że ktoby się niemi bliżej chciał zająć, zyskałby sporo materyału do topografii ówczesnego Wilna i stosunków mieszczaństwa wogóle.

Idąc za przykładem Majmoniczów, zapisał Siostrom swoją kamienicę drugi patrycyusz z tejże ulicy Końskiej, Rydelewicz, ale jedynie pod warunkiem, że będzie pochowanym w kościele przy nowym klasztorze. Zastrzegł się co do tego warunku urzędowo w magistracie wileńskim, a akt odnośny wydali Marcin Kiewlicz, Hrehory Safianowicz Consulares, i Notarius ordinarius magistratus. Na końcu, przy pieczęci, wyobrażającej N. P. Ostrobramską, dopisek: *ad resignandum iuxta formam iuris civilis Magdeburgensis, cuius iurisdictioni supratacta lapidea, ab antiquis temporibus de integro subest;* dom ten, stojący *in platea equina vulgo końska*, był tedy już stary bardzo. Stało się zapewne zadość życzeniu Rydelewicza, i spoczywa pewnie

w kościele św. Józefa. Niestety, do dziejów tego kościoła nie znaleźliśmy ani jednego dokumentu.

Ledwie tylko przybyły Karmelitanki do Wilna, już miały proces! Sprawa była może z jakim młynarzem, bo chodziło o wodę, a mianowice o wodę rzeczną, ze strumyka zwanego *Winger*, za Ostrą Bramą. Rzecz wytoczyła się w r. 1638 przed wileńskie *officium consulare*, które rozsądziło na korzyść konwentu, przyznając, że mu się słusznie należy *aquae usus ex rivo publico civili, Wingier dicto, extra portam Ostra dictam.* Obydwa oryginały wyroku znajdują się w archiwum konwentu; na jednym jest jeszcze dobrze zachowana pieczęć. Wypadałoby z tego wnosić, że następnie jak najlepsze stosunki zapanowały między konwentem a pierwszym jego opponentem, czy też jego następcami, skoro konwent doszedł do posiadania jego papierów familijnych, co zwykle następowało po jakimś zapisie, na jego rzecz uczynionym.

Jest kilkanaście zeznań co do prywatnych układów majątkowych przed *officium consulare*, których urzędowe kopie doręczano klasztorowi. Jedna taka kopia z r. 1650 traktuje sprawę, należącą *ad iudicium et acta peremptoria scabinalia Vilnensia.* Z r. 1654 jest kontrakt z zakonnicami o kamienicę, zwaną „Krupełowską“ (ulicy nie wymieniono), na którym podpisała się „Siostra Beata Constancia od Nas.[1] panny wniebowzientey, na ten czas przeorisa Karmelitanek Bosich“. Z roku 1656 mamy ugodę o kamienicę z mieszczaninem Aphanasem Pasternakiem; w r. 1667 zakupiono od Bitnera kamienicę przy ulicy św. Ducha (kontrakt spisano przy *iudicium scabinale*). W następnym roku 1668 ustąpił Siostrom kamienicy Krzysztof Brzozowski, który nie omieszkał podpisać się na akcie z całym swym tytułem „patritiusz wileński;“ darowiznę zatwierdza w drugim akcie *iudicium consulare* tego roku. W r. 1671 była sprawa pomiędzy zakonnikami a magistratem wileńskim o podymne z jednej kamienicy; pod r. 1674 dowiadujemy się o ulicy Chacucińskiej z kościołem WW. Świę-

[1] Zapewne skrócenie za „najświętszej“.

tych z aktu wydanego *coram nobili iudicio Scabinali Vilnensi*, na *iudicium opportunum et criminale*. O przepisie mieszczańskiego prawa względem kobiet poucza nas dokument z r. 1670, w którym zrzeka się na rzecz klasztoru swej kamienicy „Elżbieta Bogdanowiczówna, bywsza Walentynowa Brzozowska (może po Krzysztofie Brzozowskim?), a teraźniejsza Janowa Jędrzewska z przytomnością kuratora podług prawa magdeburskiego odemnie do tego użytego, Szlachetnego Pana Thomasza Kasprowicza Iuristy Wileńskiego". W połowie XVII wieku powstaje sprawa z miastem Wilnem o jakąś „dziesięcinę z drew". Uwolnił klasztor od tej należytości Jan Kazimierz, w Warszawie dnia 30 stycznia 1651; z r. 1655 mamy uwolnienie od myta „dla wolnego drew przeprowadzania", podpisane przez Gosiewskiego Wincentego Korwina, podskarbiego wielkiego, hetmana polnego i pisarza ziemskiego W. Ks. Lit. W tej samej sprawie jest urzędowa kopia króla Michała z Warszawy 1670 r.

Językiem urzędowym władz miejskich jest łacina; wszystkie te dokumenta spisano po łacinie z wyjątkiem ostatniego, wydanego przez „białogłowę", nie znającą łaciny. W r. 1745 spotykamy się z aktem sporządzonym po polsku; ale początek i koniec są po łacinie. Jest to transumpt jakiejś donacyi spisanej po polsku; formuły transumptowe dodał urząd nie w tym samym, lecz w łacińskim języku, wydając ten dokument *ex actis nobilis officii Consularis Civitatis S. R. M. Metropolis Vilnensis*. Zdaje się tedy, że łacina, która tu językiem urzędowym była już w r. 1637, pozostała nim aż do końca Rzpltej. Rzecz godna uwagi, bo równocześnie w ziemstwie urzędowym był język ruski. Jak widać z nazwisk przytoczonych, mieszczaństwo było różnego pochodzenia: ruskiego, polskiego i niemieckiego, — ale wszystko to widocznie już spolonizowane, używa łaciny lub polszczyzny, lecz nigdy języka ruskiego.

Całkiem inaczej w dokumentach, mających związek ze stanem szlacheckim. Wstęp i zakończenie do testamentów Stanisława Andrzejewicza Łoszeta z r. 1619 i Macieja Wesołowskiego z r. 1630, są po rusku. Zapis Krzysztofa Paca z r. 1644 obejmuje sześć stronnic pisma; cała pierwsza stronnica prócz

ostatnich dwóch wierszy pisma po rusku; u góry data po rusku głoskami wypisana, tak samo na końcu aktu data w ruskim języku powtórzona. Wszystko robi wrażenie, że potrzebną była ruszczyzna dla nadania dokumentowi znaczenia dowodu urzędowego. Utwierdzi nas w tem przekonaniu przegląd dalszych dokumentów. Z r. 1646 mamy dekret sądowy w sprawie Brzostowskich z Wolskimi o 300 kop groszy litewskich; cały akt obejmujący trzy arkusze, spisany po rusku. Członkowie trybunału podpisali się jak kto chciał: dwa podpisy są ruskie, a trzy polskie: marszałka koła duchownego trybunału litewskiego, jednego deputata koła duchownego, i deputata smoleńskiego; — ale językiem urzędowym trybunału, językiem jego aktów, jest ruszczyzna. W ruskim języku podobnież spisano początek i zakończenie zapisu Kolumby Radziwiłłównej z r. 1655. Ciekawy jest dokument zapisu wlewkowego Słupskiego, wydany w Słonimie dnia 28 maja 1655. Początek łaciński, dotyczy grodu warszawskiego, przed którym Słupski pierwotnie zapis zeznawał; teraz powtarza to w Słonimiu; dokument też powtarza drugi raz dosłownie to samo, ale po rusku; a wreszcie trzeci raz to samo, w języku polskim. Zakończenie podwójne: najpierw po rusku, potem po łacinie. Chodziło widać o to, ażeby akt miał znaczenie w obec urzędów koronnych i litewskich zarazem. Wśród tekstu polskiego wszystkie daty pisane dwa razy: po polsku i po rusku. Po rusku dopisano zakończenie z urzędową formułą na zapisie wlewkowym tegoż proboszcza kowieńskiego Słupskiego z r. 1661. W r. 1665 trzeba było oblatować testament Albrechta Władysława Radziwiłła, kasztelana wileńskiego. Kasztelan wypisawszy na czele po łacinie: *In nomine Domini Amen,* i motto: *nemo est, qui vivat et non videat mortem,* spisał cały zresztą testament w języku polskim. „Działo się w Czornawiczach 1 lipca 1636“. Oblata z r. 1665 nie tłómaczy polskiego tekstu; przepisuje go tylko, ale formuły, pochodzące z oblatowania, dodaje po rusku; ruską jest cała pierwsza stronnica aktu i ruskie zakończenie. Akt ten wyjęto z ksiąg wileńskiego trybunału. W r. 1685, Bogumiła Gradowska, siostra zakonna, zeznaje

coś przed trybunałem (przez zastępcę prawnego): początek i koniec po rusku, podpisy urzędników sądowych po polsku i po rusku. Z r. 1694 jest banicya na Orzechowińskiego, cała od początku do końca po rusku pisana; — podpis: „Jan tretij Bożijeju miłostiju Korol polski etc.“ (pieczęć mniejsza); druga banicya z r. 1695 również wyłącznie po rusku z tymże podpisem.

Tak to uciskanym był język ruski na Litwie, że pozostał urzędowym w grodzie i w trybunale! Warto to zanotować. Dokumentów spisanych wyłącznie po rusku, na których niema ani jednej litery łacińskiego alfabetu, znaleźliśmy w tych szczątkach archiwum wileńskich Karmelitanek conajmniej pięćdziesiąt. A że nie pochodziły wyłącznie od Rusinów, widać z tego, że skoro tylko akt jakiś nie przechodzi przez jaki urząd, pisany jest po polsku — dopiero w urzędzie wyciskano na nim ruskie piętno.

Dopiero z ostatnich lat Rzpltej, bo już z r. 1780 znaleźliśmy dokument wyjęty „z ksiąg ziemskich spraw wieczystych województwa wileńskiego“, spisany wyłącznie w polskim języku. Jestto „dobrowolny, obligacyjny, oraz inekwitacyjny strictissime inscriptionis zapis“ na 4000 złp., wydany „na rokach Śto-Michalskich ziemskich województwa wileńskiego“ pod przewodnictwem Franciszka Romanowicza, dnia 25 października 1780.

Skoro mowa o języku urzędowym, nie od rzeczy może będzie zwrócić uwagę na niektóre formalności kancelaryjne, o ile na prędce się dostrzedz dały. Prawo wymagało widocznie trzech świadków do uznania aktu za dokument o urzędowej wartości, bo w każdym niemal, a na każdym spisanym w urzędzie, bez wyjątku trzech ich występuje; nietylko się podpisywali, ale dodawali też swoje pieczęcie, i dlatego zawsze „pieczętarzami“ są zwani. „Trzech ustnie proszonych pieczętarzy“ [1] podpisuje i pieczętuje każdy dokument. (Na najstarszym tylko z nich, na testamencie Łoszeta z r. 1619 jest tylko jeden pie-

[1] W zapisie ks. Dombrowskiego Jana z r. 1719 wyraźnie: „trzech według prawa proszonych pieczętarzy“.

czętarz, Stanisław Bolestowski). Ciekawy jest sam sposób pieczętowania: wyciskano pieczęcie na kawałku papieru, wyciętym z następnej ćwiartki, tak, że gdy akt się złoży, zdaje się, jak gdyby pieczęć na następnej dopiero ćwiartce znajdowała się, podczas gdy jest przyklejona do poprzedniej. Wycięcia te, na których wyciskano pieczęcie, mają różny kształt: najczęściej trapezowe, często z przedziałką i zgięte; podpisy umieszczone nieraz w około wycięcia; czasem wycięcie pod pieczątką znajduje się na osobnej, niezapisanej zresztą całkiem ćwiartce; czasem obie ćwiartki: ta, z której kawałek papieru pod pieczątkę wycięto, i ta, na którą wycięty kawałek nalepiono. — są w jednem miejscu razem zlepione, jakby dla ułatwienia każdemu na pierwszy rzut oka kontroli, czy miejsce z pieczątką przystaje dokładnie do miejsca wyciętego. Składające się z kilku arkuszy akta zszywano sznurkiem; a jak w dzisiejszych kancelaryach adwokackich i notaryalnych jest pewien umyślny sposób tego zszywania, tak go też miały i ówczesne kancelarye sądowe litewskie. Najlepiej to widać na zapisie obligacyjnym, wyjętym z ksiąg ziemskich spraw wieczystych województwa wileńskiego, pochodzącym już z r. 1780, gdzie trzy arkusze zszyto różowym jedwabiem w ten sposób, że końce nitek schodzą się razem pod ostatnim wierszem aktu, i tworzą linię prostą popod całym wierszem, wykluczając możność jakiegokolwiek dopisku. Na dawniejszych aktach trudno już obserwować sposób zszywania, bo sznurki najczęściej poprały się i wiszą luźno; znać, że to archiwum przerzucano nieraz ze skrzyni do skrzyni, że różne niewesołe przechodziło koleje, zanim szczątki dostały się na Czerną. Ale na najdawniejszym właśnie z dochowanych aktów, na wspomnianym już testamencie Łoszeta z r. 1619, znać jeszcze sposób zszywania; jest odmienny od tamtego z końca XVIII wieku, a mianowicie sznurek zakrywa pieczęcie poprzez nie, nie pod niemi, lecz na nich poprowadzony.

Są to drobiazgi, które w dyplomatyce średniowiecznej mają wielką wartość, ale w wieku XVII i XVIII nie mogą mieć do tego pretensyj; niema jednakże żadnej szkody, gdy

się i w XVIII wieku zwróci na to uwagę, skoro się ma do tego sposobność.

Jednym z ważniejszych wypadków dla klasztoru było owo wyżej wspomniane wstąpienie do zakonu Kolumby księżniczki Radziwiłłównej. Troskliwie zachowane listy Radziwiłłów, odnoszące się do tego wypadku, oraz ogromna na owe czasy suma posagu z dokumentami się do niego odnoszącemi, świadczą aż nadto, że i w zakonie samym wypadek ten za niezmiernie ważny uchodził. Z tych względów osobny ustęp tej sprawie poświęcamy.

Z końcem XVI wieku naród polski ochłonął z szału reformacyi. Liczne rodziny możne, poprzednio najgorliwsze zwolenniczki protestantyzmu, powracają na łono Kościoła katolickiego. Najwybitniejszy przykład tego zwrotu do wiary ojców przedstawia nam ród Radziwiłłów, który w dwóch potężnych swych przedstawicielach: Mikołaju Rudym i Mikołaju Czarnym posiada niejako naczelników helweckiego kościoła na Litwie. Podczas, gdy pierwszego potomstwo, linia Radziwiłłów książąt na Birzach i Dubinkach, wierna pozostała reformacyi, a w ostatnich swych latoroślach tj. ks. Januszu i ks. Bogusławie wyradza się na nieprzyjaciół ojczyzny znanych publiczności z „Potopu“ Sienkiewicza, — to potomstwo Mikołaja Czarnego linia Radziwiłłów książąt na Nieświeżu i Ołyce, głównie za staraniem OO. Jezuitów, a mianowicie księdza Skargi nawrócone na katolicyzm, niezmierną gorliwością religijną i miłością ojczyzny się odznacza. Najstarszy syn Mikołaja Czarnego Mikołaj Krzysztof z przydomkiem Sierotka, robi pielgrzymki do Rzymu i Ziemi świętej; drugi Jerzy poświęca się stanowi duchownemu, zostaje biskupem wileńskim, następnie krakowskim a wreszcie kardynałem;[1] Albert, trzeci syn, zamienia zbory kalwińskie na kościoły katolickie, buduje ołtarze w kościele św. Jana we Wilnie;[2] ostatni z synów Stanisław, prze-

[1] Kodłubaj. „Galerya Nieświezka Portretów Radziwiłowskich“, str. 251
[2] Tamże 294.

zwany „Pokornym“, wielkim jest zwolennikiem i protektorem OO. Jezuitów, a umiera podczas pielgrzymki do Loretto [1]. Ta sama religijność ożywia i drugie pokolenie. Córka ostatniego, Krystyna Eufemia, przyjmuje w roku 1621 habit w klasztorze PP. Benedyktynek w Nieświeżu, a w roku 1632 obraną zostaje ksienią tegoż klasztoru [2]. Jeden z synów Radziwiłła Sierotki zostaje kawalerem Maltańskim, a umierając w Asyżu przy grobie św. Franciszka, zostawia po sobie liczne pobożne fundacye [3]. Z pięciu braci naszego komandora wymieniamy dwóch: Alberta Władysława i Aleksandra Ludwika. Pierwszy z nich ordynat Nieświeski, piastuje z kolei urzędy kasztelana, wojewody trockiego, a wreszcie kasztelana wileńskiego. Niezmiernie gorliwy katolik sprzeciwia się stanowczo małżeństwu Władysława IV z córką Palatyna Renu, z powodów religijnych. Dwa razy wstępował w śluby małżeńskie; drugą żoną jego była Anna Zofia Zienowiczówna, córka Mikołaja Zienowicza, kasztelana połockiego, i Anny Chodkiewiczównej, kasztelanki wileńskiej [4]. Po śmierci księcia Alberta w roku 1636 wyszła powtórnie za Franciszka Zebrzydowskiego, kasztelana lubelskiego, którego także przeżyła, umierając roku 1668 w Głębokiem, którą to posiadłość wniosła w posagu w dom Radziwiłłowski wraz ze Smorgoniami i Bielicą. Miał z nią książe Albert Władysław prócz syna, zmarłego w dzieciństwie, dwie córki [5]. Prawo familijne Radziwiłłów z roku 1586, wyklucza córki od dziedziczenia dóbr. Do klasztoru wileńskiego posłał ktoś widać w liście cedułę, z odnośnym wypisem z „konstytucyi sejmu walnego warszawskiego roku bożego 1580“ (inną ręką dopisano: folio 528), na którym to sejmie Zygmunt III potwierdził ich układ, że tylko męscy potomkowie, a w niedostatku ich inni krewni po mieczu „mimo własne dziewki“ dziedziczyć mają, zwłaszcza zaś Ołykę, Nieśwież, Kleck, Mir, Grodek, Dawidowki „oprócz rzeczy ruchomych i własnego nabycia, jako szerzej postanowienie ich i konfirmacya króla

[1] Tamże 260. [2] Tamże 261. [3] Tamże 334.
[4] Tamże 330. [5] Tamże 315.

I. M. Stephana omawia". Ordynacya Nieświeska przeszła na ks. Aleksandra Ludwika, brata młodszego ks. Alberta; córki zaś otrzymały wyposażenie w pieniądzach. Z tych pierwsza Elżbieta Anastazya ur. roku 1629, wychowana w Brześciu litewskiem w klasztorze Brygitek, tam się stanowi zakonnemu poświęca. W r. 1660 prosiła stryja i opiekuna księcia Aleksandra, aby pozwolił jej wstąpić do klasztoru Benedyktynek w Nieświeżu; wskutek buntów kozackich i wojny moskiewskiej zamiar ten dopiero 1669 roku uskutecznić zdołała. Młodsza jej siostra Kolumba Konstancya Zofia, urodzona 1635, również czując powołanie do zakonu, odrzuca świetną partyę z Janem Sobieskim, podówczas chorążym w. koronnym, a późniejszym królem Janem III, i wstępuje 12 sierpnia roku 1653 do klasztoru Karmelitanek Bosych we Wilnie. Nie bardzo rada temu była jej matka, *Anna Zofia z Bratoszyna Zenowiczówna Zebrzydowska, kasztelanowa lubelska, starościna loreszowska*[1]; zdaje się nawet, jakoby córka przed nią do klasztoru uciekła była umyślnie, wiedząc, że z uprzedniem pozwoleniem matki trudno będzie zamiar swój wykonać. Oczywiście, zamiar taki nie powstaje jednej chwili; była zapewne nieraz o tem mowa pomiędzy matką a córką, zanim córka zdecydowała się wbrew matce wstąpić do Karmelitanek. Kto wie, czy nie umyślnie skłoniła matkę do przyjazdu do „głembockiej majętności", gdzie „w folwarku Łastowicy" także były Karmelitanki. Pani Lubelska twierdziła następnie, że „zbuntowawszy dwie sługi, które były przy córce, kartki do nich pisały, żeby córkę namawiały", i oświadczyła kanclerzowi litewskiemu, u którego się skarżyła, że ma dwie takie przejęte kartki u siebie. Nie mamy powodu wątpić o istnieniu tej tajnej poczty; ale kto ją urządził, Karmelitanki czy Zofia Konstancya — to kwestya! Nie trzeba było do tego żadnego wymyślnego sprytu, boć według własnych słów Zebrzydowskiej, zakonnice mieszkały z nią „o płot niemal". I same kartki nie były widać tak po-

[1] Tak się sama podpisała na nadaniu kawałka ziemi jakiemuś swemu urzędnikowi (w temże archiwum) w r. 1664.

dejrzanej treści, skoro kasztelanowa przejąwszy je (jak twierdzi), jednak nie wahała się sama posełać córki do zakonnic. Posłuchajmy jej własnego opowiadania. Dnia 12 t. m.[1] „posłaną do nich do Lastowice odemnie córkę moją pannę Konstancyę Radziwiłłównę w nawiedziny, przy sobie nad wolę moją zatrzymały, ani onej za upomnieniem wielokrotnem przez osoby zacne odemnie posłane, wydać nie chcą". „I zaraz nazajutrz w swą suknię ubrały, a w tydzień oblekły", ani na jednę godzinę córki do matki przysłać już nie chcąc. „Ciotka moja IMPani Smoleńska uproszona odemnie, od IchMM. nad żarty, pobożnością pokryte, nic więcej nie odniosła". Pani Lubelska zapewniała, że nic a nic nie ma przeciw klasztornemu powołaniu córki, byle jej nie robić despektu przed ludźmi „jeno żebym w takim u ludzi pośmiechu nie zostawała;" sądzi, że nagłe zniknięcie córki z wielkiego świata jest przeciw niej po pierwsze buntem, a powtóre afrontem, daje pole do różnych domysłów, komeraży etc., i dlatego to tak wyrzeka „na takowe przemysły nabożeństwem pokryte". Zdaje się, że przyczyny oporu pani Lubelskiej były czysto świeckiej, światowej natury; o szczerości zakonnego powołania Kolumby niesposób wątpić, skoro jej od powziętego zamiaru nie odwiódł ani nawet taki list matki:

„Wielebna w Christusie panie córko moia Columbo!... ... ukróciłaś mi wieku, ujęłaś mi zdrowia, udeptałaś mi ścieżkę do grobu, bóg wypłać"; twierdzi, że prosiła matkę tylko „dla ceremonii politycznej" do Kowna na obłóczyny, i o błogosławieństwo; „bóg, który wszystko widzi, tak ci niech błogosławi, ja moje urazy jemu daruję, dziękując mu za wszystko, i proszę majestatu jego, aby łzy moje gorzkie wylane nie padły na ciebie. Zatem pozostając, wszystkiego dobra życząc, matka Zebrzydowska".

Dla młodej kobiety, która otrzymawszy taki list, jednak nie cofnęła się przed profesyą, nie było oczywiście na świecie nigdzie miejsca właściwego, jak tylko w Zakonie.

[1] „tego miesiąca", ale którego, niewiadomo; bo już wtenczas panie grzeszyły opuszczaniem daty w listach.

Według praw krajowych zależało w tej sprawie jeszcze więcej, niż na matce, na opiekunie. Opiekunem Kolumby był wspomniany już książe Aleksander Ludwik, najmłodszy syn ks. Radziwiłła Sierotki i Elżbiety Eufemii, księżniczki Wiśniowieckiej [1], w roku 1634 mianowany marszałkiem W. Ks. Litewskiego, a w r. 1653 wojewodą połockim [2]. Książe Aleksander stawiał jej pewne trudności, nie wierząc zrazu w jej powołanie zakonne. Bawił on właśnie we Włoszech, dokąd za poradą lekarzy dla poratowania zdrowia pojechał. Z Bolonii pisze trzy listy w sprawie Kolumby, w których się zgadza na postanowienie swej bratanki, jeżeli rzeczywiste ma powołanie. Wszystkie trzy listy pisane w jednym dniu 25 (miesiąc nie czytelny) roku 1653; pierwszy „do Jego Mości X. Biskupa Wileńskiego", naówczas Jerzego Tyszkiewicza, z którym go poniekąd łączyły węzły powinowactwa; [3] drugi list ks. Aleksandra, adresowany „do Matki Przeoryszy karmelitanek Bosych klasztoru Wileńskiego"; ostatni wreszcie „do Pani Lubelskiej Bratowej", matki — jak wiemy — naszej Kolumby. Nim jednak księżniczka odbyła nowicyat, stryj opiekun umiera w Bolonii 30 marca 1654 r., a obowiązki opiekuńcze względem Kolumby przechodzą na syna jego najstarszego ks. Michała Kazimierza, znanego z „Potopu", jako wiernego syna Rzpltej, walczącego dzielnie przeciw Szwedom, a nawet własnemu krewniakowi ks. Bogusławowi Radziwiłłowi, którego do niewoli bierze. W ciężkich onych chwilach dla kraju, ks. Michał czyto jako wódz, czy jako mąż stanu ważną

[1] Kodłubaj, 335.

[2] Wolff. „Senatorowie i dygnitarze W. Ks. Litewskiego", 170.

[3] Drugą żoną bowiem księcia Aleksandra była Eugenia Katarzyna Tyszkiewiczówna, wojewodzianka witebska, wdowa po Januszu ks. Wiśniowieckim. Ta w r. 1642, niewiadomo dla jakich przyczyn, rozpoczęła proces rozwodowy, i uzyskała go od biskupa łuckiego pod pozorem, że między ks. Aleksandrem a pierwszym jej mężem Wiśniowieckim zachodziło pokrewieństwo w trzecim stopniu. (Kodłubaj, 340). Z tego to powodu zapewne syn księcia Aleksandra z pierwszej jego małżonki Tekli Wołłowiczównej. ks. Michał Kazimierz, tytułuje, jak zobaczymy, w jednym ze swoich listów ks. biskupa Tyszkiewicza swoim stryjem.

odgrywa rolę: zostaje podkanclerzym, w r. 1668 hetmanem polnym, walczy pod wielkim hetmanem koronnym Janem Sobieskim przeciw Turkom pod Chocimem. Z bohaterskim królem Janem III, który się niegdyś o rękę jego siostry stryjecznej starał, łączą go ścisłe węzły powinowactwa — siostra bowiem rodzona króla, Katarzyna, wdowa po księciu Zasławskim, wyszła ponownie za ks. Michała za mąż. Szesnaście jego właśnie listów i kilka dokumentów, odnoszących się do karmelitanki Kolumby, znaleźliśmy między wileńskimi papierami. Znajdują się one w osobnej plice z napisem: *Listy X. Michała Kazimierza Radziwiłła.* Pisane zaś są między rokiem 1655 a 1666.

Trzy z nich adresowane do siostry Kolumby: pierwszy z r. 1655 dnia 21 stycznia; drugi z 1662 r. 30 listopada; trzeci bez daty. Treść ich zupełnie prywatna, ograniczająca się do wymiany myśli między krewnymi.

Ośm listów adresowanych do ówczesnego prowincyała Karmelitów Bosych w Polsce, Ojca Stanisława od św. Maryi Magdaleny. Dwa z nich są bez daty; inne pisane między 1659 a 1662 r.:

1) 13 sierpnia 1659 r. do prowincyała, bawiącego we Lwowie; 2) 22 września 1659 r. ze Lwowa; 3) 30 lipca 1660 r.; 4) 20 kwietnia 1661 r.; 5) 3 sierpnia 1661 r.; 6) 20 maja 1662 r.

Trzy listy adresowane do przełożonych Karmelitanek Bosych w Wilnie:

1) z dnia 28 stycznia 1655 r. do Przeoryszy w Bodze K. B. w Wilnie; 2) z dnia 30 września 1661 r. do Panny Teresy a Jesu, Przeoryszy K. B. w Wilnie; 3) z dnia 20 listopada 1662 r. do Przeoryszy K. B. w Wilnie.

W sprawie owej siostry Kolumby, której się wszystkie listy ks. Michała Kazimierza tyczą, pisany jest list do ks. biskupa wileńskiego, stryja, jak wiemy, podówczas jeszcze Jerzego Tyszkiewicza, pod datą 26 stycznia 1655 r., a w r. 1666 z dnia 17 sierpnia „do Wielebnego w Bodze ks. Józefata Tyszkiewicza ordinis Carmelitarum Decalceatorum".

Przekonawszy się o szczerości powołania, zgodził się

wreszcie opiekun na profesyę, która nastąpiła na przełomie lat 1654 i 1655. Zachował się dokument, w którym „Zofia Konstancya, Xiężna Radziwiłłówna, kasztelanówna Wileńska, a po professyi siostra Kolumba Konstancya", zapisuje zakonowi wszystkie dobra ruchome, należące się jej po Albrychcie Władysławie, jej ojcu. (Jak wiemy, córki mogły tylko ruchome dobra dziedziczyć w tej rodzinie). Dokument datowany 13 stycznia 1655 r.: pisany po polsku, początek jednakże i zakończenie, zawierające urzędowe formuły, pisane są w języku ruskim.

Sprawa Kolumby zakończyła się — procesem z ... Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, o posag Kolumby. W r. 1662 Jan Kazimierz poleca „Wnym Wbnym Urodzonym Marszałkowi i wszystkim deputatom duchownym i świeckim trybunału koronnego Lubelskiego", aby tej sprawy nie odkładać i sądzić jak najprędzej; ale proces przeciągał się widać, skoro w r. 1665 trzeba było oblatować testament Albrechta Władysława Radziwiłła, ojca Kolumby. (Książe † 1636). Do nowych sporów dała powód śmierć pani Zebrzydowskiej 1664 r.[1]. Nareszcie w r. 1667 stanęło „postanowienie między Michałem Kaźmierzem Radziwiłłem, Wojewodą Wileńskim, a między Anielą Przeoryszą". Dotyczy tego „postanowienia" 6 aktów, z których można się zarazem poinformować o nowym podziale dóbr po śmierci p. Lubelskiej pomiędzy jej synów Krzysztofa i Mikołaja.

Nareszcie sprawę załatwiono. Z tego bowiem roku 1667 pochodzi wspomniany już wyżej „kwit na odebrane pieniądze 20.725 złt. ze spadku po Halszce księżnej i Kolumbie zakonnicy Radziwiłłownej". Książe Michał zabezpieczył posag Kolumby na wsiach Iskołdy i Łysice we województwie nowogrodzkiem, i ratami, jak się zdaje, ową sumę 58.000 złt. spłacał. Dopiero bowiem kilka lat po jego śmierci, 14 listopada 1680 r.[2], wdowa po nim, siostra króla Jana, w całości się z owej sumy uiściła, jak o tem świadczy: „Kwitacya Katarzyny z Sobie-

[1] Zachował się „rejestr długów po pani lubelskiej"; drobne kwoty, wynoszące razem 4900 złp.

[2] Wolff. „Senatorowie" itd., 156.

szyna, księżnej Radziwiłłowej, Podkanclerzyny i Hetmanowej W. X. Litewskiego, że sumę 58.000 złt. oddała konwentowi wileńskiemu, zapisaną przez Michała Kazimierza Radziwiłła małżonka na wsiach Iskołdy i Łysice we województwie Nowogrodzkiem, jako posag siostry Kolumby od Wniebowzięcia, na świecie księżniczki Radziwiłłównej". Data: Iskołdki 24 czerwca 1686 r. (fol. 4 pierwsza strona zapisana, na piątej i szóstej dopiski).

W rok później, 3 września 1687 r., umiera Kolumba i pochowana jest w kościele św. Józefa Karmelitów Bosych we Wilnie [1].

Że jednak i później Karmelitanki wileńskie jakieś darowizny odbierały od Radziwiłłów, być może, przez matkę owej Kolumby zapisane, (na co wskazywałaby ta okoliczność, iż zabezpieczone były na majętności „Głębokie" przez ową panią Lubelską w dom Radziwiłłów wniesionej), — świadczy: „Orginał kwitacyi XJ. Pana Podkanclerzego Karola Stanisława Radziwiłła [2] księcia na Ołłyce, Nieświerzu i t. d. danej Karmelitankom Bosym konwentu Wileńskiego względem majętności Głębokie". Data w Wilnie 30 lipca 1694 r. (fol. 2).

Zwróćmy się teraz do czasów najnowszych, z których tu też kilka ciekawych śladów pozostało.

Na schyłku XVIII wieku konwent wileński musiał udzielić gościnnego przytułku Siostrom, wypędzonym ze Lwowa. Istniała już wtenczas Galicya, poddana właśnie eksperymentom Józefinizmu. Klasztor lwowski Karmelitanek Bosych zniesiono; siostry schroniły się do Lublina, ale tam nie mogły się wszystkie utrzymać — starały się tedy o przyjęcie w Wilnie. Zachował się list biskupa wileńskiego Ignacego Massalskiego z r. 1783, z pozwoleniem przyjęcia ośmiu zakonnic do konwentu wileńskiego.

[1] Kodłubaj, 330.

[2] Karol Stanisław był synem Michała Kazimierza, 1690 r. mianowany podkanclerzem, a w roku 1698 kanclerzem W. Ks. Litewskiego, umiera 2 sierpnia 1717 r. (Wolff. 162).

Z r. 1802 jest drukowana ćwiartka od sufragana wileńskiego, zastępcy dyecezyalnego biskupa, datowana 27 października, pouczająca o ukazie jakimś co do pretensyj pomiędzy obywatelstwem, a dobrami kościelnemi; sprawa tyczyła się nie tylko Karmelitanek, ale widocznie wszystkich instytucyj duchownych.

Źle się wiodło duchowieństwu i zakonom, bo bieda dokuczała całemu w ogóle społeczeństwu. Ozłocony promieniami nadziei rok 1812 fatalnie zawiódł, skończywszy się nad Berezyną; pozostały tylko ruiny ofiar majątkowych, które społeczeństwo napróżno poniosło na ołtarz wzniosłego ideału. „Żaden debitor procentów teraz nie opłaca“ pisze Jeronim hr. Strojnowski w liście do Karmelitanek z 24 marca 1813 roku. Widać zakonnicom nie starczyło na utrzymanie; dochody przestały wpływać, i szukały porady u biskupa. Ale cóż mógł poradzić biskup, skoro takie były czasy, że do 1 kwietnia 1813, musiano wstrzymać wszelki w ogóle porządek prawny, odroczywszy do tego terminu działalność sądów w sprawach cywilnych. „Tylko łaska monarsza może złe czasy poprawić“, pisze zakonnicom Strojnowski, a te słowa, to wielkie *signum temporis* do porównania sytuacyi naszej na Litwie — i nie tylko na Litwie — w r. 1812 a 1813!

Na zakończenie przytoczymy treść ćwiartki papieru z r. 1820. „Roku 1820 Ianuarii 29 dnia niżej podpisany daje ten rewers W. I. I. Pannom Karmelitankom Bosym w tem, iż należne do skarbu monarszego za upotrzebiony nie sztęplowany papier w drugim departamencie po dziale z szlachtą Zienkowiczami i koleską sekretarzową Wołkową dwanaście arkuszy y pieczątne poszlinne pieniądze, w ogóle miedzią Rubli 6 y kopieiek 50 dwie y pół, przyjąłem dla przedstawienia takowych do 1-y ostrobramskiey Części. (podpisano) kwartalny Nadpisatel Tytular. Sowietnik Czerski“.

Ostrobramo, palladium Litwy! tyś przetrwała klasztory litewskie, ciebie z n i e ś ć nie było można; tylko „rewindykować“ pragnie cię wróg. Właśnie w okolicy Krzeszowic, w chacie, w której mieszkał jeden z nas, wisiał na ścianie obraz

Ostrobramskiej. Aż tu, pomiędzy Krakowiaków, rozchodzą się jej wizerunki — ale napisy na obrazie były rosyjskie.

Nakoniec podajemy fragment pastorałki, zatytułowany „Kuba“, umieszczony w zeszycie, składającym się z 4 kartek w oktawce. Znaleźliśmy go między dokumentami luźnymi, nie zwracając nań pierwotnie uwagi. Papier i pismo stare, przemawiałyby za pochodzeniem z XVII wieku. Papier wygląda bardzo zniszczony i porozrywany, tak że wąskimi listewkami z bielszego papieru pozlepiano miejsca rozdarte; luki, w piśmie ztąd powstałe, uzupełniono późniejszem lecz podobnem pismem na owych wąskich pasemkach nowszego pochodzenia. Ponieważ pastorałki raz tylko w roku krótki czas się używają, zatem papier nie przez częste, lecz długoletnie używanie uległ takiemu zniszczeniu. Zawiera zeszyt rolę Kuby z jakiejś nam zkądinąd nieznanej pastorałki. Umieszczono w nim tylko słowa Kuby, zaznaczając występy innych osób liniami równoległymi.

Nie wdając się w bliższy rozbiór fragmentu dla braku potrzebnych środków, podajemy go dosłownie z zachowaniem ortografii, jako przyczynek do materyałów naszej literatury religijnej, która tak bogata a tak piękna, doprawdy wymaga gorliwszego się nią zajęcia:

Wierze, izes osalał — aboc się co złego w głowę stało,
Że wołas, jako głupic, jak byc się co działo.
Obyzes spał lepi a drugich nie budził,
bo się tego jutro pewnie będzies wstydził!

Obyzes lepi spał, o to ciele zabecało,
A tobie się muzyko być usłyszec zdało.

Ey muiesty, spize, bys tego, co nas budzis, nie załował,
a nie mowił mi potym, żem cie nie przestrzegał!

Sluchay jeno Michale, przeciec by potrzeba,
cym takowym przywitać tego gościa z nieba,
którego to nam grześnym Jangoł opowiada,
w ubóstwie leżącego być nam go powiada!
A ty Bartek mas tes co takiego,
co bys ochfiarował miłości iego?

I iac tes dzis dobrego ugonił zająca,
Zgodził by się pewnie na stół królewica;
mam tes pięknego bochenecek chleba,
tymzec przywitam tego goscia z nieba.

Oracia Kuby.

O prześlicna swiatłości skądzes się tu wzięła,
W tej stajence ubogiej członecki złożyła!
Ja ubogi Pastuska dziwuje się twej osobie,
cos dziwnego nowego upatruje w tobie,
Maluskisci w członeckach, lecz Wielki w Możnosci,
nie moge się napatrzyć twojej ozdobności.
I twej drogiej Matuchnie pilnie się przypatrze.
Owo zgoła we wszystkiem cos nowego zbacam. —
Płac mi się udaje, patrząc na twą Nędze;
a jesce się przycynio, sam do tego widzę,
Gdy cie bace wzgardzonym i upokorzonym,
Jako bys nie był Bogiem, ale tes stworzonym.
Lezys w ubogich pieluskach y na twardym sienie,
po ce zes tu wzdy przyszedł na to wiezienie?
Miłosc cie twa nieznojna przywiedła do tego,
aby przyjąc te postać pod tego robacka małego.
Ubogim ci pastuska na nic mie nie stanie,
wsak ze to ty lepi znas o moje kochanie;
Cym bym ci to miał oddać to twe unizenie?
ty to sam sobie nagrodz o moj wdzięczny Panie!
Lec ci teraz pokornie do twych nózek padam,
Za słuskec się niego(d)nego wiecnie oddawam.
Tylko mie twa Moznosc niechay w tym wspomoże,
abych umiał sluzyc Matuchnie twej i tobie Boże!
A teraz ci na wdzięcnosc tej twojej miłosci
Ochfiarujeć podarecek twojey wielmoznosci.
Dopiruskom ułowił swizusko zwierzynke,
abych cie nia darował maluchno dziecinke;
Przyniosłem do tego swiziuchny chleba bochenecek
Dla twojey wielmożności na posiłecek.
Radbych ci jesce co więcej darował,
aboc się więc będe sam ochfiarował;
Sianeckac tez przyniosę dla twych bydlątek,
ba y bede po nich zmiatał wszystek nieporządek.
Ba y tej twej Matuchnie i Pannie zacny
bede się starał usługiwać zawzdy.
A teraz się oddaje twojej Wielmożności,
Przebac ze, proszę cie, moiej nikczemności!

O moiec się sierce radule patrząc na niego,
o gdybyc tu ius nie odchodzic nigdy od niego.

O jusci bym ja nie dbał y o nanka mego,
gdy bych się tu na co zsedł do dzieciątka tego.

Do Jozepha Kuba

O to tobie starusku bede posługował,
drewka rąbał, wode nosił, y ogien gotował
Na zgrzanie kąpiołecki Pocholątku temu;
Y co tylko cynic kazes, podołam wsystkiemu.

Znowu do Jozepha

Waści barzo dziekuie za nauke taką,
bede jej przestrzegał s pilnoscią wselaką.

Bale bracie Michale, bydło li nase wcale;
toboły natkaneli — bedziem se jesc co mieli.

Do Jozepha

Ty tes starusku miej nas w swej opiece!
Modl się za nas cesto tey świętej dziecinie,
Bo cie to dzieciątko barzo miłuje,
Pewnie ze i nam wszystko dla ciebie daruje!

Dr. F. Konieczny i *Dr. K. Krotoski.*

WYPADKI W BIAŁEJ.

Dotąd socyalizm przedstawiał się nam jako widmo odległe; przypatrywaliśmy się mu przez pryzm teoryi — dochodziły do nas echa jego wybuchów z dalekich fabryk francuskich i belgijskich kopalń. Dziś to widmo zajrzało nam w oczy, stanęło na naszej polskiej ziemi; dreszcz, który przeszedł po całej Europie dnia 1 maja, i nam się dał uczuć; wreszcie wypadki w Białej były krwawym, złowieszczym chrztem naszej ziemi. Nie wolno nam już niestety mówić, że nasz kraj jest od tego zła dziewiczy. — Wielki czas, żebyśmy się przypatrzyli widmu zbliska; a ponieważ zawitało ono w Białej, zacznijmy od zbadania stosunków i wypadków bielskich.

Gdyby w innym kraju taka rzecz zaszła, mielibyśmy już nietylko najdokładniejsze relacye o wszystkich fazach tej tragedyi, nietylko ilustracye miejsc i może samych zbiegowisk zapomocą fotografij sekundowych, — ale także dokładnie opracowane sprawozdania o bliższych i dalszych powodach tych starć, statystyki ekonomiczne pracującej ludności... U nas nawet liczby ofiar, które poległy, na pewno wiedzieć niepodobna. Usiłowaliśmy choć w części ten brak zastąpić, zasięgając szczegółowych wiadomości od miejscowych poważnych i kompetentnych ludzi, posyłając im kwestyonaryusze, i zestawiając wszystkie informacye, jakieśmy mogli otrzymać. Wiadomości w ten sposób zebrane, acz jeszcze wcale nie wyczerpujące, jednak prawdziwy i pouczający obraz rzeczy przedstawiają.

Ziarno socyalistycznych agitacyj padło niewątpliwie i na Białą; jednak, aby się przyjęło, musiał być grunt odpowiednio przygotowany. To przygotowanie mas pracujących do socyalistycznego ruchu może być dwojakie: niekiedy zależy ono na rozstroju moralnym, bezwyznaniowości, używaniu i roztrwanianiu bez miary, nawet przy ekonomicznych warunkach względnie dobrych; innemi razy zależy ono na samej biedzie materyalnej, wyzyskiwaniu i uciskaniu robotników przez chlebodawców. — Co z dwojga miało miejsce w Białej, między naszym polskim ludem?

W Białej należącej do Galicyi, i w Bielsku należącem do Szląska, który tylko małą rzeczką od Białej jest przedzielony, jest wiele fabryk sukna, papieru, maszyn, mebli, w których zajętych bywa przeszło 20.000 robotników. Z tych pewna część posiada, w obrębie 2 do 3 mil koło Białej, domek własny i kilka zagonów roli, i uważa tę własność za główne źródło utrzymania, zarobek zaś we fabryce ma za środek uboczny. W takich rodzinach żona z dziećmi zajmuje się zazwyczaj domowem gospodarstwem, mąż w poniedziałek rano wychodzi do fabryki, żeby wrócić w sobotę wieczór; i choć 1 lub 2 złr. przyniesie ze swej ciężkiej całotygodniowej pracy, uważa to za znaleziony pieniądz, który mu służy do opłacenia podatków i kupna odzieży. W ciągu tygodnia ludzie ci przepędzają noc po zakątkach gmachów fabrycznych, albo w najnędzniejszych szynkach, po kilkunastu lub nawet „kilkudziesięciu“ w jednej izbie. Żyją przeważnie chlebem z „fettem“ t. j. tłuszczem; rzadko tylko zjedzą ciepłą strawę za 10 centów z odpadków rzezalni, które nazywają flakami.

Ale ci są jeszcze panami, dumnymi ze swego losu, w porównaniu z hilotami, którzy nic nie posiadają i jedynie z zarobku fabrycznego żyją. Ci są właściwie typem ouvrierów miejscowych, a los ich doprawdy nie jest do pozazdroszczenia. Mąż pracuje w fabryce od 6 zrana do 7 wieczór (od wypadków czas ten został o godzinę skrócony); żona rzadko tylko zajęta bywa w fabryce, ale cały dzień zarabia poza domem, posługując u obcych, pierąc bieliznę, myjąc. Tylko wieczór,

gdy mąż powraca, naprędce ogień rozdmucha i lichą strawę zaparzy. Dzieci małe chowają się prawie bez opieki, podrastające idą wcześnie do fabryki. Przeciętna płaca takiego robotnika wynosi 3 złr. 50 cnt. na tydzień, tj. około 60 cnt. na dzień. Toby było jeszcze wiele, gdyby mógł, jak nasz parobek wiejski, ten cały pieniądz schować do kieszeni; ale już przy samej wypłacie odtrąca mu się kwota do kasy chorych, druga kwota do kasy pogrzebowej; najwięcej odtrąca się za rozmaite przekroczenia. „Wskutek tego — pisze nam z Białej ktoś, co się zbliska robotnikami zajmuje — faktycznie pobierają oni w ogóle tylko 2 złr. 50 tygodniowo, a niemało jest takich, którzy za cały tydzień pracy otrzymują 1 złr. 60 do 1 złr. 80 cnt“. Ale z tego trzeba jeszcze opłacić drogie mieszkanie, które najwięcej na budżecie robotnika ciąży; wreszcie trzeba się opłacać dozorcy czyli werkführerowi, żeby się uchronić od rozmaitych szykan, o których zaraz powiemy.— Czy można się dziwić, że tacy ludzie domagają się polepszenia losu?

Daleko niższa, rozumie się, jest płaca dziewczyn i chłopców, którzy także w wielkiej liczbie w tych fabrykach pracują. Najprzód poczynający pracują zupełnie bezpłatnie; fabryka im łaskę czyni, że je zaprawia do tego życia. Po pewnym przeciągu czasu, kiedy się podoba werkführerowi uznać, że już są godni zapłaty, zaczynają ją pobierać; otrzymują zaś przeciętnie 70 cnt. do 1 złr., nie za dzień, ale za tydzień pracy. Zkądinąd dochodzą mnie wiadomości, że dorostki pracują za 8 i nawet za 6 cnt. dziennie; chłopiec, któregobym mógł wymienić, brał w Leszczynach, w fabryce p. Strzygowskiego (milionera, posła do Sejmu) po 8 cnt. dziennie.

Do tego ucisku ekonomicznego dodaje się jeszcze dokuczliwszy ucisk moralny. Fabrykanci i werkführerzy są to przeważnie Niemcy i lutrzy; jeżeli który nazywa się katolikiem, to jest najczęściej t. zw. *Auch-katholik*. Ci wszyscy pozwalają sobie często w stosunkach z robotnikami szydzić z religii i praktyk katolickich — co robotnicy oczywiście nader żywo odczuwają. Tak np. fabryka maszyn p. Gülhera, choć należy do

porządniejszych i lepiej płacących, jednak wśród ostatnich zaburzeń była szczególnie zagrożona, i dnia 24 kwietnia zmawiano się, żeby na nią uderzyć, dlatego mianowicie, że p. Gülher, jakoteż szwagier jego, p. Schwalbe, dyrektor fabryki, są notorycznie masonami, i umyślnie w święta Matki Boskiej przymuszają do pracy „na despekt Boga-Rodzicy". W ogóle niedziela się w fabrykach zachowuje, ale o święta katolickie są ciągłe zatargi między fabrykantami a ludnością pracującą. Dochodzą mnie także skargi, że synowie fabrykantów, a częściej jeszcze werkführerzy nadużywają swego położenia, stawiając nieszczęśliwe robotnice w strasznej alternatywie: głodu lub występku, — i że ta zbrodnia, wołająca o pomstę do nieba, nie jest bynajmniej tajną na miejscu. I to jeszcze nadużycie ma miejsce, że werkführerzy mają od pryncypałów przywilej utrzymywania w fabryce kantyny z wiktuałami i wódką. Za to pobierają sami daleko niższą płacę: około 5 złr., zamiast 15 lub 20; — a różnicę odbijają sobie z procentem na robotnikach, którzy biorą zwykle na kredkę, i dopiero przy tygodniowej wypłacie postrzegają, jak wiele dali z siebie zedrzeć. Ekonomiści uznają zwykle za nadużycie, żeby fabryka sprzedawała wiktuały robotnikom, bo wtedy ciągnie dwojako z nich zyski: rządy to w wielu miejscach zakazują. Tu rzecz się przedstawia jeszcze gorzej: bo najpierw fabryka sama ciągnie ten podwójny zysk, potrącając znacznie z pensyi werkführerów, którym daje ten przywilej: a po drugie, oddając to w ręce bezpośrednich nadzorców robotników, tem większe otwiera pole dla różnych nadużyć i wyzyskiwań.

Wreszcie biedni robotnicy zostawieni są na łaskę i niełaskę owych nadzorców czyli werkführerów: taki nadzorca zdaje raport według swojego widzimisię o każdym robotniku, sprawia mu większe lub mniejsze potrącenie z jego płacy, częstokroć samowładnie go z fabryki wypędza. Wskutek tego biedny robotnik musi nietylko się wysilać pod okiem nadzorcy, ale też nadskakiwać mu wszelkiemi sposobami, i wkońcu opłacać mu się podarunkami, które coraz więcej wchodzą w modę i coraz bardziej rosną.

Z tem wszystkiem stan moralny i religijny tych robotników, — jak mi pisze gorliwy kapłan tamtejszy — jest dosyć pomyślny: garną się na nabożeństwa, są pełni uszanowania dla księdza (do tego stopnia, że w dniu samych zaburzeń, gdy ks. Łabaj, wikary bielski, przechodził przez środek zwartego tłumu, rozstępowali się z uszanowaniem, i wszyscy zdejmowali czapki); od zakału moralnego bronią się biedacy, jak mogą; o teoryach i zachciankach socyalistycznych nic dotąd nie wiedzą; chcą tylko — czegoby każdy z nas na ich miejscu żądał — podwyższenia zapłaty i lepszego obchodzenia się z nimi. Temu pierwiastkowi religijnemu niezawodnie przypisać należy, że przez tak długi czas tak wiele i tak cicho znosili. Słusznie powiedział Leon XIII, że jedynie nadzieja nieba może dać robotnikowi cierpliwie znosić złą dolę tego życia.

Gdy jednak nędza i ucisk wzbiera jak wielka powódź, gdy przytem z zewnątrz przyjdzie jakiś impuls i wstrząśnie znienacka wewnętrzną równowagę — wówczas zdarza się chwila, w której żadna moralna grobla ostać się nie może. Tak się stało w Białej. W samą Wielkanoc tego roku zjawiły się w tem mieście plakaty, wzywające robotników do Bielska na strzelnicę, na jakiś wykład sławnego Kronawettera. Zebranie odbyło się nazajutrz, w Poniedziałek Wielkanocny, tylko zamiast Kronawettera, stanął na mownicy jakiś akademik z Wiednia, Kadisch. O treści jego wykładu dopytać się nie mogliśmy; ale musiał mówić na temat socyalizmu, bo oponował mu fabrykant Josephy — i wywiązała się ztąd dyskusya, która gorączkowo zaintrygowała inteligentniejszych robotników. To było pierwsze poruszenie umysłów ludności robotniczej w Białej; od tej chwili zaczęto mówić o święceniu 1 maja, i naradzać się nad sposobami polepszenia bytu. Równocześnie spostrzeżono, że kręcą się po mieście jakieś nieznajome twarze; mówiono, że z niektóremi gorętszemi głowami z pomiędzy robotników prowadzą konszachty. Śledziła za nimi policya, ale niczego napewno się nie dowiedziano. Po zajściach w Ostrawie coraz więcej tych obcych figur napływało; zaciekawienie

i zaniepokojenie umysłów rosło. Fabrykanci przestraszeni zażądali wojska, które przybyło 19 kwietnia. Chcąc zażegnać groźną postawą straszydło 1 maja, fabrykanci postanowili na wspólnej naradzie wykluczyć na dwa miesiące każdego robotnika, któryby się ważył 1 maja świętować; ażeby się zaś skuteczniej do wykonania tego postanowienia wzajemnie związać, każdy z fakrykantów złożył kaucyą podług liczby robotników, których zajmował, po 10 złr. od głowy, z tym warunkiem, że mu ta kaucya przepadnie na korzyść towarzyszów, gdyby choć jednego robotnika wbrew tej mowie ułaskawił. O tem wszystkiem zawiadomiono uroczyście robotników, co niektórych rozgniewało, innym dało do myślenia, czyby nie było lepiej przeczekać spokojnie 1 maj, i lepszej wyszukać chwili dla upomnienia się o podwyższenie płacy.

Zawiadomieni zostali robotnicy o tej uchwale fabrykantów w sam dzień 23 kwietnia. Wychodząc z fabryki o 6 wieczór, (bo od zajść w Ostrawie czas roboty był skrócony) zatrzymali się kupami na małym rynku w Białej, żeby się naradzić, jaką zająć postawę w obec umowy fabrykantów: czy świętować 1 maja, kiedy — jak mówiono — inni robotnicy, po całym świecie świętować będą, czy też ustąpić groźbie? Rozeszła się równocześnie między tłumem pogłoska, nie wiedzieć przez kogo puszczona, że na tem miejscu ma się zjawić jakiś mowca ze Lwowa, który ich o tem wszystkiem oświeci. Przytem — jak pisze nam naoczny świadek, który przypatrywał się zgiełkowi z pierwszego piętra, — graniaste flaszki (z wódką) zaczęły krążyć między ciżbą. To potwierdza przyprzypuszczenie, że nie brakło tam agitatorów, co bezpłatnie, ale nie darmo poili. Około pół do 7-ej zjawił się komisarz Szałowski, i kazał tłumowi się rozejść. Ludzie, zapewnie podochoceni, odpowiedzieli mu, że czekają na mowcę ze Lwowa, i że nic złego nie chcą robić; wkrótce przecież tłum opuścił mały rynek i ruszył ku Lipnikowi, przedmieściu Białej. Co spowodowało ten ruch, trudno dociec; jeden z naszych korespondentów pisze nam, że widział jakiegoś obcego, wysokiego mężczyznę, który dał hasło wymarszu do Lipnika; inni opo-

wiadają, że poprostu tłum, zawiedziony nieokazaniem się mowcy i zastraszony groźbą komisarza, wracał sobie do Lipnika według zwyczaju, bo tam największa część uboższych robotników mieszka, i tam są ludowe traktyernie, gdzie się zwykle po pracy, zwłaszcza w sobotę, gromadzą.

Tłum ten składał się nie tylko z robotników, ale także z ulicznej gawiedzi, którą ciekawość za nimi wiodła, a która każdej chwili w liczbę rosła. Ci, co byli z brzegu, — jak mi jeden ze świadków naocznych pisze — nie wiedzieli, i napróżno się dopytywali, o co idzie w środku; a ani ci ani owi, nie mieli jeszcze w onej chwili żadnych złych zamiarów. W Lipniku zatrzymał się podchmielony tłum przed szynkiem Korna. W mgnieniu oka popłynęły nowe strugi wódki; a że usługa nie mogła zadość uczynić takiemu mnóstwu, zaczęto brać gwałtem; a że szynkarz się bronił, powstała bójka, i porwano się do do rabowania i burzenia szynku. Obok szynku Korna stoi gmach fabryczny wódek Grossa, — i jemu się dostało przy tej pijackiej swawoli: nie wtargnął jednak tłum do środka, i żadnej innej szkody nie wyrządził, tylko szyby powybijał. Co opowiadano w pierwszej chwili po wypadkach o zapaleniu beczek wódki i o innych ekscesach, temu świadkowie naoczni zaprzeczeczają, i tego wcale nie sprawdzono.

Tymczasem, ledwo pierwsze gwałty nastąpiły w szynku Korna, zarekwirowano wojsko. Przybyła najprzód kawalerya, w sile podobno 30 koni, a wkrótce potem oddział piechoty. Nastąpiła tragiczna scena, którą gazety dość szczegółowo, choć nie dosyć wiernie opisały. My wolimy rzucić na nią zasłonę. Co się stało, to się już odstać nie może: — piechota dała ognia, trzech ludzi padło na miejscu zabitych, kilkunastu śmiertelnie rannych, którzy nazajutrz umarli, wielu innych mniej albo więcej poranionych, których część zabraną została przez policyę do szpitala, część ukrywa się po domach prywatnych.

Mimowoli nasuwa się pytanie: czemu postąpiono tak bezwzględnie? Trudno sobie wystawić, żeby nie było możności opanowania w inny sposób tego rozruchu. Robotnicy nie byli uzbrojeni; jeden tylko strzał padł nie od wojska — i ten nie-

wiadomo od kogo: czy od robotników, czy przeciwko nim z ubocza. Mówiono, że któryś z robotników uchwycił za trędzle konia kapitana; mówiono, że padały na żołnierzy butelki i kamienie; — faktycznie jednak żołnierze nie odnieśli szwanku; urzędowa *Gazeta Lwowska* donosi, że było tylko 3 rannych, a ktoś doskonale poinformowany zapewnił mię, że tych kilku rannych żołnierzy, których przywieziono do Krakowa, zranionych zostało w zajściu Ostrawskiem, ani jeden zaś w Białej. Trudno więc powiedzieć, że lud atakował wojsko. A kiedy lud nie atakuje, kiedy na niczyje życie się nie porywa, — zdaje nam się, że nie godzi się do niego strzelać — i że są inne sposoby przełamania jego oporu. Gdyby kawalerya była tam w większej sile, i gdyby była szarżowała płazując motłoch, niezawodnie ten dramat byłby się bezkrwawo rozegrał. Co niektórzy mówią, że najazd kawaleryi na tłum musi być jeszcze krwawszy, niż strzelanie piechoty, to jest zupełnie błędnem. Przecież teraz wszędzie kawaleryi używają do rozpraszania zbiegowisk ludowych, — jeszcze 1 maja mieliśmy cały szereg takich przykładów: w Paryżu husarzy szarżowali na wielotysięczne zwarte tłumy, i ani jednego przypadku śmierci nie było; najazd konnicy, samą paniką, jaką rzucał, a niekiedy piersiami koni rozpraszał tłumy, a równocześnie policya wychwytywała podżegaczy i najuporniejszych.

Ten jeden wystrzał w Białej przywrócił oczywiście w mgnieniu oka spokój, rzucił postrach nietylko w okolicy, ale aż w Wiedniu i dalej, przyczynił się zapewnie do utrzymania porządku 1 maja w całem państwie [1], — i to może było zamiarem surowych instrukcyj, danych wojsku. Cel został chwilowo osiągnięty; jednak, że taki postrach nie długo bywa skutecznym, tego najlepszym dowodem, że po strzelaniu do ludu i zabiciu kilku osób w Ostrawie, w tak krótkim czasie powtó-

[1] Faktycznie dzień 1 maja przeszedł względnie spokojnie nietylko w Austryi, ale i w Niemczech i w innych krajach: a właściwą przyczyną tego było, że przywódcy socyalizmu, a szczególnie posłowie partyi socyalistycznej w Niemczech, wydali hasło, żeby tego dnia zachować spokój.

rzyły się te sceny w Białej. Nam się zdaje, że jeżeli idzie o uczynienie tak zwanego przykładu, o odstraszenie od zaburzeń, to trzeba starannie wychwytać najwinniejszych, i tych jak najsurowiej osądzić i przykładnie ukarać. Tych wichrzycieli nie dosięgają kule padające w tłum: ale trupem ścielą takich, co najmniej zawinili, albo zgoła niewinnych, których ciekawość przyciągnęła, a wir tłumu uwięził. Dlatego to powiedzieliśmy, że takie strzelanie tylko w ostatecznej i zgoła nieuchronnej konieczności da się usprawiedliwić.

Wreszcie takie krwawe zajście *manet alta mente repostum* — tkwi na długo w sercu ludności roboczej, jako rana, jątrząca ją przeciwko władzy; zostawia tej ludności wrażenie, że władza stoi bezwzględnie po stronie tych fabrykantów, co robotnika krzywdzą i gnębią — czego socyaliści oczywiście nie omieszkają wyzyskać i dalej jątrzyć. Otóż to wrażenie może się i powinno się naprawić jawnemi dowodami troskliwości władzy o los robotników, któreby zrównoważyły to czynne ujęcie się tejże władzy za prawami fabrykantów. Takiemi dowodami być mogą np.: dokładne i życzliwe zbadanie położenia robotników i wysłuchanie ich żalów, — surowe ukaranie pewnych nadużyć chlebodawców, które pod kodeks karny podciągnąć się dają. — co do innych wyzyskiwań, zasłaniających się płaszczykiem „liberalnych“ ustaw, przynajmniej to łagodzące pośrednictwo, które władza może zawsze wziąść w ręce z wielką korzyścią. W ten sposób ludność robocza zrozumie i poczuje, że władza jest jednakowo życzliwą dla wszystkich, że miecz dzierży na postrach złych, czy wielkich czy małych, i szalę sprawiedliwości trzyma dla wszystkich na równi.

I toby było dobrą polityką. Dziś może potrzebniejsza jest państwu życzliwość kapitalistów — ale na jutro przyda się życzliwość mas pracujących.

W każdym razie te tragiczne wypadki w Białej są nauką dla władz, żeby czuwały nad losem i stanem robotników, a obcych podżegaczy wcześnie i odważnie wyławiały: są też nauką dla robotników, żeby nie nadstawiali ucha owym zdradzieckim „przyjaciołom ludu“, ni słowom ni drukom siejącym

złe ziarno,—a jakkolwiek upominać się mogą i powinni o swoje krzywdy, żeby nigdy nie obierali drogi gwałtu i bezprawia — bo to niechybnie kończy się łzami i krwią, a zwykle jeszcze reakcyą, która ich dolę tylko pogarsza. Te wypadki są wreszcie nauką dla nas wszystkich, żebyśmy się starali najprzód lepiej znać moralny i materyalny stan klasy roboczej, a potem wedle sił naszych ten los polepszać, instytucye w tym celu zakładane, dobre stowarzyszenia robotników popierać i szerzyć — a głośno wołać przeciwko sprawdzonym wyzyskiwaczy nadużyciom. Społeczeństwo katolickie, jak nasze, może, byle chciało, uchronić się od raka socyalizmu.

Ks. Maryan Morawski.

P. S. W chwili, kiedy te kartki oddaję do druku (10 kwietnia), czytam w *Kurjerze Polskim* telegram następujący: „W Izbie poselskiej na wczorajszem posiedzeniu obradowano nad budżetem dla ministeryum rolnictwa. Minister Falkenhayn na końcu długiej swojej mowy zastanawiał się nad kwestyą socyalną i, ku zdziwieniu całej Izby, rozwinął program chrześcijańskiego socyalizmu. Kapitał — powiedział — nie może zostać złotym cielcem, a przeciwko temu środki zaradcze podaje religia i wychowanie chrześcijańskie. Kapitał jest jednak potrzebny, bez niego kraj jest uosobieniem nędzy". — Powinszować sobie musimy tego śmiałego zwrotu naszego rządu; do tego samego celu mierzyliśmy w powyższym artykule.

POLACY W ANGLII.

III.

Ważną jest rzeczą. aby polscy wychodźcy w Anglii nie uronili poczucia swej narodowości, swego języka; stokroć bez wątpienia jest ważniejszem, aby nie zatracili skarbu katolickiej wiary. Dwóch rzeczy tych zresztą, jeźli gdzie, to w Anglii nie można od siebie odłączać. Wychodźca polski, który stracił wiarę, został anglikaninem, metodystą lub żydem, odrzucił z pewnością — o moralności nawet nie wspominając — dawno już przedtem swą narodowość i język, jako niepotrzebne, zawadzające tylko sprzęty; wychodźca, zwłaszcza mniej lub zupełnie niewykształcony, który zapomniał, jak katolicki Kościół wygląda, zapomni z pewnością niebawem, jeźli jeszcze tkwi mu w myśli i w sercu mętne jakieś wspomnienie, jak wygląda kraj rodzinny, jakie dźwięki wydaje ojczysta mowa.

A niełatwo niestety! ten skarb wiary nieskażony utrzymać; niełatwo zapewnić garstce Polaków, rozsypanych w czysto protestanckich okolicach, w żydowskich dzielnicach, choćby najniezbędniejszą tylko religijną opiekę i pomoc. „Literackie Towarzystwo“ i jego wysocy i wpływowi, polscy zwłaszcza, protektorzy zrozumieli od samego początku gwałtowną potrzebę tej pomocy; starali się i wystarali się na kilka zawodów o sprowadzenie polskiego księdza do Londynu przynajmniej, o mały bodaj kościółek, w którym polska kolonia mogłaby się zgro-

madzać w niedzielę i święta, polskiej wysłuchać nauki, polską pieśnią, „Gorzkiemi Żalami", rzewną kantyczką Boga chwalić. Przed wojną krymską opiekował się Polakami w Londynie ks. Podolski, nader energiczny i gorliwy kapłan, człowiek — jak go opisuje jeden z osobistych jego znajomych[1] — nadzwyczajny w swoim rodzaju. Umiał on wszystko stworzyć koło siebie, i obejść się bez zasiłków zdaleka ściąganych. Gdy w czasie wojny krymskiej większa część Polaków, bawiących w Anglii, udała się do Turcyi i zaciągnęła się do polskiej dywizyi Kozaków sułtańskich, zostającej pod dowództwem jenerała Zamoyskiego, — przyłączył się do nich i ks. Podolski w charakterze kapelana; po skończonej dopiero wyprawie powrócił napowrót do swych londyńskich biedaków.

Po kilku latach pracy ustąpił zmęczony misyonarz z ciężkiego stanowiska, chlubnie zajmowanego przez siebie, a miejsce jego zajął około r. 1862 z inicyatywy jenerała Zamoyskiego, a za wstawieniem się samego kardynała Wisemana do prymasa Przyłuskiego, dzisiejszy proboszcz i dziekan w Granowie w W. Księstwie Poznańskiem, dr. Chwaliszewski. Jenerał Zamoyski, który nie zwykł był połowicznie rzeczy robić, nie zadowolnił się sprowadzeniem księdza, ale zajął się sam wynajęciem kaplicy, sprawieniem ze składek, a bodaj czy nie raczej z własnej kieszeni, przyborów kościelnych, zapewnieniem księdzu utrzymania, co jeźli wszędzie, to zwłaszcza w słynnej z drożyzny stolicy angielskiej, rzecz arcy-niełatwa. „Wiem, że ks. Chwaliszewski — pisze naoczny, najlepiej poinformowany świadek misyonarskiej jego pracy [2] — dużo uczynił dobrego, mnóstwo dorosłych już dzieci ochrzcił, wiele nieprawych małżeństw po-

[1] P. Leonard Niedźwiecki z Paryża, któremu miło mi tutaj wyrazić szczerą wdzięczność za dostarczone z rzadką uprzejmością cenne wskazówki o Polakach w Anglii.

[2] Ogólny pogląd na dawniejszy stan misyi polskiej w Londynie i szczegóły o nich podane, zawdzięczam uprzejmej łaskawości pani jenerałowej Zamoyskiej, ks. dra Jażdżewskiego, O. Bakanowskiego. Od ks. dra Chwaliszewskiego nie udało mi się, mimo podjętych starań, zaczerpnąć pożądanych informacyj.

błogosławił, wielu starców nawrócił i do dobrej śmierci przygotował".

W ciężkiej chwili, bo właśnie gdy nowe a liczne szeregi emigrantów, styczniową zawieruchą wyrzucone z kraju, poczęły się w Anglii gromadzić, objął duchowny, a siłą rzeczy nietylko duchowny ster nad polską kolonią, znany dziś szeroko w całej Polsce, wytrwały obrońca katolickiej wiary i praw naszych w berlińskim parlamencie, ks. dr. Jażdżewski. „Pobyt mój w Anglii — pisze ówczesny misyonarz, a dzisiejszy proboszcz w Zdunach — przypadał na r. 1864 i 1865. Położenie moje było bardzo trudne, bo właśnie napływała nowa emigracya, wypuszczona mianowicie z kazamat austryackich i do Hull odstawiana, a ztamtąd przybywająca do Londynu; wiele mi ona pracy i kłopotu sprawiała. Trzeba im było wyszukać pomieszkania, lub wyprawić ich do Francyi lub do Ameryki, w czem rząd angielski dopomagał mi, choć w szczupłej mierze. Co do starszej emigracyi, to większa jej część pożenioną była z Angielkami, protestantkami; dzieci po części stracone były dla polskości i katolicyzmu. Starałem się, ile się dało, ratować. W połączeniu z paryskiem stowarzyszeniem *Oeuvre du Catholicisme en Pologne*, na którego czele stał późniejszy biskup z Autun, ksiądz Perrand, umieściłem około stu dzieci polskich emigrantów — ratując im przynajmniej wiarę — po różnych zakładach w całej Francyi od Boulogne aż do Pireneów: dziewczęta w klasztorach Urszulanek i Sercanek — chłopców po zakładach biskupich. Emigracyę, jak mogłem, takem prowadził w polskiej kaplicy; ale na to potrzeba było znacznych funduszów, bo należało opłacać podróż, żmudę i t. d. To wszystko pochłonęło dużo pieniędzy, ale trochę przy tem duch odżył. Dłużej jednak tej pracy prowadzić nie mogłem; raz, że mi zdrowie nie dopisywało, a potem, że użyczone od episkopatu francuskiego i od jenerała Zamoyskiego fundusze się wyczerpały".

Ostatnia z tych przyczyn: brak niezbędnych funduszów dla wyżywienia księdza i umożliwienia mu apostolskich wycieczek do Polaków po Anglii rozproszonych, — wraca na każdej

kartce w niewesołej historyi misyi polskiej w Anglii. Do Anglików pukać o pomoc trudno i nie opłaci się; od samych wychodźców, w biedzie żyjących, ani żądać ani spodziewać się nie można jakiegokolwiek obfitszego zasiłku; rząd gotówby może był udzielić subwencyi, ale wedle ściśle przestrzeganej zasady, subwencya ta nie mogłaby być wyższą od kwoty, którą samiż polscy wychodźcy zobowiązaliby się regularnie na księdza płacić, a zatem, mówiąc praktycznie, zejśćby musiała w najlepszym razie do śmiesznie drobnych rozmiarów.

Nie w lepszem położeniu znalazł się Zmartwychwstaniec, O. Adolf Bakanowski, przybyły w lecie 1878 roku, głównie wskutek zabiegów bawiącego dłuższy czas w Anglii Redemptorysty, O. Łubieńskiego, i jego Prowincyała, O. Coffina. Klasztorów Zmartwychwstańców — jak wiadomo — w Anglii dotąd niema; źródło składek na księdza i kaplicę zupełnie wyschło, dawni protektorzy polskiej misyi umarli lub pousuwali się; — tak że gdyby nie jenerałowa Zamoyska, która wierna tradycyom, po mężu odziedziczonym, na polską misyę nie szczędziła grosza, gdyby nie wspaniałomyślność prawdziwie szlachetnego lorda Demby, musiałby był chyba O. Bakanowski po kilku tygodniach pobytu, rad nie rad, Anglię opuścić.

Dla większej wygody wychodźców przeniósł O. Bakanowski polskie nabożeństwo do włoskiego kościoła św. Piotra na Hatton-Gardens, a raczej do podziemnej, prawdziwie katakumbowej kaplicy, w której już dawniej dr. Jażdżewski Polaków apostołował. „Kościół ten — tak opisywał go przed dziesięciu laty, świeżo do Anglii przybyły p. Naganowski [1] — jeden z największych katolickich w Londynie, stoi w smutnej, dość opuszczonej części wielkiego miasta. Odgrodzony od ulicy drewnianą palisadą, wznosi prawie czarne swe mury z pośrodka nieusuniętych gruzów i kamieni trawą porosłych...“ Urządzona pod czarnemi temi murami polska kaplica, stała się 10 stycznia 1880 r. widownią strasznego zamachu, który zwrócił

[1] *Przegląd Lwowski* r. 1879. T. XVIII. str. 619: „Listy z Londynu“.

oczy całego świata na polską misyę londyńską i polskiego misyonarza. O. Bakanowski odprawiał właśnie Mszę św. za duszę zmarłego przed kilku dniami Bronisława Zaleskiego, gdy wtem, w chwilę po odczytaniu Ewangelii, rozległo się kilka rewolwerowych strzałów. Były one wymierzone w celebrującego, lecz na szczęście wszystkie chybiły. Proboszcz kościoła włoskiego, ks. Arkell przyskoczył do złoczyńcy i zdołał mu wydrzeć rewolwer i zatruty sztylet; wielu zgromadzonych wiernych rzuciło się proboszczowi na pomoc; zanim jednak pochwycili nieszczęśliwego zbrodniarza, potrafił on jeszcze rozbić Tabernaculum, wysypał na ziemię Przenajśw. Hostye i podpalił firanki, zdobiące ołtarz. Przed sądem okazało się, że złoczyńca ów, nazwiskiem Schossa [1], skazany następnie przez londyńskich przysięgłych na dożywotnie więzienie, był anarchistą niemieckim, zasądzonym już poprzednio w Medyolanie na 10 lat ciężkich robót za podobną sprawkę; względem ks. Bakanowskiego żywić on miał podobno szczególną nienawiść, z powodu podjętej przezeń w Ameryce energicznej walki przeciw socyalizmowi i wolnomularstwu.

W siedm miesięcy po zamachu, w sierpniu 1880 r., przełożeni zakonni odwołali misyonarza na inny posterunek. „Na miejsce O. Bakanowskiego — pisał późniejszy sekretarz „Towarzystwa literackiego“ o smutnym tym dla kolonii polskiej wypadku [2] — nie będziemy rychło mieli innego kapelana. Przeszkadzają temu niezwyciężone trudności utrzymania osobnego kapłana. Ze smutkiem żegnamy sierocym płaczem ostatniego kapłana rodaka“.

O. Bakanowski wyjechał z Londynu w sierpniu 1880 r.; w lutym następnego roku opuścił Liverpool inny polski misyonarz, ks. Julian Dutkiewicz, sprowadzony tam przed niezbyt dawnym czasem przez polskich i litewskich robotników i wy-

[1] Tak nazywa zbrodniarza korespondent *Przeglądu Lwowskiego*; w telegramach biura korespondencyjnego występuje Schosser; w korespondencyach *Kuryera Poznańskiego* i *Czasu:* Schossa i Schosse.

[2] *Przegląd Lwowski* r. 1880. T. XIX. str. 369. „Listy z Londynu“ przez Edmunda Naganowskiego.

robników. Ks. Dutkiewicz pracował z początku przy kościele zarządzanym przez proboszcza belgijskiego; następnie rozpatrzywszy się lepiej w stosunkach, pomyślał o założeniu polskiej kaplicy i szkoły. Biedni Polacy złożyli grosz wdowi; pani Ksawerowa Pusłowska z Paryża przysłała hojną ofiarę — i dzięki głównie tej ofierze mógł ks. Dutkiewicz wynająć osobny dom i urządzić w nim kaplicę dla Polaków. Nieszczęściem, misyonarz nasz zapomniał, że w Anglii istnieje hierarchia kościelna; założył kaplicę i rządził się na własną rękę, nie pytając, co sądzi i jak na rządy te zapatruje się duchowna władza w Liverpoolu. Nadomiar złego nadeszły do konsystorza biskupiego różne niepokojące i niepochlebne wieści o polskim kapłanie. Ks. Dutkiewicz próbował się z początku bronić, ale ostatecznie, niechcąc dłużej przeciągać tak nienaturalnego a niemiłego stanu rzeczy, i widząc, że — nie wiemy — uprzedzenia czy dowody przeciw niemu walczące, usunąć się nie dadzą, cofnął się dobrowolnie i odpłynął do Ameryki [1].

Odtąd na lat kilka zostali nasi wychodźcy ogołoceni z jakiejkolwiek stałej opieki duchownej. Pracował wprawdzie jeszcze w tym czasie w Anglii znany już nam Redemptorysta, O. Bernard Łubieński, a w czasie licznych swych wycieczek misyjnych gromadził i krzepił na duchu, gdzie, jak i o ile mógł, opuszczonych swych rodaków — ale była to praca raczej odrywcza, której poświęcić się, a może raczej tak poświęcić się, jakby tego misyonarz nasz pragnął, nie dozwalały inne obowiązki, przez zakon poprzednio podjęte. Do londyńskiego klasztoru Redemptorystów, do polskiego zakonnika schodzili się starzy i młodzi, polscy wiarusi po chleb i duchowny i materyalny — a jak jednego, tak drugiego nigdy im tu nie żałowano. Ówczesny prowincyał angielskich Redemptorystów, późniejszy biskup, ks. Coffin miał dla Polaków prawdziwie ojcowskie serce; cieszył się szczerze, gdy znowu nowa gromadka

[1] *Słowo* z 26 i 27 października 1882 r.; *Przegląd Katolicki* z 9 listopada 1882 r. Notatki O. Lassberga. Akta, odnoszące się do osoby i działalności ks. Dutkiewicza w Liverpoolu, znajdują się w tamtejszem archiwum dyecezalnem.

pukała do furty gościnnego klasztoru, gdy znowu marnotrawny syn, wiarus z polskich, węgierskich, krymskich bojów, klękał po długich nieraz latach awanturniczego żywota u konfesyonału polskiego misyonarza, i nie rzadko z serdecznym płaczem długą spowiedź odprawiał. A jakaż dopiero radość polskiego księdza, gdy wruszony penitent sprowadził do kratek konfesyonalnych paru swych kamratów, znajomych... Najgorliwszym takim „katechistą" — aby użyć nazwy z historyi zaeuropejskich misyj zapożyczonej — był wysłużony żołnierz z węgierskiej kampanii, Feliks Sangurski. Różne przechodził on koleje, zanim drogą na Gibraltar dostał się do Anglii, a w Anglii do więzienia, gdzie czekała nań łaska Boża — i zmieniła Szawła w duchem apostolskim przejętego Pawła. Rodacy znali i szanowali tego starca, którego przez długie lata widzieli każdego poranku i wieczora modlącego się pobożnie przed kościelną bramą; szli też chętnie za jego wezwaniem do kościoła, wzmacniali się i cieszyli za jego przykładem w swej niedoli św. Sakramentami.

„I dziś od wzruszenia trudno się obronić, — opowiadał po wielu latach polski zakonnik — kiedy przypomnę sobie te straszne sceny, nad wszelki wyraz bolesne opowiadania Polaków, przychodzących o jałmużnę prosić; serce wtedy pękało...

„Ale nie najbardziej jeszcze byli godni pożałowania ci, którzy cisnęli się do furty klasztornej. Pewnego razu Lady L., która wespół z p. Bodenhamem zajmowała się zbieraniem składek na księży uwięzionych w Tunce, doniosła mi o całej polskiej rodzinie ze znanem nazwiskiem, pytając, co robić, bo z głodu nieszczęśliwi umierają, a przyjąć jałmużny nie chcą. Pani H. chciała na chleb sobie zarobić; założyła pracownię sukien damskich — ale do pracowni, której na większą skalę urządzić nie było za co, mało kto, prawie nikt nie zaglądał...

„Na misyi w Sounphort, koło Portsmouth, stanął przedemną jakiś pan i opowiedział mi, jakby z senzacyjnej powieści wyjętą, historyę swego życia. Ojciec mój — mówił — pełnił służbę kozaka na dworze pewnego polskiego pana. W czasie krymskiej wojny byliśmy w jakiemś portowem mieście. Raz

szedłem — wówczas jeszcze małe dziecko — razem z matką, nie wiem, dlaczego i w jakim interesie, na okręt. Tutaj sen mię zmorzył, a kiedy się obudziłem, matki na okręcie nie było, i dość już dawno wypłynęliśmy z portu. Przybyłem do Anglii, zaopiekowano się mną tutaj, ożeniłem się potem z katoliczką, zostałem rzeźnikiem — i mam się nie źle. Jakiej religii byli moi rodzice, czy kto z rodziny żyje, co robi, gdzie się obraca? — nie wiem i z pewnością nigdy wiedzieć nie będę...

„W Nottingham odprawialiśmy misyę w kościele św. Barnabasza. Po jednem z kazań zatrzymuje mnie jakaś panienka, elegancko ubrana, i pyta po francusku, dlaczego i co to za nabożeństwo się odprawia? Objaśniłem ją, jak mogłem najlepiej; po paru minutach rozmowy daje mi kartkę ze swem nazwiskiem. Patrzę i oczom nie wierzę; na bilecie stoi wyraźnie napisane: „Marya Łubieńska". Naturalnie przyszło do bliższej rozmowy. Tak niespodzianie poznana „kuzynka" pochodziła z Łubieńskich, osiadłych w Poznańskiem; a w Anglii utrzymywała się z udzielania lekcyj w domu niestety! protestanckim. Do kościoła nigdy prawie chodzić nie mogła; tego dnia wyjątkowym trafem wstąpiła do kościoła, a raczej cudowna Opatrzność Boża do niego ją poprowadziła... Po niedługim czasie dostała się do zakonu; w Londynie wstąpiła do nowicyatu, gdzie wnet zapadła na chorobę piersiową, i P. Bóg skrócił jej próbę, już nie zakonną tylko, ale i ziemską..."

Parę to zdarzeń z misyonarskich wędrówek po Anglii polskiego kapłana, parę faktów, które z powodu swej nadzwyczajności głębiej się w pamięci zaryły. Ileż dopiero błąkających się, narażonych ciągle na zbłąkanie polskich owieczek znaleśćby mógł nasz misyonarz, gdyby wyłączniej mógł im pracę swą poświęcić; jak praca taka gorąca, miłością Boga i bliźniego ożywiona, mogłaby być wdzięczną i użyteczną i w owoce bogatą...

Około r. 1884 odbył misyjną wycieczkę do Polaków, rozproszonych po różnych miastach i miasteczkach, na pierwszem miejscu w Winsfordzie i Liverpoolu, młody Jezuita, Kaluza

(Kałusza?), który z Niemiec, wespół z zakonnymi swymi braćmi wypędzony, znalazł gościnność w Anglii — i tu przypomniał sobie zapomniane już nieco dźwięki ojczystej mowy [1]. Inny również Jezuita, ale rodowity Niemiec, O. Jakób Linden, poduczył się o tyle po polsku, że pod koniec r. 1887 mógł zacząć słuchać spowiedzi i tłómaczyć z ambony, choć nie bez trudności, najważniejsze prawdy wiary. Na święta Bożego Narodzenia i powtórnie w styczniu 1888 r. odwiedził O. Linden Polaków w Winsfordzie; dalszej pracy w tym kierunku przeszkodziło odwołanie młodego misyonarza do Holandyi. Trudne, zwłaszcza dla cudzoziemca, ale pełne chwały w obec nieba, jeźli nie w obec ludzi, stanowisko polskiego misyonarza zajął teraz O. Józef von Lassberg, profesor prawa kanonicznego w klasztorze niemieckich Jezuitów w Ditton-Hall, wiosce położonej w północnem hrabstwie Lancashire. Obok Ditton-Hall leży miejscowość Widnes, gdzie pracuje pewna liczba Polaków; tutaj to prawdopodobnie poznał O. von Lassberg po raz pierwszy biedy i potrzeby naszych wychodźców, a pragnąc im wedle sił dopomódz, wziął się z energią do nauki polskiego i litewskiego języka. Obecnie misyonarz nasz nietylko płynnie mówi i czyta, ale i pisze z łatwością w tych językach; trzyma polskie i litewskie czasopisma, zaznajomił się z naszą historyą i literaturą, a żałuje tylko, że niema sposobności do spędzenia choć kilku miesięcy w Polsce, aby lepiej się w polskiej wymowie wyćwiczyć, przypatrzyć się polskim zwyczajom, zaznajomić się dokładniej we właściwem otoczeniu i właściwych, nie sztucznie wytworzonych warunkach, z naszym ludem, jego zaletami i wadami.

Krótki szkic niedługiej jeszcze, a tak już w owoce bogatej działalności tego prawdziwie apostolskiego kapłana, szkic nakreślony wedle własnych jego, w jednę całość splecionych notatek i listów, — najlepszym będzie bodaj obrazem dzisiejszego

[1] O. Kałusza wysłany został następnie do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie wystąpił z zakonu. Obecnie pracuje podobno między Polakami w dyecezyi Lacrosse.

stanu emigracyi polskiej w W. Brytanii, najwierniejszą, o stronniczość w żadnym chyba kierunku nie podejrzaną historyą jej potrzeb i cierpień, smutnych dni, weselszych chwil.

„Bardzo wielka liczba Polaków — największa bez wątpienia po Londynie — znajduje się, a przynajmniej przed kilku jeszcze latami znajdowała się w Liverpoolu; obecnie, rachując już razem Litwinów i Słowaków, nie wliczając natomiast dzieci, będzie ich tu około trzystu; przed 6, 7, 10 laty było ich podobno do sześciuset. Począwszy od lutego 1888 r. przyjeżdżam regularnie do Liverpoolu w pierwszą sobotę każdego miesiąca i pozostaję całą niedzielę; roboty w kościele naturalnie nie brak, wielu też trzeba po domach odwiedzać. Nabożeństwo polskie odprawiam w kościele Najśw. Panny Miłosiernej na Eldon Street. Proboszcz tegoż kościoła ks. Jakób Garderer, Anglik, bardzo jest dla Polaków przychylnie usposobiony, i chętnie, w czem tylko może, stara się im przysłużyć. Odrazu też zgodził się na moją propozycyę, żeby jeden z ołtarzów przeznaczyć szczególnie dla Polaków i Litwinów, i ozdobić go obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej: „I moi angielscy parafianie — mówił — będą mogli z tego korzystać, i udawać się pod opiekę cudownej tej Matki Boskiej“. Przemówiłem do Polaków o tym moim zamiarze;— przyjęli go z radością, i zaraz zaczęli zbierać między sobą składkę. Niechże to będzie na cześć Matki Boskiej Ostrobramskiej i zbawienie polskich robotników w tym kraju!“

Obraz, zamówiony w krakowskim klubie malarzów i rzeźbiarzów, nadszedł na miejsce przeznaczenia 1 czerwca 1889 r. „Wreszcie — donosi nasz misyonarz — otrzymaliśmy wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, z niewymowną radością wszystkich Polaków. Kilka tygodni minęło na rozmaitych przygotowaniach; Polacy i Litwini współubiegali się nawzajem, żeby jak najpiękniej przyozdobić i obraz i ołtarz, na którym miał stanąć. Jeden kupił bogatą kapę na akt ten uroczysty; inny, malarz z profesyi, odnowił gustownie ołtarz i wznoszącą się nad nim część muru kościelnego; inni nie oszczędzali grosza i fatygi, aby cała, bardzo obszerna świąty-

nia na to ich święto w świątecznej okazała się szacie. W dniu przeznaczonym na poświęcenie obrazu 20 sierpnia, spieszyły już od świtu liczne gromadki Polaków i Litwinów, i zbliżonych do nich cierpieniami Irlandczyków, których tu także dosyć, do kościoła na Eldon Street. Obraz stał na tymczasowem podwyższeniu w głębi presbiteryum; dokoła paliło się mnóstwo światła; poczciwy ludek klęczał z pokorą u stóp Królowej Niebieskiej — wielu z rozrzewnienia i radości płakało. Po wotywie i kilku cichych Mszach świętych wyszła uroczysta suma; w czasie niej przemówiłem po angielsku o szczęściu parafian, że zawitał i pozostanie między nimi obraz Maryi, wsławiony cudami na dalekiej Litwie; zachęciłem wszystkich do gorącej miłości Matki Bożej. Po sumie miałem kazanie polskie; biedacy bardzo się cieszyli i serdecznie mi dziękowali. Wszakże właściwa uroczystość miała miejsce dopiero wieczorem. Po nieszporach pomodliliśmy się głośno po litewsku, i w tymże języku powiedziałem kazanie, a po sumie inny ksiądz przemówił jeszcze kilka słów po angielsku. Proboszcz Garderer poświęcił obraz, i zaczęliśmy wszyscy wspólnie śpiewać litanię do Matki Boskiej. Gdybyście mogli słyszeć, z jakiem gorącem nabożeństwem, z jakim zapałem Polacy śpiewali: „Módl się za nami!“ — to pewnie rozpłakalibyście się w tej chwili razem z nami. Procesya była bardzo uroczystą. Obraz niosło dwóch zamożnych parafian, i umieścili go na przygotowanym ołtarzu. Klękliśmy wszyscy; proboszcz odmówił po angielsku akt poświęcenia się Matce Boskiej Ostrobramskiej, a ja wespół z Polakami, powtórzyłem głośno, z wielkiem wzruszeniem serca ten sam akt po polsku... I długo jeszcze klęczeli pobożni Polacy i Litwini przed obrazem swej Matki, polecając Jej wszystkie swe troski i cierpienia, prosząc o pomoc w tej obcej dla siebie krainie“.

Kiedyindziej kreślić musi nasz misyonarz po wycieczce do Liverpoolu innego rodzaju, nie wesołe już obrazy. Przytoczmy jedno z tych opowiadań, nie zmieniając w niczem ukształconego widocznie i na nowszych książkach i na Wujku, przenoszącego nas chwilami jakby żywcem w wiek XVI,

sposobu wyrażania się piszącego, o którym, sądząc z listu tego, wierzyć niemal trudno, że tak niedawno, bez nauczyciela i pomocy po polsku zaczął się uczyć:

„Było to dnia 28 sierpnia b. r. (1888) wieczorem, gdy mi list księdza liverpoolskiego doniósł, że Polak, zapadłszy w ciężką chorobę, pragnął moich odwiedzin usilnie. Wprawdzie lekarz miał jeszcze niejaką nadzieję utrzymania go przy życiu i śmierć nie zdawała się nadejść tak prędko, chory jednakże znajdował się w wielkiem niebezpieczeństwie. W początku tego roku Słowianka umarła bez pomocy księdza; zaiste, byłoby smutno, myślałem sobie, gdyby i ten Polak, nie mówiwszy z kapłanem, umarł; — i w ogóle daleko lepiej dla księdza spieszyć się do chorego zaprędko, niźli zapóźno. Przeto jam powstał natychmiast i poruszył się w podróż. Pierwszy pociąg w Dittonie, odchodzący do Liverpoola, dowiózł i mnie dotąd około w pół godziny. Było już ciemno. Ależ drogi, prowadzące do robotników polskich, zajmujących się po większej części w cukrowniach, już dawno mi znajome — i zatem, nie trzeba było szukać domu chorego Polaka długo. Od centralnej stacyi kolei żelaznej idziemy przez dwadzieścia minut w okolicę miasta ubogą, przez wielu katolików, mianowicie Irlandczyków mieszkaną... Z głównej ulicy (Scotland Road) idziemy poboczną drogą, a ztąd ciasny i ciemny ganek prowadzi nas wtył domów na mały dwór. Otóż tam po prawej stronie mieszkanie rodziny litewskiej. Nie jeden raz zastałem tam Polaków bez roboty ni zarobku; jedni przyszli od Ameryki, drudzy zamierzali tam pojechać, byle im nie brakło pieniędzy. Na lewej stronie mieszka poczciwa rodzina polska z Rosyi, z gubernii Grodzieńskiej; przyszła tutaj niedawno temu, ale się już dość nędzy doczekała, tak dalece, iż zimą nawet dobroczynności innych Polaków i Litwinów wzywać musiała. Jużem często pukał w drzwi tego mieszkania, i zawsze zostałem przyjęty z wielką grzecznością. Dziś znowu biłem w drzwi, — nigdy jeszcze tak późno — i zaraz się znalazłem wśród uczciwych Polaków i Litwinów, powitających mię z cicha, ale z radością niepokrytą.

— „Doprawdy, Ksiądz Jegomość nas nie zapomniał!“ — rzekła młoda gospodyni, odprowadzając mię na ciasnych schodach do pokoju, gdzie jej mąż, leżąc na łóżku, wielkie cierpiał bole. Wychodząc z nader gorącej cukrowni na zimne powietrze, nabawił się zaziębienia, które go w ciągu kilku dni przywiodło do grobu. Obok niego dwa maluczne dzieci spały mocno i spokojnie; trzecie dziecię leżało na dole w kolebce. Ach! one się nie domyślały nieszczęścia, co im zbliżało się tak prędko.

„Wystawić sobie dobrze można, z jaką radością chory Polak mię przyjął. Chociaż bowiem tylko mało umiem mówić po polsku, jestto jednakowoż nie małą pociechą dla tych uczciwych ludzi językiem ojczystym mówić z księdzem, spowiadać się mu i odprawić z nim zwyczajne pacierze. Dlatego oczekiwał z tak wielkiem pragnieniem mego przybycia, chociaż już wyspowiadał się u drugiego księdza tak dobrze, jak można, i przyjął był św. Wiatyk i ostatnie Olejem św. namaszczenie. Spowiadał się przeto znowu u mnie z prawdziwem nabożeństwem, i odmówił ze mną modlitwy z zupełnem zgadzaniem się z wolą Bożą. Gdyż zaś już dobrze pod wieczorem było, musiałem iść, aby szukać noclegu u Jezuitów w kolegium św. Franciszka Ksawerego. Zrana potem, odwiedziwszy jeszcze raz mego chorego przyjaciela, powróciłem do Ditton-Hall.

„Następna sobota, ponieważ poprzedzała pierwszą niedzielę miesiąca września, przywiodła mię nazad do Liverpoola; ależ znalazłem tylko śmiertelne szczątki pana Józefa Kołaica, — tak się nazywał — bo umarł tego samego dnia o szóstej godzinie rano. Pocieszyłem, jakem tylko mógł, owdowiałą jego żonę. Ale, jak smutne położenie tej młodej wdowy! Daleko od ojczyzny, nie mając ani jednego krewnego w Anglii, nie rozumiejąc języka tego kraju, — chyba, że niektóre słowa pochwyciła w codziennem życiu — została teraz sama z trojgiem dziatek w ogromnem mieście angielskiem! Bez wątpienia byłoby najlepiej wrócić do ojczyzny, w której, chociaż ojca i matkę już utraciła, rozmawiać przynajmniej mogłaby z ludźmi. Nadto ma nadzieję, że ojciec jej chrzestny starsze

dzieckoby wspomagał. Lecz jak można odbyć podróż bez pieniędzy?

„Właśnie w niedzielę miałem kazanie o św. Elżbiecie, tak słynnej z cierpliwości w największych przeciwnościach. Piękne te słowa, co św. Elżbieta, wygnana z zamku, mawiała: „Teraz będzie mię pocieszać Ten, który wszystkich wdów i sierót Ojcem jest“;—i uboga Polka mogła je powtarzać z ufnością w Opatrzności Bożej. W istocie, Pan Bóg jej nie opuścił; wzbudził dobroczynność tutejszych Polaków i Litwinów, od których wdowa tyle jałmużn dostała, iż się mogła podjąć powrotu do kraju swego. Nawet angielscy katolicy przyszli jej ku pomocy; mianowicie jedna irlandzka kobieta zasłużyła na wielką pochwałę. Ona, dostrzegłszy niebezpieczny stan chorego, zawołała księdza; wdowie była pomocną w urządzeniu prawdziwie katolickiego pogrzebu; nawet swojem mieszkaniem z nią się podzieliła dla oszczędzenia komornego, i nakoniec towarzyszyła jej do kolei żelaznej. Nie wiem, jak tam biedna Polka poradzi sobie na granicy, gdzie wedle praw rosyjskich może być karaną, że opuściła kraj bez paszportu, jak zwyczajnie Polacy przychodzący tutaj.

„Dłuższy już czas zajmowałem się Polakami, gdy dowiedziałem się, że tak ich stosunkowo wielu przebywa w Londynie. Niedawno powstała pomiędzy Tamizą, a olbrzymiemi dokami „Alberta“, nowa dzielnica Silvertown, mieści w sobie formalną litewską kolonię. Na szczęście pracuje tu od paru lat bardzo gorliwy katolicki misyonarz, Tymoteusz Ring, rodem Irlandczyk, który dla wszystkich, ale w szczególności litewskich swych owieczek ma więcej niż ojcowskie serce. Na jego wezwanie przybyłem we wrześniu (1889 r.) do Silvertown, i miałem misyę, trwającą od 21—29 września. Misya udała się bardzo dobrze; z dnia na dzień zbierała się coraz znaczniejsza liczba słuchaczów; wielu przystąpiło się do Sakramentów św., i to nietylko Litwini i zrzadka rozsypani między nimi Polacy z samego Silvertown, ale też i wielu Polaków z Whitechapel. Po raz pierwszy to, od czasu jak Litwini na tym krańcu Lon-

dynu rozbili swe wędrowne namioty, posłyszeli księdza, przemawiającego w ojczystym swym języku; niedziw, że niejedno tu było, niejedno jest jeszcze do zrobienia. Obecnie najgwałtowniej potrzebną byłaby gruntowna reforma dwóch litewskich klubów, które w dzisiejszym swym stanie, ani celów, dla których były założone, nie spełniają, ani nie przyczyniają się do sprowadzenia błogosławieństwa Bożego na całą kolonię. Dobrej woli z żadnej strony nie brak; trzebaby tylko trochę czasu i pracy, a nie wątpię, że z pomocą Bożą dużo w tej mierze dałoby się zrobić.

„Do marca b. r. udało mi się tylko dwa razy wpaść na jeden dzień do właściwej City of London; odwiedziłem kilka polskich i litewskich rodzin. A przecież jeźli gdzie, to w Londynie, a mówiąc dokładniej, w Whitechapel, misyę koniecznie i najprędzej należało odprawić — bo tu Polaków najwięcej. Ilu? dorachować się trudno. Jakiś żydek w czasie ostatniej mej bytności w Londynie mówił o 500 Polakach; w Silvertown mieszka około 200; wszystkich razem i na przedmieściach i w City będzie może do tysiąca. Inni rachują mniej, inni więcej; rachunek — powtarzam — trudny i bałamutny, choćby dlatego, że jedni liczą, inni nie liczą dzieci i t. p.; dojdziemy z pewnością do tysiąca Polaków, nie mówiąc już o dzieciach. Bądźcobądź ucieszyłem się niemało, gdy w ostatnim czasie wybrać się wreszcie mogłem już nie na parę dni, ale na parę tygodni do Londynu; zabawiłem tu od 6 do 19 marca, a przez pięć dni następnych pracowałem w Silvertown. O „misyi“ w ścisłem słowa znaczeniu nie było co myśleć: Polacy zbyt są rozproszeni po całem ogromnem mieście, zbyt zależni, i przy robocie do późnego wieczora zajęci. Rozesłałem drukowane kartki po polsku i po litewsku z zaproszeniem na nauki i do spowiedzi [1]. Do wielu jednak domów kartki te nie dotarły,

[1] Podajemy dosłownie to zaproszenie:

„Misya polska i litewska

odbędzie się od dnia 8 do dnia 16 marca w kościele św. Bonifacego przy ulicy Union Street, Whitechapel, London, E.

Ks. Józef Lassberg z Towarzystwa Jezusowego będzie miał nauki i będzie słuchał spowiedzi po polsku i po litewsku.

inni, choć o misyi dowiedzieli się, zjawić się nie chcieli lub nie mogli,—tak że zmuszony byłem odwołać nauki popołudniowe o wpół do czwartej z powodu zbyt szczupłej liczby słuchaczów. W sobotę i niedzielę wieczorem zebrało się w kościele św. Bonifacego od 150—200 Polaków i Litwinów; w dnie następne, jako robocze, było ich znacznie mniej. Dzięki Bogu, że i tylu się zebrało; korzystali oni szczerze z nauk, spowiadali się, dziękowali mi serdecznie...“

Gorliwy, od Boga opatrznościowo zesłany Apostoł wychodźców naszych w Anglii marniejących, — nie zadawalniając się szukaniem tych w ścisłem słowa znaczeniu zbłąkanych owieczek, wskrzeszeniem w ich sercach wiary, sprowadzeniem na drogę cnoty, — dalej myślą sięga; opierając się na doświadczeniu w czasie polskich misyj, w zetknięciu z wszelkiego rodzaju polską nędzą zaczerpniętem, — pyta jeszcze, co zrobićby koniecznie należało, jaką nie dorywczą, ale stałą zorganizować opiekę, aby Polacy, zmuszeni w Anglii na chleb zarabiać, mogli się oprzeć wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwom, broniąc się przed śmiercią głodową, znikąd ni pomocy ni pracy nie mogąc się doczekać, nie zginęli w zbyt licznych jaskiniach złodziejów i złoczyńców, nie utonęli w żydowskiem mrowisku, w socyalistycznej fali?

Nabożeństwo z kazaniem polskiem będzie wieczorem o godzinie 8 w sobotę dnia 8 i 15, w niedzielę dnia 10 i 16, we wtorek dnia 11, we czwartek dnia 13.

Nauka polska w tychże dniach o godzinie 3½ po południu z wyjątkiem w sobotę dnia 8.

Msze święte w dni powszednie o godzinie 8 i 9, w niedzielę o godzinie 9, 10 i 11.

Spowiedzi będą słuchane codzień rano od godziny 7, wieczorem od godziny 6.

Skorzystajcie Bracia z tej misyi! — Przyjdźcie tak na słuchanie słowa Bożego, jak na przyjęcie świętych Sakramentów! — Jednego potrzeba! — Ratuj duszę swoję! — „Bo cóż pomoże człowiekowi, jeźliby wszystek świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął?“ (Matt. 16, 26).

Wszystko na większą chwałę Boga!“

Na odwrotnej stronie to samo zaproszenie, tylko ze zmienionemi godzinami, po litewsku.

„Znam i wiem doskonale, — pisze nasz misyonarz, a słowa jego wiernem są odbiciem zapatrywań wszystkich, którzy mieli sposobność przypatrzeć się bliżej naszej angielskiej i nietylko angielskiej emigracyi — wiem, jak trudno nieraz wprowadzić w czyn najpiękniej i, zdawałoby się w teoryi, najpraktyczniej obmyślane środki; tam jednak, gdzie waży się pytanie „być lub nie być“, na trudności oglądać się niewolno; a w każdym razie, zdaje mi się, że jako szczeremu waszemu przyjacielowi, milczeć mi niewolno. Czy i co dałoby się zrobić dla wychodźców, zanim zdecydują się opuścić i opuszczą granice ojczystego kraju, w to wchodzić rzecz nie moja; choć z pewnością nie brak takich, którzy lekkomyślnie granice te opuszczają, a zakosztowawszy dopiero twardego chleba w Anglii lub Ameryce, przychodzą zbyt późno do poznania, że i łatwiejszy i smaczniejszy chleb w domu mieć mogli. Na płacz się zbiera, widząc młode, niedoświadczone dziewczęta, które zwabione listem kogoś znajomego lub same dobrowolnie, spodziewając się, że łatwiej w ludnej Anglii chleb i męża znajdą, przybywają tu z dalekiej Litwy; a jeźli w czasie drogi unikną cudem licznych niebezpieczeństw, to dla wyjścia bez szwanku z londyńskich, liverpoolskich jaskiń, więcej niż cudu potrzebują. Dużo mógłbym o tem pisać; dużo mię nieszczęśliwe te stworzenia, które z domu wyjechały niewinne, bez wiadomości złego i dobrego, i trudów i kłopotów kosztowały. Gdybym umiał lepiej i bez takiego wysiłku pisać po polsku i litewsku, to dawno już rozesłałbym, przedewszystkiem na Litwę, ostrzegające listy: „Córek, sióstr waszych za żadną cenę — samych, bez odpowiedniej opieki — tu nie puszczajcie!“

„A kiedy już nieszczęście, potrzeba, a choćby nieposkromiona fantazya z domu i z kraju rodzinnego kogo wyrzuci — czyż go do niepowrotnie straconych rachować, czy raczej nie należy go na obczyźnie otoczyć opieką, przed oszustami ostrzegać, chronić przed niecnym wyzyskiem, przed materyalną i gorszą moralną nędzą, nie dozwalać na wygaśnięcie w sercu płomienia wiary, na zerwanie wszelkich węzłów, łączących z rodziną i krajem rodzinnym? Dwóch odpowiedzi być tu chyba

nie może; chodzi tylko o to, co praktycznie najważniejsze i najpilniejsze?

„Spotykając się ciągle z wychodźcami, znając smutną zazwyczaj ich historyę, przyszedłem do przekonania, że wiele nieszczęść i oszustw możnaby uniknąć, gdyby w Hamburgu przebywał stale choć jeden Polak, który poświęciłby się wyłącznie informowaniu i kierowaniu emigrujących swych współrodaków. Musiałby to naturalnie być człowiek przedsiębiorczy, roztropny, ważnością zadania swego głęboko przejęty; musiałby być Polakiem, aby módz polskich wychodźców odszukać, własnym ich językiem z nimi się rozmówić, niezbędną ufność sobie zaskarbić. Opłacać powinniby go sami emigranci; gdyby to jednak z jakichbądź względów niezawsze i niezupełnie dało się przeprowadzić, to przecież, zdaje mi się, na cel tak doniosły funduszów czy to publicznych czy prywatnych, nawet w biednym stosunkowo kraju, zabraknąć nie może. Obecnie takiego — że tak się wyrażę — konsula dla polskich wychodźców niema; dlatego wpadają oni w znacznej części w ręce żydów, i w ostatecznym wyniku tam iść muszą i to robić, co się żydom podoba. W ogóle polscy emigranci mają oczy zwrócone na Amerykę; i tam podobno bieda, ale lepsza ona przecież od angielskiej, bo w Ameryce zarobek łatwiejszy, Polaków więcej, wielu też polskich księży i szkół. To też trudno tych nie żałować, którzy czy to brakiem pieniędzy zmuszeni, czy oszukani przez żydów i przez nich namówieni, nie mając i nie wiedząc do kogo po radę i pomoc się udać, zatrzymują się w Anglii, i tu dostają się przeważnie w żydowskie ręce. W czasie ostatniej wiosny (1889) widziałem w Liverpoolu całe karawany polskich emigrantów w dzielnicach żydowskich; gdyby w Hamburgu, gdyby w Liverpoolu zajął się ktoś tymi nieszczęśliwymi natychmiast po ich przybyciu, możnaby ich niewielkim nawet kosztem i staraniem uratować. W kilka miesięcy ratunek może być już bardzo trudnym; po pewnym czasie niemal czasami niepodobnym...“

Polak czy Litwin niewykształcony, nie umiejący nieraz ani pisać ani czytać, nie mówiący lub mówiący nader słabo

po angielsku, a w dodatku pozbawiony religijnej pociechy, kazań, spowiedzi, — zdziczeć musi; staje się jakby narzędziem w ręku swego pana, staje się czasem — rzecby można — na pewne tylko fizyczne potrzeby czułem zwierzęciem. Umiejący czytać, przywożą sobie z domu książki do nabożeństwa, które słusznie cenią jako najdroższy klejnot; innych dobrych książek polskich lub litewskich, brak zupełny; a tych paru, co się wygnańcami zajmują, nie mają, niestety! środków, aby brakowi temu choć w części zaradzić. Równie Polacy, jak Litwini, są w gruncie szczerze religijni, chętnie i sumiennie słuchają Kościoła, do wiary i jej obrzędów są przywiązani; ale taić sobie nie można, że z winy aż zbyt smutnych okoliczności, w jakich biedacy ci się znajdują, szerzy się między nimi zapomnienie wiary, jej praktyk, a jednocześnie i życia wedle zasad przez wiarę wskazanych. Przelotne, z konieczności krótkie nawiedziny misyonarza mówiącego po polsku, podniecają na chwilę gasnący już w sercu płomyczek; ale czyż mogą przynieść skuteczne, trwałe lekarstwo? Czego koniecznie potrzeba, jeźli garstka polskich rozbitków w Anglii uratowaną ma być od zatonięcia w morzu niewiary, zbrodni, socyalizmu, jeźli dla Kościoła, a w pewnej przynajmniej cząstce i dla kraju rodzinnego ma być zachowaną, — to gorliwego, duchem apostolskim przejętego misyonarza, który mógłby cały swój czas wyłącznie Polakom poświęcić, a nie zadawalniając się tylko pracą w polskiej kaplicy w Londynie, przebiegał w imię Chrystusa, ze słowami przebaczenia i pociechy, londyńskie zaułki, żydowskie przedmieścia, szkockie i angielskie miasta fabryczne — i wszędzie odszukiwał zbłąkane polskie owieczki, podnosił je z upadku, a wedle sił i możności usuwał przyczynę ponownych upadków.

Przyjaciel nasz — wypróbowany, bo przyjaźni swej czynami dowodzi — O. von Lassberg, spełnia w pewnej mierze taką dobrowolnie przyjętą na siebie misyę; ale sam, innymi obowiązkami obciążony, nastarczyć pracy i całego swego czasu poświęcić jej nie jest w stanie, a choćby był w stanie, to potrzebowałby jeszcze koniecznie stale mieszkającego w Londynie pomocnika. Istotnie — niezbędną potrzebę polskiego misyonarza

w samymże Londynie od dawien dawna uznawali, a w ostatnim czasie z większym niż kiedykolwiek przyciskiem uznają jednogłośnie wszyscy, którym sprawa naszego wychodźtwa w Anglii leży na sercu. W znanych nam londyńskich korespondencyach Latarnika, umieszczanych w *Kraju* [1], z jedną wciąż od lat pięciu spotykamy się zwrotką: „Trzeba księdza sprowadzić... Trzebaby kapłana, trzebaby świętego z męczeńskiem zaparciem i poświęceniem się misyonarza, któryby apostolstwem wiary i mowy ocucił te zwłaszcza w żydowskiej sieci pajęczej trzymane, trupieszejące w odrębnym pierwiastku chryzalidy i rozgrzał i podniósł“... Ta sama zwrotka wraca we wszystkich listach i opowiadaniach ludzi, którzy nędzy polskiej w Londynie i w dawniejszych i w ostatnich latach oko w oko spojrzeli; odzywa się w notatkach nakreślonych przed kilku tygodniami przez O. von Lassberg, jak odzywała się przed kilkudziesięciu latami w sprawozdaniach „Literackiego Towarzystwa“.

Potrzebę tę rozumieją również katoliccy biskupi angielscy, i robią co mogą, aby jej zaradzić. W szczególności kardynał Manning i biskup z Liverpoolu ponawiali w ostatnim czasie starania o sprowadzenie do Londynu i do Liverpoolu polskich księży — wszakże bezskutecznie. W seminaryum liverpoolskiem uczy się obecnie bardzo utalentowany kleryk, Mr. Hughes, języka polskiego, a podobno i litewskiego za zachętą miejscowego biskupa i z hojną pieniężną pomocą na potrzebne książki. Kleryk ten za parę miesięcy otrzymać ma święcenia kapłańskie, a tak jest wszelka nadzieja, że robotnicy nasi w Liverpoolu będą już mieli niezadługo stałą opiekę duchowną. Czy i w londyńskiem seminaryum uczy się kto po polsku? Nic o tem nie słychać, i dziwić się temu nie można, choćby ze względu, że jeźli w całej Anglii, to zwłaszcza w stolicy wielki brak księży, i na każdego czeka aż za wiele ściśle obowiązkowej pracy. Ani wątpić zresztą, że znalazłby się jakiś gorliwy polski kapłan, któryby się nie zawahał apostołować w Londy-

[1] *Kraj* r. 1886, nr. 32; r. 1889, nr. 44.

nie, gdyby tylko miał jakkolwiek zapewnione materyalne utrzymanie. O tę przeszkodę — smutno to wyznać — rozbijały się dotychczas kilkakrotnie najlepsze chęci; ksiądz żyć przecież musi, mieć musi choć kawałek suchego chleba dla ratowania rodaków od głodu i gorszej od głodu hańby, a kawałka tego chleba nie dadzą mu ani biedni Polacy w Londynie ani Anglicy, którzy wprost i bez ogródek stawiają zasadę: Polacy Polakom powinni w pomoc przychodzić. Zdarzyć się naturalnie mogą i zdarzały się wyjątkowe jałmużny, ale na nie liczyć nie można: dopóki szlachetna jakaś fundacya nie zabezpieczy losu polskiej misyi i kaplicy w Londynie, dopóty nie będzie jej zupełnie, jak, niestety! niema w tej chwili; lub w najlepszym razie zawieszoną będzie ciągle — jak w dawniejszych latach — między życiem a śmiercią.

Misya polska — oto pierwsza, ale nie jedyna potrzeba. Drugą, niemniej odczutą i ważną, choć trudniejszą może jeszcze do wykonania,— to sprowadzenie do Londynu paru polskich zakonnic, któreby gromadziły w swej ochronce dzieci polskie, nie dozwalały im zapomnieć języka i wiary, u których nieszczęśliwe dziewczyny, do otchłani żydowskiej głodem pędzone, haniebnie wyzyskiwane szwaczki, guwernantki bez lekcyj — znaleśćby mogły choć parodniowe wytchnienie, ratunek w ciężkiej chwili, dobrą radę, słowo opamiętania przed wskoczeniem do przepaści. Kilka polskich „Służebniczek“ dostało się do Walmer, w okolice Doveru, i mają tam nawet steranego zresztą pracą i wiekiem polskiego kapelana ks. Daniewskiego; gdy więc już polskie zakonnice założyły swą kolonię w Anglii, gdy kolonie ich kwitną i rozwijają się w Ameryce — czyż byłoby niepodobieństwem, aby i nad Tamizą namiot swój zatknęły, i poszły i tam ratować, co jeszcze można uratować?

Czy i kto założy trzy te forty, które jedynie obronić będą mogły wychodźców naszych angielskich od pewnej zguby: misyę, szkołę, ochronę i dla dzieci i dla starszych, ochrony przed nagłem niebezpieczeństwem potrzebujących; czy znajdą się chrześcijańscy rycerze, którzyby w fortach tych bronili do ostatka tego naszego dalekiego, ale nie daj Boże! straconego

posterunku? Tyle ze wszech stron i bliskiej i ciężkiej nędzy przed oczy się ciśnie i o pomoc się dopomina, że troska o tych braci naszych z za morza mogłaby się komu zdawać w chwili zniechęcenia zbytkiem, na który nam pozwalać sobie niewolno. Ale taka małoduszna przezorność, to dobrowolne zacieśnianie granic, i tak do zbytku przez innych i z innych przyczyn skurczonej ojczyzny, — to wyrzeczenie się wspólności i solidarności z naszemi rozrzuconemi po świecie, wciąż, chcemy czy nie chcemy, mnożącemi się koloniami, — to odrzucenie żywiołów, które pracy się nauczywszy, w zachodniej energii i praktyczności się skąpawszy, mogą nam oddać — jeźli wierne zostaną polskiemu imieniowi i ideałom — nieocenione usługi: sieją przyszłej, oczyszczonej, pracowitej Polski siew. Powinnością więc naszą i to nie z jednego względu, — powiedzieć można z samegoż dobrze zrozumianego interesu metropolii względem swych, choć nie dobrowolnie założonych kolonij — podawać rękę pomocną braciom naszym, na obczyźnie rozproszonym.

A jeźli gdzie i dla kogo, to dla braci naszych w Anglii rozproszonych, szybka pomoc jest niezbędną. Tracą tam oni zbyt często, nieraz już w pierwszej generacyi, język ojczysty; w drugiej ledwie wiedzą, że przodkowie ich z dalekich słowiańskich krajów przybyli; dobrze, jeźli wiedzą, że chrzest przyjęli z rąk katolickiego kapłana. W domach, w których żona lub mąż jest Anglikiem, panuje zazwyczaj wszechwładnie język angielski; zdarza się, że dzieci wykształconych, osobiście najżarliwszych Polaków nie umieją słowa po polsku. Stowarzyszenia polskie, niegdyś kłócące się, dziś nawet żywszą kłótnią znaku życia nie dają; „Towarzystwo literackie“ utraciło nie od dziś dawne znaczenie: wszak wyrażono się o niem bodajby za pesymistycznie, że jest sławnego imienia cieniem. Jeźli polscy kapłani, nauczyciele, polskie książki, starania, a mówiąc bez ogródek, polskie pieniądze emigracyjnemu temu posterunkowi na odsiecz nie pospieszą, — to dziś już wyrachować można godzinę, w której rozpłynie się bez śladu w angielskiej ludności, w irlandzkim lub żydowskim proletaryacie, w prote-

stanckich i żydowskich sektach. Czyż dozwolić można, aby dla tych kilku tysięcy ziomków naszych, co dotąd wbrew i mimo wszystkiego wyznawać nie przestali, że Bóg i ojczyzna narodów sumieniem i zbawieniem — aby wyróść miał dla nich ze smutnych okoliczności, w jakich się znajdują, i z braku pomocy od nas spleciony dantejski napis: „Tu niema nadziei?“

Ks. Jan Badeni.

WSPOMNIENIA Z PIELGRZYMKI DO KOMPOSTELI.

II.

Z KOMPOSTELI DO SEWILLI.

Droga przez pasmo Guadarramy. — Eskorial. — Pałac królewski. — Kościół i Panteon. — Biblioteka. — Położenie i zewnętrzna postać Madrytu. — Kościoły i religijność dzisiejszych Madrileños. — Museo del Prado i sztuka hiszpańska. — Zwyczaje na kolejach hiszpańskich. — Toledo, jego dzieje i dzisiejsza fizyognomia. — Style w architekturze. — Katedra i liturgia mozarabska. — Dawne synagogi. — Andaluzya. — Dzieje Sewilli. — Dzisiejsza jej postać. — Katedra. — Giralda. — Museo provincial i Immaculadas Murilla. — Alkazar. — Ruch wieczorny na Calle de las Sierpes. — Taniec de los seises.

Minąwszy Valladolid, która miała swoje dni chwały, zanim ją przyćmił Madryt za Filipa II, jechaliśmy dalej okolicą piaszczystą, zasadzoną w części winogradem i niskiemi piniami, a zresztą jałową i bezwodną; później szarawe pasmo gór zastąpiło nam drogę. Po prawej została Medina, zkąd boczna kolej wiedzie do Salamanki; ale nie było czasu na tę wycieczkę, acz bardzo nęcił ku sobie stary uniwersytet i katedra w Salamance, a więcej jeszcze grób św. Teresy w Alba. Następnie przesunęła się przed nami Avila, miasto rodzinne tejże Świętej [1], opasane dotąd murem, jakby jaka twierdza średniowieczna.

[1] Gdzie był dawniej jej dom, wznosi się dzisiaj klasztor Karmelitanek.

Przynajmniej z wagonu uczciłem kolebkę tej, co pozostanie na zawsze jasną gwiazdą Kościoła i chlubą swego narodu.

Tu już poczęliśmy się wspinać na podnóża Guadarramy, podczas gdy pasma Gredos i Gata ciągnęły się dalej ku zachodowi. Droga wiła się po stokach, zasianych odłamami skał, a tu i owdzie porosłych lasami; to znowu po śmiałych wiaduktach przeskakiwała przepaści i zapuszczała się w głębokie tunele, z których jeden miał tysiąc metrów długości; aż na stacyi la Cuñada dotarła do 1359 metrów wysokości, a więc najwyżej z pośród kolei żelaznych Europy. Podziwiałem dziki ale majestatyczny krajobraz, przypominający trochę Semmering. Spuściwszy się z gór, wjechaliśmy na rozległą wyżynę, na której jakby ktoś umyślnie posiał kamienie; i wnet ukazał się nam szary kolos, otoczony wieńcem domów i ogrodów: — był to pałac królewski Eskorial [1]. Na dworcu, leżącym między *L'Escorial de abajo* (E. niższy) i *L'Escorial de arriba* (E. wyższy), panował tłok i gwar wielki, bo mnóstwo podróżnych przybywało do Eskorialu wyższego na pobyt dłuższy lub krótszy, podczas gdy inni z jednodniowej wycieczki wracali do Madrytu; i zmrok już zapadał, kiedy wraz z towarzyszami znalazłem się przed facyatą olbrzymiego gmachu. Była to dziwna fantazya Filipa II, odzwierciedlająca wiernie jego ducha, że na stokach nagich gór Carpentara, pośród pustyni skalistej i wystawionej na częste burze i pioruny, postanowił wznieść nietylko klasztor dla 200 Hieronimitów i kościół św. Wawrzyńca, ale także rezydencyę letnią dla królów żyjących, i panteon z grobowcami dla zmarłych. Wiadomo, że tej myśli dał początek ślub, uczyniony przez króla podczas oblężenia miasta St. Quentin, i zwycięstwo, odniesione tamże w dzień św. Wawrzyńca; a to nam tłómaczy, dlaczego gmach cały ma kształt kraty żelaznej, której niejako podstawkami są cztery wieże narożne, otworami zaś 16 większych i 11 mniejszych dziedzińców. Cały czworobok, opasany z dwóch stron obszernym pla-

[1] Nazwa ta pochodzi od *escorias*, kawałków rudy żelaznej, której tu dużo.

cem i budynkami dworskimi, z dwóch innych pięknym ogrodem. Długie niezmiernie, a stosunkowo niewysokie ściany, okna małe ale gęste, szara barwa granitu i brak wszelkich ozdób, — wszystko to sprawia, że gmach cały wydaje się jednostajnym i zimnym, ale nie zasługuje na epitet „ponurego grobu“ albo „lewiatana architektury“, jakim go darzą niektórzy turyści. Środek tegoż zajmuje kościół, jednę stronę klasztor, drugą pałac królewski. Wprawdzie Hieronimitów wyrzucił ztąd orkan rewolucyjny, ale na ich miejsce sprowadził tu Alfons XII stu przeszło Augustyanów, i oddał pod ich ster kolegium dla zamożniejszej młodzieży.

Główna facyata, ozdobiona kamienną statuą św. Wawrzyńca, wznosi się od zachodu; tędy też wchodzi się przez dziedziniec, zwany *patio de los Reyes*, do kościoła. Zbudowany przez Herrerę w stylu klasycznym, jest on nieco za ciężki i surowy, ale imponuje jużto rozmiarami, już mnóstwem ołtarzy (50), już kształtną kopułą. Największą jego ozdobą są obrazy Velasqueza, Carducho i Gomeza w ołtarzach, freski Łukasza Giordano na sklepieniu, i t. zw. *capilla mayor* czyli wielki ołtarz, na który złożyły się drogie kamienie, kosztowne marmury, złoto, pędzel i dłuto znakomitych mistrzów. Prześlicznemi są mianowicie: *retablo*, *custodia* i dwa pulpity, stojące przed jaspisowemi schodami. Po obu stronach ołtarza są dwie piękne grupy posągów ze złoconego bronzu, przedstawiających rodzinę Karola V. Z presbiteryum wiodą drzwi do oratoryów królewskich, z których jedno było przedśmiertną komnatą Filipa II.

Panteon z grobami królewskimi mieści się pod wielkim ołtarzem, a wchodzi się tam z t. zw. *antesacristia*. Jestto krypta ośmioboczna, wyłożona czarnym marmurem i jaspisem, a mająca po obu bokach ołtarza szeregi framug z czarnemi sarkofagami, z których jedne, po stronie Ewangelii, zawierają kości królów, drugie, po stronie Lekcyi, popioły królowych, ale tylko tych, co wydały na świat następców tronu. W ostatnim sarkofagu spoczywa Alfons XII, zmarły w r. 1885; a jest jeszcze kilka framug wolnych. Inne królowe, jakoteż infanci i infantki leżą w t. zw. *panteon de los Infantes*: wszyscy atoli przechodzą

przez komnaty, zwane *pudrideros*, dopóki ich ciała nie staną się prochem. Widok tych komnat jakże mocno przemawia do duszy obcych, a cóż dopiero do samych władców Hiszpanii!

Wnętrza pałacu ani bogatej biblioteki nie widziałem, bo już tu nie zastałem dawniejszego bibliotekarza, ks. Feliksa Różańskiego, który dla wszystkich, przedewszystkiem zaś dla rodaków, był nader uprzejmym i światłym przewodnikiem. Według opisu Pawińskiego, Zschokkego i innych, biblioteka ma mieć 60.000 tomów i wiele manuskryptów, niektóre z pięknemi miniaturami, jak np. *codex aureus*, zawierający cztery Ewangelie, napisane pismem złotem w połowie XI wieku. Już w r. 1611 zachwycał się niemi Jakób Sobieski, ojciec Jana III [1]. W pałacu najwięcej zaciekawia dawne mieszkanie Filipa II, złożone z sali posłuchań o białych, nagich ścianach, z prostym stołem w środku — i z podobnej sypialni, mającej za cały sprzęt łóżko, pokryte tapczanem, i stół dębowy. Tutaj to rozkazywał i jęczał z bólu władca ogromnej monarchii, w której słońce nie zachodziło. Obecnego jego następcy, czteroletniego Alfonsa XIII, nie miałem szczęścia widzieć, bo wówczas bawił się piaskiem w San Sebastian.

Od Eskorialu do Madrytu zniża się nieco wyżyna, i mniej już kamieni, a więcej ziemi uprawnej; ale mimo to cała okolica ma postać odludnego stepu, zamkniętego od północy pasmami gór Guadarrama i Somosierra. Mimowolnie nasuwa się pytanie: dlaczego Filip II umieścił tu stolicę? Nietylko leży ona samotnie, jak oaza na pustyni, ale brak jej wody, której nie zdoła dostarczyć chorująca na suchoty rzeczka Manzanares; zaczem trzeba było aż do źródeł rzeki Lozoya budować wodociągi, mające 70 kilometrów długości. Do tego powietrze jest niezdrowe — w zimie za ostre i suche, w lecie za gorące, co wyraża przysłowie: w Madrycie jest trzy miesiące zimy, a dziewięć miesięcy piekła. Przeważyła atoli wola królewska, uwzględniająca snadź tę okoliczność, że tu mniej więcej wypada środek kraju.

[1] Por. *Viajes de extranjeros por España y Portugal en los siglos XV, XVI y XVII*, str. 266.

Madryt istniał już w wieku X pod nazwą Magerito, ale jeszcze w r. 1526, kiedy tu jako więzień przebywał król francuski, Franciszek I, był dosyć skromnem miastem; dopiero od r. 1561., w którym po Toledzie stał się rezydencyą królewską, począł się rozrastać, a dziś liczy do 400.000 mieszkańców i rywalizuje z innemi stolicami Europy. Położony wyżej od wszystkich, bo 655 metrów nad poziomem morza, — tak że według tamtejszego przysłowia, tron króla hiszpańskiego wznosi się najbliżej tronu Króla Niebieskiego — ma stosunkowo szerokie i czyste ulice, niemało okazałych pałaców, bogate biblioteki, galerye i muzea, kilkanaście teatrów i olbrzymie *toros*, prześliczne ogrody i bulwary, wreszcie wszystkie modne urządzenia, jak oświetlenie gazowe i elektryczne, telefony, tramwaje i t. p. Słowem, Madryt robi wrażenie wielkiego miasta, acz przesadne jest tutejsze przysłowie: że Hiszpan nawet w niebie ma okienko, aby przez nie patrzeć na stolicę swego kraju.

Umieściwszy się wraz z towarzyszami w hotelu *Santa Cruz*, gdzie — nawiasem mówiąc — mimo religijnego godła, dobrze nas zdarto, rzuciłem okiem na plac *Puerta del Sol*, i pobiegłem szukać najprzód kościołów. Rzecz dziwna, jest ich tam stosunkowo bardzo mało, a niemasz ani jednego, któryby pod względem wieku czy stylu mógł się mierzyć z katedrami w Burgos lub Santiago. Niektóre z nich są wprawdzie bogate w marmury i ozdoby, ale nieszczególnego smaku. Największym ze wszystkich jest *San Isidro el Real*, dawny kościół jezuicki, zbudowany w XVII wieku, a w r. 1885, po utworzeniu dyecezyi madryckiej, wybrany na tymczasową katedrę biskupią. Nad wielkim ołtarzem mieści się sarkofag z relikwiami św. Izydora, patrona Madrytu i opiekuna oraczy, a nie potrzebuję dodawać, że jego przyczynie poleciliśmy wszystek lud polski. Są tu także obrazy kilku znakomitych mistrzów, jak: Giordano, Alonso Cano, Morales, Coëllo, Carducci; w bocznej zaś nawie jest kaplica N. Panny, pełna błyskotliwej ornamentyki.

Zasługują jeszcze na uwagę: San Geronimo, nowy kościół gotycki, San Andrés, San Ginés, La Encarnacion i kaplica w *Pa-*

lacio real. W ogóle, kościoły madryckie są nieliczne i nieznaczne, a mimo to nawet w niedziele i święta nie są przepełnione, bo wskutek wpływów sekty masońskiej, wyuzdanej prasy i ciągłej propagandy materyalizmu, dzisiejsi *madrileños* nie odznaczają się wcale pobożnością. *Panem et circenses* — oto ich hasło. Jak opowiadają naoczni świadkowie, podczas *corrida de toros*, czyli walki byków, odbywającej się zazwyczaj w niedzielę popołudniu, ogromny amfiteatr nie może pomieścić tłumu widzów, którzy z niewypowiedzianym szałem uczestniczą w tem barbarzyńskiem widowisku. Tak też do kilkunastu teatrów tłoczy się prawie codziennie wesoła i hałaśliwa rzesza; wieczorem zaś publiczne spacery, zwłaszcza *Salon del Prado*, wyglądają jak wielkie mrowiska. W dni powszednie — a na takie wypadł mój pobyt w Madrycie — widziałem po kościołach gromadki pobożnych, po większej części starszych kobiet w czarnych mantylach, podczas gdy młode elegantki, snujące się zalotnie po ulicach, stroją się według mody francuskiej. Za czasów Jakóba Sobieskiego (r. 1611) noszono za niemi do kościołów aksamitne lub jedwabne poduszki; dziś — przynajmniej w niektórych kościołach — zaprowadzają krzesła, i zwyczajem paryskim, każą płacić za ich użycie.

Nie mogłem zwiedzić „centralnego uniwersytetu", ni bibliotek, bo był to czas wakacyj; za to uwięziły mię dłużej zbiory sztuki, tak bogate i wspaniałe, że warto dla nich samych jechać do stolicy Hiszpanii. *Academia de San Fernando*, na 300 zaledwie płócien, ma trzy klejnoty przedziwnego blasku, t. j. trzy obrazy nieśmiertelnego Murilla, z których jeden, przedstawiający św. Elżbietę pośród chorych i kalek, należy — według mego zdania — do pierwszych arcydzieł. A cóż mówić o muzeum królewskiem, zwanem zazwyczaj *Museo del Prado!* Liczbą i doborem obrazów góruje ono nad wszystkiemi galeryami Europy. Tu dopiero poznać można, jak znakomitą i płodną była stara szkoła hiszpańska, a jak świetnie rozwija się szkoła nowsza. Przed okiem zdumionego widza przesuwa się długi szereg niepoślednich mistrzów, — z wieku XVI: Winc. Macip, inaczej Juan de Joanes († 1579), i Morales

(† 1586), — z wieku XVII: Bartolomé Esteban Murillo († 1682), przewódzca szkoły sewilskiej, z kierunkiem więcej idealistycznym; Velazquez de Silva († 1660), twórca szkoły madryckiej, z cechą naturalistyczną; José Ribera († 1656) i Franc. Zurbaran († 1662), dwaj przedstawiciele surowego realizmu na tle religijnem; Ant. Pereda († 1669), Alonso Cano († 1667), José Antolinez († 1676), J. B. Mazo († 1687), Winc. Carducci (Carducho † 1638), — z wieku XVIII: Franc. Goya (1746-1828), — z wieku XIX: Fortuny († 1874), Rosales († 1873), Maurata, Gimenez, Pradella, Hispaleto, Martinez Cubells, Vera, Dominguez, Madrazo i t. d. Pierwszeństwa nie waham się przyznać Murillowi, raz, że pełen genialnej twórczości w pomysłach, dziwną zarazem posiadał biegłość w układzie kolorów i światłocienia, — powtóre, że nie zaprzedał swego talentu w służbę zmysłowości, i umiał pogodzić realizm z idealizmem, — wreszcie, że w swoje *Immaculadas* tchnął tyle wyrazu duchowego i niebiańskiego, że chciałoby się upaść do ich stóp i zawołać: *Tota pulchra es.* Prawdziwie, nadworny to malarz Najśw. Panny, — *pintor de las Concepciones*, jak go oddawna zwano, a jego *Purissima*, zarówno jak Madonna sykstyńska Rafaela, pozostanie na zawsze niezrównanym utworem religijnego natchnienia.

Upały tak straszne, że w południe istny ogień sypał się z nieba, wypędziły mię z Madrytu po dwudniowym zaledwie pobycie, — i już 27 sierpnia popołudniu znalazłem się w pociągu, idącym do Toledo. Koleje hiszpańskie należą do najgorszych w Europie. Dworce po większej części niepokaźne i brudne, służba niezbyt dbała, urzędnicy nie bardzo grzeczni, a niektórzy, jak to sam sprawdziłem, łatwo się mylą w rachunkach, tak że przy kupowaniu biletów trzeba się mieć na baczności. Na peronach większych miast ciśnie się, krzyczy, a nieraz śpiewa tłum ciekawych różnego kalibru, nawet dzieci i żebraków; snadź muszą być między nimi i rzezimieszki, bo żandarmi stoją na każdej stacyi i każdy pociąg eskortują. Pociągi wloką się leniwo, z wyjątkiem pospiesznych, które jednak nie na wszystkich liniach krążą codziennie; do tego nie zawsze dotrzymują terminów, jakie podaje *Guia oficial*. Wiedzą

o tem Hiszpanie, to też nieraz wsiadają lub wysiadają, kiedy już pociąg jest w ruchu. Wozy drugiej klasy tak są niewygodne i brudne, że jechać nimi dłużej równa się lekkiej torturze. Pojedyncze oddziały mają mieścić po 10, niektóre po 12 lub 14 osób; aby zaś nikt o tem nie wątpił, oznaczono siedzenia liniami. Wprawdzie Hiszpanie są zazwyczaj szczupłej tuszy, wyjąwszy starsze kobiety, ale w każdym razie trzebaby niejednemu z nich obciąć ramiona, aby regulaminowi stało się zadosyć. Skutkiem tegoż jest zbyt często nieznośny tłok, a jeżeli dodamy jeszcze tumany kurzu i dym z cygaretów, które każdy mężczyzna pali już w kolebce, a przed któremi schronić się nie można, chyba w kosztownem *coche reservado:* będziemy mieli wyobrażenie, jak przyjemną jest podróż po Hiszpanii w miesiącach letnich.

Już dwie godziny toczył się pociąg po nudnej i pustej prawie równinie; wreszcie wśród licznych światełek zarysowały się na czarnem tle nieba wieże i baszty. Było to Toledo, „matka miast", „korona Hiszpanii i światłość świata", „hiszpański Syon", „miasto cesarskie", leżące na wyniosłem wzgórzu, które z trzech stron oblewa wartka i przepaścista rzeka Tag, a wkoło otaczają skaliste, dzikie i w części tylko drzewami zasadzone góry. Wsiadłszy do omnibusu, przejechaliśmy słynny most *Alcantara*, a dzięki częstym świstom bata i krzykom zagalów, dostaliśmy się dosyć prędko, po stromej nader drodze, na plac *Zocodover*, ztąd zaś piechotą do hotelu *del Lino*, gdzie nam było wygodnie, ale trochę za słono.

Co do dziejów miasta, pomijając baśnie o Iubalu, synu Jafeta, i o Herkulesie, jakoby pierwszych założycielach, zaznaczamy, że *Toletum* było już znane w wieku drugim przed Chrystusem, a po zdobyciu przez Markusa Fulviusza (r. 190) stało się kolonią rzymską. Królowie Wizogotów, począwszy od Atanagilda († 567), obrali Toledo na swoją rezydencyę; a także i pod względem kościelnym przyszło ono do znaczenia, zwłaszcza odkąd biskupi tej stolicy, utworzonej w połowie wieku trzeciego i opromienionej cnotami św. Ildefonsa († r. 667), otrzymali tytuł i prawa prymasów Hiszpanii. Tu właśnie od-

bywały się słynne synody hiszpańskie. Najazd Arabów w wieku VIII sprowadził na miasto oblężenia i rabunki; dopiero w r. 1085 wydarł je muzułmanom Alfons VI, poczem aż do r. 1563 było siedzibą królewską. Wówczas to liczba mieszkańców miała dojść do 200.000, a do dawnych świątyń i alkazarów t. j. pałaców, przybyło mnóstwo kościołów, klasztorów, szpitali, wskutek czego nazwano Toledo „hiszpańskim Rzymem“. Wzrosła też powaga prymasów, dzięki szczególnie takim mężom, jak Pedro Gonzalez de Mendoza († 1495) i Franciszek Jimenez de Cisneros († 1517).

Dzisiejsze miasto, liczące zaledwie 17.500 mieszkańców, ma cechę przeważnie oryentalną; ulice ciasne i kręte, a niektóre spadziste, bo Toledo wznosi się, jak twierdzą, na siedmiu wzgórzach; domy wysokie, z oknami na zewnątrz gęsto zakratowanemi i takiemiż balkonikami *(miradores)*, albo bez okien — na wewnątrz z dziedzińcami *(patio)*, które zdobią fontanny, kwiaty i drzewa; w wielu domach bramy wielkimi gwoździmi obite, i to jeszcze przez Maurów, którzy wychodząc ztąd, mieli zabrać z sobą nawet klucze.

Pod względem architektury, możnaby Toledo nazwać jednem wielkiem muzeum, którego zbadanie dokładne wymagałoby kilku miesięcy. Style maurytański i gotycki są tu świetnie przedstawione, — pierwszy w kilku starych domach, zwłaszcza t. zw. *Taller del Moro* i *Casa de Mesa;* dalej w resztkach alkazarów i w czterech bramach miasta: *Puerta de Cambron*, — *de Visagra*, — *de Almaguera* i *del Sol*, z których ostatnia jest prawdziwą perłą sztuki arabskiej, — drugi przedewszystkiem w kościołach, między którymi prym należy się katedrze.

Według ludowego podania, pierwszy kościół zbudował tu Elpideusz, pustelnik z góry Karmelu, pod wezwaniem Najśw. Panny, wówczas jeszcze żyjącej. Kościół ten, rozszerzony przez szóstego z kolei biskupa Eugeniusza, kazał zburzyć prefekt Dacyan w r. 302, ale odbudował go biskup Marinus za pozwoleniem Konstantyna W. Według źródeł historycznych, starą katedrę, wzniesioną przez króla Gotów, Rekareda, zamienili Maurowie na meczet, który wzajem po zdobyciu miasta przez

chrześcijan, otrzymał, miasto półksięca i mihrabu, krzyż i ołtarze. Pod nową katedrę położył kamień węgielny arcyb. Rodrigo w r. 1227 za rządów Ferdynanda III; poczem, według planu Piotra Pereza, trwała budowa lat pięćdziesiąt, a ostatecznie ukończoną została za Izabelli w r. 1492. Styl jej gotycki, ale z przymieszką arabskiego, czyli t. zw. *mudejar*. Na zewnątrz ma kościół od zachodu i południa piękne portale, z kwiecistą ornamentyką, od północy t. zw. *claustro* z obrazami, przedstawiającemi ukrzyżowanie dziecka chrześcijańskiego przez fanatycznych żydów, co miało być faktem historycznym. Obok facyaty głównej jest wieża o pięciu piętrach ze słynnymi dzwonami, między którymi jeden, nazwiskiem Eugeniusz, tak jest wielki, że według miejscowego przysłowia, sześciu szewców i jeden krawiec mogą pracować w jego wnętrzu, a gdy się rozkołysze, słychać go aż w Madrycie.

Wnętrze kościoła dzieli 88 ogromnych filarów na pięć naw, otoczonych wieńcem wspaniałych kaplic [1], i odbierających światło przez 750 witraży. Mimo, że chór, jak gdzieindziej, psuje perspektywę, zdumienie i zachwyt ogarnia każdego, co po raz pierwszy tam wchodzi, aczby nie był znawcą i miłośnikiem sztuki. Jakże piękną jest np. *capilla mayor* z przecudnem *retablo* i z rzeźbą zwaną *transparente*, — albo *silleria*, czyli stalle kanoników, najpiękniejsze może w świecie dzieło mistrzów Alonsa Berruguette i Filipa Borgońa, — albo kaplice *de Santiago*, *de Sant Ildefonso*, *de los Reyes* ze wspaniałymi grobowcami królów i prymasów, — albo kaplica *del Sagrario*, ze statuą Najśw. Panny, umieszczoną na srebrnym tronie [2], a przeniesioną tu — jak chce podanie — z Jerozolimy i t. d. Przelatujemy szybko te kaplice, pełne pamiątek i artystycznych skarbów, aby jednej z nich poświęcić dłuższą uwagę. Idąc prawą nawą, widzimy pod filarem ołtarz *de la Descension*, otoczony kratą. Według starej legendy, stoi on na tem miej-

[1] Długość kościoła wynosi 113 metrów, szerokość 57, wysokość środkowej nawy 45.

[2] Statuę tę, ukrytą przez *alcaldę* Godmana przed Maurami, znaleziono prawie cudownie po zajęciu miasta przez Alfonsa VI.

scu, gdzie Najśw. Panna miała ukazać się św. Ildefonsowi i ozdobić go ornatem w nagrodę za wierną służbę. Piękna płaskorzeźba w ołtarzu przedstawia tę scenę, a po stronie Lekcyi jest odłam marmuru, na którym Królowa Niebieska podczas owego zjawienia się miała wycisnąć swe stopy. Dwa napisy uwieczniają to cudowne zdarzenie jeden łaciński: *Adorabimus in loco, ubi steterunt pedes ejus*, — drugi hiszpański: *Quando la Reina del cielo, Puso los piés en el suelo, En esta piedra los puso.* Ornat św. Ildefonsa, pochodzący z daru niebieskiego, pokazują dotąd w katedrze miasta Oviedo.

Ztąd zdążamy do kaplicy *ad Corpus Christi*, aby się przypatrzeć liturgii mozarabskiej, której, o ile wiem, nikt dotąd po polsku nie opisał [1]. Zkąd się wziął ten obrządek? Według wielu autorów [2], liturgia rzymska, istniejąca w Hiszpanii od zaprowadzenia chrześcijaństwa, pomieszała się później, już po najściu Gotów, ze wschodnią, zkąd powstała liturgia gocka, poprawiona później przez św. Izydora sewilskiego, i przyjęta ostatecznie przez czwarty synod toletański (r. 633). Od wieku VIII poczęto ją zwać mozarabską, co ztąd poszło, że chrześcijanie, pomieszani z Arabami, otrzymali nazwę *Mozarabes*, tj. *mixti Arabibus*, *Mixtarabes*. Toletanie nie chcieli porzucić tej liturgii, mimo nalegań Aleksandra II i Grzegorza VII, owszem bronili jej próbą pojedynku i ognia, tak że król Alfons VI widział się zniewolonym zostawić ją nienaruszoną. Kiedy jednak liturgia rzymska w samym nawet Toledzie wzięła nad nią górę, kazał kardynał Jimenez (Chimenez) własnym kosztem wydrukować mozarabski mszał i brewiarz, a nadto przy zbudowanej przezeń kaplicy *ad Corpus Christi* ustanowił kolegium trzynastu kapłanów, którzyby tamże nabożeństwo według obrządku mozarabskiego odprawiali. Bulle Juliusza II z r. 1508 i 1512 zatwierdziły tę fundacyę. Po dziśdzień litur-

[1] Mamy tylko krótką wzmiankę w „Encyklopedyi kościelnej“ ks. Mich. Nowodworskiego. T. XII, 259.

[2] Są atoli autorowie, którzy twierdzą, że pierwotną liturgią w Hiszpanii była wschodnia, i że takowa zmieniła się pod wpływem liturgii rzymskiej.

gia mozarabska utrzymała się w wymienionej kaplicy, jakoteż w dwóch kościołach toletańskich, św. Marka, i św. Justy i Rufiny, ale tylko w niedziele i święta, a szesnaście razy w roku w kaplicy San Salvador albo Talavera w Salamance.

Język tej liturgii jest łaciński, ale zmiany w porównaniu z obrządkiem rzymskim są dosyć znaczne. I tak, Mszę św. zaczyna kapłan przed stopniami, śpiewając naprzemian z chórem, poczem na drugim stopniu odmawia, jak zwykle, *Introibo* i *Confiteor*. Stojąc już przed ołtarzem, robi na nim znak krzyża wielkim palcem prawej ręki, rozbiera kielich, który już pierw złożono na ołtarzu, nalewa do niego wina i wody, i wśród przepisanych modlitw składa Hostyę na patenie. Następnie, po stronie Lekcyi, modli się po cichu: jestto Introit, po którym śpiewa *Per omnia saecula saeculorum* i intonuje *Gloria*, chór zaś dalej ciągnie. W niektóre dni hymn anielski zastępuje pieśń młodzieńców: *Benedicite*. Idzie dalej Kollekta dnia, Proroctwo, czyli Lekcya ze Starego Testamentu [1], *Psallendum*, tj. rodzaj naszego *Graduale*, Lekcya z Nowego Testamentu, przeważnie z Listów apostolskich, i Ewangelia, którą odśpiewują odmiennym tonem, a kończą słowem *Amen*. Tymczasem kładą na pulcie po stronie Lekcyi mszał, zwany *Missale offerentium*, tak że odtąd dwa mszały spoczywają na ołtarzu. Tedy celebrans odzywa się do ludu: *Dominus sit semper vobiscum*, a po ofiarowaniu chleba i wina, składa patenę z Hostyą na korporale, kielich zaś błogosławi i nakrywa palką, *filiola* zwaną. Następuje śpiew antyfony *sacrificium*, kończący się temi słowy: *Orate pro me ad Deum*, i pierwszych wierszy psalmu *Lavabo;* dalej umycie rąk, błogosławienie ofiary trzema pierwszemi palcami i modlitwa cicha, która zamyka Mszę *catechumenorum*.

Msza wiernych zaczyna się zwykle siedmiu modlitwami; pierwsza, którą poprzedza wezwanie: *Dominus sit semper vobiscum*, a kończy potrójne *hagios*, zowie się *missa*, — druga jest komemoracyą Świętych (innych niż w mszale rzymskim) i poleceniem zmarłych, — trzecia, *post nomina*, przypomina dawne

[1] Celebrans czyta, a jeden z chóru śpiewa.

wypominki z dyptychów, — czwarta, *ad pacem*, kończy się słowy: *Pax sit cum omnibus vobis;* poczem celebrans całuje pacyfikał [1], a za nim idzie asysta i chór, śpiewając wśród tego antyfonę: *Pacem meam do vobis.* Tak zwaną *illatio*, tj. prefacyę, odmienną od rzymskiej, poprzedza: *Introibo ad altare Dei — Aures ad Dominum — Sursum corda*, a zamyka zwykłe *Trisagion.*

W Kanonie, zaraz po odśpiewaniu modlitwy *post Sanctus*, idzie przeistoczenie, podniesienie Hostyi św. i Kielicha nakrytego, oracya *post pridie*, powtórne podniesienie Hostyi św. razem z kielichem, i *Credo*, będące staro-hiszpańskiem tłómaczeniem wyznania nicejsko-konstantynopolitańskiego. Podczas gdy chór śpiewa, celebrans łamie Hostyę św. na dwie połowy, a złożywszy jednę z nich na patenie, dzieli drugą na pięć części, zwanych *corporatio*, *nativitas*, *circumcisio*, *apparitio* i *passio*, i umieszcza je na patenie. Pozostałą połowę łamie również na cztery części, których nazwy są: *mors*, *resurrectio*, *gloria*, *regnum*, poczem wszystkie układa na patenie, tak że tworzą kształt krzyża. Jak widoczna, w tych dziewięciu cząstkach przedstawione są główne tajemnice życia Zbawiciela. Następnie celebrans modli się cicho — jestto *Memento* za żywych, — intonuje *Oremus* z oracyą i śpiewa *Pater noster*, przyczem chór po każdej prośbie powtarza: *Amen.*

Po *Libera nos — Dominus sit semper vobiscum* i oracyi za wszystkich wiernych, podczas gdy chór, klęcząc, śpiewa *Alleluja*, bierze celebrans dziewiątą cząstkę *(regnum)*, i wpuszcza ją do kielicha. Po dalszej modlitwie *ad accedentes*, bierze partykułę *gloria*, odprawia *Memento* za zmarłych i przyjmuje też partykułę, a dalej wszystkie inne. Następuje spożycie Krwi Najśw., puryfikacya i ablucya; tymczasem usuwają *Missale offerentium.* Celebrans odśpiewuje ostatnią oracyę po stronie Lekcyi, a kończy ją na środku ołtarza słowy: *In saecula saeculorum;* poczem po ostatniem pozdrowieniu: *Dominus sit semper vobiscum*, zapowiada ludowi (zamiast *Ite Missa est)*, że uroczystość skończyła

---

[1] Zschokke w *Reise-Erinnerungen aus Spanien*, II. Theil, mówi, że celebrans całuje patenę.

się w imię Jezusa Chrystusa; na co chór odpowiada: Bogu dzięki. W końcu modli się celebrans po cichu na środku ołtarza, odmawiając *Salve Regina*, robi wielkim palcem znak krzyża na ołtarzu, całuje takowy, mówiąc: *In unitate Spiritus Sancti*, i błogosławi lud, dodając: *Benedicat vos Pater et Filius. Amen.* Msza św. jest nieco dłuższa, niż według rzymskiej liturgii, ale przybory kielicha i kapłana są takie same.

Wyszedłszy z katedry, zwiedziliśmy w dzielnicy żydowskiej dwie stare synagogi, zamienione w wieku XV na kościoły, pod nazwą *Nuestra Señora del Transito* i *Santa Maria la Blanca*, a w naszych czasach, po różnych profanacyach, ogłoszone jako „pomniki narodowe“. Pierwszą z nich zdobią napisy hebrajskie i t. zw. *azulejos*, tj. płyty porcelanowe lub fajansowe, wypalane i malowane różnokolorowo, — drugą arabeski maurytańskie i cztery szeregi filarów.

Obejrzawszy te zabytki żydowskiej, a raczej arabskiej architektury, dotarliśmy do północno-zachodniego krańca miasta, zkąd otworzył się piękny widok na okoliczne góry i na wartki Tag, płynący w głębokiem łożysku. Tu właśnie, za mostem św. Marcina, pokazują t. zw. *baño de la Cava* i resztki wieży Rodryga, króla Wizogotów, który ztąd miał widzieć Floryndę, córkę hr. Juliana, kąpiącą się w rzece, i zabrał ją do zamku; za co mszcząc się jej ojciec, sprowadził Maurów do kraju. Po prawej widać na równinie słynną fabrykę broni, założoną przez Karola III, i resztki rzymskiego amfiteatru. Po tej równinie, jakoteż po dolinach La Manchy i Estremadury, uganiali się w r. 1809 ułani polscy i dokazywali cudów waleczności — niestety, w służbie najezdcy, który ich zaprzągnął do swego rydwanu.

Zmęczeni tą gonitwą po krętych i spadzistych ulicach, musieliśmy bez wypoczynku w dalszą puścić się drogę ku Sewilli. Okolica była równa, ale pusta i wypalona od słońca; tylko wzdłuż brzegów Tagu ciągnął się smug zielony. Później, gdy już noc zapadła, zaczęły się znowu kamienie i góry, bo La Mancha niewiele się różni od Kastylii; i dopiero rano, kiedyśmy przejechali łańcuch Sierra Morena, odsłoniła się nam wesoła i uprawna

równina, przepasana wstęgą Guadalquiviru. Była to Andaluzya, niegdyś za Arabów prawdziwy ogród, a i dziś jedna z najpiękniejszych prowincyj Hiszpanii. Obok drogi ciągnęły się dwa rzędy olbrzymich aloesów i kaktusów; dalej na pożółkłych polach pasły się stada owiec, wieprzów, lub na pół dzikich *toros*, późniejszych może bohaterów w walce z pikadorami i espadami; a tu i owdzie bielały wśród drzew figowych i pomarańczowych schludne miasta lub wioski. Niebawem powitała nas miła córa Afryki — palma, zapraszając do dawnej stolicy kalifów, Korduby. Ale nam kwapiło się do tego miasta, o którem chełpliwość hiszpańska mówi, że kto go nie widział, ten cudu świata nie widział — *Quien no ha visto Sevilla, no ha visto maravilla.* Przejechawszy za *Lora del Rio* wspaniały most nad Guadalquivirem, który, jakby wąż modry, wił się ciągle około stóp naszych, stanęliśmy przed dziesiątą rano w Sewilli.

Należy to miasto do najstarszych w Europie, acz nie sięga czasów Herkulesa. Nazwane za Juliusza Cezara *Julia Romula*, później zaś *Hispalis*, wpadło w r. 411 w moc Wandalów, a wkrótce potem pod panowanie Wizogotów, i było od początku wieku IV siedzibą biskupa, który w wieku V otrzymał godność metropolity i urząd wikaryusza apostolskiego na całą Hiszpanię. Na tej to stolicy siedzieli w wieku VI i VII dwaj święci i zasłużeni mężowie, św. Leander i św. Izydor, dzisiejsi patronowie kościoła sewilskiego. Ich następca Opas, mszcząc się za wuja swego Witicę, przyzwał Maurów z Afryki, którzy pod wodzą Muzy miasto zdobyli (r. 712) i wiele jego kościołów zamienili na meczety. Za panowania Almorawidów i Almochadów przyszła *Isbilia* do największego rozkwitu: ale chrześcijanie doznawali strasznego ucisku, z którego ich uwolnił król kastylski Ferdynand III Święty, zdobywszy (23 list. 1248) miasto po piętnastomiesięcznem oblężeniu. Maurowie ustąpili do Afryki i do Granady, a główny ich meczet obrócił król na katedrę, której miejsce zajęła w wieku XV nowa, nierównie wspanialsza budowla. W r. 1505 przybył tu uniwersytet; zarazem po odkryciu Ameryki stała się Sewilla na czas jakiś głównem ogniskiem ruchu handlowego, a w wieku XVII siedzibą szkoły

malarskiej i akademii sztuk pieknych, założonej przez wielkiego Murilla. W wieku XIX słyszała po kilkakroć szczęk oręża i hasła rewolucyjne, a w r. 1843 widziała nawet bomby, rzucone przez jenerała Van Halen.

Dzisiejsza Sewilla jest miastem pięknem i znacznem, bo przeszło 133.000 mieszkańców liczącem; słusznie też poezya ludowa mieni ją „królową Andaluzyi", podczas gdy dawni królowie nadawali jej przydomek: *la muy noble, muy leal, muy heroica e invicta.* Koroną tej królowej jest katedra, — do niej też pierwsze skierowaliśmy kroki. W r. 1405 postanowili kanonicy sewilscy w miejsce starej katedry, przerobionej z meczetu, wznieść nową, a tak wspaniałą, iżby wszyscy mówili, że jej założyciele dostali chyba obłąkania. Sami skazali się na życie mizerne, ale w przeciągu stu lat (do r. 1506) stanął kościół, największy w Hiszpanii, a trzeci z rzędu w świecie katolickim.

Zbudowany w stylu gotyckim, ale z przymieszką renesansowego, arabskiego i t. zw. *plateresco* (zwłaszcza co do kaplic), ma właściwie kształt krzyża, acz się wydaje podłużnym czworobokiem [1]. Dziewięć bram wiedzie do wnętrza o pięciu nawach, odgraniczonych 36 ogromnemi filarami, a tak wysokich, że — jak podróżnik Gauthier, zapewne nie bez przesady, powiedział — katedra paryska mogłaby się po nich wygodnie przechadzać. Wszystko tu zresztą olbrzymie: bo wszakże sam paschał wielkanocny waży 2050 funtów; *tenebrario*, czyli trójkątny kandelabr, używany podczas ciemnej jutrzni, ma półsiodma metra wysokości i 15 figur miasto świeczników na wierzchu; *custodię* zaś czyli monstrancyę podczas procesyi Bożego Ciała niesie aż 24 kapłanów [2].

Rzuciwszy okiem na stare witraże, nie przepuszczające wiele światła, zdążamy wprost do t. zw. *capilla mayor*, poświęconej Najśw. Pannie *de la Sede*, aby po krótkiej modlitwie zachwycać się widokiem przepysznego *retablo*, rzeźbionego na

[1] Długość wynosi 115½ metr., szerokość 75½ m., wysokość 40 m.

[2] Zrobił ją ze srebra Juan de Arfé w latach 1580—1587. Jestto kościołek 3¼ metr. wysokości

na drzewie przez Niemca Dankarta (1482 — 1526); tymczasem widzimy cały środek kościoła zawalony rusztowaniem od spodu aż do kopuły. Niestety, 1 sierpnia 1888 r. w nocy, kiedy właśnie restauracya katedry miała się ku końcowi, runął jeden filar, a za nim znaczny płat sklepienia, wskutek czego część gotyckiej sillery i w chórze i słynnych organów prawie zmiażdżoną została. Groziły gorsze jeszcze katastrofy, ale Sewillanie wzięli się energicznie do ratunku; naród zaś cały, chcąc ocalić tak znakomite dzieło, uchwalił wraz z rządem poświęcić na restauracyę w pierwszych dwóch latach po 400.000, w następnych pięciu po 250.000 *pesetas* czyli franków. Ofiarność godna naśladowania.

Nie widzieliśmy tedy ani wielkiego ołtarza, ani chóru, ani celniejszych kaplic, których ma być razem 37, i byliśmy radzi, że nam w kaplicy *del Bautisterio* pokazano przynajmniej sławny obraz Murilla, przedstawiający widzenie św. Antoniego, tj. tę chwilę, w której Święty w zachwycie modlitwy wyciąga ręce do Dzieciątka Jezus, zstępującego z nieba w gronie Aniołów. Przedziwne wrażenie sprawia to mistrzowskie zestawienie dwóch światów, ziemskiego, — ale uduchowionego, i niebieskiego, — ale zbliżonego do ziemi; i słusznie powiedział Ad. Pawiński, że tylko ci, u których na dnie duszy spoczywała spokojna, jasna, żadnem wątpieniem nie zaćmiona wiara, w których piersi wrzało gorące uczucie miłości i uwielbienia dla Zbawcy świata, mogli w chwilach natchnienia artystycznego podobnież czyste, wzniosłe i idealne tworzyć dzieła [1]. Obraz ten, wymalowany w r. 1656 za sprawą kapituły, wykradł jakiś złoczyńca w nocy z 4 na 5 listopada 1874 r., tak jednak, że tylko postać św. Antoniego nożem wykroił. Wszelkie poszukiwania okazały się daremnemi i dopiero w trzy miesiące później przychwycono obraz w Nowym Yorku, poczem takowy 20 lut. 1875 r. wrócił do Sewilli, wśród powszechnej radości mieszkańców, i tak zręcznie został spojony z pozostałą częścią przez Martineza Cubellsa, że tylko z boku ślady szwu spostrzedz można.

---

[1] „Hiszpania". T. II, 325.

W innych kaplicach mieszczą się obrazy takich mistrzów, jak Pacheco, Castillo, Roelas, Zurbaran, Luis de Vergas, jakoteż piękne sarkofagi królów, wodzów i arcybiskupów: — lecz wiele z tych dzieł nie mogliśmy widzieć z powodu rozpoczętej restauracyi. Dzięki jednemu z kanoników, oglądaliśmy salę kapitulną, ozdobioną artystycznemi medalionami, i zakrystyę *de los calices*, gdzie jest słynny krucyfiks Martineza Montanesa; a uczciwszy relikwie św. Ferdynanda w *Capilla real*, niebawem znaleźliśmy się na szczycie Giraldy. Jestto wspaniała wieża, ósmy cud świata w poezyi Sewillan. Wzniesiona około r. 1000 przez wynalazcę algebry Guevera (Huevera), czy też w r. 1196 przez Abuleit Alocaili, służyła pierwotnie za minaret; później w czasach chrześcijańskich dodano kilka pięter, a na wierzchniej kopule umieszczono spiżową postać, przedstawiającą wiarę, z gałązką palmową w prawej, a sztandarem w lewej ręce. Wejście na tę wieżę, zdobną w maurytańskie okna i arabeski, a kryjącą w swojem wnętrzu 24 dzwonów i ogromny zegar, jest nadzwyczaj łatwe, tak że nawet koniem możnaby na nią wyjechać, jak na *Campanile* w Wenecyi. Nasyciwszy się przepysznym widokiem, zeszliśmy na dół, aby w t. zw. *Biblioteca Colombina* zobaczyć rękopisy Krzysztofa Kolumba, miecz Ferdynanda Gonzaleza, portrety arcybiskupów i znakomitych Sewillańczyków. Nie pominęliśmy ciekawego *Museo provincial*, utworzonego z obrazów, zebranych po klasztorach. Niema ich tam wiele, ale jakże piękne! Trudno wyrazić, co to za rozkosz wpatrywać się godzinami w takie arcydzieła, jak Murilla Niepokalana, czy św. Tomasz z Villanowy, rozdający jałmużnę, czy św. Feliks a Cantalizio, odbierający Dzieciątko Jezus z rąk Najśw. Panny, czy św. Franciszek, przyciśnięty do Serca ukrzyżowanego Zbawiciela, — albo znowu Zurbarana apoteoza św. Tomasza z Akwinu, Roelasa męczeństwo św. Jędrzeja i t. d. Największy urok wywierają *Immaculadas* Murilla, — i nie dziwuję się wcale, że na ich widok podróżnicy, duchem do siebie niepodobni, jak ks. Alban Stolz i Edmund de Amicis, nie mogli wstrzymać się od łez.

Po tej biesiadzie duchownej zwiedziliśmy jeszcze gotycki kościół *Santa Inés* — bo inne nie mają nic szczególnego; da-

lej t. zw. dom Piłata *(casa de Pilatos)* i alkazar, — wreszcie bulwary nad Guadalquivirem i główne place miasta, jak *Plaza del Triunfo, de la Constitucion, del Duque, San-Fernando.* Dawna Isbilia ma fizyognomię na pół europejską, a na pół oryentalną. Ulice jej po większej części ciasne, acz nieco szersze niż w Toledzie; domy wysokie i pobielone, z balkonikami i oknami zakratowanemi na zewnątrz, wewnątrz zaś ze znanemi już *patios*, których ozdobę stanowią fontanny, palmy i kwiaty. Najpiękniejszym pomnikiem Wschodu jest *alkazar*, wzniesiony — jak twierdzą — przez sułtana Abu Jakub Jussufa w r. 1171, przebudowany przez Piotra I (1353—1364), rozszerzony przez Karola V i jego następców. Rzeczywiście, — te sale i dziedzińce, pokryte różnobarwnemi *azulejos* i błyszczącemi arabeskami, jak np. *Patio de las doncellas* lub *Salon de los Embajadores*, — te bujne ogrody z bijącemi fontannami i z „łazienkami sułtanek", przypominają pałace bagdadzkie z „Tysiąc i jedna nocy". Magiczny prawie efekt psuje atoli wspomnienie, że „sewilska Alhambra" była nieraz widownią rozpusty i okrucieństwa. Ponieważ obecna jej mieszkanka, ekskrólowa Izabella II, nie raczyła nas zaprosić na obiad, zapewne dlatego, że jej nie było w Sewilli, musieliśmy wrócić do *Fonda Suiza*, gdzie na nas czekała nie lukullusowa wprawdzie, ale dostatnia *mesa redonda.*

Wieczorem przelecieliśmy ulicę *Calle de las Sierpes*, tę główną arteryę miasta. Ruch na niej o tym czasie prawie taki, jak na ulicy Muski w Kairze. Przy oświetleniu *al giorno*, tłoczą się gęste tłumy w tę i ową stronę: mężczyźni w prozaicznych surdutach lub andaluzkich kurtkach, acz narodowe stroje wychodzą coraz więcej z mody, — kobiety w czarnych mantylach z nieodstępnemi wachlarzami, albo w jasnych sukniach i kapeluszach; a wszystko ożywione, hałaśliwe, gwarne, ale przytem uprzejme i grzeczne. Tu i owdzie słychać dźwięki gitary lub ulubione piosenki hiszpańskie, podczas gdy na *Plaza nueva* przygrywa wojskowa orkiestra. Lud sewilski odznacza się niezwykłą wesołością, i jest wielce zamiłowany w tańcu, muzyce i śpiewie, przedewszystkiem zaś w walce byków; ztąd też pochodzą najzwinniejsi *torreros.*

Ciekawie przejawia się to wesołe usposobienie w następującym zwyczaju. Podczas karnawału, świąt wielkanocnych, oktawy Bożego Ciała i uroczystości Niepokal. Poczęcia, ma miejsce w katedrze balet *de los seises*. Występuje w nim dziesięciu do dwudziestu młodzieńców, ubranych po staro-hiszpańsku, w kapeluszach z pióropuszami na głowie; odpowiada im zwykle drugi chór małych pacholąt. Balet sam zależy na harmonijnych ruchach i krokach, podobnych do kadryla *à la cour* [1], przyczem młodzi tancerze śpiewają i wybijają takt kastanietami. Jak twierdzą duchowni sewilscy, taniec ten jest dawnego pochodzenia, a w czasie najazdu Maurów miał tychże powstrzymać na chwilę od splądrowania katedry; tymczasem kanonicy ukryli jej skarby i archiwum. W wieku XVIII chciał jeden z arcybiskupów usunąć tę ceremonię, ale oburzeni Sewillanie wysłali do Rzymu młodzieńców, zwanych *los seises*, wraz z kapitułą, by zatańczyli wobec papieża i kardynałów. Odtąd miał papież pozwolić na odbywanie tego tańca cztery razy w roku[2]. Zresztą — według świadectw ks. Stolca, ks. Roleła i innych — taniec *de los seises* nie ma w sobie nic rażącego, i jest tylko wyrazem wewnętrznej radości, a przytem hołdem natury dla Stwórcy.

Było jeszcze dosyć do widzenia w Sewilli, jak: pałac księcia Montpensier *(San Telmo)*, wieża złota *(Torre del Oro)*, i t. d.; ale wiele powodów nagliło do powrotu. Jakoż 30 sierpnia rano puściliśmy się wprost do Tarragony.

Ks. Dr. Józef Pelczar.

[1] Fr. Rolef. *Reisebriefe aus Spanien und Marocco.* Einsiedeln 1887.

[2] Papież — wedle tejże legendy — miał dodać warunek, że przywilej ten ma trwać tak długo, jak długo utrzymają się suknie tych *seises;* otóż Sewillanie nie sprawiają teraz nowych, ale naprawiają stare. (Rolef l. c. 43).

SPOŁECZEŃSTWO W OBEC ROZUMU I WIARY.

VI.

Państwo i Kościół.

Kto wierzy, że przeznaczenie człowieka nie kończy się na ziemi, kto żywot doczesny poczytuje rzeczywiście za czas próby i pole do zasługi, ostateczną zaś metę upatruje dopiero za grobem, ten z najgłębszem wyzna przekonaniem, iż religia, ukazująca jedyną do tej mety drogę, jest najdroższym dla ludzkości skarbem, jej zaś zachowanie i zapewnienie swobodnego wpływu na sumienia, stanowi najważniejszy władzy państwowej obowiązek. Byłoby to prawdą wówczas nawet, gdyby indywidualne jedynie szczęście wszystkich obywateli kraju od religii zależało, boć przecie władza nie o pomyślność oderwanej idei państwowej, lecz o szczęście żywego narodu troszczyć się powinna; tem ważniejszą zaś jest to prawdą, skoro religia wywiera tak błogi wpływ na ustrój społeczny, a którego, jak widzieliśmy, żaden inny czynnik zastąpić nie jest w stanie. Lecz religia chrześcijańska nie ogranicza się, jak prawo przyrodzone, na tablicach serca wyryte, ukazaniem zasadniczych praw moralnych, które każde pojedyncze sumienie, wedle miary osobistego światła, w praktycznem życiu stosuje; z nieba nam podana religia jest nietylko nieomylną prawdy mistrzynią, ale też widomą instytucyą, całkiem nadprzyrodzony charakter posiadającą.

Pragnąc przeto zapewnić społeczeństwu zbawienny wpływ religii, należy ją przyjąć w całości, z całym przeznaczonym do utrzy-

mania jej na ziemi aparatem, tj. z jej apostolską, pasterską i kapłańską władzą, jednem słowem trzeba ją przyjąć jako Chrystusowy Kościół. Wszelki inny stosunek państwa do religii nie odpowie ani jej naturze, ani wzniosłemu, jaki sobie zamierza, celowi, ani zwłaszcza poszanowaniu, jakie dla Boskiego Założyciela naszej wiary mieć powinniśmy; skoro bowiem sam Zbawiciel ustanowił Kościół i udzielił mu całkowitą władzę w tem wszystkiem, co należy do zarządu Królestwa Jego na ziemi, to państwo chrześcijańskie, dla którego wola Zbawcy musi być świętą, winno przyjąć założoną przezeń instytucyę w całości, z owym autonomicznym charakterem, jaki otrzymała od Boskiego Założyciela swego, zostawiając jej zupełną swobodę działania i otaczając ją swoją życzliwą opieką. Podejrzliwa nieufność i zazdrosna o przywileje swe ze strony państwa obawa, tam chyba miejsce mieć może, gdzie same zasady chrystyanizmu za niebezpieczne dla społecznej organizacyi są poczytywane; lecz jeśli wierzymy, że tak państwo jak i Kościół z Nieba otrzymują posłannictwo prowadzenia ludzkiego rodzaju po ścieżkach obowiązku, z tą jedynie różnicą, że do władzy duchownej należy głównie piecza o potrzeby duszy, do świeckiej zaś o potrzeby ciała, to czyż nie poczytamy za rzecz równie słuszną jak pożyteczną, by ścisły, i to milosny związek obie te władze jednoczył? Śmiało rzec można, że jako normalny rozwój rodziny opiera się na nierozerwalnym związku ojca i matki, tak i pomyślny rozwój każdego narodu zależy głównie od siły owego mistycznego związku, jaki łączy państwo z Kościołem. Ojcem życia narodowego jest tu Kościół, ojczyzna zaś matką, co w miłującem łonie swojem wylęga i do zupełnego wzrostu doprowadza rzucone przez Kościół życiodajne ziarno. Nie zrywać przeto z Kościołem, nie wyłączać religijne żywioły ze społecznego organizmu, stanowi dobrze zrozumiany interes każdego chrześcijańskiego rządu, ale iść owszem ręka w rękę z postanowionym przez Chrystusa urzędem i oprzeć na duchu Ewangelii wszystkie instytucye krajowe aby zaszczepiwszy w sercu całego narodu gorącą miłość Boga i ojczyzny, uzdolnić go przez to samo do wszelkich cnót publicznych.

Samolubna tylko lub małoduszna polityka głosi konieczność antagonizmu między państwem a Kościołem; w społeczeństwie bowiem, zbudowanem na idei chrześcijańskiej, niema słusznych powo-

dów do rdzennych zatargów między świecką a duchowną władzą, skoro obie od tegoż Stwórcy otrzymały mandat, obie tymże samym ożywione są duchem, i obie do tychże ostatecznych celów prowadzić obowiązane są naród. Zakres przytem działalności władzy kościelnej, co do głównego jej przedmiotu, jest całkiem inny niż świeckiej; pierwsza bowiem działa na sumienia, zapomocą środków duchownych, druga zaś reguluje zewnętrzne czynności swych podwładnych, zapomocą prawodawczych i administracyjnych organów. Co do zasadniczych przeto działalności swej podstaw, każda władza na odrębnym stoi gruncie, którego właściwość sama natura rzeczy wykazuje. Że jednak Kościół, jako instytucya, złożona z ludzi i działająca w doczesności, musi też mieć swój hierarchiczny i ekonomiczny zarząd, na tem przeto polu nie może uniknąć pewnej zależności od państwa; z drugiej zaś strony, piastujący władzę, jako odpowiedzialni za jej użycie synowie Kościoła, nie mogą sumiennie usunąć się z pod jego kontroli, nietylko w trybunale pokuty, ale też i przed trybunałem Chrystusowego Namiestnika, do którego z prawa Bożego należy tak karcenie występnych podwładnych, jak i piętnowanie wszelkich nadużyć rządzących. Otóż na tem podwójnem polu, gdzie jedna władza zmuszona jest uznawać jurysdykcyę drugiej, łatwo nadarzyć się mogą powody do zatargów, które wszakże, przy wzajemnem zaufaniu i dobrej woli ze stron obu, dadzą się zawsze załatwić polubownym kompromisem, bez uszczerbku dla istotnych interesów bądź jednej, bądź drugiej strony. Jakoż nie brak w historyi chwil, w których między Kościołem i państwem w społeczeństwach szczerze chrześcijańskich najzupełniejsza panowała harmonia, z niezmierną korzyścią tak dla prywatnych, jak i dla publicznych interesów, a z większym jeszcze wzrostem chwały Bożej. Tam bowiem, gdzie pole działalności całkiem jest oddzielne, każda władza działa niezależnie; tam zaś, gdzie na jednem spotykają się polu, każda jak najszczerszą do porozumienia okazuje gotowość, chociażby to kosztem godziwych ustępstw dokonać się miało, a czy to razem, czy poosobno działać im wypadnie, zawsze przyjacielską sobie dłoń podają, wiedząc, iż tylko wspierając się nawzajem, z trudnego posłannictwa swego należycie wywiązać się mogą. Błoga skuteczność działalności tak Kościoła jak i państwa w znacznej części od tego współpracowania zależy; z jednej bowiem strony duchowna

siejba Kościoła nie wzrosłaby i nie wydała owocu, gdyby urząd świecki nie zabezpieczył narodowej roli od napaści złej woli szkodników, co ziarno święte zdeptać i splugawić usiłują wprzód, nim korzenie zapuści, — z drugiej zaś, powaga świeckiej władzy utraciłaby wkrótce swój urok, gdyby religia nie ugruntowała w sumieniu wiernych poszanowania dla prawa i dla legalnych jego stróżów.

Pomijając niezmiernie ważne dla społeczeństwa kwestye małżeństwa i publicznego wychowywania, które, jak widzieliśmy już wyżej, nie mogą być rozstrzygnięte zgodnie z wymaganiami publicznego dobra bez przeważnego udziału Kościoła, dość zastanowić się nad ważnością religijnej sankcyi dla ustawy państwowej, by przekonać się o konieczności ścisłego porozumienia między świecką i duchowną władzą. Od czasu, kiedy wyzwolone z pod absolutyzmu narody powołane zostały, by same, przez swych delegatów, układały sobie konstytucyjne ustawy, coraz to jaskrawiej poczęła występować różnica w zapatrywaniu się na tę kwestyę wiernych synów Kościoła i bezwyznanioweców. Społeczeństwo, pojęte w duchu Ewangelii, tj. jako instytucya, powstała z woli Bożej i pod Jego zwierzchnictwem zmierzająca do celów wiekuistych, nietylko obowiązane jest przestrzegać, by przy ułożeniu konstytucyi prawa Najwyższego Monarchy były zastrzeżone i ostateczne przeznaczenie człowieka uwzględnione, lecz i po jej dokonaniu starać się winno o nadanie ułożonej przez swych przedstawicieli ustawie sankcyi nadprzyrodzonej, aby związać jej postanowieniami zarówno sumienie jak i zewnętrzne czyny obywateli kraju. W tym celu, tak piastujący władzę jak i cały naród, wykonywają przysięgę na wierność uchwalonej konstytucyi i zobowiązują się w obliczu Boga do ścisłego postanowień jej przestrzegania. W chrześcijańskiem przeto społeczeństwie najswobodniejszy nawet naród, z chwilą ukończenia swej prawodawczej pracy przestaje uważać zaprzysiężoną konstytucyę za dowolne swoje dzieło, które wedle upodobania w każdej chwili zmienić lub całkiem nawet obalić ma prawo, lecz widzi w niej odtąd jakby dodatek do Pańskiego Zakonu, regulujący tę stronę ludzkiego postępowania, której nie objęły Boskie i kościelne przykazania. Przez wzgląd przeto na wykonaną przysięgę, która dziełu ludzkiemu nadaje sankcyę nadprzyrodzoną, naród gruntownie chrześcijański przyjmuje ze czcią religijną ogłoszoną ustawę, czując się nią związanym równie ściśle

jak bogobojni małżonkowie, co dobrowolnie zaprzysięgli sobie w obliczu Boga wiarę małżeńską, niezależnie od doczesnego powodzenia, jakie ich w przyszłości ma spotkać. Chętne zaś to posłuszeństwo stosuje się nietylko do samych konstytucyjnych ustaw, ale też i do osób piastujących władzę, w zakresie udzielonego im przez ustawę pełnomocnictwa, gdyż poszanowanie prawa nietylko zasady, lecz i praktyczne ich zastosowanie obejmować winno. Tam nawet, gdzie władza jest obieralna, naród, co ją wybrał, winien jej ulegać ze czcią religijną, nie dla bojaźni kary, lecz dla sumienia, widząc w osobach piastujących władzę nie już własnych wybrańców, lecz przedstawicieli i pełnomocników Najwyższego Monarchy, od którego wszelka władza pochodzi. Ów wzgląd na wolę Bożą i na wykonaną przysięgę nadaje chrześcijańskiemu posłuszeństwu charakter cnoty nadprzyrodzonej, a zamiast poniżać godność człowieka, jak posłuszeństwo niewolnicze, podnosi ją owszem, zbliżając nas do Boskiego naszego Mistrza, który na to przyszedł na ziemię, aby spełnić wolę Ojca Niebieskiego i stać się Mu posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej. Uległość wprawdzie w stosunku do rządu zamknięta jest ściśle w zakresie prawa Bożego i nadanych mu przez konstytucyę krajową atrybucyj, tak że obowiązek posłuszeństwa dla podwładnych ustaje tam, gdzie kończą się prawa rozkazującego; opór wszakże może być godziwym tylko bierny, zasadzający się na odmówieniu wykonania niegodziwego rozkazu; opór zaś czynny przeciwko rozporządzeniom władzy, chociażby nielegalnym, a tem bardziej podniesiony przeciw niej rokosz w celu obalenia jej przemocą, będzie zawsze gwałtem i bezprawiem, stanowiącem grzech wiarołomstwa przed Bogiem, a zbrodnię anarchii w obec społeczeństwa. Sąd o postępowaniu władzy i pociąganie jej w razie nadużyć do odpowiedzialności, należy wyłącznie do ustanowionego w tym celu przez konstytucyę trybunału, a nie do prywatnych obywateli, którzy, pomimo niewątpliwych nawet nadużyć władzy, winni jej ulegać w rzeczach godziwych, aż póki piastujące ją osoby na drogach legalnych z urzędu swego złożone nie zostaną.

Lecz jakiż los, zapytacie, czeka społeczeństwo, które, nie mając zastrzeżonego konstytucyą trybunału, mogącego skarcić legalnie nadużycia wykonawczej władzy, wydane jest na łaskę i niełaskę absolutnego władcy, jeśli zaprzeczyć zechcemy narodowi prawa zbroj-

nej przeciw gwałtom jego obrony? Nie groziż mu ostateczna zagłada, w razie jeśli nie położy tamy nadużyciom samowolnego tyrana?—Tu właśnie wykazuje się najjaśniej potrzeba pojednawczego pośrednictwa Kościoła, który, mocą poruczonego sobie namiestnictwa Bożego, przyjmując przysięgę wierności na obowiązujące w kraju ustawy, przez rządzących niemniej jak i przez rządzonych wykonaną, ma niezaprzeczone prawo czuwać nad ścisłem z obu stron zobowiązania tego wypełnieniem. W społeczeństwie, gdzie wiara jest szczera i głęboka, o jakiem właśnie obecnie jest mowa, tak rządzący jak i rządzeni liczą się z sumieniem, i w trybunale pokuty zdają sprawę nietylko z grzechów, popełnionych przeciw Boskim i kościelnym przykazaniom, ale też i przeciw obowiązkom stanu; ilekroć przeto, czy to dzierżący władzę, czy jego podwładny przeciw obowiązkom swoim wykroczy, minister Chrystusowy póty nie pojedna go z Bogiem, póki nie przyrzecze poprawy i nie wynagrodzi, o ile z niego jest, wyrządzonej szkody lub krzywdy; tak w wielu razach lekarstwo nadprzyrodzone, przez Kościół zastosowane, złemu zdradza lub je skutecznie naprawia, jak to w wiekach żywej wiary nieraz już świat oglądał.

Póki Namiestnik Chrystusowy powszechne tak ludów jak i rządów posiadał zaufanie, rozjemcza jego działalność nieobliczone wyświadczała społeczeństwu usługi; ilekroć bowiem podrażnione surowością lub zbytniem pobłażaniem rozkiełznane ludy przeciw prawej swej władzy burzyć się poczynały, wnet wspólny wszystkich wiernych Ojciec spieszył upamiętać rokoszan, i w karby obowiązku ich wdrożyć, zanim do rozlewu krwi przyszło. Przy istotnych zaś nadużyciach ze strony władzy, Namiestnik Chrystusowy osłaniał znowu opieką swą pokrzywdzone ludy, domagając się w imię Króla królów od dzierżących ster rządu zaprzestania nadużyć i krzywd wynagrodzenia. Środki nadto grozy i przymusu, jakiemi Kościół rozporządza, jakkolwiek czysto duchownej są natury, niezmiernie jednak skutecznie na wierzące sumienia działają; cóż bowiem bardziej przerazić może dbającego o swe zbawienie chrześcijanina, jak rzucony z Watykanu interdykt, co kraj cały Sakramentów św. pozbawia, lub wielka ekskomunika, zrywająca w wielu razach węzeł między Monarchą a sumieniami podwładnych. To też nieraz grom duchowny, z wyżyn Stolicy Apostolskiej ciśnięty, uspakajał prowincye

całe, lub w proch druzgotał niezwyciężonych zaborców władzę Nie należy przytem zbyt lekceważyć oporu biernego, przeto że porwanie się do broni wyłącza; i on bowiem potężną moralną siłę posiada, tak że sam przez się wystarczyć może częstokroć do sparaliżowania niegodziwych zamiarów rządu. Któż nie przyzna, iż w kraju, gdzie ogromna większość obywateli do tyla jest moralnie dojrzałą, iżby dla żadnych doczesnych względów nie chciała sprzeniewierzyć się uznanym w sumieniu obowiązkom, proste odmówienie posłuszeństwa wystarczy, by udaremnić samowolne wybryki władzy; bo gdyby nawet na czele takiego narodu stanął bezbożny władca jaki, nie oglądający się na żadne prawo, toć i on przecie jedynie przez powolnych sobie popleczników naród uciskać może; jeśli zaś narzędzi takich w dostatecznej liczbie nie znajdzie, to czyż samo to usunięcie się od współudziału podwładnych nie udaremni prześladowań najokrutniejszego nawet tyrana? Bierny tego rodzaju opór posiada nadto tę ogromną nad zbrojnym rokoszem wyższość, że doń bez wyrzutów sumienia przyłączyć się mogą tak urzędnicy jak i siła zbrojna; każdy bowiem obowiązany jest Boga raczej słuchać niż ludzi, tak iż powinność jedynie swoją spełnia, kto spełnienia zbrodni odmawia. Opór przeto bierny w narodzie bogobojnym nietylko paraliżuje bezsilną złość tyrana, ale chroni nadto narodowe sumienie od bolesnych kolizyj, na jakie naraża każda wojna domowa. Jeśli zaś rozpasany na bezprawia despota znajdzie w łonie narodu dość liczną rzeszę siepaczy, gotowych na skinienie jego najniegodziwsze nawet wykonać rozkazy, równie mało jak on sam troszcząc się o upomnienia i kary Stolicy Apostolskiej, to czyż społeczeństwo, tak bardzo i z góry i z dołu zgangrenowane, może się nazwać prawdziwie chrześcijańskiem? Czyż spadające nań klęski nie płyną właśnie z zapoznania ducha Ewangelii tak przez władzę, jak i przez podwładnych? Czyż sam rozpaczliwy stan takiego społeczeństwa nie dowodzi jawnie, iż najskuteczniejszem na owo złe lekarstwem byłby właśnie powrót do zasad chrześcijańskich i chętne uznanie moralnego przewodnictwa Kościoła przez zarażony bezbożnością naród? Tak, zaiste: jedyną bezpieczną społecznego życia podwalinę stanowi wprowadzenie tak w prywatne jak i w publiczne życie całego narodu głoszonej przez Kościół nauki, pod najwyższem przewodnictwem Namiestnika Chrystusowego, którego ojcowskie po-

średnictwo zarówno uznać winni tak rządzący jak i rządzeni; gdyż wówczas tylko państwo nie zazna nigdy ani ucisku ze strony władzy, ani rokoszu ze strony podwładnych.

Wiem, że podobna teorya społeczna wstrętną jest nietylko dla niedowiarków, ale też i dla lękliwego ducha katolików, co, nie śmiejąc zajrzeć odważnie w oczy stawianym zasadom, by z nich konieczne wyprowadzić wnioski, wolą, na wzór oportunistów, na bezpośrednie tylko patrzyć następstwa, i to nie we własnym nawet, lecz w nieprzyjacielskim obozie. Zamiast zastanowić się nad tem, jak błogich oczekiwaćby można skutków z uszykowania się wszystkich katolików pod jednym wodzem i jednym sztandarem, działających jak jeden człowiek wedle zawczasu obmyślonego i przez głównego wodza zatwierdzonego planu,— oni drżą z przerażenia na myśl owych wrzasków, jakie nie omieszkają podnieść się w bezwyznaniowym obozie na widok śmiało wzniesionej katolickiej chorągwi, z godłem wierności i posłuszeństwa Kościołowi, nietylko w prywatnem, lecz i publicznem też życiu. Czyż świat cały — mówią — nie zawoła, iż wstecz cofamy ludzkość aż do średnich wieków, nie uwzględniając postępu cywilizacyi i nauki dziejowego doświadczenia? Prawda, że tak powiedzą nasi przeciwnicy, ale pytam was nawzajem zbyt roztropni szermierze, czy posiadacie jaki środek zamknięcia ust niedowiarkom, nie przyklasnąwszy ich bezbożnym teoryom. Póki nie cofniecie się wstecz aż do starych pogańskich ideałów, spotka was zawsze zarzut fanatyzmu. I wartoż przez wzgląd na takich przeciwników paraliżować własne siły, i jedynie zbawienny wpływ Chrystyanizmu udaremniać? Śmiało raczej szykujmy się pod naszą chorągwią, i nawołujmy pod jej zwycięskie godło wszystkich wierzących, a zaręczam, że wówczas tylko wrogowie nasi liczyć się z nami będą, kiedy zastęp nasz, poważny liczbą i silny karnością, zagrozi na seryo ich własnemu obozowi. Świeże doświadczenie uwalnia mię od obowiązku dowodzenia tej prawdy.

Ale jest inny jeszcze zastęp w katolickim obozie, sprzeciwiający się wpływowi Kościoła na publiczne sprawy z zasady raczej niż z obawy bezpośrednich następstw. Zastęp ten składają głównie koryfeusze niezależności państwa, którzy nie przyznają Kościołowi nawet prawa duchowej kontroli nad czynnościami świeckiej władzy, ograniczając wpływ jego do zakresu życia prywatnego, i to tylko

w świątyni. Opierając się na błędnie pojętych słowach Zbawiciela: *Królestwo moje nie jest z tego świata* [1], powierzchowni ci chrześcijanie radziby widzieć w tych słowach stanowcze i bezwarunkowe potępienie wszelkiego mięszania się Kościoła do życia publicznego. „Jeśli Syn Boży — powiadają oni — nie chce brać udziału w społecznych i politycznych sporach swojego narodu, poprzestając na ukazywaniu drogi do zbawienia pojedynczym ludziom, więc jakiemże prawem Namiestnicy Jego i ministrowie chcą mięszać się do spraw państwowych, które z Królestwem Bożem nic nie mają wspólnego?“ Żeby zrozumieć całą bezzasadność tego rozumowania, trzeba uwzględnić najprzód tę okoliczność, że tu oskarżony o sięganie po koronę Zbawiciel odpowiada Piłatowi na pytanie, czy jest królem. A że Piłat rozumiał to pytanie w znaczeniu królestwa świeckiego, czyniącego wyłom w państwie rzymskiem, Chrystus odpowiada najprzód twierdząco, że jest królem, ale zaraz potem tłómaczy, że to królestwo nie jest współrzędnem z królestwami ziemskiemi, lecz jest pochodzenia niebieskiego, jest tą najwyższą władzą, którą Bóg ma nad wszelkiem stworzeniem, i której pełność udzielił Chrystusowi, jako człowiekowi: *dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi*, a którą znów Chrystus w pewnej mierze Kościołowi powierzył... *Kto was słucha, mnie słucha...* To królestwo nie jest świeckiem, pochodzeniem i zadaniem swojem; nie jest jednak wcale za światem: państwa i sprawy polityczne nie są mu obce, ale podlegają jego powszechnemu zwierzchnictwu we wszystkiem, gdzie się ze sumieniem i ze sprawą zbawienia stykają. Co też Pan Jezus w temże miejscu dał do zrozumienia Piłatowi: *Nie miałbyś żadnej mocy przeciw mnie, gdybyć zwierzchu nie dano* [2], przez które to wyrazy oznajmia niewątpliwie, że mocarze ziemscy od Boga dzierżą władzę, i przed Nim też rachunek z jej użycia zdadzą. Przecież rządzenie krajem jest tak samo obowiązkiem stanu, jak zasiadanie na sędziowskim trybunale lub na profesorskiej katedrze; muszą zdać liczbę z postępków swoich zawodowych nietylko na sądzie Bożym po śmierci, lecz i w trybunale sumienia, przed urzędem, postanowionym przez samego Zbawcę na straży Królestwa swego na ziemi, z władzą związywania i rozwiązywania wszystkich bez wyjątku su-

[1] Jan XVIII, 36. [2] Jan XIX, 11.

mień. Sami zwolennicy absolutnej niezależności państwa uznają, choć połowicznie, to prawo Kościoła kontrolowania nietylko prywatnego, lecz i publicznego też życia swych duchownych owieczek; ilekroć bowiem poddani burzyć się poczynają przeciw swym monarchom, wnet sternicy społecznej nawy odwołują się do duchowieństwa albo do Chrystusowego Namiestnika, by w imię otrzymanej od Zbawiciela władzy zawezwał niesfornych do kornej uległości, przypominając im, że i cesarzowi oddać należy, co jest cesarskiego. Jak chętnie słyszą oni wówczas powtarzany przez następcę Piotra, ów stanowczy Książęcia Apostołów wyrok: *Bądźcież tedy poddani wszelkiemu ludzkiemu stworzeniu dla Boga: chociaż królowi, jako przewyższającemu; chociaż książętom, jako od niego posłanym ku pomście złoczyńców a ku chwale dobrych, bo tak jest wola Boża* [1]. Lecz jeśli nadużycia pójdą z góry, a ten sam nieomylny Tłómacz woli Bożej, stając w obronie uciemiężonych, odezwie się do ciemiężców słowami Mędrca: *Słuchajcież przeto królowie i rozumiejcie... Gdyż dana jest wam władza od Pana i moc od Najwyższego, który się pytać będzie o uczynkach waszych i myśli badać się będzie. Że będąc sługami Królestwa Jego, nie sądziliście sprawiedliwie... aniście chodzili wedle woli Bożej. Strasznie a prędko ukaże się wam, bo najsroższy sąd będzie tym, którzy są przełożeni. Bo mały otrzyma miłosierdzie, ale mocarze mocne męki cierpieć będą* [2],—wówczas dopiero powstaje zgroza i oburzenie, że urząd kościelny wkracza w dziedzinę państwowych interesów, zapominając, że powierzone mu Królestwo nie jest z tego świata. A jednak ukazanie drogi obowiązku panującym tak samo wchodzi w zakres pasterskiego urzędu Chrystusowego Namiestnika, jak i przywołanie do powinności poddanych —i to właśnie stanowi niezrównaną jego dostojność, iż równie daleki od pochlebstwa jak i od bojaźni, na jednę i na drugą stronę bezwzględną głosi prawdę.

Nie wynika ztąd wprawdzie, by Kościół miał bezpośredni przyjmować udział w rządach państwa, gdyż obowiązek ten zlecił Stwórca świeckim władcom; lecz ma niezaprzeczone prawo najprzód głosić zasady, na których rządy państwa winny być oparte, a następnie powoływać do odpowiedzialności przed swym duchownym

[1] I. Piotr, II, 13. [2] Mądr. VI, 1. 4.

trybunałem każdego, co władzy swej nadużywa i nie wedle woli Bożej ją sprawuje. Kościół przeto nie rządzi, ale sądzi; nie układa państwowych konstytucyj, ale wyrokuje, czy ułożone przez właściwą prawodawczą władzę zgodne są z jedyną nieomylną normą wszelkiego prawodawstwa: z prawem Bożem. Do Kościoła przeto należy przestrzegać i dopominać się tego w imię Stwórcy, aby najwyższa władza Jego była uznawana przez rządy, i aby uwzględniony został przez krajowe ustawy ostateczny cel człowieka, tj. aby każdy obywatel kraju miał zabezpieczone środki zbawienia. Należy także do Kościoła czuwać, by wszystkie organa wykonawczej władzy sumiennie powinności swe wypełniały, ze względu jedynie na chwałę Bożą i powszechne dobro; podwładni zaś, by chętnie ulegali władzy w tem wszystkiem, gdzie ona praw swych nie przekracza, unikając wszelkiej samowoli, a tem bardziej gwałtu, nawet w razie nielegalnego postępowania zwierzchności. Przynagla zaś Kościół wszystkich obywateli kraju do należytego wywiązywania się z obowiązków swego stanu, nie zapomocą siły zbrojnej lub innych jakich materyalnych środków, lecz mocą jedynie upomnień i kar duchownych, które dla wierzących tylko i dbających o zbawienie są straszne, lecz żadnej materyalnej nikomu nie wyrządzają szkody.

Traktując o stosunku państwa do Kościoła, nie możemy pominąć zarzutu czynionego pospolicie rozwijanej tu teoryi bratniego współpracowania władzy świeckiej z duchowną; zarzut ten poczerpnięty jest rzekomo z doświadczenia, które przekonywa, że państwa katolickie, poddane właśnie wpływowi władz obu, nietylko nie używają wyższej pomyślności niż te, które całkiem zerwały z Kościołem, lecz że pod wielu względami znacznie im nawet ustępują, zwłaszcza co do siły rządu i zewnętrznej potęgi państwowej. Dla zbicia tego zarzutu musimy najprzód dokładnie określić, co to jest państwo katolickie, i na czem zależy pomyślny rozwój państwowy? Jeśli przez państwo katolickie rozumieć zechcemy każde mocarstwo, gdzie większość ludności wyznaje religię katolicką, to uczyniony zarzut może być słuszny, nic jednak przeciw teoryi naszej nie dowodzi: w takiem bowiem państwie władza świecka może nietylko nie współdziałać z władzą duchowną, lecz może z nią być nawet w otwartej walce, jak to widzimy dzisiaj w zjednoczonych Włochach, a mniej jawnie choć niemniej zacięcie we Francyi. Lecz

i tam nawet, gdzie między państwem i Kościołem oficyalna panuje zgoda, tj. gdzie władze rządowe pozostawiają Kościołowi swobodę działania, a w wielu razach nawet go wspierają, owoce owego porozumienia mogą nie odpowiedzieć oczekiwaniu, jeśli zgoda owa jest tylko formalna, chwilową polityczną rachubą jedynie wywołana, tak iż w gruncie wzajemna nieufność i antagonizm panuje. Samo duchowieństwo nawet z ludzi się składa, i ztąd zarówno z całym narodem ludzkim ułomnościom jest podległe; jeśli przeto zepsucie wkradnie się do świątyni, to cóż dziwnego, że najczystsza woda żywota, przechodząc przez tak brudne kanały, wstręt może obudzić w tych, co swe pragnienie ugasić nią próbują. Na to, by państwo słusznie katolickiem nazwać się mogło, niedość, by ludność jego do katolickich chodziła kościołów, niedość nawet, by między rządem i duchowieństwem jak najlepsza panowała harmonia, — lecz trzeba nadto, by wszystkie warstwy narodu, tak sługy Kościoła i Piastujący władzę, jakoteż i lud cały, by wszyscy, mówię, do głębi serca przeniknięci byli duchem nauki katolickiego Kościoła, starając się ją wprowadzić tak w prywatne, jak i w publiczne stosunki. Gdyby wszystkie te miliony, co pod chorągwią Krzyża stanęły i pod wodzą Chrystusowego Namiestnika nominalnie postępują, wypełniły istotnie to, czego od nich katolicka wiara wymaga, z całą pewnością twierdzić się nie wahamy, iż oglądalibyśmy dziś na ziemi nietylko świętych chrześcijan całemi zastępami, ale też i całe uświęcone chrześcijańskie narody, z tak doskonałą społeczną organizacyą, iż prawdziwie rzecby można, że Królestwo Boże zstąpiło na ten padół. Nie katolicką przeto zasadę, która jest niemylna, lecz niewierność katolików tej zasadzie winić potrzeba, patrząc na opłakany stan większej części tak zwanych państw katolickich, które w rzeczywistości dalej nierównie odstąpiły od głoszonej przez Kościół nauki, niż niejedno z państw od niego odszczepionych.

Naprzeciwko tej prostej chrześcijańskiej zasady: o ścisłym związku Kościoła i państwa, dwóch potęg, które z tej samej woli Bożej ludzkość do tego samego celu ostatecznego prowadzić winne — nowożytny liberalizm stawia zasadę zerwania tego związku, przysłoniętą (jak zwykle w liberalnych formułkach) imieniem wolności. Wolny Kościół w wolnem państwie: to jest hasło,

pod jakiem liberalizm przedstawia swój przewrotny i rozkładowy system stosunków między państwem a Kościołem. I, rzecz dziwna, dotychczas nawet, pomimo przebytych doświadczeń, napotkać się zdarza przywiązanych po swojemu do Kościoła synów, którzy, czytając na rządowych sztandarach to zwodnicze hasło, sądzą, że istotnie nastała dla religii świetna era samoistnego rozwoju, bez pomocy wprawdzie, ale też i bez przeszkody ze strony państwa, które całkowitą swobodę Kościołowi pozostawić pragnie. To też, aby zedrzeć maskę z oblicza obłudnego liberalizmu, i wykazać, czem jest w rzeczy samej to modne dziś hasło, nie od rzeczy będzie przypatrzyć się, jak pojmują same rządy, w praktycznem zastosowaniu, ową wolność, którą tak ostentacyjnie przyrzekają Kościołowi?

Widzieliśmy już, że bezwyznaniowcy, wychodząc z tej zasady, iż społeczeństwo doczesne tylko ma cele, wyprowadzają ztąd wniosek, iż państwo nic wspólnego z religią mieć nie powinno, pozostawiając troskę o zbawienie sumieniu pojedynczych obywateli; kto sądzi, iż Kościół katolicki najwłaściwsze ku temu posiada środki, może się doń swobodnie zgłosić, na drodze czysto prywatnej, ale państwo wiedzieć nawet o tem nie powinno. I to jest zasadnicza idea, z której wyłoniła się zasada wolnego Kościoła w wolnem państwie; obaczmyż, czy ją przynajmniej w dobrej wierze stosują. Gdyby społeczeństwo było istotnie dziełem czysto ludzkiem, ziemskie tylko interesa mającem na celu, jak przemysłowe np. lub handlowe spółki, to słuszną byłoby rzeczą, aby państwo pomijało te wszystkie sprawy, które do interesów stowarzyszenia nie należą; w takim wszakże razie państwo, zabezpieczywszy dobrobyt swych obywateli, niemniej jak całość życia i ich majątku, wcale w obrąb sumienia wkraczaćby nie powinno, pozostawiając Kościołowi całkowitą swobodę w spełnianiu duchownego posłannictwa swego, jak to czynią wszelkiego rodzaju kompanie, własnemi tylko zajęte sprawami. Sam Kościół wówczas staje w obec społeczeństwa, jako inne, równie samodzielne i niezależne, jak państwo, stowarzyszenie, tylko w celach wiekuistych zawiązane, które troszczy się wyłącznie o zbawienie dusz, zapomocą środków przez religię wskazanych. Że zaś religia katolicka, oprócz strony wewnętrznej, ma też stronę zewnętrzną, jak cześć publiczna, Przenajśw. Ofiara ołtarza, św. Sakramenta i głoszenie nauki wiary, co bez świątyń i sług ołtarza dokonywać się nie może, Kościół

przeto, by posłannictwu swemu odpowiedzieć był w stanie, tj. aby mógł wznosić świątynie, kształcić i utrzymywać swych ministrów, nauczać nieumiejętnych i na drogę wieczności dysponować chorych, potrzebuje koniecznie środków materyalnych, któremi mógłby swobodnie rozporządzać, jak każde inne stowarzyszenie. Jeżeli przeto istotnie w wolnem państwie i Kościół też ma być wolnym, to winno mu przedewszystkiem przysługiwać prawo przyjmowania od wiernych dobrowolnych darów i zapisów, nabywania własności nieruchomej, budowania świątyń i klasztorów, zakładania naukowych i miłosiernych zakładów, jednem słowem, urządzania swych ekonomicznych i administracyjnych interesów tak samo niezależnie i bez przeszkody, jak każda dozwolona spółka to czyni — byle władza duchowna nie przekraczała przepisów państwowych, ogólnie w tej materyi obowiązujących. Stosunki w ten sposób urządzone, jakkolwiek nie odpowiadają duchowi Chrystyanizmu, co siłą miłości wszystko jednoczyć i ku Bogu prowadzić usiłuje, wytwarzają wszakże dla Kościoła położenie znośne, dozwalające mu wywiązywać się z wzniosłego posłannictwa swego, przy dobrej woli i ofiarności wiernych. Tak pojęty stosunek państwa do Kościoła został nawet wprowadzony w praktykę w obecnym wieku w Stanach Zjednoczonych, gdzie można istotnie powiedzieć bez ironii, że w wolnem państwie Kościół jest wolny. Jakkolwiek wszakże pojęcie takie wolności logiczną jest tylko konsekwencyą zupełnego dziedziny świeckiej od duchownej oddzielenia, bezwyznaniowcy jednak do całkiem różnych doszli pod tym względem wniosków. Oparłszy się rzekomo na dziejowem doświadczeniu, które uczy, że spotkanie się państwa z Kościołem na wspólnem działalności polu, doprowadza nieuchronnie do wrogiego antagonizmu, nie wahali się oni wywnioskować z tego, iż, dla uniknienia walki, państwo powinno wyrugować wpływ Kościoła z każdej areny, na której samo ma coś do czynienia; że zaś Kościół pracował głównie na polu edukacyjnem i publicznego miłosierdzia, poczęto zatem od usunięcia go z tej dziedziny, a oddania jej wyłącznie pod zarząd państwa. Odebrano przeto duchowieństwu wszystkie naukowe i dobroczynne instytucye, kosztem i staraniem Kościoła założone, naturalnie razem z funduszami, na ich utrzymanie przeznaczonemi. Lecz kapłan utrzymywał nadto księgi metryczne chrztów, ślubów i pogrzebów; pod tym więc względem był

urzędnikiem stanu cywilnego, z pewnym wpływem na stosunki społeczne,— należało przeto zastąpić go przez organa rządowe, nic wspólnego z religią nie mające, by wpływ Kościoła i z tej areny wyrugować. To też wprowadzono śluby cywilne i państwowe księgi narodzin i zgonu, obowiązujące dla wszystkich, niezależnie od wyznawanej religii, i w oczach rządu wystarczające nawet dla katolików. Po dokonaniu tej, całkiem już niezgodnej z kanonicznem prawem, reformy, zajęto się sekularyzacyą dóbr duchownych; niewłaściwem to bowiem wydało się państwu, by Kościół posiadał własność nieruchomą, którą ani biskupi ani przełożeni klasztorów nie mieli prawa rozporządzać bez zgody Stolicy Apostolskiej. Konfiskując dobra duchowne, i naznaczając skromne utrzymanie ministrom Kościoła, zyskiwało się nietylko ogromne zasoby pieniężne, lecz stawiało się nadto sługi Kościoła, pod względem materyalnego utrzymania, w zupełnej zależności od państwa, które w każdej chwili może odjąć wypłacane niby z łaski subsydya.

I tego wszakże nie dość było zazdrosnemu o swą hegemonię państwu; kłóła je w oczy, nawet przy materyalnem ogołoceniu i usunięciu od wszelkich wpływów, dyscyplina klasztorna, co przy gorącej wierze i duchu poświęcenia, czyniła ze zgromadzeń zakonnych ogromną moralną siłę, zdolną przeciwważyć w sumieniu ludu rozkładową działalność rządu To też, stając rzekomo w obronie wolności osobistej, sekularyzowane państwo zabroniło obywatelom kraju zawiązywać się w religijne zgromadzenia, i żyć wspólnie pod obieralnym przełożonym, pod pozorem, iż śluby zakonne, wiążąc indywidualną swobodę, odejmują jakoby obywatelską niezależność, i przez ślepe posłuszeństwo zmieniają ludzi w bezmyślne machiny, mogące być wielce szkodliwemi dla państwa. Gdyby nawet tak było, toć, dla usunięcia wszelkiego z tej strony niebezpieczeństwa, dość zabronić zakonnikom przyjmowania udziału w życiu publicznem, odejmując im tak czynny jak i bierny głos przy wyborach, i nie dopuszczając ich do żadnych państwowych urzędów; czego zresztą oni sami dobrowolnie się zrzekają, poświęcając się Bogu. Nie tak wszakże zawyrokowali obrońcy obywatelskich swobód: właściwszem się zdało w ich mniemaniu, rozpędzić istniejące już zakonne zgromadzenia, skonfiskować na rzecz skarbu nietylko nieruchome, ale też i ruchome ich mienie, zabronić na przyszłość

prowadzić życie wspólne w celach religijnych, na domiar zaś ironii, nie pozwolić odartym ze wszystkiego i na ulicę wypędzonym zakonnikom pokazywać się w habicie, pomimo, że innego odzienia wcale im nie dano. Z czego zaś żyć będą nadal ci szczęśliwi wyzwoleńcy liberalizmu, z których wielu całkiem już stargało siły? O to sekularyzowane państwo wspaniałomyślnie troszczyć się nie raczy, sądząc, że skoro im pozwala służyć każdemu, oprócz Chrystusowi, to ze stanowiska swego aż nadto dla nich uczyniło.

Nie o wiele łaskawiej obchodzą się bezwyznaniowcy i z duchowieństwem świeckiem, o ile oportunizm na to im pozwala. Ponieważ do szkół publicznych uczęszczają dzieci wszelkich wyznań, państwo przeto, w imię wolności sumienia, wzbroniło ministrom Kościoła wykładać religię we wszystkich zakładach naukowych, lękając się, by obecność księdza w szkole nie stała się pewnym rodzajem moralnego nacisku, w takim nawet razie, kiedy tak rodzice jak i dzieci o naukę religii proszą. Świątynie przecie są na to, by w nich o wierze mówiono, szkoły zaś dla świeckich jedynie nauk winny być przeznaczone. Swoją wszakże drogą—zapewne w celu uwolnienia duchowieństwa od ambarasów administracyi—i świątynie też oddano na własność gminom; tak, że jeśli większość parafian okaże się gdzie bezwyznaniowa, to obróci przybytek Pański na teatr lub na oberżę, a cześć Boża kryć się znowu będzie musiała po katakumbach lub jaskiniach, jak to za czasów pogańskich prześladowań bywało. W państwach najbardziej w duchu bezwyznaniowym zaawansowanych, silnie już nawet na rząd naciskają, by duchowieństwu katolickiemu całkiem odmówił utrzymania; zdaniem bowiem skrajnych liberałów, zachowujący się dotąd budżet wyznań jest nielogicznym anachronizmem, smutną pozostałością z wieków średnich, którą niezwłocznie usunąć należy. Rządy dotąd się jeszcze wahają, lękając się narazić sobie masy wierzącego ludu; z chwilą wszakże zerwania tej ostatniej nici, co władzę świecką łączy jeszcze z duchowną, urzeczywistni się w całej pełni wielka idea bezwyznaniowców, wolnego Kościoła w wolnem państwie; słudzy bowiem Chrystusowi, oswobodzeni od wszelkich trosk doczesnych, wyzuci nawet z odzieży, strawy i dachu, całkiem swobodnie będą się mogli oddawać swemu nadprzyrodzonemu powołaniu, zapomocą czysto duchownych tylko środków. I nie jest to bynajmniej jakiś w dale-

kiej zaledwie przyszłości możebny horoskop, ale dotykalna już niemal rzeczywistość; dość bowiem przypatrzyć się temu, co się dzieje od lat kilkunastu we Włoszech i we Francyi, aby się przekonać o prawdziwości przedstawionego tu obrazu.

Lecz czemże się to dzieje, zapyta może czytelnik, że te właśnie stare, a nawet najstarsze z państw katolickich, z tak zapamiętałą nienawiścią względem Kościoła występują? Smutna się tu wykazuje—odpowiadamy—skażonej natury naszej strona, dowodząca raz jeszcze, iż niemasz okrutniejszej zawziętości nad tę, jaką wyradza w sercu wiarołomna zdrada. Patrzmy na dorosłych synów, w których chęć swobodnego używania zgłuszy wrodzone do rodziców przywiązanie: nie poprzestaną już oni na opuszczeniu rodzinnego domu i zerwaniu stosunku zależności względem tych, którym życie i wychowanie winni, wówczas bowiem, musieliby własną dorabiać się pracą mienia i stanowiska w świecie; wygodniej im nierównię wygnać z własnego domu zapoznanych rodziców, przywłaszczywszy wprzód sobie nagromadzone ich trudem dostatki. A i na tem nie koniec. Miłość wiarołomna obojętną być nie potrafi — ona musi przedzierzgnąć się w nienawiść; a im gorętsze niegdyś było przywiązanie, tem czarniejsza niewdzięczność czeka odtrącony miłości przedmiot. Czy widziano kiedy, aby syn wyrodny, co wypędził z domu sędziwą matkę, po odarciu jej z ostatniego łachmana i wyrwaniu z ust jej ostatniego kęsa chleba, dozwolił jej przynajmniej usiąść spokojnie w kruchcie kościelnej i wyciągnąć dłoń żebraczą do miłosierniejszych niż własne dzieci przechodniów? O nie! Syn, co tak wiele zawinił przeciw swej rodzicielce, nie potrafi ani jej zapomnieć, ani pozostawić nawet w pokoju. On wstydzi się łachmanów i upośledzenia matki, pomimo, że sam ją do tego stanu doprowadził, bo żebractwo jej i na niego też hańbą spada. On radby ją usunąć z przed oczu ludzkich, by zapomniano, czyim jest synem. Wolałby ujrzeć ją na marach lub w głuchem więzieniu, niż wiodącą nędzne życie z łaski obcych, kiedy syn własny na zatracenie ją skazał. Otóż, coś podobnego dzieje się i ze zbuntowanemi dziećmi Kościoła, co zapoznały otrzymane od duchownej rodzicielki swej dobrodziejstwa: im ściślejsze węzły jednoczyły niegdyś społeczeństwo jakie z Kościołem, tem zawziętsze będzie po odstępstwie prześladowanie; zaprzaniec ów bowiem nie zazna odpoczynku, póki

nie wyzuje z ostatniego strzępka odzieży łona, co go wykarmiło, i nie włoży niewolniczych kajdan na ręce, co mu tylekroć błogosławiły. Gdziekolwiek jawni wrogowie Kościoła znajdą się u steru rządu, ani na chwilę nie pozostawią go oni w spokoju; nie tajno im bowiem, iż ma on i wierne dziatki, co nie omieszkałyby zebrać się koło niego, dostarczając mu środków utrzymania i własną osłaniając go piersią od nowych prześladowań. Niepodobna też oczekiwać od bezwyznaniowców lub sfanatyzowanych sekciarzy, by zdjęli kiedy dobrowolnie włożone Kościołowi łańcuchy, gdyż byłoby to dać możność ministrom Chrystusa zgromadzić wkoło swych pasterzy wierne owieczki, i pod ich ochroną przedłużać znowu apostolskie posłannictwo swoje. Dzieje ubiegłych stuleci na każdej niemal karcie dostarczają na to dowodów, iż każde zerwanie z Kościołem, ciągnie za sobą cały szereg religijnych prześladowań, tak, iż nieraz wielu wieków potrzeba do ostudzenia pierwotnej zawziętości. Ktoby patrząc na dzisiejszą tolerancyę Anglii, chciał ztąd wnioskować, że i opuściwszy łono Kościoła, społeczeństwo może zachować umiarkowanie i bezstronność w stosunkach z dawną swą rodzicielką, ten zapomniałby chyba tych okropności, jakie udziałem były nad Tamizą kilkanastu katolickich pokoleń, zanim wrodzony zdrowy rozsądek wyspiarzy zatryumfował nad kacerskiem uprzedzeniem. To też wiedząc o tem namiestnicy Chrystusowi, w anielską zbroją się cierpliwość, i do ostatnich dochodzą wyrozumiałości krańców, by do całkowitego między państwem i Kościołem nie dopuścić zerwania. Francya zwłaszcza, ustawiczne tej niewyczerpanej łaskawości Stolicy Apostolskiej otrzymuje dowody. Począwszy od konkordatu, zawartego z Napoleonem I, aż do obecnych czasów, rzecby można, iż jedyną troską Watykanu w stosunku do rządu francuskiego jest ustrzeżenie od zerwania owej tradycyjnej nitki wierności, do której sam rząd po tylekroć nożyce już przykładał. Lecz taka niestety jest natura buntu, że im z większą obchodzą się z nim dobrocią, tem się bardziej uzuchwala; tak, że jeśli nieprzewidziane wypadki na inne tory nie sprowadzą Francyi, szansy porozumienia się z jej Kościołem zmniejszać się będą z dniem każdym, gdyż fałszywa idea wszechwładztwa ludu, niezgłębioną przepaść między państwową a kościelną władzą stanowi. A cóż i mówić o Włochach, gdzie, oprócz zapoznania powagi, i własność też

Kościoła zapoznaną została, i gdzie stosunek uzurpatora do wydziedziczonego sama natura rzeczy zerwała. Co zaś najgroźniejszem dla przyszłości się wydaje, to owo zacietrzewienie obłąkanych synów, co nietylko o wynagrodzeniu wyrządzonych Ojcu krzywd nie myślą, lecz sami odtrącają miłosierną rękę, zawsze do przebaczenia gotową. Któż nie przyzna, iż bezbożność wszędzie, zwłaszcza zaś na Zachodzie, groźne nagromadziła chmury, tak, że jeśli narody się nie upamiętają, a Opatrzność nie poratuje, straszny społeczny kataklizm stanie się nieuchronnym, a to w niedalekiej nawet przyszłości.

Jakkolwiek niedołężnie wywiązaliśmy się z naszego zadania, ufamy przecie, iż czytelnik, co miał cierpliwość śledzić aż do końca za naszemi wywodami, zgodzi się na to, iż jeden Chrystyanizm zdolny jest odrodzić społeczeństwo, i nadać mu odpowiednią przeznaczeniu jego organizacyę. Talizmanem zaś owej życiodawczej Chrystyanizmu siły jest — jak widzieliśmy — uświęcona łaską miłość, która spaja w jednę organiczną całość najprzód pojedyncze członki każdej rodziny, następnie obywateli każdego kraju, a wreszcie wszystkie narody chrześcijańskie, które łączą się w jeden powszechny Kościół, pod ojcowską opieką Chrystusowego Namiestnika, czuwającego nad tem, by prawodawstwo, stosunki międzynarodowe i wszystkie instytucye każdego państwa po chrześcijańsku były urządzone; w razie zaś bądź wewnętrznych, bądź zewnętrznych nieporozumień, w duchu ewangelicznego pokoju polubownie rozstrzyga spory i do zgody doprowadza. Koniecznym znowu wynikiem owej chrześcijańskiej miłości musi być zamiłowanie woli Bożej i gotowość na wszelkie ofiary, niezbędne przy jej spełnieniu; że zaś sam Stwórca postanowił władzę, i chce, abyśmy jej słuchali, przywiązanie przeto do poznanej woli Bożej wyradza w duszy poszanowanie dla zwierzchności i wierność w pełnieniu włożonych przez nią obowiązków, chociażby nawet uciążliwych lub wstrętnych dla natury. Tym sposobem w państwie szczerze chrześcijańskiem, ścisłe wykonywanie obowiązków stanu opiera się nie już na zmiennych ludzkich względach, lecz na oświeconem wiarą i łaską umocnionem sumieniu. Gotowość wreszcie do ofiary, co jest jakby najwonniejszym miłości

kwiatem, naprawia te nieuchronne szkody, jakie wyrządza społeczeństwu samolubstwo tej części obywateli, co wpływowi Chrystyanizmu poddać się nie zechce. Prawda, że przy gorliwszej nawet pracy Kościoła, i przy szczerem popieraniu usiłowań jego przez władzę świecką, niepodobna liczyć na odrodzenie całego społeczeństwa; skoro bowiem skażenie ludzkiej natury tak jest wielkie, iż wśród wybranych przez samego Zbawcę Apostołów znalazł się Judasz, co Go zdradził, — to możnaż się spodziewać, że jakabądź społeczność obejdzie się bez odstępców? Póki jednak ster rządu spoczywa w rękach bogobojnych i ściśle z duchowną władzą połączonych, i póki prawodawstwo krajowe na chrześcijańskich opiera się zasadach, — póty dążące do przewrotu usiłowania wyuzdanej mniejszości łatwo przez władzę wykonawczą ukrócone być mogą, tak że społeczeństwo nie przestanie przez to ku najwyższym zmierzać celom. Lecz jaki los gotuje sobie społeczeństwo, rugujące Chrystyanizm dobrowolnie, a nawet zapamiętale ze wszystkich instytucyj państwowych, kapryśną ludu samowolę na miejscu Bożego prawa stawiąc? — Możeż nie sprawdzić się na takim narodzie proroctwo Ozeasza, iż *wiatr siać będą a wicher porzną?*[1] Nieład, rozterka i zaburzenie — oto nieuchronny los takiego społeczeństwa; z usunięciem bowiem błogiego wpływu religii nie znajdzie się żadna inna siła, coby rozkiełznane żywioły do równowagi doprowadzić zdołała. Umiejmyż być mądrymi tak własnem jak i cudzem doświadczeniem, a wytrzeźwiwszy się z liberalnych i rewolucyjnych szałów, spojrzyjmy wreszcie trzeźwo na wewnętrzne położenie nasze — i zabierzmy się zjednoczonemi siłami do chrześcijańskiego odrodzenia naszego.

Ks. Z. Szczęsny.

[1] VIII, 7.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Żywot św. Jana Kantego. Z francuskiego przełożył i uzupełnił *Ks. Dr. Julian Bukowski.* Kraków. 1890.

Św. Jan Kanty, patron Królestwa Polskiego. Przez *Ks. Hilarego Koszutskiego.* Bytom-Rozbark. 1889.

Wśród rzadkich drukowanych przemów O. Waleryana Kalinki, osobną wspaniałością i uczuciem uderza pamiętne jego kazanie „o czci śś. Patronów Polski". Wyrzuca nam, nie bez słuszności, że mając własnych a wielkich orędowników w niebiesiech, zaniedbujemy uciekać się do ich przyczyny, i tych swojaków naszych nie błagamy dość często i gorąco o wyjednanie nam lepszej doli; nawet rzadziej dziś na chrzcie św. nadają u nas dziatkom miana polskich Świętych — co najwyraźniejszym dowodem ostudzenia tkliwego do nich nabożeństwa. Gdybyśmy częściej ich pomocy wzywali, ich opiece się polecali, w ich społeczności żyli, — niewątpliwie lepiejby nam się działo. Jeźli tak rzadko tych naszych przyrodzonych opiekunów na ratunek wołamy, pochodzi to w części ztąd, iż niedość ich znamy, nie dość kochamy, a więc o nich nie pamiętamy. Jakże względnie mało u nas prac hagiograficznych, jak szczupły plon żywotów św. naszych Patronów! W chwili, gdy się mnożą studya i badania dziejowe przeszłości, jakżeby pięknem i chwalebnem zadaniem było wskrzesić te wzniosłe postacie wielkich sług Bożych, których tak liczny zastęp wydała ziemia polska. Nie samem rycerstwem stała dawna Rzplita; silniejszą podstawą i szańcem była dla niej świętość wielu z jej synów, modły i zasługi wybranych narodu. Prądy różne znaczą się

w dziejach ludzkości. Bywają wieki uprzywilejowane, którym, jak owemu XV w Polsce stuleciu, przyznać można tytuł wieku Świętych: są inne, dalekie od tamtych i różne, które poczynają jednak łaknąć i pragnąć sprawiedliwości, a nie widząc jej dokoła, cofają się z upodobaniem w przeszłość, aby z niej zaczerpnąć dodatnich rysów, budujących przykładów, rwących w górę pobudek. Ten ostatni prąd zaczyna się u nas przejawiać — jeszcze nie dość silnie i ogólnie, lecz coraz jednak częściej i poważniej, a jubileuszowe mianowicie daty przysparzają nam hagiograficznego plonu. I tak przypadająca w bieżącym roku 500-letnia rocznica narodzin św. Jana Kantego darzy nas dwojakiem żywota jego opracowaniem. Ks. dr. Julian Bukowski z francuskiego przełożył biografię św. Patrona Jagiellońskiej wszechnicy; z polskiego zaś Szlązka otrzymujemy podobnąż, lecz oryginalną pracę ks. Hilarego Koszutskiego, który w ostatnich latach tyle już żywotów Świętych napisał i rozszerzył pomiędzy ludem polskim w dzielnicach kraju, podległych pruskiemu zaborowi.

Ks. dr. Bukowski podjął się z rzadkiem zaparciem, bądźcobądź żmudnej a niewdzięcznej pracy tłómacza. Tem więcej okazał wyrzeczenia, iż z przypisków uzupełniających widać, jak dalece sam opanował przedmiot, jak gruntownie zna epokę i źródła współczesne, i jak serdeczna myśl uczczenia wielkiego Świętego nie odstępowała go w ciągu tej roboty, dla oryginalnego pisarza pełnej znoju i wyrzeczenia. Szkoda mu było — jak się wyraża we wstępie — dać zginąć poczciwej pracy cudzoziemki, zrosłej sercem i stosunkami z naszą ziemią; a znajdując w dziele panny Benoit wielką gorącość wiary, wielkie dla św. Jana Kantego nabożeństwo, a sumienne opracowanie i korzystanie z ksiąg, kronik i źródeł, — postanowił przyswoić naszej mowie ten rzewny hołd zagraniczny, złożony przed laty u stóp naszego Patrona. Data powstania tej książki, już sama przez się przebija w formie jej, dziś zupełnie poniechanej, dziś, za krytyczniejszych dni epoki, która żąda faktów i ścisłości szczegółów, bez żadnej przymieszki fantazyi. A więc owe domysłowe rozmowy, przypuszczalne myśli i wrażenia, zboczenia i nawiasowe uwagi, — wszystko to ustąpiło w nowszych pracach hagiograficznych, a było jak wraz ich cechą w połowie bieżącego stulecia, gdy czcigodna autorka zabrała się do spisywania życia św. Jana Kantego. Rozwlekłość, właściwa dotąd biografiom francuskiego pióra, znalazła się i tutaj, aczkolwiek szanowny tłómacz starał się ująć ją w pewne karby i zacieśnić. Ale gorącość uczciwa, serdeczna życzliwość dla Polski, znajomość jej historyi

i ustroju, owszem, pewien zapał i uwielbienie dla wszystkiego, co polskie, dodają tej książeczce wiele rodzimego ciepła i wdzięku. Niejeden ustęp wyraźnie został kreślony pod osobistem wrażeniem współczesnych stosunków. Uderzył nas mianowicie opis gwaru, panującego niby w kościele Panny Maryi, za przybyciem dość młodego z Kęt ucznia. A więc hałaśne rozpychanie się ludu, aby się znaleść bliżej ambony, przed kazaniem — wzdychania głośne i jęki w czasie podniesienia — gromadne udawanie się za księdzem, ilekroć w której z bocznych kaplic ma się odprawiać Msza św. — przyklękiwania, bicia czołem w posadzkę, szlochy, leżenia krzyżem, łzy pokuty — słowem: wszędzie modlitwa i wiara, nigdzie uroczystego spokoju i skupienia; „ale — jak dodaje autorka — owa przechowana podziśdzień swojskość i poufałość w domu Bożym zda się świadczyć, iż lud polski czuje się rzeczywiście — jak mówi Pismo — w domu Ojca swego, gdyż tak się sprawia i zachowuje, jakby we własnem ognisku". Pełno pięknych a nieznanych rysów z życia św. Jana Kantego uprzytomnia nam pióro p. Benoit. I tak między innemi wspomina miłość jego do kwiatów, co zawsze idzie w parze z podniosłością ducha; boć to ziemskie gwiazdy i uśmiechy, w piękniejszą nawet od Salomonowej szatę ręką Stwórcy odziane, i unoszące myśl ku wyżynom niedościgłą pięknością i czystością barw swych i misternego układu. Nie spuszczalibyśmy się na wszystkie historyczne wywody cudzoziemki, gdyby ich nie był sprawdził i skontrolował szanowny tłómacz, biegły znawca naszej przeszłości dziejowej, którą niejednę wyczerpującą pracę rozświecił gruntownie; liczne też jego ręki przypiski stanowią ozdobę tej książeczki, dodają jej znaczenia i powagi, i oprawiają w szczere złoto jednolitości krytycznej, nieco luźną osnowę niewieściego pióra. Przedewszystkiem góruje tu myśl przewodnia i szlachetna przysporzenia czci wielkiemu Świętemu, którego szczątki znajdują się pod osobliwą strażą i opieką proboszcza kościoła św. Anny. Straż tę całem sercem przejmuje czcigodny tłómacz, i nie daremne ponosi trudy; bo czytelnik odnosi niemało pożytku ze stawionego sobie przed oczyma przykładu, i zagrzewa się w nabożeństwie do św. Jana Kantego. Przypomnienie słów, któremi błogosławiony Patron i profesor Akademii Jagiellońskiej żegnał życie i współpracowników swoich, jak wraz powinnoby stać się hasłem następców św. Jana Kantego, który umierając, odzywał się do swych towarzyszów: „Bóg wam powierzył wychowanie młodzieży, abyście ją kształcili tak w naukach jak i w dobrych obyczajach. Strzeżcież ten święty depozyt,

złożony w ręce wasze, abyście z niego mogli zdać rachunek tak przed Bogiem jak przed ojczyzną, i odnieśli zapłatę, jaką Bóg dobrze w tem powołaniu pracującym przygotował".

Nie uwłaczamy pracy czcigodnego tłómacza, stawiając dziełko oryginalne ks. Hilarego Koszutskiego ponad biografię św. Jana pióra p. Benoit. Bądźcobądź, niewieścia ręka zawsze się przejawia wątlejszem obrobieniem przedmiotu; a choć ks. Bukowski dodał wiele jędrności pierwotnej formie, przyswajając całość mowie ojczystej, nie mógł jednak rdzennie odmienić sposobu pisania i układu. A choć piękniejszą polszyzną ubrał dzieło francuskiej autorki, prosta, rodzima praca wielkopolskiego plebana, w mniej udatnym pisana języku, przewyższa jednak zagraniczny utwór pełniejszym obrazem życia i epoki mistrza Jana z Kęt. Uderza na wstępie to uwielbienie dla „przesławnej Akademii krakowskiej, królów polskich szczęśliwej fundacyi, korony tej ozdoby i Kościoła podpory", które się zachowało w szczególny sposób podziśdzień na wielkopolskiej niwie, jakoby tradycyą owych scholarów, którzy — jak to metryki uniwersyteckie wykazują dobitnie — najwięcej z piastowej dziedziny spieszyli do Krakowa. Uderzającą większość uczniów Jagiellońskiej szkoły dostarczały w pierwszych kilku wiekach jej istnienia miasteczka i wsie poznańskiego województwa i w ogóle zachodniego pogranicza Rzplitej. Gorące to uczucie nie wypleniło się z dusz; trwa podziśdzień i wybucha przy każdej sposobności, — a dziś się stwierdza w skromnej książeczce ks. Koszutskiego, który rzecz swą rozpoczyna na wzór Skargi od chwalenia tej „Matki płodnej", z której łona wyszły całe zastępy mężów świątobliwych i uczonych, zlewających na swój naród całe potoki sławy i świetności. Osobny rozdział, poświęcony umiłowanej Wszechnicy; inny przedstawia nam ów wiek Świętych, który, mianowicie w Krakowie, gromadził tylu wybranych sług Bożych. Stosunkowo do samegoż życia św. Jana Kantego, może zbyt długa część książki poświęconą jest pogrobowym dziejom czci, oddawanej Patronowi ojczyzny, cudom, przy jego grobie i przez jego przyczynę otrzymanym, nareszcie uroczystościom kanonizacyjnym. Zważywszy jednak, że książki ks. Koszutskiego bywają podstawą biblioteczek ludowych w Poznańskiem, na Szlązku i w Prusach zachodnich, oraz że prostaczkowie lubują się w opisach, bądź świetnych obrzędów i nabożeństw, bądź nadzwyczajnych a cudownych łask i zdarzeń, zagrzewając się tym sposobem w pobożnych uczuciach i tkliwem nabożeństwie, — skłonić się należy przed roztropnem dobraniem szcze-

gółów, które — jak doświadczenie naucza — najlepiej umieją więzić uwagę ogółu czytelników.

Pomyślnie się rozpoczyna jubileusz wielkiego naszego Patrona, aż dwoma życiorysami jego, które samąż przystępnością rozmiarów, formy i ceny, rozszerzą w kraju naszym cześć dla św. Jana Kantego. A ten, który w hymnie kościelnym nazwanym jest Ojcem ojczyzny — *patriae Pater*, wysłucha częstsze ztąd prośby, na jego ręce zanoszone, i ulituje się nad losem swego narodu, wypraszając dlań i przyspieszając godzinę zmiłowania.

M.

1) **O tworzeniu się stosunku filialności między kościołami.** (Wedle prawa kanonicznego). Napisał *dr. Feliks Woynarowski*. Lwów, 1887. 8⁰, str. 25.

2) **O konkursie parochialnym.** Studyum z dziedziny prawa kanonicznego, z uwzględnieniem przepisów austryackich. Napisał *tenże*. Lwów, 1889. 8⁰, str. 72.

1) Pierwsza z tych dwóch rozpraw zaleca się swą jasnością, treściwem przedstawieniem i sumiennem opracowaniem rzeczy. Ponieważ jednak w tym przedmiocie, jak i w ogóle w prawie kanonicznem wielką odgrywa rolę praktyka kościelna, — to pozwolimy sobie zwrócić uwagę sz. autora na to ważne źródło. I tak np. do przyczyn dysmembracyi parafii (str. 11), z tejże praktyki dodać można *solemnitatem* tj. interwencyę tych, których interes wymaga podziału [1]. Także co do zezwolenia lub nie na dysmembracyę „przełożonego kościoła“ (str. 14, 15) bardzo ważna jest też praktyka [2]; a co do przybierania wikarych (str. 10), bardzo zajmujący i pouczający był proces przed św. Kongr. Soboru Tryd., odbyty d. 26 kwietnia i 20 grud. 1879 r. (Acta S. S. XIII, 60 i nast.). Wymienić też tu możemy, jako ważne pod tym względem źródła, dysertacyę ks. Peanachi'ego: „De parochi populique consensu in paroeciarum dismembratione“ (A. S. S. III, 396) i „De potestate Ordinariorum deque jurisprudentia quoad paroeciarum dismembrationem“ (t. XIII, str. 299). Na str. 14 w przypisku, wskazanie miejsca niedokładne (Analecta jur. pont. — niema seryi; w Archiv. t. I, — który dekrekt?); prócz *unionem per subjectionem*, są i inne (obacz Glossam in cap. Novit. Ne sed. vac.). Postanowienie Soboru Tryd. sess. VI, wcale

[1] Por. Acta S. Sedis, t. VII, pag. 37 sq. i t. I, 454; III, 862.

[2] Por. Acta S. Sedis, IV, 271; III App.; VI, 396; również III, 362.

nie było tylko potwierdzeniem dawnych (str. 21) kanonów, ale daleko szersze niż one; dodać też tu należy postanowienie sess. XXI, c. 5: *pauperlus*, na co zwracają uwagę card. Thuscus, Garcias, Lotterius. Co do rozciągłości tego dekretu pisze card. de Luca w Annot. ad concil. Trid. (disc. 8, n. 13, i disc. 34 de Paroch. n. 2).

Moglibyśmy jeszcze dodać parę uwag, ale i one niby nie ujmowały tej skrzętnej i sumiennej pracy. Nadto jesteśmy pewni, że ta choć może surowa krytyka, milszą będzie sz. autorowi, niż powierzchowne i konwencyonalne pochwały.

2) I ta broszura mimo swej ogólnej gruntowności ma kilka, choć o wiele mniej niż poprzednia, niedokładności.

W przeglądzie historycznym kwestyi, należało koniecznie wspomnieć i o kościelnem postanowieniu co do konkursu; bez tego bowiem czytelnik może sądzić, jakby dopiero od Józefa II prawo to w Austryi istniało. A już wyrażenie: „rząd... widział się zmuszonym wmieszać się w sferę władzy kościelnej, i wydać w tym przedmiocie własne przepisy“ (str. 12) w broszurze skądinąd tak szczerze katolickiej — miejsca znaleść nie było powinno. Taka ingerencya państwa, potrzebną bywa w kościołach narodowych; Kościół zaś katolicki nad biskupami ma jeszcze papieża, do którego rządowi służy apelacya w razie jakich powszechnych nadużyć.

Można też upatrzeć pewną niestosowność w tem, że w rzeczy opracowanej źródłowo, dekrety Kongregacyj cytują się z drugiej ręki, tj. z Rychtera, i bez daty; ale to prawdopodobnie wina lwowskich bibliotek. Dla wyjaśnienia warunków konkursu ze strony biskupa (str. 28), można było przytoczyć procesy z nowych czasów, w których św. Kongr. rzeczywiście podług zasad przez autora podanych rozsądziła. Co do komisyi egzaminacyjnej (str. 33), niech mi wolno będzie zwrócić uwagę, że może powstać zwyczaj przeciwny przepisom Soboru Tryd. (sess. 24), i bynajmniej nie *irrationabilis*[1]; co do liczby egzaminatorów (str. 35), to Sob. Tryd. przepisuje, że nie może ich być mniej niż 3.

Mimo tych uwag wcale nie odmawiamy tej pracy prawdziwej wartości, tem bardziej, że w polskim języku pierwsze to, można powiedzieć, w tym kierunku utwory.

Ks. Aug. Arndt.

[1] Zob. proces przed Kongr., z d. 14 czerwca i 20 grudnia 1890 r., w Acta S. S., t. VII, pag. 342 i nast.

Gruźlica bydlęca a rzezactwo żydowskie. Podał *dr. Fr. Chłapowski.* (Odbitka z *Nowin lekarskich*). 1890.

Jest to praca fachowa, pierwotnie w *Nowinach lekarskich* ogłoszona; sądzę jednak, że i szersza publiczność powinna się nią zainteresować, bo gruźlica, suchoty, to — jak mówi autor — „najgroźniejsza ze wszystkich chorób w naszych czasach, największą liczbę ofiar zabierająca".

Nadzwyczajny wzrost żydów w ziemiach polskich mało dotąd był przedmiotem badań. Autor widzi przyczyny tego w ustawodawstwie starozakonnem, a mianowicie w ich prawach rzezackich, w wybredności żydów w wyborze mięsa. Wobec faktu dowiedzionego, że gruźlice czyli suchoty przenosi się przez obcowanie nie tylko na ludzi, ale i na bydlęta, i że choroba zwana perlicą jest niczem innem, jak gruźlicą bydlęcą, która też odwrotnie z bydląt może przechodzić na ludzi, — stawia autor kwestyę: czy rzezactwo żydowskie może zmniejszać to niebezpieczeństwo. Do tego potrzeba było dość obszernej statystyki; tą, odnośnie do częstości gruźlicy wśród bydła zebrał z rzezalni publicznych, — a odnośnie do koszernych i trefnych bydląt, zasiągnął wiadomości statystycznych od zarządów gmin żydowskich z miejsc, gdzie rzezalni publicznych jeszcze niema. W takich miejscach w istocie ordynacya rzezacka daje pewną rękojmię bezpieczeństwa. W innym rozdziele rozwodzi się szczegółowo nad historycznym rozwojem tejże ordynacyi, (która się opiera w ustępach Pisma św., chociaż nieraz w bardzo naciągany sposób), i z hygienicznego stanowiska nad pojedyńczemi jej paragrafami się zastanawia. Niektórym z nich przyznaje sanitarno-policyjne znaczenie, innym zupełnie go odmawia. Wreszcie przytacza i inne przyczyny, dla których suchoty mogłyby mniej zabierać ofiar wśród żydów, aniżeli wśród chrześcijan, coby tłómaczyło pierwszych nadzwyczajny przyrost w krajach, gdzie zresztą brak wszelkich instytucyj hygienicznych czuć się daje.

Na samym końcu zestawia wnioski, do jakich obecnie już czuje się upoważnionym. Najważniejszemi z nich są: że rzezalnie publiczne po miastach są konieczne, — że należy ograniczać gruźlicę wśród bydła przez odpowiednie środki, — i że ważną kwestyę przenoszenie gruźlicy przez mięso właściwie najlepiej w Polsce dałoby się rozstrzygnąć.

Na Szląsku Polskim. (Wrażenia i spostrzeżenia). Przez *Stanisława Piasta*. Kraków, G. Gebethner i Spółka. 1890, str. 101.

„Tam jest Polska, gdzie jest lud polski“: motto to na tytułowej karcie umieszczone, „zapomniana ta prawda“ — jak się podróżnik nasz wyraża, — idzie przed nim, niby przewodnie światło w całej wędrówce po Górnym Szląsku, od galicyjskich granic do Bytomia, Raciborza, Opola. Wszędzie język polski — więc i na tych kresach jeszcze Polska, powtarza sobie z radością polski turzysta; z radością tem większą, że porównując Szląsk, gdy go zwiedzał przed dziesięciu laty, z Szląskiem dzisiejszym, znaczna zmiana na lepsze w oczy bije. W Bytomiu wprowadza nas autor do Redakcyi *Katolika*, i zaznajamia z tą nader rozpowszechnioną gazetką; w probostwie znanego z polskich zwykle wierszy księdza Bontzeka, potoczyła się rozmowa o trudnem położeniu księży na Szląsku. Szczególnie pokrzepiające wrażenie wywarł na naszego Piasta polski śpiew w kościele, polskie, piękne a budujące kazanie ks. Stryczyka. Na następnych kartkach zaznajamiamy się z innemi polskiemi czasopismami na Szląsku, z świeżo zakładającym się *Związkiem robotników*, z szląskim ludem, jego „faroszami“ i przewodnikami. Dla *Gwiazdy Piekarskiej* i jej redaktora p. Schwidera (sic!), nie bardzo podróżny nasz jest łaskaw: natomiast nie szczędzi pochwał *Nowinom Raciborskim;* wyraża bardzo rozumne pragnienie, aby i w Opolu powstało niebawem polskie pismo, i złączona z nią polska księgarnia.

Autor za krótko bawił na Szląsku, aby dokładnie mógł się mu przyjrzeć, wszystkie potrzeby jego zrozumieć, pewne biedy i niedostatki wyrozumieć, — stąd sąd czasem, zdaniem naszem, wypada za ostro; choć z drugiej strony i surowość ta widocznie wypływa z prawdziwej przychylności dla szląskiej ziemi i jej mieszkańców. Zresztą sam autor zamierzał nam dać nie dokładny obraz kresowej tej dzielnicy, lecz tylko „wrażenia i spostrzeżenia“ z czasu niedługiej swej wycieczki.

Na końcu mała uwaga co do tytułu. Brzmi on dla serca i dla ucha mile, ale czy dość ściśle treść książki oznacza? Wszak nie tylko Szląsk, zostający pod panowaniem pruskiem, który podróżnik nasz wyłącznie zwiedzał, jest i prawo ma do nazwy „Szląska polskiego!“

B.

Szczęście na wsi. Powieść *J. A. Łukaszkiewicza.* Bytom. 9. S. Nakładem i czcionkami wydawnictwa *Katolika.* 1889, str. 312. Cena 40 ct.

W licznym szeregu wydanych w ostatnim czasie powiastek dla ludu i dla klas rzemieślniczych, wyszczególnia się „Szczęście na wsi“ zacną a rozumną tendencyą, sposobem opowiadania przystępnym, nie zniżającym się nienaturalnie do pojęć i wyrażeń wiejskich czytelników — co, mówiąc nawiaszem, w ogóle się nie udaje, i czego nasz lud stanowczo nie lubi. Głównym zamiarem autora jest zwrócić uwagę całego tłumu biedujących i biadujących po miasteczkach, a zwłaszcza po większych miastach rzemieślników, że gdyby chcieli, pychę z serca zrzuciwszy, poszukać zarobku na wsi, i sobie chleb i szczęście by zapewnili, i zagradzając drogę żydowskiej szacherce i tandecie, dopełniliby prawdziwie patryotycznego czynu. Nic nadto słuszniejszego; życzyć tylko należy, aby opowiadanie to, które pierwotnie pojawiło się w wybornem bytomskiem piśmie *Światło,* znalazło jak najwięcej chętnych czytelników, — aby jego bohaterzy: szewc Zieliński, stolarz Bartosz, poczciwa Józka, znaleźli licznych naśladowców. Co do filozofa, Słupka, to wolelibyśmy, mówiąc otwarcie, zupełnie z nim znajomości nie zawierać — bo wrzekomy ten filozof nie wydaje nam się ani z życia zaczepniętym, ani konsekwentnie odmalowanym. Ale ponieważ Słupka bardzo drugorzędną odgrywa rolę, zatem odnoszący się do postaci tej zarzut bynajmniej i w niczem pouczającej i interesującej całości nie uwłacza.

B.

Z pism czasowych.

Z peryodycznej literatury czesko-morawskiej.

(*Hlidka literární.* 1889. — *Literární Listy.* 1889. — *Vesna.* 1889).

Leżą przed nami trzy roczniki trzech pism morawskich. Dwa pierwsze pisma: *Przegląd literacki (Hlidka literární)* i *Listy literackie (Literární Listy)* poświęcone są wyłącznie sprawom literackim, krytyce pojawiających się ciągle nowych płodów literatury czesko-morawskiej w szczególności, a słowiańskich i europejskich w ogóle —

przyczem ku zadowoleniu stwierdzić należy, iż sprawy słowiańskie wcale nie po macoszemu bywają tutaj traktowane: trzecie pismo nosi tytuł *Wiosna (Vesna)*, a poświęcone jest ludowi i jego przyjaciołom i zwolennikom. Tylko *Przegląd literacki* wychodzi w miesięcznych zeszytach w Bernie morawskiem; dwa następne pisma, wydawane przez jednego wydawcę Fr. Dlouhego również w Bernie mor., wychodzą 1 i 16 każdego miesiąca.

Zanim zaznajomimy czytelnika bliżej z treścią rozpraw mniejszych i większych, zawartych w wymienionych czasopismach, musimy przedewszystkiem rzucić okiem na rozkład tej treści w każdem z tych pism zosobna. Tak w *Przeglądzie literackim*, jakoteż w *Listach literackich* pierwsze miejsce poświęcono rozprawom bądź to oryginalnym, bądź też tłómaczonym z celniejszych języków pobratymczych i obcych; dopiero później następują oceny dzieł najnowszej doby, wiadomości bibliograficzne i mięszanej treści, ze sprawami literackimi w pośrednim lub bezpośrednim związku pozostawające. Nadmienić przytem potrzeba, iż gdy w *Przeglądzie literackim* dział bezpośredniej krytyki i oceny dzieł jest bogatszy, zawierają w sobie *Listy literackie* więcej rozprawek treści literacko-filozoficznej. Co się *Wiosny* dotyczy, napotykamy tutaj więcej powiastek, opowiadań, w ogóle więcej beletrystyki; nie zbywa jednak i tu na rzeczach poważnej treści, a nawet bardzo poważnych.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, mówiąc o ogólnej treści wszystkich trzech czasopism, sprawy czesko-morawskie, jako najbliżej ogół obchodzące, stoją na pierwszym planie; niemniej jednak zajmują się te pisma, w szczególności zaś *Przegląd literacki* i *Listy literackie*, sprawami innych Słowian. Z literatur narodów słowiańskich przykładają te pisma najwięcej wagi do literatury rosyjskiej i polskiej; ale i o innych nie zapomniano, nawet i o serbo-łużyckiej czyli wendyjskiej. Widać tu uprzejmą chęć dogodzenia każdemu i wszystkim: ztąd też pochodzi, iż czasopisma te czyta się z przyjemnością i z pewnością, że się coś o swoich i sobie wyczyta. A i dział bibliograficzny w tym kierunku jest dosyć bogaty.

Przejrzyjmy przedewszystkiem prace oryginalne lub tłómaczone, tyczące się rzeczy czysto morawskich lub czeskich.

Zaczniemy od *Listów literackich*. — Pierwszą oryginalną pracą w tem piśmie jest „Bilans przedniejszych utworów dramatycznej literatury czeskiej“, jako dodatek do dziejów teatru czeskiego, przez znanego zresztą i w powieści pisarza czeskiego J. Arbesa.

Praca ta, ciągnąca się przez całe prawie pół roku, przedstawia dokładny spis sztuk i autorów, granych w Czechach i na Morawie od roku 1760 do ostatnich czasów. Aby unaocznić czytelnikowi, gdzie i z jakiem powodzeniem były sztuki owe przedstawiane, dzieli autor rzecz całą na peryody *(obdobi)*: najdłuższym peryodem jest trzeci (Teatr stanowy — *Divadlo stavorské*), najważniejszym wszakże jest czwarty, czyli tak zwany Teatr tymczasowy *(Divadlo prozatimné)*, aż do otwarcia Narodowego teatru w Pradze w r. 1883. Należy się uznanie pracy autora, który zebrał dokładnie nazwiska około 100 autorów i 350 ich utworów; nadto, mówiąc o mniej znanych dawnych autorach, dodał ich biografie. Dla zaznajomienia z nimi czytelnika, wymienimy choć kilka nazwisk; jakoto z dawniejszych nazwiska: Klicpery, Tyla, — z nowszych: Witosława Halka, Emanuela Bozdiecha, Stańkowskiego, Stoupeżnickiego, Fr. Ad. Szuberta i Jar. Vrchlickiego. Praca oczywiście ma znaczenie głównie jako materyał do przyszłej właściwej historyi czeskiego teatru.

Do zajmujących rzeczy należy również rozprawka dra Ant. Krecara „Początki nowoczeskiej literatury filozoficznej". Na tem polu zasłużył się głównie w Czechach, Niemiec Bernard Bolzano, urodzony w Pradze, z ojca Włocha. Wolny od wszelkiej nienawiści szczepowej i myśli o wyższości plemiennej, zachęcał swych uczniów narodowości czeskiej (wykładając filozofią w Pradze przed 1848), do poznawania ciągłego swej ojczyzny i języka, i tem wywarł wpływ, chociaż tylko pośredni, na odżycie nauki nowoczesnej. Dzięki usiłowaniom Jana Nejedlego i Józefa Jungmanna podnosi się powoli z zaniedbania filozofia nowoczeska, a pierwszym pisarzem nowoczeskim w tym kierunku jest Wincenty Zahradnik, który występuje publicznie już w r. 1818 w czasopiśmie *Goniec czeski (Hlasatel český)*, założonem w tym czasie przez Jungmanna. Mniej jednak jest on znanym w literaturze czeskiej od innego pisarza, Antoniego Marka, który, zachęcony przez Jungmanna, wydał w tym samym czasie swoją Logikę *(Umnice)*. Logika jego dzieli się na logikę ogólną i dyalektykę; odznacza się nadzwyczajną ilością nowo utworzonych słów. Autor kończy rozprawkę, przytaczając wiele z tych słów, skutkiem czego rzecz się czyta z trudnością.

W „Czerwcowych listach o literaturze czeskiej" *(Juniovy listy o literatuře české)* znajdujemy ciętą, a — sądzimy — trafną charakterystykę obecnego stanu literatury czesko-morawskiej ostatniego lat dziesiątka. Powodem pewnego zastoju w literaturze naszej — powiada au-

tor — jest przedewszystkiem kryzys u wydawców, a to z powodu wydawnictw, wydawnictw niestosownych, szczególniej zbytkownych ilustrowanych lub też i nieilustrowanych, których sobie Czesi i Morawiacy jeszcze pozwolić nie mogą. Zanadto również wybujała reklama, i to — jak powiada autor — przyjacielska i publiczna, i zanadto zapaliły się umysły do wydawania dzienników i czasopism. Walka zanadto ożywiona stronnictw politycznych przeszkadza również zająć się skuteczną pracą nad sobą. W prastarej Karolowskiej wszechnicy uczy dwóch profesorów języka i literatury niemieckiej, a języka i dziejów czeskich nie wykłada nikt! Cóż dziwnego, że dzisiejsze pokolenie staje się coraz więcej kosmopolitycznem, a niektórzy z młodszych pisarzy ośmielają się nawet nazywać swój naród „narodem pasożytów“. Krytycy mnożą się jak grzyby po deszczu, a biednemu przeciętnemu autorowi trudno się wymknąć z pod ich skalpelu; i tem się tylko pocieszać może, że istnieje przecież jakiś żywot pośmiertny, gdzie nie będzie już potrzebował obawiać się krytyków-dyktatorów.

Nie będziemy podawali streszczenia pracy J. J. Sinicy, będącej przerobieniem, a raczej skróceniem dłuższej pracy Edwarda Przewóskiego: „Juliusz Lemaitre, krytyk-impresyonista“. Czytelnik znajdzie ją w pismach polskich. Toż samo powiemy o artykuliku J. K. „Co powinna czytywać młodzież?“ wyjętym z tygodnika warszawskiego *Życie*. Biografia Piotra Miłosława Veselsky'ego, jednego z gorących czeskich patryotów doby 1848 r., a przytem wszechstronnie utalentowanego pisarza, ciepło napisana przez J. Zavadila, jakoteż króciutka rozprawka J. Chvala o konflikcie dramatycznym w Sofoklesowskim Filoktecie, — zamykają szereg oryginalnych prac w *Listach literackich*.

Do kilku prac mniejszych, z literaturą czeską w pośrednim chyba związku pozostających, i do przekładów, zaczerpniętych przeważnie z literatury rosyjskiej, powrócimy później, zamierzając przedtem zdać sprawę z prac oryginalnych *Przeglądu literackiego*. Jest ich, tak jak i w poprzedzającem piśmie mało, bardzo mało. Najprzód tedy spotykamy się z rozprawką Leandra Czecha „Edward von Hartmann, o pesynizmie w umiejętności“. Autor, zastrzegając sobie na kiedyindziej szczegółowy rozbiór zasad Hartmanna, dotyczących piękna w ogólności, mówi tylko o poglądach tego filozofa na pesymizm w wiedzy.

W następnych numerach (3 i 4) spotykamy się z rozbiorem „Slavii“ *(Slavie)*, epicznego poematu w trzech księgach z przedwstę-

pem, jednego z najznakomitszych obecnie czeskich poetów, Swatopluka Czecha. Rozbioru dokonał J. Kubelik, a dokonał go umiejętnie i sumiennie. Treścią „Slavii", poematu alegoryczno-metafizycznego, jak ją słusznie krytyk nazywa, jest miłość Bogumiła Iwana do Jadwigi, córki hrabiego Polaka. O miłości jego dowiaduje się inny Słowianin, Czech, którego Iwan spotyka na Czarnem Morzu na wielkiej łodzi, zwanej *Sławią*, na której znajdują się i inni podróżnicy: Serb, Chorwat, Peszne i inni, należący także do słowiańskiego szczepu. Po licznych przygodach, a ciągle trwającej miłości Iwana ku Jadwidze, stary hrabia, który dotąd z powodu starej plemiennej nienawiści nie chciał żadną miarą zgodzić się na ten związek, dozwala Jadwidze zostać małżonką Iwana. Czech pośredniczy gorąco w tej sprawie. Już sama treść pokazuje nam, iż jestto poemat przejęty pewną tendencyą, owiany szczerą chęcią powrócenia zgody między rozdartemi dotąd plemionami słowiańskiemi. Kiedy Jadwiga pada w objęcia Iwana, widzimy, że i inni podróżnicy, którzy tymczasem z powodu kłótni Serba z Chorwatem także się kłócili, ręce sobie podają.

Poeta usiłuje — jak słusznie krytyk zauważył — rozwiązać t. zw. kwestyę słowiańską w sposób jedynie słuszny i możliwy: skoro Rosya, umiłowawszy i uszanowawszy Polskę, zaprzestanie z nią waśni i sporów, wówczas i inne ludy słowiańskie nabiorą otuchy o los swój przyszły, a wolne od wewnętrznego nieprzyjaciela, od sporów wzajemnych i niedowierzań, zgodnie będą mogły wystąpić przeciwko nieprzyjaciołom zewnętrznym. Rozbiór p. Kabelika dzieli się na dwie części. W pierwszej podaje on dokładną treść poematu, w drugiej rozbiera nader dokładnie charaktery osób działających w poemacie: Rosyanina Iwana, Jadwigi, hrabiego Włodzimierza — brata Iwanowego, pierwowzoru dzisiejszych rewolucyonistów i nihilistów rosyjskich — Czecha, pośredniczącego między obiema stronami — i inne osoby pomniejsze. Charakterystyka przeprowadzona umiejętnie, bystro, bez rozwlekłości. Ze szczególniejszą jednakże przenikliwością — a ważnem to jest dla genezy i celu poematu — zestawia krytyk dawniejszy utwór Swat. Czecha „Europę" ze Slavią. Jak tutaj kwestyę słowiańską, tak tam stara się poeta rozdzierzgnąć kwestyę secyalną, wstrząsającą w posadach dzisiejszą Europę. Poeta nie chce pozostać niemym wśród ogólnego ruchu umysłowego; chce także wypowiedzieć swe zdanie o tych piekących sprawach, chce przeczuć i uprzedzić swój czas. Tendencya jego jest czysto słowiańska, nie

panslawistyczna; pragnie on uszanowania każdego narodu słowiańskiego z osobna, ale też i zgody wszystkich razem. Za „Slavią“ otrzymał Svatopluk Czech od młodzieży morawskiej złote pióro; na młodzież wywarł ten poemat wpływ największy. Ale nietylko na młodzież, — dodaje krytyk — ale i na wszystkich innych; bo włożył on w swą pieśń cały zapas, cały żar miłości, jaki nawet starsze i chłodniejsze serca płomieniem zapala!

Następną pracą literacką, w *Przeglądzie* zawartą, jest artykuł p. Lwa Szolca o „Córze Sławy“ *(Dcéra Slavy)*, znakomitego poety słowackiego, Jana Kollara. Jestto krytyczno-literacki rozbiór tego poematu. P. Lew Szolc podaje nam przedewszystkiem pogląd swój na jego genezę i cel. Zgadzając się z poprzednimi krytykami na to, iż poemat ten powstał pod wpływem głębokiej miłości Kollara ku Minie Schmidt, córce pastora w Lobedzie (Lobedau) koło Jeny, nie zgadza się jednak z nimi co do przypuszczenia, aby Kollar przez swoją „Córę Sławy“ miał tylko alegorycznie przedstawić ojczyznę swoją i Słowiańszczyznę. Nie zgadza się również z dawniejszymi krytykami czeskimi i w tem, jakoby poemat nie miał stanowić całości zaokrąglonej, a był tylko czemś nakształt sonetów Petrarki, Laurze poświęconych. P. L. Szolc powiada,—i naszem zdaniem słusznie— że pod *Sławą* należy rozumieć boginię Sławy, wspólną wszystkim Słowianom matkę ich, którą możnaby nazwać i Slawią — a nawet poeta zapewne zrozumiał ją w tem znaczeniu. Sławy Córa, to Słowianka, to Mina poety wyidealizowana, przedstawiona jako nadziemska istota, z którą nic ziemskiego już poetę nie wiąże. Ona to oprowadza poetę po krainach słowiańskich i sąsiednich, na wzór Beatryczy Dantego. A zatem — powiada p. Szolc — jestto raczej poemat dydaktyczno-epiczny, z pewną domieszką liryzmu. Słowa swoje stwierdza krytyk oczywistemi, w oczy bijącemi dowodami, przywodząc dosłownie ważniejsze miejsca poematu.

W trzeciem z kolei piśmie, w *Wiośnie*, najwięcej — jak już wspomnieliśmy na początku naszego sprawozdania — opowiadań, powiastek i nowelek, chociaż nie brakuje prac o treści poważniejszej. W pierwszych numerach znajdujemy nowelkę J. Arbesa: „Obumierający drogi kamień“. — Maleńkim, ale udatnym obrazkiem z wiejskiego życia są „Chrzciny“ *(Křtiny)* Józefa Kruszyny ze Szwamberka. — Zajmującem opowiadaniem, wziętem z czasów Rzplitej polskiej, z wojen kozackich (1648) jest „Córa gaonowa“ *(Dcera gaonova)* p. Czenka Tondera. Rzecz się dzieje w Niemirowie na Podolu,

na granicy Ukrainy. W Judycie, córce miejscowego gaona (nauczyciela religii) żydowskiego, Mojżesza, zakochał się Menachem, syn sąsiedniego gaona z Perejasławia, Michała. Tymczasem kozacy podstępem opanowują Niemirów. Mojżesz i Michał, ojciec Menachema, giną w ogólnej rzezi mieszkańców; Judyta dostaje się, jako zdobycz wojenna, kozackiemu assawule Wasylowi. Kochana gorąco przez Wasyla, zaczyna powoli zapominać o przeszłości; lecz od czasu do czasu zdaje się jej, iż sprzeniewierza się cieniom ojców swoich, kochając chrześcijanina. Pewnego dnia, nie mogąc wytrzymać ciągle rosnących męczarni wewnętrznych, ofiarowuje Wasylowi amulet swego ojca, mający posiadać siłę odwracania pocisków, i prosi go, aby wprzód na niej moc jego wypróbował. Naturalnie ginie od kuli Wasyla. Opowiadanie toczy się żywo i potoczyście.

Bardzo ładną, tak dla motywu swego, jakoteż dla przeprowadzenia, jest powiastka Teresy Nowakowej: „Opowiadanie o starej pannie". Autorka przedstawia nam tutaj starą pannę, Szwajcarkę, jak się zdaje, znoszącą swój przykry los nietylko bez szemrania i z poddaniem się woli Boga, lecz nadto kochającą i pełną miłości dla wszystkiego tego, co dobre, piękne i idealne. Bóg za to zamienia ją w chwili śmierci w anioła. Dla tem większego kontrastu i lepszego przedstawienia charakteru starej panny przedstawia nam autorka losy życia dwóch innych kobiet: Francuzki, mężatki bezdzietnej — i Włoszki, matki. I one nie popełniają przestępstw, i one znoszą bóle i przykrości; nie są jednak zadowolone ze swego losu i czynią wyrzuty Opatrzności. Za to też dusze ich dostają się najprzód po czyśca, zanim osiągną najwyższą nagrodę.—W „Dziadku Shaněl" przedstawia nam Joz. Fr. Javůrek typ starego morawskiego włościanina, niegdyś żołnierza Radeckiego. Doczekawszy się na stare lata zupełnego zapewnienia losu swego syna Jeníka (Janka), sam o nic nie prosi; a widząc, że niedobra synowa, po spaleniu się, nie chce mu dopomódz, choćby tylko drzewem, znosi swój los bez szemrania.

W. Kamil Jerzabek maluje w powiastce „Wójtowa bykańska" *(Rychtářka bykáňska)* czasy pańszczyźniane na Morawie. Dominującą postacią jest tutaj wójt *(rychtář)* bykański, Kalwoda, człowiek surowy, okrutny i nieubłagany, który daje się nieraz ciężko we znaki swoim współbraciom, czy to przy ściąganiu podatków, czy też przy poborze do wojska. — Doskonałym obrazkiem z niedawnych, a po części i obecnych stosunków czesko-morawskich, jest maleńka powieść p. Gabryeli Pressowej p. t.: „Pani Szedá"

(Paní Sedá). Główna osoba pani Szedá *(Szedy, šedý* — siwy po czesku) wstydzi się ojczystego języka i obyczajów, pisze się *Schödy*, i tak mężowi pisać się każe. Zresztą, jak widać, p. Szeda nie jest w gruncie złą osobą. Złe pochodzi głównie z wychowania. Wszakże nieboszczka matka jej nieraz mawiała: „Ten pański (niemiecki) język jest bardzo dogodny dla nas, bo go nie rozumie domowa czeladka“ (Czesi i Morawiacy). Na tem kończy się szereg opowiadań oryginalnych.

Z poważniejszych rzeczy zasługuje na uwagę artykuł dra Z. Wintera: „Miasta i panowie“, kreślący pobieżnie i popularnie stosunek czeskich miast do szlachty czeskiej w wieku XVI. — Również popularnie a zajmująco przedstawia p. B. Popelka historyę mieszkań ludzkich w Europie. Autor opiera się na pracach innych uczonych, szczególniej na pracach Harelki. Zajmujące jest, mianowicie dla nas, przedstawienie grodzisk (czyli *horodyszcz)* na Morawie. W czasie, gdy ludzie mieszkali także w budowach palowych, wznosili oni około mieszkań swych na lądzie ogrodzenia silne, zagrody (po czesku *hradiska)*. i to podwójne i silniejsze. Szczątki takich ogrodzeń znajdują się pod Bernem morawskiem i w innych miejscowościach. — Szczerze patryotycznym, a wielce pouczającym jest maleńki artykulik Czenka Tondera: „O książce czeskiej“. Z książki to czeskiej, jako feniks ze swych popiołów, odrodził się naród czeski. Autor przedstawia nam żywo, jak to do niedawna jeszcze, chłopcom w szkołach wolno było mówić tylko po niemiecku pod groźbą „oślej ławki“ lub „oślej tablicy“; po miastach „w lepszych towarzystwach“ odzywał się język niemiecki. Język czesko-morawski był tylko językiem gminu. Teraz wszystko się zmieniło. A do tego wszystkiego przyczyniły się książki. Szczególniej wiejscy księża katoliccy szerzyli te książki między ludem, lub sami — i to wielu — pisali dobre książki dla ludu. — Dobrą, źródłową pracę — nie zapomniano w niej i o naszym Gołębiowskim — o staro-czeskich grach i zabawach dziecięcych, podaje znany w czeskiej literaturze dr. Zibrt. Spotykamy się tutaj z różnemi nazwami i opisami zabawek i innych rzeczy, właściwych wiekowi dziecięcemu. Gdyby nie wykład w duchu zanadto poważnym, do starszego wieku przystosowanym, artykulik ten, naszem zdaniem, nadawałby się bardzo do przekładu na nasz język tak ubogi w twory tego rodzaju. — Mało znany nam kraj, południową Dalmacyę, opisuje Józ. D. Konrád w obrazie podróży „Z Kastjo Lastoy do Sutomorje“, w południowej Dalmacyi. — Ciepłem i serdecznem wspomnieniem o bitwie na Kosowem

Polu w Serbii, na cześć i pamięć obchodzenia jej pięciusetletniej rocznicy, napisanem przez Ppěka, kończymy ten przeglądzik ważniejszych, większych i mniejszych prac oryginalnych, zawartych w *Wiośnie*.

Dział przekładów w tem piśmie, zwłaszcza z poważniejszych rzeczy, nieliczny. Oprócz przekładu Atalii Rasyna, ciągnie się przez cały rocznik przekład powieści Kraszewskiego „Czarna godzina", *(Černá hodina)* z czasów wydalań pruskich. Znajdujemy także: przekład powieści Ruskina (z rosyjskiego), „Niema chleba bez skórki" — „W nocy przed Zmartwychwstaniem Pańskiem (z rosyjskiego) Korolenki — dalej dwie satyry Sołtykowa (Szczedryna) „Oszalały baran" i „Mądry piskorz" — kilka powiastek Guy-Maupussant'a i Lachauda. Dość wreszcie jest zajmującym artykulik, wyjęty ze *Srpskiego Listu*, przez J. K. p. t.: „Słowianie w Carogrodzie" *(Slované w Cařihradě)*. Dowiadujemy się ztąd, że wszystkich Słowian jest w Carogrodzie około 200.000. Liczba dosyć poważna. A przecież, jak zwykle, nie trzymają się oni razem, lecz żyją oddzielnie. Tylko Rosyanie żyją jako tako ze sobą, i są tu, jak u siebie w domu. Inni Słowianie — zwłaszcza austryaccy, którzy wedle państwa, do którego należą, nazywają się „Austryakami" — mało dbają o swoją narodowość.

Jeżeli rzucimy okiem na całość *Wiosny*, przedstawi się nam ona wcale nie źle. Nastrój, duch ożywiający całe pismo, jest chrześcijańsko-patryotyczny. Nie jestto pismo ściśle ludowe, lecz popularne, mieszczańskie. Pochwalić należy wydawcę za dobór materyału; czy jednak niektóre rzeczy, jak np. przekład Atalii, niektóre ciężkie, zanadto źródłowo opracowane rozprawy, jak np. praca Zibrta o grach i zabawach dzieci staro-czeskich — nadają się do takiego pisma? Zbyt mało znamy stosunki czesko-morawskie, abyśmy śmieli występować ze stanowczym sądem w tej mierze.

Pierwszem i najdłuższem tłómaczeniem w *Listach Literackich* jest przekład pracy pani Cebrikowej (z rosyjskiego) „O typach dzieci w rosyjskiej beletrystyce": o dzieciach zadumanych, roztargnionych, i innych, należących do różnych psychologicznych kategoryj. Nie zupełnym przekładem, ale raczej czeskiem przerobieniem — przez T. Vranę — dziełka Skubiczewskiego i Bułkakowa (z rosyjskiego), jest ciekawa rozprawka p. t.: „O nowych podstawach krytyki". Nieliczną gromadkę przekładów kończy porównanie pisarzy rosyjskich, Dostojewskiego i Turgieniewa, napisane przez Lozereatiela, a przełożone przez Iiwramowskiego.

W *Przeglądzie Literackim* mamy z samej natury rzeczy prze-

kładów nie wiele. Przedewszystkiem zwraca uwagę przekład rozprawki Arseniewa (z rosyjskiego) p. t.: „Stara kwestya o tendencyach w umiejętności“ przez Bončka — i udatnej powiastki Frana Mažuranicza p. t.: „I o dąb i o cierń *(I o dub i o trn)*, wzięte z życia literackiego Chorwatów.

Przechodzimy do działu drugiego, do rozprawek oryginalnych, sprawozdań lub przekładów, traktujących o rzeczach powszechno-słowiańskich i polskich. Nie wiele jest tego — ale są to rzeczy ciekawe. Ciekawą np. jest rozprawka Józ. Konolego o „wszechsłowiańskiej akademii umiejętności“ w *Lit. Listach.* Autor omawia myśl, podjętą i przyjętą w zasadzie na jednem z ostatnich posiedzeń Odeskiego Słowiańskiego Towarzystwa Dobroczynności, — założenia prywatnej akademii umiejętności dla wszystkich Słowian bez różnicy. Akademia ma powstać w Kijowie z powodu jego położenia geograficznego, i niezmiernej wagi dla Słowian pod względem historycznym i cywilizacyjnym. Akademia taka, jako towarzystwo umiejętności prywatne, mogłaby się zajmować wiedzą przedmiotowo, nie subjektywnie. Autor wskazuje, jak nieraz upaństwowienie Akademii Umiejętności lub uniwersytetu nawet, działa szkodliwie na rozwój nauk; odnosi to nawet do narodów niepodległych, a nawet takich, które pewnego stopnia świetności i blasku dosięgnęły, jak np. Niemcy. Podobna akademia wszechsłowiańska nietylko byłaby korzystną dla rozwoju nauki słowiańskiej, lecz zarazem przyczyniłaby się do polepszenia bytu materyalnego uczonych słowiańskich. W każdym razie, — powiada autor — jeżeli myśl ta w czyn wejdzie, to wykonanie jej będzie miało znaczenie epokowe.

W *Listach Literackich* znajdujemy dalej stałą rubrykę „Z literatur słowiańskich i obcych“: a odnosi się ona przeważnie do lat najnowszych 1888—1889. Dla czytelnika polskiego zapewne wielką będzie mieć wagę — o rzeczach polskich pomówimy później — przegląd literatury małoruskiej (rusińskiej) przez p. Karola Kadleca. Jestto formalne streszczenie historyczno-literackie umysłowego ruchu małoruskiego w Galicyi, na Bukowinie, w północnych Węgrzech i na Ukrainie od r. 1837 do ostatnich czasów. Ciekawą wiadomość przynosi nam autor między innemi, że ów Adolf Dobrjański, o którym tyle słyszeliśmy podczas lwowskiego (hnilickiego) procesu politycznego, bardzo wiele przyczynił się do smutnych stosunków, zwłaszcza pod względem poczucia narodowego, panujących dziś między małoruską ludnością północnych Węgier. Zamiast bronić tego ludu,

jako urzędnik węgierski, trzymał on stronę węgierskich magnatów. Autor wspomina również o niezaprzeczonych zasługach Iw. Naumowicza około wzbudzenia ruchu narodowo-ruskiego na Bukowinie, gdzie przedtem żadnego ruchu nie było — jak wreszcie o zasługach Drahomanowa, zaznamiającego publiczność rosyjską z ruchem umysłowym Rusinów ukraińskich. — Następnie zaznajamia nas p. Adolf Czerny z literaturą Serbów łużyckich w roku ubiegłym. Autor mówi przedewszystkiem o wydawnictwach „Macierzy Serbskiej“ i niektórych pisarzach, jak o Zeljerze Horniku, Czyszyńskim i innych.

Najwięcej miejsca zajmuje, po literaturze polskiej, literatura bieżąca rosyjska. Mamy tutaj wspomnienie o niedawno zmarłym rosyjskim poecie i powieściopisarzu Garszynie, o ostatnich powieściach Dostojewskiego i pani Nasazjewy, o poecie Pobżajewie, Kozłowie (tłómaczu naszego Słowackiego, Syrokomli, Zalewskiego i Lenartowicza), o humoryście Żandrze (Żandr), o najnowszych powieściopisarzach: Czechowie, Gniediczu, Barancewiczu, Korolence, Niemirowiczu-Dańczence Baborykinie — i innych. Dotyka także dzieł poważniejszej treści: jak „Historyi prawa rosyjskiego“ prof. Samokwasowa, dzieł znanego uczonego Wesełowskiego, Kaptierewa (Charakter stosunków Rosyi z prawosławnym Wschodem w wiekach XVI i XVII), Gołubiewa (Historya kijowskiej akademii duchownej), Mordowiewa *Istoriczeskija Prapilęji* (Przedsionki historyczne), ciekawego dzieła Aleksandra Budiłowicza „Dawne pamiątki historyczne prawosławno-ruskie w Zamościu“ *(Russkaja prawosławnaja starina w Zamostje),* i najnowszych dzieł o A. S. Puszkinie. Przeglądem rosyjskiej literatury zajmuje się p. Karol Kadlec.

Przegląd bieżącej literatury serbsko-chorwackiej podają nam w kilku numerach *Literackich Listów* Překořovsky i Konole. Znajdujemy tutaj ciekawe ustępy o 100-letniej rocznicy narodzin Wuka Karadicza, wskrzesiciela literatury serbskiej, — o dziełach serbskiego poety, Lubomira Nienudowicza, — o wydawnictwie *Słowiańskiej Biblioteki* przez Chorwata Heruca (wychodzącej w Petersburgu), pomieszczającej przekłady dzieł pisarzy serbsko-chorwackich i bułgarskich, jak Szenoy, Harambusicza, Preradowicza. Następnie podaje nam sprawozdawca wiadomości o włoskim dzienniku *Il Diritto croato,* z tendencyą chorwacką, wychodzącym w Poli, — o połączeniu się dwóch beletrystycznych dzienników serbskich *Javor* i *Straživo* w jedno, — o przekładach poezyj serbsko-chorwackich na język niemiecki. Zajmie może czytelnika rozbiór poetycznej przeróbki powieści Chateubrianda

„Przygody ostatniego z Atencerayów“ przez księcia czarnogórskiego Mikołaja, podany przez Konblego. Sprawozdawca powiada, iż czytając ten poemat, doznaje się wrażenia, jakby wszystko, co się dzieje w tym poemacie, działo się nie w Hiszpanii, ale w Serbii lub w Czarnogórze. Dlatego mimowoli nasuwa się sprawozdawcy myśl, że poemat ten — a raczej może jeszcze jego przekład — ma znaczenie alegoryczne.

Najbogaciej jednak, najsympatyczniej i najdokładniej przedstawioną jest w tym dziale bieżąca literatura polska. O niej na zakończenie słów kilka. Sprawozdawcami są pp. Pestrý i Slavkovicz. Sprawozdawcy podają nam nie tylko przegląd dzieł naszych znakomitszych pisarzy, a to w zakresie poezyj, powieści, opowiadań i nowelek, jakoteż działów poważniejszych naukowych, — ale stosunkowo dosyć dokładnie rozbierają treść ważniejszych polskich pism naukowych jak: *Wisła* lub *Ateneum*, — czego przy rosyjskiej nawet literaturze nie czynią. Wspomniawszy kilku słowy o „dziełach pośmiertnych“ Kajetana Koźmiana, i o „Pamiętnikach“ hrabiego Stanisława Wodzickiego, zatrzymuje się sprawozdawca dłużej nad „Puławami“ hr. Ludwika Dębickiego, przedstawiającemi życie społeczne, polityczne i literackie w „Puławach“ od r. 1762—1830. na podstawie archiwum książąt Czartoryskich w Krakowie. Wspominając o poprzedniej ocenie, tego wówczas jeszcze nieskończonego dzieła, przez Edwarda Jelinka w *Słowanskim Sborniku*, zwraca sprawozdawca uwagę na słowa autora, zawarte w temże dziele o wzajemności polsko-czeskiej. Powiada, — i to naszem zdaniem słusznie — że Polacy po protektorsku popierając Czechów (zapewne w polityce), nie wyciągają z tego ani dla siebie, ani dla swej literatury takiej korzyści, jakby należało tego oczekiwać. A jakkolwiek i Czesi nie tak się zajmują rzeczami polskiemi, jakby się należało, to przecież już więcej zdziałał ich jeden autor, Edward Jelinek, na tem polu dla swego narodu, niż wszyscy autorowie polscy razem. Sprawozdanie podnosi wartość samej monografii, powiadając, iż podobne rzeczy, mające wartość dziejów pouczających, czytają się przytem jak romans.

Następnie podaje sprawozdawca rozbiór dzieła dra Al. Hirszberga: „Hieronim Łaski“, Floryana Łęgowskiego rzeczy o „Collegium Nobilium Stanisława Konarskiego“ i dra Karbowiaka „Ustawy bursy krakowskiej“. Na miejscu tu będzie wspomnieć, iż o Konarskim pisał już pewien Czech, p. Kliment Cermak (w *Paedagogium* z r. 1853). W następnych numerach rozbiera sprawozdawca trzeci tom poezyj

Maryi Konopnickiej, znajdując, iż ponury pesymizm, którym się odznaczały początkowe utwory tej autorki, znika powoli w jej pieśniach następnych. Z poszczególnych wierszy zatrzymuje się sprawozdawca dłużej nad wierszem „Jan Hus“, i chwali udatne przekłady z czeskich poetów Jabłońskiego i Vrchlickiego. Z kolei spotykamy się z oceną przedstawicieli teraźniejszego dramatu polskiego. Jak w tej ocenie, tak i w sądach o naszych powieściopisarzach, na niejedno zgodzićbyśmy się nie mogli; ale szczegółowa polemika za daleko przeprzeciągnęłaby to i tak bardzo może zbyt obszerne sprawozdanie.

W *Przeglądzie literackim* ocenia p. Papaček pracę Edwarda Bogusławskiego „Historya Słowian“ (w oryginale jest: „Historya Slowán). Sprawozdawca wita z przyjemnością innowacyę w ortografii autora, zbliżającą ją do innych ortografij słowiańskich, i podziela uczucia autora pragnącego, aby raz już zapanowała zgoda na obszernej przestrzeni, zamieszkanej przez ludy słowiańskie. W *Listach literackich* znajdujemy ocenę „Dwóch światów“ Kraszewskiego, i „Obrazków sybirskich“ Szymańskiego; co do „Dwóch światów“, przełożonych niedawno na język czeski przez p. J. S., powiada sprawozdawca, że z powodu swej tendencyi, i podobieństwa społeczeństwa polskiego i czeskiego pod tym względem, może je czytać z korzyścią i publiczność czeska. Zresztą dowiadujemy się, iż Kraszewski jest bardzo ulubionym autorem w Czechach i na Morawie. Wreszcie znajdujemy tutaj krótką ocenę powieści Elizy Orzeszkowej, p. t. „Dziurdziowie“.

Doszliśmy do kresu. Z tego cośmy powiedzieli o *Przeglądzie literackim* i o *Listach*, może sobie czytelnik sam urobić jakie takie pojęcie o całości tych pism. Format nie wielki wszystkich trzech pism *Przeglądu*, *Listów* i *Wiosny* (mała czwórka). *Przegląd* wychodzi w zeszytach po prawie $2^1/_2$ arkusza: *Listy* przeszło arkusz druku zajmują — *Wiosna* arkusz; obfitość materyału w nich zawartego i dobry jego rozkład (szczególniej w *Listach*), czynią je dosyć poczytnemi pismami. Tak jak w *Wiośnie*, tak i w *Przeglądzie*, jako też w *Listach*, wieje duch chrześcijański, katolicki; widać to nie tylko z treści, ale i z tendencyi pism: — prym trzyma tu wszakże *Przegląd*. I my Polacy, z korzyścią moglibyśmy przeczytać numer czeskiego pisma, a nie koniecznie dowiadywać się tylko, i to jeszcze z mętnych źródeł, co się dzieje w Wiedniu, Berlinie lub Paryżu.

J. Wierzbicki.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kościół a manifestacye socyalistyczne. — List papieża do arcybiskupa kolońskiego. — Głosy o papieskiej działalności socyalnej. — Rozprawy w parlamencie wiedeńskim. — Mowa ministra rolnictwa. — Konfiskata włoskich „fundacyj pobożnych“. — W. Mistrz włoskiego Wschodu złodziejem. — Mowy Windhorsta i ks. Stablewskiego.

KOŚCIÓŁ A MANIFESTACYE SOCYALISTYCZNE.

Pierwszy maja minął szczęśliwie, powiedzieć można, spokojnie. Zapowiadające się tak groźnie manifestacye socyalistyczne zrobiły *fiasco;* pochody robotników, mowy ich przewódców, żądania, wyrażone w robotniczych organach, — zamykały się w ogóle w ściśle legalnych, z obecnem położeniem rzeczy, z tem, co dziś zrobić można, rachujących się granicach. Czy to oznaka słabości socyalizmu; czy przeciwnie znak przeświadczenia o swej mocy, dowód rozsądku przewódców, nadzwyczajnej karności słuchających ich tłumów? Wszyscy niemal, którym żywiej kwestya socyalna na sercu leży, i nie od dziś za rozwojem jej śledzą, dali odpowiedź raczej w drugim, niż w pierwszym kierunku. „Ogólna próba socyalistycznych manifestacyj, — czytamy w organach najrozmaitszych reprezentujących najrozmaitsze prądy i odcienia stronnictw — a bardziej może jeszcze obawy samą manifestacyę poprzedzające, okazały, jak potężne czynniki na

pole nowożytnej historyi schodzić zaczynają; jak dziś już niewolno lekceważyć ich rzeczywistych potrzeb i usprawiedliwionych żądań". I jak zawsze, gdy nowe, silne prądy na nowe szlaki ludzkość popychały, szedł naprzód Kościół, aby drogę oświecać i od zboczeń chronić, — tak i dziś idzie, przestrzegając z jednej strony przed szkodliwemi zaburzeniami, ale stając z drugiej strony jawnie i silnie w obronie uciśnionych; okazując i ucząc, jakie jest jedynie możliwe — w duchu nauki i miłości Chrystusowej pojęte i przeprowadzone — rozwiązanie kwestyi socyalnej.

LIST PAPIEŻA DO ARCYBISKUPA KOLOŃSKIEGO.

Jeźli gdzie i w czem, to właśnie w tym socyalno-chrześcijańskim kierunku najwidoczniej, niejako najnamacalniej okazuje się w ostatnich latach błogi wpływ katolickiego Kościoła, jego instytucyj i przedstawicieli. Wespół z podjętą przez papieża i kardynała Lavigerie akcyą przeciw niewolnictwu w Afryce, prowadzi Kościół akcyę przeciw innego rodzaju niewolnictwu, panującemu w Europie, a którego winę noszą na sobie równie niesumienni kapitaliści, jak niemożliwe teorye szerzący, niemożliwe do spełnienia ideały przedstawiający socyalistyczni podżegacze. Dwie te niewole: afrykańską i europejską połączył papież w nader — przez samo już to zestawienie — wymownym i silnym liście do arcybiskupa kolońskiego.

„Nie uchodzi bezwątpienia — pisze Ojciec św. — roztropnej twej uwadze, że choć władza państwowa ma w swem ręku niemałe środki dla polepszenia losu robotników, — to przecież zadanie Kościoła w zbożnem tem dziele jest o wiele większej wagi... Wszak Kościół jest spadkobiercą miłosierdzia tego Pana, który będąc bogatym, stał się dla nas ubogim, aby zarówno ubodzy jak bogaci, obraz Jego na sobie wyrażając, podniesionymi zostali do godności synów Bożych; który tak ubogich ukochał, że im okazywał szczególne dowody swej dobroci. Jemu to ludzkość zawdzięcza najcenniejszy dar, świętą naukę ewangeliczną, która stawiając przed oczy każdego niezmienne jego obowiązki i prawa, sama jedna jest w stanie

złagodzić trudności, wynikające z nieodłącznej od natury ludzkiej nierówności losu. To też naród, któryby przyjął prawdziwą naukę ewangeliczną, jako normę wszystkich dążeń, całej swej publicznej i prywatnej działalności, — szedłby najpewniejszą drogą i doszedłby oczywiście do najpomyślniejszych rezultatów. Biskupi cesarstwa niemieckiego głęboko widocznie wespół z nami o prawdzie tej są przekonani; dowodzą tego i żywą są oznaką pasterskiej ich gorliwości, dokonane już przez nich lub świeżo podjęte dzieła, mające na celu niesienie ulgi i pomocy ubogim robotniczym warstatom... Przemyślna ta miłość na najwyższe pochwały zasługuje. Radujemy się, widząc te kółka i stowarzyszenia, w których spokojni robotnicy uczciwie łączyć się mogą; te nowo powstające domy pracy dla kobiet, te pobożne fundacye, te szkoły, zapewniające młodzieży obojej płci dobre i odpowiednie wychowanie... A im bardziej te i tym podobne zakłady i stowarzyszenia rozwijać i mnożyć się będą, — tem większą będzie nasza radość. Jeżeli czyny odpowiedzą pragnieniom naszym, słusznie natenczas będzie można powinszować niemieckim biskupom, że zapewnili — o ile to tylko było w ich mocy — pokój publiczny, i wzięli w obronę sprawę prawdziwej cywilizacyi".

„W Niemczech i w Anglii — pisze z powodu tego listu papieskiego głośny organ paryski *Temps* — rozumieją lepiej, niż gdzieindziej, potęgę Stolicy św. A dlaczego i zkąd to lepsze zrozumienie? Ponieważ spróbowano użyć tej potęgi do rozwiązania kwestyi społecznej; ponieważ Mgr. Kopp w Wrocławiu, Mgr. Krementz w Kolonii, podobnie jak kardynał Manning w Londynie, a Mgr. Walsh w Dublinie, — schodzą na arenę walk ekonomicznych, w sam wir walki się mieszają, a schodzą jako biskupi, niosąc krzyż przed sobą... „Gdzie niema porządku, tam chaos — powtarza nieraz kardynał Rampolla — a porządek bez moralności, moralność bez religii jest czemś niemożliwem..." Mgr. Kopp, Mgr. Krementz prowadzą dalej i rozwijają w Niemczech tradycyę arcybiskupa mogunckiego Kettelera; prowadzą dalej nietylko słowami, ale i czynami:

ożywiają i uzmysławiają „działalność Kościoła“. Dlatego papież poczuwa się względem nich do wdzięczności; dlatego ogłosił wzmiankowany powyżej list do arcybiskupa kolońskiego. List ten jest czemś więcej, niż prostą papieską odezwą; zawiera się w nim cały polityczny program“.

GŁOSY O PAPIESKIEJ DZIAŁALNOŚCI SOCYALNEJ.

Ale nietylko w Niemczech, nietylko w Anglii staje Kościół katolicki jedynie silną tamą przeciw socyalistycznej fali; nietylko w Niemczech pracuje najskuteczniej nad rozwiązaniem socyalnej kwestyi, szerząc naukę ewangeliczną, opierając się na zasadach chrześcijańskiej miłości i sprawiedliwości. Echo listów i mów papieskich w tej sprawie wywołało w Ameryce północnej — i to w obozie protestanckim — entuzyastyczne pochwały. Jeżeli co — wyraził się na publicznej konferencyi słynny prelegent, dr. Talmage — pogodzić może nas protestantów z katolikami i z Rzymem, to socyalna, niebywałą odwagą i mądrością natchniona działalność Leona XIII. „Czemuż — pytał znowu wędrowny kaznodzieja sekty Anabaptystów, dr. Dixon — Kościół protestancki nie idzie w ślady katolickiego; czemuż nie spełnia ciążących na sobie obowiązków względem robotników?“ „Czemu, — pytają z gniewem ateistyczne dzienniki paryskie, wzmiankując o świeżo odbytem zgromadzeniu „katolickich kółek robotniczych“ — czemu zostawiamy katolikom jakby monopol w zajmowaniu się losem biednych i potrzebujących?“ „Czyżby istotnie — pytają z nietajonym strachem wiedeńskie i berlińskie organy żydowskie — inna jakaś era torowała sobie drogę; era, w której wystąpiłyby znów na jaw zapomniane chrześcijańskie zasady, zakazujące zapominać, że i robotnik jest człowiekiem, ma duszę nieśmiertelną, i że jeżeli ma obowiązki, to ma i prawa, i to nietylko do kawałka chleba dla utrzymania materyalnego życia: ma prawa moralne, religijne, których sobie niewolno lekceważyć?“

Era ta, choć zwolna, bezsprzecznie jednak się zbliża. Już uchwały konferencyi berlińskiej, choć mgliste i teoretyczne, postawiły szereg zasad, dotąd nawet w teoryi nieuznawanych.

Rząd belgijski zaprowadził w ostatnich tygodniach cały szereg reform, odnoszących się do święcenia niedzieli i świąt (Wniebowzięcia, Wniebowstąpienia, Wszystkich Świętych, Bożego Narodzenia) na państwowych kolejach żelaznych. We wszystkie te dni świąteczne ruch pociągów towarowych zostaje odtąd wstrzymanym, oddawanie towarów wzbronionem; robotnicy, zatrudnieni przy kolei, mieć mają dwa dni odpoczynku na miesiąc, o ile możności, w niedzielę; a nadto robotnicy, zatrudnieni w niedzielę, uwolnieni być muszą, i to przedpołudniem, od pracy na dwie przynajmniej godziny, aby mieli czas i możność wysłuchania Mszy św. Rozumne to postanowienia — i spodziewać się należy, że i w innych krajach, i to nietylko odnośnie do urzędników i robotników, zatrudnionych przy kolejach żelaznych, znajdą one oddźwięk i zastosowanie.

W parlamencie wiedeńskim poruszył świeżo tę kwestyę ks. prałat Chotkowski, zwracając w szczególności uwagę na konieczność zaprowadzenia spoczynku niedzielnego na pocztach. W Anglii np. — zbijał mowca zgóry możliwe zarzuty — poczta w niedzielę zamknięta; a przecież nikt nie powie, że handel tam dlatego upada, lub nie jest w kwitnącym stanie. Nie wielka ostatecznie szkoda i nikt z tego nie umrze, że w niedzielę nie dostanie i nie odczyta dziennika; owszem — niejeden niemałoby na tem skorzystał, bo raz przynajmniej na tydzień wziąłby może do ręki pożyteczną książkę. Kto pracuje na poczcie, ten pracować musi i w niedzielę i w święto od 8—12 rano, a następnie od 2—6 wieczorem, tak że urzędnicy w żaden sposób iść do kościoła i Mszy św. słuchać nie mogą. Zostając urzędnikami pocztowymi, muszą przestać być chrześcijaninami. Przynajmniej w największe święta należy koniecznie urzędnikom pocztowym zostawić tyle wolnego czasu, aby wywiązać się mogli z chrześcijańskich swych obowiązków.

ROZPRAWY W PARLAMENCIE WIEDEŃSKIM.

Ale zaprowadzenie i przestrzeganie spoczynku niedzielnego we wszystkich, o ile to możliwem, ale przedewszystkiem w instytucyach od państwa zależnych, — to jeden tylko szczegół z obszernego programu, od któ-

rego spełnienia zależy, jak gdzieindziej tak w Austryi, zwycięstwo zdrowych chrześcijańskich zasad w walce ze zgniłym liberalizmem, równie jak z nierachującym się w obiorze środków socyalizmem. Widmo socyalistycznych ruchów, występujące na austryackim horyzoncie coraz groźniej i wyraźniej, natchnęło w czasie ostatniej sesyi parlamentarnej wielu mówców prawdziwie złotemi, z męską otwartością wypowiedzianemi przestrogami i naukami; kwestya reform socyalnych i reform szkolnych w duchu chrześcijańskim, łącząc się ze sobą w wygłoszonych mowach, jak w rzeczywistości się łączą, ciągnęły się niby czerwona nić przez parlamentarne obrady.

Sprawozdawca większości przy obradach nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych, dr. Kathrein, oświadczył bez ogródki: Smutne wybryki, których widownią stała się w ostatnich czasach nasza monarchia i jej stolica — to dojrzały owoc nowej, bezwyznaniowej szkoły. Kto nauki chrześcijańskie w sercu nosi, ten nie da się porwać rewolucyjnemu prądowi, do gwałtów, do grabieży ręki nie przyłoży. Jakie wychowaliście sobie pokolenie, takie macie; a jeśli lękacie się słusznie o przyszłość, natenczas nie zwlekajcie z zaprowadzeniem chrześcijańskiej szkoły, z przywróceniem duchowieństwu należnego wpływu na społeczeństwo. W tym samym duchu przemówił dr. Ebenhoch, walcząc za koniecznością zaprowadzenia szkoły wyznaniowej. Sprawozdawca w obradach nad budżetem szkolnym, dr. Bobrzyński, choć naturalnie za szkołą wyznaniową się nie oświadczył, to przecież wyznał wprost i z jasnością, — za którą lewica wcale mu wdzięczną nie była — że Kościół nie może, wedle dziś istniejących praw, z zadania swego w szkole ludowej się wywiązać, i dostatecznego a niezbędnego wpływu na wychowanie nie posiada. „Baczne oko zwrócić należy, — ostrzegał dr. Pscheiden — aby komunistyczne, socyalistyczne idee nie przedostały się do szeregów naszych mężnych, chrześcijańskich żołnierzy; bo rzecz prosta, że jeśliby do kół wojskowych ten prąd się przedarł, natenczas nie możnaby rachować wszędzie i zawsze na pomoc wojskową w obronie spokoju i porządku... Żołnierz we wierze ugruntowany, pokłada-

jący nadzieję w zaziemskiej nagrodzie, gotów jest w każdej, nawet najkrytyczniejszej chwili oddać krew i majątek za ojczyznę, za spełnienie obowiązku. Wojsko nasze słynie oddawna karnością; karność ta jest podporą wojskowej naszej potęgi,—ale sama, jako na swym fundamencie, opiera się na religii. Przeto żywię pewną nadzieję, że nigdy nie nadejdzie czas, w którym chrześcijańscy rodzice żalićby się musieli, że synowie ich służąc w wojsku, narażeni są na jakikolwiekbądź uszczerbek w wierze lub obyczajach".

MOWA MINISTRA ROLNICTWA. Nie oddawna z poselskiej trybuny wiedeńskiego parlamentu odzywają się tak rozumne, prawdziwie chrześcijańskiem zapatrywaniem się na świat kierujące się głosy; ale co było prawdziwą, a lepszą przyszłość dla Austryi rokującą niespodzianką, to, że i z ministeryalnego fotelu padły niespodzianie po raz pierwszy od lat niepamiętnych słowa szczerze a śmiało chrześcijańskie. Minister rolnictwa, hr. Falkenhayn, omawiając stosunek pracy do kapitału, i uporawszy się z fałszywemi lub przesadnemi zarzutami, stawianemi kapitałowi,— zapytał następnie: czego potrzeba, aby kapitał, a raczej kapitaliści, na istotne zarzuty nie zasługiwali?

„Aby kapitał nie stał się złotym cielcem, aby przed nim wszyscy nie klękali, a cała ludzkość w około niego nie tańczyła — do tego, zdaje mi się, jedno jest niezbędnem: ścierpieć nie należy, aby wszystko, co do religii się odnosi, nurzanem było w błocie; aby wszystko, co z religią się wiąże, poddanem było szyderstwu i pogardzie; aby życie pozagrobowe, śmieszną, przestarzałą ideą się zwało; aby, mówiąc krótko, ośmieszano wiarę w Boga. Jeśli w tej myśli będziecie postępować, i silnie a wytrwale podtrzymywać cześć dla dziesięciorga przykazań Bożych bez żadnego wyjątku,—natenczas będzie rzeczą łatwą i naturalną, że pierwsze cztery przykazania,— będące fundamentem wszelkiej powagi, rządzącej w państwie, rodzinie lub gdziebądźindziej — że cztery te przykazania bezpieczeństwo wam zapewnią; a gdy wezwiecie opieki państwa przeciw naruszającym siódme przykazanie, państwo będzie

miało dość mocy i siły, aby opieki tej wam udzielić. Bo skoro wiara w wszelką powagę zupełnie z serca ustąpi, co ze zniknięciem wiary w Boga koniecznie musi nastąpić, — natenczas państwu, przy najlepszych nawet chęciach, bardzo będzie trudno dopełnić swego obowiązku, i pospieszyć z pomocą wołającym na gwałt, skarżącym się o gwałcenie siódmego przykazania!“

Co znaczy to wystąpienie ministra? — czy to zwrot rządu do katolickich konserwatystów, zapowiedź wejścia w kwestyi socyalnej na wybitnie chrześcijańskie tory? Śmiałe słowa ministra tak przeraziły liberalnych przewódców, obelga rzucona złotemu cielcowi — jak ironicznie wyraził się jeden z wiedeńskich dzienników — tak ich formalnie oszołomiła samą swą nadzwyczajnością, że przewódca lewicy dr. Plener, do walki się zerwawszy, walczyć zaczął przeciw zdaniom, o których minister bądź ani słowem nie wspomniał, bądź nawet wyraźnie przeciw nim nie zastrzegł. Niefortunna to była walka; a gdyby nie rozchodziło się o sprawy tak doniosłe i nie rozgrywała się w parlamencie, trudnoby jej odmówić niemałej dozy komizmu. W każdym razie dr. Plener, który ostatecznie w obec odczytanego stenograficznego protokółu z mowy ministra przyznać się musiał, że sam mowy tej nie słyszał, a że informujący go przyjaciele również widocznie jej nie słyszeli, — nie wyszedł z wojskowemi honorami z tej potyczki. Bodaj tylko pierwszy ten krok nie był ostatnim; bodaj nie okazało się, — jak szyderczo już prorokują liberalne dzienniki — że minister rolnictwa, waleczny, ale błędny rycerz, sam jeden na własną odpowiedzialność w wir walki się rzucił, lecz postawionego programu bez poparcia przeprowadzić nie zdoła. Ale czy wtedy — za kilka, dajmy na to kilkanaście lat — gdy wybuchną nowe rozruchy, jak w ostatnim czasie wybuchły w Wiedniu, Białej, Pradze; gdy zerwie się znowu z niebywałą dotąd potęgą, wszystko po drodze druzgocząc, socyalistyczny potok; — czy wtedy znajdzie się siła, którąby rozszalałemu temu potokowi położyła tamę; czy same karabiny wystarczą, i czy zwrócą się w stronę, przez komendę wskazaną? Odpowiedź na to groźne pytanie

dał w parlamencie dr. Pscheiden w powyżej zacytowanym ustępie swej mowy. Jeźli groźne pytanie — to groźna i odpowiedź; a w obec niej trudno nie zgodzić się z najznakomitszymi chrześcijanami, usiłującymi reformować w duchu chrześcijańskim obecne stosunki społeczne równie w Austryi, jak w Niemczech, we Francyi i w Anglii: „Dziś nie czas na liberalne frazesy i bawidełka; w obec zbliżającego się szybkim krokiem niebezpieczeństwa, trzeba się uciec do radykalnego lekarstwa: rozwinąć w całej pełni sztandar zapomnianych chrześcijańskich zasad, chrześcijańskiej moralności, sprawiedliwości i miłości".

KONFISKATA »FUNDACYJ POBOŻNYCH«.

Gromadzące się we Włoszech przez szereg wieków dzięki tym chrześcijańskim uczuciom i zasadom „pobożne fundacye", niosły ulgę nędzy w najrozmaitszych jej objawach: zaślepiony sekciarską nienawiścią rząd włoski spocząć nie chce, póki fundacyj tych nie roztrwoni, niszcząc w ten sposób jedną z najsilniejszych zapór przeciw socyalistycznym prądom. Każde inne państwo, które taką zaporą mogłoby się poszczycić, starałoby się wedle sił ją utrwalać i wzmacniać; Crispi, wymógłszy na ślepo sobie służącej izbie deputowanych konfiskatę pobożnych funduszów, nie oszczędził żadnych starań, aby zmusić i senat do zgodzenia się na tem obrzydliwszy, że w legalne formy ustrojony rozbój. Dla uspokojenia zbyt drażliwych sumień, prezes ministeryum włoskiego nie zawahał się dowodzić, że nowe prawo nie tylko nie jest skierowane przeciw Kościołowi, jak to utrzymywały przed niewielu dniami „dostojne usta" Leona XIII, nietylko nie jest prawem rewolucyjnem, — lecz przeciwnie, ma wyłącznie na celu dobro ubogich, zapewnienie fundacyom dokładniejszej administracyi. Zdawało się istotnie, że senat pójdzie na lep tych gładkich słówek: paragraf 11, zakazujący wybierać mniejszych proboszczów do wydziałów zarządzających fundacyami, został przyjętym przez senat, wbrew poprawkom komisyi, 111 przeciw 55 głosom. Żywsza dyskusya wywiązała się dopiero przy obradach nad paragr. 87, mocą którego rząd otrzymywał niczem

w praktyce nieograniczoną władzę rozporządzania, nie oglądając się na wolę fundatorów, pobożnemi fundacyami wedle własnego widzimisię. „Artykuł ten — ostrzegł i zagroził Crispi, chcąc upornych senatorów nastraszyć — stanowi właściwą istotę nowego prawa; rząd na jego zmianę w żaden sposób zgodzić się nie może, — a w razie niepomyślnego wyniku głosowania, wyciągnie najdalej idące konsekwencye parlamentarne". Pomimo tej groźby, senat w tajemnem głosowaniu odrzucił większością 93 przeciw 76 głosom pierwotny projekt rządowy, a zgodził się na poprawkę, wprowadzoną przez komisyę. Czy, i jakie Crispi wyciągnie obecnie konsekwencye z tego, z taką siłą danego sobie wotum nieufności? W pierwszej chwili mówiono o dymisyi gabinetu, o rozwiązaniu parlamentu i odwołaniu się do wyborców; ale na naradzie koronnej inna, wyznać trzeba, że dla Crispiego o wiele bezpieczniejsza taktyka przemogła. Senatowi nakazano rozprawiać, a raczej głosować nad dalszemi paragrafami; a senat rad, że raz przynajmniej udało mu się złożyć dowód swej niezależności, przyjął już je bez zmiany. Odrzucony par. 87, stanie ponownie przed izbą niższą, która naturalnie ponownie wśród oklasków go zatwierdzi; tymczasem rząd, obdarzy 40 lub 50 pewnych swych stronników senatorskiemi dyplomami, i z ich pomocą odniesie — rzecz prosta — świetne zwycięstwo!... Nie pierwszy to raz, i nie we Włoszech tylko taka senatorska komedya się odgrywała i udawała: — czemuż obecnie nie mianoby jej powtórzyć?

W. MISTRZ WŁOSKIEGO W. WSCHODU ZŁODZIEJEM.

W czyjej służbie, dla czyich interesów i z czyich rozkazów przystępuje rząd włoski do konfiskaty funduszów pobożnych? Odpowiedzią na to pytanie arcyciekawa interpelacya, wniesiona w Montecitorio w tej samej chwili, w której senat, po chwilowej próbie oporu, chylił się przed wolą włoskiego dyktatora; interpelacya, wniesiona nie przez „klerykałów", ale przez czerwonych radykałów ze skrajnej lewicy. Wedle cyfr i faktów, przytoczonych przez przewódcę radykałów, Imbrianiego, rząd poruszył przed paru laty dostawę amerykańskiego tytoniu Wielkiemu Mistrzowi włoskiego

wolnomularstwa, Lemmi'emu; a monopol ten dopiero od roku 1887, jakby ze względu na Lemmi'ego zaprowadzony, poruczył mu w warunkach tak śmiesznie dla siebie niekorzystnych, że traci rocznie na korzyść Wielkiego Mistrza przeszło trzy miliony franków.

„Jak wytłómaczyć — pytał Imbriani — ten monopol, istniejący pod wysokim protektoratem ministra, który głosi się publicznie wrogiem monopolów? Jak wytłómaczyć, że nigdzie i nikogo, prócz jednego Lemmi'ego, nie uwiadomiono o toczącym się interesie? Tem chyba, że konklawe w. Wschodu rzymskiego zasiada właśnie na ministeryalnej ławie. Wielki Mistrz Lemmi pisze od czasu do czasu okólniki wielbiące i popierające rząd; a wdzięczny rząd ofiarowuje mu za tę usługę trzymilionową pensyę. Niegdyś, kto wchodził w szeregi wolnomularzów, ten poświęcał dla ich celów część swego majątku: dziś, kto zostaje wolnomularzem, myśli o tem, aby się wedle możności obłowić".

Rząd — „konklawe w. Wschodu", jak nazwał go Imbriani — usiłował w pierwszej chwili odwlec odpowiedź na interpelacyę na czas nieograniczony; ale w obec powszechnego oburzenia musiał ustąpić, i przyrzec, że z wyjaśnieniami jak najrychlej się pośpieszy. Co najciekawsza, to, że te same organa, które udawały dotąd, że nie rozumieją, dlaczego Kościół katolicki występuje tak energicznie przeciw wolnomularstwu,— zmieniły ton pod wpływem rzuconego oskarżenia, i jakby chcąc się z góry oczyścić od podejrzenia o wspólnictwo, same dzwonią na alarm. „Wielki Wschód włoski — pisze *Tribuna* — osobiście w tę sprawę jest wplątany; a wiemy wszyscy, jak niezmierny on wpływ wywiera na politykę, i jak wpływ ten wysoko i szeroko się rozciąga... Tem też słuszniejsze było oburzenie Imbrianiego; słowa jego były zresztą tylko zwierciadłem, przedstawiającem wiernie uczucia i myśli wszystkich i każdego z osobna, kto się u nas polityką zajmuje". Podobnie wyraża się *Popolo Romano*, nie kryjąc zdziwienia, jak minister Seismit-Doda mógł próbować, czy nie uda się wynaleść jakiego jaśniejszego promyka w tak oczywiście brzydkiej sprawie. Do

tego chóru oburzenia nie przyłączył się tylko przyboczny organ Crispiego, *Capitan Fracassa;* owszem — zaklął wszystkich włoskich liberałów w następnym, bardzo charakterystycznym komunikacie, aby w imię wspólnej nienawiści do Kościoła, nie wywlekali na przyszłość na wierzch wolnomularskich brudów, i zagrożonej sekcie spieszyli z pomocą:

„Włoscy liberali zrozumieli przecież i bezwątpienia rozumieją olbrzymią wagę i zadanie wolnomularstwa. Wiedzą, że jest ono braterskiem połączeniem wszystkich sił antyklerykalnych bez różnicy szkół politycznych; jest obszerną a potężną instytucyą, mającą na celu walczyć twarzą w twarz, odkrywać i niweczyć podziemne zabiegi klerykalizmu; słowem — jest instytucyą stojącą w obronie cywilizacyi, która zwłaszcza we Włoszech, z powodu kwestyi rzymskiej, musi na sobie przedewszystkiem nosić cechę patryotyczną".

Kiedy niedawno temu Don Chisciotte wystąpił w długim artykule w obronie zapoznanego dotąd i zgwałconego „przez religie, prawne kodeksy i sędziów p r a w a z a b i j a n i a swych bliźnich", — wzięto to za waryacki wybryk, za żart niesmaczny, choć autor oryginalnej tej teoryi nie jest wcale waryatem, wcale nie dla żartu ją rozwinął; ale jakże nazwać i co sądzić o ludziach i dziennikach, które kruszą kopję w obronie złodzieja, dlatego, że kradzieży dokonał na wielką skalę, a na pierwszem miejscu dlatego, że przewodniczy instytucyi, „mającej na celu zwalczać klerykalizm?"

MOWY WINDTHORSTA I KS. STABLEWSKIEGO.

W sejmie berlińskim poruszyli znów katolicy cały szereg życzeń i żądań, od których wielokrotnem niepowodzeniem niezrażeni, pewni ostatecznej wygranej, ani na włos odstępować nie myślą. Sprawa wrócenia Kościołowi skonfiskowanych funduszów na mocy ustaw „obrocznych", ustanowienie katolickiego wydziału w ministeryum wyznań, zniesienie a przynajmniej ograniczenie nader uciążliwego i smutnego w następstwach prawa rządowego „veto", kwestya powrotu wygnanych zakonów, — przychodziły kolejno na stół, domagając się natarczywie rozwiązania przez usta energicznych, a wyćwiczonych w boju szermierzy, równie z Cen-

trum, jak z Koła polskiego. Wszystkie te żądania i wywody streścił Windthorst w programowych swych mowach: nakreślił ogólny obraz potrzeb katolików, okazał, jak potrzebom tym należy zaradzić, a następnie po mistrzowsku, ze zwykłą ciętością, odpowiedział na zarzuty, podniesione przez ministra Gosslera.

„Dla katolickich spraw — mówił przewódca Centrum — powinien właściwie zasiadać w ministerstwie minister katolicki, dla ewangelickich ewangelicki. Jeźli panowie sądzicie, że to wszystko jedno, dlaczego nie zrobicie mię ministrem wyznań dla ewangelików? (Wielka wesołość)... Dziś nie żądamy, aby minister wyznań i oświaty był katolikiem, lub też, aby zamianować dwóch ministrów: ewangelika i katolika, — choć zastrzegam sobie, że niebawem postawimy może i taki wniosek... Dziś żądamy, aby katoliccy radcy znajdowali się w ministeryum w odpowiedniej liczbie... Nie mamy dotąd możności przedstawiania cesarzowi bezpośrednio katolickich naszych zapatrywań przez katolickie usta; to też pragnę przy najbliższej sposobności postawić wniosek o przesłanie do Jego Cesarskiej Mości adresu z pokorną prośbą, iżby raczył wprowadzić w życie urządzenia, które nam katolikom zapewniałyby stały i regularny udział w załatwianiu spraw katolickich...

„Ustawa o zakonach usuniętą być musi. Wedle naszego doświadczenia i przekonania, jedne zakony są w stanie stanąć do zwycięskiej walki z żywiołami socyalnemi — i zdumieć się trzeba, że radcy korony, pocący się nad wymyśleniem środków, mogących zażegnać niebezpieczeństwo, nie zrozumieli i panu ministrowi nie wyjaśnili, jak rzeczą jest niezbędną, aby Kościół katolicki, jeźli wywiązać się ma w całej pełni z swego zadania, odzyskał zupełną wolność w działaniu. Bez wolności nie sprosta wielkiemu dziełu, które spełnić mu przypada. Cesarz do tego samego w okólniku swym zmierzał; a panowie z biurokratyczną ścisłością o każdą drobnostkę się kłócicie, okazujecie nam ciągłą nieufność, choć tylko wzajemne zaufanie daje siłę, zapewnia jedność... Zakony, które dotąd mamy, zajmują się w największej części pielęgnowaniem chorych; a zdaje mi się, że w obec ogromu nędzy ludzkiej cieszyćby się tylko należało z ich starań i pracy, i nie obliczać tak troskliwie przez landratów i burmistrzów, czy jeszcze jedna siostrzyczka lub braciszek zakonny może się do jakiego miasta dostać, czy niema w mieście o jednę siostrę

lub braciszka za wiele... Nie prowadźcie tak małodusznej polityki! Zróbcie tę rzecz raczej na wielką skalę; leży to przecież i w waszym własnym interesie. Wolność zostawiona Kościołowi i chrześcijańska szkoła: oto — powtarzam — jedyne lekarstwa przeciw chorobom wieku naszego. Jeźli lekarstw tych nie chcecie, wtedy nie nasza wina, że zginiecie wśród trapiących was boleści!"

Wymowniejszemi jeszcze, — słusznie można powiedzieć — bo przepełnionemi, i to w najrozmaitszych kierunkach, bolesnemi cyframi i faktami, o których w głębi Niemiec dziś już nie słychać, — były skargi polskich posłów. Istotnie dotąd — jak skonstatował ks. dr. Stablewski — oprócz kilku kongregacyj, zajmujących się pielęgnowaniem chorych [1], nie pozwolono ani w Księstwie Poznańskiem ani w Prusach zachodnich, na przywrócenie ani jednego zakonu, ani jednego klasztoru. „A przecież — jak ciągnął dalej znakomity nasz mowca — gdyby pan minister zechciał się kiedy postarać o trochę czasu i przedmiotową informacyę, niewątpliwieby się przekonał, że np. klasztor Filipinów w Gostyniu pozostaje dotychczas pod grozą ustawy o zakonach, jedynie z powodu nieznajomości reguły Filipinów... Gdyby rząd uważał nietylko na jednostronne *berychty* tych panów, którzy się zapędzili w kierunku kulturnicznym, lecz gdyby szukał informacyj w kraju u Niemców, nietylko katolików, ale nawet protestantów, — przekonałby się, że nasza ludność, nietylko katolicka, ale i protestancka, uważała i uważa u nas czynność zakonów za bardzo pożyteczną i zbawienną".

Ks. Jan Badeni.

Towarzystwo „Jutrzenka" w Poznańskiem.

Trzecia republika we Francyi osobną stworzyła terminologię, wzbogacając mowę ojców mnóstwem barbaryzmów, o jakich im się nie śniło wcale: z tych najgłośniej i najczęściej występuje t. zw. laicyzacya — zeświecczenie dzieł chrześcijańskiego miłosierdzia, zakładów wychowawczych, nawet związków i stowarzyszeń, powstałych

[1] Elżbietanki mają klasztory w Poznaniu, Ostrowie, Wschowie, Śremie, Jerzycach i w Sierakowie; Boromeuszki w Rokitnie i Kępnie.

na łonie Kościoła. Prąd to zresztą nie wyłącznie francuski, lecz przejawiający się dziś we wszystkich krajach świata. Że jednak zlaicyzowane instytucye tchnąć zwykły sztucznem naśladownictwem, stanowią one blade tylko i zimne kopije świetnego oryginału. Zawiązane przed pół wiekiem z górą bractwo wstrzemięźliwości, ocaliło od upadku i zbydlęcenia krocie jednostek, dźwignęło całe rodziny i gminy, oddziałało dobroczynnie na byt narodów. Wystarczy wspomnieć skuteczną w Irlandyi krucyatę Ojca Mathew, który pełnem ognia apostolstwem, nie tylko szynki słowem swojem zamykał, ale nawet gorzelnie znosił i kominy fabryk wódki gasił; w Poznańskiem zaś działalność biskupa Dobrowolskiego, popartą następnie misyami Jezuickiemi, a utrwaloną po dziś dzień czujnością dusz-pasterzy w poszczególnych parafiach. Błoga skuteczność bractwa wstrzemięźliwości stwierdza się najpiękniejszemi statystykami. Wszelako mania laicyzacyi i na tem polu się przejawia. Związek amerykański *tee-totalerów* energicznie z alkoholizmem walczy, stowarzyszenie Niebieskiego krzyża w Genewie podobneż wywiesiło hasło; czemużby i u nas nie poniechać czysto religijnego bractwa, nie spróbować świeckich środków zwalczenia złego? I oto powstaje w Poznaniu towarzystwo „Jutrzenka“, o zacnym zresztą programacie i podniosłym sztandarze. Wykreśliwszy politykę z zakresu swych czynności, „Jutrzenka“ wytknęła sobie za cel wyraźny walkę z pijaństwem, pobocznie zaś i z karciarstwem i z zbytkami i z marnotrawstwem. Nader poczciwie odzywa się z nawoływaniem do poprawy, wskazuje, iż około 400 milionów marek kraj nasz wydaje na wino, wódkę i piwo; że gdyby na tem polu stanowczą zaprowadzić odmianę, ogólny stan finansów odrazuby się poprawił, a poziom moralny dźwignął. Niesłusznie jednak nowy związek przyznaje sobie pierwszeństwo pracy w tym kierunku; mylnie twierdzi, iż dotąd mało lub prawie nic nie uczyniono, ażeby tę straszną wytępić zarazę. Kościół nie od dziś z nią walczy, a jak skutecznie, wystarczy stawić krocie członków bractwa wstrzemięźliwości, naprzeciw kilku tysięcy zaciągów Niebieskiego krzyża lub skromnego pocztu stu członków poznańskiej „Jutrzenki“. To lekceważenie olbrzymich zasług Kościoła i pracy kapłanów katolickich, nieco razi w programowej odezwie nowego stowarzyszenia. A jakby do uzupełnienia laicyzacyi związków po parafiach pod wezwaniem i opieką śś. Pańskich zakładanych, „Jutrzenka“ za patrona stawia sobie Staszyca, prawego i gorącego zapewne patryotę, lecz owianego chłodną bezwyznaniowością XVIII

stulecia. Nie bardzo nam się chce wierzyć w powodzenie sprawy, mimo szlachetnego jej celu, bo na przyrodzone cnoty, zwycięstwa i walki, trudno liczyć bez nadprzyrodzonej pomocy i podniety. Cała wadliwość założenia i początku ztąd pochodzi, iż bractwo wstrzemięźliwości zepchnięto do wyłącznego użytku i pożytku ludu, mniemając, iż wyższe sfery społeczne nie potrzebują wędzidła przeciw państwu; pokazuje się tymczasem, iż obecnie lud stosunkowo dużo mniej pije od klas oświeceńszych, choćby dlatego samego, że wódka podrożała, a tymczasem t. zw. intelligencya miejska traci nieprzeliczony kapitał czasu i pieniędzy, po kawiarniach, piwiarniach i restauracyach. Zgnuśnienie i wyjałowienie ducha i życia idzie w parze z tem przyzwyczajeniem, które niejednokrotnie w zgubny zamienia się nałóg. Dla tych panów, mniej garnących się do kościoła, może „Jutrzenka“ rzeczywiście nową zaświtać zorzą, kładąc tamę marnowaniu systematycznemu tylu godzin dnia, tylu groszy i zasobów fizycznego czy moralnego zdrowia. A jednak, czyby nie lepiej było w tej samej zacnej myśli podjąć istniejącą już tylko instytucyę, i ręka w rękę z ludem, braterskie i brackie składać śluby wstrzemięźliwości.

Z pośród różnych planów i zamiarów, poruszonych w ustawach i uwagach „Jutrzenki“, podoba nam się głównie myśl otworzenia w Poznaniu taniej kawiarni, z wyłączeniem gorących trunków. Nie nowy to pomysł, rozszerzony od lat kilku w Królestwie Polskiem, zapomocą zakładanych tamże po wsiach i miasteczkach gospód chrześcijańskich, gdzie także usiłują herbatą, kawą i przekąskami odciągać ludzi od żydowskich szynków. „Jutrzenka“ występuje poczciwie, ale z pewną naiwnością, gdy między innemi, wspomina o wysyłaniu swoim kosztem na prowincyę krzewicieli wstrzemięźliwości, jak gdyby ich w każdej parafii w osobie jej kierownika nie było! Nie chcielibyśmy zniechęcać ani ganić zdaleka uczciwych zamiarów założycieli „Jutrzenki“ — owszem, ślemy im szczere życzenia powodzenia, sądzimy atoli, iż pokorniej i pobożniej działalność swą zaszczepiając na starem drzewie bractwa wstrzemięźliwości chrześcijańskiej, nierównie skuteczniej i pożyteczniej wpłynęliby na społeczeństwo, któremu służyć i które dźwignąć pragną.

Odwiedziny w Budziszynie.

Było to w r. 1888, kiedy wracając na Pragę i Drezno z Wartenberga, klimatycznego miejsca w północnych Czechach, dążyłem

do Budziszyna, głównego miasta Łużyc Saskich. Prócz chęci zobaczenia starożytnego słowiańskiego grodu, ciągnęła mnie tam ciekawość poznania ks. Michała Hornika, niestrudzonego pracownika na polu języka i literatury łużyckiej, do którego miałem bilet polecający od pewnego Czecha, profesora slawistyki na uniwersytecie warszawskim. Nawiasem mówiąc, slawistyka jestto umiejętność bardzo nieokreślona, której mi nawet sam profesor dokładnie wytłómaczyć nie umiał, omawiając ją np. w ten sposób, że wchodzi w nią archeologia, mitologia, językoznawstwo i literatura słowiańska — co na mnie robiło wrażenie, jakoby to był jakiś konglomerat naukowy, rodzaj encyklopedyi słowiańskiej, z silnym przytem zakrojem panslawistycznym w duchu rosyjskim, dotąd tylko w Warszawie, a podobno i w Moskwie wykładany. Spotkanie z ks. Hornikiem urzeczywistniło, a pod względem gościnności i serdecznego przyjęcia, przewyższyło moje nadzieje. Po nader przyjaznem powitaniu, zaraz na wstępie z zajęciem począł się mnie wypytywać o nasze stosunki, dodając, że niedawno był w Warszawie, i nader miłego doznał przyjęcia. Znał także i Kraków, gdzie był przed kilkunastu laty. Rozmawialiśmy po polsku — on nieco zatrącając z łużycka, tak jednak, że go doskonale zrozumieć mogłem. Ponieważ zbliżała się pora obiadowa, zaprosił mnie do wspólnego w gmachu kapitulnym refektarza, abym tam poznał całe duchowieństwo budziszyńskie, wśród którego znajdował się także jeden z kanoników katedralnych; inni bowiem zatrudnieni są w okolicy, jako proboszczowie po parafiach. W samym Budziszynie jest tylko jedna parafia katolicka z dwoma kościołami, z których jeden katedralny dla Niemców katolików — drugi wendyjski lub łużycki, przeznaczony dla Łużyczan katolickich, albo, jak ich Niemcy nazywają, Wendów, gdzie też kazania i cała służba Boża, z wyjątkiem Mszy św. i innych liturgicznych czynności, odprawia się po łużycku. Przy tym kościele proboszczem jest ks. Hornik, który jest zarazem wikaryuszem katedralnym. Kościół katedralny wielki i piękny w stylu gotyckim, podzielony jest przez wysoką kratę na dwie części; mniejsza część z presbiteryum jest dla katolików, większa z główną nawą służy protestantom, gdzie się zgromadzają na swe obrzędy i kazania. Jestto może jedyny przykład takiego połączenia dwóch tak przeciwnych wyznań pod jednym dachem, spowodowany koniecznością ze strony katolików, aby im protestanci całego kościoła nie wydarli. Kościół pochodzi jeszcze z XII lub XIII wieku, i na zewnątrz robi imponujące wrażenie. Aż do reformacyi nie widział on

oczywiście w sobie jak tylko samych katolików; kiedy jednak w r. 1560 ostatni biskup misneński, Jan Haugwitz, do którego dyecezyi należał Budziszyn, odpadł od wiary katolickiej i przeszedł na luteranizm, przeszły także na nową wiarę miasta i szlachta, a pozostał tylko wiernym religii katolickiej lud w tych wsiach, które należały do kapituły budziszyńskiej i do klasztoru w Maria-Stern. Dziś Budziszyn liczy około 15.000 protestantów, a 2000 katolików, między którymi kilkuset Łużyczan; a choć tych ostatnich jest w mieście daleko więcej, bo około kilku tysięcy, to jednak przeważna ich część jest protestancka, i ma swój zbór własny, w którym także wszystko odprawia się po łużycku.

Po południu ks. Hornik zaproponował mi, żebyśmy pojechali w okolicę Budziszyna, tak dla poznania katolików Łużyczan po wsiach, jakoteż dla zwiedzenia nowo wybudowanego kościoła w Storche; którato wieś nazywa się właściwie po łużycku Boczoń, a jedzie się do niej przez inne miejscowości, których nazwy także pozmieniali Niemcy na swoje, jak np. Dreikarczmendorf, co oczywiście pierwotnie brzmiało: Trzy karczmy. W Boczoniu po obejrzeniu pięknego w stylu romańskim kościoła, przez duchowieństwo budziszyńskie ze składek na to wybudowanego, aby pobliski wendyjski pastor nie przeciągał do swego zboru mniej oględnych katolików, którym daleko do kościoła w Budziszynie, — udaliśmy się do mieszkań niektórych gospodarzy, którzy z radością witali swego ojca duchownego i przyjaciela ks. Hornika. Nie trzeba sobie jednak wyobrażać tych mieszkań, jakby naszych chałup wiejskich z całą ich ciasnotą i nieporządkiem, gdyż są to domy najczęściej piętrowe, wygodnie, a nawet z pewnym komfortem urządzone — mające w tyle wielkie w kwadrat zabudowania, w których mieszczą się stajnie, obory, spichlerze — na środku zaś dziedzińca pompa lub studnia z korytem — a w tyle w wielkiej ilości, tak potrzebny w gospodarstwie nawóz. Wieśniacy, ludzie prawie wszyscy inteligentni, w których obejściu przebija pewien hart duszy i męska prostota. Niektórzy byli przy pracy w polu, atoli na wiadomość, że jest u nich ich pasterz, przyszli zaraz, przepraszając, żeśmy ich w zwykłem ich przy pracy ubraniu zastali, i że się już przebrać nie mogą. Częstowano nas kawą i — o ile sobie przypominam — miodem; rozmowa zaś toczyła się z konieczności dla mnie po niemiecku, gdyż choć próbowałem zagadać do nich po polsku, na co oni odpowiadali mi po łużycku, to jednak prędkośmy się przekonali, że się w ten sposób porozumieć nie zdołamy. Więcej jednak jak rozmowa podziałał na

mnie widok osób i całego otoczenia, z którego widać było dostatek, w ludziach zaś zdrowie, zadowolenie, pewną zaufałość w sobie, a nawet ogładę towarzyską. Niektórzy z gospodarzy mają po 60 i 80 morgów, a rzadki, któryby miał mniej jak 20; inwentarz liczny i dobrze utrzymany; żydów po karczmach niema, a w każdej wsi piętrowa murowana szkoła, w której nauczyciel, prowadzący codzień dzieci do kościoła i czuwający pilnie nad ich religijnem i moralnem wychowaniem.

Wracając w wygodnym powozie, własności kapituły budziszyńskiej, z ks. Hornikiem z naszej wycieczki na wieś, rozmawialiśmy tak wtedy, jak i przy następnem na drugi dzień widzeniu, o wielu rzeczach, tyczących się kraju i mieszkańców, z czego tu treść podaję. Ziemia jest Łużyca, a naród Serbowie; dla odróżnienia jednak od Serbów południowych dodaje się: Serbowie łużyccy; choć Niemcy, stale wszystkich Łużyczan Wendami nazywają. Język jest najwięcej zbliżony do polskiego, a jeszcze więcej dolno-łużycki, jak górny. Tak np. w polskim języku, przyjaciel — w dolno-łużyckim, *přijaśel* — w górno-łużyckim, *přećel;* polskie Stworzyciel — w dolno-łużyckiem narzeczu *Stworišel* — w górno-łużyckiem *Stworićel*. Jest także wielkie zbliżenie do czeskiego. Niektóre słowa są żywcem z niemieckiego wzięte, jak np. *hela*, piekło, z niemieckiego *Hölle*. W dolnych Łużycach niema katolików, w górnych jest 12.000; wszystkich zaś tak górnych (pod panowaniem saskiem), jak i dolnych (pod panowaniem pruskiem), jest około 200.000, chociaż Niemcy starają się tę liczbę zmniejszyć, utrzymując nadto, że ludności tej z każdym rokim ubywa; choć właśnie z zewnętrznego wyglądu, siły i czerstwości tej rasy wnosząc, rzecz zdawałaby się mieć przeciwnie. Pierwsza mała gramatyczka łużycka napisaną została bezimiennie przez ks. Jakóba Tycina T. J. pod tytułem: *Principia linguae Vendicae, quam aliqui Vandalicam vocant*, i wydaną w Pradze 1679 r.; pierwszy zaś kancyonał pod tytułem: *Serbske Khatolske Kherlusche* (Kyrie elejson) ukazał się w Budziszynie 1696 r., drugi zaś obszerniejszy wyszedł z druku w r. 1787 pod tytułem: *Kherluschowe knihi*. Najdawniejszy katechizm w języku łużyckim po niemiecku i po łużycku napisany, tj. jedna strona po niemiecku, druga po łużycku, jest z r. 1685 wydany w Pradze. Jestto tłómaczenie krótkiego katechizmu Piotra Kanizyusza T. J., stronnic około 30. Pierwszy słownik łużycki ukazał się w r. 1866 w Budziszynie, napisany przez Prof. Dra Pfuhl w Dreznie przy współdziałaniu pastora Seilera w Łazach i wikarego katolickiego w Budziszy-

nie, ks. Hornika. Słownik ten nosi tytuł: *Luzinski Serbski Słownik*. — *Lausitisch-Wendisches Wörterbuch*. Dla ochrony języka i narodowości łużyckiej założonem zostało w r. 1847 wielce już dziś zasłużone Towarzystwo Macicy Serbskiej, które wydaje od r. 1848 cenne bardzo czasopismo miesięczne pod tytułem: *Casopis Macicy Serbskeje*, którego redaktorem jest ks. Hornik. Obecnie jest wiele innych czasopism łużyckich, jak: *Missionski Poszoł*, *Katholski Poszoł*, *Serbski Hospodar*, *Łuzica*, *Pratyja*, *Serbske Nowiny*, których także redaktorem lub współredaktorem jest ks. Hornik. Napisał on prócz tego wspólnie z Wilhelmem Bogusławskim: *Historija Serbskeho Naroda*. *Budysin 1884*; a w r. 1882 wydał: *Delnjoserbske ludowe pesnje*; obecnie zaś pracuje wraz z innym uczonym serbskim, Jurijem Łuscanskim, nad przekładem z Wulgaty Nowego Zakonu, który zeszytami od r. 1887 w Budziszynie wychodzi, jeżeli już skończony nie jest. Z tego krótkiego przeglądu widzimy, że ks. Hornik jest jakby ów olbrzym, który na ramionach swoich utrzymuje przeważnie cały język i literaturę łużycką; a choć obecnie wielu ma pomocników i naśladowców, tak z pośród kapłanów jak i nauczycieli łużyckich, ze wszystkich jednak jest on najdawniejszym i najczynniejszym. Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że i pastorowie łużyccy silnie także przyczyniają się ze swej strony, przez kazania czasopisma i książki przez siebie wydawane, do utrzymania i rozwoju języka i narodowości łużyckiej. Ciągła walka z rządem pruskim, któryby jak najbardziej chciał ograniczyć i obniżyć wzrost i rozwój elementu łużyckiego, potęguje tylko usiłowania tak szlachetnych bojowników prawa i słuszności. Ks. Hornik jest jeszcze w sile wieku (około 60 lat), — spodziewać się więc należy, że jeszcze wiele zdziała na tem polu, na którem już tyle dokonał. Nie zatrzymując się już dłużej nad opisem wszystkich jego zapomocą słowa i pióra czynności, tudzież nad opisem miasta, które stało niegdyś na kresach słowiańskiego świata, broniąc go od zalewu germańskiego, — w którem około r. 1003 i następnie potem rezydował Bolesław Chrobry, czego ślad jeszcze w napół złamanym, wysoko na zamku budziszyńskim umieszczonym orle piastowskim pozostał, i gdzie w r. 1118 tyle chlubny dla Polski pokój z Niemcami zawarty został, — zapisujemy tu jeszcze tylko pełne zapału słowa tak wcześnie dla nauki zgasłego ś. p. Jana Hanusza, które w książce pamiątkowej ks. Hornika zapisał, a w których i nadzieje narodu łużyckiego i dzisiejszy pęd jego ku coraz bujniejszemu życiu zawarł:

„Naród nie zginie pokąd język żyje“ — napisali Czesi na gro-

bowcu Wacława Hanki na Wyszehradzie — i dowiedli tego już dzisiaj, gdy literatura jich dzisiejsza prawie na czele literatur słowiańskich stoji. Co zaczęli przed kilkudziesięciu laty Szafarzyk i Polacki, to samo dziś działa kilku mężów u Łużyczan. A że pracują gorliwie i wytrwale, jak owi Czesi, da Bóg, że za lat kilkadziesiąt będzie życie narodu serbo-łużyckiego tak samo tryjumfować, jak dziś tryjumfuje czeskie. W Budziszynie 25 października 1882. Jan Hanusz.

Pisałem w Krakowie w kwietniu 1890 r.

Ks. Dr. J. Bukowski.

Snussyzm,

tajny związek w Islamie.

Dobiegające swego kresu stulecie w zracznej części zatraciło piętno wielkości, która jego kolebkę odznaczała: pewna mierność zapanowała ogólnie w ludziach i czynach, w myślach i charakterach. Rzadkie podnioślejsze wyjątki rysują się tem wyraźniej na tle powszechnej i powszedniej pospolitości. Do takich należy niewątpliwie kardynał Lavigerie. Jest coś wspaniałego w tym starcu bezbronnym, który, jak żóraw samotny, stoi na kresach cywilizacyi, usiłując ciemny kontynent zdobyć oświacie i wierze, a ocalić od zagłady. Ludzkości dziś za ciasno w dawnych dzierżawach; przelewa się ona z starych siedzib swoich w nowe, niezbadane i niewyjałowione pola. Im więcej się otworzy szlaków dla międzynarodowego upływu i handlu — tem się lepiej przyszłości usłuży. Wielcy podróżnicy naszej epoki rozdarli zasłonę, kryjącą łono wnętrza Afryki, wskazali bogactwa tej tajemniczej ziemi, pochłoniętej barbarzyństwem, rozpoczęli pokojowy podbój równikowych przestrzeni. I oto w kilkanaście lat po ich wstąpieniu na afrykańską ziemię, stary biskup, który — jak sam mówi — całe swe życie poświęcił sprawie odrodzenia czarnego i zdziczałego lądu, oraz zwalczaniu w nim niewolnictwa, największej owych stron plagi, — znów wymowny swój głos podnosi, aby w imieniu cywilizacyi i ogólnego interesu ludzkości, nowe dać światu ostrzeżenie, uprzedzając o zbierającem się niebezpieczeństwie, które gotowe w straszliwą rozwinąć się nawałnicę — i nietylko zniszczyć wszelkie próby cywilizacyjne w Afryce, lecz jeszcze inne części świata zalać fanatyczną tłuszczą barbarzyńców.

Przed kilkoma laty bohaterski koniec Gordona i zwycięstwa

Mahdi'ego otworzyły oczy mieszkańcom starej Europy na żywotność Islamu, który nam się już tylko przedstawia w sennem dogorywaniu Turcyi i rządów sułtańskich. Nie znamy bo ustroju religii koranu, — i trzeba doświadczenia sędziwego patryarchy odradzającego się dziś afrykańskiego Kościoła, aby nam wyjaśnić istotny stan rzeczy. W obszernem piśmie, wystosowanem do prezesa międzynarodowej konferencyi brukselskiej, kardynał Lavigerie nowe przed nami odkrywa światy, nowe wyłuszcza groźby, wyłaniające się z barbarzyństwa, aby uderzyć taranem przeciw chrześcijańskiej cywilizacyi. Kwestya niewolnictwa związana jest bowiem nieodłącznie z inną, niespodziewaną zaiste, i nam przynajmniej dotychczas nieznaną. Podczas gdy tajne związki roztaczają europejską społeczność, usiłując ją przyprawić o ostateczną zgubę, — w Afryce podobnież ukryte muzułmańskie stowarzyszenia wszystko zniszczyć i pochłonąć gotowe, jeżli się na czas tamy ich postępom nie położy; a zajmują one już dwie trzecie olbrzymiego afrykańskiego lądu i wciąż rosną w znaczenie i potęgę! Nie jestto już mahometanizm prawowity z nad brzegów Bosforu lub Nilu, lecz fanatyczne sekty, naciągające do ostateczności naukę Proroka. Z wszystkich wyznań, z wszystkich nauk i kultów żadne nie odpowiadało lepiej samejże naturze murzyńskiej, jak Islamizm. Mahomet zaspokoił szlachetniejsze aspiracye duszy uznaniem najwyższej Istoty, sprawiedliwej i rządzącej światem Opatrzności; a równocześnie żadnego nie nałożył wędzidła na rozpasane obyczaje i zabobonną łatwowierność południowych ludności, wpajając w nie tylko ślepą pychę siły i zupełną obojętność na śmierć, cierpienie lub nędzę. Afryka podziśdzień siłę tylko uznaje, prawu mocniejszego się poddaje, nieczuła na żadne cierpienie słabych i zwyciężonych.

Stare przysłowie wschodnie opiewa, że cień muzułmanina na sto lat wyjałowi pole, po którem przechodzi. Zniszczenie i zagłada, jest hasłem Islamu. Widzimy co się ostało z śladów starorzymskiej cywilizacyi i kwitnącego w pierwszych wiekach Kościoła afrykańskiego. Od pięćdziesięciu lat, tj. mniej więcej od podboju Algieryi przez Francyę, i wznowionych prób przeszczepienia na te wybrzeża zachodniej oświaty, — jął się przejawiać w strupieszałem ciele religii Proroka nowy prąd życia, nowych podbojów zakusy. Arcybiskup Kartagi wyjaśnia nam powody tego rozbudzenia ducha i fanatyzmu. Otóż zasadą Islamu jest odnawianie swej istoty i ducha zapomocą coraz to nowych wysłańców i proroków. Ilekroć wiara stygnie, ilekroć przywódcy bisurmanów godzą się na przymierze z nie-

wiernymi lub się pod ich jarzmem uginają, — wnet nowy pojawia się prorok dla zagrzania ducha słabnących: i ten staje się przewodnikiem czyli *Mahdi*'m licznych zwolenników, tworzy nową sektę tajemną, a raczej — jak się wyraża — „Zakon", złożony z braci, którzy za przykładem swego hetmana, przeciw wszelkiej innej władzy rokosz podnoszą, uznając jedynie nad sobą rękę Mahdi'ego, pasowanego jakiemś nadprzyrodzonem powołaniem i widzeniem na reformatora Islamu.

Od dwóch wieków — poucza nas kardynał Lavigerie — wciąż się podobne związki czyli zakony pojawiały w Afryce, ale rozbite ich kierunki i nieliczne szeregi żadnej poważnej obawy nie mogły wzbudzać; dziś atoli ujęła ich jedna ręka, jeden wódz zjednoczył w potężną siłę, która zaciążyć gotowa na losach Afryki i świata. Wszystkie rozpierzchłe sekty, wszystkie odrębne zakony i związki muzułmańskie zeszły się pod wodzą wielkiego Mahdi'ego, który daleko za sobą zostawia podrzędnych awanturników, przybierających tenże tytuł. Urodzony w r. 1796 w pobliżu Oranu, umarł przed dwudziestu przeszło laty; po mistrzowsku umiał on wyzyskać wszystkie pierwiastki zapału, łączności, ślepoty i łatwowierności, właściwe afrykańskim plomieniom. Krótkie względnie życie starczyło mu do założenia podwalin olbrzymiego dzieła, które się dziś utrwala pod kierownictwem jego następcy i syna. Nazywał się nieskończonem arabskiem mianem Si-Mohamed-ben-Ali-ben-Es-Nussi-El-Khotlabi-El-Hassai-El-Idrissi; w powszedniej atoli mowie tytułowano go pokrótce Es-Nussi, a zakon jego i sekta podziśdzień nosi ogólną nazwę Snussyzmu. Es-Nussi zaczął swoje posłannictwo od pokuty i licznych pielgrzymek; poczem stanął w obec łatwowiernych Afrykanów w charakterze wysłańca Allacha, przeznaczonego na podźwignięcie zachwianego Islamu, a zaleconego nadprzyrodzonemi z Prorokiem stosunkami. Zrazu na liczne natrafił przeciwności, zaznał prześladowania, z trudnością nawet uszedł śmierci. Ogłoszon za kacerza w samejże Mecce, postanowił schronić się w pustyni trypolitańskiej, i ztamtąd dopiero rozszerzać wpływ swój i naukę na cały afrykański kontynent.

Podjęta przezeń misya w kilku da się określić słowach. Głosi on, iż mahometanizm odstąpił od pierwotnej czystości, i że on jeden powołan jest do odnowienia ducha zakonu przywróceniem porządku najwyższego Imanatu. „Bóg rządzi światem, — atoli nie za pośrednictwem książąt i panów, lecz wprost przez swego wysłańca i jego następców. Oni to jedni mają prawo opowiadać i tłómaczyć zakon; a zakon stanowić powinien nietylko o wierze i sumieniu, ale je-

szcze rozstrzygać o życiu cywilnem i politycznem". Tymczasem wszystko się w Islamie rozprzęgło, odkąd bliższe z niewiernymi zetknięcie osłabiło pierwotną karność, i ukształtowało umysły na obcą modłę giaurów. Dziś wciąż przychodzi słyszeć o przymierzach, zawieranych z niewiernymi, o przyjmowaniu pojęć i wynalazków obcych duchowi Islamu, nawet o powoływaniu cudzoziemców do wysokich rządowych stanowisk. „Bóg się odwraca od podobnych zgorszeń, — woła Es-Nussi, — „Mahomet sobie zmierzi takie zmiany, i oto z góry nawołuje swych prawdziwych zwolenników do ocalenia zagrożonego Islamu". Oto hasło snussyzmu. W Carogrodzie, dokąd już one sięgać zaczynają, można je sobie po trochu lekceważyć; inaczej się rzecz ma w Afryce, gdzie deklamacye nowego Proroka porywają masy, budząc w nich bezmierny zapał dla jego nauki i osoby. Tłumy te bowiem szukają wyłącznie nadzwyczajności; a w głębi duszy pragną zniszczenia wszelkiego społecznego porządku, dla oddania się rabunkowi i łupiestwu, tym dwom naczelnym żądzom każdego prawowitego żołnierza i wyznawcy koranu.

Es-Nussi w 1835 r. założył pierwszą osadę czyli *Zanję* swego bractwa. Dziwnie ono przypomina masońskie tajemnice, — co nie zaszczytnem podobieństwem dla europejskich związków. Rozesłał wnet roztropnych emisaryuszów, celem poszukiwania sobie nowych zwolenników, z zaleceniem jak najskrytszego działania, zwłaszcza w obec rządów, które nie miały się domyślać zgoła o nurtujących potajemnie prądach. Wiadomo, iż wszystkie towarzystwa tajne wschodnią mają genezę i początek; dziwnie atoli uderza to ścisłe pokrewieństwo narzędzi przewrotu, wśród cywilizacyi europejskiej i afrykańskiego barbarzyństwa — jednakich.

Mimo zachowanych ostrożności, tu i owdzie rzecz się wydała — i hasła nowego Proroka jęły budzić poważne obawy, nawet w progach Wysokiej Porty, tem bardziej zaś na dworach Khedywa i pomniejszych Szeików. Es-Nussi postanowił wówczas cofnąć się jeszcze dalej w głąb pustyni, i nie stanął, dopóki nie rozdzielił się od wybrzeża Śródziemnego morza trzydziestu dniami pieszego pochodu. Tam dopiero, w miejscu zwanem Dżerbub, zbudował sobie rezydencyę czyli Zanję, osadę zakonną, — najpiękniejszy gmach w całej Afryce, jak twierdzą ci z muzułmanów, którzy tam dotarli; tam skupił koło siebie bądź w charakterze braci związkowych, bądź jako czeladź niewolniczą, tysiące zwolenników. Ażeby dać dowód fanatyzmu, który ich ożywia, wystarczy wspomnieć, iż w tej całej społe-

czności zaledwie pietnastu braci jest żonatych. Szczególnych środków Es-Nussi używa, ażeby mnożyć sobie adeptów. Oto np. w jaki sposób rozpoczął tajemny podbój Sudanu. Zakupił hurtownie całą karawanę, złożoną z 250 murzynów, a sprowadziwszy ich do swej osady, wyuczył swych zasad, opowiedział cele; gdy zaś odebrał dostateczne ich wierności dowody, odesłał w strony rodzinne, gdzie niebawem za ich pośrednictwem rozwielmożnił się zwycięsko snussyzm, sięgając po granice ościennych państewek. Dziś już niemasz zakątka północnej Afryki, gdzieby nie było snussystów; a nawzajem, arcykapłani nowej sekty zewsząd sobie sprowadzą niewolników, bądź uprowadzając ich gwałtownie, bądź też jednając sobie fanatyczne ich usługi, które hodowlą wielbłądów, uprawą pustynnych przestrzeni i handlem, przymnażają najwyższemu Imanowi bogactw i dostatków bez liku, już dzisiaj prawdziwie olbrzymich.

Jak nihilizm w Rosyi, tak snussyzm w Afryce roztacza ludność całą, nie wyłączając nawet świata urzędniczego. Wielu tureckich agentów, potajemnie zapisanych w poczet wyznawców nowej sekty, działa na korzyść nie swego już rządu, lecz raczej potężnego bractwa. Prorok ma na zawołanie gotową siłę zbrojną, złożoną z 30.000 piechoty i 1500 jeźdców, okrom motłochu, gotowego się rzucić w ich ślady; Zanja w Dżerbub jest warownią, a raczej arsenałem, gdzie spekulacya niebacznych europejskich dostawców składa olbrzymie zapasy prochu i broni. A tymczasem wysłańcy Proroka ustawicznie wzdłuż i w szerz całą przebiegają Afrykę, utrzymując i rozniecając w całym świecie muzułmańskim ustawiczne tętna przewrotu i hasła politycznych rewolucyj. W Algieryi samej czujność wojskowa nie dopuściła jeszcze do założenia osobnej Zanji, ale emisaryuszów czyli khuanów i tam nie braknie; i baczne oko kardynała Lavigerie spostrzega ich całe zastępy, nawołujące tajemnie do wojny świętej przeciw giaurom, i w ogóle przeciw wszelkiemu porządkowi społecznemu.

Liczba osad „zakonu“, rozpierzchłych dziś w Afryce, dochodzi do ośmdziesięciu; są to jakoby loże masońskie, zkąd promienieją: nienawiść do chrześcijan, do rządów, do wszelakiego ładu i oświaty. Jest pewna systematyczność w rozstawianiu owych lóż, tworzących poniekąd kadry zbrojnego powstania, które kiedyś, w niedalekiej przyszłości, zamyśla wybuchnąć, — i nietylko chrześcijańskich wyrzucić precz przybyszów, ale obrócić się i przeciw samymże muzułmanom tureckim, nie idącym za głosem nowego Proroka.

Ślepym zaiste — dodaje kardynał Lavigerie — byłby ten, któryby się w rozwoju i postępach snussyzmu nie dopatrzył poważnej groźby dla cywilizacyi, nie tylko arrykańskiej, lecz ogólno-ludzkiej. Któż w obec nowych najazdów Islamu, ponawiających straszne początki zakonu Proroka, podejmie rolę przedmurza chrześcijańskiej oświaty? Niegdyś Polska w środkowej Europie to posłannictwo spełniła; dziś niepodobna liczyć na pojedyńcze usiłowania tego lub owego narodu czy rządu. Francya ma inne odpowiedzialności, inne, wewnętrzne kłopoty; Anglia drży o Indye i zbyt rozległe kolonie; Niemcy nie umieją się zabrać do zamorskiej polityki i osadnictwa. Wspólnemi chyba tylko siły można obrończe przedsiewziąść kroki. Anglia już osobiście została dotknięta strasznemi wypadkami w Sudanie. Snussyzm winien jest śmierci Gordona, snussyści wymordowali już nie jednych misyonarzy i podróżników francuskich, żeby tylko wspomnieć oddział Flattersa. Atoli — powtarza prymas Afryki — nie trzeba mniemać, iż działanie nowej sekty ograniczy się w obrębie ciemnego kontynentu; celem jej jest zwalenie wszelkiego ładu społecznego i władzy, nietylko wśród chrześcijan, ale i pomiędzy Turkami i muzułmaninami. Stwierdza to dewiza śmiało podjęta przez syna Proroka Es-Snussi, który samowładnie po ojcu odziedziczył tytuł i posłannictwo Mahdi'ego:

„Turek czy chrześcijanin — wszystko to jedna zgraja; tych i tamtych zgładzę jednocześnie".

Snussyzm jest tedy wrogiem wszystkich rządów i państw afrykańskich, a wraz i przeciwnikiem pokojowej krucyaty, rozpoczętej przez kardynała Lavigerie dla zniesienia niewolnictwa. Wyznawcy tej sekty najwięcej szerzą, praktykują i bronią niewolnictwa. Rekrutują się oni przeważnie wśród Arabów, najniebezpieczniejszego wschodniego żywiołu; dla nich niewolnictwo nosi cechę religijnej powinności, oraz uległości przepisom koranu, nakazującego psów niewiernych wprzęgać w ciężkie jarzmo niewoli.

Jaka na to rada? Praktyczny umysł pasterza Kościoła afrykańskiego odrazu posuwa się do realnych konkluzyj. Zwolennicy snussycyzmu dziś jednaką nienawiścią obejmują chrześcijan i Turków, rządy europejskie i dwór sułtana, który świeżemi firmanami przeciw niewolnictwu ostatecznie naraził się wschodniemu światu zerwaniem z tradycyą koranu. Rzekome to odstępstwo wzbudziło fanatyczne oburzenie w szeregach snussystów, ślubujących pomścić apostazyę zastępcy proroka, targającego się na odwieczne instytucye

Islamu. Niechże więc Turcya weźmie inicyatywę represyi, niech wokoło niej zszeregują się wszystkie cywilizowane narody Europy, ażeby działać we wspólnej obronie. Otwiera się teraz posterunek, któryby pozwolił wytworzyć w środku Afryki wysuniętą widetę cywilizacyi chrześcijańskiej. Olbrzymie państwo Ugandy nie podlega żadnym zagranicznym wpływom, nie należy do żadnego europejskiego narodu. Najznaczniejszy to kraj środkowej Afryki w pobliżu wewnętrznych jezior, które nadają tym strefom żyzność i czar ziemskiego raju; mieszkańcy Ugandy przewyższają wszystkie inne murzyńskie plemiona bystrością umysłu i tęgością charakteru, a przytem okazują niezmierny pociąg do oświaty i nauki, oraz zamiłowanie religijnych rzeczy. Już przed laty Stanley, za pierwszą swą w tych stronach bytnością, wyrażał życzenie, aby kroki misyonarzy głównie ku Ugandzie się zwróciły. „Co za wdzięczne pole pracy! — powtarzał — jak gotowe dla cywilizacyi żniwo!“ Wezwanie to wielkiego podróżnika nie pozostało bez odgłosu. Ruszyły się misye anglikańskie, a w 1878 roku dziesięciu misyonarzy algierskich, t. zw. białych ojców ze zgromadzenia założonego przez kardynała Lavigerie, podążyło do Ugandy. Trzynaście miesięcy trwała uciążliwa ich podróż przez dzikie wewnętrznej Afryki pustkowia. Ciężkie czekały ich losy. Fantastyczni władcy Ugandy to sprzyjali apostolskim wysłańcom, to prześladowali ich aż do krwi rozlewu: mimo to, ziarno ewangeliczne przyjmowało się na tej żyznej roli, i liczba chrześcijan wciąż rosła. Podżegane przez muzułmanów arabskich waśnie domowe i nieufność do misyonarzy europejskich, zamąciły atoli rychło spokój wielkiego państwa, które inaczej wkrótce byłoby się skłoniło ku chrześcijańskiej prawdzie. „Plagą główną wewnętrznej Afryki, — piszą ztamtąd misyonarze — to nie barbarzyństwo, nie niewolnictwo, ale przedewszystkiem żywioł arabski“. Arab wszędzie działa rozkładająco; demoralizuje społeczeństwa, wśród których osiądzie; Arabi to najbardziej szerzą handel ludzki i płynące ztąd zepsucie. Poparciem chrześcijaństwa i chrześcijańskiej cywilizacyi w Ugandzie, wytworzeniem tamże wysuniętego posterunku wiary i oświaty, — możnaby zatamować wzrost snussyzmu i arabskie zarazem podboje, które ogarnąwszy znaczną część północy, teraz próbują środkową Afrykę zagarnąć. Turcya, najbardziej w tej sprawie zainteresowana, najskuteczniej też akcyę ratunkową rozpocząć może i powinna. Tymczasem Uganda od śmierci wsławionego opisami podróżników króla Mtezy w opłakanej znajduje się rozterce: coraz to nowy władca wstępuje na tron lub z niego

przez współzawodnika bywa strąconym; misyonarzom ściśle wzbronionym jest udział w polityce krajowej roztropną ustawą, którą i Rzym i prymas Afryki zaleca im przestrzegać. Wśród politycznej zawieruchy chrześcijaństwo na srogie wystawione jest ciosy; wznawiają się tam prześladowania pierwszych wieków, mnożą męczeńskie akta bohaterów wiary. A jak w starym Rzymie głównie żydzi podżegali Cezarów przeciw Nazareńczykom, — tu arabscy doradcy usiłują stłumić zawiązek chrześcijańskiej gminy, i raz po raz krwawe powodują zajścia, mordowaniem, więzieniem i wypędzaniem misyonarzów i neofitów. Jeźli sekta, znana z potęgi i wyuzdania, zwycięży w Ugandzie — niema powodu, aby się ztamtąd na całą nie rozlała Afrykę; a wtedy ciemny kontynent nanowo się zamknie przed cywilizacyą, i Europa straci owoc szlachetnych usiłowań tylu dzielnych podróżników, którzy próbowali otworzyć jej nowe szlaki, nowe krainy, obfitujące w bogactwa przyrody; co więcej: jeźli wszechwładny snussyzm pod swe sztandary zjednoczy wszystkie rozbite dotąd siły barbarzyństwa afrykańskiego, nie wiadomo, jaki zalew strasznej dziczy może całemu zagrozić światu. W obec murzyńskich gminoruchów, najazdy Hunnów i Gotów dziecinną chyba wydawać się będą igraszką. Chodzi tu tedy o sprawę ogólnie ludzką, o starą cywilizacyę całej ziemi; a sędziwy biskup, sprawujący pilne czaty na afrykańskich wybrzeżach, podnosi ztamtąd głos poważnego ostrzeżenia. List jego, pisany w Biskra, nosi datę 19 marca b. r., a obfituje tak w ogólne poglądy, jak i w zajmujące szczegóły o stanie rzeczy w tej najmniej znanej dotąd części świata. Zwraca on na nią baczność władców Europy; a jakakolwiek będzie skuteczność jego wystąpienia, zasługuje ono na osobne w łamach naszego dziennikarstwa echo, jednocześnie przedstawiając nam dziwny objaw podobnego wspólnego rozkładu cywilizacyi i barbarzyństwa skutkiem tajnych towarzystw: tu masonii — tam snussycyzmu; tu lóż wolnomularskich — tam osad czyli zanjów zwolenników Mahdi'ego.

M.

Druk ukończony 28 maja 1890 r.

Ś. P.

Ks. ZDZISŁAW BARTKIEWICZ T. J.

Wielką stratę poniosła nasza Redakcya przez śmierć tak czynnego i towarzyszom tak drogiego członka, który od r. 1886 stale przy naszem piśmie pracował, już wiele dawał, a jeszcze więcej zdawał się obiecywać na przyszłość.

Liczył ks. Zdzisław Bartkiewicz 38 lat życia (ur. 1852 r.), a z tych większą połowę (od 1866 r.) przepędził w zakonie, do którego wstąpił ze zmarłym już przed kilkunastu laty na piersiową chorobę bratem Juliuszem. Obaj bracia bardzo byli uzdolnieni, obdarzeni wyższym nastrojem umysłu, sercem gorącem, rzadkim zapałem do pracy. Najpiękniejsze lata życia przepędził O. Zdzisław jako prefekt w tarnopolskim konwikcie. Przełożeni i rodzice darzyli go równem zaufaniem i wypuścić przez długi szereg lat nie chcieli z Tarnopola, wiedząc i widząc, jak su-

miennie i gruntownie obowiązki swe spełnia; uczniowie, którzy mimo jego surowości i ścisłej wymagalności powszechnie go kochali, zachowali w sercach szczerą wdzięczność dla energicznego swego profesora, i niejednokrotnie w późniejszych już latach wdzięczności swej składali mu dowody.

Wyświęcony na kapłana w r. 1882, odprawił pierwszą Mszę św. w kościele N. P. Maryi, witany przy ołtarzu wymownemi słowami serdecznego przyjaciela swego ks. Zyg. Goliana. W tymże samym jeszcze roku rozpoczął ś. p. ks. Zdzisław pracę misyjną po wsiach, wioskach i miasteczkach galicyjskich, — pracę nad wszystkie inne ukochaną, o której do ostatnich chwil życia z rozrzewnieniem wspominał, pytając: „Czy też jeszcze kiedy dozwoli mi P. Bóg na misyę, na ambonę, choćby tylko do konfesyonału się dostać?“ — ale zarazem pracę nad wyraz ciężką, która, połączona z wielką gorliwością i brakiem wszelkich względów dla samego siebie, ostatecznie zdrowie podminowała.

Nie mogąc pracować żywem słowem, zrzadka już ledwie i z wytężeniem mogąc, nie już jak dawniej na otwartem polu, ale w kościołach krakowskich przemawiać, na skinienie przełożonych chwycił za pióro, którem władał z jędrnością i pewną szlachetną prostotą. Umieszczone przezeń w *Przegl. powsz.* rozprawy o „Janie III w Piekarach“, o „Dzisiejszym ustroju Kościoła w Ameryce“, o „św. Alfonsie Liguorim“, a zwłaszcza obszerna, na źródłowych studyach oparta rozprawa: o „OO. Redempto-

rystach w Polsce", okazują, jak zdolnym i sumiennym był pisarzem, ile mógłby jeszcze dla literatury naszej zdziałać, gdyby Bóg mu dłuższego życia był pozwolił. Prowadził także od paru lat w *Przeglądzie* dział sprawozdań piśmiennictwa polskiego, miał oko na cały ruch naszej literatury, i wielką część recenzyj sam pisał.

Po śmierci ks. Goliana, dla którego szczególną miał cześć i przywiązanie, zabrał się do wydawnictwa jego kazań na wielką skalę; w przedsięwzięcie to włożył sporą część życia, ale początki fatalnej choroby piersiowej nie pozwoliły mu doprowadzić go do końca; musiał poprzestać, z niemałą szkodą dla kaznodziejskiej naszej literatury, na nadzwyczaj starannem, na wzór mogącem służyć wydaniu pierwszego tomu.

Wysłany dla poratowania niknącego zdrowia na Maltę, pisał ztamtąd barwne i interesujące opowiadania, które *Przegląd* pod tyt. „Listów z Malty" drukował. W ostatnich jeszcze miesiącach, walcząc energicznie z dolegliwościami choroby, wertował skrzętnie archiwum Panny Maryi, odczytywał pergaminy, i zaczynał pisać źródłową, a pełną nowych historycznych poglądów, monografię tego kościoła. Śmierć przecięła nić tej pracy, ale zebrawszy jego papiery, spodziewamy się, że choć część takowej będziemy mogli w *Przeglądzie* ogłosić.

Ś. p. ks. Zdzisław zawczasu spostrzegł zbliżający się koniec, i z całego serca zgodził się z wolą Bożą; spokojnie oddał ducha Bogu, — zostawiając

żal i próżnię po sobie, nie tylko w kochającej go rodzinie, ale i w zakonie, który go niemniej kochał i cenił, i w szerokim kole przyjaciół, zwłaszcza z duchowieństwa, których serca jednać sobie umiał.

Redakcya.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Polacy w Anglii. I. II. III (dok.). Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 1, 213, 357

Wypadki w Białej. Przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* 347

Artykuły naukowe i literackie.

Włodzimierz Sołowiew. II. III (dok.). Przez *Ks. Maryana Morawskiego T. J.* 21, 230

Działalność Grzegorza W. we Włoszech. Przez *Ks. Dra Fijałka* 40

Położenie prawne chrześcijan w państwie rzymskiem w trzech pierwszych wiekach. Przez *Ks. Bilczewskiego* (dok.). 59, 178

Wspomnienia z amerykańskiej wojny domowej. Przez *M.* (dok.). 75

Społeczeństwo w obec rozumu i wiary. V. VI (dok.). Przez *JE. Ks. Arcybiskupa Z. S. Felińskiego* . . 91, 400

Wspomnienia z pielgrzymki do Komposteli. I. II. Przez *Ks. Dra Józefa Pelczara* 153, 380

Stronnica.

Z archiwum Karmelitanek Bosych wileńskich. Przez *Dra F. Koneczneго* i *Dra K. Krotoskiego* . . . 193, 329

Restauracya presbiteryum kościoła Panny Maryi w Krakowie. Przez *Ks. Eustachego Skrochowskiego* 247

Pedagogia w drugiej połowie średniowiecza. I. Przez *Ks. W. Gadowskiego* 313

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Sprawa Zygmunta Unruga. Epizod historyczny z czasów saskich 1715—1740. Przez *Aleksandra Kraushara (B. Jasieńczyk)* 107

Droga życia, szkic poetyczny. Przez *Józefa H. Rychtera (Ks. M. Morawski T. J.)* 113

Biblioteki pedagogicznej tom II. Ks. Grzegorza Piramowicza mowy, miane w Tow. do ksiąg elementarnych w ll. 1776—1788 115

Historya wojny Chocimskiej 1621 r. Przez *Józefa Tretiaka* . 119

Zarys dziejów Polski porozbiorowej, z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej. 120

Patrologiae Compendium scholis accommodatum. Opera *Andreae Retke S. Th. Doct. (Ks. A. Arndt T. J.)* . . . 121

De cognitione humana ad mentem Doctoris Angelici S. Thomae Aquinatis. Scripsit *Dr. Josephus Laskowski. (Ks. J. Piwernetz T. J.)* 269

Lalka, powieść w trzech tomach. Przez *Bolesława Prusa* . . 273

Pan Michał, wspomnienie myśliwskie. Przez *Kazimierza hr. Wodzickiego* 275

O Kościuszce, przez *Czesława Pieniążka*. O Bitwie Racławickiej, przez *Teofila Lenartowicza* 275

Żywot św. Jana Kantego. Z francuskiego przełożył i uzupełnił *Ks. Dr. Julian Bukowski.* — Św. Jan Kanty, patron Królestwa Polskiego. Przez *Ks. Hilarego Koszutskiego* 420

O tworzeniu się stosunku filialności między kościołami. (Wedle prawa kanonicznego). Napisał *Dr. Feliks Woynarowski.*— O konkursie parochialnym. Studyum z dziedziny prawa kanonicznego, z uwzględnieniem przepisów austryackich. Napisał *tenże. (Ks. Aug. Arndt T. J.)* 424

Gruźlica bydlęca a rzezactwo żydowskie. Podał *Dr. Fr. Chłapowski* 426

Stronnica.

Na Szląsku Polskim. (Wrażenia i spostrzeżenia). Przez *Stanisława Piasta* 427

Szczęście na wsi. Powieść *J. A. Łukaszkiewicza* 428

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Le Diurnal de Marie. Eulogies quotidiennes à la très sainte Vierge, mère de Dieu et mère des hommes. Par le P. *Pie de Langoque* 122

August Comte, der Begründer des Positivismus. Von *H. Gruber S. J. (Ks. A. Arndt T. J.)* 124

Goethe in Polen. Von *Karpeles* 124

Z prasy prawosławno-rosyjskiej. *(A. Szarłowski)* 276

Z pism czasowych:

Z peryodycznej literatury czesko-morawskiej *(J. Wierzbicki)* 428

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Tryumf katolików w Niemczech. — Odezwa senatora Lampertico. — *Revue des deux Mondes* o prześladowaniu religijnem we Francyi. — Memoryał biskupów austryackich o szkole katolickiej. — Głosy i taktyka wiedeńskiej i naszej prasy. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 126

Statystyka Masonii w 1889 r. Przez *Ks. St. Załęskiego T. J.* 141

Kwestya z dyecezyi Mińskiej 151

MAJ.

Sprawy Kościoła: Korespondencya papieża z cesarzem Wilhelmem. — Kwestya odpoczynku niedzielnego. — Okólniki księcia-biskupa wrocławskiego. — Urzędowe gazety niemieckie o roli i wpływie Kościoła. — Stoecker, Gossler. Salisbury, wojskowe dzienniki austryackie o szkołach wyznaniowych. — Ruch katolicki w Austryi. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 293

Nowy uniwersytet katolicki we Fryburgu. Przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* 307

Ze zjazdu nauczycieli szkół wyższych 310

† Ś. p. Ks. Zdzisław Bartkiewicz. Przez *Redakcyę.*

Stronnica.

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Kościół a manifestacye socyalistyczne. — List papieża do arcybiskupa kolońskiego. — Głosy o papieskiej działalności socyalnej. — Rozprawy w parlamencie wiedeńskim. — Mowa ministra rolnictwa. — Konfiskata włoskich „fundacyj pobożnych". — W. Mistrz włoskiego Wschodu złodziejem. — Mowy Windthorsta i ks. Stablewskiego. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* . 441

Towarzystwo „Jutrzenka" w Poznańskiem 454

Odwiedziny w Budziszynie. Przez *Ks. Dra J. Bukowskiego* . 456

Snussyzm, tajny związek w Islamie 461

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.